

Rafał
Kosik

Kameleon

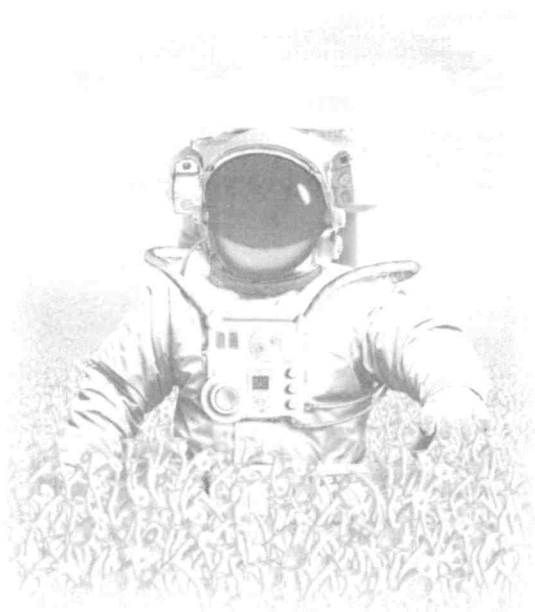


powergraph

Rafał

Kosik

Kameleon



powergraph

Warszawa 2008



Copyright © 2008 by Rafał Kosik
Copyright © 2008 by Powergraph
Copyright © 2008 for the cover by Rafał Kosik

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

Tel./fax 022 631 48 32, 022 632 91 55, 022 535 05 57

www.olesiejuk.pl

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: 022 834 18 25, 022 834 18 26

www.powergraph.pl

e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-05-9

Printed in Poland

Spis treści

I	6
II	12
III	14
IV	21
V	30
VI	37
VII	42
VIII	53
IX	61
X	65
XI	75
XII	91
XIII	100
XIV	104
XV	120
XVI	124
XVII	142
XVIII	145
XIX	152
XX	167
XXI	174
XXII	192
XXIII	209
XXIV	213
XXV	223
XXVI	227
XXVII	249
XXVIII	262
XXIX	264
XXX	276
XXXI	279
XXXII	292

XXXIII	305
XXXIV	313
XXXV	318
XXXVI	323
XXXVII	326
XXXVIII	351
XXXIX	355
XL	372
XLI	378

I

Noan stał, potrącany przez spieszących gdzieś ludzi i patrzył w niebo. W gwiazdozbiorze Lisa przybyła nowa gwiazda! To nieoczekiwane odkrycie wprawilo go w takie osłupienie, że zapomniał o wszystkim wokoło. Torba wypadła mu z ręki i pacnęła o chodnik. Zadźwięczały kupione dziś gwoździe. Gwiazda była jaśniejsza od pozostałych. Nowa dziura w sferze niebieskiej, przepuszczająca blask z zaświatów. Noan obserwował niebo od kilku lat, ale nigdy nie spotkał się z pojawiającą się nagle gwiazdą.

Rozejrzał się. Światło gazowych latarni wydobywało odrapane, krzywe domki przedmieścia. Setki butów depczących bruk, stukot kół zaprzęgów, jednostajny szum rozmów. I ani jednego spojrzenia w niebo. Jakby nic się nie wydarzyło.

Ocknął się z zamyślenia. Podniósł torbę i skarcił się za tę chwilę nieuwagi. Szczęście, że nie został okradziony! Ojciec byłby wściekły. Szybkim krokiem dotarł do stajni, zapłacił koniuszemu i wyprowadził na zewnątrz konia. Noan znów spojrzał w niebo. Gwiazda nadal tam była.

Nowa gwiazda...

Wsiadł na konia i wolno ruszył. Czekają go niemal dwie godziny drogi do domu. Czas na przemyślenia. Nowa gwiazda... Wszyscy mówili, że gwiazdy są dziurami w sferze niebieskiej. Więc nowa gwiazda to nowa dziura. Jeśli tak, to czemu na nieboskłonie nie ma rozpruć, przetarc jak w płótnie czy skórze? Czemu są tam tylko świetliste punkty? Noan nie dawał wiary temu gadaniu. Wyobrażał sobie gwiazdy jako płomyki odległych lamp. Skoro Słońce jest wielką ognistą kulą rozświetlającą ziemię i niebo, to czemu gwiazdy nie mogły być małymi płomykami? Dzieci, które nie usłyszały jeszcze o dziurach, wpadały często na rozmaite pomysły. Noan, gdy był mały, słyszał wiele takich opowieści. Najbardziej podobała mu się ta, mówiąca, że gwiazdy to robaczki świętojańskie, które przysiadły na chwilę na nocnym niebie. Wierzył w to do czasu, aż zauważył, że układ gwiazd, z wyjątkiem kilku

najjaśniejszych, jest niezmienny. Ale nie zdradzał się przed nikim ze swoimi przemyśleniami. I tak mieli go za dziwaka.

Droga z miasta na farmę była pokryta ubitą gliną, po obu stronach rosły topole. Gdy przez wiele dni padały deszcze, zamieniała się w grzęzawisko. A że jesień zadomowiła się na dobre, teraz Noan odwiedzał miasto nawet dwa razy w tygodniu. Czasem, jeśli ładunek miał być ciężki, brał wóz. Musiał zdążyć ze sprawunkami, nim droga stanie się całkiem nieprzejezdna.

Płomyki odległych lamp - to rozbudzało wyobraźnię. Ktoś musiał te lampy zapalać, czemuś musiały służyć. Czemuś musiała służyć również ta nowa lampa.

Pogrążony w rozmyślaniach dotarł do farmy. Odprowadził konia do stajni i rozkulbaczył go. Wszedł do sieni na palcach - wszyscy już spali. Noan sam podjął się zadania wypraw na targ. Niektóre sprawunki załatwiał jeszcze późnym wieczorem. I choć szczerze nienawidził kupczenia, to jednak dzięki temu nie musiał wstawać skoro świt i mógł spędzać noce na obserwacji nieba. Miał przestawiony rytm dnia i był z tego zadowolony.

Na palcach wspiął się na poddasze, gdzie pozwolono mu mieszkać (ojciec nawet się ucieszył, że zwolniła się jedna izba). Zapalił lampę naftową, najciszej jak potrafił, otworzył klapę w dachu i wstawił na podwyższenie trójnog z teleskopem. Wycelował w znajomy fragment nieba i ustawił ostrość. Nowa gwiazda była zdecydowanie jaśniejsza od pozostałych. Sięgnął pod łóżko po księgę, w której, odkąd skończył trzynaście lat, szkicował mapy nocnego nieba. Otworzył oprawioną w skórę okładkę i przekładał sztywne kartki, aż znalazł odpowiednią stronę. Przejechał palcami po szorstkim papierze. Wyjął korek z kałamarza, umoczył pióro w niebieskim atramencie i postawił kropkę między zaschłymi rok wcześniej kropkami, z boku pozostawiając miejsce na współrzędne i opis.

Wpatrywał się w oko teleskopu jeszcze długo, próbując przebić wzrokiem tajemnicę skrytą za mało precyzyjną optyką. Przerwał, dopiero gdy ból pleców był już nie do wytrzymania. Jęknął i wyprostował się. Przetarł oczy, zmęczone od wpatrywania się w jeden punkt. Zamknął je, ale wciąż pod powiekami miał powidok nowej gwiazdy.

Nowa gwiazda! Chciał wybiec na dziedziniec i krzyczeć o swoim odkryciu! Nie... nie było komu opowiedzieć. Wyśmialiby go i zbesztali. Gwiazdy, też coś! Zaczęłaby się awantura. Noan wiedział, że tej nocy długo nie zaśnie. Będzie się gapił w poczerniałe krokwie i rozmyślał do brzasku.

Nowa gwiazda...

* * *

Obudziło go słońce, wpadające przez małe okienko. Na dole trwała praca. Od dwóch albo trzech godzin.

Ubrał się i zszedł do izby kuchennej. Hanni krzątała się przy stole, nad którym zwisały wiązki suszonych ziół, czosnku i papryki. Kroiła owoce na zimowe przetwory. Długie, złote włosy kołysały się, gdy małą rączką wkładała do wielkiego słoja równe cząsteczki jabłka. Pokroiła ostatni owoc i odwróciła się, sięgając po następny kosz, stojący obok starego kredensu.

- Zobaczyłeś wczoraj coś ciekawego? - zapytała.

Do kuchni wszedł Pachzan, starszy brat Noana. Obrzucił chłopaka niechętnym spojrzeniem i zaczął szperać w szafkach.

- Na niebie pojawiła się nowa gwiazda - odpowiedział cicho Noan.

- A w płotach kilka nowych dziur - warknął Pachzan. - Dziś wstałeś jeszcze później, darmozjadzie. Pogadam z ojcem o tym twoim świecidelku.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Hanni uśmiechnęła się przepraszająco, jakby to była jej wina i sięgnęła po kolejne rumiane jabłko.

Na stole leżał przykryty Inianą serwetą kozi ser, a obok chleb, który od śniadania zdążył się nieco zeschnąć. Noan nalał sobie z dzbana kompotu z gruszek, usiadł za stołem i zaczął żuć chleb. Patrzył w okno, na kołyszące się wolno konary starego orzecha. Dziś nie musiał jechać do miasta, co oznaczało konieczność wykonywania jakiejś pracy w gospodarstwie. Policzył, ile godzin pozostało do zmierzchu, i jego myśli znów powędrowały do nowej gwiazdy.

Wepchnął do ust ostatni kęs, podszedł do okna. Oparł się o parapet i zmrużył oczy od blasku słońca. Ciemne włosy opadały mu na czoło. Widział konary orzecha, wzgórza pokryte łąkami i stado kóz. Gdzieś dalej był płot, a nawet kilka płotów, które zagradzały zwierzętom drogę do wolności. Noan nie pamiętał, by mimo ciągle pojawiających się dziur, kiedykolwiek jakaś koza próbowała ucieczki. Po co miałyby uciekać? Tu było im dobrze, a nie wiedziały przecież, że i tak ostatecznym sensem ich istnienia jest nakarmienie ludzi własnym ciałem.

Dziś nie miał zamiaru narzekać, chciał pracować aż do zmierzchu, by ojciec nie miał okazji do pretensji. Nawet wołał obejść te wszystkie płoty i nie być narażonym na niczyje towarzystwo. Wołał rozmyślać i zająć jakoś czas pozostały do kolejnej obserwacji.

Nowa gwiazda, nowa gwiazda...

Na podwórzu parobkowie rozmawiali swoim prostym językiem o zbliżającej się linii frontu. Noan słuchał bez zainteresowania - pomimo zaciętego oporu Enagoru armia Sinevaru posuwała się na południe i już oblegała twierdzę Midaron. To było miesiąc temu. Od tego

czasu twierdza mogła już paść. Król rozważał wprowadzenie poboru powszechnego. Znaczyło to mniej więcej tyle, że każda rodzina będzie musiała oddać armii jednego syna. Noan nie miał wątpliwości, kto to będzie w przypadku rodziny Ramachów. Pachzan we wszystkim pomagał ojcu, przejmował powoli jego obowiązki. Noan za to był nieudacznikiem i leniem. Przynajmniej w przeświadczeniu ojca.

Chłopak wziął z szopy nowe żerdzie, narzędzia i załadował to wszystko na dwukołowy wózek. Wymknął się chyłkiem, nim ktokolwiek zdołał przydzielić mu dodatkowe bzdurne zadanie.

Wózek skrzypiał, a Noan szedł drogą i rozmyślał. Jeśli ojciec odda go na służbę w armii, to ile przetrwa? Gotów był założyć się, że nie doczeka pierwszej bitwy, prędzej zabiją go towarzysze. Czy wrogiem będzie mu armia Sinevaru, czy tylko własny dowódca i żołnierze w takich samych mundurach?

Zwolnił, gdy tylko dachy farmy skryły się za pagórkiem. Otrząsnął się z ponurych myśli. Nie pójdzie do wojska. Rządzący wiedzą przecież, co się opłaca. Wyżywienie dla armii i produkcja broni są równie ważne. Nie będzie poboru.

Skręcił w boczną, zarośniętą dróżkę. Nieużywana od lat, prowadziła wprost do miejsca, gdzie kończył się kamienny mur i zaczynał drewniany płot. Mur budowano w czasach, gdy rodzina Ramachów była najbogatsza w okolicy. Kiedy za sprawą spadku cen mięsa zubożeli, grodzenie pastwisk dokończono drewnianymi płotami. Było to ponad dwadzieścia lat temu i teraz, niemal jednocześnie, wszystkie płoty zaczynały się rozpadać.

Nowa gwiazda... to znacznie przyjemniejsza myśl od poboru i dziurawego płotu. Uniósł głowę, ale oczywiście było jeszcze za jasno, aby dojrzeć gwiazdy.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Dziewczyna w prostej białej sukience biegła po łące. Złote włosy falowały w powietrzu jak łany zboża na wietrze. Tanur, córka starego Pamisha, nie musiała pracować. Kiedyś Pamish był biedny, ale to było kiedyś. Teraz Pamishom wiodło się zdecydowanie lepiej niż Ramachom. Mieli wielu parobków, więcej bydła, więcej ziemi. Więcej wszystkiego. Ojciec Noana ciężko to przeżywał. Przestał się nawet odzywać do sąsiada.

Chłopak oparł się o chybotały płot. Trawa po drugiej stronie była lepsza, zieleńsza, bardziej soczysta. Tanur biegła po zieleńszej trawie. Przystawała, zrywała kwiat i biegła dalej. Chłopak obserwował ją ukryty za płotem, aż jasna postać zniknęła za wzniesieniem. Zaciśnął dłonie na żerdzi. Czuł jakąś dziwną słabość w kolanach. Mieć tyle czasu i marnować go na zrywanie kwiatów!

Przez resztę dnia z zapamiętaniem przybijał żerdzie, wkopywał głębiej spróchniałe

słupki. Nie dbał o to, ile przetrwa jego partanina. Musiał dać upust nagłej wściekłej sile, której źródło nie było dla niego jasne.

Do domu dowlókl się o zmroku. Ramiona, nieprzywykłe do takiej pracy, bolały jak obite. Obszedł całą długość ogrodzenia i naprawił je.

W głównej izbie, przy lampie oliwnej siedział ojciec, oparty łokciami o stół. Noan nałożył sobie stygnącego rzadkiego gulaszu i usiadł naprzeciwko. Czerstwa twarz ojca wydała mu się obca. Noan stwierdził z zaskoczeniem, że ojciec wygląda staro, pomarszczył się, brakowało mu kilku zębów. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz przyglądał mu się z bliska. Zwykle unikał jego wzroku, przemykał chyłkiem, by nie została mu przydzielona kolejna praca. Jadł posiłki, gapiąc się w talerz. Teraz jednak ojciec patrzył mu prosto w oczy. To nie był zwykły wieczór ani zwykłe siedzenie ojca przy stole. Noan z trudem przełykał kolejne kęsy. Lampa oliwna oświetlała połowę twarzy. Domownicy gdzieś zniknęli, jakby wiedzieli, co ma nastąpić.

- Masz osiemnaście lat, synu - obcy człowiek poruszył zaciśniętymi wargami. - Jesteś dorosły. Pora skończyć z dziecinadą. Nawet parobkowie już się z nas śmieją.

- Ręk nie czuję. Pracowałem cały dzień.

- Nie cały dzień, tylko od południa do zmierzchu. - Ojciec gestem uciszył protesty, szorstką dłonią potarł czoło. - Zbliża się zima. Mamy mało zapasów, a podatki rosną z powodu wojny. Nowe prawo mówi, że państwu należy się trzecia część wszystkiego. Rok temu była tylko piąta część, a i tak ledwo doczekaliśmy wiosny. Nie wykarmimy całego stada kóz. Sprzedamy połowę. Jedną świnię ubijemy. Będziemy musieli odesłać trzech parobków, bo nie mam im czym zapłacić. Zaczynają się wykopki. Pracy będzie więcej, ręk mniej.

- Ale...

- Od przyszłego tygodnia koniec z wylegiwaniem się. Będziesz wstawał o świcie i pracował jak inni.

Noan zamknął oczy. Jak wytłumaczyć, że on, Noan, jest stworzony do czegoś innego? Jak powiedzieć, że przewalanie gnoju to dla niego strata czasu?

- Marnujesz czas i siły na bezużyteczne gapienie się w niebo - ciągnął ojciec. - Najwyższa pora, żebyś pokazał, że jesteś mężczyzną i zadbał o rodzinny dom. Nie możesz być darmozjadem.

To robota Pachzana! - zrozumiał Noan.

- Nie mogę zrezygnować... - odezwał się niezdecydowanie.

- Synu. - Ojciec nachylił się nad stołem. - To nie jest prośba. Jak się nie opanujesz i nie weźmiesz do uczciwej pracy, będziesz szukał nowego domu.

Noan walnął pięściami w stół, zerwał się i wbiegł na swój strych. Rzucił się na łóżko. Praca! Machanie kosą, zbieranie siana, karmienie zwierząt... Przykry dodatek do prawdziwego życia! Zajęcie dla prostaków... Ilekroć musiał pracować, czuł się poniżony, wykorzystany. Teraz miało się to dziać codziennie!

Jednak, kiedy nieco ochłonął, oczyma wyobraźni zobaczył biegnącą po łące Tanur. I znów poczuł tę dziwną niemoc w kolanach. Trwało dobrych parę minut, nim pozbył się i tego obrazu. Wstał, zrobił kilka głębokich oddechów, pochylił się nad okularem teleskopu i skupił na obserwacji nieba - jedynej czynności, która dawała mu spokój ducha, wprawiała w dobry nastrój. W pierwszym momencie poczuł rozczarowanie, nowej gwiazdy nie było bowiem w miejscu, gdzie powinna być, na górze gwiazdozbioru Lisa. Jakby odebrano mu własność, ukochaną zabawkę. Spojrzał na niebo gołym okiem. Gwiazda tam była! Sprawdził szukaczem i skorygował ustawienie pokręteł. Była tam. Obok. Przesunęła się nieznacznie względem innych gwiazd. Gwiazda wędrowną czy błąd poprzedniego pomiaru? Otworzył księgę i zapisał pozycję skorygowaną o dwa stopnie. Pochylił się nad papierem, zmarszczył brwi. Dwa stopnie... duży błąd. Długo wpatrywał się w nią, zupełnie pomijając inne obszary sfery nocnej. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie zanotował pozycji innych gwiazd wędrownych. Wreszcie wyprostował się, czując znajomy ból w plecach. Zestawił teleskop z podestu i cicho zamknął klapę. Położył się do łóżka wcześniej niż zwykle - praca przy ogrodzeniu jednak dała mu się we znaki.

Zamknął oczy.

Tanur biegnąca po łące.

Nowa gwiazda biegnąca po niebie.

II

Sześć potężnych dysz rufowych pluło seriami jasnych eksplozji w kierunku rosnącej z wolna błękitnej planety. Stumetrowy kompozytowy kadłub statku USS „Ronald Reagan” opalizował szarością w świetle słońca. Był czysty, bez charakterystycznych zacieków czy osmaleń - statek nigdy nie miał kontaktu z atmosferą, teraz również jedynie wchodził na orbitę. Dlatego też pełen był kanciastych nieregularności, sterczących anten i czujników, aerodynamika była bez znaczenia. Funkcjonalność układu wewnętrznego wymusiła jednak kształt przypominający kostropaty migdał i prowokujący domysły o próbach nadania kadłubowi przynajmniej pozorów opływowości.

Statek budził się do życia. Kolejne korytarze rozjaśniały się zimnym światłem, startowała klimatyzacja. Powietrze rozgrzewało się od temperatury minus sto trzydzieści stopni, w jakiej było utrzymywane, z zerową wilgotnością, przez kilka lat podróży. Przez najbliższe godziny po pokładach nieść będą się trzaski i stuki rozszerzających się elementów konstrukcyjnych. W hibernatorium, w podwójnych półkolach stało kilkanaście szklano-plastikowych tub, połączonych ze ścianami wiązkami przewodów. Panele sterujące pięciu hibernatorów odliczały godziny do wybudzenia. W dole startowały sprężarki układów pneumatycznych, pompy sterujące hydrauliką zwiększały ciśnienie w układach. Cykały przekaźniki elektryczne, testowane po długiej bezczynności. W sterowni zapalały się kontrolki i lampy nocne. Przed fotelami zamigotały ekrany konsoli, rozpoczęły sekwencję sprawdzania obwodów sterujących. Włączył się wielki ekran, opasujący pół pomieszczenia. W centralnym miejscu wyświetlił powiększony obraz błękitnej planety. Po bokach przesunęło się kilkadziesiąt słupków cyfr i liter raportów startujących systemów.

Gdy wyłączyły się silniki impulsowe, temperatura atmosfery ustabilizowała się. Sztuczna grawitacja płynnie wzrosła z kilku procent mocy do stałego obciążenia jeden G, na co wyposażenie pokładów zareagowało kolejną serią trzasków, jęknięć i pisków.

Pierwsze obudziły się otulone miękkim żelem robotnice formicytów.

III

Noan stał przed witryną sklepu naukowego. Witryna, to za dużo powiedziane - wąska szyba wprawiona w krzywą ramę, obok spękanych drzwi, poniżej skromnego szyldu „Wytwory umysłu”. Ciasna uliczka zakończona murem, dwóch roslých mężczyzn musiałoby się mijać bokiem. Może raz w tygodniu ktoś tu zaglądał. Przez przypadek.

Nadciągał wieczór, w oświetlonym, absurdalnie wąskim przesmyku końca uliczki pojawiali się na pół sekundy spieszący w obie strony ludzie, migały telepiące się na nierównym bruku wozy. Chłopak spojrzał w górę. Nieregularne ściany domów tworzyły tu wąwóz, na niebie widać już było gwiazdy. Szczególny efekt. Noan wiedział, że gdyby wyszedł teraz na główną ulicę, gwiazdy by znikły. Jego wzrok znów spoczął na witrynie. Kilka pawich piór ze złotymi stalówkami, zwoje map, kompas i mikroskop. Wszystko ciasno ułożone na piaskowym aksamicie, zakurzone. Na nic więcej nie było miejsca.

To tu właśnie zakupił swój teleskop. Od kiedy go zauważył w witrynie, zaczął regularnie wyrzucać nieczystości u wylotu uliczki i oddawać mocz na ścianę, by zniechęcić przechodniów do zapuszczania się tutaj. Nie wahał się, pozbawiając Pachzana i Hanni pieniędzy po matce. Powierzyła mu je przed śmiercią, z zaleceniem, aby podzielił się nimi z rodzeństwem. Ale oni - cóż zrobiliby z taką fortuną? Kupiliby kolejne stado kóz, świnie albo ziarno. A przecież to on był oczkiem w głowie matki, spadkobiercą niegdysiejszej świetności jej rodu, przeznaczonym do wyższych celów niż ten prostak Pachzan, czy głupiutka Hanni.

Kiedy nabył już obiekt swoich marzeń, sprzedawca wydawał się bardzo zadowolony, nawet nie tyle z udanej transakcji, ile z tego, że mógł wreszcie usiąść prosto - rozstawiony statyw zmuszał go do opierania się jednym barkiem o ścianę. Sklepik był ledwie kłitką wykradzioną z budynku, jakby zbyt wąską szczeliną między źle zaprojektowanymi ścianami. Nie opłacało się nawet wykorzystywać jej jako schowek.

Noan pchnął drzwi. Zaskrzypiały przeraźliwie. Człowiek, wchodząc tutaj, miał wrażenie,

że połyka go jakieś ogromne zwierzę. Krzywe, pokryte zaciekami ściany zbiegały się w końcu sklepiu, niemalże tworząc odwrócony klin. Sufit też był krzywy, a do tego przedziwnie wysoki. Wszystko to, w świetle migotliwej lampki, zdawało się poruszać, drgać.

Sprzedawca uniósł zdziwiony wzrok znad książki, którą czytał nieprawdopodobnie zgarbiony. Był łysym, chudym człowieczkiem, mrużył oczy zza okrągłych okularów. Musiał mieć z siedemdziesiąt lat, a żył chyba tylko dlatego, że nawet śmierć tutaj nie zaglądała. Zmrużył oczy jeszcze bardziej, wpatrując się w chłopca, stojącego na wyciągnięcie ręki. Wreszcie się uśmiechnął.

- Mój najlepszy klient - zaskrzeczał. Odchrząknął i zapytał nieco wyraźniej - niebieski inkaust się skończył?

Na półce po prawej stronie wciąż widać było pokryte cieńszą warstwą kurzu ślady palców Noana, które zostawił tu na wiosnę, sięgając po butelkę z atramentem. Nie musiał go tutaj kupować, bliżej targu był przecież duży sklep z artykułami piśmiennymi, ale każdy pretekst był dobry, by tu zajrzeć. Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby nic się tu nie zmieniło od ostatniej wizyty. Nie! Przybyła jedna rzecz, dosyć oryginalna. Kula, wielkości ludzkiej głowy, osadzona obrotowo na drewnianym stojaku. Na jej powierzchni wyrysowano mapę dużego obszaru.

- Przyszedłem zobaczyć, co ma pan nowego - odparł chłopak, dotykając kuli. Była lekka, pusta w środku, dawała się obrócić w mocowaniu. Z drugiej strony była niezarysowana. Po co mapę umieszczać na kuli?

Przyjrzał się jej z bliska, na ile pozwalało kiepskie oświetlenie. Cała powierzchnia była dokładnie zaklejona wrzecionowatymi paskami papieru i pokryta lakierem. Sprzedawca nie odpowiedział. Chyba zapomniał o obecności klienta, bo pochylił się nad książką. Niemal wodził nosem po papierze. Mruczał coś ledwo słyszalnie. Chłopak stał na środku sklepu i zabawne, mógł bez ruszania się z miejsca dotknąć każdej ze ścian. Albo kiwającej się rytmicznie łysiny sprzedawcy. Obrócił się ostrożnie, lustrując półki i półeczki. Cyrkle, linijki, szkła powiększające. Mosiężne mechanizmy trybowe. Zauważył ciekawy przyrząd, powstały z połączenia skomplikowanymi popychaczami dwóch piór - zapewne służył do pisania na dwu arkuszach naraz.

Rzucił pożegnalne spojrzenie i z żalem wyszedł, skrzypiąc drzwiami. Sprzedawca nawet nie uniósł głowy, zamknięty w swoim świecie.

Ulicą maszerował oddział wojska. Właściwie to starał się maszerować. Setka mężczyzn różnego wzrostu, wieku i tuszy próbowała iść tym samym krokiem i nie deptać po piętach poprzedniemu szeregowi. Armia zaciężna? Ochotnicy, za marny żołd zdecydowani

nadstawiać karku za Enagor. Nie trzeba się znać na sztuce wojennej, by widzieć, że ci tutaj nie przeszli zbyt intensywnego szkolenia. Noan odprowadził ich ponurym wzrokiem. Widział siebie w podobnej kolumnie. Mięso armatnie. Bez sensu. Absolutnie bez sensu. Jak zwierzęta.

Skierował się w stronę targu. Po to tu właściwie przyjechał. Miał kupić parę rzeczy, a głównie materiał na worki, ale też suszone zioła, które nie rosły na ziemi należącej do ojca. Nadchodził czas gromadzenia zimowych zapasów. Ceny szybko rosły, nie warto było czekać.

Najlepsze miejsca, tuż przy głównym wejściu, zajęli ostatnio handlarze bronią, spychając innych dalej. Można było od nich kupić wszystko: sztylety, miecze, kolczugi, pistolety skałkowe, wymyślne rodzaje broni ukrytej w niewinnych z pozoru przedmiotach codziennego użytku. Za godziwą cenę kupiłoby się nawet muszkiet, którego posiadanie przez mieszczan było zabronione. Zbliżająca się wojna wciskała się w umysły ludzi i militarny interes prosperował doskonale.

Noan kupił materiał u pierwszego napotkanego kupca i teraz wypatrywał bednarza i kaletnika. Powinien iść do ich pracowni, by kupić taniej, ale to wymagało czasu, który miał zamiar poświęcić na bardziej pożyteczne sprawy. Obszedł pół targu. Poszukiwani rzemieślnicy też przenieśli się w inne miejsce.

Nagle jego wzrok wychwycił znajomą twarz. Tanur! Ale nie sama. Z dwoma braćmi. Kupują jedwab, najdroższe owoce, najlepsze przyprawy. Dziewczyna miała na sobie zieloną, bogato zdobioną suknię, długą do samej ziemi. Nie musiała sama jeździć na targ, mogła się tym zająć służba. Widocznie więc sprawiało jej to przyjemność. Wybierała najlepsze jabłka, śliwki, woreczki z przyprawami, świecidełka i wrzucała do przewieszonego przez ramię koszyka. Płaciła, nie targując się.

Noan gapił się na nią bezmyślnie, aż napotkał rozbawiony wzrok jednego z jej braci. Drugi spojrzał na niego zdecydowanie mniej przyjaźnie. Noan zacisnął zęby i odwrócił się. Krew pulsowała mu w skroniach. Wszedł między stragany z drewnem. Chwilę kluczył po targowisku, objając się o ludzi. Wreszcie podjął decyzję i skierował swe kroki ku małej uliczce odchodzącej od szerokiej alei wstydliwie, pod kątem. Reszta zakupów mogła poczekać - w domu skłamię, że nie było dobrego towaru. Uwierzą mu, a jeśli nie, to sprawdzić i tak nijak nie zdołają.

Szedł do miejskiego lupanaru. Jednego z wielu, ale o tym konkretnym podsłuchał na targu, że nie okradają tam klientów. Przynajmniej nie za często i nie za bardzo.

Niewielka dzielnica czerwonych latarni nie była uroczym miejscem. Straż miejska nie zaglądała tu chyba wcale. Odgłosy dochodzące z bram skłaniały do przyspieszenia kroku. Ciemne zaułki przyprawiały o dreszcz, pijani mieszczanie obszczywali ściany kamienic, ktoś

rzygał na środku ulicy. Cuchnęło tu wszystkim, czym tylko mogło cuchnąć wejście do dzielnicy rozpusty. Dalej było nieco lepiej. Mały rynecek i trzy ulice rozświetlał słaby, rubinowy blask latarni. Okna małe, piętra niskie - w końcu nikt, oprócz dziewczek, nie miał tu mieszkać. Jest! „Czarna Róża”. Trzypiętrowy krzywy dom wabił świeżo odnowionym szyldem i obiecującym ciepłym światłem nielicznych odsłoniętych okienek.

Noan zawahał się tylko na moment. Z zaciśniętymi pięściami wkroczył do zadymionej, śmierdzącej spalonym tłuszczem i przetrawionym piwem sali. Zamknął za sobą drzwi i... stracił impet. Nie tego się spodziewał. „Czarna Róża” wyglądała jak zwykła karczma. Widać tylko jej górne piętra cieszyły się sławą, niemającą nic wspólnego z ucztami przy stole. Parter był zwykłą obskurną speluną, pełną opojów i wszelkiej maści mętów, czekających tylko, kogo by tu ograbić. Być może zacięty wyraz twarzy Noana zniechęcił ich do prób nagabywania go. Wrócili do swoich kufli i oczekiwania na kolejnego naiwnego amatora uciech. Dym wisiał w powietrzu jak stały lokator, zamieniając przeciwległą ścianę w teatr cieni. Ktoś nalewał piwo z beczki, kto inny ustawiał piętrowo półmiski na tacy. Piersiaste kelnerki, których dekolty obiecywały wszelkie ziemskie rozkosze, kursowały między ciasno ustawionymi stołami, z rubasznym śmiechem reagując na podszczypywanie.

Noan odlepił się wreszcie od drzwi i usiadł na najbliższej wolnej ławie, a ściślej mówiąc na jej krawędzi. Po przeciwnej stronie stołu siedzieli dwaj żołnierze. Nie interesowało ich nic poza pijacką dysputą i piwem. I dobrze. Chłopak zaczął kelnerkę i zamówił kwartę piwa. Starał się sprawiać wrażenie stałego bywalca, ale, rzecz jasna, nie wychodziło mu to najlepiej.

Zapłacił od razu, kiedy kufel znalazł się przed nim. Nigdy wcześniej nie pił piwa. Gdy opróżnił naczynie do połowy, zakręciło mu się w głowie. Zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu słucha rozmowy żołnierzy.

- Mają też muszkiety nowego typu - perorował bełkotliwym głosem jeden z nich. - Dwa strzały na minutę. Dwa! Policz sam! - Rozmówca nie wyglądał na zdolnego do tak skomplikowanych obliczeń, więc mniej pijany towarzysz wyjaśnił. - Dużo szybciej!

Tamten pokręcił tylko głową, robiąc zeza.

- Zginiesz, zanim zdążysz naładować po pierwszym strzale.

- Zginę - zgodził się mniej bystry towarzysz i uderzył głową w stół. Już spał.

Pierwszy żołnierz pokręcił głową, beknął i uniósł rękę po kolejne zamówienie. W połowie gestu zrezygnował i poszedł w ślady kamrata.

Noan rozglądał się i próbował wsłuchać się w inną rozmowę, jednak słowa z sąsiednich stołów tonęły w ogólnym gwarze. Chwycił przechodzącą kelnerkę za skrawek sukni. Zamiotła powietrze warkoczami i spojrzała na niego.

- Jak zamówić dziewczynę? - zapytał, ośmielony alkoholem.
- Nie byłeś tu nigdy? - zaśmiała się. - Musisz rozmawiać z Choreszet. - Skinieniem głowy wskazała siedzącą przy stole u podnóża schodów otyłą i pomarszczoną kobietę.

Starucha wyglądała jak ubrana w czerwoną suknię gigantyczna ropucha. Lustrowała salę czujnym wzrokiem. Obok stało kilkanaście zgaszonych lamp oliwnych.

- Zaczekaj! - powstrzymał odwracającą się dziewczynę. - Sam chcę wybrać dziewczynę.
- Rozmawiaj z Choreszet.

Rozejrzał się po sali i zrozumiał. Właściwie było mu wszystko jedno, z którą pójdzie na górę. Chciał jednak sam dokonać wyboru.

- Ile kosztujesz?

- Co? - Wydawała się obruszona tak bezpośrednim postawieniem sprawy. Odpowiedziała jednak. - Pięć groszy od godziny. Jak chcesz do ust, to jeszcze dwa. Jak ci się spodoba, możesz coś dorzucić. Ale kończę dopiero za godzinę. - Strzepnęła jego rękę z sukni i odeszła, ale odwróciła się jeszcze i powiedziała. - Nazywam się Perac.

Odprowadził ją wzrokiem. Przez długą, plisowaną spódnicę nie sposób było ocenić jej nóg. Talię miała wąską, piersi duże, wypchnięte do góry gorsetem. Pięć groszy. Sporo, ale już zdecydował.

Odczekał godzinę, jednym haustem dopił piwo i podszedł do stołu Choreszet. Z bliska wrażenie ropuchowatości tylko się nasiliło.

- Chcę Perac - oznajmił zwięźle, kładąc przed staruchą monetę.

Zmierzyła go spojrzeniem nienaturalnie wylupiastych oczu, odnalazła wzrokiem dziewczynę i nieznacznym ruchem głowy wskazała jej schody. Perac postawiła dwa kufle przed gośćmi i podbiegła. Chwyciła jedną z lamp stojących obok Choreszet, podpaliła knot i powiodła Noana na piętro.

Pokój był mały, bez okien. Wyposażeniem było tylko łóżko z brudną, skotłowaną pościelą, stołek z miską i dzban pełen wody. Zza drewnianych ścian dochodziły stłumione, rytmiczne odgłosy. Noan starał się nie zwracać na nie uwagi.

Perac postawiła lampę na półce, rzuciła sznurowane trzewiki i odwróciła się tyłem do chłopaka.

- Rozwiąż.

Sięgnął do sznurowania gorsetu, rozsupłał i pociągnął tasiemki. Dziewczyna zdjęła go przez głowę, po czym sama rozwiązała spódnicę i zsunęła na podłogę. Odwróciła się. Piersi zjechały jej niżej. Były znacznie mniejsze, niż myślał. Na jej łonie kłębiły się czarne włosy. Nie widział nigdy nagiej kobiety. Ta tutaj nie podobała mu się, ale natura zadecydowała za

niego. Poczłł niemoc w kolanach, gwałtownie narastające podniecenie. Zrzucił szybko odzienie i stanął, nie wiedząc, co czynić dalej. Dziewczyna pociągnęła go w stronę łóżka i położyła się na wznak. Odgarnęła warkocze i rozłożyła nogi. Położył się na niej i zaczął wykonywać niezdarne ruchy. Nie mógł trafić. W ostatniej chwili pomogła mu dłonią. Ledwie znalazł się w gorącym wnętrzu, ledwie dwa razy pchnął, było po wszystkim. Przez ciało i umysł przetoczyła się krótka fala rozkoszy, pozostawiając po sobie mdłą pustkę. Był już trzeźwy. Zsunął się z dziewczyny i chwilę leżał, dygocząc. Perac spojrzała na niego zaskoczona. Ułożyła się na boku. Piersi zjechały jak dwa worki tłuszczu. Widok jej ciała Noanowi wydawał się teraz nieprzyjemny, niemal obrzydliwy. Zdziwiony tą nagłą zmianą własnych odczuć, odwrócił wzrok, usiadł i spuścił nogi na ziemię.

- Szybko się uwinąłeś. - Dziewczyna zdawała się być zadowolona. - To pierwszy raz? Nie mogłeś znaleźć w okolicy chętnej dziewczyny? Niczego sobie jesteś.

- Nie chcę dziewczyn. - Wstał i zaczął się ubierać.

- Rozprasza ją mi myśli.

Dziewczyna opadła na poduszkę i zaczęła się głośno śmiać, jakby usłyszała niezły dowcip.

- To źle? - rzuciła i spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Przyjdź jeszcze. Jak znów uwiniesz się tak szybko, wezmę od ciebie tylko cztery grosze. Pamiętaj, nazywam się Perac.

Gdy schodził po schodach, wciąż słyszał jej śmiech.

Kwadrans później minął bramy miasta, nie pamiętając już imienia dziewczyny. Umysł miał jasny, oczyszczony, napięcie odeszło. Osiągnął swój cel.

Ściemniało się coraz wcześniej. Spojrzał w niebo - gwiazda nadal tam była, dziś jeszcze jaśniejsza. Przemieściła się, i to znacznie. Jakby przyspieszała... przynajmniej obalało to ogólny pogląd o dziurach w sferze niebieskiej - dziury się nie przesuwają. Pięć kolorowych gwiazd, tych najjaśniejszych, też wędrowało po nieboskłonie, tyle że bardzo wolno.

Całe szczęście, że koń pamiętał drogę do domu. Zresztą, nie sposób się było zgubić. Noan odchylił się do tyłu, położył na zwoju lnianego płótna i opuścił swobodnie ręce. Z każdym krokiem zwierzęcia głowa przekręcała mu się nieco w lewo lub w prawo, ale i tak rozpoznawał gwiazdy i pamiętał nazwę każdej z nich. Większość wymyślił sam.

Chciał działać, obserwować niebo, dokonywać odkryć! Rozmarzył się. Noc przeznaczona na obserwacje, potem krótki sen i dzień wolny na obliczenia, schematy, mapy... Kiedyś... jeśli kiedykolwiek. Do rzeczywistości przywrócił go dopiero odgłos kopyt na wybrukowanym kawałku drogi przed samą bramą. Zeskoczył z konia, zaprowadził go do stajni i wszedł do

domu. Płótno położył na stole. Niczego innego nie kupił, ale nie było komu kłamać o pustych straganach. Wdrapał się na swój strych, rozstawił teleskop i porównał obraz ze szkicem. Sprawdził trzy razy. Nowa gwiazda znów zmieniła położenie! Więc to nie jest niedokładność rysunku. Nie mógł się aż tak mylić. Gwiazda rozpoczęła podróż po sferze nocnej na podobieństwo poprzednich pięciu gwiazd zmiennych. Pomiar pozycji oczywiście był niedokładny, ale i tak było oczywiste, że wyraźnie zmierza w stronę horyzontu. Za tydzień, dwa schowa się za nim i obserwacja nocą nie będzie możliwa. Wcześniej nie będzie możliwa, przypomniał sobie, bo po zapowiedzianym przez ojca całym dniu pracy zaśnie już na schodach.

Gwiazda stała się chyba jaśniejsza. Nagle wydało mu się, że dojrzał coś, jakby kształt. Nowa gwiazda nie była punktem! Tak! Była delikatnie spłaszczona. Odnotował spostrzeżenie w księdze. Może gdyby miał mocniejszy teleskop... Nie, nie było mocniejszych teleskopów. Ten był zapewne najdoskonalszy w całym Enagorze.

IV

Przez pierwszą dobę po rozhibernowaniu panowała atmosfera rozlazłości. Snuli się po statku, ziewając nieprzytomnie. Wszystko leciało im z rąk, potykali się o własne buty. Przetrwać, przeczekać.

- Satelity krążą po stabilnych orbitach - powiedział Nordsletten, wolno spacerując po tonącej w półmroku sterowni. Jego potężna sylwetka, jak sunąca wolno planeta, zasłaniała wyświetlane na ścianie gwiazdy. - Większość z nich jest zdatna do użytku.

- Są koszmarnie przestarzałe - odparł Stuart. Siedział w wielkim fotelu na wprost kilku monitorów. Pozostałe cztery fotele były puste. Drażniło go, że tamten chodzi wokoło.

- Ale działają. Oszczędzajmy sprzęt.

- Pełny dostęp uzyskamy, dopiero jak wejdziemy na orbitę. Ich anteny są skierowane w dół... Zresztą, te kilka dni nie ma znaczenia.

Stuart skubał kilkudniowy, rzadki zarost, wpatrując się w monitory. Niewiele było widać. Dwie sondy weszły na orbitę pół godziny temu, a to, co zdążyły przekazać, na razie przypominało łamigłówkę.

- Nie ma śladu ani orbitera, ani lądownika - dodał Nordsletten. - Wszystkie pasma radiowe czyste. Natomiast w dole... coś, jakby miasta. Tak twierdzi komputer.

- Ile lat upłynęło? - zapytał Stuart. - Wiem, wiem, ale chcę to jeszcze raz usłyszeć.

- Czterysta trzynaście, ale to... - Nordsletten wskazał bezradnie ekran.

- Miasta... - Stuart wychylił się razem z oparciem do tyłu i zagapił w szary sufit upstrzony kontrolkami.

Komputer analizował raporty, przechwycone prawie trzy stulecia wcześniej i w większości zagubione w trudnych czasach ziemskiego chaosu. Porównywał je z nowymi danymi z satelitów. Wyniki, jak na razie, niczego nie wyjaśniały, tylko gmatwały sprawę.

Hood pojawił się w sterowni z metalowym kubkiem kawy w ręku. Na chudych plecach

wisiała powycierana kurtka skórzana, którą uparł się nosić jeszcze podczas szkolenia. Thomson wszedł po nim i zasiadł w fotelu dowódcy. Wyglądał jak skandynawski rybak z początków dwudziestego pierwszego wieku: czerstwa twarz, siwe włosy, siwa broda, żylaste dłonie. Brakowało tylko prostej fajki w zębach. Stojące przed jego stanowiskiem fotele pilotów, nawigatora i mechanika pokładowego były puste - komputer automatycznie wprowadzał „Reagana” na orbitę i miało to potrwać jeszcze kilka dni.

Pasek pozornego okna okrążał połowę owalnego pomieszczenia sterowni. Nazywali to oknem, ale był to zwykły ekran, aktualnie wyświetlający panoramę poskładaną z obrazów z kilku kamer umieszczonych na kadłubie. Nad oknem i poniżej niego znajdowały się dziesiątki monitorów i mniejszych wyświetlaczy. Na większość z nich pewnie nikt nawet nie rzucił okiem do końca misji. Jeśli coś byłoby nie tak, komputer wyświetliłby to na głównym ekranie i jeszcze przypomniał dźwiękiem, a najpewniej sam zająłby się usuwaniem problemu. Kontrolki wpełzły nawet na sufit. Znakomita większość załóg podobnych statków nie miałaby nic przeciwko, gdyby nagle dziewięćdziesiąt procent tych kolorowych światełek zwyczajnie znikło.

Gdzieś spod podłogi nieustannie dochodził cichy szum, na który przestawało się zwracać uwagę, ale który jednak zawsze pozostawał w tle.

- Miasta są tylko na jednym kontynencie - zauważył dowódca. - Reszta planety wydaje się bezludna. Jakby nie zdążyli się rozprzestrzenić...

- Albo ci na innych kontynentach nie osiągnęli wystarczającego poziomu rozwoju, żeby budować miasta - dodał Hood, drapiąc wypielęgnowaną czarną bródkę.

- Gdzie sadzamy lądowisk? - zapytał Stuart, omijając Hooda i zajmując fotel w drugim rzędzie.

- Nie za wcześnie na to? - zdziwił się Hood. - Nie wiadomo, jak zareagują. Minęło trochę czasu. Mogą nawet nie pamiętać...

Do sterowni weszła Jayde i ziewnęła. Odgarnęła czarne włosy za ucho i nachyliła się nad monitorami, opierając łokieć na fotelu dowódcy. Oczy miała podkrążone, ale zdążyła się umalować. Do ust wrzuciła landrynkę i zaczęła ją głośno rozgryzać.

- Będziesz mieć tylek jak hipopotam - rzucił Hood.

- Uznali, że planeta jest martwa - powiedziała, ignorując uwagę.

- Uznali - przyznał Thomson. - Może dlatego zginęli.

- To już wiemy, że zginęli? - zapytał Hood. - Nie wrócili i tyle.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

- Pchając się tutaj, liczymy na to, że ktoś przeżył - poprawił się po chwili kapitan.

Odchrząknął i przejrzał jeszcze raz dane z monitorów otaczających półkolem jego fotel. Puknął palcem w jeden z ekranów, wyświetlający skonstrastowaną mapę. - Szlaki komunikacyjne są proste. Chyba że omijają naturalne przeszkody.

- Myślałem nad tym - odezwał się Stuart. - Rozwój był bardzo szybki, nie było etapów pośrednich. Wszystko zaplanowano od początku do końca i dopiero wtedy przystąpiono do realizacji. Na Ziemi autostrady biegną zygzakami. Wytyczano je, szukając wolnych miejsc między istniejącymi budynkami, omijano droższe grunty. Tu ktoś położył na mapie linię i maznął parę prostych kresek.

- Totalitaryzm? - wysnuł hipotezę Hood.

- Raczej brak ograniczeń projektowych - odparł Thomson.

- Może brak indywidualnej własności? Europejskie autostrady są kręte, fakt, ale amerykańskie często biegną prosto przez setki kilometrów ziem niegdyś niczych. Może początkowo to wcale nie były szlaki komunikacyjne? Może to jakieś... instalacje z zamierzonych czasów? Może tylko wyglądają jak autostrady?

- Nie musimy tego nazywać autostradami, ale co innego miałyby łączyć miasta, jeśli nie szlaki komunikacyjne?

- Może tam nie ma żadnych miast, żadnych ludzi? - zastanowił się Hood. - Może to naturalne formy, jak na księżycach Jowisza? Jakies wykwyty mineralne...

- Ty, zdaje się, nie wierzysz w sens całego programu - westchnął Thomson.

- Nikt o to nie pytał podczas rekrutacji - uśmiechnął się Hood. - Brak jakichkolwiek sygnałów radiowych źle wróży. Ale głupio byłoby się teraz upierać, że tam nie ma ludzi, skoro za kilka dni dowiemy się, jak jest naprawdę.

- Ale nie zdziwiłbyś się, gdybyśmy byli wyjątkowi, absolutnie niepowtarzalni?

- Masz rację, kapitanie, nie zdziwiłbym się.

- Skoro na Ziemi rozwinęło się życie, to znaczy, że warunki na planetach typu ziemskiego sprzyjają jego powstaniu. Istnieje więc nieskończenie małe prawdopodobieństwo, że nie rozwinęło się nigdzie indziej, wśród miliardów gwiazd, w miliardach galaktyk naszego wszechświata. Dlaczego w skali wszechświata mielibyśmy być czymś wyjątkowym?

- Chociażby po to, by móc zadawać takie pytania.

- Pytanie o niezwykłość faktu naszego istnienia? - upewnił się kapitan.

- Zadajemy to pytanie, bo istniejemy. Gdybyśmy nie istnieli, to nie moglibyśmy go zadać. Pytanie pada więc dlatego, że być może jesteśmy jedynymi istotami, które mogą je zadawać.

- Czy wasze dyskusje zawsze muszą prowadzić do takich absurdalnych wniosków? -

zapytała Jayde.

Hood uśmiechnął się. Pozostali członkowie załogi kurtuazyjnie milczeli.

- Czterysta trzynaście lat - mruknął kapitan. - Próbowaliście to... policzyć?

- Za mało danych. - Do rozmowy włączył się ponownie Stuart. - W wyjątkowo sprzyjających okolicznościach mogłoby powstać kilka osad. Populacja rządu kilkunastu tysięcy. Ale jeśli... trafili na tubylców, to najpewniej się zasymilowali. Wtedy to wszystko zaczyna wyglądać logicznie.

- Poważnie wierzysz w absurdalny pomysł, że trafili tu na istoty człękoksztaltne? - zapytał Hood. - Że skrzyżowali się z nimi?

- Czemu nie?

- Spróbuj przelecieć paprotkę, zobaczysz, czemu nie. Jeśli było tu jakieś życie, czysto teoretycznie się zastanawiam, to i tak bardziej różniło się od nas niż grzyby. Różniłoby się już na poziomie subkomórkowym, byłoby oparte na innych kombinacjach białka albo wcale nie na białku. Mogłoby być tak odmienne, że nie zauważylibyśmy się nawzajem.

- Więc jak wyjaśnisz to w dole? Ile musiałaby trwać budowa cywilizacji od zera? Ile trwała na Ziemi?

- Oni mieli wiedzę - przypomniał Hood. - To bardzo dużo na początek. Zaczekajmy te kilka dni, żeby się przekonać, czy to rzeczywiście są miasta.

Odstawił kubek na mały blat obok fotela kapitana. Wepchnął ręce w kieszenie spodni i stanął nieco z boku.

- Komputer stawia pięć do jednego, że są - odparł Stuart. - Ja się z nim nie zakładam, nigdy potem nie płaci.

- Nie znajdziemy ich - zawyrokowała Jayde, znów ziewając. - Albo będą zagubieni w tłumie obcych, albo...

Hood pokręcił głową.

- Albo nie będzie tam nikogo, albo będzie ich za dużo, żeby ich zabrać. To ma przynajmniej jakieś znamiona prawdopodobieństwa.

Thomson mrugał oczami, walcząc z sennością. Zajrzał do blaszanego kubka, by stwierdzić, że kolejną tego dnia kawę wypił już do końca. Zajrzał też do stojącego obok kubka Hooda - ten również był pusty.

- Idę się zdrzemnąć - oznajmił wreszcie, wstając.

- Obudźcie mnie od razu, jakby było coś nowego.

Gdy wyszedł, Jayde zajęła miejsce drugiego pilota. Była na tyle drobna, że wpadła cała w duży fotel. Siedzący obok potężnie zbudowany Nordsletten wystawał ze swojego w górę i na

boki.

- Myślicie, że obudzi Czarnych? - zapytała dziewczyna, sprawdzając kontrolki na swoim pulpicie.

Siedzący za nią Stuart skrzywił się nieznacznie.

- Na razie nie ma powodu. Spróbujmy tego uniknąć, jak długo się da.

Wpatrywali się w główny ekran wyświetlający błękitną planetę. Widać ją było na samym środku pseudookna, choć w rzeczywistości lecieli teraz rufą do przodu.

- Miasta, nie miasta - Stuart założył ręce za głowę.

- Jakieś wyjaśnienie musi być. Mam spory zapas filmów. Nie będę się nudził. Mogę poczekać.

- Ja też nie znoszę tego uczucia, gdy siedzę przed pustym ekranem i mam postawić pierwszą literę - powiedział Hood. - Dowolną.

Stuart wychylił się zza fotela, spojrzał na Hooda i pokręcił głową. Ten wzruszył ramionami. Wszyscy wiedzieli, że usiłuje pisać wiersze, i że marnie mu to idzie.

* * *

Terrarium było grube na pięć centymetrów, za to wysokie na półtora metra i szerokie na ponad dwa. W wypełnionym żelem wnętrzu uganiały się setki małych stworzonek. Dzięki niebieskawej, przejrzystej strukturze ich świata dawało się obserwować poczynania owadów. Elastyczny żel był dla nich budulcem i pożywieniem. System korytarzy nie należał do zbyt rozwiniętych, schodziły na kilkanaście centymetrów pod powierzchnię.

- Czemu nazywasz je formicytami? - Jayde przyglądała się owadom, nosem niemal dotykając szyby.

- Mrówki brzmią banalnie - wyjaśnił Hood.

- Ale to zwykłe mrówki?

- *Formica rufa*. - Mężczyzna ziewnął i przyjrzał się kopczykowi na powierzchni, w środkowej części terrarium. Był złożony z martwych osobników. - Dwie królowe. Więc jest awantura.

- Wszystkie mają odcięte głowy - zauważyła dziewczyna. - Po co umieściłeś w jednym terrarium dwie królowe?

- Przed startem włożyłem jedną królową i kilka robotnic. - Hood popukał palcem w zapadniętą komorę z martwą mrówką i kilkoma niewyklutymi jajami. - Urodziły się nowe królowe, zrobiły przewrót pałacowy i założyły dwa gniazda po obu stronach terrarium.

Wygląda na to, że pierwsze, co zaczęły robić po przebudzeniu, to wzajemnie się zagryzać. Może to środowisko albo któryś ze składników żelu zmieniły ich zwyczaje.

- Kłopotliwa ozdoba. Nie mogli wstawić nam tu rzeźby? Albo kwiatka?

Terrarium stało w pokoju zwanym relaksacyjnym. Prócz niego były tu obrotowa, wyjątkowo miękka sofa i panoramiczny ekran, wklęsły w tak sprytny sposób, że mógł wypełniać całe pole widzenia.

- Zabranie mrówek w kosmos nic nie kosztuje - ocenił Hood. - Chyba że uciekną. Żeby zdobyć dodatkowe fundusze, Agencja udaje, że podczas lotu prowadzi badania naukowe. Dotychczas żaden statek nie trafił na zdarną to terraformowania planetę, więc pojawiły się problemy z finansowaniem dalszej eksploracji martwego kosmosu. Gdyby ktoś z senatu zobaczył, jak snujemy się po pokładach...

- I jak ty niby je badasz? - Jayde spojrzała na niego z ironicznym uśmiechem.

- Zapisuję, co robią.

* * *

W sterowni panowała cisza, każdy sam próbował przyswoić najnowsze informacje. Komputer, po pobieżnej analizie zdjęć, potwierdził, że w dole znajdują się miasta, wyglądające na ludzkie. Wypluł też przybliżoną wielkość populacji: sześć milionów.

Misja „Reagana” nie była misją ratunkową, raczej śledczą. Po czterystu trzynastu latach od prawdopodobnej katastrofy ta nazwa wydawała się właściwsza. Czterysta trzynaście ziemskich lat temu dotarła tu ekspedycja, w której skład wchodziły trzy kobiety i dziewięciu mężczyzn. Regulamin Agencji nie zabraniał stosunków seksualnych między członkami załogi, ale nakazywał ściśle stosowanie zasad antykoncepcji. Ta zasada przestawała obowiązywać tylko w jednej sytuacji - gdy powrót na Ziemię był niemożliwy.

Jednym z przewidzianych scenariuszy misji „Reagana” było zabranie potomków rozbitków. Ten zapis w statucie Agencji miał dawać nadzieję załogom, których statki ulegały nienaprawialnym uszkodzeniom, uniemożliwiającym powrót do domu.

Sygnal SOS z planety Ruthar Larche leciałby na Ziemię sto dwadzieścia lat. Być może został nawet wysłany. Trzysta lat temu Agencja nie istniała i nikt nie przeczesywał nieba elektronicznymi uszami.

Sto dwadzieścia lat to kilka pokoleń. Czterysta to historia narodu.

Nigdy wcześniej nie przeprowadzono akcji ratunkowej tego typu.

- Stuart - odezwał się dowódca. - Przygotuj próbnik.

- Wybuchnie panika - nieśmiało zaproponował Hood.
- Nie większa, niż gdybyśmy tam wylądowali.

Stuart zaczął stukać w klawiaturę. Mógł wszystko zlecić komputerowi, ale lubił osobiście przeprowadzać rutynowe czynności. Choć tak naprawdę to wybierał tylko spośród opcji zaproponowanych przez komputer.

- Spodziewałem się wymachujących maczugami zarośniętych pustelników. - Stuart wstał. Nikt nie odpowiedział, bo wszyscy myśleli dokładnie tak samo. Osady w domach z bali albo, jeszcze lepiej, w szalasach - to by ich nie zdziwiło. Stuart przeszedł do ładowni, by wybrać odpowiedni próbnik. Tę czynność trzeba było wykonać ręcznie.

- Wyobraźcie to sobie - zaczęła Jayde, nachylając się ze swojego fotela. - Trafia tutaj nierejestrowany transportowiec z ludźmi, którzy kolonizują planetę na własny użytek. Sekta, może znudzeni bogacze, może kryminaliści. Nie przerywajcie mi... Nie są zainteresowani, by ktoś się o nich dowiedział, to oczywiste. Potem trafia tutaj ekspedycja Agencji i zaczyna badania. Wiecie, co mam na myśli?

- Tubylcy nie mogą się kamuflować bez końca - przyznał Hood. - Naturalnym działaniem byłby atak przez zaskoczenie, tak by w kierunku Ziemi nie poszedł żaden raport. To jednak nie wyjaśnia takiej populacji. Więc co? Orgie? Prowokowane ciąży mnogie? Laboratoria rozplodowe? Skąd te sześć milionów?

- Nie wiem. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Ale jestem pewna, że nie znajdziemy tam naszych. Misja ratunkowa spóźniona o cztery stulecia... To żart!

- Zaraz... - Hood spojrzał na nią z uśmiechem. - To ja tu mam etat pesymisty.

- No to proszę - uśmiechnęła się do niego prowokująco. - Dowal nam jakiegoś pesyma.

- Służę uprzejmie. Minęło czterysta trzynaście lat. Nikt nie przeprowadzał symulacji. Nie wiadomo, czy rozbitkowie będą w ogóle chcieli wracać. Urządzili się tu, zamieszkali z pięknymi kobietami, założyli rodziny. Po cóż mieliby to rzucać? A to szesnaste pokolenie. Tam jest cały ich świat, innego nie znają. Może nawet rodzice nie powiedzieli im o Ziemi. Jak nas zobaczą, pochowają się w piwnicach i przeczekają naszą akcję ratunkową. Wyobraźcie sobie Amerykanów z początku XXII wieku. Co by zrobili, gdyby ktoś im zaproponował powrót do Europy, skąd pochodzili ich przodkowie.

- Wyliczyłem to - odezwał się Nordsletten. - Założmy, że każda kobieta urodzi ośmioro dzieci. Warunki są trudne, więc tylko połowa dożyje dorosłości. Po jakichś dwudziestu pięciu latach z dwójki rodziców mamy czwórkę dzieci. Upraszczam nieco, ale wobec braku dokładnych danych nie ma to znaczenia. Populacja podwaja się co dwadzieścia pięć lat. Początkowo rozwój limitują trzy kobiety, niech więc będzie, że zaczynamy od szóstki

osadników. Po dwudziestu pięciu latach mamy dwunastkę.

- Mizernie - wtrąciła Jayde.

- Po pięćdziesięciu latach mamy dwudziestu czterech dorosłych ludzi i tak dalej. Wzór jest naprawdę prosty. To liczba sześć pomnożona przez dwa do potęgi równej liczbie pokoleń. Od punktu startu narodziło się tu szesnaście pokoleń. Daje to łącznie niecałe czterysta tysięcy.

- To chyba mało dokładne wyliczenia - zauważył Hood.

- Masz rację. Gdyby każda kobieta mogła urodzić i odchować piątkę dzieci, mielibyśmy tam na dole prawie piętnaście milionów. Przy szóstce - ćwierć miliarda.

- To jak wrózenie z fusów.

- Ale przynajmniej tłumaczy, skąd ich się tam tyle wzięło - podsumowała Jayde.

* * *

Ładownia była duża, wysoka na dwa pokłady, czyli na ponad sześć metrów. Jasnoszare ściany pełne były przetłoczeń wzmacniających powierzchnię. Grubsze, podłużne wypukłości zdradzały ukrytą za nimi konstrukcję szkieletu strukturalnego. W tej części statku ciężenie było nieco słabsze, malało wraz z oddalaniem się od sterowni.

Białe światło lamp bezcieniowych było jaśniejsze niż na korytarzu. Pod ścianami stały, jeden na drugim, przyśrubowane do wsporników, dziesiątki różnej wielkości kontenerów. Stuart odszukał odpowiedni i otworzył zamki. Płyta czołowa uniosła się na zawiasach, ukazując obły kształt tkwiący w uchwytych. Mężczyzna odsunął się i sięgnął do książnika. Potwierdził wybór. Pod sufitem poruszyła się mechaniczna chwytnia, wielka, okablowana łapa przyczepiona do wózka, jeżdżącego po sufitowej szynie. Zamigały pomarańczowe lampy i rozległ się podwójny pisk. Łapa podjechała prostym odcinkiem toru i opuściła się. Trzy małe duraluminiowe palce sięgnęły do wnętrza kontenera i usunęły blokady. Podstawa mechanicznej dłoni obróciła się i do przodu wyjechał grubszy chwytak. Na teleskopie wsunął się do kontenera, by po chwili szczęknąć metalicznie i wycofać się razem z czarną kulą, pełną wypustek i otworów. Miała metr średnicy, opalizowała jak oszroniona.

Łapa ruszyła wzdłuż toru, aż dotarła do zakrętu, na wprost drzwi. Zatrzymała się nad okrągłymi wrotami w podłodze. Stuart wyszedł z ładowni i obserwował postępy procedury na małym monitorze we wnęce ściany korytarza. Zamigotały lampki ostrzegawcze i wrota rozsunęły się na dwie strony. Poniżej była śluza towarowa - przestrzeń w kształcie walca równego średnicą i wysokością wysokości ładowni. Od dołu zamykały ją podobne wrota.

Łapa obróciła się, kierując głowicę z chwytakiem i ładunkiem w dół. Teleskop znów się

wysunął, umieszczając próbnik dokładnie pośrodku śluzy, ale jeszcze nie uwalniając go. Wrota zaczęły się zasuwac, a jedynie niewielkie, półokrągłe ich fragmenty uniosły się od krawędzi, robiąc miejsce dla rury teleskopu. Teraz zatrzasnęły się, idealnie obejmując teleskop powstałym otworem. Obraz przeskoczył na wnętrze śluzy. Trzy palniki opalały powierzchnię próbnika, dekontaminując ją. Potem rozległ się syk wysysanego pompami próżniowymi powietrza i otworzyły się zewnętrzne wrota.

Za nimi był czarny kosmos i ledwie widoczna krawędź planety, błękitnej jak Ziemia.

Zaczepy chwytaka zwolniły ładunek, a teleskop, delikatnym pchnięciem, nadał mu minimalną prędkość początkową. Obraz znów przeskoczył, tym razem na zewnętrzną kamerę. Próbnik swobodnym dryfem oddalił się na kilkadziesiąt metrów i uruchomił silniki. W kilka sekund znikł w oddali.

Gdy Stuart wrócił do ładowni, stalowa chwytka kończyła wędrówkę po suficie, by zaraz znieruchomieć na końcu pomieszczenia. Mężczyzna zamknął pusty kontener i zerknął na ekran książnika, by się upewnić, że wszystko poszło właściwie. Wciągnął w płuca orzeźwiające, zimne powietrze.

Pachniało inaczej niż zwykle.

V

Obudziło go szarpanie za ramię. Pierwsze, co zobaczył, to wściekłe oblicze ojca; w dłoni ściskał oderwany kawałek materiału.

- Tak się kończą twoje nocne przesiadywania ze wzrokiem w gwiazdach! - wycodził, ciskając na koc postrzępione płótno. - Potem śpisz cały dzień, zamiast pracować. Jedź, szukaj tego kupca! Odzyskaj pieniądze!

Wyszedł, tupiąc ciężkimi butami po stromych schodach. W drzwiach stanął Pachzan i patrzył na Noana pogardliwie. Pociągnął nosem. Chyba wyczuł dym i resztki knajpianego smrodu, który wgryzł się w ubranie brata. Nie skojarzył sobie tego jednak z niczym. Ojciec by wiedział, ale od palenia fajki przytępił mu się węch.

Noan wziął materiał. Pociągnął, bez większego trudu przerywając skrawek na dwie części. Usiadł na łóżku i spojrzał w okienko. Na targu nie tylko nie przyjrzał się dokładnie materiałowi, ale i nie pamiętał samego kupca. Chyba miał czarną brodę...

Co go to wszystko obchodzi? To nie jest życie dla niego! Miał dość: ojca, brata, farmy i całej monotonii, której musiał ulegać, wykradając ledwie kilka godzin na swoją pasję.

Mimo to wiedział, że ojciec ma rację. Ciężka praca była konieczna, żeby przetrwać. Tyle że powinien ją wykonywać kto inny.

Spojrzał na Pachzana. Wieśniak, zdolny jedynie do przewalania gnoju i obrabiania pola, pomiata kimś, kto jest stworzony do wyższych celów. Stwierdził z zaskoczeniem, że przestało mu to przeszkadzać. Pomyślał o bracie jak o elemencie złośliwości otoczenia. Podobne uczucia żywił wobec twardego materaca, w którym słoma tworzyła zgrubienia uwierające w plecy.

Pachzan nie doczekał się żadnej reakcji ze strony młodszego brata, więc przestąpił próg. Był wyższy, lepiej zbudowany i pewny siebie.

- Nie wiem, dlaczego ojciec toleruje te twoje głupoty - wycodził przez zęby, wskazując

na stojący w kącie teleskop - ale on nie będzie żył wiecznie. Jestem starszy od ciebie o dwa lata. Wiedz, że w dniu, gdy odziedziczę farmę, ty wylecisz za bramę z kromką suchego chleba w tobołku, nierobie.

Noan zwłóknął się z łóżka. Nie obchodziło go, co sądzi o nim brat, nie obchodziło go, do czego potrzebny jest materiał ani czy się pruje, nie obchodziły go dziury w płocie, myszy jedzące ziarno, gnijące ziemniaki. Obchodził go tylko gniew ojca, bo mógł zagrozić jego obserwacjom.

- Wszyscy pracują za ciebie, nawet Hanni. - Pachzan zmrużył oczy, najwyraźniej rozeźlony brakiem odpowiedzi.

- Jesteś darmozjadem, pasożytem! Jesteś jak parszywy robak drążący zdrowy owoc...

Noan ubrał się, puszczając potok słów mimo uszu.

- Wiesz, co się robi z krową, która nie daje mleka?

- Brat mówił dalej, nakręcając się, ale Noan już nie słuchał. Wyminął go i zszedł na dół. Usiadł przy stole, sięgnął po kozi ser i zeschnięty chleb.

Za oknem ojciec wyładowywał złość na parobku. Tamten nieśmiało protestował, ale uciął, uderzony w twarz. Noan nie mógł sobie przypomnieć, by ojciec kiedykolwiek uderzył jego. Owszem Pachzan nieraz oberwał, ale on nigdy. Zawsze kończyło się na wymówkach.

Z góry dobiegł rumor i odgłos uderzenia o podłogę. Noan zerwał się i w kilku susach był już na stryszku. Teleskop leżał na podłodze, a Pachzan stał nad księgą i przymierzał się do wyrwania pierwszej strony. Na jego twarzy malował się wyraz mściwej satysfakcji.

Z tego, co nastąpiło później, Noan zapamiętał jedynie, jak staczali się po schodach. Gdy oprzytomniał, siedział na Pachzanie i w furii ścisnął w uniesionej dłoni nóż do chleba.

- Nie rób tego - poprosiła przerażona Hanni. Miała łagodny, dziecięcy głosik. Noan odwrócił się. Siostra stała w progu, w swojej białej, lnianej sukieneczce. Musiał zmrużyć oczy, otaczała ją jasność, odbita od pobielonej wapnem ściany stodoły.

A jego brat, przerażony, dysząc ciężko, leżał unieruchomiony na szarych, wytartych deskach podłogi. Noan wstał i odłożył nóż na stół. Spojrzał jeszcze raz na Hanni i wszedł wolno na stryszek. Pachzan zaczął wygrażać mu z dołu, rozpaczliwie próbując odzyskać twarz, ale Noan nie słyszał ani słowa. Wycelował lunetę w odległy las i wyostrzył obraz. Drzewa były pęknięte na pół i wyszczerbione na linii tego pęknięcia. Jak teraz będzie obserwował gwiazdziste niebo? A o nanoszeniu dokładnych pozycji niemal identycznych obiektów nie można było nawet marzyć!

Wymontował pękniętą soczewkę, zawinął w chustę i włożył do torby. Ze skrytki pod podłogą wyjął sakiewkę z kilkoma monetami i zszedł na dół. Przeszedł obok bladego jak

ściana Pachzana, który nagle znów zamilkł, wziął ze stołu zwój płótna i wyszedł na podwórze.

Gdy dwie godziny później minął bramę miasta, złość na brata dawno mu minęła. Przecież to dziecinne, gniewać się na przedmiot, na zwierzę.

Brama miała charakter symboliczny, nigdy jej nie zamykano. Zabudowa dawno wylała się na zewnątrz murów, w których zresztą przebito wiele przejść na wylotach ślepych niegdyś ulic. Gdyby armia Sinevaru miała zagrozić miastu, mury by jej nie przeszkodziły.

Zostawił konia w stajni, tej co zwykle. Nie poszedł jednak na targ, tylko skręcił między domy, w wąskie, kręte uliczki. Pamiętał drogę sprzed roku, więc trafił od razu, choć wiele się tu zmieniło. Noan pamiętał spory plac, teraz zastał ciasne skrzyżowanie. Okolicznym domom przybyły podcienia, nowe frontony i co najmniej po jednym piętrze. Miasto rozrastało się nie tylko wszerz, ale i wwyż.

„Anneas Pasco i synowie. Wszystko ze szkła”. Tu kiedyś zamawiał okulary dla matki. Pchnął drzwi i znalazł się w wysokim pomieszczeniu, którego ściany obstawione były różnej wielkości i koloru taflami szkła w drewnianych stojakach. Wielki, wyłożony filcem stół zajmował centralną część pomieszczenia. Pod nogami chrupały szklane okruchy, a z zaplecza dochodził przykry pisk ciętego szkła. Anneas Pasco był niskim, starszym mężczyzną z wyraźnie zaznaczonym brzuszkiem pod szarym fartuchem. Nachylał się nad małą błyskotką, leżącą na krawędzi stołu i polerował ją delikatnie.

Noan położył na miękkim blacie serwetę i rozwinął ją. Właściciel zakładu uniósł głowę znad powiększonego modelu kryształowej gwiazdki śniegu. Przelotnie zerknął na chłopca i bez słowa schylił się nad przyniesionym przez niego zawiniątkiem.

- To soczewka od teleskopu. - Uniósł siwe brwi. Fartuch na wszystkich zagięciach mienił się od szklanego pyłu. Pobłyskiwały również, jak oszronione, siwe włosy okalające plamiastą łysinę.

- Czy da się ją naprawić? - zapytał Noan.

- Naprawić to nie - rzemieślnik ocenił po namyśle. - To precyzyjna soczewka. Gdybym ją skleił, obraz byłby zniekształcony przez inną gęstość szkła. Wyszlifuję nową, identyczną.

- Na kiedy? - zapytał z napięciem w głosie Noan.

Mistrz wydał wargi. Na zapleczu ucichł pisk diamentu.

- To skomplikowany i czasochłonny proces... Jutro w południe?

Chłopiec zacisnął zęby. Podziękował i wyszedł w gwar ulicy. Chciał coś zniszczyć, połamać, potłuc. Wieczór bez obserwacji... Opanował się, robiąc głębokie wdechy. Zamknął oczy i próbował się skupić. Złość można przecież wykorzystać, to tylko rodzaj energii.

Zaczął myśleć. Prostota rozwiązania, jakie przyszło mu do głowy po kilku zaledwie sekundach, olśniła go.

Uśmiechnął się i ruszył przed siebie.

Od dawna nie zapuszczał się w stronę centrum; targ i wszystkie sklepy, jakich zazwyczaj potrzebował, były blisko murów. Teraz - zaskoczyła go skala zmian. Domy urosły nawet do dziesięciu kondygnacji. Raz aż przystanął i stał z zadartą głową, podziwiając wysokość, na jakiej krokwie podtrzymywały wysuniętą krawędź dachu. Niektóre budynki wysuwały się nad ulicę potężnymi wykuszami, czasem dobudowane fronty podpierały arkady, pod którymi kwitł handel, inne domy wręcz pozrastały się ze sobą na wyższych piętrach kładkami i przybudówkami. Noan zauważył też cały dom, powstały wprost nad ulicą i opierający swój ciężar za pośrednictwem łuków na sąsiednich budynkach. Im bliżej centrum, tym gęściej i wyżej budowano. Gdy Noan doszedł do wielkiego placu otaczającego pałac, skręcił w bok, trafiając na nowy labirynt piętrowych przejść i załomów. Z góry wciąż dochodził stukot młotków, wciągano na linach kubły pełne cegieł bądź zaprawy murarskiej. Nad niewielkim placem, wspartą na stalowych podporach estakadą przetoczył się paromobil załadowany drewnianymi belkami. Wyżej, wąską galeryjką przechadzali się mieszkańcy, oglądając wystawy drogich sklepów. Plac był przekryty szklanym dachem na stalowym stelażu. Górząca nad nim niegdyś strzelista wieża świątyni teraz zmalala i stała się tylko jednym z wielu budynków.

Od tłumów przelewających się we wszystkie strony i ruchu na kilku poziomach zakręciło mu się w głowie, lecz wreszcie znalazł to, czego szukał. Witryna, ze złotym malunkiem przedstawiającym węża oplatającego kielich, wyrosła przed nim znienacka. Pchnął drzwi, zadźwięczał zawieszony nad nimi dzwonek. W niewielkiej, obstawionej przeszkłonymi gablotami aptece było kilka osób. Szeptem wypowiadały swoje zamówienia, płaciły i w asyście dźwięku dzwoneczka szybko wychodziły.

Oglądając ciemne słoje, najdziwniejsze flakoniki w gablotach, Noan zaczekał, aż wyjdą wszyscy klienci, i dopiero wtedy podszedł do lady. Stojąca za nią starucha wyglądała jak czarownica, nie zmieniał tego ani biały fartuch aptekarki, ani stojące za nią na regałach równe rzędy butelek ze starannymi opisami na etykietach. Badawczo patrzyła na chłopaka małymi oczkami ukrytymi pod pomarszczonym czołem. Po chwili pokiwała głową, wyszła zza lady, zamknęła drzwi na zamek i odwróciła tabliczkę wiszącą przed szybą. Zmierzyła go jeszcze raz wzrokiem i wąskimi korytarzykami poprowadziła za sobą na zaplecze.

- Moi specjaliści klienci są zazwyczaj znacznie starsi... - rzuciła przez ramię - i zazwyczaj są kobietami...

Znaleźli się w dusznym schowku na tyłach domu. Przez małe, mętne okienko wpadało niewiele światła. Pachniało tu lekarstwami, stęchlizną i jeszcze czymś...

Pokrzywionymi reumatyzmem palcami starucha z przejęciem zdjęła z półki i otworzyła drewnianą, okutą miedzią skrzyneczkę. W obitym czerwonym jedwabiem wnętrzu, między przegródkami stało kilkanaście szklanych buteleczek i flakonów.

- Gdyby się stłukły - szepnęła, oddychając głośno - nie doszedłbyś żywy do drzwi.

Obłe, kanciaste, smukłe i beczułkowate, zatłkane korkami bądź szklanymi zatyczkami, czarne, zielone, piwne, przezroczyste lub mleczne; zawierające proszki, bezbarwne i kolorowe płyny, a nawet coś, co wyglądało na tytoniowy dym. Wszystkie bez jakichkolwiek oznaczeń.

- Zależy ci na cichej śmierci czy na śmierci pewnej? - zapytała w podnieceniu, błyszczącym wzrokiem przebiegając po szklach. - Może na powolnej, trwającej miesiącami, a może na szczególnie bolesnej? Natychmiastowej? Czy też wreszcie na absolutnie niewykrywalnej? Wolisz, żeby najpierw ciało zaczęło gnić i odchodzić od kości, a umysł do końca pozostał świadomy, czy umysł ma umrzeć pierwszy, by cierpieli bliscy, pielęgnując wciąż ciepłe ciało? Za dodatkową opłatą mogę przygotować specyfik, po którym nieszczęsna ofiara na oczach wszystkich sama odbierze sobie życie, tym samym odsuwając od truciela jakiegokolwiek podejrzenia.

Chłopak patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- O tak... - Wykrzywiła w karykaturze uśmiechu pomarszczone, błyszczące wargi, odsłaniając poczerwiałe pieńki zębów. - Śmierć ma bardzo wiele postaci.

Noan nagle zdał sobie sprawę z tego, że zadżganie brata nożem naprawdę byłoby bardzo głupie. Hanni uratowała mu więc skórę.

Starucha zatarła dłonie i wyjęła ze skrzyneczki malutki, czarny flakonik.

- Ten zabija we śnie - wyjaśniła, śliniąc się z podniecenia. - Ofiara zasypia, by już nigdy się nie obudzić. Niestety, nie cierpi ani trochę... ale ma to i swoje dobre strony. Truciela nikt o nic nie podejrzewa. Truciznę można podać o dowolnej porze dnia, a i tak zacznie działać dopiero we śnie. Koroner mógłby dociec prawdy, ale coś mi mówi - posłała chłopcu niespodziewanie bystre spojrzenie - że tam, skąd przybywasz, koroner się nie pojawi.

Noan nie czuł złości do brata, nie zależało mu na tym, by umierał w męczarniach. Zepsutej żerdzi w płocie nie poddaje się wymyślnym torturom, żerdź wyrzuca się i na tym koniec. Chciał jedynie, by Pachzan przestał mu przeszkadzać w pracy. Wiedział dobrze, że tamten się nie odczepi, dopóki Noan będzie się oddawał swojej pasji, a z niej na pewno nie mógł zrezygnować. Rozwiązanie było więc tylko jedno - musiał zrezygnować z brata.

Przełknął ślinę i odsunął od siebie ostatnie wątpliwości.

- Wezmę najtańszą, ale skuteczną - zdecydował, sięgając po sakiewkę.

* * *

Gdy dochodziła trzecia, załatwił już niemal wszystko, co miał w planach na ten dzień. Sakwy były pełne, miał nadzieję, że również bezpieczne w zaufanej stajni. Została jeszcze najmniej przyjemna sprawa. Dźwigając zwój postrzępionego płótna, krążył po targu, rozglądając się po twarzach kupców.

Jest! Kupiec z czarną brodą, nie ma straganu, sprzedaje z wozu. To jasne! W ten sposób może się w pięć minut ulotnić. Noan nie zapamiętał jego twarzy, oprócz brody, za to przypomniał sobie, że jego uwagę zwróciła wczoraj konstrukcja pojazdu. Osie kół nie były przytwierdzone do belek podwozia za pomocą stalowych tulei, ale osadzone na długich paskach stali. W ten sposób całość była amortyzowana. Jadąc tym wozem, zapewne niemal nie odczuwało się wybojów.

Noan nie miał talentu kupieckiego, tyle sam wiedział. Ojciec tylko dlatego nie przeznaczał go do innych prac, że zbyt często zdarzało mu się zamyślać w najmniej odpowiednich momentach i knocić proste czynności. Prawdę mówiąc, knocił celowo.

Z ociąganiem podszedł do wozu, z którego kupiec zachwalał swoje tkaniny.

- Wczoraj sprzedałeś mi sparciały materiał - zaczął niepewnie. - Pruje się w dłoniach.

- Widzę cię pierwszy raz w życiu, chłopcze - odparł tamten, nawet nie patrząc na chłopaka. - Moje materiały chwalą sobie tu wszyscy. Odejdź, bo mi zniechęcasz klientów.

- Pruje się w dłoniach. Zobacz!

- Odejdź, bo zawołam straż. - Machnął niecierpliwie dłonią, patrząc gdzieś w bok. Był już zdenerwowany.

Noan zastanawiał się nad kolejnym argumentem, gdy usłyszał poruszenie za plecami. Tupot, okrzyki, odgłosy przewracanych przedmiotów. Odwrócił głowę i zobaczył wpatrujące się w siebie przedziwne oko. Duża czarna kula unosiła się w powietrzu i patrzyła na niego nieruchomą, błyszczącą źrenicą. Trwało to może trzy sekundy, po czym kula odwróciła się i odleciała. Nie tylko on to zobaczył. Co odważniejsi, którzy jeszcze nie uciekli, też pokazywali sobie kierunek, w którym oddaliła się kula. Panika ogarnęła cały targ. Powstał tumult i chaos. Połowa ludzi uciekła, porzucając swoje stragany. Tłum powywracał wszystko, co stało na jego drodze. Wszędzie leżały przewracane worki z ziarnem, misy z owocami, przyprawami i warzywami, z rozbitych dzbanów wylewało się mleko i wino. Uwolnione niespodziewanie

ptactwo i zwierzęta dobierały się już do leżącego bezpańsko pokarmu.

Kupiec zniknął. Nie namyślając się długo, Noan chwycił belę lnu, większą od poprzedniej, zarzucił sobie na ramię i ruszył w stronę wyjścia z targu. Gdy emocje opadły, uprzytomnił sobie, że od jakiegoś czasu czuje swędzenie na prawym ramieniu. Zatrzymał się, postawił belę na ziemi i podwinął rękaw. Z małego nakłucia sączyła się krew. Zdziwiony, wpatrywał się w ranę.

- Skąd to masz?!

Zaskoczony uniósł głowę. Stało nad nim dwóch strażników miejskich, ubranych w granatowe płaszcze i stalowe hełmy.

- Ukradł! Ukradł! - krzyczał zza ich pleców brodaty kupiec.

Bez dalszych wyjaśnień, strażnicy chwycili chłopaka pod ramiona i wywlekli z targu.

VI

- Sorry młody, że cię przestraszyłem - mruknął pod nosem Stuart - ale potrzebowałem próbki twojej krwi.

- Przestraszyłeś z pół tysiąca ludzi - zauważył Hood, zaglądając mu przez ramię. - Nie mogłeś przydybać kogoś na uboczu?

- Trochę mnie poniosło - przyznał. - Ale mamy ich poznać... Są już następne zdjęcia.

Główny ekran wyświetlił pierwszy obrazek. Thomson ciężko westchnął, a Nordsletten głośno zaczął drapać zarośnięty policzek.

- To jest... koń - Stuart przełknął ślinę i blady popatrzył po pozostałych. Wszyscy chyba czuli się, jakby wstając rano, stwierdzili, że mają po sześć palców u dłoni.

- Poprawcie mnie, jeśli się mylę - odezwał się znów Stuart - ale konia nie można przecież wyhodować z jajka, a coś tak dużego nie mogło niepostrzeżenie przeniknąć na pokład.

- Nie będę cię poprawiał - zapewnił cicho Hood.

Stuart zakaszlał i bez entuzjazmu popatrzył na czarny ekran, na którym powinny się pojawić mądre wnioski komputera, ale migał tylko zielony kursor. Od godziny komputer nie napisał nic mądrego.

- Czy komputer może stracić rozum? - zapytał Hood.

- Bez niego wszyscy stracimy rozum - odparł Thomson. - Może życie musi wszędzie wyglądać tak samo? Dopuszczacie taką możliwość?

Komputer jako jedyny był zdolny do przeprowadzenia sensownej analizy zebranych danych. Wskrzeszona z popiołów Agencja nie wysyłała w misje poszukiwawcze specjalistów. Lecieli tylko piloci i najwyżej kilka osób obsługi technicznej. Absolutne minimum, by gdzieś dolecieć, zebrać jak najwięcej danych, wrócić i dane te przekazać naukowcom pracującym w schłodzonych i bezpiecznych laboratoriach na Ziemi. Hibernowanie i wysyłanie wykształconych ludzi na kilka lat w kosmos uznano za zwykłe marnowanie ich umiejętności,

bo po powrocie, choć biologicznie niewiele starsi, to jednak w nieunikniony sposób byli już zacoferowani wobec aktualnego stanu wiedzy. Zresztą, jak dotychczas, tylko jedna załoga trafiła na coś wartego uwagi.

Niestety, czterysta trzynaście lat wcześniej wszyscy jej członkowie zaginęli na planecie, nad którą wisiał teraz, jak wrzecionowaty wirus przymierzający się do ataku, USS „Ronald Reagan”.

* * *

Jayde grzebała w trzewiach komputera. Używając unitoola, kolejno odłączała sekcje i wyciągała kryształki pamięci. Każdy wkładała do testera, a gdy kryształ świecił, wpychała go z powrotem na miejsce. Pozycję miała niewygodną: klęczała schylona pod uniesioną osłoną.

Wyprostowała się z trudem, słysząc kroki na korytarzu.

- Pleców już nie czuję... - jęknęła, zamykając głowicę unitoola.

- Rozmasować? - uśmiechnął się Hood, omiatając wzrokiem jej zgrabne ciało.

Odwróciła się i z groźną miną uniosła palec. Wtedy zauważyła, że żartował.

- Wszystkie na razie w porządku. - Złagodniała. Usiadła na miękkiej wykładzinie pod ścianą i odgarnęła włosy, opadające na twarz. - Ale bionicznego mózgu nie mam jak przetestować.

- Coś się wydarzyło, gdy spałem? - Hood przysiadł obok.

- Komputer od pięciu godzin nie potrafi podać wyjaśnienia tego, co widzimy na dole, a powinno zająć mu to kilka sekund. Jednocześnie twierdzi, że nie jest uszkodzony. Jedno wyklucza drugie, więc go sprawdzam ręcznie.

- Został zaprogramowany do analizy nieznanego typu danych, nieznanej struktury. Nie jest kreatywny i nie radzi sobie, nie ma tak elastycznego umysłu jak my.

- A jaki pożytek mamy teraz z elastycznych umysłów?

- Fakt. Agencja nie zainwestowała w naszą edukację. Miesiąc im zajęło zrobienie ze mnie nawigatora. Jak wszystko zawiedzie, sam potrafię wyliczyć trasę do domu. A co ponadto? Wiersze umiem pisać i origami składać.

Dłuższą chwilę wpatrywali się w szarą ścianę. Korytarz był w przekroju prostokątny, jedynie ścięte narożniki przy suficie kryły lampy i wyloty klimatyzacji. Prawie cała powierzchnia ścian składała się z otwieranych osłon, kryjących dostęp do instalacji, o których przeznaczeniu nie mieli pojęcia. Od napraw były roboty.

- Tam na dole są lasy - odezwała się Jayde - a w nich zwierzęta: lisy, wilki, jelenie. Jak

poszukamy lepiej, znajdą się pewnie mrówki i cała reszta. Cholerna Arka Noego musiała tu lądować awaryjnie.

Hood wypuścił głośno powietrze.

- Stuart sobie nie poogląda tych filmów - powiedział. - Ciekawsza będzie transmisja na żywo. A co ty byś zrobiła, będąc na miejscu rozbitków? Statek na pewno nie poleci, a pomoc z Ziemi przybędzie najwcześniej za pięćdziesiąt lat.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Znaki bym zaczęła malować na skałach, wielkie strzałki, pokazujące gdzie jestem. A potem bym się nauczyła produkować alkohol z miejscowych chwastów.

- Pytam o... dzieci.

- Mam dwadzieścia trzy lata. Nie myślę jeszcze o dzieciach.

- Wyobraź sobie przez chwilę, że nie jesteś żoną albo że masz trzydzieści i zaczynasz już przy byle okazji przytulać małe pluszowe zwierzątka.

- Wierzysz w to, że zastali tu Ziemię Obiecaną, z kompletną biosferą, ale bez ludzi? Raj czekający na ich przybycie?

- Nie. Pytam tylko, co byś zrobiła w takiej sytuacji. Możesz wybierać. Są zapasy jedzenia, atmosfera planety nadaje się do oddychania.

- Urodzić dziecko na obcej planecie? Skazać je na egzystencję w tak niepewnych warunkach? Może nie dożyć pierwszych urodzin.

- Jak się nie urodzi, to skążesz je na brak egzystencji. Wiesz, że pomoc przybędzie. Zabiorą je stąd, może jako dorosłego człowieka. Może ty już nie będziesz żyć. Ale w końcu je zabiorą.

- Zabiorą dzikusa, a raczej praprawnuka dzikusa do świata, którego my sami pewnie nie poznamy po powrocie. - Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę. Bawiła się unitooliem. - Nie mam teraz nastroju na takie rozmowy... Myślisz, że stary obudzi Czarnych?

Mężczyzna wyduł wargi i wypuścił głośno powietrze. Jayde spróbowała wstać i skrzywiła się z bólu.

- A wiesz co? Rozmasuj mi plecy. Same plecy!

* * *

- Dobra - Stuart zaprzestał walenia w klawiaturę. - Komputer chwilowo skretyniał. Musimy ruszyć własnymi mózgami. - Wstał i oparł się o swój fotel tak, by widzieć wszystkich. - Pytanie brzmi: Skąd, do cholery ciężkiej, wziął się tam koń?

W sterowni zapadła cisza. Ekrany wyświetlały wybrane nagrania zebrane przez sondę. Koń pasący się na polu, koń ciągnący wóz, droga z kilkoma powozami.

- No, ruszcie głowami - zachęcił Thomson. - Z szyszki go nie wyhodowali. W tej sytuacji nawet głupi pomysł nikogo nie rozbawi.

- Baza danych nie zawiera informacji o koniach - uprzedził Stuart, wydmuchując nos. - Ale możemy założyć, że do hibernatora nie wejdzie, więc przez całą podróż musiałby się szwendać po pokładach, przerabiając kilkanaście ton siana na metan i gówno, które pod koniec pokrywałoby podłogę warstwą...

- Daruj sobie szczegóły - przerwała mu Jayde.

- Ile żyje koń? - zapytał Hood. - Na pewno nie czterysta lat. Więc koni musiałyby być kilka. Może zabrali kilka żrebaków. Małe dałoby się wcisnąć do hibernatorów. Tylko po co?

- O tyle mniej byłoby miejsca dla ludzi - zauważył Stuart. - To bez sensu. Co ze zwierzętami leśnymi? Ktoś się zabawił w arkę?

- Embriony...

- I tak potrzebna matka zastępcza - zaprzeczyła Jayde. - A koń nie urodzi lisa.

- Więc może ktoś zrobił większe hibernatory - Hood pomagał sobie gestykulacją - przewiózł samca i samicę najważniejszych gatunków.

- Dwa osobniki to za mało. Może nastąpić degeneracja. Bez stada mogą nie chcieć się rozmnażać.

- Zaraz, zaraz... - Hood wychylił się ze swojego fotela, sięgnął do konsoli Stuarta i przewinął kilka zdjęć. - A lasy...

- Drzewa wyrastają z malutkich nasionek. - Dziewczyna ułożyła palce, jakby trzymała w nich nasionko, i zrobiła pobłażliwą minę.

- Nie można tak po prostu zasiać lasu. - Zignorował jej ironiczny ton. - To kilkaset... kilka tysięcy współpracujących ze sobą gatunków, kompletny ekosystem. A do tego bakterie, owady i cała reszta, żeby powstała gleba. Odpowiedzią była cisza.

- Jakies wnioski? - zapytał Thomson.

- Problem konia błędnie na tle lasu - przyznał Hood. Jayde wywróciła oczami.

- Nie wygłupiajmy się - powiedział dowódca. - Mamy tam znaleźć potomków rozbitków i podjąć ich na pokład. Jeśli będzie ich za dużo, to najbliżej spokrewnionych.

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. - Hood pokręcił głową. - Każde kolejne pokolenie jest coraz mniej spokrewnione z rozbitkami. Zabierzesz więc starowinkę, a zostawisz dziecko? Zresztą jak chcesz przeprowadzić badania genetyczne na sześciu milionach ludzi?

Dowódca westchnął.

- Najpierw musimy zrozumieć, co tam się dzieje. Przy okazji powinniśmy zebrać materiały dla specjalistów na Ziemi.

- Nie nasza wina, że wysłano nas o czterysta lat za późno - odparł poważnie Hood. - Nagrajmy po prostu jak najwięcej. Komputer w końcu przeanalizuje wszystko. Poda nam gotowy wynik. Tak to, zdaje się, miało wyglądać, prawda?

- Komputer chwilowo skretyniał - powtórzył Stuart.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, co on teraz robi. Dokładniej, skretyniał interface komunikacji z załogą i chyba generator wniosków. Program diagnostyczny twierdzi, że wszystko jest OK. Bardziej bym się martwił, gdyby siadło sterowanie klimatyzacją.

VII

Zarkim, królewski sekretarz, miał ciężki dzień. Wszystko wskazywało na to, że będzie miał również ciężki wieczór, a może i ciężką noc. Wściekły na cały świat, szybkim krokiem przemierzał najdłuższy z pałacowych korytarzy, łączący królewską kancelarię z salą obrad parlamentu. Pełniący w tym miesiącu funkcję przewodniczącego Chavon zwołał nadzwyczajne obrady, na które oczywiście zaprosił również króla. Zaprosił, czyli wezwał. Zarkim nie krył wzburzenia. Roztrącał dworzan, na przypadkowych osobach wyładowując złość i frustrację. Król mógł zignorować obrady i nie przyjść, ale wówczas nie miałby prawa trójgłosu. Król Mechelon III został więc zmuszony, by zmienić swój plan dnia i uczestniczyć w posiedzeniu. Było to równoznaczne z zawezwaniem go. Jak pierwszego lepszego człowieka!

Zarkim pchnął ciężkie drzwi i wkroczył do wypełnionej gwarem sali. Wszyscy już tu byli. Wszyscy, z wyjątkiem króla. Tradycja nakazywała, by ten przybył ostatni. Sala była niewielka, w sam raz, by pod jedną ścianą zmieścić dwa rzędy ław senatorskich, a na wprost drzwi wielki rzeźbiony tron królewski. W ścianie vis a vis ław znajdowały się trzy ostrołukowe okna, wypełnione żółto-brązowymi witrażami. Pod środkowym stał stół ze stertą czystych kart, kałamarz i kilka ozdobnych piór. Ulokowanie parlamentu w tak niewielkiej i mało reprezentacyjnej sali nie było przypadkiem.

Chavon przywitał sekretarza skłonieniem głowy. Zarkim odpowiedział tym samym, choć z głębi serca życzył przewodniczącemu jak najgorzej. Nie próbował tego zresztą maskować, siląc się na uśmiech. Zarkim był wysokim, dojrzałym mężczyzną, wyróżniającym się spośród innych wybitną dbałością o wygląd. Czarne loki opadały błyszczącymi puklami na ramiona, a artystyczny nieład fryzury w rzeczywistości był głęboko przemyślany i wystudiowany przed zwierciadłem. Starannie przycięty zarost, okalający usta i schodzący w szpiczastą bródkę, z pewnością również wymagał codziennych zabiegów pielęgnacyjnych. Długa granatowa,

wyszywana złotem szata nie nosiła najmniejszych śladów zagnieceń, rozpruć ani zachłapań. Ciemnoszara, równie droga szata Chavona nie mogła się poszczycić tym samym, a jego szpakowate włosy i takież zarost pozostawały w nieładzie zdecydowanie nieartystycznym.

Chavon był naukowcem, fizykiem, prezesem nieformalnej Ligi Naukowej. Był też najbardziej aktywnym senatorem. Liczba pomysłów i projektów ustaw jego autorstwa nieustannie irytowała królewskich doradców i urzędników, którzy najchętniej nie zmienialiby niczego w sposobie sprawowania władzy, oczywiście poza nieustannymi zakusami na likwidację parlamentu.

Zarkim podszedł do okna i ostentacyjnie odwrócił się tyłem do senatorów. Udawał, że ogląda mniejszy dziedziniec pałacowy, ale grube nieprzezroczyste szybki i ciemność na zewnątrz skutecznie to uniemożliwiały. Przekłęty parlament! Wolą senatorów przeszła ustawa likwidująca odwieczną zasadę królewskiej nieomyślności i ostateczności sądów. Prowokator, którego imię wymazano z kronik, nieznanym sposobem dostał się na salę i zadał królowi pytanie: „Jak działa przekładnia zębata?”. Król nie odpowiedział, chociaż prawo Dnia Pytań zobowiązywało go do tego. Prawo zobowiązywało króla! To było nie do pojęcia za czasów Mechelona I. Wtedy woła króla była prawem. Teraz Mechelon III musiał we własnym królestwie stosować się do prawa, stanowionego przez poddanych. Ów prowokator, nim wywleczono go z sali za obrazę majestatu, zdołał poddać pod głosowanie haniebną ustawę. Procedury nakazały przeprowadzić głosowanie, a większość się nie opierała. I głosowała za ustawą.

Król nie wiedział, jak działa przekładnia zębata. Nie wiedział nawet, co to jest. I przestał być władcą.

A teraz te prostaki decydują o losach Enagoru! Parlament powołały rody szlacheckie, armia, cechy rzemieślnicze i Kościół, by uniknąć chaosu, gdy król Mechelon I zwariował i wyrządził niemal tyle zła, co bezkrólewie, które po nim nastało. Parlament przejął władzę do czasu, aż następca tronu dorośnie, ale gdy ten czas nadszedł, parlamentu nie rozwiązano. Oficjalnie dlatego, żeby zabezpieczyć królestwo przed powtórką sytuacji, a naprawdę z powodu zasiedzenia senatorów i korzyści, które czerpali ze stanowisk. Co pięć lat następowała wymiana senatorów, ale ci odchodzący zabezpieczali własne interesy, namaszczać na swoich następców ludzi, którym mogli ufać. Młody król nie zdołał odzyskać pełni władzy. Nie udało się to również jego synowi, obecnie panującemu, i zapewne nie uda się to następcy, którego nie było nawet jeszcze na świecie.

Trzy uderzenia w drzwi oznajmiły nadejście króla. Rozmowy ucichły, wszyscy wstali.

Do sali wkroczył czterdziestoparoletni siwy mężczyzna, niewyróżniający się spośród

zebranych niczym szczególnym. Był jedynie bardziej dumny i wyniosły.

- Witam jasnie nam panującego króla Mechelona III. - Przewodniczący skłonił się nisko.

- Witam szlachetnych senatorów - cokolwiek niestarannie odparł monarcha. Zajął miejsce na tronie i skinął głową, by wszyscy usiedli. Nie usiadł jedynie przewodniczący, który od razu miał zabrać głos, oraz sekretarz, dla którego zwyczajnie nie przewidziano miejsca siedzącego.

- Niniejszym otwieram posiedzenie Sprawiedliwej Izby Enagoru w pełnym składzie - oznajmił Chavon i od razu przeszedł do rzeczy. - Jak zapewne wiadomo większości z panów, wczoraj wieczorem padła twierdza Midaron. - Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Wszystkim była już znana informacja o klęsce. - Oznacza to, że na drodze do Miduhr stoją jedynie Medgrun i Hamelon, obydwie słabiej obsadzone. Jeśli ich nie utrzymamy, najdalej za miesiąc będziemy mieć kilkunastotysięczną armię Sinevaru u bram stolicy. Przyznają panowie...

- Król Mechelon złożył pod rozwagę Sprawiedliwej Izby ustawę o poborze powszechnym - odparł Zarkim. Jedynie on, w imieniu króla, miał prawo przerywać wypowiedzi przewodniczącego. - Zapewne panowie senatorowie zdążyli się zapoznać z treścią dokumentu. Jeśli już się spotkaliśmy, nic nie stoi na przeszkodzie, by przeprowadzić głosowanie i zakończyć obrady. Każda rodzina zostanie zobowiązana do oddania jednego męskiego potomka do dyspozycji królewskiej armii. Panie przewodniczący?

Chavon opuścił głowę w chwilowej zadumie, po czym odezwał się, jakby w ogóle nie usłyszał przedmówcy:

- Dzisiaj na targu miejskim zaobserwowano obiekt przypominający wielką kulę armatnią. Poruszała się wolno i zdawała się szukać celu. Potem zniknęła, ulatując w niebo.

- Cóż to było? - zapytał z niedowierzaniem Zarkim, który wyręczał króla w zabieraniu głosu w nie dość istotnych sprawach.

- Nie mamy pojęcia - przyznał Chavon - ale jeśli to jest prototyp nowej broni Sinevarów, to jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie. Plac targowy jest ledwie dwie mile od pałacu. Kula mogła więc dotrzeć i tu.

- Czy ktoś wiarygodny może poświadczyć, że to nie był wymysł zabobonnego pospólstwa?

- Widział to patrol straży miejskiej. Strażnicy opisali ją jako czarną, zapewne metalową kulę połączoną z lunetą.

W powierzchnię obiektu wbitych było wiele różnej długości prętów.

- Czy tylko dlatego zwołałeś pan obrady? To mógł być pomalowany na czarno i wypełniony lekkim gazem krowi pęcherz. Sztukmistrze zabawiają gawiedź podobnymi

sztuczkami.

- Powodem zwołania obrad jest wojna, którą przegrywamy.

Zarkim chciał zaprotestować, ale król położył mu dłoń na ramieniu.

- Przygotowałem krótką prezentację, która poprzedzi mój wniosek.

Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Kilka kroków za progiem, powstrzymywany skrzyżowanymi halabardami gwardzistów w błyszczących stalowych hełmach i zielonych płaszczach, stał muszkieter w pełnym umundurowaniu, z opartą o ziemię bronią.

- Ależ kodeks parlamentu zabrania wnoszenia na salę broni! - wykrzyknął ktoś.

- Zamiast prochu użyjemy mąki - wyjaśnił Chavon - a zamiast kapiszona ziarna grochu. Kula będzie drewniana.

Spojrzał pytająco na króla.

Król skinął głową, więc gwardziści usunęli się na boki, wpuszczając żołnierza. Utykając, dotarł do środka sali i przyklęknął na jedno kolano, w miejscu, gdzie na posadzce widniał ułożony z trawertynu żółto-pomarańczowo-brązowy wizerunek słońca.

- Kapitan Nerhus Hersell, do usług Waszej Wysokości i Sprawiedliwej Izby - oznajmił i za pozwoleniem króla, wstał.

- Proszę zaczynać - polecił Chavon. Wyciągnął z kieszeni klepsydrę trzyminutową i postawił na stole.

Kapitan przystąpił do ładowania broni. Oparł muszkiet kolbą o ziemię, z łoża pod lufą wyjął stempel, obrócił w dłoni, owinał wyciągniętą zza pazuchy flanelą, wetknął do lufy i kilkakrotnie przejechał w tę i z powrotem. Następnie schował flanelę, obrócił stempel i również schował. Z pierwszego, podłużnego przybornika przy pasie wyciągnął papierowy patron, rozgryzł go i wsypał do lufy zastępującą proch mąkę. Znów użył stempla, obracając go w dłoni, przybił proch i schował stempel w łożu. Z kolejnej ładownicy wyjął kulę, zgodnie z obietnicą była drewniana, wrzucił do lufy, a w ślad za nią zwinięty w kulkę papier z patrona i powtórzył serię czynności ze stemplem. Z trzeciej ładownicy wydobył imitujące kapiszon ziarno grochu i założył je na kominek. Pokręcił motylkiem z boku zamka, nakręcając sprężynę, przyklęknął na jedno kolano, wymierzył w okno i nacisnął spust. Rozległ się metaliczny szczęk opadającego kurka.

Kapitan wstał i skłonił głowę. Chavon uniósł ze stołu klepsydrę. Górna bańka była pusta.

- Królewscy muszkietrzy giną najczęściej podczas ładowania broni - oznajmił kapitan. - Nie używam muszkietu tak często, jak szeregowi żołnierze. Najszybsi ładują muszkiet nieco poniżej trzech minut. Parę sekund daje też włożenie kilku kul na zapas do ust. I tak, przez cały ten czas muszkiet jest łatwym celem dla wrogiego strzelca.

- Nie można tego jakoś skrócić? - zapytał siwy i zgarbiony filozof Ksurear. Podobnie jak inni, był pod wrażeniem pokazu.

- Można nie czyścić broni po każdym strzale, ale to zwiększa ryzyko niewypału bądź zaklinowania się pocisku i rozerwania lufy. W warunkach bitewnych i tak żaden z muszkieterów nie stosuje się do pełnych, regulaminowych procedur. Ja również teraz tak uczyniłem.

- Nie stosuje się pan do regulaminu? - zdziwił się Zarkim.

- Regulamin napisano w gabinetach tego pałacu. W warunkach bitewnych to dodatkowe pół minuty, żeby zginąć.

- Taka dola żołnierza - zauważył jeden z popierających króla senatorów z końca sali.

- To działa przecież w dwie strony - powiedział Ksurear. - Nasi wrogowie też muszą ładować broń.

- W ciągu trzech minut nieprzyjaciół potrafi wystrzelić sześć pocisków. Odpowiada to śmiertelności po obu stronach. Na jednego zabitego wroga życie traci sześciu naszych. Posiadamy przestarzałą i ewidentnie niedoskonałą broń.

- Pańskie demonstracje są niesamowicie wciągające, Chavon - odezwał się Mechelon, bez pośrednictwa sekretarza. - Obawiam się jednak, że przecenia pan naszą cierpliwość.

- Już się zbliżam do *clue* mojej demonstracji, Wasza Wysokość. - Naukowiec powrócił na środek sali. - Pozwolę sobie nadwerżyć waszą cierpliwość jeszcze przez chwilę. - Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej nawoskowana tekturową rurkę zakończoną z jednej strony mosiężnym kołpakiem, z drugiej ołowianą kulą. - Oto nabój stosowany przez Sinevarów. Zawiera kulę, proch i kapiszon. Można nim strzelać z broni zwanej karabinem nawet podczas ulewy, zalewającej zamki naszych muszkietów. Cały proces czyszczenia lufy, ładowania i strzału trwa pół minuty i można go wykonać, leżąc. Bez trudu udało nam się ten nabój skopiować, a wkrótce wykonamy karabin, z którego można będzie nim strzelać. Konstrukcja jest nawet prostsza niż w przypadku muszkietu. Dodatkowo na lufie możliwe jest zainstalowanie bagnetu, dzięki czemu zbędne staje się wsparcie pikinierów. Nasi pikinierzy przez większą część bitwy pozostają bezczynni. Zapewne w ciągu kilku dni uruchomimy produkcję karabinów i najdalej za tydzień pierwszy oddział karabinierów będzie gotowy do walki.

- Na czym więc polega problem? - zapytał Ruaas, najwierniejszy z królewskich senatorów. Ten głos, lekko brzęczący, jakby komuś obluzowała się mała blaszka w gardle, był nie do pomylenia z żadnym innym.

- Skopiowanie gotowej broni jest proste, ale wymyślenie nowej nie. Jesteśmy przekonani,

że jednocząc siły najwybitniejszych umysłów naukowych Enagoru, będziemy mogli stworzyć zupełnie nowe rodzaje broni, które zapewnią nam zwycięstwo.

- Czy pan też należysz do pogardy godnych miłosiernych serc, litujących się nad losem motłochu?

- Siła królestwa to także pracownicy poddani! - wykrzyknął Ksurear. - Mogą pracować, pod warunkiem jednak, że są żywi.

- Jedyną powinnością poddanego jest służenie królowi - odparł Ruaas. - Jeśli król wysyła poddanych na śmierć, mają umierać bez słowa skargi.

- Z niewyszkolonych żołnierzy jest mały pożytek - wtrącił się niespodziewanie kapitan. - Wolałbym dowodzić setką weteranów niż pięcioma setkami nowicjuszy.

- Nikt panu nie dał prawa głosu! - oburzył się Ruaas.

- Zresztą, o ile wiem, zostałeś pan odesłany spod przedpoła Midaronu i zdegradowany ze stopnia podpułkownika za optowanie za wycofaniem się na drugi brzeg Narotu.

- To prawda. - Kapitan skinął głową. - Uznałem, że nie mamy szans utrzymać przyczółka. Nie wysłuchano moich sugestii. Następnego dnia cały pułk został rozbity.

Sekretarz odprawił go niecierpliwym ruchem ręki. Żołnierz skłonił się przed królem i wyszedł.

- Ludność powinna pracować, a nie walczyć! - rzucił znów wojowniczo Ksurear. - Nie będzie dobrego żołnierza z rolnika, ani odwrotnie.

Dyskusja zmierzała w stronę pyskówki, co było wielce niewskazane w obecności króla. Chavon uciął ją więc w zarodku:

- Poddani mogą lepiej przysłużyć się królowi i armii, pracując w manufakturach przy produkcji nowych rodzajów broni, które my, naukowcy wielu dziedzin, zamierzamy skonstruować.

- Ile to potrwa? - zapytał Mechelon. - Poprzedziłeś pan demonstrację czarną wizją armii oblegającej Miduhr już za dwa miesiące.

- Oddziały karabinierów opóźnią ten moment, ale on i tak nadejdzie. Wasza Wysokość wie oczywiście, że Sinewarzy mają dwukrotną przewagę liczebną i doświadczenie w wojnie z północnymi koczownikami. Nie dorównujemy im liczebnie, technologicznie, taktycznie ani strategicznie. Opóźniamy ich pochód, tak jak głębokie błoto opóźnia wędrowca.

- Czy sugeruje pan, że nasza generalicja?... - zaczął senator Ruaas, ale król przerwał mu gestem.

- Planujemy pobór powszechny, żeby wyrównać dysproporcje przynajmniej w jednej dziedzinie - powiedział spokojnie Solanut, najbardziej otwarty z królewskich senatorów. -

Zamienimy to błoto w grzęzawisko, w którym wędrowiec utonie.

- Sztab przekazuje Waszej Wysokości i parlamentowi wyselekcjonowane informacje - kontynuował wytrwale Chavon. - Zapewne jest więc jeszcze gorzej, niż nam się teraz wydaje. A wojna, nawet wygrana, spustoszy kraj i wykrwawi ludność. Odbudowa potrwa latami i do tego czasu będziemy łatwym łupem dla innych wrogów. Modarzy z pewnością obserwują sytuację w naszych południowych prowincjach. Uderzyliby dawno, gdyby nie to, że już są uwikłani w jedną wojnę.

- Odrobiłeś lekcję geografii, senatorze - przyznał złośliwie Zarkim. - Ale my wciąż czekamy na cel twego wywodu.

Chavon odetchnął i oznajmił:

- Naukowcy są rozproszeni i muszą się zajmować przyziemnymi czynnościami, żeby zarobić na życie. Część z genialnych umysłów została nawet posłana na wojnę, na zgubę. Liga, której mam zaszczyt przewodniczyć, nie jest organizacją umocowaną prawnie, a przynależność do niej niczego za sobą nie niesie. Królewska pensja pozwoliłaby naukowcom oddać się bez reszty pracy naukowej i wynalazczości. Dlatego zgłaszam wniosek o powołanie Akademii Nauk, jednoczącej i porządkującej badania z wielu dziedzin.

Zapadła nagle cisza.

Pierwszy odezwał się Ruaas, spokojnie, ale złowrogo:

- W obliczu nadciągającego wroga proponujesz pan zabawę w naukę?

- Produkcja karabinu wydaje się domeną rusznikarza, ale tak naprawdę wymaga współpracy kilku różnych wynalazców i rzemieślników - odparł od razu Chavon - poczynając od chemika, poprzez górnika, hutnika i wielu innych, a kończąc na zwykłym cieśli. Dopiero połączona wiedza ich wszystkich sprawia, że możliwe jest wykonanie broni do walki z wrogami Enagoru. Podobnie jest z naukowcami. Jeśli dać im szansę współdziałania i wymiany wiedzy, ich możliwości się spotęgują.

- O ile wiem, podobna akademia powstała dopiero co w Sinevarze. Czy chcesz naśladować naszych wrogów?

- Królu! - Charon zwrócił się bezpośrednio do monarchy.

- Daj nam tydzień, a przedstawimy ci nową broń, dzięki której żołnierz Enagoru będzie zabijał wrogów tak łatwo, jak rzeźnik zabija świnie. Jeśli nam się nie uda, ogłosisz pobór i rozwiążesz Akademię. Wtedy sam zgłoszę się na pierwszą linię.

Król miał prawo trójgłosu, ale i tak wypadało zwracać się do niego, jakby podejmował decyzje osobiście. Pomimo ograniczeń, był najbardziej wpływowym człowiekiem w Enagorze. Sześciu senatorów było mu bezgranicznie posłusznym, bo sam ich mianował, a

jego wpływy i bogactwa sprawiały, że wielu spośród dwunastu „wolnych” senatorów przypadkiem głosowała tak jak on.

Wstał Hamtel, hierarcha Kościoła Najwyższego. Nie należał do królewskich senatorów, ale nikt nie miał wątpliwości, że monarchia i Kościół zawsze się wspierają.

- W imieniu Kościoła Najwyższego - zaczął podniosłym głosem - muszę żądać umieszczenia w regulaminie uczelni prawa nadrzędnego zabraniającego uprawiania praktyk bądź głoszenia tez podważających prawdy wiary.

Chavon pokręcił z rezygnacją głową.

- Nauka nie opiera się na dogmatach, szlachetny ojciec - odparł. - Rozmawialiśmy o tym wiele razy.

- I każdy z nas pozostał przy swoim zdaniu.

Król skinął głową. Chavon niechętnie podziękował i oznajmił:

- Wyboru rady dokona zgromadzenie najwybitniejszych umysłów naszego miasta. A rada wyznaczy rektora.

- Rektorem zostanie książę Armunach Saran.

- Ależ Wasza Wysokość... - zaoponował zaskoczony przewodniczący. - Rektorem powinien być doświadczony mędrzec...

Zarkim spurpurowiał na twarzy i wykrzyknął:

- Sprzeciwiasz się woli króla?! Czy sugerujesz, że książę Armunach, królewski kandydat, jest niegodny tego stanowiska?

- Niczego nie sugeruję. - Przewodniczący drgnął. - Znany i szanowany powszechnie książę Armunach nie jest naukowcem...

Teraz dla odmiany Zarkim pobladł. Doprawdy, to była niezwykła bezczelność! Brakowało tylko, żeby Chavon użył krążącego po kuluarach stwierdzenia, że pastuch nie może zarządzać warsztatem tkackim. Książę Armunach był kuzynem króla i od dawna należał mu się urząd adekwatny do jego pozycji.

- Zatem głosujemy - oznajmił Chavon, z trudem hamując wzburzenie. - Kto z senatorów Sprawiedliwej Izby jest za odłożeniem poboru powszechnego o siedem dni? - Za byli wszyscy, choć połowa podniosła prawe dłonie o pół sekundy później niż król. - Przewodniczący zanotował wynik na karcie papieru i zadał kolejne pytanie. - Kto z senatorów Sprawiedliwej Izby jest za powołaniem Akademii Nauk, finansowanej i wspieranej przez króla?

Znów wszyscy byli za.

- Wezwać skrybę! - zawołał Chavon, a gdy do Sali wszedł łysy starzec w prostej, lnianej

todze, przedyktował mu, co należy zapisać poniżej wyników głosowań. Zarkim stanął obok, by pilnować poprawności zapisu, choć i tak dokument był nieważny bez pieczęci królewskiej i podpisu królewskiego sekretarza.

Na korytarzu, gdy król i sekretarz w eskorcie gwardzistów szli do wewnętrznej części pałacu, Zarkim nie wytrzymał i rozżalony wybuchnął:

- Czemu zgodziłeś się panie na powołanie Akademii? Czyż nie wystarczyło nakazać naukowcom wynalezienia nowej, lepszej broni?

- Oni są potrzebni - odparł Mechelon. - Potrzebni, żeby wygrać tę wojnę. Będą lepiej pracować, gdy uwierzą w swoją swobodę. Potem rozpędzimy towarzystwo. Idź do Chavona i przygotujcie wspólnie potrzebne dokumenty finansowe. Zorganizuj ludzi, ilu potrzeba, i uprzątnijcie stare skrzydło pałacu.

Zarkim zaciśnął usta, ale nic nie odpowiedział. Tak, ta noc również będzie ciężka.

* * *

W skromnym gabinecie przewodniczącego siedział Ksurear, najwierniejszy stronnik Chavona w parlamencie. Niestety, jego skłonność do rozwijania konkretnych spraw w zagadnienia uniwersalne czyniła z niego mało przydatnego sojusznika. Od rozwiązywania problemu bardziej bowiem interesował go sam proces rozwiązywania. Najdalej po minucie przemowy zapominał się i przestawał być zrozumiały dla znakomitej większości słuchaczy. Był też młody asystent Chavona, ale nie bardzo miał okazję wejść w słowo dwóm starszym dyskutantom.

Rozmowa trwała od kilkunastu minut przedłużającego się oczekiwania na sekretarza. Filozof przytaczał coraz to potężniejsze dowody na to, że nominacja królewskiego poplecznika pozbawiona jest sensu. Uważał, że starczy, jeśli będzie mógł przemówić do rozsądku Zarkima, by ten przyznał mu rację, przygnieciony miazdzącą logiką jego rozumowania.

- Dyskusja jest bezcelowa - zaprzeczył po raz kolejny Chavon. - Mechelon nie myśli w tych kategoriach. Według niego przydatność jakiegokolwiek instytucji dla królestwa jest wtórna wobec jej funkcji jako nagrody dla wiernego sługi. A taki niewątpliwie jest Armunach. Dyskusja z Zarkimem jest bezcelowa podwójnie, bo on szanuje wolę króla ponad własną. Pod rządami Armunacha Akademia nie będzie mogła pracować. Ten bawidamek, nie znając się na rzeczy, zamieni ją w klub towarzyski. Będzie do niego przyjmował szlachetnie urodzonych i organizował podwieczorki z pokazami sztuczek technicznych. Zapatrzonych w mikroskopy i

retorty naukowców pozbędzie się jako nudziarzy niegodnych zaszczytu członkostwa. Armunach to w sumie uczciwy i szlachetny młodzieniec, ale myśli jak Mechelon, czyli jak większość dworu. Sens istnienia Akademii Nauk sprowadzi się dla niego do klubu właśnie, o który musi zadbać. Przy okazji potraktuje go jako kolejny sposób na uwodzenie kobiet.

- To jakby powierzyć ze wszech miar uczciwemu pastuchowi opiekę nad warsztatem tkackim - zauważył asystent, usiłując w jakikolwiek sposób zaznaczyć swoją obecność.

- Mierzi mnie już to porównanie. Słyszałem je za często. Jest aż nadto trafne w przypadku większości nominacji królewskich. - Chavon spojrział na drzwi, nie mogąc się doczekać dokumentów do podpisu.

- Tak została przegrana bitwa pod Ramadel - przypomniał sobie filozof. - Tam też złe rozumiane zasady honoru doprowadziły nas do klęski.

- Sześć tysięcy doświadczonych Enagorów uległo o połowę słabszym siłom Sinevaru, szpicy armii właściwie - przyznał Chavon. - Przegraliśmy, bo młody książę Lawo wiedzę o dowodzeniu armią czerpał z vademecum oficera. Doświadczeni w boju, najwyżsi rangą żołnierze musieli przyjmować rozkazy od nieopierzonego młodzika. Powierzono mu dowództwo, bo zabiegał o to jego ojciec, który chciał wzmocnić pozycję swego rodu. Straciliśmy ponad siedmiuset żołnierzy i twierdzę Ramadel z powodu zawilości dworskiej polityki. Teraz też, niby możemy otworzyć Akademię, ale Armunach zwiąże nam ręce, a Hamtel zaknebluje usta.

- Społeczeństwo jest dla nich wtórne wobec własnych zasad - zgodził się filozof. - Zasady te nazywają szlacheckim honorem, wiarą czy jakkolwiek inaczej, a to zwykły nepotyzm.

Zapewne rozwinąłby tę myśl w szkic co najmniej traktatu, ale przerwało mu pukanie do drzwi. Chavon otworzył je i do gabinetu wkroczył Zarkim z miną, jaką zwykle przyoblekał na czas obcowania z przewodniczącym.

- Wzajemne towarzystwo mało nas cieszy - oznajmił od progu. - Załatwmy to sprawnie.

W kilka minut uzgodnili, spisali i podpisali związane dokumenty, co tym razem o dziwo poszło nad wyraz gładko. Na koniec gospodarz sięgnął do szuflady i wręczył sekretarzowi sześcian przypominający skomplikowaną zagadkę mechaniczną.

- Oto klucz do gabinetu rektora Akademii Nauk - wyjaśnił. - Na razie przewidziałem do tej funkcji mój stary gabinet przewodniczącego Sprawiedliwej Izby.

Oślupiały Zarkim obracał w dłoniach sześcian. Wysunął z jednej strony gruby pasek metalu powycinany w skomplikowane wzory. Wcisnął go na powrót i wysunął inny z nabitymi nitami. Spojrział pytająco na Chavona.

- Przekaż go proszę jeszcze dziś do rąk przyszłego przewodniczącego - poprosił naukowiec. - Niech książę Armunach zapozna się z mechanizmem. Nie chcemy przecież, żeby szlachetni goście musieli czekać na przewodniczącego, szamoczącego się z własnymi drzwiami.

Królewski sekretarz podziękował, zbity z tropu pożegnał się i wyszedł.

- Klucz do gabinetu? - Ksurear popatrzył na Chavona. - Czy mechanizm zamka jest trudny do otworzenia, czy klucz jest trudny do dopasowania? Wygląda wręcz jak zabawka znudzonego zegarmistrza.

- Armunach spędzi noc pod drzwiami, żeby się jutro nie ośmieszyć przed dworem i naukowcami. Jeśli nie uda mu się znaleźć rozwiązania zagadki, jest szansa, że zrezygnuje z funkcji i poczeka na następną, bezpieczniejszą okazję. A ja będę mógł umieścić na stanowisku rektora własnego człowieka.

- A jeśli przypadkiem znajdzie? Na czym polega intryga?

- Klucz nie pasuje do zamka, drogi przyjacielu. Ot i cała intryga.

VIII

Po godzinie spędzonej w kompletnych ciemnościach Noan stwierdził, że nie jest sam.

Nie znał rozmiarów celi. Gdy strażnicy rzucili go na podłogę, podpełzł tylko do ściany i usiadł pod nią. Założył, że jeśli zamknęli za nim drzwi, to raczej nie ma stąd innego wyjścia. Postanowił obmyślić zgrabne kłamstwo wyjaśniające całą sytuację. Skoro prawda była zbyt niewiarygodna (bo kto kupuje płótno, nie sprawdziwszy uprzednio, czy nie jest sparciałe), to trzeba zasłonić się błagą. Mimo wzburzenia całą sytuacją i strachu, niespodziewanie poczuł senność. Zaskoczyło go to. O tej porze powinien dopiero szykować się do swoich obserwacji. Ziewnął, przetarł oczy. Może to stęchłe powietrze lochów tak na niego działało? Wolał nie zasypiać i kontrolować sytuację, jednak jakaś nieznana siła wyraźnie napierała na jego umysł, chcąc pogрузić go we śnie. Kiedy skupił swoją wolę, by odeprzeć atak, siła ustąpiła jak spróchniałe drzewo, a pod przeciwległą ścianą celi coś się poruszyło.

- Och... - to był lekko zawiedziony głos zmęczonego starca. - Wybacz, nie poznałem cię.

Noan spojrział w tamtą stronę i spróbował przebić wzrokiem wilgotną ciemność. Gdzieś obok rozległ się tupot szczura.

- Znamy się? - zapytał ostrożnie chłopak.

- Nie, ale to bez znaczenia. - Tamten zakaszlał kilka razy i splunął. - Jesteś z tych, co się nie dają uśpić.

- A po co usypiasz tych, co się dają?

- Lepiej mi się wtedy myśli. Chłopak nie zrozumiał.

- O czym rozmyślasz?

- O różnych rzeczach. Tylko rozmyślania mi już zostały. Nie wyjdę stąd nigdy. Nie dziw się więc, że próbuję myśleć kosztem innych. Większość ludzi nie ma ciekawych tematów do rozmyślań. Ja mam, choć wnioski odejdą wraz ze mną. Boleję nad tym ogromnie, ale nic nie mogę począć.

- Za co cię tu wtrącili?
- Nazwali to nieprawomyślnością. A ty czemu tu jesteś?
- Mnie złapali na kradzieży trzydziestu stóp płótna, chociaż tak naprawdę go nie ukradłem. Myślę, że mnie wkrótce wypuszczą.

Odpowiedzią był charkoczący chichot, który szybko przeszedł w kaszel.

- Z czego się śmiejesz?

Starzec najpierw opanował kaszel, potem odetchnął i dopiero się odezwał:

- Oczywiście, że nie ukradłeś. W całych lochach nie ma nikogo, kto przyznałby się do winy.

- Ale ty się przyznałeś. Ciebie przecież skazali!

- Do niczego się nie przyznałem. Nawet nie miałem okazji. Ja wciąż czekam na pierwsze przesłuchanie.

- Ile tu już siedzisz?

- Spróbuj liczyć dni w kompletnej ciemności... Zdaje mi się, że tkwię tu całe wieki. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Dla mnie ma. Siedzenie tu to strata czasu. Powinienem się zajmować obserwacjami nieba.

- A ja, myślisz, nie mam niczego lepszego do roboty? Rozmyślałem i zapisywałem swoje przemyślenia. Oto czym się zajmowałem za życia. Nie ma nic ważniejszego na świecie od myślenia i przekazywania swoich myśli następcom.

Myśleć mogę tym intensywniej, im więcej współwięźniów mam w pobliżu, ale nic już nie zapiszę i nie przekażę potomności. Dlatego mnie tu uwięzili.

- Musiałeś zatem rozmyślać o czymś powszechnie uznawanym za szkodliwe?

- O tak! Na przykład o marności naszego bytowania. Dla ścisłości naszej dalszej rozmowy - rozmyślania te, a raczej wnioski z nich płynące, były nie w smak urzędnikom królewskim, a nie zwykłym ludziom. Zwykłych ludzi nic nie obchodzi. Dwie mile od ich domu może przejść huragan, a oni, zamiast się martwić wyrządzonymi przez żywioł zniszczeniami, będą się cieszyć, że to dwie mile dalej.

- To naturalne.

- Tak! - Starzec podniósł głos, aż zakaszlał z wysiłku. - Jeśli przyjrzeć się z boku, ludzie są jako te mrówki, dbające jedynie o własne mrowisko i otoczenie, na którym żerują. Świat kawałek dalej mógłby przestać w ogóle istnieć, a mrówki nie przejęłyby się tym faktem. Nie przejęłyby się nawet, gdyby połowę z nich wydeptać celowo. Byle dostawy pożywienia dla królowej pozostały niezakłócone. To tak jak u ludzi.

- Nie jesteśmy mrówkami.
 - Rozważ inny przykład. Żołnierze na wojnie giną za królestwo, ale królestwa nie boli śmierć jednego żołnierza. Żołnierz oddaje życie za społeczeństwo, a społeczeństwo nawet tego nie zauważa. Zauważy, jak zginie kilka tysięcy, bo to osłabi siłę mrowiska.
 - Społeczeństwo? - Noan wychwycił nieznane słowo.
 - Wymyśliłem tę definicję wszystkich obywateli królestwa, a raczej tego, co razem tworzą.
 - Czyli „społeczeństwo” znaczy tyle samo co „królestwo”?
 - Nie. Króla można zabić, wygnać i królestwo przestanie istnieć. A społeczeństwo będzie trwać. Król... Mogę mówić, gorzej już nie wyląduję. Jeśli mnie zabiją, tylko im podziękuję, bo im więcej wymyślam, tym bardziej cierpię, że tyle wiedzy przepadnie wraz ze mną. Prawdę rzekłszy, ryzykuję tylko twoim losem, jeśli ktoś się zorientuje, co ci nawygadywałem.
 - Zaryzykuję. - Rozmowa zaczynała coraz bardziej interesować Noana. Zapomniał prawie o swoim położeniu. - Mów dalej. Jeśli zapamiętam twe myśli, nie odejdą w niepamięć.
 - Dobrze. Powiem ci wszystko, co wymyśliłem i co pamiętam. Wiedz, że spora część wiedzy uleciała już z mego niszczonego umysłu. Najlepiej zachowuje się to, co w kółko powtarzam, a nie mogę powtarzać wszystkiego, bo kosztem śniących wokoło umysłów tworzę nowe wnioski. Staram się powtarzać te najważniejsze, ale i ich jest zbyt wiele. Mam za małą głowę, żeby je wszystkie pomieścić. Że też nie mogę tego zapisywać...
 - Może zatajenie twoich prac było w interesie ogółu?
 - Ogół nie chce wiedzieć, że jest myślącą masą złożoną z bezmyślnych jednostek? Ciekawe... O tym nie pomyślałem. Czasem rozmowa z nieuśpionym potrafi być inspirująca.
 - Nie rozmawiajmy. Opowiedz mi, co wiesz, a ja postaram się zapamiętać jak najwięcej.
- Usadowił się wygodniej i słuchał starca, który opowiadał, wkładając ogromny wysiłek, by przypomnieć sobie i przekazać wszystko, co wie. W sąsiednich celach więźniowie poczuli nagłą i nieodpartą senność.

* * *

Szczęknął skobel w stalowych drzwiach. W wąskim otworze pojawiła się schylona sylwetka strażnika trzymającego pochodnię. Światło liznęło błyszczące wilgocią mury i krzywą podłogę, dotarło do stóp skulonego pod ścianą chłopaka. Szczury rozpięchły się po kątach. Strażnik wszedł do celi i zatrzymał się nad leżącym. Postawił przed nim buty, obok położył kurtkę.

- Załóż to.

Płomień pochodni rozpływał się po suficie jak odwrócony strumień ognistej cieczy. Noan z trudem założył buty, wyprostował się, na ile pozwoliła wysokość celi, i poruszył zmarzniętymi palcami u nóg. To były jego własne buty, które zabrano mu przed wtrąceniem do aresztu. Kurtka za to nie należała do niego, była za duża. Podwinął rękawy i opatulił się nią szczelniej. Uszyta ze sztywnego materiału, dobrze grzała. Strażnik trącił butem leżące pod ścianą ciało starca.

- Zdechł wreszcie - mruknął pod nosem.

Noan dopiero teraz zobaczył trupa i wzdrygnął się mimowolnie. Wychudzony, owrzodzony wrak, z nienaturalnie powyginanymi członkami, wytrzeszczał w wieczność zmętniałe oczy.

- Szkoda ci go? - zapytał stojący w drzwiach mężczyzna przyodziany w długą szatę.

- Każdy człowiek zasługuje na szacunek - odparł Noan.

Po dwakroć nie była to prawda. Brzydził go fakt, że siedział w jednej celi i rozmawiał z taką bezzębną, pokraczną kreaturą. Jednak wiedza, jaka mieszkała w tej odrażającej powłoce, zapadła mu głęboko w pamięć. Nie uważał też, że każdego warto szanować lub choćby zauważać.

Strażnik prowadził ich lochami, schodami i korytarzami coraz wyżej, aż znaleźli się na dużym placu, właściwie tarasie, wznoszącym się ponad zamglonym miastem. Noan rozejrzał się, mimo zachmurzonego nieba mrużąc oczy, i rozpoznał to miejsce - jeden z niższych poziomów pałacu królewskiego. Rosło tu kilka drzew w kamiennych obramowaniach, pod skałą, w którą wtapiało się jedno ze skrzydeł pałacu.

Odwrócił wzrok na swojego wybawcę. Stojący przy kamiennej balustradzie mężczyzna był chudy i wysoki. Miał długie, czarne włosy i starannie przyciętą, przeplataną siwizną brodę. Ciemnopurpurowy, w załomach materiału niemal czarny, haftowany złotem płaszcz wisiał na jego chudych ramionach jak na wieszaku.

- Podobno interesujesz się astronomią. - Mężczyzna wpatrywał się w Noana ciemnymi, przenikliwymi oczyma.

Chłopak był zbyt przestraszony i dezorientowany, by zebrać myśli.

- Odpowiadaj chłopcze! Nie mam dla ciebie całego dnia.

- Obserwuję niebo i robię rysunki - odparł szybko Noan.

Tamten pokiwał głową.

- Tak właśnie powiedział twój ojciec. Posłałem już ludzi po teleskop i księgę. Powinni być tu przed wieczorem.

- Mężczyzna chwilę przyglądał się Noanowi. - Nie wyglądasz na złodzieja. Po coś kradł ten materiał?

Noan wzruszył ramionami, ale nie spuścił wzroku.

- Niczego nie kradłem. Ten kupiec sprzedał mi sparciałe płótno i nie chciał oddać pieniędzy. Nie mogłem wrócić do domu z pustymi rękoma.

Mężczyzna poklepał go po ramieniu, wznosząc w powietrze chmurkę kurzu. Gestem odprawił strażnika.

- Możesz już zapomnieć o tej sprawie - powiedział.

- Twój ojciec dostanie pieniądze, a ty nie będziesz musiał zajmować się niedorzecznościami. Będziesz moim uczniem. Od dawna szukałem kogoś takiego jak ty. Nazywam się Anvis Toraho i jestem nadwornym astronomem.

* * *

Szerokie kręcone schody prowadziły przy tylnej ścianie wieży obserwatorium przez dwa niższe poziomy, na których minęli tylko zamknięte na głucho drzwi. Na trzecim piętrze była nieużywana izba jadalna i kilka mniejszych pokoi, na czwartym tylko jedna komnata, ale za to najwyższa - sklepiona kopułą biblioteka.

Księga Noana zainteresowała Anvisa do tego stopnia, że całe późne popołudnie i wieczór spędził na studiowaniu jej i porównywaniu z własnymi archiwami. Milcząc, siedział przy oknie w fotelu, pykał fajkę i co jakiś czas wstawał po książkę czy mapę. W tym czasie Noan mógł obejrzeć imponujące wyposażenie wieży-obserwatorium. Większą część ścian okrągłego pomieszczenia zasłaniały wysokie regały wypełnione książkami. Na środku królował ogromny stół zawalony mapami, schematami i luźnymi, zwijającymi się kartkami pełnymi szkiców i rysunków. Stały na nim też kałamarze z czterema kolorami atramentu, w drewnianym pudełku leżało kilkadziesiąt piór ze stalówkami o różnej grubości, do tego lupa, linijki i cyrkle. Nad stołem, z samego środka pokrytej plamami starości kopuły, zwieszał się na łańcuchu elektryczny żyrandol. Noan zauważył również wiele rozmaitej wielkości przyrządów z metalu. Przeznaczenia wielu z nich nawet się nie domyślał. Z biblioteki, przez wysokie, przeszklone drzwi wychodziło się na taras, gdzie stał najważniejszy z przyrządów badawczych - teleskop. Można go było wciągnąć do środka po wpuszczonych w podłogę szynach. Noan z przejściem dotykał mosiężnych tub i nitowań. Teleskop był ogromny, więc na pewno dokładny. Nadzieje Noana na wieczorne obserwacje nieba za jego pomocą okazały się jednak płonne. Astronom oświadczył mimochodem, że sam będzie go używał niemal

przez całą noc, a chłopcu będzie wolno zerkać jedynie podczas krótkich przerw, a i to bez zmiany ustawień, dosyć skomplikowanych przy tak dużym urządzeniu.

* * *

Po kolacji Noan dostał na własny użytek skromne pomieszczenie na trzecim piętrze z proporcjonalnie niewielkim oknem, wychodzącym na centrum miasta. Pokój był mniejszy niż strych na farmie, ale murowany, więc wiatr nie dostawał się do środka, a co najważniejsze, tutaj nikt nie miał zamiaru wypominać mu całonocnego gapienia się w gwiazdy. Było to wręcz wskazane.

Noan rzucił się na łóżko, równie niewygodne, jak tamto na strychu. Nie przykładał do tego wagi, był szczęśliwy. Wbił wzrok w sufit i starym zwyczajem zaczął odliczać godziny do zmroku. Noce były coraz bardziej pochmurne. Miał nadzieję, że przynajmniej mgły, często zasnuwające widok nad farmą, nie będą docierać do wysokości wieży.

Tak szybko wszystko uległo zmianie... Właściwie to powinien skakać z radości, a czuł jedynie... swobodę. Ulgę. To uczucie chyba towarzyszy każdemu kapitanowi okrętu, gdy mija falochron i wypływa na szerokie wody. Płot niech się wali, kozy niech padają, Pachzan niech zdycha. Noan odkrył bez zaskoczenia, że ani trochę nie tęskni za domem. Podejrzywał, że w domu również nie tęsknią za nim.

Przy kolacji Anvis zapytał go, czy nie chce odwiedzić rodziny, pożegnać się, ale spojrzenie chłopaka starczyło za odpowiedź.

Noan wdrapał się kręconymi schodami na poziom biblioteki i przeszedł na taras. Anvis nawet nie podniósł wzroku znad książek, które studiował. Noan już się domyślił, że popołudnia będą wypełnione pracą w milczeniu, a wieczory i noce obserwacjami, również w ciszy. Przejrzał kilkanaście książek i nie znalazł tam nic ponad domysły nieżyjących już w większości ludzi na temat budowy nieba, a głównie te dotyczące pięciu ruchomych gwiazd. Tarys pisał, że są to lampy zwieszające się ze sfery niebieskiej na niewyobrażalnie długich sznurach, podawał nawet wyliczenia siły i kierunku wiatrów oraz dowodził skomplikowanymi równaniami, że one to właśnie wprawiają w ruch owe liny wraz z zawieszonymi na nich gwiazdami. Leyus posuwał się dalej, pisząc, że wszystkie gwiazdy są tlącymi się linami, różnej długości. Przez teleskopy można było dostrzec jedynie żar na końcach lin. Stąd obserwowane migotanie gwiazd, a tych pięć lin, najdłuższych, wydaje się jaśniejsze, bo zwyczajnie są bliżej Ziemi. W ten sposób przyznawał również, że gwiazdy stale się od nas oddalają. Wreszcie Euben Bien upierał się, że patrząc w górę, można dostrzec jedynie

lusterka, w których odbija się ukryte za horyzontem Słońce.

Noan nie zgadzał się z żadną z kilkunastu teorii, z którymi pobieżnie się zapoznał. Wystarczyły mu jego własne wątpliwości, nie potrzebował cudzych. Wszystkie te pomysły stawiał na równi z dziecinnymi opowieściami o robaczkach świętojańskich.

Z tarasu obserwacyjnego widział spory fragment pałacu, wieża astronoma była zresztą jego częścią, najbardziej wysuniętą na wschód. Wyrastała z drugiego poziomu pałacowych tarasów, wsparta częściowo o skałę, łączyła się ze skrzydłem budynku na dwóch najniższych kondygnacjach.

Dopiero stąd widać było wielopoziomową strukturę miasta ze spadzistymi dachami pełnymi nadbudówek, z balkonami, pomostami łączącymi ponad ulicą strychy i niżej, wiaduktami. Wszystko to urywało się jakieś sto pięćdziesiąt kroków od pałacowego muru, pozostawiając rozległy, brukowany plac, wolny od jakiegokolwiek zabudowy.

* * *

Już pierwszej nocy okazało się, że Anvisowi zdarza się przysnąć w fotelu albo zniknąć gdzieś wewnątrz wieży na całe kwadransy. Tak więc Noan dokładniej przyjrzał się nowej gwiazdzie, na szczęście to ją bowiem Anvis obserwował od kilku dni. Miała kształt spłaszczonego dysku z cienką kreską u góry i z prawej strony. Ku jego zdziwieniu, po północy kreska z prawej strony znikła, a zamiast niej pojawiła się identyczna z lewej strony. Niestety nie mógł się temu zjawisku przyglądać dłużej, bo po północy astronom wlał w siebie kilka kubków kawy, więc chłopcu pozostał jego własny mały teleskop.

Tej nocy widać było wyraźnie, że nowa gwiazda porusza się, i to inaczej niż reszta ciał niebieskich. Noan, niezależnie od Anvisa, co godzinę zapisywał pozycję gwiazdy. Już po pięciu godzinach jasne się stało, że wyrysuje ona na niebie linię prostą i zniknie za horyzontem przed świtem, biegnąc szybciej niż gwiazdy stałe.

Podczas krótkich przerw, dla odpoczynku oczu, zauważył, że w najwyższych pomieszczeniach górującej nad miastem głównej części pałacu przez całą noc paliły się światła. Zdawało mu się, że przez drżące nad wentylatorami powietrze widział jakieś postacie w oknach. Nie śmiał jednak wycelować w tamtą stronę teleskopu.

- Zastanawiałeś się kiedyś, jak wysoko jest niebo? - zapytał Anvis, gdy na wschodzie pojawiła się łuna brzasku.

- Więcej niż dwadzieścia mil - odparł bez zastanowienia Noan. - Sprawdziłem to, jadąc z miasta na naszą farmę.

Leżeli w miękkich fotelach, ustawionych pod statywami. Dzięki temu ból pleców nie zmuszał ich do robienia częstych przerw. Nie było nawet zbyt zimno, jeśli tylko opatulić się kocem.

- Słońce musi się poruszać poniżej sfery niebieskiej i w sporej od niej odległości, by jej nie podpałiło - zauważył astronom.

- Może niebo jest nieczułe na żar.

- Nawet kamień w końcu się stopi, przynajmniej osmali. - Anvis otworzył jedną ze swoich ksiąg na stronie ze skomplikowanym wykresem przedstawiającym Słońce w kilku pozycjach. Pałac miał oświetlenie elektryczne, co znakomicie ułatwiało pracę nocą. Niewielka lampka z blaszanym kloszem wydobywała z mroku podest wyniesionego na taras obserwatorium. - Słońce silniej grzeje, gdy jest w zenicie. Dzieje się tak dlatego, że jest bliżej nas. Wybrałem się kiedyś w podróż, prawie trzysta mil na wschód. Miałem dokładny zegar i przyrządy pomiarowe mojego wynalazku. Tam Słońce minęło południe kilka minut wcześniej niż tu. Zaledwie kilka minut! Tak szybko się porusza. Sprawdziłem kąt, pod jakim widać Słońce, i wyliczyłem odległość. Nie dało się tego zrobić dokładnie, ale i tak jestem pewien, że wynosi ona ponad 1000 mil.

Chłopak z wrażenia otworzył usta.

- Zatem niebo z gwiazdami musi być co najmniej o połowę drogi dalej... - szepnął.

Astronom pokiwał głową.

- Słońce zapewne porusza się po okręgu, w stałej odległości od Ziemi, jak lampa na bardzo długim sznurze. Jeśli kiedyś dotrzemy do odległych krain, zapewne stwierdzimy, że gdy u nas jest dzień, tam zapada noc. I na odwrót. W ten sposób jedno małe Słońce oświetla tak ogromną Ziemię i obdziela ją ciepłem.

Noan patrzył na astronoma z niedowierzaniem.

- Wiele się jeszcze nauczysz. Będiesz zdziwiony, ile pytań jest jeszcze do zadania. Jutro od rana, to jest... od południa, zaczniesz studiować księgi matematyczne. Matematyka to podstawa.

IX

Dowódca stukał palcami w poręcz fotela. Jedynym źródłem oświetlenia sterowni były dwie przygaszone lampy sufitowe i setki kontrolki na ścianach i konsolach.

- Kapitanie! - nie wytrzymał Stuart. - Proszę...

Stukanie ustało. Napięcie jednak nadal wisiało w powietrzu, jak ładunek elektrostatyczny czekający na okazję do wyładowania.

- Nie urządzimy tam przecież loterii! - Thomson wskazał dłonią planetę zajmującą całe pseudookno. - Możemy zabrać dziesięć osób. Znali dopuszczalną liczbę... wiedzieli...

- Ja bym ich tam zostawił - mruknął Hood. - Ułożyli sobie życie.

- Najchętniej tak właśnie bym zrobił - przyznał kapitan - ale mamy inne instrukcje. Możemy ich zostawić, jeśli w indywidualnej rozmowie ze mną oświadczą, że chcą zostać. Aż boję się zapytać, co nam po zmartwychwstaniu zasugerował komputer.

- Nie pytaj, kapitanie - odparł ponuro Nordsletten.

- On naprawdę proponuje zabrać najstarszych, jako tych najbliższych spokrewnionych z zaginioną załogą.

- Już odrzuciliśmy, mam nadzieję, koncepcję krzyżówek transgalaktycznych? - zapytał Hood.

- Niczego nie odrzuciłem - oświadczył Stuart. - Może żyją oddzielnie. To by nam ułatwiło zadanie.

- Mogą żyć w jakimś... - Jayde zastanowiła się. - W jakimś klasztorze...

- Nie oceniaj innych swoją miarką - sarknął Stuart. - Pewnie się tam poženili. Tylko jak ich odszukać?

Kichnął i otarł pot z czoła.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Jayde.

- Możesz pokazać nagranie z targu? - Hood usiadł w fotelu obok. - Zobacz tam. -

Przewiniął nieco film. - Siwy dziadek ma sześćdziesiątkę. Blisko spokrewniony. Brawo! Zwijamy go i wracamy. Reszta zginęła.

- Nie wygłupiaj się - przerwał mu kapitan. - To poważna sprawa.

- Wiem, że poważna - parsknął Hood - ale musimy przecież jakoś to rozwiązać! Tam w dole jest sześć milionów ludzi, a my mamy dziesięć wolnych miejsc!

Nikt nie odpowiedział. Hood zaczął klepać w klawiaturę, zadając wszystkie te pytania komputerowi. Odpowiedź pojawiła się natychmiast: „Prawdopodobna zwiększona płodność wywołana trudnymi warunkami środowiskowymi. Należy wytypować osobników o najbardziej charakterystycznych cechach osobniczych (wizualne) podobnych do rozbitków i wśród nich przeprowadzić dalszą selekcję”.

- To jest odpowiedź?! - Hood wskazał monitor. - To jest ładnie powiedziane „nie wiem”.

- Co proponujesz? - zapytał Thomson.

- Wrócić i zostawić cały ten bajzel własnemu losowi. Inaczej będziemy tu krążyć i gapić się w ekrany zapisane głupotami.

Stuart zakaszłał i wstał.

- Naprawdę się zaziębiłem w ładowni - powiedział przeprasającym tonem. - Nie chcę was pozarażać.

- Idź się przebadaj do medlabu - polecił kapitan. - Potem się prześpij.

Stuart wyszedł. Odprowadzili go wzrokiem.

- Może trzeba wziąć ładownik - zaproponował Nordsletten - i przyjrzeć się temu z bliska.

- Jeśli są tam jelenie, to czemu nie miałyby być bakterii i wirusów? - zapytał Hood.

- Jak są ludzie, to są i choroby - przyznała Jayde, wskazując głową drzwi, przez które wyszedł Stuart. - Przez ten czas mogły nieźle zmutować i ich przeziębienie może być dla nas śmiertelne.

- Bezpieczeństwo jest najważniejsze - podsumował Thomson. - To wszystko jest zbyt dziwne, by ryzykować. Prowadzimy badania zdalnie. Koniec narady, zostaje wachta nocna... Nordsletten.

* * *

Następnego dnia rano, jeśli liczyć według czasu największego z miast widocznych w dole, stan Stuarta znacznie się pogorszył. Miał wysoką gorączkę i wyraźne objawy zatrucia. Program medyczny nie potrafił postawić diagnozy, więc podjął leczenie objawowe. Podczas kolejnego badania zaryglował drzwi, izolując go w środku. Chory był tak słaby, że nie miał

nawet siły protestować.

- Po co nam te komputery, skoro nic nie potrafią? - narzekał Nordsletten, patrząc na chorego przez okno izolatki.

- Co on mógł przywlec na pokład?

- Przeszliśmy miesiąc kwarantanny - przypomniał Hood. - Tu się czymś struła.

- Co było wczoraj na obiad?

- Papka z soi o smaku kurczaka - mruknął Hood.

- Podobno, bo jak dla mnie smakiem przypominała wysterylizowane odpady organiczne.

Wszyscy jedliśmy to samo. Nasz Kwarcowy Kretyn, przepraszam, komputer pokładowy przeanalizował każdą minutę życia Stuarta od rozhibernowania i nic niezwykłego nie znalazł.

- Jedynym miejscem, gdzie wchodził tylko on, jest ładownia - wtrąciła Jayde, stając obok nich. - Umieszczał w wyrzutni trzeci próbnik.

- Żaden próbnik nie wracał z dołu - zauważył Hood - więc nawet teoretycznie nic nie mógł przywlec. To musi być coś naszego. Może jadł jakieś orzeszki... Zobaczmy tę śluzę.

- Przecież Kwarcowy Kretyn już to sprawdzał - przypomniał Nordsletten, odwracając się i odchodząc. - Zajmijmy się czymś pożytecznym. Stojąc tu i gapiąc się, nie pomożemy mu.

Hood wywołał na ściennym terminalu widok z wnętrza magazynu śluzy. Chwilę analizował obraz, zdalnie poruszając kamerą. Podłoga i ściany wykonane z jasnoszarego, prawie białego tworzywa z płytkami przetłoczeniami zdradzały ukryty za nimi szkielet z kompozytowych belek, łączonych w węzłach na poziomie molekularnym. Mechaniczna chwytnia wisiała na końcu swojego toru, wrota śluzy pozostawały zamknięte.

- Co to jest? - Hood wskazał spory kontener, przymocowany do podłogi ładowni, w kącie za kontenerami z próbnikami i sondami.

Jayde przysunęła twarz do monitora. Zmarszczyła brwi. „Zidentyfikuj element” - wpisała polecenie, wskazując kontener.

„Element wyposażenia ładowni” - odpisał komputer.

- Mogłby być doradcą podatkowym - zauważyła dziewczyna.

- Podczas szkolenia nie było go tam - oznajmił Hood. Popatrzyli na siebie. - Chodźmy to sprawdzić.

- To nie jest najlepszy pomysł. - Jayde pokręciła głową. - Stuart tam się najpewniej zaraził. Godzinę temu zablokowałam wejście do ładowni śluzy i oznaczyłam pomieszczenie jako potencjalnie skażone.

- Bez wiedzy Thomsona?

Uśmiechnęła się niewinnie.

- Powiedzmy, że nie chciałam go budzić.

X

Przyniesione przez pałacową służkę śniadanie zjedli na tarasie obserwacyjnym dopiero przed południem, po kilku zaledwie godzinach snu. Od miasta wiał chłodny wiatr, niosąc mieszkankę niezbyt przyjemnych woni. Krzywe dachy wylaniały się niechętnie z dymów tysięcy kominów, smog mieszał się z wiszącą nisko mgłą.

- Przypuszczam, że gwiazdy to nie są dziury - odezwał się nieśmiało Noan po pierwszym kęsie zimnego omletu.

- To mogą być lampy albo małe kule ognia, jak Słońce.

Anvis z zainteresowaniem uniósł brwi. Był ubrany we włochaty, ciemnozielony szlafrok. Opatulił się nim szczelniej.

- W nauce nie ma ostatecznych, niezmiennych dogmatów - odparł, grubo smarując chleb pasztetem. - Jeśli kiedyś zdołasz udowodnić swoje domysły, cały świat przyzna ci rację.

- Czy poruszająca się gwiazda nie jest wystarczającym dowodem?

- Może ta gwiazda jest czymś innym od pozostałych? Może to tylko iskra, która strzeliła od Słońca?

- Wierzysz w te dziury, mistrzu? - zapytał zdziwiony Noan. - Wierzysz w to, co napisano w księgach?

Anvis uśmiechnął się nieznacznie i zapatrzył w dal. Drewniana balustrada tarasu pokryta była rosą.

- W nic nie wierzę - odparł wreszcie. - Uwierzę, jak odkryję, czym są.

- Twój teleskop jest za słaby. Mój wydawał mi się najdoskonalszy na świecie, ale teraz wiem, że obserwując przez niego niebo, widziałem niewiele więcej niż gołym okiem. Twój teleskop pokazuje gwiazdy niewidziane przez mój, ale już dostrzegam i jego niedoskonałość. Gdybyśmy mieli jeszcze mocniejszy teleskop, może poznalibyśmy budowę gwiazd.

Anvis uśmiechnął się, wpychając sobie w usta ostatni kęs kanapki. Dopiero gdy

przełknął, mógł kontynuować:

- Większych soczewek nie potrafi zrobić ani Pasco, ani jakikolwiek inny optyk. Wygląda na to, że będziemy musieli zadowolić się tym, co mamy.

- Naprawdę nie ma innego sposobu?

- Musimy się godzić z ograniczeniami.

- Może powinniśmy je pokonywać?

Anvis westchnął i zapadł się głębiej w fotel.

- Nie uznajesz granic... To dobrze. Nowa gwiazda wydaje się mieć duży wpływ na ludzi podobnych nam, żądnych wiedzy, pomysłów. Od tygodnia przybywają do miasta i dobijają się do urzędów lub w inny sposób starają się dostać do odpowiednich ludzi.

- Gwiazda pojawiła się trzy dni temu - zauważył Noan. Owinął się szczelniej przydużą kurtką.

- Większość z nowo przybyłych wcale o niej nie wie, ale ta zbieżność w czasie jest zaskakująca. Wielu mędrców uważa, że to znak, choć nikt jeszcze nie określił, czego ten znak ma dotyczyć. Poprzedniej nocy król i parlament powołali do życia Akademię Nauk, która za moją sprawą zajmie się również badaniem nieba. Akademia zajęła całe północne skrzydło pałacu, pospiesznie nocą przystosowane do nowej roli. Może jest tam ktoś, kto wymyśli kiedyś sposób produkcji większych soczewek.

- Jak można przybyć do miasta pod wpływem gwiazdy i nie wiedzieć o tym? - zapytał chłopiec. - Jak można robić coś, nie wiedząc, że się to robi?

- Jak? Nie wiem, ale przecież ty jesteś jednym z nich. - Astronom ugryzł następną kanapkę i żuł chwilę. - Też trafiłeś do mnie, choć tego nie planowałeś.

Noan wytrzeszczył na niego oczy.

- Usłyszałem rozmowę prefekta straży miejskiej z sędzią - kontynuował Anvis. - Kazałem przyprowadzić twego ojca, który przybył do miasta, by cię szukać. Szczerze mówiąc - Anvis popatrzył na chłopca i wytarł usta serwetą - nie wyglądał na szczególnie zmartwionego tym, że zabiorę cię z domu.

Noan opuścił głowę i zapatrzył się w pusty talerz. Co to za uczucie? Nie, nie było mu przykro. Na pewno nie. Raczej czuł się niedoceniony. Ojciec wolał prymitywnego i ograniczonego Pachzana. Nie podobało mu się również, że ktoś lub coś decyduje o jego losie, choć miał jakieś podświadome przeświadczenie, że jest tak za każdym razem, gdy dochodzi do przełomowych wydarzeń.

- Za pół godziny ma nastąpić oficjalne otwarcie Akademii. - Anvis wstał. - Oczywiście powinienem tam być. Przygotuj się, jeśli chcesz iść ze mną i zobaczyć ten tłum mądrych

głów. Na salę, rzecz jasna, cię nie wpuszczą, ale będziesz mógł obserwować uroczystość przez drzwi.

Noan podszedł do kamiennej balustrady i popatrzył na rozmyte za dymami dachy miasta. Tak ma być, pomyślał, jestem wreszcie wolny. Tak to miało wyglądać!

Ale pragnął już czegoś więcej, choć jeszcze nie był pewien, co to jest.

* * *

Anvis kluczem otworzył drzwi na drugim poziomie wieży, a gdy wyszli, zamknął je starannie. Ruszyli wąskim, prostym korytarzem, wyraźnie mało uczęszczanym. Po chwili skręcili w szerszy i podążyli wzdłuż rzędów identycznych drzwi.

Jedynym oświetleniem były małe, elektryczne kinkiety. Noan widział takie z bliska po raz pierwszy. Dopiero za kolejnym zakrętem, gdy korytarz stał się jeszcze szerszy i część drzwi stanęła otworem, pojawili się inni ludzie. Mężczyźni i kobiety spieszyli gdzieś, niosąc teczek pełne dokumentów lub całe sterty papierów. Na podłodze leżały pojedyncze kartki, widać zgubione lub przez kogoś upuszczone i nie dość istotne, by się po nie schylać. Ogrom pałacu i tłum dookoła przytłoczyły Noana. W tym korytarzu mogłyby się minąć dwa wozy. Oglądał precyzyjnie wykonane elementy z gipsu zdobiące ściany i bogato rzeźbione okucia okienne. Wzdłuż ścian ciągnęły się dosyć pobieżnie przymocowane kable elektryczne.

- To bardzo interesujące. - Anvis podprowadził Noana do bocznego wejścia do gwarnej sali, wypełnionej siedzącymi w równych rzędach bądź zajmującymi właśnie miejsca ludźmi i teraz tłumaczył mu, kto jest kim. - Tamten niski człowiek zgłosił się do urzędu patentowego z wynalezioną przez siebie substancją, znacznie przewyższającą właściwościami wybuchowymi proch. Spala się ona niezwykle szybko i nie zostawia charakterystycznego osadu na ściankach lufy... Jeszcze nie wiadomo, jak ją wykorzystać, bo lufy naszych dział nie wytrzymują takiej siły wybuchu, ale wynalazca dostał zaszczytu uczestniczenia w otwarciu Akademii. Ten obok niego, ten wystraszony, to geniusz matematyczny. Twierdzi, że ubiegłej nocy przyśniło mu się równanie, którego doniosłość odkrył dopiero po przebudzeniu, gdy zapisał je na kartce. Jest jeszcze... nie widzę go, ale gdzieś musi być... niejaki Klank, który po przewodach elektrycznych potrafi przysyłać słowa. W drugim rzędzie stoi wysoki człowiek, który dwa dni temu, trafiony w głowę spadającą gruszką, doznał olśnienia i sformułował cztery prawa opisujące ruch i wzajemne oddziaływania ciał. W czwartym rzędzie stoi wynalazca, który potrafi zaprząć maszynę parową do zupełnie nowej pracy. Za nim, ten siwy facet z wielkim nosem, nazywa się Fennel. Jest astronomem... i twierdzi, że Ziemia jest kulą,

umieszczoną na jakiejś solidnej podstawie. Właśnie od tego objawienia tak posiwił. Ten to akurat szarlatan, to chyba oczywiste, ale cała reszta przybyła tu po dokonaniu w ostatnich dniach jakiegoś odkrycia bądź wynalezieniu czegoś niezwykle przydatnego. Zaledwie kilku wie o nowej gwiazdzie, ale nawet oni nie uważają tej koincydencji za nic interesującego.

Noan chciał o coś zapytać, ale Anvis poklepał go po ramieniu, wręczył klucz i oświadczył:

- Muszę cię teraz zostawić. Zaraz się zaczyna. Trafisz do więzy?

Chłopak został sam. Chłonał podniosłą atmosferę. Nigdy nie widział w jednym miejscu tylu naukowców. Ba! Kilka dni temu w ogóle nie wiedział, że tacy ludzie istnieją. Rozejrzał się, ale żaden z gwardzystów nie patrzył w tę stronę, chaos był zresztą zbyt duży, by cokolwiek mogli pilnować. Niepostrzeżenie zrobił trzy kroki do przodu i wmieszał się w tłum wlewający się do sali.

Na podium pod przeciwległą ścianą ustawiono kilkanaście krzeseł, w których miejsca zajmowali najdostojniejsi goście. Gdy pozostało wolne tylko jedno, na środek wyszedł mężczyzna w granatowej szacie i oznajmił:

- Myślę, że możemy zacząć. Witam szanownych panów na inauguracji Akademii Nauk. Zaszczyt kierowania Akademią przypadł w udziale księciu Armunachowi Saranowi. Przywitajmy serdecznie pierwszego rektora, który poprowadzi dalszą część uroczystości.

Odpowiedzią z sali były gwizdy. Noan spojrzał z zaskoczeniem na poważnych mędrców, wykorzystujących anonimowość tłumu do wyrażania emocji w sposób godny pospólstwa. Kilkunastu mężczyzn siedzących w pierwszych rzędach zaczęło wiwatować, zagłuszając resztę. Bocznymi drzwiami na salę wszedł przystojny mężczyzna koło trzydziestki. Sprężystym krokiem dotarł do podium i wskoczył na nie. Był to typ oficera, w którym od pierwszego wejrzenia zakochują się panny z dobrych domów. Nie wyglądał na naukowca.

Gęstniejący tłum przesłonił już Noanowi widok na podium. Chłopak uznał, że pora się wycofać, zanim ktoś zwróci na niego uwagę, ale wciąż przybywający goście utworzyli już przy drzwiach zwartą masę, odcinając mu drogę. Chcąc nie chcąc, został więc do końca uroczystości. Nie słuchał wymiany uprzejmości, obserwował ludzi wokół siebie. Większość z nich również straciła zainteresowanie przebiegiem inauguracji. Stojący po prawej mężczyzna w grubych okularach pokrywał dziwnymi znaczkami przemieszczanymi pół na pół z literami malutki notesik w skórzanej okładce. Używał do tego pióra w grubej oprawce, ale z niewyjaśnionych przyczyn ani razu nie musiał maczać go w kałamarzu. Trzech naukowców za plecami Noana rozpoczęło dyskusję, z której chłopak rozumiał co dziesiąte słowo. Sala wypełniła się jednolitym gwarem rozmów, skutecznie zagłuszających przemowy kolejnych

szlachetnych mężów. Wreszcie rozległ się gong i rozmowy stopniowo cichły.

- Dziękuję za okazane mi zaufanie. - To mówił Armunach. Głos miał donośny i zdecydowany. - Moją pierwszą decyzją będzie ustanowienie stanowiska prorektora do spraw naukowych i powierzenie go znanemu i szanowanemu fizykowi Chavonowi... - Rozległy się owacje, tym razem obejmujące całą salę. Rektor czekał, aż ucichną, i dokończył. - Jego pierwszym zadaniem będzie otwarcie zamka w drzwiach mojego gabinetu. Przypuszczam, że się zaciął. Proszę, oto klucz. Pozostałych panów proszę o wpisywanie się na listy, które czekają przy wyjściu. Akademia rozpoczyna pracę niezwłocznie.

Tłum zaczął powoli przesuwac Noana w kierunku drzwi, aż wreszcie wypchnął go na zewnątrz.

Korytarz przedzielono zaporą z wąskich stołów, za którymi siedzieli pochyleni nad dokumentami urzędnicy. Zrobiło się jeszcze ciasniej i teraz Noan, niesiony przez tłum, dotarł do jednego ze stołów.

- Nazwisko pana? - zapytał łysy urzędnik, nawet nie podnosząc wzroku znad papierysk. - I specjalność.

- Orestes Gaolin - odparł chłopak, uznając, że lepiej nie podawać prawdziwego imienia. - Astronomia.

Skryba przeszukał listę, na której oczywiście nie było tego imienia. Chłopak przełknął ślinę i był już pewien powrotu do celi. Jednak ku jego zaskoczeniu skryba po prostu dopisał jego imię na końcu listy, potem wypełnił mniejszą kartę, złożył na pół i wręczył mu ją wraz ze złotym sygnetem. Zaskoczony chłopak odwrócił się i chciał umknąć, ale ktoś chwycił go za rękaw. Przerażony, zobaczył kolejnego urzędnika podtykającego mu inną listę i pióro. Podpisał zmyślnym nazwiskiem, nie sprawdzając, co podpisuje. Do ręki wepchnięto mu mieszek brzęczących monet i od tej chwili wszyscy stracili zainteresowanie jego osobą.

Noan stanął pod ścianą, spojrzał na złożoną na pół kartę papieru, potem na sygnety i dotarło do niego, że oto właśnie został członkiem Akademii Nauk. Zacerpnął powietrza, wsunął sygnety na palec i pewniejszym krokiem ruszył w kierunku wieży-obserwatorium.

* * *

- Lubię rozwiązywać problemy w jasny i klarowny sposób, dlatego przyszedłem tu wyjaśnić parę spraw, żeby nie rzucały się cieniem na naszą dalszą współpracę. - Armunach patrzył na siedzącego za biurkiem jego nowego gabinetu fizyka w sposób, który temu drugiemu w żadnym wypadku się nie podobał. - Doniesiono mi, że byłeś przeciwny mojej

kandydaturze na stanowisko rektora.

- Nie chodzi o żadne osobiste niechęci, książę. Mój niepokój wzbudził jedynie fakt, że nie jesteś naukowcem.

- To prawda, że nie znam się na fizyce, chemii ani na innych kierunkach nauk, które tutaj będą uprawiane. Dlatego też to ciebie mianowałem prorektorem do spraw naukowych. Będiesz się zajmował tym, czym zajmowałeś się w Lidze, tyle że za królewskie pieniądze i na pełny etat. Ja nie będę się wtrącał. Moją domeną jest dyscyplina i dowodzenie.

Będę zatem dbał o wymierne efekty działalności Akademii, w postaci wszechstronnych rozwiązań dla armii.

- Taki układ bardzo mi odpowiada - przytaknął szybko Chavon. - Nie będziemy zatem wchodzić sobie w drogę.

- Zatem ustalone. - Książę wstał. - Wracajmy do pracy.

Fizyk wstał również, by odprowadzić gościa do drzwi.

- Jutro w południe wybieram się na pierwsze posiedzenie rady Akademii - powiedział. - Też tam powinienes być, książę. Będziemy ustalać organizację wydziałów. To ważna sprawa.

- Spóźnię się. Mam spotkanie z królewskim skarbnikiem w sprawie zwiększenia nakładów na Akademię. To też jest ważna sprawa.

- Oczywiście. Zaczniemy zatem od innych tematów.

- Jeszcze jedno. - Armunach zatrzymał się w pół kroku. - Nie próbuj więcej żartować sobie ze mnie w tak prostacki sposób. - Położył na biurku sześcian-zagadkę i wyszedł, zamykając cicho drzwi.

Chavon był w szoku. Młody książę Saran, którego widział wielokrotnie przed jego wstąpieniem do Akademii Wojskowej, ten bawidamek, ten fircyk, po pięciu latach studiów i musztry przepoczwarzył się w surowego dowódcę. Nadzorcę właściwie. Fizyk podszedł do barku, nalał sobie pełny kielich wina i wypił duszkiem. Alkohol spływał do żołądka, mile uspokajając. Rozejrzał się po swoim gabinecie. Cóż, nie będzie łatwo, ale przyjdzie się jakoś przystosować. Interesujący pomysł już kiełkował w jego głowie.

* * *

Noan po raz trzeci przeliczał wysypane z mieszka miedziane grosze i po raz trzeci nie mógł uwierzyć. Było tego tyle, że starczyłoby na drugi teleskop. Otworzył kartę członkowską i przeczytał kilka zdań, nakreślonych pospiesznie i podbitych pieczęcią królewskiego skarbnika. Z wrażenia wypuścił powietrze. To, co dziś otrzymał, to była ledwie tygodniowa

pensja! W dodatku miał ją dostawać za sam fakt przynależności do Akademii Nauk. Co więcej, nie musiał jej wydawać na teleskop, wystarczyło bowiem napisać podanie, które zatwierdzi rada, by otrzymać potrzebne na ten cel środki oraz pomoc w realizacji projektu. To było tak piękne, że aż nierealne.

Anvis nie wracał. Na stole leżały dwie książki matematyczne i placek kukurydziany, który zdążył już wystygnąć. Noan przypominał sobie, że jest głodny. Pochłonął zimny placek i zaczął przeglądać księgozbiór. Na pozostawione przez nauczyciela podręczniki nawet nie spojrzał. Dział optyki był bardzo skromny i zawierał jedynie trzy pozycje. Przekartkował je, zatrzymując się w kilku miejscach. Dowiedział się, że wykonanie soczewki dwukrotnie większej niż w teleskopie Anvisa jest praktycznie niemożliwe, nie ma bowiem sposobu na precyzyjne jej doszlifowanie. A soczewka, której potrzebował, miała być co najmniej pięć razy większa!

Przełożył książki matematyczne w inne miejsce, tak by wyglądało, że je studiował, i wyszedł.

W kolejnych mijanych salach trwały burzliwe dyskusje. Naradzano się nad składem rad poszczególnych wydziałów i dzieleniem finansów. Główną Bibliotekę Akademii znalazł bez trudu. Niestety, gdy minął próg, zobaczył jedynie zaczątki biblioteki, w wielkiej sali stolarze dopiero kończyli montować regały, a pierwsze przyniesione tu książki leżały nieposegregowane w stosach. Co kilka sekund służący przynosili bądź przywozili na wózkach nowe tomy. Odnalezienie czegokolwiek w tym chaosie trwałoby tygodniami.

Noan odszukał wzrokiem kogoś, kto tym zawiadował. Przy ustawionych pod ścianą stolikach siedziało kilku starszych mężczyzn. Zapisywali coś w wielkich zeszytach. Zapewne przyszli bibliotekarze przygotowywali się do katalogowania książek. Podeszedł do nich i zapytał:

- Z kim mogę rozmawiać o maszynie optycznej, którą pragnę skonstruować?
- Trwają ustalenia - odparł najbliższy, nawet nie unosząc głowy. - Rada powstanie jutro.

Dopiero wtedy będziesz mógł złożyć projekt.

Noan skinął głową i odszedł. Projekt. Tak, musi przygotować szkic, opis, cokolwiek. Nie może przecież stanąć przed radą i zacząć nieskładnie opowiadać o stworzeniu największego teleskopu, jaki kiedykolwiek istniał. Czuł, że ma niewiele czasu na urzeczywistnienie wizji, która coraz szybciej krystalizowała się w jego głowie. Wyszedł więc z budynku Akademii na pałacowy dziedziniec. Na szczęście sygnet starczał za przepustkę, więc bez problemu wyszedł za bramę. Zatrzymał się na środku pustego placu przed granicą zabudowy miejskiej i spojrzał w pochmurne niebo. O tej porze nowa gwiazda powinna być za horyzontem.

Mimo to stał z zadartą głową, a zimny wiatr targał jego włosami i ubraniem. Nowa gwiazda potrzebuje nazwy, pomyślał. „Tanur”, natychmiast odpowiedziało coś w jego głowie. Zaciśnął pięści i ruszył szybkim krokiem do miasta. Jednak wyparcie z pamięci złotowłosej Tanur, biegnącej w białej sukience przez łąkę, było ponad jego siły. Podobnie jak Tanur idącej przez las, Tanur jadącej wozem do miasta...

Odwiedził pracownię mistrza Pasco, który na jego widok uśmiechnął się i wyjął z szuflady zawiniętą we flanelę nową soczewkę.

- Ile płacę? - Noan sięgnął po mieszek.

- Nic. Akademia zapłaci.

Zaskoczony chłopak podziękował i miał już wyjść, gdy zatrzymał się i zapytał:

- Jaką największą soczewkę potrafiłbyś zrobić, mistrzu?

Pasco uśmiechnął się.

- Jesteś trzecią osobą, która dziś o to pyta. Odpowiem to samo co pozostałym: mogę zrobić dowolnej wielkości soczewkę, ale największa, która się do czegoś przyda, będzie miała niewiele ponad półtorej stopy średnicy, a jej szlifowanie zajmie co najmniej miesiąc nieprzerwanej pracy. Nie znam sposobu, by odlać i wyszlifować większą, dającą ostry obraz.

- Czemu nie trzy stopy na przykład? Albo pięć? Czy to kwestia czasu? Gdyby ją szlifować latami, może obraz byłby lepszy?

- To wynika z natury samej materii. Światło, przepływając przez szkło, nie podąża drogą, jaka wynika ze schematów i obliczeń. Zawsze trochę skręca. Za dużą soczewką obraz będzie więc większy, ale coraz mniej wyraźny, a do tego rozmyty tęczowo.

Noan pożegnał się i wyszedł na ulicę. Ludzie podążali za swoimi sprawami, nie zwracając na niego uwagi. Nie potrącali go jednak, jak jeszcze parę dni temu, gdy stał z głową zadartą do nieba i wpatrywał się po raz pierwszy w gwiazdę Tanur. Teraz ludzie nieświadomie omijali go. On sam zresztą też tego nie zauważał. Uniósł głowę i spojrzał w chmury zasłaniające słońce.

Natura materii, która czyni obraz niewyraźnym...

Ruszył przed siebie i zaczął krążyć uliczkami, próbując złapać myśl, której cień już widział. Zaszedł do sklepu z przyborami piśmiennymi (targu wolał unikać), zakupił czystą księgę, na wypadek, gdyby w pierwszej zabrakło mu stron, notes, znacznie mniejszy od księgi, oraz wynalazek, który widział podczas inauguracji Akademii - pióro wieczne. Kosztowało go to jedynie dziesiątą część pensji, więc w następnym sklepie dokupił jeszcze skórzaną torbę, dość dużą, by zmieścić w niej dwie, a może i trzy księgi, gdyby zaszła taka potrzeba. Tak zaopatrzony udał się do najbardziej gwarnej karczmy przy rynku głównym.

Gdzieś w tłumie mignął mu rąbek białej sukienki. Tanur... Nie dotarł do celu. Przed drzwiami zakręcił i szybkim krokiem podążył do zaułka czerwonych latarni.

Kwadrans później siedział w mało jeszcze o tej porze zadymionej sali i sęczył piwo, przyglądając się gorsetowi sztywno opinającemu talię Perac. Roznosiła klientom piwo. Zauważyła go i posłała szeroki uśmiech. Obfite piersi zafalowały niby przypadkiem. Obraz złotego warkocza i koszyka z kwiatami w delikatnej dłoni rozmył się. Noan zamknął oczy, wyrzucając z umysłu niepotrzebne myśli. Gdy po chwili spojrzał na salę, mógł już pracować. Otworzył notes, odkręcił skuwkę pióra i zaczął szkicować coś, co chodziło mu po głowie od paru godzin.

Szło mu niezwykle łatwo.

Goście przy sąsiednich ławach poczuli nagłą senność.

* * *

Neklin, umorusany smarem, spalonym prochem i sproszkowanym metalem był niższy o ponad głowę od Chavona. Długie i chude ramiona zwiisały po obu stronach korpusu. Rusznikarz przez grubą szybę obserwował, jak jeden z jego pomocników strzela do białej w piaszczysty stok tarczy. Celność prototypu karabinu była zdecydowanie wyższa niż doskonalonych przez lata muszkietów. Wystarczyło nagwintować lufę...

- Też się zastanawiasz, jak to możliwe, że wcześniej na to nie wpadliśmy? - zapytał Chavon. Od dobrych paru chwil stał w drzwiach.

Rusznikarz odwrócił się zaskoczony. Uśmiechnął się i ruszył wzdłuż rzędu stołów roboczych, by przywitać się z gościem. W porę jednak cofnął czarną od brudu dłoń i tylko wskazał kciukiem za siebie.

- Karabin gotowy, ale... wymyśliłem coś lepszego. - Poprowadził fizyka do wielkiego stołu. Światło wpadające przez świetlik w dachu wydobywało z mroku szkice rozrysowane na luźnych arkuszach papieru. Przedstawiały karabin jak ten właśnie poddawany testom, ale z dodanym w górnej części niewielkim pudełkiem.

- Zastosowanie doskonalszej mieszanki prochowej umożliwi czyszczenie lufy raz na pięć strzałów. - Neklin popukał palcem w papier, zostawiając na nim ciemniejszą plamę, i przejechał językiem po spierzchniętych wargach. - W tym pudełku znajdują się cztery naboje, piąty jest w lufie. Po wystrzeleniu pierwszego strzelec wyrzuca tekturową łuskę, a kolejny nabój, pchany sprężyną, wpada na miejsce poprzedniego. W teorii oznacza to, że można będzie oddać jeden strzał na trzy sekundy! Potem trzydziestosekundowa przerwa na

czyszczenie i znów pięć strzałów! Wyobrażasz sobie, co to oznacza?! Zamierzam przełożyć prezentację karabinu o jeden dzień i pokazać królowi od razu udoskonalony model.

- Drogi przyjacielu. - Chavon położył mu dłoń na ramieniu, ale szybko ją cofnął i wytarł o skraj szaty. - To naprawdę niezwykle osiągnięcie, tylko pamiętaj, że wojna wojną, ale potem trzeba dalej żyć. Jeżeli teraz wyłożysz wszystkie karty na stół, nie starczy ci ich do drugiego etapu rozgrywki. Naczytałem się wielu mądrych ksiąg i wiem, że wygrana wojna to często dopiero początek. Martw się już teraz, żebyśmy byli potrzebni również po zwycięstwie.

Neklin ważył słowa fizyka, po czym zapytał ostrożnie:

- Czy dobrze rozumiem, że nie chcesz przedstawiać królowi karabinu wielostrzałowego?

Chavon przytaknął.

- Wykonamy prezentację pierwszej generacji - wyjaśnił. - Mechelon będzie zachwycony. Wyposażymy w tę broń jeden pułk, który odniesie spektakularny sukces na polu bitwy. Wtedy przeprowadzimy prezentację karabinu pięciostrzałowego. Król będzie zachwycony ponownie. Do tego czasu oczywiście będziesz miał już karabin trzeciej generacji, nad którym jeszcze nie zacząłeś pracować. Jeśli wierzyć słowom pewnego mało znanego chemika, z którym przed godziną miałem przyjemność zamienić parę słów, to jest on w posiadaniu receptury na proch prawie niepozostawiający nagaru w lufie. Człowiek ten jest amatorem broni palnej i twierdzi, że nowy proch pozwoli na oddanie nawet stu strzałów, nim konieczne będzie użycie wyciora.

Chavon uroczyście położył na stole trzy przedmioty: mieszek, złożoną na pół kartę papieru i złoty sygnet.

- Potwierdzenie członkostwa i pierwsza wypłata - powiedział z uśmiechem. - Pracujesz teraz dla Akademii Nauk, mistrzu Neklinie. Pamiętaj, żeby co wieczór za pośrednictwem zaufanego człowieka przysłać do mojego biura zalakowaną kopertę z raportem dziennym.

XI

Opuścił „Czarną Różę” wczesnym wieczorem w zdecydowanie lepszym nastroju. Udał się prosto do wieży-observatorium. Księgi matematyczne leżały tam, gdzie je zostawił, a Anvis siedział pod teleskopem i czatował na luki między chmurami.

- Przeczytałeś? - zapytał astronom.

- Nie do końca - skłamał chłopak. - Byłem na mieście, żeby przemyśleć pewien problem.

- Też lepiej ci się myśli między ludźmi?

Noan przytaknął. Miał nadzieję, że astronomowi nie przyjdzie do głowy przepytać go z wiedzy, którą powinien chłonać przez cały dzień. Dopiero co myślał, że znalazł tu najszcześniejsze miejsce na ziemi, a tak szybko pojawiły się nowe problemy.

Zerknął w okular swojego teleskopu, trafiając akurat na szczelinę w chmurach. Starczyła niecała minuta, by zmierzyć położenie gwiazdy. Otworzył swoją księgę i naniósł na mapę nieba nową pozycję. Wpisał wartości do tabeli z boku strony i sprawdził, że pokrywają się z obliczeniami, jakich dokonał poprzedniego dnia. Dopiero po chwili zauważył też, że użył nazwy, która wpadła mu do głowy po południu. Atrament zasychał właśnie na napisie „Tanur”. Westchnął i zajął się wyliczaniem przewidywanej pozycji na następny dzień. Wiedział już, że dziwka Perac z „Czarnej Róży” nie wyrzuci z jego głowy obrazu złotowłosej Tanur, obrazu, który stał między nim a... Noan zmarszczył brwi. Czy chodziło o obserwacje nieba? Tej nocy nie spędzi przed teleskopem nawet pół godziny i nie cierpi z tego powodu jak kiedyś. Zresztą nawet z obiektywem większego teleskopu niewiele się już dowie o nowej gwiazdzie. Miał niejasne przeczucie, że czeka go coś nowego. Próbował to rozwikłać, ale bez skutku. Tanur, nowa gwiazda. Niech będzie. Nazwa jak każda inna.

- Jeśli mamy pracować razem, musimy ustalić pewne normy - odezwał się zaglądający mu przez ramię Anvis. Chłopak drgnął, wyrwany z zamyślenia. - Zauważyłem, że używałeś własnego systemu jednostek.

- Nie miałem początkowo dostępu do mądrych ksiąg - przyznał Noan. - Musiałem wymyślić to wszystko sam.

- To ci się bardzo chwali... zauważyłem jednak, że używasz go nadal, choć poznałeś już przecież mój, który - na co bardzo liczę - zostanie powszechnie przyjęty w środowisku naukowym.

- Przygotowałem wzór, który w prosty sposób umożliwia przeliczanie...

- To nie wystarczy - Anvis uniósł dłoń. - Fennel też zapewne używa jakichś własnych jednostek. Podobnie inni. Powinniśmy przyjąć mój system, by mieć ustalone stanowisko wobec rady wydziału. Inaczej utoniemy w morzu dyskusji, pomyłek i niedokładności przeliczeń.

- Z całym szacunkiem, mistrzu... uważam, że mój system jest lepszy.

Twarz Anvisa stężała.

- Jesteś tu zaledwie dwa dni...

- Dobrze, mistrzu - przerwał mu szybko chłopak.

- Rano przeliczę wszystkie współrzędne.

Astronom westchnął, nalał sobie wina i opadł na fotel.

- Wielu mistrzów chciałoby przeforsować swój własny system - odparł wyraźnie uspokojony. - Chodzi oczywiście o ambicję i wygodę. Jeśli czyjś system zostanie ogłoszony oficjalnie obowiązującym, wszystkich innych czeka przeliczanie wykresów, map i tekstów naukowych. Wiem, że do Akademii przychodzi codziennie po kilka listów od naukowców wielu dziedzin, chcących zyskać sławę i narzucić innym swoje przyzwyczajenia. Dobrze się stanie, jeśli my dwaj będziemy trzymać jeden front. A ty masz do przeliczenia ledwie jedną księgę.

- Dobrze, uczynię to - przyznał skwapliwie, choć nieszczerze. - Mam pytanie...

Astronom nie słuchał. Wybiegł na taras, widząc padające na dachy światło księżyca.

Noan przewrócił stronicę, zapalił jeszcze dwie świece i sięgnął po piórnik. Widział, jak Anvis używa różnej grubości stalówek dla uczynienia rysunków i uznał to za doskonały pomysł. Wyobraził sobie gotowy schemat na prostokacie papieru i zaczął rysować. Tej nocy czekało go sporo pracy. To, co wymyślił w „Czarnej Róży”, było znacznie lepsze niż pięciostopowa soczewka.

* * *

Zarkim szykował się na kolejny ciężki wieczór. Podejrzał już, że do czasu rozwiązania

Akademii Nauk stanie się to normą.

Gabinet rektora urządzony był prosto. Za biurkiem, pokrytym stosami starannie posegregowanych papierów i zeszytów, stał regał. Leżało na nim ledwie kilka książek, więc na pozostałych półkach ułożono ozdoby. Ich dobór był na tyle przypadkowy, że z pewnością nie umieścił ich tu gospodarz. Niższe półki były wykorzystane do przechowywania kolejnych równych stosów papierów.

Armunach i Chavon, uprzedzeni przez gońca, już na niego czekali.

- Przysyłający mnie miłościwie nam panujący król Mechelon III pragnie wprowadzić kilka korekt do umowy - oznajmił oficjalnym tonem Zarkim.

- Więc już sam król zaprzecza swojej nieomylności? - odparował Chavon.

Zarkim zignorował impertynencję.

- Nazwa powinna brzmieć „Królewska Akademia Nauk” - oświadczył - pensje dla naukowców muszą zostać obniżone o połowę, a nowy gmach Akademii powinien być tańszy o jedną trzecią.

- Nowy gmach nie będzie potrzebny - odparł Anvis.

- Naukowcy narzekają, że nie mogą pracować przy takim nagromadzeniu wybitnych umysłów na małej przestrzeni.

- Nagromadzeniu wybitnych umysłów? - parsknął sekretarz. - Tyle patosu i zamieszania, żeby skonstruować lepszy muszkiet?

- Nie chodzi o lepszy muszkiet, tylko o zwycięstwo w wojnie - zauważył Armunach. - Za kilka dni będziemy wiedzieli, czy Akademia spełnia swoją funkcję.

Przewodniczący w ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, że wynalezienie lepszej broni nie jest przeznaczeniem Akademii, lecz jedynie wygodnym pretekstem koniecznym do jej powstania. Zamiast tego oznajmił:

- Nieobytemu w naukach ścisłych umysłowi może się wydawać, że karabin, który strzela dwa razy szybciej i dwa razy celniej niż muszkiet, to horyzont naszych marzeń. Dla naukowca to jedynie pierwszy krok. Rozwój jakiegokolwiek dziedziny polega na stopniowym doskonaleniu tego, czym się zajmuje. Od czasu do czasu następuje gwałtowny skok do przodu. Jeden genialny wynalazek może wygrać tę wojnę, ale żeby ów genialny wynalazek się pojawił, potrzebna jest wiedza z wielu odległych dziedzin. Specjaliści udoskonalają swoje dzieła również dzięki doświadczeniu innych.

- Wspominałeś o tym wczoraj, Chavonie - odparł sekretarz. - Nie mam sklerozy. I zainteresowałeś mnie słowem „rozwój”... Przejrzałem spis wydziałów, które mają jutro powstać. Możesz mi wyjaśnić, prorektorze, czym się będzie zajmował Wydział Nauk

Społecznych?

- To trochę obca mi dziedzina - przyznał Chavon.
 - Z tego, co wiem, ma badać strukturę społeczeństwa, funkcje grup społecznych, kulturę, prawa...
 - Zasięgnąłem rady słownika w waszej powstającej bibliotece i przeczytałem tam dokładną definicję nauk społecznych. Nie wspomniałeś, szlachetny Chavonie, że jest to zbiór nauk zajmujących się również rozwojem społeczeństwa.
 - Czy król wciąż nie lubi słowa „społeczeństwo”?
 - Nie lubi go szczególnie w połączeniu ze słowem „rozwój”. Sprawdziłem również, kto miałby zasiadać w radzie wydziału, i natrafiłem na nazwiska osób powszechnie uznawanych za wywrotowców. Tylko łaskawości naszego króla zawdzięczają, że jeszcze nie gniją w lochach.
 - Romozel wciąż siedzi w areszcie domowym.
 - Ale nie w lochach.
 - Wtedy stałby się męczennikiem i symbolem. W obliczu nadciągającej klęski król mógłby uchylić mu areszt.
 - A to niby dlaczego? - zdziwił się sekretarz. - Ten łajdak oficjalnie oświadczył, że król powinien abdykować.
 - Ścisłej mówiąc, chodziło o zlikwidowanie funkcji króla. Jakiegokolwiek.
 - Gdyby to ode mnie zależało, zostałby stracony natychmiast, gdy tylko wypowiedział te słowa.
 - Był z tym mały problem, zgromadzony wokół niego tłum mieszczan rozpędził oddział straży miejskiej, który chciał go aresztować. Mimo fatalnej reputacji, Romozel ma ogromną wiedzę praktyczną.
- Armunach z coraz większą irytacją słuchał tej szermierki słownej.
- Czy zmiany w organizacji Akademii nie mogą poczekać kilku dni? - zapytał.
- Sekretarz spojrzał na niego zaskoczony
- Jesteś, książę, przedstawicielem króla - przypomniał.
 - To z jego woli tu przyszedłem i wykładam ją przed wami.
 - Dostałem rozkaz od króla, by jak najszybciej stworzyć Akademię Nauk i sprawić, by zaczęła sprawnie działać. Sama zmiana nazwy oznacza konieczność przygotowania od nowa wszystkich dokumentów i pieczęci. To strata czasu i pieniędzy. Czy to twój pomysł, Zarkimie, czy króla?
 - To nieistotne. Powtarzam, reprezentuję tu wolę króla.

- Przekaż więc królowi, że wprowadzenie tych zmian opóźni otwarcie Akademii o kilka dni. Albo jeszcze lepiej, umów mnie z nim na audiencję. Sam mu to powiem.

- Nie ufasz mojemu pośrednictwu? - zdziwił się ponownie Zarkim.

- Nie ufam twojej wybiórczej pamięci. Umów mnie na dziś. Jak najszybciej.

- To nie jest umowa między nami trzema a królem - zauważył Chavon - tylko między Sprawiedliwą Izbą, a królem. Zmiana umowy musi być poddana pod głosowanie.

- Chcesz teraz zwoływać posiedzenie?! - wykrzyknął Zarkim. - Niedługo minie ósma.

- Może wystarczy audiencja - oschle uciał Armunach. - Zapytaj.

Zarkim odwrócił się na pięcie i wściekły wyszedł. Chavon dłuższą chwilę patrzył na prawie dwukrotnie młodszego mężczyznę. Armunach zaczynał wzbudzać jego szacunek.

- Dziękuję za poparcie - powiedział wreszcie przewodniczący.

Rektor pokręcił głową.

- Moim jedynym celem jest szybkie stworzenie z Akademii obfitego źródła nowych rozwiązań militarnych. Tylko dlatego chcę odwieść króla od zmian i tylko dlatego nie sprzeciwiłem się kandydaturze Romozela. W czasie wojny trzeba używać wszystkiego, co może pomóc w zwycięstwie. Nawet wroga politycznego. A teraz wybac, ale mam pracę.

* * *

Naczelnym wodzem był król i to jego wola mogła pchnąć armię do dowolnych działań. Jednak, w przeciwieństwie do swego ojca, król Mechelon III powściągał ambicje w imię dobra królestwa. Wiele lat temu ukończył Akademię Wojskową, i to z niezłymi wynikami, ale potrafił trzeźwo ocenić, że nie ma ani talentu, ani doświadczenia w dowodzeniu całymi armiami. Pod jego rządami, w czasach pokoju, gospodarka Enagoru kwitła, lecz podczas wojny wolał zdać się na specjalistów.

Teraz nad mapą pochylali się dwaj generałowie, Gaarod i Tedrunel. Nie trzeba było wyteżać uwagi, by dostrzec, że generałowie nie przepadają za sobą. Obaj wysocy, ale Gaarod był starszy, jego pierś obciążało więcej orderów, a duży brzuch utrudniał swobodne poruszanie się. Tedrunel za to utrzymywał nienaganną sylwetkę, świadczącą o samodyscyplinie.

Nie była to narada wojenna - ta odbywała się w sztabie polowym. Generałowie przybyli złożyć sprawozdanie i odbyć naradę o charakterze politycznym.

- Zwiad donosi, że główne siły idą na Medgrun - Tedrunel szpicrutą wskazał figurki żołnierzy piechoty, jeźdźców i model wozu z żółto-niebieską chorągwią. - Mają ciężkie wozy,

załadowane prawdopodobnie elementami machin oblężniczych. Dotrą do twierdzy za cztery, pięć dni. Zapewne zamierzają zdobyć ją silnym uderzeniem, bez przeciągającego się oblegania. - Każda z figurek reprezentowała batalion, czyli od trzystu do pięciuset żołnierzy. Na pierwszy rzut oka widać było, że żółto-niebieskich figurek jest zdecydowanie więcej niż zielono-brązowych. - Oczekujemy cudownej broni. Bez niej za miesiąc, najdalej półtora, będziemy się bronić w tym pałacu. Przegrywamy, królu.

- Mój ojciec chciałby cię rozstrzelać za takie słowa. - Mechelon spojrzał na generała bez sympatii.

Generał wyprężył się i oświadczył:

- Nie pozwalam sobie na tego typu uwagi nawet przy oficerach, Wasza Wysokość. Pragnę jedynie, byś miał pełny obraz sytuacji.

- Dowódca powinien świecić przykładem i wierzyć w wygraną - odparł król. - Nawet w tym miejscu.

- Nie pragnę uznania, lecz zwycięstwa. Mimo publicznych egzekucji, coraz częściej zdarzają się przypadki dezercji. Morale stale się pogarsza. Oficerowie mają problemy z poderwaniem ludzi do ataku. Zawsze tak się dzieje, gdy walka polega na wycofywaniu się.

- Kary nie są dość surowe - zauważył Gaarod.

- Jeżeli znasz pan poważniejszą karę niż rozstrzelanie...

- Publiczna kaźń! - rzucił z wściekłością w głosie Gaarod. - Tortury zakończone egzekucją.

- To prosta droga do buntu!

- Pesymistyczny nastrój udziela się nawet generałom. Czegóż więc wymagać od szeregowych żołnierzy?

Tedrunel spojrzał na niego z furią, ale nie zdołał odpowiedzieć, bo przerwał im król:

- Zamilczcie obaj! Trwają wykopki. Pobór w tym okresie sprawi, że część plonów pozostanie na polach. Armia potrzebuje żywności.

- Jeśli nie zasilimy armii nową krwią, plony zbiorą Sinevarzy, a naszą krwią użyżnią ziemię - powiedział ponuro Gaarod. - Jeśli zdołamy zatrzymać, lub choćby znacząco spowolnić marsz armii Sinevaru i utrzymać obie twierdze do pierwszych mrozów, zima stanie się naszym sprzymierzeńcem. Zgromadzone za murami zapasy wystarczą na co najmniej dwa miesiące obrony.

- Możemy przeprowadzić pobór w rodzinach, gdzie jest dwóch lub więcej dorosłych synów - zaproponował Tedrunel.

- To nie wystarczy - zaprzeczył Gaarod. - Potrzebujemy więcej ludzi. Potrzebujemy

wszystkich ludzi.

- Gdybyś zweryfikował niektóre swoje poglądy na prowadzenie działań wojennych, nie tracilibyśmy tylu żołnierzy.

- Reprezentuję starą szkołę, w której honor ceni się nad życie - Gaarod był już czerwony na twarzy i z trudem się powstrzymywał, by nie wybuchnąć. - Nigdy tego nie pojmiesz.

- Długa wojna zrujnuje kraj - znów przerwał król. - Pobór powszechny również. Dałem księciu Armunachowi tydzień na wymierne efekty działalności Akademii Nauk. Podejmę decyzję, gdy zobaczę, czego dokonał. To wszystko, panowie.

Zasalutowali, skłonili głowy i szybkim krokiem wyszli. Kartograf zwinął ich mapy i wybiegł za nimi. Gdy zamknęły się drzwi, wzburzonym głosem odezwał się stojący dotychczas na uboczu Zarkim:

- Królu, czemu nie rozkażesz ruszyć wszystkimi siłami na wroga i zmieść go z powierzchni ziemi? Odwoły piechoty czekają beczynnie, mamy straż miejską, gwardię. Można stworzyć kompanie karne z więźniów...

- Jesteś dobrym sekretarzem, Zarkim - odparł spokojnie król - ale na sztuce wojennej nie znasz się za grosz. Daj mi kwadrans na zebranie myśli, potem wprowadź Chavona i Armunacha.

* * *

Gdy Chavon zbliżał się do komnat królewskich, minął wychodzących z narady generałów. Miny mieli nietęgą, z czego wywnioskował, że sytuacja na froncie nie polepszyła się. Stał w odpowiedniej odległości od strzeżonych przez gwardzistów drzwi, by zaczekać na wezwanie. Po chwili dołączył do niego Armunach. Czekali piętnaście minut, nie zamieniwszy nawet słowa, aż drzwi otworzyły się i jeden z królewskich sług powiódł ich wewnętrznymi korytarzami do sali narad.

Na wielkim stole leżały arkusze map północnego Enagoru, zastawione figurkami symbolizującymi poszczególne jednostki wojska. Zwieszające się z sufitu lampy elektryczne oświetlały równomiernie blat. W tej części sali było jasno jak za dnia. Mechelon, w mniej ozdobnej niż zwykle szacie i bez połowy biżuterii, stał obok i przyglądał się mapie w zamyśleniu. Armunach i Chavon stanęli obok. Zarkim pozostawał kawałek dalej, na granicy cienia.

- Sinevarzy są tam, gdzie te żółto-niebieskie figury - odezwał się król. - Tu jest Medgrun, a tu Hamelon. - Wskazał obydwie twierdze. - Miduhr jest tu, gdzie ja teraz stoję. Co kilka dni

trzeba przesuwac wszystkie mapy i dokladac nowe, by miec lepszy oglad sytuacji. Jutro kartograf przesunie je po raz kolejny. Stamtad zdejmie arkusze, na ktorych naniesiono nasze granice sprzed wojny, a tu dolozy te przedstawiajace przedmieścia Miduhr. - Przygladal sie mapie dluzsza chwile, po czym oznajmil - kazalem sprowadzic z aresztu domowego Romozela. Wyslucham, co ma mi do powiedzenia. Do tego czasu omowimy pozostale dwa punkty. Nazwa... - Król spojrzal znacząco na Zarkima, który na ten moment stal sie nieco nizszy. - To fatalne przeoczenie, ale jeśli ma wprowadzic tak duze zamieszanie w prace Akademii, jak twierdzi ksiazę Armunach, jestem sklonny zaczekac z tym jakis czas. Gorzej wyglada druga sprawa. Finanse. Szacowana liczba naukowcow wynosila pierwotnie sześćdziesiat osob. Tymczasem dzis na koniec dnia Akademia liczyla juz ponad dwustu pięćdziesięciu członków. To prawie batalion piechoty, tyle ze pensja naukowca jest dziesięć razy wyzsza niz zold. Tak wiec naukowcy kosztuja mnie wiecej niz mala armia. Do tego trzeba doliczyc sluzbę, asystentów i koszty waszych badan. Większość zapewne jest zwykłym marnowaniem czasu i pieniedzy.

- Trudno powiedziec jednoznacznie, która dyscyplina będzie zbędna dla armii - odparł Chavon.

- W spisie zauwazylem Wydział Budownictwa, Rolniczy, a nawet Astronomiczny. Jakiz one mogą miec wpływ na losy wojny? - Prorektor milczal. - Będiesz musial dokonac wyboru, Chavonie.

- Ograniczymy wydatki - obiecal Armunach. - Załatwimy to między sobą...

- Jutro rano przeprowadzimy prezentację nowego karabinu - dodal szybko Chavon. - Sądze, ze Wasza Wysokosc będzie zadowolony.

Król pokiwal głową i odprawil ich machnięciem ręki. Dal znak, by wprowadzono następnego gościa.

Wszedl wysoki, szczuply mężczyzna. Mimo zaledwie czterdziestu pięciu lat, jego krótko ścięte włosy byly zupełnie siwe. Od całej postaci bila wewnetrzna sila i opanowanie. Ubrany w bialą lnianą szatę sprawial wrażenie mędrca, który przyszedl tu nauczac, a nie skazańca, który powinien sie korzyc w nadziei na łaskę. Romozel stanal dumnie wyprostowany na wprost Mechelona. Sklonil ledwo głowę, co moglo być potraktowane jako obraza. Król jednak zignorowal to i oznajmil:

- Masz pięć minut, aby przekonać mnie, ze twoje miejsce jest nie w lochu, tylko w Akademii Nauk.

- Ogromny to dla mnie zaszczyt, królu, ze poświęciles mi swoją uwage. - Głos Romozela byl silny i głęboki.

- Tracisz czas. - Mechelon pstryknął palcami. Kryjący się dotychczas w cieniu sługa podbiegł do stołu i postawił na nim klepsydrę. - Udowodnij, że Wydział Nauk Społecznych może się na cokolwiek przydać królestwu, a ty możesz się przydać temu wydziałowi.

Królewski sekretarz patrzył na Romozela z nieskrywaną nienawiścią oraz wymuszoną, acz nie do końca wiarygodną pogardą.

- Jak wiesz, królu, zajmuję się badaniami społecznymi - zaczął gość. - Przez ostatnie dwa lata prowadziłem jedynie badania teoretyczne. Muszę przyznać, że areszt podziałał na mnie motywująco i poprzez głębokie rozważania i mądre lektury znacząco rozwinąłem swoją wiedzę. Armia to też społeczność. Warto ją badać, by móc zwiększyć jej skuteczność, a pomniejszyć prawdopodobieństwo występowania zjawisk niekorzystnych.

- O jakich zjawiskach mówisz? - wtrącił ze złością Zarkim.

- O takich jak bunt, na przykład. Warto przewidzieć, kiedy może nastąpić. Po ilu dniach spędzonych w zimnych i mokrych okopach zacznie się burzyć setka ludzi, a po jakim czasie dwie setki. Jaki jest związek między zmniejszeniem racji żywnościowych a liczbą dezercji. Jak powinien być przygotowany żołnierz, by atakować bez wahania, nawet gdy ma jedną szansę na pięć, że przeżyje. W jakiej odległości od stolicy regimenty najemnicze przejdą na stronę zwycięzcy, by plądrować, zamiast bronić. To tylko kilka przykładów zagadnień związanych z morale żołnierzy. Odpowiednie postępowanie z ludźmi da im większą motywację niż żołd i strach przez oficerem.

- Jak ciebie słucham, drogi Romozelu - powiedział król - odnoszę wrażenie, żeś mądry wręcz ponad przyzwoitość. To wszystko prawda, co mówisz, ale powiedz mi, proszę, czemu mam pozwalać, byś za moje pieniądze głosił idee królestwa bez króla?

- Gdybyś znał kogoś lepszego, nie byłoby mnie tu. Jestem i pozostanę wierny Enagorowi.

- Sądzisz, że sytuacja jest tak zła, że muszę się chwytać takich sposobów?

- Obawiam się, że jest gorzej niż kiedykolwiek. Nawet ewakuować dworu nie będzie gdzie. Enagor już z każdej strony ma wrogów. Nie najeżdżają nas tylko dlatego, że zajmują ich własne problemy.

- Jaką mam gwarancję, że gdy cię uwolnię i zatrudnię, zrezygnujesz ze swoich poglądów?

Romozel spojrzał monarsze prosto w oczy.

- Królu - powiedział. - Znasz odpowiedź.

* * *

W trzypiętrowym domu przy głównej ulicy Risham, jednej z najbogatszych dzielnic Miduhr, generał Tedrunel jadł kolację. Siedząca po drugiej stronie długiego stołu kobieta starannie unikała jego wzroku. Gorset z trudem utrzymywał napierające od wewnątrz ciało. Przy każdym wdechu wypchnięte do góry obfite piersi zdawały się rosnać, jakby się przymierzały do ucieczki z wyciętego, ozdobionego koronkami dekoltu. Kolejne porcje dania znikwały w jej ustach tak szybko, jakby połykała je bez gryzienia. Sos ściekał po trzech podbródkach, tracąc impet w wałkach tłuszczu na szyi.

Na kolację był pieczony kurczak, podany na zimno w sosie majonezowym na grzankach. Tedrunel nie znosił mięsa na zimno, a bardzo często musiał je jeść w warunkach polowych. Wracając do domu, liczył na coś szczególnego, natomiast danie wyglądało na resztki z wczorajszego obiadu. Cieszył się za to możliwością kosztowania wina, którego unikał podczas służby.

Atmosfera była zimna jak zwykle, a dziś może jeszcze bardziej. W siedmioramiennym świeczniku na środku stołu paliły się cztery świece. Za oknem cichł wieczorny gwar miasta.

- Więc przyjechałeś tylko na jeden dzień? - przerwała trwającą od początku kolacji ciszę kobieta.

- Z samego rana wyjeżdżam - przytaknął generał.

- Nie wiem, kiedy znów przyjadę.

Kobieta pokiwała głową i wykonała nieznaczny ruch dłonią. Stojący przy drzwiach kuchennych lokaj wychwycił ten gest i rzucił się, by dolać wina. Kobieta wlała w siebie kieliszek i uniosła go, by lokaj napełnił jeszcze raz.

- Boli mnie dziś głowa - rzuciła od niechcienia.

- Wiem.

Siedzieli w milczeniu kilka długich minut. Wreszcie generał wstał i udał się do swojej sypialni. Usiadł na pościelonym łóżku i zapatrzył się w podłogę.

- Somnia, droga Somnia - powiedział sam do siebie.

- Co się z nami stało?...

Ściągnął buty i nie zdejmując munduru, wyciągnął się na łóżku.

W tym samym czasie generał Gaarod wraz z adiutantem i dwoma oficerami sztabowymi kończyli obficie zakrapianą kolację w gwarnej sali „Czarnej Róży”.

* * *

Kolejka do Komisji Wynalazczości nie była duża i posuwała się bardzo szybko. Jedna

osoba przebywała w komnacie nie dłużej niż minutę. Noan zastanawiał się, jak zdoła w tak krótkim czasie opowiedzieć o wszystkich zawiłościach swojego pomysłu. Nigdy wcześniej nie musiał robić niczego podobnego. Siedział na ławce na ruchliwym korytarzu i wpatrywał się w swoje buty, niecierpliwie szurające po kamiennej posadzce. Układał w głowie słowa i miał niejasne przeczucie, że gdy już stanie przed komisją, i tak wszystko pokręci.

Gdy nadeszła jego kolej, miał pustkę w głowie. Wszedł i skłonił się lekko.

- Orestes Gaolin, astronom.

Za długim stołem siedziało sześciu mężczyzn. Noan nie widział ich twarzy, poranne światło, wpadające przez wielkie okno za ich plecami, zamieniało ich we własne cienie. Otworzył usta, by opowiadać, ale jeden z mężczyzn, zapewne przewodniczący komisji, wyciągnął rękę po arkusz trzymany przez chłopaka. Noan podał mu papier ze starannie wyrysowanym schematem - efektem kilugodzinnych obliczeń i żmudnego rysowania trajektorii promieni świetlnych. Cień przyglądał się chwilę schematowi. Światło odbijające się od papieru na chwilę ujawniło jego twarz.

- Nowy rodzaj teleskopu? - zapytał. - Będzie potrzebna opinia astronoma i optyka.

- Nie mamy wydziału optyki - zauważył inny cień. - W mieście jest tylko jeden optyk, ale to rzemieślnik, nie naukowiec.

- Więc Wydział Fizyki pasuje najbardziej. - Przewodniczący odłożył schemat na stos.

- Chciałbym o tym opowiedzieć - odezwał się nieśmiało Noan.

- Nie ocenimy niczego w tym momencie - odparł spokojnie przewodniczący komisji. - Dziś już mamy piętnaście projektów, a wpłynie pewnie jeszcze trzy razy tyle. Posegregujemy je i damy do oceny przedstawicielom odpowiednich wydziałów. Jutro rano zostaną ogłoszone decyzje. Idź już, inni czekają.

* * *

Anvis pochylał się nad kartkami. Machnął ręką na powitanie Noana, nie podnosząc nawet głowy. Chłopak obawiał się wymówek, że pół dnia go nie było, ale mistrz był zbyt zaabsorbowany tym, co oglądał.

- Wydział Astronomii jest najmniejszym wydziałem Akademii - powiedział. - Mało brakowało, a przypięliby nas do kogoś. Nie mogli się zdecydować, czy do fizyków, czy do matematyków. Więc na razie jesteśmy samodzielni. Niestety, nie udało nam się wybrać dziekana. Jak się zapewne domyślasz, wszyscy głosowali na siebie. Jest nas trzech... Chociaż jak wynika z dokumentów, powinien być jeszcze czwarty. Orestes Gaolin. Pierwsze słyszę.

Pomyślałem sobie, że ktoś połasczył się na te parę groszy pensji i więcej go nie zobaczymy, a tu proszę. - Popukał palcem w arkusz papieru. - Przygotował projekt nowej generacji teleskopu.

Noan przełknął ślinę.

- Czy to dobry projekt? - zapytał.

- Powiedziałbym, że wręcz genialny. - Anvis potarł brodę. - Jeśli tylko uda się tak dokładnie wypolerować obydwie powierzchnie... Ach, przecież nie wiesz, o czym mówię. Zerknij, proszę, bo to ciekawe. Ów tajemniczy Gaolin wpadł na pomysł, by główną soczewkę zastąpić wielkim lustrem sferycznym. Jeśli uda się wykonać tak precyzyjne zwierciadło... sądzę, że zobaczymy niebo co najmniej dziesięć razy dokładniej.

Noan gapił się na astronoma w napięciu.

- Myślisz mistrzu, że da się wykonać takie lustro?

Anvis pokiwał głową.

- Sądzę, że tak. To trudne, trudniejsze niż szlifowanie soczewki. Hm... Dlaczego nikt na to wcześniej nie wpadł?

- Nie było potrzeby?

- Chyba masz rację... Ja sam uważałem swój teleskop za szczyt marzeń i nawet nie przeszło mi przez myśl, by zamówić większy. Dopiero nowa gwiazda... Właśnie. Muszę wymyślić dla niej nazwę, zanim uczyni to ktoś inny.

- Myślałem o tym. Mam pewien pomysł...

- Nie, nie. Niczego mi nie podsuwaj. Nazwa powinna się w jakiś sposób kojarzyć z moim nazwiskiem. Pomyślę w nocy.

Noan zamknął oczy. Chciał krzyczeć, że gwiazda ma już nazwę. Zamiast tego zapytał:

- Czy twoim zdaniem ten projekt zasługuje na realizację?

- Jak najbardziej! Sam kupię pierwszy teleskop zwierciadlany!

- Więc zaakceptujesz dziś projekt?

- Czemu tak ci na tym zależy? - Anvis spojrzał na niego podejrzliwie.

- Chcę... - chłopak wzruszył ramionami - zobaczyć przez niego nową gwiazdę.

- Ja też chcę - uśmiechnął się astronom. - Niestety, musimy się uzbroić w cierpliwość. Jeśli teraz zaakceptuję projekt, wszyscy poznają się na genialności wynalazku i Gaolin gotów wygrać głosowanie na dziekana. Zaczekam z oceną dzień, może kilka dni. Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

Noan zacisnął pięści i siląc się na swobodny ton, odparł:

- Oczywiście, mistrzu. Będę milczał.

Potem odwrócił się i zszedł do swojego pokoju, rzucił się na łóżko i na skraju płaczu przeleżał godzinę. Wymyślał coraz bardziej okrutne sposoby odpłacenia za to opóźnienie. Gdy złość na mistrza zelżała, przeszedł do rozważań bardziej konstruktywnych.

Wykonanie zwierciadła zajmie trochę czasu, pomyślał, a czekanie na decyzję Anvisa może długo potrwać. Muszę więc zrobić to sam. Muszę w tajemnicy zamówić to zwierciadło już teraz.

Myśl o rozstaniu się z częścią, zapewne sporą, brzęczącej zawartości sakiewki nie była miła, ale innego sposobu nie widział.

To była pierwsza noc bez chmur, podczas której nawet nie dotknął teleskopu.

* * *

Rano, nie jedząc nawet śniadania, Noan pobiegł do zakładu mistrza Pasco. Wpadł zdyszany, zaskakując rzemieślnika. Rzucił schemat na blat, złapał oddech i wyjaśnił, o co chodzi. Mistrz w zamyśleniu przyglądał się rysunkowi. Pocierał brodę, przejeżdżał dłonią po plamiastej łysinie i wodził spojrzeniem wzdłuż cienkich linii biegu promieni świetlnych.

- Chcesz zastąpić soczewkę reflektorem... - powiedział wreszcie. - Nie widziałem nigdy takiej konstrukcji, ale wygląda na to, że wszystko się zgadza. Mechanizm zegarowy... sprytne.

- Czy zrobisz dla mnie taki teleskop? - zapytał chłopak. Wysypał na sukno blatu swoje miedziaki.

W napięciu przyglądał się mężczyźnie, oczekując odpowiedzi. Pasco westchnął.

- Za to nie kupisz nawet małego zwierciadła - powiedział smutno. - Wyszlifować lustro sferyczne będzie trudniej niż soczewkę. Wiem, jak to zrobić, ale... to dużo pracy. Bardzo dużo pracy. Gdy skończę, może się okazać, że zwierciadło ma wadę, której nie da się już poprawić, i trzeba będzie zaczynać wszystko od początku. Nie mam doświadczenia.

Noan wbił wzrok w ziemię.

- Ile musiałbym zapłacić?

- Myślisz o lustrze wielkości dwóch stóp?

- Zapewni obraz lepszy od teleskopu, który zaprojektował astronom Fennel.

Pasco liczył coś w myślach, wzrokiem błędząc po suficie.

- Trzy złote dukaty będzie cię kosztowało samo zwierciadło.

- To ponad siedemdziesiąt koron! - wykrzyknął Noan. Spojrzał na swoje nędzne miedziaki, swój wielki skarb, teraz, po zakupach wart niewiele ponad trzy korony.

Spojrzał na mistrza z rozpaczą.

- To ciężka praca dla kilkunastu osób - wyjaśnił tamten, patrząc na chłopaka ze współczuciem. - Mógłbyś spróbować zrobić zwierciadło z metalu, ze specjalnego stopu, który nie ulega korozji. Nie będzie tak dokładny jak szkło, ale na pewno tańszy. Niestety nie znam nikogo, kto potrafiłby to zrobić. Zastanów się jeszcze, poszukaj. Teraz wszyscy moi czeladnicy i tak pracują na zlecenie Fennela.

Noan wyszedł na ulicę i zamknął oczy. Kilku przechodniów trąciło go w pośpiechu.

* * *

Na trzecim piętrze cieszącego się jednoznaczną sławą przybytku o nazwie „Czarna Róża” socjolog i od dwóch dni dziekan Wydziału Nauk Społecznych, Romozel, dopijał drugi kielich wina. Wnętrze pokoiku bez okien rozświetlała podła lampa, dająca więcej dymu niż światła. Twarz drugiego człowieka była skryta w cieniu. Romozelowi to nie przeszkadzało, napatrzył się bowiem na nią dostatecznie dużo. Miejsce na spotkanie wybrał nieprzypadkowo - tutaj nie musiał się obawiać szpiegów. Podsluchiwanie przez wyciszone bawełną ściany było mocno utrudnione.

Mimo to, rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Jak idą przygotowania do drugiej części planu, mój przyjacielu? - Romozel nalał sobie wina.

- Przygotowania są zakończone. Czekam tylko, aż Gaarod przyjedzie do stolicy. Masz pomysł, co z nim zrobić? On nigdy nie przejdzie na naszą stronę. Prędzej zginie, niż zacznie z tobą rozmawiać.

- Będzie więc musiał zginąć.

- Jak bardzo skrycie byś tego nie zrobił, wszyscy się domyślą. Wasza niechęć, wrogość wręcz, jest powszechnie znana. W kontekście odwołania twojego aresztu domowego sprawa będzie oczywista.

- Zaufaj mi.

- Ufam jedynie twoim zdolnościom do knucia. I na tym poprzestańmy.

- Czy z tego powodu nie pijesz ze mną wina? - zaśmiał się socjolog.

- Nie piję, bo nie muszę.

- Paru innych rzeczy też nie musisz, a robisz.

Rozmówca socjologa zignorował ostatnie zdanie, zamiast tego zapytał:

- Mówisz więc, że jesteś gotowy na wielkie zmiany, które wkrótce nadejdą?

- One już nadeszły. To kwestia kilku dni, jak zacznie płynąć rzeka zdarzeń, której nie da

się już zatrzymać. Zanim ktokolwiek się zorientuje, będzie za późno. Muszę tylko wysunąć jeszcze kilka kamieni z podstawy tamy.

- Oby ta rzeka nie porwała i nas. - Gość wstał. Był mikrego wzrostu. - Jeśli wszystko ustalone, to pozwól, że się oddalę z tego podłego miejsca.

- Bądź łaskaw po drodze dać to Choreszet. - Socjolog wysupłał z sakiewki pięć gorszy. - Niech przyśle mi tu dziewczynę imieniem Perac.

* * *

- Czy dziekan już został wybrany? - zapytał Noan, po czym szybko się poprawił. - Zostałeś dziekanem, mistrzu?

Anvis pokręcił głową.

- Nikt nie wie, gdzie jest ten Gaolin. Dziekana wybiera się zwykłą większością głosów rady wydziału, ale najpierw trzeba wybrać tę radę. Niby proste, bo powinna ona liczyć co najmniej trzy osoby. Niestety, żeby głosowanie było ważne, musi w nim uczestniczyć co najmniej cztery piąte składu wydziału, a cztery piąte to ja, Fennel, Misfet i kawałek Gaolina. Tego kawałka nam brakuje. Pytałem ludzi, ale nikt nie pamięta, jak ten huncwot wygląda. Podobno jest młody.

Noan zmarszczył brwi.

- Czyli projekt teleskopu nadal czeka na twoją akceptację, mistrzu?

- Tak, ale to i tak bez znaczenia. - Anvis usiadł ciężko przy stole. - Księżę Armunach, nasz rektor, nie da ani grosza na teleskop. Cięcia budżetowe. Jak pójdzie źle, to wylądujemy gorzej niż przed powołaniem Akademii. Przedtem ciurkało skromne źródło z pieniędzmi. Teraz skarbnik królewski zaczyna wszystko skrupulatnie liczyć. Akademia okazała się droga, bardzo droga. A wojna kosztuje coraz więcej... Wpływy z podatków zmalały, bo rodziny żołnierzy ich nie płacą. Idą ciężkie czasy... Wszystkie projekty nieprzydatne dla armii zostaną wstrzymane, ale wyobraź sobie, że niejaki Hedfus przyniósł projekt maszyny, którą nazwał drukalnicą. Rzemieślnik to bez tytułu, a i z wynalazku dla armii żadnego pożytku nie będzie. Ale dotację dostał z marszu. Nie uwierzysz, dlaczego! - Mistrz ożywił się i spojrzał na ucznia. - Zgadnij!

- Nie wiem nawet, co to takiego drukalnica. - Noan wzruszył ramionami.

- To maszyna zastępująca pracę skrybów. Układa się klocki z odwrotnymi literami, tworząc matrycę, smaruje tuszem i odbija na papierze. Wydajność ma wynosić pięć stron na minutę. Dla armii nieprzydatne, ale całkiem przydatne dla zmiany nazwy Akademii Nauk na

Królewską Akademię Nauk. Masa dokumentów jest do poprawienia. Za kilka dni maszyna ma być ukończona, bo prace nad nią ów Hedfus prowadził od tygodni nocami we własnym salonie, co zresztą pchnęło jego żonę w ramiona pewnego kupca bławatnego, z którym tydzień temu uciekła. Prawdę mówiąc, Hedfus nie wyglądał na zmartwionego tym faktem. Rozmawiałem z nim trochę. Myślałem nawet o użyczeniu mu któregoś z moich dzieł, ale za dużo u mnie rysunków. Hedfus potrzebuje czystej, a nie ilustrowanej księgi. Nikt nie chce się zdecydować. Będzie chyba ćwiczył na słownikach zapomnianych języków.

Noan podniósł wzrok na mistrza.

- Więc rzemieślnik ma prawie gotową maszynę do drukowania ksiąg? Ale nie ma czego drukować?

- W uproszczeniu tak można by to ująć. Nie znalazł nikogo, kto byłby chętny poddać swe dzieło profanacji maszynowej. Szukać może tylko wśród filozofów i literatów, a oni unieśli się honorem, nadwerężonym dodatkowo, gdy Hedfus zaproponował im pieniądze.

- Dużo chce zapłacić?

- Gdy szanowany filozof i senator Ksurear obraził się, że chce się mu płacić pięć koron za przepuszczenie jego myśli przez maszynę, rzemieślnik podbił cenę do dziesięciu koron. To się nazywa nie mieć wyczucia! Chce płacić dziesięć koron za licencję i jeszcze honorarium od każdego egzemplarza.

Rozmowę przerwało im pukanie do drzwi. Służąca wniosła kolację. Ser, chleb, zimne mięso i dzbanek wina.

- Mniejsze porcje niż zwykle - zauważył z rozczarowaniem Anvis.

- Jest trzysta uczonych gąb do wykarmienia - odparła z rozbrajającą szczerością dziewczyna.

Zjedli w milczeniu. Potem mistrz narzucił kożuch i poszedł szukać dziur w chmurach. Chłopak nie musiał zapisywać pozycji Tanur. Wiedział, gdzie gwiazda będzie przez najbliższych kilka dni. Wiedział też, że za tydzień zacnie poruszać się jak inne gwiazdy wędrowne, tyle że znacznie szybciej. Zszedł do siebie, ustawił na małym stole dwie świece i otworzył kupioną poprzedniego dnia czystą księgę. Usiadł na zydelku, wziął w dłoń pióro, zaczerpnął głęboko powietrza i u góry pierwszej stronicy napisał „Orestes Gaolin”. Przyjrzał się literom. Ten, jak mu się wydawało, wymyślony w sekundę pseudonim stanie się wkrótce jego nową tożsamością. Na środku, większymi i ozdobnymi literami wyczelował tytuł *Spółeczeństwo*.

XII

W nowo otwartej Akademii Nauk szybko zabrakło miejsca na kolejne wydziały. Urzędy królewskie nie mogły wynieść się z innych części pałacu, zaczęto więc szukać wolnych powierzchni w całym mieście. Chemicy ulokowali się w zamkniętym pół roku temu przypałacowym domu uciech, fizycy zajęli nieużywany od lat stary arsenał, a metalurdzy wprosili się do karczmy sąsiadującej z największym zakładem kowalskim. Co gorsza, okazało się, że fizycy podzielili się na kilka specjalności i pracować razem już nie mogą, bo by sobie wzajemnie przeszkadzali. Owo dziwne, dobrowolne rozśrodkowanie rozwiązało problem braku miejsca w pałacu. Spowodowało też szybki wzrost cen nieruchomości i bliską pałacowi część miasta zamieniło w plac budowy. Budynki obdarowywane były nowymi kondygnacjami, znikwały podwórka, budowano kolejne domy-laboratoria, wsparte na filarach i łukach, wprost nad ulicami. Wiele ulic na krótkich odcinkach zamieniło się w tunele. Wydziały Akademii rozpełzały się i drążyły w tkance miejskiej, nieraz zajmując kilka budynków obok siebie, w kolejnym tylko jedno piętro, i dalej po kilka pięter, innych dla każdego budynku. Było to nawet celowe, naukowcy bowiem zgodnie twierdzili, że tym lepiej im się pracuje, im więcej mieszczan jest w pobliżu.

Po kilku dniach spędzonych nad traktatem społecznym, Noan po raz pierwszy wyszedł do miasta i nie poznał go. Za zachodnim skrzydłem pałacu zaczęto prace nad wielkim gmachem, w którym finalnie miała się znaleźć administracja Akademii, ale wiadomo było, że budowa potrwa długo, co najmniej kilka dni. Wzdłuż głównej ulicy, prowadzącej z nowej elektrowni parowej do przyszłego gmachu, kopano kolejny rów pod kabel elektryczny. Dzięki opracowaniu nowych izolacji możliwe stało się przesyłanie elektryczności o większej mocy, bez potrzeby zawieszania przewodów nad ulicą.

Noan obserwował kładzenie fundamentów. Rano, gdy jeszcze spał, pomierzono wszystko i zdjęto bruk ze sporego obszaru placu. Teraz robotnicy kopali rowy pod przyszłymi murami,

a tuż za nimi młot parowy ubijał grunt, by zapobiec późniejszemu jego osiadaniu. Kawalek dalej następni robotnicy układali na ich dnie bloki kamienne dowożone stale wozami z podmiejskich kamieniołomów. Co kilka chwil człowiek obwieszony przyrządami mierniczymi sprawdzał, czy wszystko jest wykonywane dość precyzyjnie. Tempo prac i organizacja dawały nadzieję na ukończenie parteru jeszcze przed wieczorem.

Noan pomyślał, że tempo, w jakim powstaje ten budynek, jest niespotykane, ale jego uwagę przykuła maszyna parowa. Podeszedł bliżej, by lepiej widzieć skomplikowany mechanizm. Pod obłym kotłem, ze szczelin pieca błyskały płomienie, wyżej dwa cylindryczne siłowniki naprzemiennie to wznosiły się, to opadały, poruszając uwięzionymi w osiach konstrukcji kołami zamachowymi, popychaczami w jarzmach i przekładniami zębatymi. Cała maszyna unosiła się wolno na jednej nodze i spadała ze wstrząsem, który z opóźnieniem był odczuwalny w sporej odległości - zresztą właśnie to obudziło chłopaka. Maszyna wyglądała jak jednonogi stalowy olbrzym, pozbawiony rąk i głowy, pogrążony w monotonnym tańcu. Kilkunastu ludzi trzymało cztery naprężone liny, przywiązane do haków w szkielet konstrukcji stalowego tancerza, by zapobiec jego wywrotce. Dodatkowy człowiek pilnował dźwigni i zaworów umieszczonych na jego plecach.

Noan był pewien, że zdołałby zrozumieć zasadę działania maszyny, gdyby tylko poświęcił na to kilka minut. Gdybyż można było w ten sam sposób wejrzeć w mechanikę nieba, zrozumieć, czym są gwiazdy. Czym jest Tanur...

W jego traktacie zostało kilka luk. Części mądrości starego więźnia nie zdołał zapamiętać, część zapomniał przedtem sam starzec. Chłopak rozumiał, co pisał, ale brakujących fragmentów nie potrafił odtworzyć. Porzucił podziwianie stalowego tancerza i ruszył w kierunku murów więzienia, przylegającego do mniej reprezentacyjnej strony pałacu. Jeśli ktoś będzie cokolwiek pamiętał, to tylko więźniowie z sąsiednich cel. Na teren więzienia nie można było jednak wejść. Już samo zbliżenie się do bramy wzbudziło niepokój strażnika, który w niewybrednych słowach kazał mu się wynosić. Noan obszedł mury dookoła, aż dotarł do miejsca łączenia się ich z murami koszar pałacowych. Budynki przylegały do siebie, ale do koszar też raczej niełatwo będzie się dostać. Wrócił więc tą samą drogą do pałacu i zagłębił w część, w której znajdowała się Akademia. Pałac był ogromną budowlą, rozbudowywaną wielokrotnie i wchłaniającą inne budynki. Tak więc układ korytarzy nie był prosty ani przejrzysty. Chłopak ciągle się gubił. Teraz też kilka razy stracił orientację, ale wreszcie dotarł do samego końca, niemal do muru więziennego. Tam, granicząc również z koszarą, znajdowała się pracownia rusznikarska. Miejsce z pewnością nie sprzyjało skupieniu. Prócz odgłosów wystrzałów słychać było uderzenia młota, szlifowanie i jeszcze jeden dźwięk, w

którym Noan rozpoznał pracę prasy parowej.

Rozejrzał się i dojrzał mały, ślepy korytarzyk, powstały wiele lat temu w miejscu styku rozrastającego się pałacu ze ścianą więzienia. Wcisnął się tam i przysiadł w zimnym kącie. Zapalił świecę i w jej słabym świetle zaczął przerzucać karty księgi. Gdy dotarł do pierwszej luki, zamknął oczy. Sięgnął przez mur, przez strop, przez kraty. Tak... Myśli martwego mędrca wciąż tam były. Uwięzione w głowach skazańców, czekały, aż ktoś po nie przyjdzie.

Odkręcił skuwkę pióra i zaczął pokrywać starannymi literami pierwszą białą plamę.

* * *

Gdy wrócił do wieży-observatorium, nadchodził już wieczór. Od razu spostrzegł, że mistrz jest w złym nastroju. W pierwszym momencie pomyślał, że chodzi o podręczniki matematyczne, których wciąż nie przeczytał, ale astronom sam rozwiązał jego domysły.

- Jak będziemy siedzieć cicho, to może nie rozwiążą Wydziału Astronomii... - powiedział. - Rektor Armunach określił nas mianem największego darmozjada w całej Akademii, w dodatku nieudolnego darmozjada, bo nie wybraliśmy dziekana. I go nie wybierzemy, nawet jak pojawi się ten cały Gaolin. Dziekan zarabia dwa razy więcej, ale nawet nie o to chodzi. Dziekan ma władzę i sławę... Sławę nade wszystko. Każdy będzie głosował na siebie. Nie wolno tego robić, ale głosowanie jest tajne, więc wszyscy to robią.

- Co będzie, jeśli rozwiążą wydział? - Noan patrzył na mistrza z wyczekiwaniem.

- Będę musiał opuścić pracownię. - Anvis rozejrzał się po regałach pełnych książek. - Nikt nie będzie pamiętał, że pracuję tu od piętnastu lat... Ty wrócisz do rodziny.

- Nie! - Noan zacisnął dłoń na krawędzi stołu.

- Nie będzie mnie stać na ucznia - Anvis położył mu dłoń na ramieniu. - Wybacz. Jeśli rozwiążą Wydział Astronomii, wszyscy spadniemy nisko.

- Czy można to jakoś powstrzymać?

- Musielibyśmy okazać się przydatni dla armii. - Astronom westchnął. - Niestety, nie mam pojęcia, jak wpatrywanie się w gwiazdy może się przydać na wojnie.

Noan odszedł kilka kroków i spojrzał na wieczorne miasto. Oparł się dłonią o szybę i powiedział cicho:

- Coś wymyślę.

Anvis uśmiechnął się pod nosem, pokiwał głową. Zdjął z regału atlas nieba, siadł w fotelu i zaczął przeglądać księgę, korzystając z ostatnich promieni zachodzącego słońca. Noan podszedł do stołu i spojrzał na astronoma.

- Zawrzyjmy umowę, mistrzu. Ja przekażę ci schemat nowego wynalazku, który uchroni wydział przed likwidacją, a ty poprzysz kandydaturę Orestesa Gaolina na dziekana.

Mistrz uniósł na niego zdziwiony wzrok.

- Dlaczego Gaolina?!

- Jeśli każdy głosuje na siebie, a ty zagłosujesz na niego, to problem niestabilności wydziału zostanie rozwiązany. Z kolei przydatności wydziału dla armii dowiedzie projekt, który ci przekażę. Będiesz mógł przedstawić go jako własny, mistrzu, co z kolei zapewni ci szacunek i uznanie wszystkich, łącznie z królem.

- Oby tylko wynalazek był tego wart. - Anvis patrzył na swojego ucznia, nie poznając w nim chłopaka, którego tydzień wcześniej wyciągnął z lochów.

- Mam jeszcze jeden warunek - dodał Noan. - Chcę, żeby nowa gwiazda nazywała się Tanur.

- Co to znaczy?

- To imię.

Anvis rozejrzał się po swoim królestwie, powiódł wzrokiem po starych księgach i stertach papierów z gwiazdnymi mapami na stole.

- Zgoda - orzekł po dłuższej chwili. - Co to za wynalazek?

- Wrócę nad ranem. - Noan narzucił kurtkę, do torby schował notes i pióro wieczne. - Wtedy będę wiedział.

Wyszedł bez dalszych wyjaśnień, pozostawiając oniemiałego mistrza, i znaną drogą dotarł do pracowni rusznikarza. Pilnujący wejścia gwardzista pochylił halabardę.

- Muszę rozmawiać z mistrzem Neklinem - oświadczył Noan, pokazując sygnet Akademii.

- To nie wystarczy, szlachetny panie - odparł uprzejmie, acz zdecydowanie strażnik. - Musisz mieć przepustkę albo dokument potwierdzający, że spotkanie z mistrzem jest konieczne do pracy.

- Będzie konieczne, ale żeby zdobyć taki dokument, muszę najpierw porozmawiać z mistrzem.

Mężczyzna pokręcił wolno głową. Uniósł halabardę tylko na moment, by wypuścić służkę dźwigającą kosz pełen brudnych naczyń. Noan odwrócił się i ruszył za nią. Gdy tylko skręciła za róg, przyspieszył kroku i zrównał się z nią.

- Pomóc ci nieść? - zapytał.

Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie. Nie była brzydka, ale miała fatalną cerę i tłuste włosy.

- Lepiej niech od razu mówi, czego chce - warknęła.
- Muszę porozmawiać z mistrzem Neklinem. Możesz mu przekazać wiadomość ode mnie?
- Zanoszę tylko jadło. Nie rozmawiam z nikim. On tam ciągle siedzi. Dnie i noce całe.
- Nie wraca czasem do żony?
- Nie ma żony. Żadna by z nim nie wytrzymała. Pracuje i mieszka tam. - Wskazała głową za siebie.
- No, ale kiedyś chyba wychodzi?
- Tylko na kolacje. Podobno mówi, że te, które mu przynoszę, są niesmaczne. Akurat!
- A gdzie chodzi na te kolacje?
- Do „Pijanego Tłusciocha”. A co? - Spojrzała czujnie na chłopaka. - Czemu się dopytuje? Jeszcze kłopoty jakie będą przez niego!

Przyspieszyła kroku, ale Noan jej nie gonił. Zorientował się, w jakiej części pałacu przebywa, i skręcił w kierunku schodów.

* * *

Karczma „U Pijanego Tłusciocha” wyglądała prawie tak, jak się nazywała. Za barem stał tłuscioch. Wyglądał wprawdzie na trzeźwego, ale do północy to mogło się zmienić. W niezbyt jasnej, wypełnionej zastałym powietrzem sali siedziało paru pijanych bywalców z wielkimi brzuchami. Noan zamówił piwo i baraninę. Po paru minutach dowiedział się, że porcje są tu duże, ale ceny jeszcze większe. Zjadł ze smakiem i zaczął obserwować drzwi.

Nie miał problemów z rozpoznaniem mistrza, gdy ten wkroczył do karczmy pół godziny później. Zgadzał się z opisem, jaki chłopak znał z rozmów z paroma osobami. Niski, gruby, nieforemny, z długimi i chudymi ramionami. No i umorusany jak górnik. Neklin usiadł przy małym stole z boku sali i gestem zamówił - zapewne to, co zwykle. Noan kupił dwa piwa i podszedł do niego.

- Mogę się dosiąść?
- Czemu tu, skoro w karczmie pełno miejsc? - Neklin powiódł wzrokiem po sali.
- Bo ty, mistrzu, siedzisz właśnie przy tym stole. - Nie czekając na odpowiedź, usiadł. Postawił przed sobą jeden kufel, a drugi przed rusznikarzem.
- Właśnie po to tu przychodzę, żeby przez chwilę mi nie przeszkadzano - zauważył Neklin. - A piwa zwykle nie pijam, żeby przytomność umysłu zachować i nie wysadzić się w powietrze. - Sięgnął jednak po kufel i upił spory łyk.

- Słyszałem, że przygotowujesz nowy rodzaj muszkietu.

- Chłopak postanowił nie tracić czasu.

Neklin spojrzał na niego badawczo.

- Nie jesteś szpiegiem - stwierdził po chwili. - Zresztą to byłby najgłupszy sposób zdobywania informacji.

- Chcę współpracować. - Noan pokazał mu sygnet.

- Pomóc ulepszyć tę broń.

- To nie jest tajemnica - zastanowił się Neklin. - Oficjalna prezentacja ulepszanego karabinu odbędzie się lada dzień. Jeśli Sinevar ma tu szpiegów, i tak już wiedzą... Znasz się na broni palnej?

Noan pokręcił głową.

- Więc jak chcesz ją ulepszyć?

- Mam pewien pomysł i ogólne pojęcie, jak działa muszkiet, ale musiałbym dokładnie go obejrzeć, mistrzu. To zajmie kilka minut, a efekt może być wiele wart.

- Kilka minut, mówisz?... Przyjdź za godzinę do pracowni. Kilka minut mogę ci poświęcić.

- Nie mam przepustki.

- Przepustki? Starczy, jak powiesz strażnikowi, że cię znam. A teraz już mnie zostaw. Z tych kilku chwil spokoju nie zamierzam rezygnować.

Noan skłonił się i odszedł w momencie, gdy karczmarz postawił na stole misę gulaszu.

* * *

Maszyna wysokością dorównywała dorosłemu człowiekowi i przypominała powiększony mechanizm zegara, który Noan widział parę dni temu: koła zębate, sprężyny i mimośrodę. Niewielkie pomieszczenie śmierdziało oliwą maszynową i czymś jeszcze, od czego kręciło w nosie. Podłoga była usłana kartkami papieru. Niektóre były prawie białe, jakby ktoś nie zauważył, że na piórze skończył się atrament, i pisał dalej, zostawiając jedynie cień liter, a niektóre zalane tuszem, z literami zamienionymi w serie wielkich kleksów. Na wszystkich kartkach było jednak to samo - kolejno wymieniane litery alfabetu, najpierw małe, potem wielkie, a na końcu cyfry i inne, powszechnie używane znaki.

W świetle żarówki błyszczała łysina śpiącego na krześle niskiego człowieka. Noan wyciągnął rękę, by obudzić go, ale zrezygnował. Wyjął z torby księgę i położył ją na stoliku, podniósł z ziemi najmniej zadrukowaną kartkę, napisał na niej „Nie chciałem budzić. Oto

księga, którą możesz pan użyć do testów. Orestes Gaolin", po czym złożył ją na pół i postawił na okładce, by Hedfus jej nie przeoczył.

Wymknął się cicho na korytarz i ruszył do pracowni Neklina. Strażnik, ten sam co przedtem, niechętnie przepuścił chłopaka.

Mistrz zajęty był podpisywaniem dokumentów. Od razu zauważył Noana, odłożył pióro i powiódł w głąb swojego królestwa. Mijali kolejne warsztaty z uwijającymi się mimo późnej pory czeladnikami. Noan zauważył skrzynie pełne nowych karabinów, ale Neklin chwycił go za ramię i wprowadził do niewielkiego kantorka. W świetle lampy elektrycznej Noan ujrzał leżący na blacie, błyszczący nowością karabin.

- To nowa konstrukcja - powiedział Neklin. - Z tego tygodnia. Przeszła pomyślnie niemal wszystkie testy.

- Niemal?

- Ostatni to test bojowy. Za dwa dni karabiny trafią na front wraz z nowym oddziałem poborowych.

- Poborowych? - przerwał mu Noan.

- To niemal pewne. Pobór będzie, bo inaczej... - Mistrz pokręcił głową. - Karabin strzela sześć razy szybciej i znacznie celniej niż muszkiet. Jeśli wiesz, jak go usprawnić, królestwo będzie ci wdzięczne, ale prawdę mówiąc, nie wiem, co można by tu poprawić. To najlepsza broń, jaką posiadamy.

Noan przejechał dłonią po powierzchni lufy.

- Jak daleko można strzelać z tego karabinu? - zapytał.

- Nieco ponad trzy tysiące stóp - odparł rusznikarz. - Celnie do tysiąca stóp. Mając szczęście albo bardzo dobre oko - półtora tysiąca. Dalej to loteria.

- A gdybym chciał zrobić karabin strzelający na pięć tysięcy stóp? Albo dalej?

- Starczy dłuższa i grubsza lufa oraz mocniejszy ładunek - odparł Neklin. - Oczywiście jest to wykonalne, ale po co? Taki karabin musiałby ważyć dwa razy więcej, a celność przy odległości powyżej tysiąca stóp... Cóż z tego, że kula może przelecieć pięć tysięcy stóp, skoro strzelec nie widzi własnego celu? Weź to w rękę.

Noan chwycił podany mu karabin i omal go nie upuścił. Broń wydawała się zrobiona z litego ołowiu.

- Spróbuj biec z czymś takim przez kwadrans - dodał rusznikarz. - A oprócz karabinu będziesz miał drugie tyle innego żelastwa.

- Może nie trzeba będzie biegać - uśmiechnął się Noan, z trudem odkładając karabin na blat. - Dziękuję, mistrzu, za poświęcony czas. Jutro ktoś pojawi się z gotowym projektem.

Kilka minut później szedł już tłoczonymi ulicami Miduhr w kierunku swojego azylu. Szedł do Perac, a łóżko i ona miały być nagrodą za pracowity dzień i obmyślenie ratunku dla Wydziału Astronomii. Tak więc najpierw czekała go jeszcze godzina, może więcej intensywnej pracy. Stworzenie czegoś przydatnego dla armii nie było żadnym problemem, ale powiązanie tego z astronomią, już tak.

Nietykalność powróciła wraz z determinacją. Tłum rozstępował się przed nim jak ławica płotek przed rekinem, a wszyscy czynili to nieświadomie, nawet nie zauważając chłopaka. Dopiero po skręcie w zaułek czerwonych latarni zdarzył się wyjątek. Zbir wyrósł przed nim jak spod ziemi. Nóż w dłoni wielkiej jak bochen chleba i barki w węzłach mięśni przechodzące w kark jak u byka. Noan zatrzymał się i popatrzył mu w oczy. Zdawał się nie rozumieć, co się dzieje. Mężczyzna również patrzył na Noana, a wyraz jego twarzy zmieniał się szybko. Determinacja ustąpiła miejsca zdziwieniu, a wreszcie przerażeniu.

- Przepraszam - wydukał i wypuścił nóż. Odwrócił się i odbiegł w ciemność.

Noan odprowadził go wzrokiem i ruszył dalej. Gdy przekraczał próg „Czarnej Róży”, nie pamiętał już o incydencie.

* * *

Łóżko Perac i „Czarną Różę” opuścił dopiero rano, lżejszy o kolejnych piętnaście groszy, sumę, która niegdyś wydawała mu się majątkiem. Skierował kroki do pracowni Anneas Pasco. Nikt nie próbował go zaczepiać. Niewidzialna ochrona zapewniała mu wolną przestrzeń na wyciągnięcie ramion. Ledwie zamknął za sobą drzwi pracowni, optyk wyłonił się zza zasłony kryjącej tętniące pracą zaplecze, jeśli można tak nazwać sporą halę pełną uwijających się ludzi. Ta pracownia również została w ostatnich dniach rozbudowana kosztem piwnic sąsiednich domów.

- Chciałbym ci zaproponować umowę, mistrzu - powiedział Noan. - Umowę, dzięki której być może zarobisz na maszynę parową i dociągnięcie tu elektryczności. Wiesz oczywiście, co chcę w zamian?

* * *

W bibliotece było chłodno, zimne powietrze wsączało się do środka przez uchylone drzwi tarasowe. Astronom drzemał w fotelu. Na owiniętych kocem kolanach leżała otwarta księga z tabelami gwiazdnymi. Noan stanął nad nim i przypatrywał mu się dobrą minutę.

Potem wrócił do drzwi i z hukiem je zamknął. Mistrz drgnął, rozbudzony hałasem. Księga spadła na podłogę.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem, mistrzu. - Chłopak schylił się po księgę.

Anvis wstał i przeciągnął się.

- Wiesz, co zaobserwowałem? - zapytał.

- Tanur schowała się za horyzontem? - odpowiedział pytaniem uczeń. - Tuż przed świtem?

- Skąd wiesz? Wyliczyłeś to? Widziałeś?

- Przeczytałem dokładnie księgi matematyczne i wyciągnąłem wnioski. Udało mi się wyliczyć drogę Tanur po sferze niebieskiej. - Noan nie przeczytał ksiąg, nie miał na to czasu, ale wiedział dokładnie, co w nich napisano. Wydało mu się to dziwne, ale szybko jego myśli powędrowały dalej. - Mam obiecany wynalazek. - Odgarnął papiery i położył w tym miejscu kartkę z rysunkiem. - Celownik optyczny do karabinu mistrza Neklina - wyjaśnił. - Mała luneta przymocowana ponad lufą. Jej oś jest równoległa do osi lufy.

W płaszczyźnie powstawania obrazu umieszczony jest krzyżyk. Wystarczy nakierować go na cel i nacisnąć spust. Te śruby z boku służą regulacji w pionie i poziomie. Zapewne doświadczony mechanik poprawi nieco ich ułożenie. Myślisz mistrzu, że to wystarczy, żeby uratować Wydział Astronomii? Anvis patrzył na rysunek i usiłował sobie wyobrazić, jak celownik może działać. Pomysł na zastosowanie lunety do przybliżenia celu był niezwykle. I tak prosty, tyle że nikt wcześniej na niego nie wpadł.

- Myślę, że udowodnimy tym swoją przydatność.

- Mistrz z ożywieniem pokiwał głową. - Trzeba znaleźć kogoś, kto zrobi prototyp...

Noan położył obok mosiężną tulejkę szukacza z własnego teleskopu.

- Na początek, do testów powinno wystarczyć. Wiem, że kula lecąc, opada tak samo jak rzucona swobodnie, więc trzeba będzie dodać podziałkę zależną od odległości. Rysunek podziałki umieściłem tutaj, a tu propozycję mocowania do korpusu karabinu. Najlepiej będzie, mistrzu, jak niezwłocznie udasz się do pracowni rusznikarskiej, by przedstawić projekt.

- Wiesz, jak wygląda karabin? - zdziwił się Anvis.

- Rozmawiałeś z mistrzem Neklinem?

- Wiem od Orestesa Gaolina. On rozmawiał.

XIII

Nie chciał tego robić, ale jednak to robił. Może szalę przeważyla ciekawość, może brak zajęć i wiszące w powietrzu napięcie. Hood wolał wersję, w której czynił to z poczucia obowiązku. Ociężale kroczył korytarzem w pełnym skafandrze z zapasem tlenu na półtorej godziny. Obok szła drobna Jayde. Miała na sobie tylko zwykły kombinezon. W porównaniu z mężczyzną w skafandrze wydawała się jeszcze mniejsza.

- Nie ociągaj się tak - powiedziała. - Nie łamiemy regulaminu.

- Załóż to na siebie, to zrozumiesz, czemu idę tak wolno.

Dotarli do ładowni. Miała służyć wewnętrzną z instalacją do dekontaminacji. Dotychczas nie było konieczności korzystania z niej, z powierzchni Ruthar Larcke bowiem nie wracał żaden próbnik ani ładownik. Do ładowni można też było wejść przez duże wrota. To z nich ostatnio korzystał Stuart. Jeśli rzeczywiście pojawiły się tam niewykrywalne drobnoustroje, być może wystarczającą barierą dla nich było minimalne podciśnienie. To wyjaśniałoby, dlaczego reszta załogi była jeszcze zdrowa.

- Uwiera mnie wszystko - narzekał Hood.

- Nie mów, że masz tam w środku kurtkę skórzaną.

- Chcesz się zamienić?

- Losowaliśmy - przypomniała. - Zgodziłeś się. Zresztą, jeśli to coś przedostanie się przez służy, ja zarazę się pierwsza. Na statku jest tylko jeden medlab, na razie niezdatny do użytku. Musimy wiedzieć, co się stało ze Stuartem, żeby nie przydarzyło się i nam.

Jayde nie patrzyła już na niego. Przyciskiem otworzyła pierwsze drzwi służby i uprzejmym gestem wskazała drogę.

Wszedł wolno. Kombinezon kosmiczny w pełnej grawitacji był wyjątkowo niewygodny. Ważył prawie trzydzieści kilo i człowiek ruszał się w nim jak słoń. Tym bardziej, kiedy miał

na sobie skórzaną kurtkę.

Pierwsze drzwi zasunęły się, a ponieważ różnica ciśnień była nieznaczna, niemal od razu otworzyły się te od strony ładowni. Hood przekroczył próg i skierował się do najbliższego kontenera z sondą. Odpiął klamry. Wewnątrz, unieruchomiona elastycznymi obejmami, znajdowała się sonda, identyczna z tą, którą posłali na planetę. Mieli ich jeszcze kilkanaście. Ważyła około półtorej tony, ale Hood potrzebował jedynie jej niewielkiego elementu. Sięgnął po przypięty do pasa unitool, otworzył odpowiednią głowicę i odkręcił nią trzy śruby przy jednym z sensorów. Sonda, wchodząc w atmosferę, obracała się tak, że wszystkie czujniki znajdowały się z tyłu, w chmurze chłodzącego je wodoru. Dzięki temu potrafiła wyhamować w dolnych warstwach atmosfery, a sensory nie ulegały przegrzaniu. Hood miał zamiar wymontować jeden z nich, ADCOM - zaawansowany wykrywacz złożonych cząstek organicznych. Elektroniczny nos wychwytywał z powietrza cząstki organiczne znanego typu i dokonywał ich wstępnej analizy. Następne urządzenie, które nie interesowało teraz Hooda, wciągało je, odfiltrowywało na specjalnym materiale, po czym zamrażało do dalszej analizy w laboratorium.

Trzecia śruba spadła na podłogę ładowni. Hood ostrożnie wysunął sensor - miał kształt spłaszczonego ryja z dopiętym z tyłu sporym pudełkiem oplątanym kablami w błyszczącej izolacji termicznej. Wszystko kończyło się cienkim przewodem z okrągłą wtyczką. Hood sięgnął niezgrabnie do wnętrza sondy i wyciągnął przewód.

Kombinezon miał na sobie drugi raz w życiu. Pierwszy raz był podczas przyspieszonego szkolenia astronautycznego. Wtedy trwało to pięć minut i spocił się jak mysz, bo obsługa klimatyzacji była omawiana koło czwartej minuty. Teraz też się pocił, ale z innego powodu - wewnętrzny obieg powietrza nie zakładał, że użytkownik będzie ubrany w skórzaną kurtkę.

Przełożył sobie przez ramię wydobyte z sondy urządzenie. Gdy próbował chwycić wtyczkę poprzez grubą rękawicę, poczuł, jakby zamiast dłoni miał racicę. Po kilku bezowocnych próbach złapania niesfornej wtyczki był bliski zdjęcia rękawicy. Oczywiście nie zrobił tego. Chwycił ją, jakby była wyrywającą się rybą, i spróbował wepchnąć do gniazda w książniku. To również nie było łatwe. Udało się po dziesiątej chyba próbie, ale się udało! Wtyczka pasowała. Hood odetchnął z ulgą. Błogosławiona unifikacja. Zaczekał, aż książnik ściągnie *software* z procesora - jeszcze raz błogosławiona unifikacja. Ekran wypełnił się przyciskami startującego analizatora. I od razu czerwony alarm „Wykryto nieznaną formę życia!”.

- Jest! - Hood przelknął ślinę. - Kwarcowy Kretyn musiał o tym wiedzieć.

- Jasne, że musiał - zabrzmiało w słuchawkach. - Zaczekaj do końca analizy.

Hood patrzył na obracający się znaczek pracującego programu. Poniżej przesuwaly się rzędy liczb, niezrozumiałe wzory i skróty. Po lewej stronie wyświetlił się pusty prostokąt i teraz bezładnie zapełniał się kolorami. Zapewne miało to obrazować postęp analizy.

Hood rozejrzał się nerwowo - miał wrażenie, że jest obserwowany. Oczywiście w ładowni było kilka kamer i cała akcja była nagrywana, ale nie chodziło o to. Przykre uczucie trudno było zignorować. Odwrócił się i jego wzrok padł na spory kontener przypięty do podłogi w kącie ładowni. Z pewnością nie był to element wyposażenia ładowni, jak twierdził komputer. Podszedł do niego. Oznaczenia wymalowane na burcie kontenera nie były oznaczeniami Agencji. Najbardziej kłuł w oczy jaskrawoczerwony napis na żółtym tle „Niebezpieczeństwo. Nie dotykać” i mniejszy „Obsługa tylko przez autoryzowany personel”. Kto to jest autoryzowany personel? Kto, jeśli nie załoga statku?

Obszedł całą ładownię. Węszył elektronicznym nosem po kątach, badając stężenie nieznanej substancji. Najwyższe było przy wrotach śluzy towarowej.

Trwało długie pięć minut, nim prostokąt zapełnił się kolorowymi paskami, a program poinformował o zakończeniu procesu. Hood zapisał wyniki w pamięci podręcznej księżnika, choć przesłania kopii na serwer i tak nie można było uniknąć. Wypiął ADCOM z księżnika i luzem włożył go do kontenera sondy. Wrócił do śluzy i wcisnął przycisk zamykania drzwi. Syknął przesuwany mechanizm i odciął go od ładowni. Pomieszczenie w jednej chwili wypełniło się aerozolem środka dekontaminacyjnego, który dotarł do najmniejszych szczelin i załamań powierzchni skafandra. Pół minuty później mgła opadła, a jej resztki wyssał wentylator.

Hood wyszedł na korytarz i z ulgą wyswobodził się ze skafandra. Spływał potem. Z pomocą Jayde zaciągnął skafander do szatni śluzy zewnętrznej i odwiesił na miejsce.

- Czuję się jak spiskowiec - stwierdził.

- Nie zrobiliśmy nic złego - odparła dziewczyna. Regulamin nie odnosił się w żaden sposób do wchodzenia do ładowni w kombinezonie kosmicznym bez pytania dowódcy o zgodę, ale nie byłoby miło tłumaczyć się z tego przed Thomsonem. Spał, wachta należała do Jayde.

- Nie mam pojęcia, co to jest - mruknęła, przeglądając na swoim księżniku raport analizera. - Nie znam się na tym.

- Kvarcowy Kretyn raczej nam nie pomoże. Nie chce nam udostępnić nawet informacji o próbce krwi tego chłopaka.

Jayde przytaknęła w zamyśleniu. Przewijała raport w tę i z powrotem. Mężczyzna wstał i ruszył w kierunku kwater.

- Gdzie idziesz? - Jayde oderwała się od przeglądania niezrozumiałych wzorów.
- Przebrać się - odparł, nie oglądając się. - Jestem cały mokry. Jeszcze się przeziębę.

XIV

Wreszcie przestało padać, ale wszechogarniająca wilgoć i tak była nie do zniesienia. Tedrunel zapalił cygaro i zapatrzył się w noc. Usytuowanie obozu sztabowego na pagórku miało przynajmniej tę pozytywną stronę, że człowiek nie budził się w środku nocy w łóżku, które po kolejnej ulewie znalazło się poniżej linii wody. Ale błoto i tak oblepiało buty do kolan. Jedyną korzyścią z takiej pogody był względny spokój na linii frontu. Karabiny zawodziły rzadziej niż muszkiety, ale podczas deszczu widoczność była tak mizerna, że walka zamieniała się w starcia na broń białą. Tego nie lubili ani muszkieterzy, ani karabinierzy. Nie do tego byli szkoleni. Sinevarscy dowódcy woleli więc przeczekać kilka dni, niż wykrwawiać najlepsze oddziały. Po tamtej stronie chyba bardziej szanowali żołnierzy.

Ponad majaczącymi w ciemności najbliższymi drzewami niebo miało barwę doskonałej czerni, upstrzonej gwiazdami. Jedna z nich świeciła wyjątkowo silnie. Niecałe trzydzieści mil na północ zaczynało się terytorium opanowane przez wroga. I twierdza Midaron, w której zapewne właśnie opróżniane są piwnice z winem. Wraz z miastem w ręce Sinewarów wpadły magazyny żywności i arsenał, którego z powodu deszczu nie udało się wysadzić.

Za plecami generała znajdował się największy namiot, z którego dobiegały teraz gniewne okrzyki spierających się nad mapami dowódców. Tedrunel wiedział dokładnie, jak będzie się rozwijała dyskusja i do jakich wniosków dojdą ci starzy krety. Wiedział, że po raz kolejny zapadnie decyzja o frontalnym ataku. Decyzja - chyba najgorsza z możliwych. Po tylu dniach ulewy co drugi strzał z muszkietu był niewypałem. Tedrunel zamierzał się temu przeciwstawić, bo w grę wchodziło życie kilkuset żołnierzy. Teraz ich los zależał od jego stanowczości. I nie chodziło tu tylko o tych młodych chłopców, ale o wyczerpujące się zasoby ludzkie królestwa. Starzy generałowie myśleli w kategoriach mocarstwa, które posyła na śmierć tysiąc żołnierzy, tylko po to, by zademonstrować swą potęgę. Potęga... Potęga była przeszłością, mitem, mgłą. A generałowie nie przyjmowali tego do wiadomości. Rzucali na

pożarcie lepiej uzbrojonemu przeciwnikowi kolejne bataliony, postępując wedle dawnej strategii, że wroga zawsze da się zdeptać. Tym razem wróg był liczniejszy, lepiej wyszkolony, lepiej dowodzony. A ci ignoranci zdawali się nie zauważać, że namioty sztabu co kilka dni są przenoszone bliżej Miduhr. Zbrodnicze marnowanie sił i środków, zaślepienie, które powinno być karane sądem polowym, pomyślał Tedrunel. Ale jedyne, co mógł zrobić, to próbować przekonać stetryczałych starców w mundurach obwieszonych dziesiątkami medali, żeby nieco zmodyfikowali plan na następny dzień. To „nieco” oznaczało, że przeżyje kilkuset żołnierzy więcej, a linia frontu przesunie się o pół mili mniej. Dzisiaj czekała go kolejna przeprawa. Próbował przeforsować, by, wykorzystując deszcz, pozwolić żołnierzom pierwszej linii okopać się i wciągnąć przeciwnika w wojnę pozycyjną. Wiedział, jak zareagują inni generałowie. Zaczną mówić o tchórzostwie, o dyshonorze. Wiedział, że jeśli nie zdoła wymusić wykonania okopów, to za dwa dni, jak na dobre przestanie padać, wojska Enagoru cofną się znów o milę, może dwie. Zapowiadała się solidna pyskówka, bo inaczej tego nazwać nie sposób.

Rzucił na ziemię na wpół wypalone cygaro i odwrócił się w stronę namiotu. Zamarł w połowie pierwszego kroku. Przed nim stał niski człowieczek w dziwacznie eleganckim stroju, składającym się ze spodni, kamizelki i surduta. Przez chwilę generał miał wrażenie, że to sen. Ten człowiek z pewnością nie powinien się znaleźć w tak pilnie strzeżonym miejscu.

- Mam wiadomość od Evoli - powiedział.

Tedrunel zbladł.

- Skąd?... Jaka wiadomość? Przecież ona... - Rozejrzał się, pochylił i odciągnął intruza na bok, w cień. - Skąd się tu wziąłeś? Kim w ogóle jesteś?

- Przyjacielem.

- Nie wiem, kto cię przysłał ani jak minąłeś strażę, ale Evola z pewnością nie przesyłała wiadomości w ten sposób. Zaraz zostaniesz aresztowany.

Człowieczek parzył na niego w milczeniu.

- Nie wezwałeś straży, generale - stwierdził spokojnie. - To znaczy, że nie chcesz ich wezwać. Znaczy to również, że będziemy mogli chwilę porozmawiać. Od tej rozmowy będzie zależało całe twoje życie.

Generałowi nie podobał się ton jego głosu. Postanowił jednak wysłuchać, co tamten ma do powiedzenia.

- Mów, byle szybko. Potem zastanowię się, co z tobą zrobić.

- Nie tu. Za trzy minuty przy latrynie.

Odwrócił się i odszedł w ciemność. Tedrunel zaklął pod nosem i ruszył w kierunku

drewnianych budek, stojących w pewnym oddaleniu od namiotów, po zawietrznej. Latryny przewożono specjalnym wozem na końcu konwoju sztabowego. Ze względu na różnice w topografii terenu, co kilka dni zmieniał się układ namiotów i nieraz szybkie znalezienie wychodka okazywało się problemem. Podszedł do pięciu budek. Do drzwi jednej przybita była gwoździem kartka. Zaintrygowany podszedł bliżej, zmrużył oczy i odczytał w świetle bijącym od namiotów „Wejdz”. Papier był suchy, więc umieszczono go tu przed chwilą.

Rozejrzał się. Nadawca wiadomości mógł być wrogiem. Powinien więc natychmiast ogłosić alarm! Wtedy jednak musiałby powiedzieć o kurduplu i wyjaśnić, dlaczego nie wszczął alarmu wcześniej. Z kolei schwytany intruz z pewnością opowie o Evoli. Skąd on do diabła wiedział?! Kto go przysłał?

Generał obejrzał się na obóz. Z tej odległości namioty wyglądały jak przygasające lampiony bezładnie rzucone na ziemię. Zaciśnął zęby i wszedł do wychodka. Był niemal pewien, że intruz już tu będzie. Nikogo. Czekał więc w milczeniu, nawet ciekaw, jaką wiadomość ma dla niego Evola. Obawiał się, że ten nieformalny i wysoce ryzykowny związek wyjdzie na jaw. Dziewczyna była jego kochanką od wielu lat. Nic w tym niezwykłego wśród wysokich rangą oficerów, jednak Tedrunel pod pewnym względem był wyjątkiem - Evola zadawała się z wolnomyślicielami i krytykami monarchii, natomiast kariera generała wystartowała i nabrała rozpędu dzięki żonie, skoligaconej z samym Mechelonem. To, co kiedyś było atutem, teraz powoli stawało się kulą u nogi, a mogło stać się również przyczyną upadku. Somnia w kilka lat po ślubie z uroczego dziewczęcia poczęła przepoczwarzać się w grubą, złośliwą żonę, z którą nie potrafił już rozmawiać.

Może Evola jest w ciąży?... Uśmiechnął się przelotnie. Od dawna pragnął potomka, a Somnia nienawidziła dzieci. Nieślubne dziecko było lepsze niż brak dziecka.

Usłyszał zduszony jęk i plaśnięcie czegoś ciężkiego w błoto. Na granicy słyszalności przemknęło chyłkiem kilka postaci. Może ktoś zauważył intruza i go szukają? Tedrunel miał nadzieję, że zabiją go w pościgu. Jaka by to nie była wiadomość, niechby i ciąża, dowie się w swoim czasie. Jak ona mogła być tak nierozsądna, żeby przysyłać posłańca do sztabu? Nie, to jakiś podstęp. To nie mogła być ona.

Odgłosy kłótni z głównego namiotu stawały się coraz głośniejsze. Dawalo się wyraźnie usłyszeć wrzaski generała Keltera, który po serii klęsk poprzednika został głównodowodzącym. Sytuacji na froncie to nie poprawiło, za to temperament nowego dowódcy często zamieniał narady w kłótnie. Tedrunel postanowił odczekać kilka minut przed powrotem.

Dopiero na dźwięk szczęku ostrzy generał zrozumiał, że to nie jest zwykła kłótnia.

Otworzył drzwi latryny i zmartwiał. Namiot dowództwa, pocięty w wielu miejscach, ogarniały właśnie jęzory ognia. W ich jasnym świetle rozgrywał się teatr cieni - regularna bitwa kilkudziesięciu postaci. Odgłosy kłótni były wykrzykiwanymi rozkazami. Opodał, odziani na czarno napastnicy walczyli ze strażnikami, zakrwawieni oficerowie wybiegali z namiotów. Generał Kelter wypadł przez rozprute płótno namiotu, próbował wstać, ale nagle zeszytniał i leżł bez ruchu. Z jego pleców wystawał trzonek sztyletu. Padły pierwsze strzały i spowiły namiot kłębamii sinego dymu.

Tedrunel ocknął się z osłupienia, wyciągnął szablę i ruszył w środek zamieszania. Gdy dobiegł do namiotu, wprost na niego wpadł czarny żołnierz. Nie miał zbroi, był owinięty czarnymi szmatami, które miały maskować go w ciemności, teraz jednak na tle płomieni ogarniających już dach namiotu był doskonale widoczny. Jego jedynym uzbrojeniem była szabla. Generał ciął z góry, niemal odrąbując przeciwnikowi głowę, ominął go i wpadł do środka. Z wnętrza buchał taki żar, że natychmiast się cofnął. Zdążył tylko zobaczyć, że podłoga usiana jest gęsto trupami napastników. I generałów.

Wokoło pojawiło się pełno żołnierzy w brązowych płaszczach z godłem Mechelona. Poniewczasie. Wszyscy napastnicy leżeli już martwi. Obok generałów, pułkowników i reszty oficerów dowództwa armii.

- Wyłapcie wszystkich! - Tedrunel odzyskał zdolność logicznego rozumowania. - Niech wiadomość o tym, co się stało, nie trafi do wroga. Nikt, nawet oficer, nie ma prawa opuścić obozu. Podwoić straż. Absolutnie nikt nie może się stąd oddalić.

Ugaszono namiot i zaczęto wynosić trupy. Akcja zamachowców została przeprowadzona perfekcyjnie i fachowo.

Rany zadawano tak precyzyjnie, by zabić za pierwszym ciosem. Do oglądających to nielicznych oficerów i jedyne go ocalałego generała powoli zaczynała docierać okrutna prawda: oto praktycznie przestało istnieć dowództwo armii. Sztab Enagoru został unicestwiony.

- Podkradli się - z przejęciem wyjaśniał jakiś żołnierz.
- Przecięli płótno i wpadli do środka jednocześnie ze wszystkich stron. Nim ktokolwiek się zorientował, połowa generałów już nie żyła.
- Nie trwało to nawet minuty - dodał drugi żołnierz.
- Widzieliśmy ich, jak tną ściany. Widzieliśmy dokładnie. Nie zdążyliśmy dobiec.
- Ilu ich było? - zapytał generał.
- Dwudziestu... może kilku więcej. Zaraz policzymy ciała. Jak oni chcieli uciec?

- Nie mieli uciec. To była misja samobójcza. Po chwili do Tedrunela dotarło jeszcze coś.
- Gaarod jest w Miduhr. Zostanie głównodowodzącym - szepnął z przerażeniem, po czym dodał głośniejszym głosem - wyślijcie meldunek do króla. Sinevarzy nie wiedzą, że akcja się udała. Musimy sprawić, żeby uwierzyli w fiasko. Nikt nie może opuścić obozu, do zmiany rozkazu.

Trupy wyniesiono. Tedrunel szedł wzdłuż ułożonych równo ciał. Nie było wśród nich nikogo nienaturalnie niskiego wzrostu.

* * *

Poranek był chłodny i chmurny, więc słudzy czekali z parasolami w bliskości tronu. Prócz króla, na bocznym placu, oddzielającym pałac od muru, było prawie pięćdziesiąt osób, w tym dwudziestoosobowy oddział karabinierów. Mechelonowi, prócz stałej dworskiej obstawy, na własne życzenie towarzyszył również generał Gaarod. Na środku stał stół z karabinem i nowym modelem pistoletu oficerskiego. Mniej więcej tysiąc stóp dalej umieszczono wielką tarczę.

Romozel skłonił się przed królem i zapytał, patrząc na generała:

- Ile czasu potrzebuje kula, by przelecieć tysiąc stóp?

Generał stał nieruchomo, jakby nie jego dotyczyło pytanie. Stojący obok Neklin chwilę coś przeliczał w myślach, po czym orzekł:

- Prawie sekundę.

- Tak też wyszło z moich wyliczeń. - Romozel skinął głową. - Dla pewności przeprowadzimy prezentację. Użyję precyzyjnego czasomierza, dzieła jednego z najwybitniejszych mistrzów Akademii. - Wyjął z kieszeni błyszczący srebrem dysk na łańcuchu. Nacisnął przycisk, otwierając klapkę zasłaniającą ozdobny cyferblat. - Ten czasomierz ma tak zmyślny mechanizm, że pozwala na mierzenie upływu czasu od momentu wciśnięcia przycisku. To ułatwi sprawę i odsunie wątpliwości w niebyt. Może pan zademonstruje, mistrzu?

Wskazał Neklinowi karabin i wielką tarczę. Neklin z niechęcią podszedł do stołu, uniósł karabin i wymierzył. W momencie strzału Romozel nacisnął przycisk. Gdy tarcza pękła, nacisnął go ponownie.

- Zero koma dziewięć sekundy - odczytał na głos.

- Pan też jesteś zwolennikiem systemu dziesiętnego? - zapytał ze złością jeden z członków rady.

- Podziałka jest w tych jednostkach - odparł Romozel.

- Odczytałem tylko wynik. Dziewięć dziesiątych sekundy, jeśli pan wolisz. Teraz poproszę żołnierza - wskazał pierwszego z szeregu - żeby na mój znak padł płasko na ziemię, jak potrafi najszybciej. Zrozumiałeś?

Chłopak przytaknął.

- Przygotuj się... - Romozel uniósł dłoń i opuścił ją, krzycząc. - Padnij!

Żołnierz rzucił się na ziemię. Romozel spojrzał na cyferblat i oznajmił:

- Cztery dziesiąte sekundy.

- Czegóż to dowodzi? - zapytał generał Gaarod.

- To aż nadto wystarczający czas, żeby po salwie nieprzyjaciela paść na ziemię. - Romozel uśmiechnął się szeroko. Gestem nakazał żołnierzowi wstać i powrócić do szeregu.

- Minie długie pół sekundy, nim kule przelecą ponad naszymi żołnierzami, nie czyniąc im żadnej szkody. Karabinierzy Sinevaru strzelają salwami w dwóch lub trzech liniach. W momencie wystrzału widać dokładnie wielką chmurę dymu. To dostateczny sygnał, po którym można paść na ziemię, wstać po dwóch sekundach i odpowiedzieć ogniem.

- O czym mówisz, były więźniu? - warknął generał.

- Mamy kazać żołnierzom kłaść się podczas bitwy?

Romozel podszedł do szeregu żołnierzy.

- Mówię o psychologii. Co myśli młody chłopak, wyrwany siłą z rodzinnego domu, gdy widzi strzelającego w jego pierś wroga? - Poklepał po ramieniu uczestniczącego w prezentacji żołnierza. - Co myśli, skoro może liczyć jedynie na łut szczęścia, że kula przejdzie bokiem? Powiem panu, generale Gaarod, co on sobie myśli. On wtedy nie czuje ducha walki, nie chce ginąć za królestwo. Chce być jak najdalej od tego piekła, bo wie, że po pierwszej salwie nastąpi druga, trzecia, dziesiąta, a on wciąż będzie siedł w szyku z coraz mniejszymi szansami na przeżycie następnej minuty. Wokół będą padać jego towarzysze, konać, wyć z bólu. A nawet jeśli bitwa zostanie wygrana, to jutro, pojutrze czekać go będzie to samo. Ten...

- Pan obraża honor żołnierza Enagoru! - oburzył się generał.

- Wojen nie wygrywa się honorem, tylko rozsądkiem.

- Żołnierze Enagoru nigdy nie będą padać na twarz przed wrogiem! - wybuchnął generał.

- Regulamin zabrania okazywania tchórzostwa!

- Tchórzostwa? Czy to na pewno właściwe określenie? Generale Gaarod, ilu żołnierzy straciłeś pan przez ten punkt regulaminu?

Generał coraz bardziej czerwieniał na twarzy.

- Nie masz pan pojęcia o wojnie - warknął z wściekłością. - A o honorze tym bardziej!

- Pytałem, ilu żołnierzy poświęciłeś pan w imię tego punktu regulaminu? - Romozel od niechcenia wziął pistolet oficerski i zaczął obracać go w dłoni. Jego głos pozostawał donośny. Nawet król słuchał uważnie. - Ilu zginęło, bo nie wolno im było się choćby schylić? Trzy tysiące? Pięć tysięcy? Dziesięć tysięcy? Licząc lekko, od wiosny stracił pan pięć pułków, które teraz mogłyby zatrzymać nawałę wroga.

- Jak śmiesz, degeneracie?!

- Obrażasz mnie pan? - Socjolog udał zaskoczenie. - Pan, który tyle mówisz o honorze? Proponowano zmianę tego punktu już dawno. Byłeś pan przeciw! Gdyby nie ty, teraz nie plamilibyśmy honoru Enagoru, wycofując się z każdym dniem i oddając własne ziemie.

Gaarod wreszcie nie wytrzymał. Wycharczał nieartykułowane przekleństwo, wyszarpnął z pochwy szablę i runął na Romozela. Ten nawet nie drgnął - wolno uniósł pistolet i nacisnął spust. W huku wystrzału chmura dymu spowiła generała. Gaarod padł na bruk. W zapadłej nagle ciszy podniósł się dźwięk upadającej na kamienie szabli.

Gwardziści chcieli rzucić się na socjologa, a generał Kanien, siwy i wysoki, ale wątłej postury, już wyszarpnął broń. Król powstrzymał ich gestem.

- Proszę o wybaczenie, królu. - Romozel opadł na jedno kolano i skłonił głowę niżej niż zwykle. - Nie miałem wyjścia.

Mechelon wstał z tronu, odwrócił się i szybkim krokiem odszedł w kierunku pałacu.

- Śmierć jednego generała być może uratuje życie tysiąca żołnierzy - szepnął karabinier, który wcześniej wykonywał pad.

Romozel przyklęknął nad umierającym generałem i niemal czule dotknął jego policzka.

- Jak mówiłem - szepnął ledwo dosłyszalnie. - Wojen nie wygrywa się honorem.

* * *

- Dlaczego, mój królu, tolerujesz tego człowieka? - Zarkim załamywał ręce. - Czyż można mu zaufać?

- Stracił syna na poprzedniej wojnie z Sinevarem - odparł Mechelon. - Nie darzy ich sympatią. Poza tym, niestety, jest nam potrzebny. Myśli w inny sposób. Widzi luki, których my nie widzimy.

- Jest zagrożeniem. To, co zrobił, to było... zaplanowane i perfekcyjnie przeprowadzone morderstwo!

- Byłem tam, widziałem. Zabił generała planowo, to niemal pewne. Jednak nie sposób odmówić mu sprytu!

- Świadków było kilkudziesięciu - przyznał Armunach.
- Wszyscy pamiętają, że Romozel niczym nie obraził Gaaroda. Wręcz przeciwnie, posłużył się w dyskusji racjonalnymi argumentami. To generał użył kilku obraźliwych słów, co Romozel zniósł ze stoickim spokojem. Zastrzelił w obronie własnej.
- Mam nadzieję, książę, że umiesz przeniknąć pod powierzchowność tych wydarzeń.
- Oczywiście. Dostrzegłem sieć intrygi. Gaarod został sprowokowany. Nie zauważył tego. Złość go zaślepiała, ale... - zawiesił głos.
- Dokończ! - Król wychylił się z tronu.
- Lepiej teraz niż podczas bitwy. Generał Gaarod zestarzał się. Jego metody były jedną z przyczyn naszej klęski.
- Czemu nie mówiłeś wcześniej?
- Mianowałeś go, królu, zastępcą głównodowodzącego. Nie czułem się uprawniony do krytyki twych decyzji.

Król popatrzył uważnie na księcia-rektora i zapytał:

- Dlaczego dopiero Romozel otworzył nam oczy na tak oczywiste sprawy?
- Wcześniej nie było potrzeby unosić powiek. Wcześniej nie przegrywalismy wojen.
- Właśnie! Czy ktokolwiek pomyślał jeszcze wczoraj, że tracimy tylu żołnierzy przez powtarzane po wielokroć banalne błędy w szkoleniu?
- To błędy w sposobie myślenia, królu. - Armunach skłonił głowę. - Wybacz, że to mówię, ale to dotyczy nas wszystkich. Nikt nie pomyślał, że po salwie można paść na ziemię, żeby kule przeleciały górą. To wydaje się teraz oczywiste, ale... to nowa jakość myślenia.
- Dlatego właśnie Romozel jest nam potrzebny. Dasz mi jakąś radę w związku z tym?
- Pamiętaj, panie, że przyjmujesz pod własne skrzydła zmię. Jej jad leczy, ale przede wszystkim zabija.

Mechelon westchnął, spojrzał na księcia, wyjął z pochwy miecz i oznajmił:

- Zwalniam cię z funkcji rektora Akademii Nauk.

Armunach zamarł. Gdy zobaczył króla z wzniesionym do góry mieczem, pomyślał, że ten chce go ściąć. Zamknął oczy, nie uchylił się jednak, czekając na to, co nieuchronne. Król odczekał chwilę, położył miecz na płask na ramieniu księcia i dokończył:

- Niniejszym awansuję cię do stopnia generała. Od tej chwili jesteś głównodowodzącym armii Enagoru.

Armunach parzył na monarchę, nie rozumiejąc tego, co właśnie usłyszał.

- Dziękuję za uznanie, królu - wykrztusił. - Zrobię co w mojej mocy, żeby doprowadzić Enagor do zwycięstwa. Czemu zawdzięczam?... Jest tylu doświadczonych dowódców.

- Dostaniesz nowe oddziały. Podjąłem decyzję o przeprowadzeniu poboru powszechnego. Za dwie godziny rozpoczyna się posiedzenie Sprawiedliwej Izby. Wydarzyło się coś, co unieważnia poprzednią umowę o odroczeniu poboru. Sztab polowy został zniszczony przez mały oddział wroga. Nie wiadomo, jak zdołali się przemknąć przez trzy kordony straży. Zabili niemal wszystkich.

- Kiedy to się stało?! - Armunach był wstrząśnięty.
- Koło północy.
- Konno to dwa dni drogi stąd! Skąd wiesz, królu?
- Akademia Nauk jednak na coś się przydała. Chodź!

Poprowadził Armunacha poprzez półmrok do drzwi i kolejnej, mniejszej i ciemniejszej komnaty. Na solidnej podstawie tkwiła drewniana rama ze szklanymi bańkami jarzącymi się mdłym, fioletowawym blaskiem. Obok siedział na zydelku przygarbiony dworzanin. Wyglądał jak upiór. Na uszy miał założone dwie, spięte wygiętym paskiem metalu poduszki. Kiwał się rytmicznie i zapisywał coś w leżącym przed nim zeszycie.

- Nie słyszy nas - powiedział cicho Mechelon. - Szumów między słowami jest tyle, że musi wpaść w swoisty trans, żeby cokolwiek usłyszeć. Konno to dwa dni drogi stąd.

- Dlaczego nie wiedziałem? - zapytał szeptem Armunach.

- Zapytaj Chavona. - Mechelon pchnął nowo mianowanego generała do drzwi. - Ten wynalazek jest wart wszystkich pieniędzy włożonych w Akademię. Nie żałuję ani jednego miedzianego grosza. Faktem jest, że radio działa.

- Radio?

- Tak nazwał to urządzenie jego wynalazca, Yon Mercom. Imigrant z południa.

- Jest na pensji Akademii - przyznał Armunach.

Przeszli do sali narad. Było tam kilkanaście osób, głównie wojskowych. Na widok króla zaprzestali rozmów i skłonili głowy. Po chwili zasalutowali też Armunachowi - wiedzieli już o nominacji. Do nowego generała podszedł żołnierz. Zasalutował i oznajmił:

- Sierżant Rufus Rabish. Zostałem przydzielony panu na adiutanta.

Armunach przyjrzał mu się. Rufus był młodszy od niego może o trzy lata i wyglądał na pozbawionego jakiegokolwiek doświadczenia. Jednak bystre spojrzenie i energiczne ruchy budziły zaufanie. Armunach skinął głową i podszedł do stołu.

- Teraz najważniejsze to odtworzyć sztab - oznajmił. - Proszę panów o zrelacjonowanie sytuacji. Przy okazji przedstawiajcie się, proszę, bo większości z was nie znam.

Obraz, jaki w ciągu kilkunastu minut przedstawili mu sztabowcy, wydawał się nieprawdopodobny. Specjalnie szkolony oddział wroga wpadł do namiotu sztabowego, gdy

kończyła się narada, a miała się rozpocząć odprawa dowódców. Przy okazji zginęło więc wielu pułkowników. Jakby tego nie było dość, armia Sinevaru ruszyła na południe w takim tempie, że było niemal pewne, że za kilka dni rozpocznie się oblężenie Medgrun, a wkrótce potem i Hamelon.

- Dowodzenie trafi w ręce nieprzygotowanych podoficerów - zauważył Armunach. - Jeszcze o tym nie wiedzą. Co z zabójcami?

- Złapani i zabici - odparł kapitan Ziran, sześćdziesięcioletni, nieco anemiczny oficer łącznikowy.

- Dlaczego ich nie przesłuchano?

- Wściekłość zmylonych strażników była zbyt wielka. Choć jeden był na tyle przytomny, by nadać raport.

- Czy ktoś ze skrytobójców miał szansę się przedrzeć i przekazać jakieś informacje?

- To była misja samobójcza. Nie mieli zamiaru wracać.

Księżę zastanowił się chwilę.

- Wiadomość o tym, co się wydarzyło, z pewnością wywoła panikę wśród żołnierzy. Nic jeszcze nie wiedzą i niech tak zostanie, jak długo się da. Któryś z generałów przeżył?

- Jedynie Tedrunel. Prawdopodobnie jest ranny. Próbuje opanować sytuację na miejscu i nie dopuścić do paniki.

- Przenieśmy sztab do pałacu - odezwał się niespodziewanie Romozel.

- O zmianach w regulaminie będziemy dyskutować później - odparł rzeczowo Armunach, nie podnosząc wzroku znad mapy. - W sprawach militarnych nie zabieraj głosu.

- Miałem się zajmować morale żołnierzy - nie ustępował socjolog. - Wiadomość o zabiciu tylu generałów odbija się fatalnie...

- Sam zabiłeś jednego, łotrze! - wrzasnął na niego generał Kanien.

- Król przydzielił mnie do armii w charakterze doradcy. Myślę teraz o skutkach psychologicznych rozpowszechniania informacji o rozbiciu sztabu.

- Wiemy o nich i bez ciebie. - Księżę spojrzał wreszcie na Romozela. - Tej informacji nie da się zataić przed żołnierzami. Jeśli potrafisz to zrobić, mów jak; jeśli nie, zamilcz.

- Ataku nie zataimy, ale możemy zataić informacje o jego skutkach. Wszystkich żołnierzy w stopniu niższym od podoficera należy przenieść w odizolowane miejsce. Nie mogą wrócić do swoich oddziałów. Oficerowie i podoficerowie zostaną pouczeni, co mają mówić. Oficjalny komunikat dla żołnierzy będzie mówił o ataku na sztab i o kilku zabitych. Oficjalnie też sztab przeniesiemy do Medgrun. Naprawdę przeniesiemy go tutaj. W Medgrun zostanie tylko sztab fikcyjny, który będzie otrzymywał rozkazy drogą radiową. Między

żołnierzami będą krążyć plotki, bo ktoś się pewnie i tak wygada. Te plotki łatwo wygasimy, podpisując niektóre rozkazy nazwiskami zabitych generałów.

- Tak się nie godzi! - oburzył się Kanien.

- Szlachetnie urodzonym należy się uroczysty pogrzeb ze wszystkimi honorami - zawtórował mu Zarkim.

- Pochowamy ich potajemnie - uciął Armunach. - Niech się przysłużą Enagorowi również po śmierci. - Przez salę przebiegł szmer oburzenia. - Jeśli informacja o niepowodzeniu ataku na sztab dotrze do wroga, tym usilniej będzie się starał zdobyć Medgrun. W ten sposób unikniemy ryzyka, że część sił wroga ruszy od razu na Miduhr.

W sali zapanował gwar, oburzeni oficerowie przekrzykiwali się nawzajem.

- Cisza! - ryknął Armunach. - To nie klub dyskusyjny.

Spojrzał na króla, ale ten gestem nakazał mu, by sam decydował.

- Czy możemy polegać na tym radiu? - zapytał Armunach, patrząc po zebranych.

- Jak na razie działa bez zarzutu - odparł niechętnie Kanien. - Mamy zapas części zamiennych.

- Sztab przeniesiemy więc tutaj, a uroczysty pogrzeb generałów poczeka do zwycięstwa. - Armunach odszukał wzrokiem Rufusa i powiedział: - Idź do Chavona, jeśli śpi, to go obudź i powiedz, że jest od tej chwili rektorem Akademii Nauk i że będę potrzebował jak najszybciej jeszcze jednego urządzenia radiowego wraz z kompletem części zamiennych. Ma być przystosowane do transportu wozem i odporne na warunki atmosferyczne. - Znow zwrócił wzrok na mapę. - System figurek nie jest dostatecznie przejrzysty. Ich wielkość powinna odpowiadać liczebności oddziałów. Zmieńcie to. Co się stało z batalionem karabinierów? Mieli wyruszyć dziś.

- Oddział nie został jeszcze skompletowany. Nie ma nawet połowy stanu.

- Więc niech czekają. Jutro dołączą do niego nowi poborowi i wtedy wyruszą. - Armunach pochylił się nad mapą, chwilę przyglądał się twierdzom Medgrun i Hamelon, w stronę których kierowały swe gliniane twarze żółto-niebieskie figurki. Znacznie lepiej, że kierowały je tam, a nie w stronę Miduhr. To dawało nieco czasu. - Wezwijcie kapitana Nerhusa. Ktoś musi wiedzieć, gdzie on jest. Niech tu przyjdzie niezwłocznie. Dowiedźcie się od Neklina, ile karabinów może zmontować do jutrzejszego wieczora i kiedy będzie mógł rozpocząć produkcję tych nowych, z lunetami.

- Wezwał kolejnego gońca. - Ty odnajdź wynalazcę, niejakiego Klanka, niech tu zaraz przyjdzie.

Król z wysokości tronu w milczeniu przysłuchiwał się kolejnym decyzjom Armunacha.

W kilka minut zdobył sobie posłuch wszystkich oficerów.

- Tedrunel będzie na miejscu dowodził obroną Medgrun - zdecydował książę-generał. - Niech zabierze radio i z niezbędnymi mu oficerami przeniesie się do twierdzy. Ma przed sobą dziesięć godzin drogi. Reszta natychmiast wraca do Miduhr. Nowe radio, które przygotowuje naukowiec Mercom, ma zostać niezwłocznie przetransportowane do Hamelon.

- Ameusz Klank - oznajmił odzwierny.

Armunach skinął, by wpuścić, i bez wstępów zapytał:

- Wynalazłeś pan urządzenie przenoszące słowa po drucie?

- Tak. - Klank był niskim, niepozornym człowiekiem z czupryną czarnych włosów. - Urządzenie zamienia dźwięki w impulsy elektryczne i wysyła je na odległość. Po drugiej stronie przewodu drugie urządzenie znów zamienia impulsy na dźwięki. Yon Mercom rozwinął mój wynalazek.

- Chcę mieć niezależną, obustronną łączność z kilkoma miejscami w pałacu.

- Mój wynalazek umożliwia rozmowę tylko między dwoma aparatami...

- Masz pan więc noc i dzień na jego doskonalenie. Na początek podłączysz arsenał, koszary i kwaterę główną gwardii.

- Ale...

- Nie trać czasu. Noc jeszcze młoda. - Książę już stracił nim zainteresowanie. Przerażony wynalazca skinął niepewnie głową i wyszedł.

* * *

- Akademia wykazała swoją przydatność - przyznał niechętnie Zarkim - ale część wydziałów nie zrobiła niczego pożytecznego. Skarbnik królewski żąda ograniczenia wydatków.

Sala tronowa świeciła pustkami. Przy biurkach za tronem pracowało ledwie kilku urzędników.

- Jak mówiłem poprzednio - odparł Chavon - Wydział Astronomii był pierwszy na liście do likwidacji, tymczasem dał nam celownik optyczny, który trzykrotnie poprawił zasięg karabinu. Wydział Maszyn, uznawany przez wielu za nieprzydatny w czasie wojny, przyczynił się do elektryfikacji większej części pałacu. Ostatnio powstały nowe pojazdy transportowe napędzane parą. Nie potrafię wskazać wydziału, który nadaje się do likwidacji.

- Czemu nie zaczniesz rozliczać konkretnych ludzi? - zapytał Ruaas. - Może być przecież tak, że wydział pracuje dobrze, choć połowa jego członków nic nie robi.

- Niektóre badania mogą trwać miesiącami. Konstrukcja maszyny parowej zajęła dziesięć lat.

- Nie mamy lat, Chavonie. Nie mamy nawet miesięcy, ale tygodnie i dni.

- Pragnę poddać pod głosowanie ustawę o natychmiastowym rozwiązaniu Wydziału Nauk Społecznych - odezwał się niespodziewane Hamtel. - Jak na razie jedynym efektem jego działalności jest śmierć jednego z najwybitniejszych generałów Enagoru.

Król spojrział na niego i westchnął.

- Czas nas nagli, panowie - powiedział zmęczonym głosem. - Odłożmy więc na jakiś czas głosowanie nad likwidacją wydziałów. Ty, Chavonie, powołasz komisję, która zajmie się sprawdzeniem wydajności konkretnych naukowców. Zbędnych, twoim zdaniem, usuniesz z Akademii.

Gdybyż to było takie proste, pomyślał przewodniczący. Ale skinął głową.

- Przejdźmy zatem do drugiego punktu obrad... - zawiesił na chwilę głos. - Mamy zdecydować o ogłoszeniu poboru powszechnego. Zgodnie z życzeniem króla, przed dyskusją na ten temat, swoją opinię wyłoży nam nowy głównodowodzący, książę-generał Armunach.

Na sali zapanowało poruszenie - nie wszyscy senatorowie wiedzieli o tej nominacji. Zapewne więc również nie wszyscy wiedzieli o zamachu. Przewodniczący otworzył drzwi i zaprosił oczekującego przed nimi Armunacha. Ten wkroczył do sali tym samym sprężystym krokiem. Zdołał się już zaopatrzyć w mundur generalski, ale jego zachowanie nie zmieniło się wcale z powodu nominacji. Skłonił głowę i oznajmił:

- Królu, panowie senatorowie. Postaram się nie zająć zbyt wiele czasu, moje stanowisko jest jasne. Byłem przeciwny poborowi powszechnemu, ale sytuacja uległa zmianie. Kilka godzin temu sztab naszej armii praktycznie przestał istnieć z powodu samobójczego ataku niewielkiego oddziału wroga. - Przez salę przeszło nowe westchnienie niedowierzania. Mina Chavona świadczyła o tym, że on również dowiedział się dopiero teraz - Rufus przekazał mu tylko to, co konieczne. Armunach powiódł wzrokiem po zebranych i dokończył - skoro armia nie może być dostatecznie mądra, musi być przynajmniej silna. Potrzebujemy poboru powszechnego.

- Dziękujemy, książę - powiedział Chavon i odprowadził Armunacha wzrokiem. Gdy zamknęły się za nim drzwi, zapytał: - Kto z panów senatorów chce zabrać głos? - Mówiąc to, posłał dramatyczne spojrzenie filozofowi.

Uniosło się kilka dłoni. Chavon z ulgą ujrzał również dłoń Ksureara. Najpierw jednak przekazał głos Ruaasowi.

- Gdy płonie dom - odezwał się ten - po pierwsze należy ratować życie, a dopiero potem

myśleć o sprzętach. A Enagor płonie i pożar ogarnia coraz większą część królestwa. Będę głosował za poborem.

- Akademia spełniła pokładane w niej nadzieje i wierzę, że będzie je spełniać nadal - oświadczył Solanut. - Jednak w świetle najnowszych wieści, to za mało. Jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie i tylko pobór może nas uratować.

- Jak wszyscy wiecie, jestem przeciwny stosowaniu przemocy - oznajmił Ksurear. - Wierzę, że tylko konsekwentne trwanie przy tym stanowisku ma sens. Musimy wypatrywać celów dalszych niż tylko wynik najbliższej bitwy. Wygrana bitwa może być początkiem klęski. Będę głosował przeciw.

- Kościół Najwyższego poprze ustawę - poinformował zwięźle Hamtel.

- Chciałbym prosić panów senatorów o ponowne przemyślenie tej sprawy - powiedział Chavon. - Rozmiar zniszczeń, jakie powstaną, nie usprawiedliwia...

- Panie przewodniczący - przerwał mu król. - Zacznij pan wreszcie głosowanie. Czas dysput się skończył.

Chavon zamknął oczy i zrobił wdech.

- Głosujmy więc.

Pół minuty później skryba zapisywał już treść ustawy o poborze powszechnym. Chavon z zaciśniętymi ustami złożył podpis na dokumencie i odcisnął pieczęć. Przeciw głosował jedynie on i filozof.

- Żołnierze mają wybierać najsilniejszych - dodał jeszcze Armunach. - Niech nie dadzą sobie wciskać słabeuszy.

- Pozostaje problem kosztów - odezwał się Ruaas. - Akademia, mimo swej przydatności, jest droga. Uzналиśmy przed chwilą, że nie możemy jej w łatwy sposób uczynić tańszą. Pozostaje więc cięcie wydatków albo na produkcję militarną, albo na żołd.

- Jest więcej możliwości oszczędzania - wtrącił Ksurear. - Tylko nie dopuszczasz takiej możliwości.

- Czy znów mamy rozmawiać o zmniejszeniu dostaw wina na pałacowe uczty? - parsknął Ruaas. - Nie odmawiam ci mądrości, ale filozofia i matematyka to bardzo odległe dziedziny. Nawet gdybyśmy nie pili wina wcale, to nie starczyłoby nawet na żołd dla małego oddziału piechoty.

- To byłby krok w dobrą stronę.

- Mam lepszy pomysł. Zmniejszmy żołd. Na wojnie i tak nie ma gdzie wydawać pieniędzy. Wikt i opierunek zapewnia armia.

Przez ławy bliższe królewskiemu tronu przeszły pomruki zadowolenia. Jedyne Solanut

nie wyglądał na zachwyconego, ale nie było tajemnicą, że senatorowie królewscy ustalali przebieg głosowania wcześniej i niemal się nie zdarzało, by w parlamencie nie byli jednomyślni.

Po dwóch minutach skryba zapisywał treść kolejnej ustawy.

Król nie czekał na oficjalne zakończenie obrad. Wyszedł z sali, zamiatając posadzkę granatowym płaszczem. W obstawie czterech gwardzystów i z Zarkimem u boku ruszył w kierunku swoich komnat. Z sali wypadł również Hamtel, potrząsając okrągłym brzuchem dogonił króla i, przepuszczony przez obstawę, zrównał się z nim.

- Królu, proszę o kilka chwil rozmowy - poprosił.

Mechelon skinął na sekretarza. Zarkim niechętnie zatrzymał się i ruszył, dopiero gdy król i kapłan odeszli kilka kroków.

- Kościół poparł ustawę o poborze, królu - zaczął przyciszonym głosem Hamtel. - Tymczasem ty pozwalasz na dalsze działanie Wydziału Nauk Społecznych.

- Jesteśmy w tej sprawie sojusznikami, czy tego chcemy, czy nie - odparł król. - Znasz poglądy Romozela nie gorzej ode mnie, więc wiesz, że w utopii tego człowieka i jego zwolenników nie ma miejsca ani dla Kościoła, ani dla monarchii. Możesz być więc spokojny, że nie tylko rozwiążę ten wydział, ale i samego dziekana wtrącę do lochu po kres jego dni. Nie uczynię tego jednak wcześniej niż po zmianie sytuacji na froncie.

- Romozel będzie nam szkodził w każdej minucie swego życia na wolności.

- Więcej pomoże, niż zaszkodzi. Jemu też zależy na zwycięstwie Enagoru.

- Na zwycięstwie kraju zwanego Enagorem, ale nie królestwa Enagoru.

- Zapewniam cię, że ten człowiek jest pod ścisłą kontrolą. Zdania nie zmienię.

- Druga sprawa to Wydział Astronomii. Rodzi się tam właśnie teoria podważająca podstawowe dogmaty wiary.

- Czy musimy tę sprawę omawiać w tym momencie?

- W głosie króla dawało się wyczuć zniecierpliwienie.

- Trwa wojna. Gdy Sinevarzy dotrą tutaj, ze świątyń Najwyższego nie zostanie kamień na kamieniu, a twój los, ojcze Hamtelu, nie będzie się różnił od mojego. Dlatego też powinniśmy działać razem.

- Wojna nie jest usprawiedliwieniem dla kapłana, by zaprzestać walki o krzewienie wiary.

- Wrócimy do tego tematu w spokojniejszym czasie. Będę miał na względzie twoje życzenia. Teraz wybacz, wkrótce świt, a ja przed snem muszę złożyć podpis na prawie pięćdziesięciu dokumentach.

Kapłan skłonił głowę i zatrzymał się. Idący w pewnej odległości Zarkim natychmiast przyspieszył i zrównał się z królem. Hamtel patrzył za nimi i nie było to spojrzenie życzliwe.

XV

- Odebraliśmy transmisję radiową.

Raptownie obudzony Thomson szarpnął się w swoim fotelu, rozejrzał i dopiero zrozumiał, gdzie jest. Sterownia jak zwykle tonęła w półmroku, bezużyteczne kontrolki migotały.

- Odebraliśmy transmisję radiową - powtórzył Hood.

- Co?! - kapitan zamrugał, odganiając resztki snu. - Odebraliście transmisję radiową z planety, której cywilizacja tkwi głęboko w średniowieczu?

- Może tkwiła w nim, nim tu dotarliśmy. Tak się rozszaleli, że tam na dole odbywa się właśnie pierwsza wojna światowa na muszkiety i piki.

- Co to za transmisja?

- Oczyszcilem trochę, ale i tak trzeszczy. Posłuchaj.

Z głośnika faktycznie popłynęły trzaski i szumy. Dopiero po chwili przebiły się przez nie ledwo słyszalne słowa: „Sztab rozbity... łowię nie żyją... runel zarządził... Nie wiemy, co robić...”.

- Słaby sygnał. To brzmi jak meldunek wojskowy - ocenił Hood.

- To po angielsku! - zorientował się dopiero teraz kapitan.

- Akcent dziwny, ale to zdecydowanie angielski. Nikt mi nie wmówi, że biosfera wykształciła niezależnie człowieka o pięciu palcach, który mówi po angielsku. Mamy tam w dole sześć milionów rozbitków. Już wtedy regulamin Agencji zobowiązywał wszystkich astronautów do porozumiewania się po angielsku. Nawet jeśli wszyscy byliby... Mongołami, i tak na pokładzie musieliby używać angielskiego.

- Ale po katastrofie, na planecie porzuciliby regulamin.

- Językiem ojczystym połowy załogi był angielski - przypomniał Hood. - Reszta pochodziła z różnych krajów, ale nie było dwóch osób używających tego samego języka

ojczystego.

- Przez czterysta lat język powinien się znacznie zmienić - zastanowił się Thomson. - My używamy angielskiego, ale mielibyśmy problemy z porozumieniem się z ludźmi z początku XXII wieku. W czasach chaosu język bardzo się zmienił. Stare reguły zaginęły i prawie sto lat zajęło ujednolicenie setek narzeczy.

- Nie aż tak, skoro rozumiemy ten przekaz. Ci tutaj mówią przecież staroangielskim. Wyruszyli pod koniec XXI wieku.

Zapanowało dłuższe milczenie.

- Udało ci się wreszcie ustalić, co z tą próbką krwi, zebraną przez próbnik? - zapytał kapitan.

Hood pokiwał głową, ale nie było w tym ani odrobiny entuzjazmu.

- Transmisja z sondy zakończyła się powodzeniem za pierwszym razem, ale dane trafiły do subprogramu, oznaczonego jako DM1-23. Nie ma go w spisie. Nie mam do niego dostępu z mojego poziomu. Kwarcowy Kretyn udziela wymijających odpowiedzi.

- OK. Spróbuję coś z tym zrobić, jak się prześpię. Obejmij wachtę.

* * *

W ponurym hibernatorium, w podwójnych półkolach stały szklano-plastikowe tuby. Cztery z nich wciąż były oszronione. Śpiący Czarni - tak nazywano elitarne jednostki specjalne. Jayde z założonymi na piersi rękoma stała przed hibernatorami i obserwowała drżące cyfry, informujące o temperaturze wewnątrz. Hibernatory dostarczono na pokład już ze śpiącymi wewnątrz ludźmi. Ponoć istniały całe magazyny „śpiących rycerzy”, przeszkolonych do walki i zabieranych w ten sposób na misje, które mogły wymagać ich użycia. Jeśli nie będą potrzebni - wrócą do magazynu w niezmienionym stanie. Kapitan miał obudzić Czarnych po potwierdzeniu odnalezienia rozbitków lub ich potomków. Nie uczynił tego. Zadaniem żołnierzy było zabezpieczenie statku i załogi przed nieprzewidzianymi zachowaniami ocalonych. Jeśli więc Thomson nie zamierzał ich budzić, to najpewniej wciąż wahał się, czy kogokolwiek z planety podejmować.

Nagle rozległ się krótki pisk, a wszystkie niebieskie kontrolki hibernatorów zmieniły kolor na żółty. Jednocześnie z cichym szumem włączyły się sprężarki, a wskazania termometrów wzrosły o ułamek stopnia. Jayde drgnęła i cofnęła się o krok.

- O nie... - jęknęła. Rzuciła okiem na timery odliczające czas do wybudzenia - ponad sto czterdzieści godzin. Odwróciła się i wybiegła na korytarz.

Gdy wpadła do sterowni, dowódca uniósł rękę, powstrzymując ją, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Oglądał wskazania temperatury hibernatorów na jednym z ekranów.

- Wydałeś polecenie, dowódco? - zapytała po chwili, odgarniając włosy.

Thomson pokręcił przecząco głową. Dopiero teraz zauważyła, że jest w pizamie. Na jednym z monitorów wyświetlony był dziennik pokładowy.

- Polecenie zostało wydane sześć minut temu - powiedział, wskazując palcem odpowiednią pozycję. - Wydał je moduł decyzyjny... subprogram DM1-23.

Siedzący w swoim fotelu Hood podchwycił pytające spojrzenie dziewczyny i wzruszył ramionami.

- Nie ma go w spisie - powiedział - a ma najwyższy priorytet. Wyższy niż kapitan.

- Nie ma wyższego priorytetu - zaprzeczyła Jayde.

- Też tak myślałem. Człowiek, który najlepiej się na tym zna, raczej nam nie pomoże.

Byłaś u niego?

Jayde usiadła w fotelu obok.

- Jest coraz gorzej - powiedziała cicho. - Nie odzyskuje przytomności. Medlab nie wie, co mu jest.

- Macie jakiś pomysł? - zapytał Hood. - Po co Kwarcowy Kretyn ich budzi?

- Podobno to straszne chamy - skrzywiła się Jayde.

Dowódca porzucił próby wyciągnięcia informacji z komputera. Stał, patrząc na planetę.

- Procedury nie da się przerwać - mruknął wreszcie. - Mamy osiem dni, zanim się obudzą. Sprawdźcie, czy kuchnia przeprogramowała się na dodatkowe posiłki.

* * *

Nikt poza Jayde i Hoodem nie przychodził do pokoju relaksu. Nordsletten grywał ze Stuartem w karty w mesie, ale teraz wołał, wzorem Thomsona, zamknąć się w kajucie.

Jayde wodziła wzrokiem po tunelikach w niebieskim żelu. W ciągu kilku dni ich liczba powiększyła się kilkakrotnie. Sięgnęły do połowy głębokości terrarium. Widać już było wyraźnie podział terytoriów między obie kolonie. Chitynowy cmentarzyk na środku powiększył się nieznacznie - chyba zapanował rozejm.

- Żaden z tego pokój relaksacyjny - oświadczyła.

- Widok zagryzających się... formicytów nie działa na mnie odprężająco.

- A jednak codziennie tu przychodzisz. - Hood siedział na kanapie i obserwował pośladki dziewczyny. - I gapisz się na nie.

- Nie mogę wytrzymać - przyznała po chwili. - Wszędzie pustki. Tamci siedzą u siebie. Byłam u Stuarta. Próbowałam z nim rozmawiać przez interkom, ale nie zwracał na mnie uwagi. Kiedy odzyskuje przytomność, modli się.

- Nigdy nie był religijny.

- Gdyby się przyznał, nie wpuściliby go na statek.

- Naprawdę nie był religijny. Może teraz się nawrócił z przyczyn... pragmatycznych. W końcu jest ciężko chory.

Ekran za ich plecami wyświetlał las, dodając tło dźwiękowe i syntetyczny zapach wilgotnej ściółki. Dostępne były też podmuchy wiatru, ale Hood je wyłączył - złudzenie było niedostateczne i czuło się zwykły przeciąg. Jednak kanapa była odwrócona przodem do terrarium.

- Zbierają siły przed bitwą - odezwał się znów Hood. - Królowe składają więcej jaj, a wykluwają się z nich niemal wyłącznie żołnierze.

- A ty czemu tu przychodzisz? - Jayde spojrzała na niego. - Udajesz, że prowadzisz badania?

- Skoro te na dole nam nie wychodzą. - Wzruszył ramionami. - Poza tym jestem ciekaw, co będzie dalej.

XVI

Był już niemal wieczór, gdy Pachzan wraz z ojcem i Chakarem wracali z pola. Chakar, jedyny parobek, który został na farmie Ramacha, zestarzał się i zgłupiał, było z niego coraz mniej pożytku. Ciągnął się teraz za wozem i postękiwał cicho. Ojciec kulał na nadwerężoną nogę, a Pachzan prawie zasypiał ze zmęczenia. Z pól trzeba było zebrać jeszcze mnóstwo ziemniaków. Mżawka utrudniała pracę, a niezebrane plony zaczynały już gnić. Pachzan po raz kolejny przeklinał w myślach Noana, który zostawił ich w najgorszym momencie.

Powinni sprzedać część ziemi, zresztą Pamish już kilka razy proponował dobrą cenę. Ojciec jednak nie chciał o tym słyszeć.

Runa przyprowadziła już kozy z pastwiska i krzątała się w kuchni - przez krzak jaśminu widział jej ruchomą sylwetkę w rozświetlonym światłami oknie kuchennym. Runa, podobnie jak Chakar, zgodziła się pracować za jedzenie i dach nad głową. Hanni karmiła kury. Pomachała na widok wracających z pola mężczyzn i pobiegła do kuchni, by Runa wstawiła zupę na ogień.

Powrót do ciepłej izby, wypełnionej zapachem zupy i palonego drewna, był najlepszą nagrodą za dzień spędzony na polu. Runa przyniosła z kredensu pięć misek. Stawiając je na stole, niby przypadkiem nachyliła się tak, by Pachzan mógł zajrzeć jej w dekolt. Chłopak coraz częściej dochodził do wniosku, że chciałby zaciągnąć ją do stodoły, na siano. A i ona chyba nie miałaby nic przeciwko. Kiedyś rzucała mu ukradkowe spojrzenia, gdy sądziła, że nie patrzy. Teraz, nie kryjąc się już, uwodzicielsko zaglądała mu w oczy.

Hanni, wielką chochlą, nalała wszystkim zupy, mężczyznom przydzielając porcje większe, gęstsze, zaczerpnięte z dna. Runa i Chakar chwycili swoje miski i ruszyli do oficyny.

- Zostańcie - polecił ojciec. - Odtąd będziemy jeść razem.

Wystraszona dziewczyna przysiadła przy końcu stołu. Chakar nie rozumiał, o co chodzi, aż ojciec wstał, wyjął z jego rąk miskę i postawił na stole, a jego samego przed nią posadził.

- Od teraz jemy razem i razem dzielimy los - powtórzył dobitniej. Nie dodał niczego w stylu „Czeka nas ciężka zima” albo „Musimy ciężiej pracować, żeby w lutym było co jeść”. Wszyscy wiedzieli, że z pewnością będzie już tylko gorzej.

Stary parobek pił zupę, przechylając miskę do ust. Siorbał głośno, ale ojciec ostentacyjnie nie zwracał na to uwagi. Jedli w milczeniu. Hanni nie rozumiała, co się dzieje. Przerzucała wzrok od ojca poprzez Runę na brata. Czuła, że coś się zmienia, i to zmienia na gorsze. Czuła też, że lepiej się nie odzywać.

Nikt się nie najadł, ale zupa miała starczyć na dwa dni. Runa zebrała miski, włożyła do koszyka, by wynieść je na podwórze do zmycia. Ojciec wstał.

- Śpisz na stryszku - powiedział do Runy, po czym spojrzał na Chakara. - Ty obok pieca. Będiesz pierwszy wstawał i rozpalał go o świcie. Oszczędzaj drewno.

Po czym, kulejąc, ruszył do sypialni, by wypaść zmęczenie.

Runa wyszła. Chakar stał i patrzył to na piec, to na uchylone drzwi do oficyny po przeciwnej stronie podwórza.

- Przynieś swoje posłanie. - Pachzan wskazał podmurówkę obok pieca.

Wyszedł na podwórze, minął zajęętą zmywaniem dziewczynę i dotarł do łąki na tyłach zabudowań. Głęboko wciągnął do płuc świeże powietrze. Czuł wilgoć zbliżającego się deszczu, zapach pól i odległych sosen z lasu za rzeką. Mimo senności chciał się przejść, żeby wygonić z głowy troski, które mogłyby mu się przyśnić.

Usłyszał gwizdnięcie zza stodoły. Spojrzał w tamtą stronę, ale tylko mignęły mu dziewczęce włosy. Ściemniło się już na tyle, że szczegóły kryły się przed wzrokiem. W kilku susach dotarł do krzaków za stodołą i rozejrzał się. Nagle wychwycił ruch tuż obok. Odwrócił się dokładnie w chwili, gdy dziewczyna zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła go mocno. Czuł jej szybko bijące serce. Trwali tak pół minuty, nim Pachzan delikatnie ją odsunął.

- Przyjechałam cię ostrzec. - Tanur patrzyła na niego smutno, inaczej niż zwykle. Złote włosy związane w koński ogon spływały na prostą, zieloną sukienkę. - Byli u nas żołnierze. Zabrali Zaklisa.

- Aresztowali go?!

- Nie. Zabrali go na wojnę.

- Pobór?! - wykrzyknął przerażony. Spojrzał na ciemniejące szybko niebo. - Jednak...

- Spiesz się. Dają kilka minut na spakowanie ciepłych ubrań i prowiantu. Musisz uciekać.

- Nie mogę... - Opuścił głowę. - Rodzinie, która odmówi poboru, grozi konfiskata majątku. Wszyscy o tym wiedzą.

- Masz... - Wcisnęła mu w dłonie sakiewkę. - Dziewięćdziesiąt trzy grosze. Podobno za dukata można się wykupić. Za pół dukata wymienić na kogoś słabszego. Ojciec powiedział, że wojsko zrobi z Zaklisa mężczyznę, ale ja się boję, że zginiecie...

Pachzan zważył w dłoni brzęczącą miedziakami sakiewkę. Była ciężka, ale nie dość. Pokręcił głową, pocałował dziewczynę i oddał pieniądze.

- To na nic. Nie mamy tyle... W całym domu nie ma nawet czterdziestu koron. Nie było komu pojechać na targ sprzedać zwierząt. A nawet gdyby...

Przywiązany do drzewa koń zarżał, zaniepokojony. Drogą od wzgórz jechał ciężki wóz, zaprzężony w czwórkę koni.

- To po mnie - szepnął Pachzan.

Dwie latarnie oliwne kołysały się obok kozła woźnicy. Pod stopami czuć było drgania ziemi.

- Wróć... - Tanur rozsznurowała górę sukienki, chwyciła dłoń chłopaka i położyła na swojej piersi. - Wróć tu dla mnie.

Przełknął ślinę, czując pod palcami ciepłą, aksamitną skórę i sztywniejący sutek. Zamknął oczy, odetchnął trzy razy i cofnął rękę.

- Nie powinni cię tu widzieć - powiedział, patrząc w ziemię. - Wróć. Na pewno wróć.

Poprawiła sukienkę i pocałowała go mocno w usta. A potem odwiązała konia, wskoczyła na siodło i popędziła do domu na przełaj przez skoszoną łąkę. O dach stodoły Zabębniły pierwsze krople deszczu.

Pięć minut później Pachzan z tobołkiem w dłoni pożegnał się z rodziną i wspiał się po trzech stopniach do ciemnego wnętrza wozu wyglądającego na więźniarkę.

- Pachzan? - padło pytanie z półmroku.

Spojrzał w tamtą stronę. Muskularny osilek o tępej, nalanej twarzy.

- Veles... - Rozpoznał syna jednego z niedawnych parobków ojca.

- Jestem tu, bo twój ojciec nie zapłacił mojemu za trzy miesiące. Wykupiłbym się.

- Jakby miał czym zapłacić, to mnie też by tu nie było. To kosztuje dukata. Tyle na pewno nie macie.

- Nie kłóćmy się między sobą. - To był głos Zaklisa. - Jesteśmy w tej samej sytuacji.

Veles nic nie odpowiedział. W ciemności jego oczy błyszczały nienawiścią.

Pachzan odwrócił wzrok. Cieszył się teraz, że Zaklis nie wie o jego tajemnych spotkaniach z Tanur. Nie wiadomo, jak by zareagował.

Wóz ruszył i wyjechał na drogę. W bramie farmy stał przygarbiony ojciec. Obok Runa z przytuloną do spódnicy Hanni i Chakar o bezmyślnym jak zawsze wyrazie twarzy. Runa

pomachała raz, nieśmiało. Ojciec zęgnął go pustymi oczyma - rozumiał, że to cios, po którym już się nie podniosą. Właśnie zaczynał się ostatni etap upadku rodziny Ramachów. Zimę przeżyją, zabijając zwierzęta i zjadając to, co teraz zdołają zebrać, a na wiosnę nie będzie czym obsiać pól, nie będzie za co kupić paszy. Nie będzie za co żyć. Nie będzie miał do czego wrócić. Nawet jeśli przeżyje.

Wiozą mnie jak więźnia, pomyślał, patrząc przez zakratowane okno na malejący w deszczu dom. Był niemal pewien, że już tu nie wróci. Wszystko przez Noana. To on powinien być w tym wozie! Za dziesięć koron żołnierze zgodziliby się wziąć tego trutnia.

Był tak zmęczony, że mimo złości oparł się o ścianę wozu i zasnął.

* * *

Chavon gładził piękną czerwoną okładkę grubej książki, leżącej na środku jego biurka. Zakładka tkwiła w połowie. Nie czuł satysfakcji z zajętego po Armunachu stanowiska. Fotel po byłym rektorze uwierał go. Usunął już idiotyczne rzeźby i bibeloty, które służba ustawiła za bytności Armunacha, zappełnił półki książkami i poprzekładał równiutkie stosy papierów. Pedantyczny porządek poprzednika denerwował go. Ale miał też większe zmartwienie. O wiele większe.

Siedzący w fotelu naprzeciw niego Romozel przyglądał mu się w irytujący sposób i spokojnie popijał wino, co nowemu rektorowi wydało się dziwnie nieadekwatne do całej ich sytuacji.

- Chciałeś się ze mną widzieć, Romozelu - odezwał się wreszcie, gdy uwierzył, że tamten może tak siedzieć w nieskończoność.

Socjolog skinął głową.

- Chciałem z tobą pomówić o dzisiejszym głosowaniu.

- Wczorajszym. - Rektor wskazał stojący w rogu pokoju, błyszczący nowością zegar.

Była druga w nocy.

- Głosowałeś przeciw poborowi.

- Nie tylko ja.

- Ksurear, w wyniku swoich licznych medytacji, niektórych, bądźmy szczerzy, mocno wspomozonych winem, doznał objawienia o wielkiej bezcelowości stosowania przemocy. Podejrzewam nawet, że gdyby ktoś go napadł w ciemnym zaułku i przystawił nóż do gardła, nasz przyjaciel filozof zacząłby mu wyklądać swoją teorię o dziejowym bezsensie stosowania rozwiązań siłowych. Nim dotarłby jednak do końca pierwszego akapitu, już by nie żył. Nie da

się bowiem walczyć słowem przeciw ostrzu, gdy ono jest już w użyciu.

- Moja praca pogrąża się w chaosie po powołaniu Mavela. Z resztą Enagoru też tak będzie. Mnie chodziło o los tego kraju po wojnie.

- Chodziło ci o syna. - Oznajmił socjolog. Chavon próbował zaprzeczyć, ale Romozel uniósł dłoń. - To nic złego troszczyć się o rodzinę. Rozumiem cię doskonale. Stara ustawa, pamiętająca jeszcze czasy Mechelona I, nie wyłącza z poboru szlachetnie urodzonych. Nikomu nie przyszło do głowy umieszczać takiego zapisu, wszyscy bowiem błękitno-posokowcy i tak posyłają synów do Akademii Wojskowej. Ustawa nie mówi też nic o stanie zdrowia poborowego.

Chavon posłał mu czujne spojrzenie, zrozumiał i wbił wzrok w biurko.

- Myślisz, że to coś zmieni, jeśli teraz rozgłosisz wszem i wobec wieści o moich motywach?

- Starczyłaby już sama informacja, że masz nieślubnego syna. - Romozel znów tym samym leniwym gestem uniósł kielich i upił łyk wina. - Myślałeś, że skoro się z nim nie widujesz, to nikt się nie dowie? Wystarczyło sprawdzić, dokąd raz w tygodniu udaje się twój posłaniec z sakiewką. Ale nie bój się. Nie zamierzam niczego rozgłaszać. Chcę wyciągnąć twego syna z armii, nim zginie. A nie masz chyba wątpliwości, że z jego kondycją prędzej zabije go zimno, wilgoć i zła strawa niż wroga kula.

Rektor zmierzył go wzrokiem.

- Jestem przewodniczącym Sprawiedliwej Izby i nie mogę nic dla niego uczynić. Jak mam wierzyć, że ty możesz?

- Za kilka dni w ramach obowiązków służbowych udam się do Medgrun. Zabiorę ze sobą twego gołębia pocztowego. Po paru dniach gołąb wróci z listem zawierającym kilka zdań. Zrobisz to, co będzie napisane w tym liście. Wtedy ja wyznaczę twego syna na mojego osobistego asystenta. Poznają go do tego czasu w oddziale i pozbędą się z chęcią. To wszystko. Jakże proste.

- Proste nad wyraz. Takie się wydaje, kiedy o tym mówisz. Ale dlaczego miałbym ci ufać?

- Ponieważ jesteśmy po tej samej stronie. - Romozel wreszcie wstał. - Ja, tak samo jak i ty, jestem przeciwny poborowi. Tak samo jak ty, jestem przeciwny wtrącaniu się Kościoła Najwyższego w sprawy Akademii i hamowaniu rozwoju nauki. Wiesz, że astronom Fennel odkrył, iż Ziemia jest kulą, a Słońce wraz z gwiazdami ruchomymi, nazwanymi przez niego planetami, orbituje wokół nas, wewnątrz matowej bańki sfery niebieskiej? Fennel nie może ogłosić swych rewelacji, bo to uderza w dogmaty Kościoła.

- Wszyscy wiemy, jak łatwo znaleźć się po drugiej stronie muru więziennego - odparł ponuro rektor. - Znamy granice, za które lepiej się nie wybierać. Oczywiście, że chcę to zmienić, ale ani ja, ani ty tego nie dokonamy.

- Czyż nie z tego powodu Orestes Gaolin od półtora roku siedzi w lochach?

- Z tego co mi wiadomo zmarł dziesięć dni temu, nie opuściwszy tychże lochów.

- Niemądrze postąpił, otwarcie głosząc swe idee. Umarły wraz z nim.

Chavon pokręcił głową i powiedział:

- Wygląda jednak na to, że dopiero po jego śmierci te idee zaczną żyć.

Wskazał czerwoną księgę na swoim biurku. Romozel wstał, ostrożnie odstawił kielich i uniósł brwi w szczerym zdziwieniu.

Na okładce księgi widniał napis *Orestes Gaolin. Społeczeństwo*.

* * *

Armunach od kilku godzin krążył po swoim nowym gabinecie, a chybottliwy cień od trzech świec krążył po ścianach wraz z nim. Księżę-generał przyglądał się wielkiej mapie, poprawiał księgi na wielkim biurku, by leżały równolegle do krawędzi. Nie kładł się - i tak by nie zasnął. Czuł ciężar odpowiedzialności, złożony przez króla na jego barkach. Czuł pustkę w głowie. W Akademii Wojskowej był drugi spośród kilkudziesięciu studentów jego rocznika. Był dobry, bardzo dobry, ale nie liczył na pozycję, którą teraz zajmował. A tym bardziej że osiągnie ją tak szybko. Jedyny lepszy od niego student awansował do rangi porucznika kilka dni temu. I właśnie zginął razem z elitą armii Enagoru. Księżę-generał wiedział, że brakuje mu doświadczenia. Musiał opierać się w swych decyzjach na intuicji i wiedzy teoretycznej, którą posiadał. Oraz na doradcach. Może Mechelon właśnie w tym braku doświadczenia, więc i rutyny, dopatrywał się szansy? Skoro doświadczeni generałowie zawodzili...

Ktoś zapukał cicho do drzwi.

- Wejść! - rozkazał Armunach.

Do sali wszedł Rufus, zasalutował i odczytał z kartki:

- Generał Tedrunel przesłał meldunek o zainstalowaniu sztabu w Medgrun. Nie jest zadowolony z tego pomysłu.

- Nie interesuje mnie jego nastrój, poruczniku.

- Mówi, że gdy Medgrun zostanie otoczone, nie będzie mógł się wycofać, by walczyć w obronie Miduhr.

- To wiemy. Jego zadaniem jest również nie dopuścić do okrążenia. Jakież fakty?

- Generał proponuje, żebyśmy zdemontowali część dział broniących pałacu i przetransportowali niezwłocznie do Medgrun. Na całą twierdzę mają dwanaście dział małego kalibru.

Armunach zmarszczył brwi.

- Zdemontujcie działa z wewnętrznego muru - powiedział po zastanowieniu. - Tylko tyle, ile zdołamy wyprodukować w ciągu miesiąca, żeby uzupełnić braki. Przetransportujcie je do Medgrun wraz z zapasem amunicji i prochu.

Sierżant skinął głową i wstał, by przekazać rozkaz dalej. I zaraz wrócił, prowadząc ze sobą kulejącego na prawą nogę żołnierza w mokrym i brudnym mundurze muszkietera.

- Kapitan Nerhus Hersell. - Żołnierz zasalutował nie do końca precyzyjnie. - Obecnie w stanie spoczynku.

Generał podszedł do niego i pociągnął nosem.

- Jesteś pijany - stwierdził. - I nie masz odznak.

- Proszę o wybaczenie. - Oczy kapitana były przekrwione, a wyraz twarzy świadczył o tym, że pragnie chyba tylko zwrócić zawartość żołądka. - Jestem pijany, bo cały dzień i większą część nocy spędziłem w karczmie, gdzie godzinę temu znaleźli mnie żołnierze. Przez ostatnie trzy kwadransy dokładali starań, by mnie doprowadzić do porządku... To powód, dla którego jestem mokry. Z kolei fakt, że jestem pijany, stanowi wyjaśnienie dla braku odznak. Regulamin nie zabrania upijania się po służbie, zabrania jedynie profanowania symboli królewskich. Mam je w kieszeni.

- Zostałeś wydalony ze służby, a wciąż przestrzegasz regulaminu?

- Tak. Żołnierzem Enagoru jest się do końca życia.

- Czytałem raport w twojej sprawie. Gdyby cię posłuchano, nie stracilibyśmy tylu żołnierzy.

- Zostałem zdegradowany nie za krytykę decyzji dowódców, tylko za to, że upierałem się przy swoim zdaniu.

- To też jest w raporcie. Zostałeś ranny w nogę. Kiedy wydobrzejesz do końca?

- Zawsze już będę kulą, ale to nie przeszkadza mocno w chodzeniu.

Armunach pokiwał głową ze zrozumieniem i oznajmił:

- Anuluję degradację i jednocześnie awansuję cię na stopień pułkownika. Od tej chwili dowodzisz pierwszym pułkiem karabinierów. Zrób coś ze sobą. Jutro wieczorem wymarsz do Medgrun. Pierwsze zadanie: jak najdłużej nie dopuścić do odcięcia szlaku do Miduhr. Sam ocenisz, kiedy będziesz musiał wycofać ludzi do twierdzy. Tam przejdiesz pod bezpośrednie

rozkazy generała Tedrunela. Samej twierdzy będziecie bronić do końca. Dopóki Medgrun będzie stawiać opór, Sinevarzy nie będą mogli iść dalej.

Oczy Nerhusa zabłyśły, ale opanował się i zasalutował.

- Tak jest! - oznajmił zwięźle.

Generał podpisał przygotowany wcześniej rozkaz i wręczył nowemu pułkownikowi. Ten zasalutował jeszcze energiczniej i chciał odejść.

- Moimi żołnierzami będą poborowi? - zapytał jeszcze.

- Tak. Jutrzejszy dzień spędzisz na podstawowym szkoleniu.

- Rozumiem, że nie mamy więcej czasu?

- Ani dnia. Musisz dotrzeć na front najszybciej, jak się da. Dostaniesz sześć kołaczy.

Pułkownik zasalutował, obrócił się na pięcie i odszedł.

Nim generał zdążył powrócić myślami do map, zaanonsowano kolejnego gościa.

Miraasz, komendant gwardii pałacowej, zasalutował niedbale do miedzianego hełmu. Miał na sobie płaszcz z zielonej materii, jak inni gwardziści, ale z większą liczbą naszywek i złotych. Armunach szanował go za jego zasługi w służbie, jednak uważał za prostego i zwyczajnie sprytnego osiłka.

- Gwardziści zatrzymali kilkunastu żołnierzy - oznajmił komendant.

- Zatrzymali? - Generał uniósł brwi.

- Nie doszło do użycia siły. Przypominało to bardziej przyjacielską pogadankę, choć powinni zostać aresztowani za sabotaż. Postanowiłem osobiście tu przyjść i dowiedzieć się, o co chodzi.

- Też chciałbym to wiedzieć.

- Próbowali usunąć działa z wewnętrznego muru.

- Rozkazałem wymontować kilka dział i przetransportować je do twierdzy Medgrun.

- Nie powinniśmy sobie nawzajem wchodzić w kompetencje. - Głos Miraasza przybrał niemalże ton połajanki. - Bezpieczeństwem pałacu królewskiego zajmuję się ja.

- Źle się stanie, jeśli wojsko zacznie się ścierać z gwardią. Czego potrzebujesz, żeby wydać te działa?

- Trochę to ryzykowne - Miraasz przysiadł poufale na krawędzi blatu. Armunach nie był jego przełożonym, co zdaje się, w mniemaniu komendanta, stawiało ich na równi ze sobą. - Mówię o rozkazie wymontowania szesnastu dział, gdy wróg przejdzie w stronę Miduhr.

- Jeśli dojdzie do oblężenia pałacu, to będzie znaczyło, że sprawy poszły bardzo źle. Wtedy te kilkanaście dział nie będzie miało większego znaczenia.

Komendant uśmiechnął się nieco pobłaźliwie.

- Moim zadaniem jest ochrona tego pałacu. Inne miasta mnie nie interesują.
- Te działa lepiej będą bronić pałacu, jeśli zainstalujemy je w Medgrun. Czy mam niepokoić Mechelona, żeby to on ci wydał rozkaz?

Miraasz wstał.

- Tedrunel jest jedynym generałem nie pochodzącym ze szlacheckiego rodu - zauważył. - Czy na pewno możemy mu ufać?

- Nie bez powodu został generałem.

- Z tego co wiem atak na sztab zaskoczył go w wychodku. - Komendant uśmiechnął się z pogardą. - Trudno o gorszą rekomendację dla generała z plebsu.

- Mówisz o generale Enagoru - Armunach spojrzał na niego ze złością. Wiedział doskonale, że w żyłach Miraasza nie krąży ani kropelka błękitnej krwi. Ta wypowiedź była więc tym bardziej niezrozumiała.

- Byłeś kiedyś w Medgrun, książę?

Armunach wolno pokręcił głową.

- To forteca z pozoru łatwa do zdobycia - komendant poufale ściszył głos - ale dziwnym trafem nigdy niezdobyta. Trzy razy oblegana miesiącami bez skutku, trzy razy poddana. Wolałbym bronić się tam niż tu.

- Czemu?

- O świcie wyjrzyj przez okno, książę. W czasach pokoju kilkaset kroków stąd wyrosły dziesięciopiętrowe domy. Widziałem, jak je budowano. Już wtedy bałem się, co będzie, gdy przyjdzie wojna. Są wyższe od murów pałacu i mają dziesięć razy tyle okien, co my otworów strzelniczych. Mury miejskie praktycznie nie istnieją. Jeśli dojdzie do oblężenia Miduhr, nie będziemy się długo bronić.

- Ponoć tak samo twierdził generał Tedrunel.

- Widać jest parę rzeczy, w których się zgadzamy.

Nagle otworzyły się drzwi. Strażnik-gwardzista zaszalutował i oznajmił:

- Znaleźliśmy go.

- Dlaczego wszedłeś bez pukania? - zapytał Armunach. - Mówiłem wyraźnie, że bez pozwolenia nikt nie może otwierać drzwi.

- Komendant kazał informować niezwłocznie... - wyjaśnił niepewnym głosem gwardzista. - Znaleźli go. Sierżant Semer już nad nim pracuje.

- Kogo znaleźli? - Książę spojrzał na komendanta.

- Ech, nikogo szczególnego. To nasze wewnętrzne sprawy. - Miraasz wstał. - Muszę już iść. Obowiązki. Nie będę przeszkadzał w demontażu dział.

Zasalutował niedbale i zniknął za drzwiami.

Armunach został sam ze swoimi myślami. Miraasz wyraźnie chciał mu coś przekazać, a jednocześnie zostawić go, by sam do tego doszedł. Nie podobało mu się to ani trochę. Nie podobał mu się również ostentacyjny niemal brak szacunku.

Płomienie świec drgały w lekkim przeciągu. Armunach wezwał Rufusa, a gdy ten stanął przed nim, rozkazał przyciszonym głosem:

- Zamień strażników skrzydła sztabowego z gwardzistów na żołnierzy armii w armii.

* * *

Areszt śledczy upchnięto w piwnicy. Nie przydawał się zbyt często, z trzech cel tylko jedna była zajęta. Na krześle siedział niski, gruby człowieczek z łysiną okoloną kręconymi czarnymi włosami. Dygotał ze strachu, wzrok wbił w ziemię. Wokół niego, w błyszczącym miedzią hełmie, krokiem kata krążył sierżant Semer. Zielony płaszcz leżał rzucony niedbale na pryczę, zwisającą na dwóch łańcuchach z kamiennej ściany jak most zwodzony. Przez małe, przekreślone dwoma prętami okienko pod sufitem sączyło się żółtawe światło latarni. Trzymający lampę naftową drugi gwardzista stał na korytarzu i ze znudzeniem przyglądał się przełożonemu.

Na schodach rozległy się kroki ciężkich butów. Na widok komendanta obaj gwardziści zasalutowali. Sierżant wyszedł zza krat i powiedział:

- Powtarza od kwadransa, że nie wiedział, co drukuje.

Czy mam zastosować inne metody?

Komendant spojrzał na sygnet tkwiący na drżącym palcu Hedfusa.

- Lepiej tego uniknąć - powiedział ścisłym głosem. - Przynajmniej na razie. - Oceniał wzrokiem przesłuchiwanego. - Zresztą, jeśli tak się posypał od samego słuchania pytań, to inne metody nie będą konieczne.

- Szkoda... - Semer był szczuplejszy i wyższy o pół głowy. Starał się nie stawać blisko przełożonego, by nie rzucało się to zbyt w oczy.

Komendant wszedł do celi i popatrzył na siedzącego z góry.

- Mówiłem już. - Naukowiec uniósł na niego wilgotne oczy. - Zasnąłem po kilkudziesięciu godzinach pracy, a gdy się obudziłem, przede mną leżała księga z informacją, że mogę ją powielić. Czym prędzej zabrałem się do tego, żeby autor się nie rozmyślił.

- Ile ksiąg wyprodukowałeś? Co z nimi zrobiłeś?

- Dwadzieścia siedem. Ostatnia jeszcze schnie.

- Co z nimi zrobiłeś?!

Drukarz wstrząsnął się nerwowo.

- Dwie są w bibliotece, jedną zachowałem dla siebie, jedną dałem rektorowi... ta ostatnia schnie...

- Więc gdzie są pozostałe dwadzieścia dwie?

- Sprzedałem.

Miraasz aż wypuścił powietrze z wrażenia.

- Komu? - Starał się zachować spokój, choć ręce świerzbiły go jak nigdy.

- Antykwariuszom, obnośnym handlarzom. - Drukarz rozłożył ręce. - Było ogromne zainteresowanie... Maszyna okazała się droższa, niż zakładałem, i grant z Akademii nie wystarczył. - Spojrzenie Hedfusa biegło od jednego do drugiego gwardzisty. - No i muszę zapłacić Orestesowi Gaolinowi.

- Czyli go widziałeś?

- Nie. Wcześniej przybiecałem dziesięć koron każdemu...

Komendant już nie słuchał. Odwrócił się do Semera i rozkazał:

- Z samego rana wyślij ludzi do wszystkich antykwariuszy, sprawdźcie handlarzy, każdego, kto mógł mieć w rękach egzemplarz. Dowiedz się, kto podaje się za tego wywrotowca. Przecież facet nie żyje prawie od dwóch tygodni.

- A on? - Sierżant wskazał głową naukowca.

- Wypuść i przeproś, ale bez przesadnej czułości.

* * *

Gdy kilka minut później komendant gwardii pałacowej otwierał bez pukania drzwi do gabinetu Chavona, ten przewracał właśnie ostatnią stronę księgi. Uniósł zaskoczony wzrok na intruza.

- Czemuż zawdzięczam to wtargnięcie?

- Bezpieczeństwu króla i królestwa.

- Ale nie kulturze osobistej, to pewne.

Miraasz podszedł do biurka i bezceremonialnie zgarnął księgę.

- Wiesz, że to literatura wywrotowa. Czemuś to czytał?

- Jestem naukowcem, nie politykiem. Nie muszę kalkulować, co mi się opłaca. I dobrze mi z tym.

- Postaram się, żeby król osobiście dowiedział się o twoich upodobaniach literackich.

- Zanim pójdziesz do króla zdać mu raport, pragnę cię ostrzec, że to, co trzymasz, to słownik języków zaginionych.

Komendant spojrział na okładkę i odłożył książkę, aż huknęło.

- Nie pytałeś - wyjaśnił z lekkim rozbawieniem Chavon. - Poszukiwaną przez ciebie książkę pożyczyłem dziekanowi Wydziału Nauk Społecznych.

- Romozelowi. - Komendant skrzywił się z obrzydzeniem.

- Nie ma powodu, byś się spieszył. On szybko czyta, więc pewnie dawno skończył. Zresztą, zna te idee na pamięć. Był przy tym, gdy Orestes Gaolin je tworzył. Za to, że nie przeciwdziałał, został skazany na areszt domowy. Orestes skończył znacznie gorzej.

- Nie wydało ci się dziwne, że trup postanowił wydać książkę? - Komendant patrzył na rektora z nieskrywaną wrogością. - Znałeś go i wiedziałeś, że nie żyje.

- Sprawdziłem to kilka godzin temu. Ktoś się pod niego podszył.

- Nie uznałeś za stosowne poinformować mnie po tym?

W odpowiedzi rektor uśmiechnął się szeroko.

Miraasz zasalutował od niechcienia i wypadł z gabinetu, trzaskając drzwiami. Chavon westchnął. Uśmiech znikł z jego twarzy, by ustąpić miejsca ogarniającemu go od wczoraj smutkowi. Wyjrzał na korytarz i zapytał strażnika:

- Czemuś go nie zatrzymał, kiedy wdzierał się tu bez ostrzeżenia?

Gwardzista wzruszył ramionami.

- To mój dowódca...

Chavon zamknął drzwi i podszedł do okna. Świtało. Na największym dziedzińcu w strugach deszczu rozpoczynała się właśnie musztra pięciuset nowo powołanych karabinierów. W tym momencie Chavon szczerze żałował, że podczas ostatniej wizyty u rusznikarza przekonywał go do opóźnienia prezentacji karabinu pięciostrzałowego. Przyglądał się identycznym brązowym kapeluszom, próbując wychwycić ten jeden. Nie miał żadnych szans, ale to było silniejsze od niego.

* * *

Archiwista Akademii Nauk spędzał noc na porządkowaniu przybywających w zastraszającym tempie zbiorów. Gdyby nie pracował, i tak obudziliby go.

- Szukam wszystkich materiałów dotyczących Orestesa Gaolina - oznajmił od progu Miraasz.

Archiwum mieściło się przy bibliotece, w małym, oświetlonym słabą żarówką

pomieszczeniu bez okien, a ilość zalegających tu papierów świadczyła, że archiwum wkrótce czeka przeprowadzka. Archiwista był malutkim człowieczkiem, tak grubym, że przypominał organiczną kulkę na krótkich odnóżach. W kulfoniastym nosie tkwiły zatopione malutkie, druciane okulary o niesamowicie grubych szklach.

Wolno uniósł wzrok na komendanta, podreptał do regału i wyciągnął solidną księgę w tekturowych okładkach. Z trudem położył na zalegającej stół stercie papierzyk i otwartych woluminów. Palcem odszukał wystający register z literą G i otworzył. Dłuższą chwilę odcyfrowywał własne zapiski.

- Orestes Gaolin składał dwa projekty... - Poprawił okrągłe okulary. - Jeden dotyczył teleskopu astronomicznego nowego rodzaju, drugi - celownika optycznego do karabinu. Hm... - Wskazał palcem pozycję sprzed kilku dni. - Tu jest skreślenie. Zamieniono Orestesa na Anvisa Toraho.

- Nic więcej? - upewnił się Miraasz.

- Byłoby zapisane.

Wraz z sierżantem i dwoma szeregowcami komendant zszedł kilka pięter niżej i ruszył siecią korytarzy, których szczegółową mapę przechowywał w głowie. Większą część pałacu zelektryfikowano w zeszłym tygodniu, ale w rzadziej używanych korytarzach musieli posłużyć się lampami naftowymi. Echo ich ciężkich kroków niesło się po piętrach. Dotarli do pracowni rusznikarskiej. Ilość zamówień sprawiła, że mimo wczesnej pory z wnętrza dochodziły odgłosy walenia, piłowania i monotonny stukosyk maszyny parowej.

Neklin właśnie montował celownik do karabinu z prawie dwumetrową lufą.

- Chciałbym cię, mistrzu, zaprosić na krótką rozmowę do mojej kwatery - oznajmił komendant.

- Mam pracę - odparł Neklin, obrzucając go przelotnym spojrzeniem. - Gadaj, czego chcesz, albo nie przeszkadzaj.

Miraasz zacisnął usta i oparł dłoń na głowicy miecza.

- Praca może poczekać.

Jak na komendę pomocnicy rusznikarza oderwali się od swoich zajęć i stanęli obok z karabinami opartymi kolbami przy nodze. Komendant rozejrzał się po sześciu twarzach i powiedział wolno:

- Dobrze. Nie będę się kłócił. Powiedz mi, kto przyniósł ci projekt celownika do karabinu?

- Astronom Anvis. Przyniósł też lunetę do prac nad prototypem. Zlecenie na produkcję kilkuset sztuk celowników otrzymał Anneas Pasco. Jeśli dostarczy mi celowniki, za dwa dni

pierwsza partia karabinów będzie gotowa. Jeśli nie zajmiesz mi zbyt wiele czasu.

Miraasz pokiwał głową i mruknął:

- To wystarczy. Nie zajmę ci ani minuty więcej. Wyszedł, a obstawa za nim.

- Najwyższa pora, żeby zerwać z tradycją - mruknął.

- Musimy uzupełnić regulaminowe uzbrojenie o broń palną.

Nagle zatrzymał się, zawahał i skręcił w boczny korytarz.

- To droga do więzienia, komendancie - zauważył Semer.

- Warto sprawdzić i tam.

Gdy uderzył ciężką rękawicą o stalowe drzwi, echo poniosło się korytarzem, jakby ktoś strzelał z muszkietu. Trwało dobre pół minuty, nim po drugiej stronie rozległy się kroki. Kłapa wizjera otworzyła się, ukazując twarz strażnika.

- Czego?! - Warknął.

- Nie „Czego?”, tylko „Słucham, czym mogę służyć?” - odpalił natychmiast Semer. - Mówisz do komendanta Miraasza.

- Muszę obejrzeć kronikę widzeń - dodał Miraasz.

- Więc ja muszę obudzić naczelnika.

- Nic nie musisz. Obejrzę księgę i odejdę. Nie jest tajna. Otwieraj!

Strażnik zamknął wizjer. Komendant już przymierzał się do kolejnego uderzenia w drzwi, gdy szczęknął otwierany zamek.

Dopiero teraz wymienili regulaminowe, choć niestaranne saluty. Strażnik krótkim korytarzem poprowadził ich do stróżówki.

Dwaj strażnicy w granatowych barwach straży miejskiej przyglądali się im z krzesel za ladą. Ciepłe światło lampy naftowej odbijało się od dziesiątek kluczy zawieszonych w pękach na hakach wbitych w ceglana ścianę. Mężczyźni zabijali czas grą w karty i z pewnością nie byli zachwyceni tą wizytą. Nie było zresztą tajemnicą, że straż miejska i gwardia pałacowa nie przepadają za sobą. Dopiero dyskretny znak dowódcy skłonił ich do podniesienia się i machnięcia rękoma w szczątkowym salucie.

Przez okna, wąskie jak szczeliny strzelnicze, wpadały pierwsze, przebijające się przez chmury promienie wschodzącego słońca. Miraasz poczuł senność - był na nogach od dwudziestu czterech godzin. Z trudem stłumił ziewnięcie.

Dowódca nocnej zmiany położył na blacie kronikę i spojrzał pytająco na gościa.

- Chcę wiedzieć, kto odwiedzał ostatnio Orestesa Gaolina. Dowódca zmiany skrzywił się z niechęcią.

- Musiałbym sprawdzać to pozycja po pozycji.

- Nalegam. Gorzej na tym wyjdiesz, jeśli będę musiał iść po rozkaz do króla.

Strażnik niechętnie otworzył księgę na stronie zaznaczonej jedwabną taśmą i przerzucił kilka kartek wstecz.

- Aaa... nawet to pamiętam - powiedział. - Było wtedy duże zamieszanie na targowisku miejskim. Trafiło do nas kilkunastu drobnych złodziejasków. Nie zapisywaliśmy ich wszystkich. Następnego dnia rano przyszedł Anvis Toraho. Odwiedził celę Gaolina tuż przed tym, jak tamtego znaleziono martwego. Ile miesięcy wstecz przeszukać?

- To wystarczy. Wiem już wszystko. Odprowadź nas.

* * *

- Ha! Więc naprawdę uważasz, że Ziemia jest okrągła! - powtórzył po raz kolejny Anvis. Łupnął cynowym kielichem w stół, zginając nieco nóżkę.

- Doznałem takiego olśnienia - przyznał Fennel, również odstawiając swój kielich. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o delikatnych dłoniach. - Potem przeprowadziłem niezbędne obliczenia i jasne się stało, że to możliwe. Zauważ, że Słońce, lecąc na zachód, opada, a nie wydaje się wcale zmniejszać. A podróżując na wschód lub zachód, nie widzimy żadnych różnic w jego ruchu.

- Ale w takim razie, idąc wciąż w jakimś kierunku, powinniśmy odczuwać wrażenie, że schodzimy z pagórka, aż w końcu spadlibyśmy w przepaść. Jednakże goście z odległych krain nie donoszą nic o odczuciach mieszkania na zboczu.

- Wybacz, nie miałem czasu wszystkiego przemyśleć. Przymierzam się do obliczenia średnicy Ziemi. Być może znany nam świat zajmuje tak małą powierzchnię owej kuli, że nie zauważamy spadku.

Siedzieli przy stole w jadalni, usytuowanej pod biblioteką. Noan nie odzywał się, zafascynowany dyskusją mistrzów. Obaj naukowcy po raz pierwszy mieli okazję wymienić się poglądami. Oczywiście nie zgadzali się w połowie spraw, a już szczególnie i ponad wszystko mieli przeciwne zdanie na temat kulistości ziemi. Dyskusja trwała od północy - z powodu pochmurnego nieba jakiegokolwiek obserwacje były wykluczone.

Słabe światło lampki gazowej ledwo rozpraszało mrok wokół stołu. Elektryczność została skierowana wyłącznie do laboratoriów, w których zużywano ją w dużych ilościach do nowych eksperymentów.

- Załóżmy... - Anvis zastanowił się chwilę. - Niech będzie, że Ziemia jest kulą opartą na niezwykle wytrzymałym cokole, może kielichu, przypominającym ten, w którym stawiamy

jajko na twardo. Niebo z gwiazdami jest zatem sferą, którą oglądamy od środka...

- W starych księgach nawet zwą niebo sferą, choć nie wiem czemu, skoro wszyscy dotąd myśleli, że jest tylko lekko wypukłe.

- To brzmi jak bajka do straszenia dzieci. Nawet jeżeli masz rację, nie mamy jak tego sprawdzić.

- Mój nowy teleskop ukaże nam budowę gwiazd stałych.

- Fennel uśmiechnął się. - Jutro mistrz Pasco zamontuje soczewki w tubach miedzianych i wieczorem wypróbujemy urządzenie. Dowiemy się, czy to są dziury, czy też małe lampy, jak to sugeruje twój uczeń. Dowiemy się też może czegoś o naturze tej nowej gwiazdy.

- Tanur - wtrącił Noan. - Ona nazywa się Tanur. Fennel spojrzał na niego zaskoczony.

- Chłopak zauważył ją pierwszy - przyznał Anvis.

- Uznałem jego nazwę.

Fennel skinął głową.

- Niech będzie. Nie wymyśliłem dotąd własnej nazwy, więc również uznam tę.

Prześwitujące między szczelinami okiennic słońce sprawiało, że Noan czuł narastającą senność. Ale nie chciał spać, chciał dowiedzieć się jak najwięcej. Miał też własne przemyślenia na ten temat, pytania, na które odpowiedzi nie znalazł w żadnej z mądrych ksiąg. Był pewien, że obaj uczeni również mu ich nie udzielą. Przed oczami stanęła mu nagle kula oklejona mapą na witrynie sklepu „Wytwory umysłu”. Więc ktoś już o tym pomyślał...

- Na czym zatem stoi kielich? - zapytał nagle Noan. Obaj astronomowie spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

- Na czym stoi kielich z Ziemią? - powtórzył.

- Na solidnej podstawie - odparł po chwili Fennel.

- A podstawa na czym?

Fennel zamyślił się, szukając odpowiedzi. Jasne było, że nie zastanawiał się nad tym wcześniej.

- Widzisz więc, szlachetny kolego - Anvis uśmiechnął się - jak niedorzeczna jest twoja teoria.

- Nie to miałem na myśli - zaprzeczył Noan. - Teoria jest dobra, wymaga jedynie dopracowania. Myślałem nad tym długo.

- Co powiedziałeś? - zapytał Anvis. - Teoria jest dobra?

- Czyż nie mówiłeś, mistrzu, że w nauce nie ma ostatecznych, niezmiennych dogmatów, że jeśli kiedyś zdołam udowodnić swoje domysły, cały świat przyzna mi rację?

- Jeśli udowodnisz... - Anvis zaczynał się denerwować. - Całą swoją mądrość włożyłem

w obliczenia astronomiczne, przy założeniu płaskości Ziemi. Mogę przystać na lekką wypukłość, skorygować wzory, ale nic więcej. Inaczej moje księgi nadadzą się tylko na podpałkę, a wszyscy wylądujemy w więzieniu za obrazę Najwyższego.

Dłuższą chwilę w jadalni panowało milczenie. Noan nabrał powietrza i oświadczył:

- Do tej pory wyobrażałem sobie Ziemię jako leżący na półmisku naleśnik, a sferę niebieską jako półokrągłą przykrywkę tego półmiska. Teraz jednak myślę, mój mistrzu, że Ziemia jest kulą, która wisi w powietrzu bez żadnej podpory, a sfera niebieska to druga większa kula, którą obserwujemy od wewnątrz.

- Posłuchaj, mój uczniu... - Anvis spojrzał na niego groźnie. - Uwolniłem cię od zarzutów o złodziejstwo, przyjąłem cię pod swoje skrzydła, dałem ci miejsce do spania, jedzenie, możliwość studiowania astronomii i dziedzin pokrewnych, uchroniłem cię nawet od poboru do armii, a nade wszystko pozwoliłem ci obcować ze mną i czerpać z mojej wiedzy i mądrości. A ty odwdzięczasz mi się, podkopując mój autorytet?

- Ale teoria kuli ziemskiej wszystko tłumaczy - Noan rozłożył ręce. - Wtedy obliczenia dotyczące ruchu Słońca, sfery niebieskiej i gwiazd wędrownych stają się proste, spójne i przejrzyste.

- Czyli rozważałeś na poważnie tę teorię?! - Anvis wstał i popatrzył na chłopaka z góry. - Jesteś niewdzięcznikiem! Chcesz zniszczyć pracę całego mojego życia! Nie, nie mogę się na to zgodzić.

- Sam mówiłeś, że nauka...

- Albo natychmiast zapomnisz o tych pomysłach, albo wrócisz tam, skąd przyszedłeś!

Noan zamilkł i wbił spojrzenie w stół. Fennel westchnął, wstał i otworzył okiennice. Zmrużyli oczy osłepieni jasnością poranka.

Wtedy rozległo się walenie do drzwi na dole wieży-observatorium. Dopiero po chwili pukający zorientował się, że drzwi są otwarte. Na schodach zadudniły kroki. Do małej jadalni weszło czterech gwardzistów. Miedziane hełmy i zielone płaszcze wypełniły pół pomieszczenia. Astronomowie patrzyli na nieoczekiwanych gości w osłupieniu.

- Astronom Anvis Toraho? - zapytał Miraasz.

- To ja...

- W imieniu króla - jesteś aresztowany.

Błady jak ściana astronom wstał.

- Za co?!

- Za zdradę stanu. - Komendant dał znak. Dwóch gwardzistów chwyciło protestującego Anvisa pod ramiona.

- Przecież nawet nie chcę słyszeć o kulistości Ziemi! To jakaś pomyłka! Ziemia jest płaska!

Bez dalszych wyjaśnień powlekli go schodami w dół. Krzyki ucichły, dopiero gdy zatrzasnęły się drzwi.

Noan i Fennel długą chwilę patrzyli na siebie osłupiali.

- Pójdę już - powiedział pobladły astronom i wyszedł.

Noan zdziwił się, poczuł bowiem ulgę z powodu aresztowania mistrza. Nie miał pojęcia, o co chodziło, ale z pewnością sprawa dotyczyła samego Anvisa. Inaczej gwardziści aresztowaliby wszystkich.

Sprzątnął ze stołu i ustawił brudne naczynia na blacie u szczytu schodów, skąd nad ranem zabierała je pałacowa służka. Potem poszedł do swojego pokoju i położył się na wznak w łóżku. Teraz był już pewien: Ziemia jest kulą. Zaczął to podejrzewać dawno temu, a pewność zyskał, gdy nowa gwiazda wyłoniła się znad horyzontu, dokładnie z przeciwnej strony, niż znikła. Utwierdził się w tym dodatkowo tej nocy, słuchając argumentów Fennela. Wiedział jednak, czuł właściwie, że nawet Fennel nie ma całkowitej racji. Tylko wisząca w powietrzu, lewitująca dzięki istnieniu niewiadomej siły Ziemia umożliwia rozwiązywanie wszystkich równań, którymi wypełnił swą księgę. Gdyby Tanur była zawieszona na linie, to rysowałaby po niebie łuk, a nie linię prostą jak Słońce i Księżyc. To odróżniało ją też od innych gwiazd wędrownych, których ruch trzeba było opisywać skomplikowanymi wzorami. Nie wiedział jak, ale był pewien, że może to udowodnić. To przecież najprostsze rozwiązanie tłumaczące wszystko. Niechże i sfera niebieska będzie sobie podziurawiona jak rzeszoto, niechże będzie wielką pustą bańką, w której środku tkwi Ziemia. Sferą niebieską zajmie się później. Teraz najważniejsze było zbadanie nowej gwiazdy, a żeby to uczynić, musiał najpierw upewnić się, że jego wzory nie zawierają błędów. Do tego potrzebował potężnego teleskopu i naprawdę dokładnych obliczeń. Wiedział, że nawet teleskop Fennela będzie za słaby. Musiał, po prostu musiał skonstruować teleskop zwierciadlany!

Gdy zasypiał, los Anvisa już go wcale nie obchodził. Stary astronom od pewnego czasu był tylko przeszkodą.

Uśmiechnął się do własnych myśli. Żyję na ogromnej kuli...

XVII

Hood wpatrywał się w błękitną planetę na wielkim ekranie w sterowni i żałował, że ekranu nie można wykorzystać do wyświetlenia filmu. Musiał go oglądać na małym ekranie swojej konsoli. To akurat było złamaniem regulaminu, który mówił, że na wachcie należy zachować czujność i obserwować wskazania przyrządów. Tyle że od paru godzin nie kompletnie się nie działo, jak i nie działo się podczas poprzednich wacht. Przeniósł wzrok na mały ekran i nacisnął start filmu.

Po kwadransie do sterowni weszła Jayde.

- Spiskujemy dalej? - zapytał Hood. Minęło wystarczająco dużo czasu i teraz już mieli pewność, że się nie zarazili podczas badania ładowni.

- To nie żaden spisek. - Jayde bezceremonialnie sięgnęła mu przez ramię i wyłączyła film. - Przejrzałam nasze zasoby biblioteczne, a konkretnie wszystko, co dotyczy DNA i tematów pokrewnych. - Puknęła kolejne menu i wyświetliła na ekranie zawartość odpowiedniego katalogu. - To tylko ogólniki. Jakby ktoś celowo okroił wiedzę, do jakiej będziemy mieli tu dostęp. Próbowałam przeglądać zasoby w trybie kontekstowym i im bardziej się w to próbowałam zagłębić, tym szybciej wracałam do punktu wyjścia. Zadałam sobie więc trud, żeby popracować w trybie katalogu. Zindeksowałam wszystko, co mamy na ten temat, i wyszła ta lista. Hood zerknął, przewinął do końca.

- Mizerna - przyznał. - Ale gdybyś miała tu kompendium wiedzy, i tak byś niczego nie zrozumiała.

- Miejsca w kryształach pamięci jest dość. Nic nie kosztowało przegranie tu zawartości biblioteki Agencji. Za to ocenzenie jej z pewnością nie było łatwe. Wymagało czasu i pracy.

- Ocenianie? - Hood spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Chyba skompresowanie.

- Ocenzurowanie - powiedziała z naciskiem dziewczyna. - Wycięto chyba wszystkie informacje poza ogólnikami i wiedzą, jaką mamy i tak, bo nauczono nas tego w szkole. To samo z innymi dziedzinami. Fizyka, matematyka, astronomia...

- Po co mieliby to robić? Na Ziemi to powszechnie dostępna wiedza, a tutaj?... Kto miałby się do tego dobrać? Chyba nie ci na dole? - Wskazał dłonią planetę. - Co średniowiecznemu rycerzowi po schemacie cyklotronu?

- Pamiętam takiego... rudego chłopaka, który chodził ze mną na kurs. Jak on się nazywał?... Nieważne. Interesował się geologią i był w tym dobry. W ogóle był zdolny, miał ogromną wiedzę. Przepadł na egzaminie. Zabrakło mu kilku punktów.

- I sądzisz, że odwalili go po to, żeby jego dogłębna wiedza geologiczna nie poleciała w kosmos? - Hood spojrzał na dziewczynę z powątpiewaniem.

- Mówię tylko, że te fakty łączą mi się w całość.

- Słowem, wybrali nas do tej misji, bo jesteśmy głupkami?

- Nie głupkami! Nie mamy rzetelnej wiedzy w żadnej dziedzinie. Sprawdziłam to. Nikt z załogi w niczym się nie specjalizuje. Mamy wiedzę ogólną i nieszkodliwe hobby. Umiemy obsługiwać komputery i nie ześwirujemy przez kilka miesięcy w tej puszcze. Tylko tyle. Agencji z jakiegoś powodu zależy na tym, żebyśmy niewiele wiedzieli. Kwarcowy Kretyn traktuje nas tak samo. Kilka godzin temu wprowadziłam do programu analitycznego dane próbki z ładowni. - Jayde przełączyła obraz. Pojawił się czarny ekran z obracającym się logiem Agencji i pulsującym napisem „Przetwarzanie w toku”.

Patrzyli na to dłuższą chwilę. Wreszcie Hood westchnął:

- Ołał nas znowu. Nie wiem, na co liczyłaś.

- Chciałam się upewnić, że nas oleje. Zadałam mu diagnostykę, która oczywiście wykazała, że wszystko jest w porządku.

- To nie jest niewykonanie polecenia. Wystarczy, że przyznał wątkowi analitycznemu minimalne zasoby systemowe. Przetwarza twoje polecenie, ale tak wolno, że raczej się nie doczekasz wyniku. Ale pracuje.

Jayde przysiadła na fotelu obok.

- Zaglądałam do Stuarta - powiedziała. - Jest nadal nieprzytomny.

- Przez ostatnią dobę oddychał czystym tlenem - odparł Hood - ale teraz praktycznie nie ma już płuc. Krew jest filtrowana i natleniana pozaustrojowo. Tak też trafiają do niej substancje odżywcze i lekarstwa. Dzięki temu jeszcze żyje.

- Skąd to niby wiesz? - Spojrzała na niego z zaskoczeniem. - Medlab twierdzi, że nie wie, co to jest.

- Miałem o tym nie mówić, ale... - Zawahał się. - Myślę, że stan Stuarta zwalnia mnie z obietnicy. Stuart interesował się programowaniem. Jeśli twoja teoria jest słuszna, to zapewne nie wspomniał o tym podczas szkolenia.

- Mówisz o nim w czasie przeszłym...

- On już się nie obudzi.

Zamilkli na dłuższą chwilę. Błękitna planeta tkwiła nieruchomo wprost przed nimi. Teraz naprawdę była przed dziobem statku.

- Stuart zrobił coś, co z pewnością jest niezgodne z regulaminem - odezwał się Hood. - Napisał robaka i wprowadził go do systemu. Kwarcowy Kretyn jest na tyle skomplikowany, że drobna ingerencja pozostaje niezauważona, jeśli trwa dostatecznie krótko. Robak podszywa się pod peryferyjne, rzadko używane moduły i... - Zmarszczył brwi.

- Stuart tłumaczył mi to kiedyś przez parę godzin. Nieważne. Działa, choć tylko na podstawowym poziomie dostępu, czyli przeszukiwaniu ciągów danych. Bardzo to niewygodne, ale wchodzisz bez hasła i masz dostęp niemal do wszystkiego. Jeśli tylko umiesz to znaleźć. Kwarcowy Kretyn przesadnie dba o porządek, tylko że wszystko utajnia. Nie udało mi się dojść do zapisów procedur medycznych, ale dowiedziałem się, jakie leki zostały wydane z magazynku.

- Mamy jakiś magazyn leków?

- Mamy, ale zarządza nim moduł nadzorczy medlabu. To na pewno nie jest szafka z fiolkami. Nie znam się na lekach, ale też przejrzałem naszą bibliotekę i sprawdziłem, co oznaczają nazwy. Stuart najpierw został poddany odtruwaniu, potem dostawał hydrokortyzon, prometazynę i kilka innych leków antyalergiczych. Teraz praktycznie jest karmiony dożylnie. To, co znaleźliśmy w ładowni, to nie są ani klasyczne toksyny, ani wirusy, tylko coś przypominającego niezwykle silny alergen. A najwięcej jest go w pobliżu wrót śluzy.

- Nikt nie wchodził do ładowni od czasu załadunku - przypomniała sobie Jayde. - Nie było potrzeby. To coś mogło więc przylecieć tu z Ziemi. Albo to coś banalnego, na co uczulony jest tylko Stuart?

- To by tłumaczyło, czemu Kwarcowy Kretyn nie zarządził alarmu. Może więc mylił się analizer z sondy?

XVIII

Od trzech godzin to samo. Przyklęknąć, karabin do nogi, wycior, nabój do lufy, zabezpieczyć zamek, pad w kałużę na bruku, wycelować, nacisnąć spust, unieść broń. Kto uniesie ostatni, robi trzy okrążenia biegiem wokół placu. Ktoś upadł, nauczyciele odciągnęli go pod ścianę i tam zostawili. Ktoś się popłakał, ktoś inny rzucił broń i zaczął wrzeszczeć, że chce do domu. Oficer przyłożył mu pistolet do skroni i wykrzyczał na cały głos, że to ostatnie ostrzeżenie.

Pachzan z zaciśniętymi ustami wykonywał chyba po raz setny tę samą sekwencję czynności. Mięśnie, nieprzystosowane do tego rodzaju pracy, mdlały z wysiłku. Przynajmniej przestało padać. O wschodzie słońca zarządzono kwadrans przerwy. Byli już tak wyczerpani, że siadali na ziemi. Pachzan przysunął się do Zaklisa, przeczuwając, że we dwóch będzie bezpieczniej. Nie tylko w obliczu wroga. Jakby na potwierdzenie tych myśli napotkał ponury wzrok Velesa.

- Ten kretyn uważa, że to moja wina - mruknął.
- Znalazł przyczynę swojego nieszczęścia. Przejdzie mu. - Zaklis rozcierał mięśnie. - Rąk nie czuję...

Na plac wjechał dwukołowy wózek, ciągnięty przez młodego chłopaka, którego los zapewne obdarował starszym bratem. Chłopak zatrzymał wózek na środku, a towarzysząca mu dziewczyna odwinęła brezent. Pod spodem była beczka z wodą, pokrojony chleb i ser. Kilka kromek spadło na ziemię. Dziewczyna szybko je podniosła i rzuciła na wierzch.

- Uformować kolejkę! - rozkazał oficer. - Każdy bierze kromkę chleba, kawałek sera i napelnia manierkę.

Tak paskudnego chleba Pachzan nie jadł nigdy w życiu, ale nie narzekał głośno. Teraz zjadłby wszystko. Wmusił w siebie nawet zatęchły ser i wodę śmierdzącą starą beczką po kapuście. Nie najadł się.

- Jeśli zamierzają nas tak karmić, to nie będziemy mieli siły walczyć - zauważył.
- Siedzący obok chudy chłopak trząsł się z zimna tak, że nie mógł włożyć chleba do ust.
- Wstań - poradził mu Zaklis. - Tak złapiesz zapalenie płuc.
- Jak myślicie - wydukał tamten, podnosząc się posłusznie. - Ile to potrwa?
- Co? Musztra? Aż padniemy. Do wieczora.
- Nie, pytam, kiedy nas puszczą do domu.
- Lepiej się nad tym nie zastanawiaj. To odległa przyszłość. Bardzo odległa.

* * *

Poranna modlitwa Hamtela od dawna wyglądała tak samo. Zaczynał od głębokiej medytacji, potem mamrotał pod nosem sobie tylko zrozumiałe słowa, a kończył długim monologiem. Na klęczniku, w miejscu gdzie opierał kolana, przez lata powstały wyslizgane wgłębienia.

- Król błdzi - w drugiej godzinie modłów oznajmił kapłan w przestrzeń swej celi. Uniósł twarz do słońca wpadającego przez maleńkie okno. - Zadaje się z heretykami, pobłaża im. Uważa, że pakt z diabłem zapewni mu zwycięstwo na wojnie. Zapomina, że można wygrać wojnę, a utracić duszę. Nie chce pamiętać nauki, którą odebrał jeszcze jako dziecko, nauki mówiącej, że diabeł zawsze przechytrzy człowieka. Jestem nieszczęśliwy, widzę bowiem metodę działania diabła, a jednocześnie nie mam dość siły, by się mu przeciwstawić. Cóż z tego, że ja, ja sam się nie ugnę, skoro wokoło roi się od wątpiących, niezdolnych wytrzymać samego spojrzenia bestii. Korzą się pod nim, skuszeni lepszym życiem, zastraszeni, ze zwykłej przekory lub ciekawości. Zyskują kilka lat doczesnego życia, a poświęcają to wieczne, które jest życiem najprawdziwszym. Chcą dowodu na istnienie Boga, chcą go zmierzyć i zważyć. Chcą naukowego dowodu, by uwierzyć, a przecież wiara w absolut jest przeciwieństwem wiedzy. Absolut jest niepoznawalny, jego badanie to herezja. Gdyby Bóg chciał, abyśmy poznali naturę tego świata, objawiłby nam ją. Skoro tego nie zrobił, sprzeciwiamy się jego woli, podejmując próby poznania na własną rękę. Wojna jest czasem próby dla wszystkich. Kto sięga po naukowe poznanie, idzie łatwą drogą. Złą drogą. Bo kto wie, ten już nie wierzy. Gdy zorientuje się, że zblądził, będzie za późno. Straci duszę. Silny Kościół, mocny w wierze, mocny ludźmi, to gwarancja wielu uratowanych dusz. Naszym obowiązkiem jest uczynić Kościół potężniejszym. Nadchodzą złe czasy, czasy panowania bestii. Wojna. Tak czy inaczej, Kościół wyjdzie z niej osłabiony. Musimy zatem uczynić straty jak najmniejszymi i przygotowywać się do odbudowy. Bóg może być miłosierny, może

być sprawiedliwy, ale teraz powinien być skuteczny. Dobry pasterz czasem karci swoje owieczki, gdy drepczą w stronę przepaści. Bierz się do pracy, w imię Najwyższego.

Zakapturzony mężczyzna, stojący dotąd nieruchomo w kącie celi, skinął głową.

* * *

Romozel siedział sam na parterze „Czarnej Róży”, jeśli nie liczyć śpiących od zeszłego wieczora gości. Światło przedpołudniowego słońca wpadało przez okna, otwierane właśnie pulchnymi dłońmi zaspanej dziewczki. Wino w kielichu rzuciło czerwony cień na rozwiniętą mapę śródmieścia Medgrun, wraz z tkwiącą w nim twierdzą. Romozel z wielkim trudem zdobył tak dokładny plan z magazynu królewskiego kartografa.

Przyglądał się mapie uważnie. Potem wyjął z torby duży cyrkiel, ze skali liniowej odmierzył trzy tysiące stóp, wbił czubek w środek dziedzińca twierdzy i narysował okrąg. Następnie, używając linijki i ołówka, narysował proste linie, łączące cztery baszty i wieżę bramną z wylotami głównych ulic Medgrun. Tylko kilka linii dotykało krawędzi okręgu, nie przecinając dachów. Jedna z nich przechodziła przez portal głównej świątyni. Po namyśle socjolog pogrubiał tę linię.

* * *

Król patrzył na przemian to na Hamtela, to na stojącego obok niższego mężczyznę z twarzą częściowo zasłoniętą szpiczastym kapturem.

- Wiesz, jak ważna jest dla nas Akademia - odezwał się Mechelon. - Trwa wojna, a nauka dostarcza nowych rodzajów broni. Twoja prośba jest dla mnie bardzo niewygodna.

- Jeśli Kościół Najwyższego nadal ma wspierać monarchię - zaczął wyjaśniać Hamtel - monarchia musi wspierać Kościół. Akademia powinna zaprzestać podważania prawd wiary. Tylko tego żądam. Do produkcji armat nie potrzeba przecież filozofów ani socjologów. Istnieje odwieczne prawo nakazujące wszystkim Enagorom przestrzegania zasad podarowanych nam przez Najwyższego i życia w zgodzie z naukami Kościoła. Najwyższy jest nami, a my jesteśmy Najwyższym. W imię tego prawa żądam wyłączenia herezji wśród naukowców. Wojna się skończy, a nadwerżony szacunek dla Kościoła rozszerzy się na brak szacunku dla monarchii. W końcu sprawujesz władzę w imieniu Najwyższego, królu.

Mechelon dosyć długo zastanawiał się, przyglądając się zakonnikom przenikliwym wzrokiem. Wreszcie zapytał:

- Jaką karę planujesz zadawać wykrytym heretykom?
- Sprawiedliwą, ale przykładną.
- A konkretnie?
- To już zależy od inwencji sędziego. - Hamtel wskazał zakapturzonego mężczyznę.
- Nikt nie może zginąć.
- Nie zamierzam nikogo zabijać.
- Nikt nie może doznać trwałego uszczerbku na zdrowiu.

Hamtel skrzywił się nieznacznie, ale skinął głową.

- Straż miejska i gwardia pałacowa udzielą ci wszelkiej pomocy. - Król skinął na sekretarza. - Możesz już zwoływać sędziów.

- Skład sądu jest już gotowy - szybko odparł Hamtel. - Oczywiście zgodnie z prawem nikt nie może poznać tożsamości sędziów, ale bądź pewien, że wybrałem najsprawiedliwszych ze sprawiedliwych.

* * *

Sekretarz królewski siedział oparty o biurko w swoim gabinecie. Zza uchylonego okna wraz z chłodnym powietrzem dobiegały rozkazy oficera musztrującego poborowych. Zarkim pomyślał, że głos brzmi jak szczekanie upierdliwego psa. W promieniach wschodzącego słońca wilgoć parowała z nieocienionej części placu.

Na środku gabinetu stali komendanci straży miejskiej i gwardii pałacowej. Wyglądali jak powiększone pionki do gry. Pierwszy w stalowej zbroi i granatowym płaszczu, drugi w żółtoróżowym pancerzu pod zielonym płaszczem. Gestme wyglądał niemal jak kopia Miraasza, być może był to kolejny powód ich wzajemnej niechęci. Był minimalnie niższy i węższy w barach. Minimalnie, ale zauważalnie.

- Jak idą poszukiwania, panowie? - zapytał Zarkim.
- Do tej pory nie udało się nam odzyskać siedmiu egzemplarzy - powiedział Miraasz. - Straż miejska nie wywiązała się z zadania.
- Za późno dostaliśmy informację - zaprotestował Gestme. - Gdybyśmy tylko...
- Darujcie mi wtręty o waszych animozjach - przerwał sekretarz. - Mówcie, jak jest. Król wstaje za godzinę i muszę wiedzieć, na czym stoimy.
- Siedem egzemplarzy zdążyli już sprzedać handlarze wszelkiej maści - odparł Gestme. - Ich odzyskanie jest prawie niemożliwe. Oczywiście wszyscy twierdzą, że nie wiedzieli, co to jest. Tłumaczą się, że dał im to członek finansowanej przez króla Akademii Nauk. Nie sposób

zaprzeczyć...

- Przyciśnijcie ich. Solidnie ich przyciśnijcie. A potem nie przestawajcie przyciskać, aż przypomną sobie imiona klientów... Jeden egzemplarz podobno ma Romozel.

- Nie liczymy go do tych siedmiu - przyznał Gestme.

- Ten... - Zarkim chwilę szukał w pamięci dosadnego określenia, ale go nie znalazł. - On to znał wcześniej. Jest teraz w łaskach króla, choć ja osobiście... Ale jest w łaskach króla, więc nie próbujcie go aresztować. Zabierzcie tylko księgę.

- Wszystkie, które znajdowały się w pałacu, już tu są - zauważył Miraasz.

- Możesz mi pomóc przeczesać miasto - zaproponował z sarkazmem Gestme.

- Róbcie, co chcecie - powiedział Zarkim. - Do jutra chcę widzieć wszystkie na tym biurku. - Poklepał stos kilkunastu identycznych czerwonych ksiąg i popatrzył na komendantów. - To wszystko.

Zasalutowali i wyszli. Stojący dotąd pod ścianą człowiek w szarym habicie, ze szpiczastym kapturem kryjącym w cieniu twarz, poruszył się.

- Wszystko gotowe - oznajmił głosem głębokim jak grób. - Za kwadrans zaczynamy.

Sekretarz wzdrygnął się mimowolnie.

- Nie może być najmniejszych wątpliwości co do winy - powiedział. - Dorzućcie mu jakieś przestępstwo przeciw wierze - królowi zależy, szczególnie w tych ciężkich czasach, na dobrych stosunkach z Kościołem. Ci naukowcy zawsze coś mają na sumieniu. Inaczej nie byliby przecież naukowcami.

- Wiemy, co robić.

Sekretarz znów wzdrygnął się, gdy przesunął się po nim cień sędziego.

* * *

Obaj komendanci szli obok siebie pałacowymi korytarzami.

- Jest coś, co nas łączy - odezwał się niespodziewanie Gestme.

- Co niby?

Gestme ruchem głowy wskazał gwardzistów przed bocznymi drzwiami.

- Uzbrojenie - wyjaśnił. - W mieście robi się coraz niespokojniej. W tym tygodniu straciłem sześciu ludzi. Zastrzeleni.

- Trudno się bronić halabardą przed kulami - przyznał Miraasz. Straż miejska, tak samo jak i gwardia pałacowa, nie posiadała broni palnej. Tradycyjnym uzbrojeniem były halabardy. Jedynie dowódcy zamiast nich nosili miecze.

- Zastanawiałeś się, co będzie, jak dojdzie do oblężenia? - ciągnął Gestme. - Bić się trzeba będzie, ale jak? Czym?

- Popatrz lepiej na to. - Miraasz popukał rękawicą w hełm.

- Utwardzany stop miedzi.

- Utwardzany, czy nie... Utwardzany stop czegokolwiek to nie stal. Przeklęta tradycja! Ciężkie jak żeliwo, a nóż kuchenny to przebija. Pewna pomywaczka, przyłapana na kradzieży w kuchni, raniła jednego z moich, nim jego towarzysz ją utłukł.

- Zapamiętaj moje słowa. - Gestme popatrzył na komendanta gwardii. - Jeśli nie zawalczymy o swoje, za miesiąc będziemy mięsem armatnim. I my, i wy.

* * *

- Nie mam pojęcia, kim jest Orestes Gaolin - powtarzał po raz dziesiąty Anvis. - Nie napisałem żadnego traktatu socjologicznego. Jestem astronomem, członkiem rady Wydziału Astronomii Akademii Nauk.

Tkwiał zgarbiony, zmały na twardym krześle. Trzech sędziów w szpiczastych kapturach jawiło mu się na tle okna idealnie czarnymi figurami. W powietrzu unosił się kurz. Jego drobinki znikały w snopach cienia rzucanych przez sędziów. Anvis miał wrażenie, że emanują mrokiem.

- Porównaliśmy charakter pisma z projektu celownika optycznego, który złożyłeś w Komisji Wynalazczości, i ten w oryginale książki - mówił środkowy sędzia. Tylko on się odzywał. - Są identyczne.

- Schemat celownika wyrysował i opisał Noan, mój uczeń... Sprawdźcie inne moje książki.

- Chcesz nam powiedzieć, że tę rozprawę napisał oderwany dopiero co od pługa syn farmera? Gdzie miałby się tego wszystkiego nauczyć? Wiemy, że spotkałeś się z Gaolinem tuż przed jego śmiercią. Po co?

- Nie pamiętam niczego takiego...

- Napisałeś list popierający kandydaturę Gaolina na dziekana twojego wydziału.

- Inaczej wydział zostałby zlikwidowany. Nawet na oczy nie widziałem tego Gaolina...

- Wciąż zaprzeczając, okazujesz nam brak szacunku. Nie szanujesz naszego czasu. Nie szanujesz naszej woli, by szybko zakończyć tę sprawę. Nie szanujesz króla, który za nami stoi.

- Nie mogę się przyznać, skoro jestem niewinny. - Astronom mrużył łzawiące w świetle oczy. - Nawet nie wiem dokładnie, o co jestem oskarżony.

- Okaż nam szacunek, przyznając się.
- Jestem członkiem rady wydziału...
- Twoje stanowisko nie zapewnia ci już ochrony. Od momentu aresztowania nie jesteś członkiem Akademii Nauk. Okaż szacunek królowi, przyznaj się.

- Nie mogę...

Milczący sędzia z prawej podał mówiącemu kolejny papier.

- Podczas aresztowania krzychałeś o krągłej Ziemi.
- Nie wierzę w to! - wykrzyknął Anvis. - Całego autorytetu użyłem, by nie dopuścić nawet do dyskusji na ten temat.

- A jednak na twoim wydziale mówi się o krągłości Ziemi. To herezja. Na twoim wydziale szerzy się herezja. Jesteś unurzany w herezji. Wyplenimy ją z ciebie.

XIX

Miasto należało jeszcze do nich, ale wieści o zbliżającym się froncie świadczyły, że być może nie potrwa to długo. Zamierzali iść równym krokiem, by dodać otuchy mieszkańcom, ale nawet to im nie wychodziło. Już teraz człapali jak banda jeńców. Prowadzący kolumnę Nerhus nie dziwił się swojemu jednodniowemu wojsku. Po osiemnastu godzinach morderczego szkolenia wszyscy jego karabinierzy myśleli tylko o śnie. Pułkownik nauczył się skutecznie walczyć z sennością, ale już na ból kolana nic nie mógł poradzić. Coraz bardziej dawało mu się we znaki. Dobrze, że nie muszą iść piechotą do Medgrun. Zajęłoby to tydzień forsownego marszu.

Słońce dotykało dachów niskich domów, gdy za zakrętem z bezładnej zabudowy przedmieścia wyłonił się mur i hale z czerwonej cegły. Trzy wysokie kominy pluły dymem, z mniejszych ulatywały kłęby pary świecącej w zachodzącym słońcu. Przez otwarte wrota, wysokie na dziesięciu ludzi, dobiegały potężne, rytmiczne uderzenia, pufanie, cmokanie i syk pracującej gigantycznej maszyny parowej. Tu była ta największa w całym Enagorze. Zbudowano ją, zanim powstała Akademia, za pieniądze wynalazcy-ekscentryka imieniem Lott. Teraz Lott korzystał na wielkim zapotrzebowaniu na maszyny bojowe i sprzedawał je za ogromne pieniądze.

Pułkownik dał znak, podoficerowie ustawili żołnierzy w trzy czworoboki. Nerhus w towarzystwie trzech sierżantów wszedł do hali, otoczył ich huk dziesiątek pracujących maszyn. Pułkownik miał ogólne pojęcie, czym jest kołacz, ale maszyna, dla której tu przyszedł, zrobiła na nim ogromne wrażenie. Także trzech sierżanci stali przed nią z zadartymi głowami i rozdziawionymi ustami. Kołacz, opancerzony transporter bojowy wielkości kilkupiętrowego domu, opierał się na czterech grubych kołach, od których zresztą brał nazwę. Przypominał krępą stalową larwę z wystającymi czułkami krótkich luf w bąblach wykuszy, z klapami kryjącymi szczeliny strzelnicze, z barierką obiegającą bulwiastą wieżyczkę na

szczybie. Natomiast koła z półkolistych sprężyn przypominały ustawione pionowo pączki. Po ulicach Miduhr jeździło sporo małych i niezdatnych paromobili, które nadal wzbudzały sensację. Kołacz był od nich większy. Gdyby chcieć nim przejechać przez miasto, zmieściłby się tylko na głównych ulicach, a z górnego pokładu można by zaglądać w okna drugich pięter, a nawet na dachy. Nadbudówkę wieńczyły dwa kominy, z pierwszego wydobywał się czarny dym, z drugiego biała para. Pod dachem hali ze stalowych kratownic i zbrojonego szkła zbierała się szara chmura. Wolno ulatywała przez świetliki, ale i tak wilgotny dym gryzł w nosy. Maszyna parowa kołacza gotowa była do pracy.

Z tyłu najbliższego kołacza odpadła kłapa, oparła się na ziemi i tym wyłożonym schodami trapem zszedł wysoki mężczyzna w szarym kombinezonie roboczym. Wytarł dłonie w szmatę.

- Witam panie pułkowniku! - zawołał do Nerhusa.
- Spodziewałem się pana godzinę temu.
- Miało być gotowych sześć pojazdów - odparł Nerhus.
- Widzę cztery i szkielety dwóch następnych.

Lott zeskoczył z ostatniego stopnia i uściśnął dłoń porucznika:

- Byłyby gotowe, gdyby nie pobór. Niektórzy z moich robotników stoją pewnie w tych szeregach na dziedzińcu. Wybacz, ale powiem wprost: ustawa o poborze powszechnym to zarzynanie ostatniej kury. Rosół zostanie zjedzony, ale jajecznicy więcej nie będzie.

- Mam sześciuset ludzi zamiast tysiąca - powiedział pułkownik. - Może się zmieszczą...

- W Enagorze brakuje ludzi? Coś nowego. Na pokładzie kołacza jest miejsce dla stu pięćdziesięciu ludzi, plus piętnaście osób do obsługi maszyny i sterowania. Wychodzi na to, że brakuje nam się zrównoważyły.

Nerhus podszedł do maszyny i dotknął obłej burty. Brzuch kołacza znajdował się na wysokości ramion rosnącego mężczyzny, a koła miały wielkość średnich kół młyna wodnego.

- Słyszałem trochę o tych maszynach, ale nie wiem, jak się sprawują.

Lott uśmiechnął się szeroko.

- Nikt nie wie. Trenuję tylko twoich ludzi na placu i polach za murem. Jak wrócicie, chętnie wysłucham uwag.

- Jeśli wrócimy?

- Kiedy wrócicie.

Nerhus pokiwał głową ze smutkiem.

- Nie opracowano strategii walki kołaczami - ciągnął Lott. - Pan będziesz miał przyjemność to zrobić. Mogę tylko poradzić, by nie wjeżdżać w piechotę przeciwnika, bo gdy

już zwalczą pierwszy strach, obleżą pojazd jak mrówki i dobiorą się do załogi. Pancerz wytrzymuje uderzenie kuli z dowolnej broni ręcznej, ale przez szczeliny strzelnicze do środka można wrzucić granat.

- Granat? - Nerhus uniósł brwi.

- Najnowszy wynalazek sinevarski. Ręcznie rzucana niewielka bomba.

- A co z pociskami z armat?

Lott pokręcił głową.

- Zależy gdzie trafi. Jeśli w środek płyty blaszanej, to przebije ją bez trudu. Najlepiej opancerzony jest pokład sterowania. - Wskazał okrągłą nadbudówkę na szczycie konstrukcji.

- Strzelaliśmy do takiego pancerza z armaty małego kalibru i wytrzymał. Niestety, gdyby cały kołacz był opancerzony równie mocno, ugrzązłby w ziemi pod własnym ciężarem. Zwłaszcza że z boku znajdują się kłapy i mocowania dla armat małokalibrowych.

- Czemu ich tam nie ma?

- Przy pełnym uzbrojeniu kołacz może zabrać tylko pięćdziesięciu żołnierzy. Teraz, żeby zmieścili się wszyscy, zostawiliśmy tylko sześć obrotowych dział nowego typu. Inaczej maszyny nie ruszyłyby z miejsca. Ciężar jest sporym problemem, ale połowicznie udało mi się to rozwiązać. Podczas hamowania czy zjeżdżania z góry nakręcają się sprężyny. Mechanizm zatraskowy sprawia, że można je uwolnić w każdej chwili i wydobyć pojazd z opresji. Ciężko radzi sobie z błotem i piaskiem. Jeszcze gorzej z nierównościami terenu. Za to jest tak wyważony, że bez dodatkowych dział i obciążenia górnych pokładów może pływać. Oczywiście, gdy nie będzie mocno przestrelony. Ale nie testowaliśmy go w wodzie, więc rozkaz wodowania wydasz pan na własne ryzyko.

- Po drodze do Medgrun nie ma rzeki.

- Dalej jest Narot, jak już będziecie ścigać wycofującą się armię Sinevaru.

Pułkownik popatrzył na niego bez entuzjazmu, a wynalazca uśmiechnął się i wskazał trap.

- Wejdzmy do środka.

Na dole, przynitowana do żeber konstrukcyjnych, wznosiła się maszyna parowa ze wszystkimi zaworami, przewodami i popychaczami na wierzchu. Do przedniej i tylnej osi podłączono wały napędowe. Obok, za przegrodą z desek leżały dwie pryzmy węgla. W palenisku buzowały płomienie. Wsparty o szuflę palacz wlepił w pułkownika bezmyślne spojrzenie - białka zdawały się świecić w twarzy czarnej od sadzy. Wszystko zanurzone w monotonnym głębokim pomruku i cyklicznym stukocie. Teraz panowało tu przyjemne ciepło, ale Nerhus wyobrażał sobie, co musi się tu dziać w upalne letnie dni. Spojrzał po galeriach

dwóch poziomów, do miejsca, gdzie przewody i kominy znikwały na suficie. Z tej perspektywy wewnątrz kołacza wyglądało jak wypełniona mechanizmami grotą. Stromymi schodami weszli na pierwszy, a potem drugi poziom. I tu, i tam, w otoczonych barierkami otworach, poruszały się wolno mechanizmy napędowe. Wąskimi schodkami wdrapali się do wieżyczki. Z dwóch twardych, ale zawieszonych na sprężynach foteli można było dowodzić pojazdem, bo poziome okna szczelinowe zapewniały przyzwoite pole obserwacyjne.

Nerhus przełożył rękę przez najbliższy otwór. Mógłby być mniejszy. Strzelec wroga nie będzie miał problemu z trafieniem. Pułkownik spojrzał na kilka dźwigni, zegarów i pokręteł. Niektóre przyrządy drżały od pracującej w dole maszyny. Żadne nie były opisane. Dominowało wielkie koło sterowe, jak na statku, umieszczone na przedzie kabiny, dokładnie między fotelami.

- Gdzie załoga? - zapytał.

- Odsypiają kilkudniowe szkolenia. Już posłałem po nich.

- A pan umieść to prowadzić?

Lott uśmiechnął się szeroko i wskoczył na fotel po lewej stronie. Przesunął środkową dźwignię i gdzieś w dole rozległo się uderzenie w dzwonek, a w chwilę potem szuranie szuflí. Pułkownik przezornie usiadł na drugim fotelu. Za plecami narastał hałas. Lott przesunął kilka dźwigni, Nerhus nawet nie starał się zapamiętać kolejności.

- Ile czasu to konstruowałeś? - zapytał.

- Pół roku. Największe postępy poczyniłem w tym tygodniu. Ostatnio mam wrażenie, że jestem niezwykle mądry i pomysłowy. Problem, który zajmował mi miesiąc żmudnych prób i testów, teraz przestaje istnieć po kilku godzinach nad deską kreślarską. Model maszyny parowej przez lata testowałem jako zabawę. Trzy miesiące konstruowałem regulator obrotów. Teraz w dwa tygodnie wyprodukowałem kilkanaście dużych maszyn, niemal idealnych konstrukcji. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że prawie nie popełniłem błędów. Jakbym znajdował w jakiś niezwykle sposób gotowe, wypróbowane wręcz i istniejące od dawna rozwiązania. Jakby wiedza gdzieś czekała, aż będę gotowy, by ją przyjąć i zrozumieć.

Nerhus spojrzał na konstruktora. To nie były przechwałki.

Pojazd wydał z siebie ostrzegawczy ryk, płynnie ruszył i zakołysał się. Po kilku obrotach koła sterowego skręcił. Bijąc spalinami i parą w sufit, dotoczył się do wrót i wysunął w chłodny i wilgotny wieczór. Ostatnie promienie słońca odbiły się od blach.

Żołnierze nie utrzymali szyku. Cofnęli się, część rozpierzchła się na bezpieczną, ich zdaniem, odległość. To również chciał sprawdzić Nerhus. Przyglądał się reakcjom swoich podwładnych i zastanawiał, jak zachowają się Sinevarzy na polu bitwy.

Z jękiem mechanizmów kołacz zatrzymał się na środku placu. Wyszli ze sterowni na odkryty pomost wokół nadbudówki i oparli się o reling. Dymu i pary było teraz mniej. Starczyło na brudną szarą chmurkę, z wolna odpływającą z wiatrem w kierunku miasta.

- Te stalowe puszkę nie wzbudzają mojego zaufania - powiedział pułkownik. - Zrezygnowałbym z nich, gdyby nie to, że poruszają się trzy razy szybciej od zaprzęgów.

- Nie oczekuję wdzięczności - uśmiechnął się Lott.

- Wdzięczność już otrzymałem od króla. W złocie.

Nerhus uniósł przepraszająco dłoń.

- Źle to ująłem. Całe żołnierskie życie służyłem w piechocie. Ufam własnym nogom.

Wynalazca bez słów wskazał prawe kolano pułkownika. Ten zreflektował się.

- Fakt, kuleję, ale żyję. Postrzał uratował mi życie. Upadłem, a w sekundę później obok wybuchł szrapnel. Odłamki poszły górą.

Oficerom zajęło dwie minuty ponowne uformowanie szyku. Lott i Nerhus patrzyli na żołnierzy. Sześćset par zdziwionych, przestraszonych, ale i zafascynowanych oczu. Co stanie się z tymi chłopcami, kiedy staną przed wrogiem?

- Nie będzie łatwo - cicho stwierdził Lott. - Tym bardziej życzę powodzenia.

- Rozpocząć załadunek! - rozkazał pułkownik.

W dole karabinierzy bezładnie rzucili się do worków i skrzyń.

* * *

Szybko przyzwyczaili się do miarowego pufania maszyny parowej, hurkotu przekładni, jęku sprężyn, syku rur. Najgorsze były niespodziewane przechyły. Dla zamkniętych w metalowym pudle kołacza żołnierzy każda zmiana położenia podłogi była zaskoczeniem, wywoływała dezorientację i objawy przypominające chorobę morską.

- Przyzwyczajcie się - pocieszał ich jeden z kanonierów, którzy od trzech dni ćwiczyli obsługę dział pokładowych.

Wymiotującego przez okienko Zaklisa nie przekonywało to ani trochę. Wreszcie pousypiali ze zmęczenia jeden na drugim, na workach z suszoną fasolą i ziemniakami. Sen przerwał im nagły bezruch i cichnące odgłosy. Jakby złośliwie postój zarządzono akurat teraz.

- Dlaczego nie jedziemy? - Pachzan zagadnął przechodzącego sierżanta.

- Za ciemno.

- Czemu więc nie używamy lamp?

Sierżant nie usłyszał, już zbiegał na niższy pokład.

- Żeby się nie zdradzić przed zwiadowcami wroga - z boku dobiegła cicha odpowiedź. Chłopak, który podczas musztry trząsł się z zimna, teraz wbił się w najciemniejszy kąt i pociągał nosem.

- Jak się nazywasz?

- Hamal. Nie nadaję się na żołnierza.

- Nikt z nas nie chciał nim zostać.

- Wiem. Ale... ja zginię pierwszego dnia.

- Masz czas - pocieszył go chłopak obok. - To tydzień drogi.

- Będziemy jechać dwa dni - powiedział Zaklis. - Kiedyś byłem w Medgrun. Wozem to dwa dni.

- Byłeś w Medgrun?! - Chłopak wytrzeszczył na niego oczy.

- Co w tym dziwnego? Spotkałem kiedyś podróżnika, który zwiedził Hamelon, a nawet jakieś miasto sinevarskie.

- Nigdy nie byłem w innym mieście...

- Będziemy tam jutro przed wieczorem - rzucił Hamal.

- Kołacz jest szybszy od wozu. Na równej drodze jest niemal tak szybki, jak koń w galopie.

- A co ty taki mądry? - rzucił tamten z niechęcią.

Przez otwarty trap do środka wpadło chłodne powietrze.

- Wystawić strażę - polecił schodzący ze sterowni Nerhus.

Pachzan mógł się wreszcie przyjrzeć dowódcy z bliska. Nerhus spojrzał na niego przelotnie i chłopak poczuł coś na wzór wyróżnienia.

- Sugeruję nie wygaszać paleniska - dobiegło z góry.

- Rozpalanie go i nagrzewanie kotła może zająć nawet dwie godziny.

- Nie wygaszajcie - zgodził się pułkownik.

- Ty, ty i ty - sierżant wskazał Pachzana, stojącego obok Zaklisa i Hamala. - Trzy godziny warty.

Pachzan zacisnął zęby i chciał coś odpowiedzieć, ale Zaklis ścisnął mu ostrzegawczo łokieć. Posłusznie zeszli na dół. Po podróży w rozgrzanym wnętrzu nocny chłód lasu przenikał ich na wskroś. Owinęli się szczelniej płaszczami. Na czym właściwie polega warta? Mają chodzić wokoło pojazdów? Stać i nasłuchiwać? Rozejrzeli się, co robią inni, ale sylwetki majaczące w mroku stały nieruchomo przy kołaczach. Zatknięte obok kominów wielkie flagi Mechelona III powiewały niechętnie. Patrząc na nie, Pachzan nie czuł nic, żadnej dumy, raczej kielkującą złość. W słabym blasku księżyca widział tylko haftowane

słońce na zielonym tle - symbol człowieka, który zabrał go z domu i posłał w nieznane. Chłopak nie czuł, jak wielu innych, szacunku graniczącego z uwielbieniem dla Mechelona III. Jeżeli ktoś próbowałby go przekonać, że warto walczyć za króla i Enagor, prawdopodobnie uznałby go za głupka.

- Też uważacie, że to niesprawiedliwe? - zapytał. - Jesteśmy tu, zamiast pomagać naszym rodzinom.

- Jest wojna - odparł Zaklis. - Najlepiej im pomożemy, wracając żywi.

- Nie obchodzi cię, co my tu robimy?

- Nie lubię się przejmować sprawami, na które nie ma się wpływu. - Zaklis wzruszył ramionami. - Sinevar zaatakował Enagor, więc król broni swojego królestwa.

- Nieważne, jak nazywa się państwo, nieważne, kto nim rządzi - powiedział ponuro Pachzan. - Ważne, żeby dało się przeżyć i nikt nie brał cię na wojnę. Jedyne, co daje mi nadzieję, to żołd, który zawiozę do domu.

- Nie liczyłbym na to. - Hamal trząsł się w dreszczach.

- Słyszałem, jak sierżanci rozmawiali, że dostają piętnaście groszy tygodniowo.

- Sierżant dostaje normalny żołd. Nie jest poborowym.

- Więc my nie dostaniemy?! Tylko dlatego że nie zgłosiliśmy się sami?

- Dostaniemy, ale potrącają nam za wikt i opierunek. Wyjdzie na zero. Podobno króla nie stać na nasz żołd.

- Bierze coś, na co go nie stać. Jest więc złodziejem.

- Ciii. - uciszył go Zaklis. - Miejsze nieco rozsądku.

Pachzana roznosiła złość. Chciał coś zrobić, chciał niszczyć!

- Nie stać razem! - krzyknął z góry sierżant. - To warta, a nie babskie ploty.

Zaklis i Hamal bez słowa rozeszli się w przeciwne strony. Pachzan został. Sierżant ostudził jego niszczycielskie zapędy, ale złość pozostała. Uniósł wzrok. Była tam, ta durna gwiazda Noana - jaśniejszy od innych, wolno sunący po niebie punkt. To Noan powinien tu być! Jego myśli pobiegły do domu. Jak sobie radzą? Ojciec, Hanni... Czy zdołają zebrać plony choć z połowy pól?

* * *

Słońce wpadało przez szczeliny pod obijającymi się o burty klapami, przez małe okienka i nieszczelności blach pancerza. Poranek. Nerhusa obudził znajomy dźwięk, nie do pomylenia z jakimkolwiek innym - odgłos wystrzałów. Wbiegł do sterowni i wyjrzał przez szczeliny.

Łagodne pagórki pokryte lasem. Zaraz jednak dostrzegł dymy na niebie.

- Linia frontu powinna być parę mil stąd - mruknął, po czym krzyknął do najbliższego sierżanta. - Ogłosić alarm bojowy! Strzelcy na stanowiska! Jeśli pokaże się wróg, strzelać bez rozkazu!

Sygnalista otworzył klapę na rufie i chorągiewkami przekazał rozkaz do drugiego kołacza, ten do następnego i wreszcie ostatniego.

Na pokładach czterech maszyn zapanowało zamieszanie. Karabinierzy, nie wiedząc czego się spodziewać, pospiesznie ładowali broń i otwierali klapy w burtach. Maszyny, plując dymem i parą, pięły się pod górę. Zamknięci w jej wnętrzu młodzi chłopcy z przerażeniem patrzyli na siebie. Coraz głośniejsze wystrzały, zapach palonego prochu. Wreszcie oczom pułkownika i sterowniczego ukazała się niewielka dolinka, a w niej kilkunastu ostrzeliwujących się muszkietierów. Z przeciwległego zbocza zbiegała kilkudziesięcioosobowa grupa żołnierzy w żółto-granatowych mundurach. Sinevarzy. Żołnierze obu stron ujrzeli wyłaniające się zza wzniesienia maszyny i znieruchomieli w niemym zdziwieniu.

- Ognia! - rozkazał sierżant, gdy wróg znalazł się w zasięgu strzelców dolnego pokładu.

Kilkanaście luf z przodu pierwszego kołacza niemal jednocześnie wypuściło pociski i chmury dymu. Huk odbił się od przeciwległego zbocza. Paru młodych żołnierzy miało opory przed oddaniem strzału, ale wrogie kule grzechoczące o pancerz okazały się dostateczną motywacją. Następną salwa poszła już równo ze wszystkich luf. Karabinierzy sprawnie przeładowywali broń.

- Nikt nie może uciec! - krzyczał z góry pułkownik.

Wyraźnie widział różnicę między karabinem a muszkietem. Pamiętał, jak nie dość wyszkoleni muszkietrzy potrafili ładować broń pięć długich minut. Tym tutaj, niedoświadczonym karabinierom, zajmowało to nawet mniej, niż zakładał Neklin. Oddawali około trzech strzałów na minutę!

Część żołnierzy Enagoru zaczęła biec w kierunku kołaczy, by za ich masywnymi cielskami schronić się przed kulami nieprzyjaciela. Ale ci stracili już zainteresowanie piechotą. Teraz strzelali bezładnie w stalową pierś pierwszej maszyny. Po trzeciej salwie Sinevarzy zrozumieli, że nie uda im się wyrządzić jakiegokolwiek szkody kolosowi. Poszli w rozsypkę. Ci, którzy uparcie strzelali do kołacza - zginęli pierwsi. Chwilę po nich padli salwujący się ucieczką - nie zdołali przebiec nawet połowy dystansu do przeciwnego szczytu. Wreszcie zginęli próbujący ukryć się za pniami i głazami. Ich schronienia okazały się bezużyteczne, gdy kołacze się zbliżyły.

W dwie minuty było po walce. Maszyny zatrzymały się i wysypali się z nich oszołomieni żołnierze. Nerhus wyszedł po chwili - schodzenie po stromych schodkach było wyzwaniem dla jego kolana. Odszukał wzrokiem dowódcę muszkietarów i przywołał go gestem. Młody kapral podbiegł, zasalutował i zameldował:

- Nasz oddział rozbito. Zostaliśmy tylko my. Oficerowie zginęli.

- Przeszukajcie okolicę. - Nerhus odwrócił się do sierżanta obok. - Zbierzcie rannych i zabitych. Muszkietarów rozlokujcie w drugim kołaczu. Tam jest najwięcej miejsca.

Karabinierzy wylegli na dukt i przyglądali się trupom Sinevarów. Po raz pierwszy widzieli swoich wrogów. W dodatku martwych. Byli chyba bardziej przestraszeni tym, co się wydarzyło, niż szczęśliwi z szybkiego zwycięstwa.

- Teraz poszło łatwo - oznajmił donośnym głosem pułkownik. - Wróg był nieliczny, zaskoczyliśmy ich. Mieliśmy również przewagę w postaci osłony kuloodpornej. Nikt z nas nie ucierpiał, ale nie myślcie, że tak będzie zawsze. Dziś kilku z was zawahało się przed oddaniem strzału. Jeśli tak samo zachowacie się w prawdziwej bitwie - zginiecie wy albo wasi koledzy. Wahanie oznacza śmierć. Przyjrzyjcie się swoim wrogom. - Wskazał dłonią ułożone w rzędzie ciała. - Najechali nasze ziemie, zabili wielu naszych, zniszczyli miasta i wsie. Waszym zadaniem jako żołnierzy jest zabicie jak największej liczby wrogów. Każdy Sinevar, który przeżyje, może jutro, za tydzień, za miesiąc zabić waszego brata, ojca, matkę. Dlatego wy musicie zabić pierwsi. To wasza powinność. Zastanawiał się, o czym teraz myślał.

- Na pokład! - polecił, po czym dodał ciszej - naszych pochować, wrogów tylko ukryć w krzakach. Uwińcie się. Jeśli byli tu, większe oddziały mogą zbliżać się już do twierdzy.

* * *

Jeden z rannych muszkietarów zmarł po godzinie. Zatrzymano kołaczę, by go pochować. Pozostali trzech poszkodowani czuli się dobrze. Ocalali muszkietarowie z zainteresowaniem przyglądali się karabinom. Kilku jechało w pierwszym pojeździe. Nie byli starsi od poborowych, ale wzbudzali oczywisty szacunek doświadczeniem bojowym. Podróż w brzuchu stalowej maszyny nie robiła na nich wrażenia, widać wojna nauczyła ich już dystansu do rzeczywistości.

- Czy to prawda, że najłatwiej umrzeć, ładując broń? - zapytał Zaklis.

- Na polu bitwy nikt nie ładuje regulaminowo - wyjaśnił tamten, żując suszone mięso. - Gdybyś wstał i zaczął wyciągać wycior, po trzech sekundach już byś nie żył. Robimy to, leżąc, często w błocie. - Wskazał swój mundur, faktycznie więcej było na nim miejsc

pokrytych zaschłą ziemią niż czystych.

- Wtedy lufa może się zabrudzić! - Pachzan przypomniał sobie skrócone szkolenie z obsługi karabinu.

- Lepsza zabrudzona lufa niż martwy żołnierz. Nauczycie się jeszcze. Przynajmniej ci, którzy przeżyją pierwszą bitwę.

- Łatwo jest... zabijać?

- Zasada jest prosta: Nie myślisz. Widzisz żółto-granatowy mundur, strzelasz. Jak nie strzelisz, ciebie zabiją. To proste. Macie lepszą broń od nas...

- Produkcja idzie szybko. Dostaniecie na pewno i wy.

- Prędzej dostaniemy po trupie - powiedział tamten bez emocji. - Człowieka łatwiej zniszczyć niż broń. Może nawet będzie to karabin któregoś z was.

- Jak możesz?... - zdziwił się Zaklis.

Wzruszył ramionami.

- Tydzień na froncie i nie będziecie się burzyć.

Muszkietierowie, zmęczeni kilkudniowym marszem, zasnęli natychmiast, jak na komendę, pozostawiając karabinierów z ich własnymi myślami. Poruszony tą rozmową Pachzan patrzył na unoszące się i opadające mechanizmy maszyny parowej. Jej odgłosów już nie słyszał.

Zatrzymali się jeszcze raz, by wysłuchać relacji uchodźców, których strumień ciągnął teraz wzdłuż drogi, spowalniając kołaczę. Według relacji cywilów Sinevarzy podchodzili pod miasto, a ciężkie walki toczyły się już niemal na przedmieściach.

- Piękna była ta przemowa naszego pułkownika - powiedział po dłuższej chwili Pachzan.

- Ale zabiliśmy ludzi.

- Słyszałeś. - Zaklis ocknął się z płytkiej drzemki. - Albo my ich, albo oni nas.

- Sinevarzy też zostali wzięci siłą do armii. Takie same gadki im wciskają.

- Prosisz się o problemy. Słyszałeś, jakie są zasady: widzisz żółto-granatowy mundur, strzelasz.

- Wiem... - Pachzan niechętnie przytaknął.

Dalszą rozmowę przerwał im odgłos odległej, ale potężnej eksplozji. Przebił się przez pufanie maszyny parowej i zbudził nawet muszkietierów.

- To Betana - powiedział ten, z którym rozmawiali poprzednio. - Ich nowa armata. Kaliber dwukrotnie większy od naszych, a niesie ze trzy razy dalej. Stosują lepszą mieszankę.

Paru karabinierów uchyliło klapy i wyglądało na drogę. Ziemia była zryta kopytami i kołami wozów, ale te nierówności nie stanowiły przeszkody dla wielkich kół kołacza. Za

pasmem pagórków coraz wyraźniej widać było dymy. Wróg zbliżał się do twierdzy.

Gdy pojazd wspiał się na ostatni pagórek, otworzył się przed nimi widok na wielką równinę z wysokimi murami Medgrun.

- Alarm bojowy! - wrzasnął sierżant.

Rzucili się do szczelin strzelniczych, ale miejsc nie starczyło dla wszystkich. Wróg nie zbliżał się do Medgrun. Wróg już w nim był, a miasto powoli przestawało istnieć. Widoczne budynki były zniszczone lub mocno uszkodzone. Widać było zarzewia pożarów. Wszędzie roilo się od żołnierzy w żółto-granatowych mundurach i armat ciągniętych przez konie. Przygotowywali się do oblężenia. Na masztach wież twierdzy wciąż powiewały sztandary Mechelona, a na blankach murów przemykały małe figurki obrońców. Na szczęście została szeroka aleja, prowadząca wprost do bramy głównej.

- Formować trójki! Strzelać na zmianę!

Pachzan, Zaklis i Hamal zajęli otwór strzelniczy na drugim poziomie, przy prawej burcie. Kanonierzy przygotowywali działka pokładowe, muszkietery ładowali swoją przestarzałą broń.

- Strzelać, gdy tylko znajdą się w zasięgu!

Hamal trząsł się tak, że z trudem udało mu się włożyć nabój do zamka.

- Mogli wykopać rów, przygotować jakieś przeszkody - zauważył Pachzan.

- Nie wiedzieli o istnieniu kołaczy - odparł Hamal.

- Przebijemy się, nim się zorientują.

Pachzan spojrzał zdziwiony - ten mały, mimo przerażenia, potrafił sprawnie myśleć.

Sinevarzy już zauważyli kołacze. Trochę trwało, nim zrozumieli, co widzą. Dobitnie w tym pomogły kule, które uderzały w ziemię wokół nich. Wśród stojących najbliżej wybuchła panika. Podobnie jak podczas poprzedniej potyczki część zaczęła się wycofywać, część ukryła się w ruinach, a najodważniejsi ruszyli do ataku, strzelając na oślep w stalowe korpusy.

- Nie pozwolić im zbliżyć się! - ryczał z góry sierżant.

Pachzan, Zaklis i Hamal strzelali na przemian, nie tracąc czasu na sprawdzanie skuteczności ognia. Wjechali między pierwsze zabudowania, coraz wyraźniej widząc skalę zniszczeń. Na placu obok pojawił się duży oddział wroga. Nim tamci zorientowali się, co się dzieje, połowa już nie żyła. Maszyny parowe zwiększyły obroty i kołacze rozpędzały się na pochyłości. Prędkość utrudniała celowanie, za to wrogowie, którzy zostali z tyłu, nie mogli już dogonić kołaczy.

Mijali ciała żołnierzy obu stron konfliktu i nieszczęśników, którzy zostali, by pilnować własnych domów. Kanonierzy z prawej burty porzucili ostrzeliwanie najbliższej okolicy i

posłali kilka pocisków zapalających w stronę widocznej opodal maszyny oblężniczej. Gdy ogarnęły ją płomienie, przenieśli ogień na stanowisko artylerii wroga. Sinevarzy zorientowali się już, czym są te wielkie stalowe maszyny, i obracali armaty w ich stronę. Strzelanie z rozbujanego pokładu na odległość prawie pół mili nie było prostym zadaniem. Przy tym samym ustawieniu działa jeden pocisk pokonywał ledwie połowę dystansu, drugi leciał w niebo. Nie trafili ani razu, ale przynajmniej pociski spadały na teren opanowany przez wroga.

Artylerzyści sinevarscy mieli łatwiejsze zadanie. Za drugim razem trafili w trasę, którą musiały przejechać kołacz.

Strzelanie na taką odległość z karabinów nie miało większego sensu, ale z braku innych celów żołnierze próbowali szczęścia. Rozległ się huk, zupełnie inny niż wybuchów. Stojący obok Pachzana żołnierz odleciał pod przeciwną ścianę i znieruchomiał w nienaturalnej pozycji. Ktoś krzyczał. Pachzan nie słyszał słów, w uszach mu gwizdało, miał zawroty głowy. Złapał się czegoś, by nie upaść, spojrzał na zabitego - ciało wyglądało, jakby przejechał po nim wóz z gruzem. Wszystkie kości były zapewne zgruchotane.

Słuch powoli wracał. Z peleryny ściekała krew tamtego. Odpiął zatrząsk i zrzucił ją pod nogi. Dopiero teraz zobaczył: blacha na burcie była wgięta do środka. Pocisk nie przebił jej na wylot tylko dlatego, że energię uderzenia przejęło ludzkie ciało.

W zasięgu wzroku nie było żółto-granatowych mundurów, tylko nadpalone lub zburzone domy i kołyszący się ryj drugiej maszyny. Armaty Sinevaru co chwilę pluły ogniem, a przed kołaczami, za nimi lub tuż obok nich wybuchały płomienie, wystrzeliwały w górę gruz i ziemia.

Drugi kołacz otworzył nagle wszystkie klapy strzelnicze, rozbłysnął wszystkimi otworami, błysnął jeszcze raz, mocniej, napęczniał i bezgłośnie zamienił się w szybko rosnącą chmurę rozerwanych blach, płomieni, pary, dymu i ludzkich szczątków. Dopiero po chwili do pierwszego pojazdu dobiegł trzykrotny huk, który wstrząsnął poszyciem i wdmuchnął przez otwory strzelnicze pył bitewny. Walka zamarła. Echo niesło się ponad budynkami, powracało od murów. Szczątki opadały na znacznym obszarze, bębniły w dachy pozostałych maszyn.

- Już po nas... - rozległo się z dołu.

Coś rąbnęło w lewą burtę. Niezbyt mocno, ale przez dwie szczeliny do środka strzeliły języki ognia. Ktoś złapał się za twarz, ze strasznym krzykiem przeleciał przez barierkę i spadł na sam dół, na węgiel.

- Bomba zapalająca! - ryknął sierżant. - Chrońcie skrzynię amunicyjną.

Kilku ludzi rzuciło się w stronę skrzyni i własnymi płaszcami zgasiło płomienie. Duży fragment zewnętrznej pokrywy pancerza z lewej strony płonął. Zamknięto klapy, ale i tak do

środka przedostawały się pojedyncze płomienie. Stalowa ściana zaczynała się nagrzewać.

Ktoś wypuścił z rąk karabin i runął w kierunku trapu.

- Chcę stąd wyjść! - krzyczał, szarpiąc za blokadę. - Wypuście mnie!

Ktoś inny natychmiast zdzielił go kolbą przez głowę.

- Nic się nie stanie! Zaraz się wypali.

Dwa ostatnie kołaczy przejechały przez płonące szczątki zniszczonego, kołysząc się niebezpiecznie - było zbyt wąsko, by omijać przeszkodę. Powróciły odgłosy salw artyleryjskich i pobliskich wybuchów. Niebo przecinały smugi dymu kolejnych pocisków zapalających. Jednak oddalali się już od stanowiska artylerii, więc pociski upadały coraz dalej od ich trasy, a odłamki jedynie czasem stukały o pancerz.

* * *

Nerhus czuł się w brzuchu maszyny jak w pułapce. Na zewnątrz niebezpieczeństwo groziło z każdej strony, ale przynajmniej było znajome i przewidywalne. Po utracie jednego pojazdu bił się z myślami, czy nie nakazać karabinierom opuszczenia kołaczy. Uznał jednak, że to zbyt spowolniłoby marsz do bram. Pierwszy rozkaz, który miał wykonać -- zabezpieczenie szlaku do twierdzy - już stracił sens. Pozostawało więc jak najszybciej dotrzeć do bram i obsadzić stanowiska obronne w Medgrun. Tylko tak można było utrzymać wroga na dystans.

Gdy do bramy twierdzy pozostała niecała mila, Nerhusa zaniepokoiło jeszcze coś - nikt nie projektował bramy z myślą, by zmieścić się w niej pojazd tych rozmiarów. Nie zastanawiali się nad tym wcześniej. Kołaczy zostawić przed bramą nie mógł, wróg natychmiast zrobiłby z nich użytek, a ponadto w ładowniach znajdowało się zaopatrzenie, w tym szesnaście dział z pałacu Mechelona. Szczęśliwy traf sprawił, że w zniszczonym kołaczu była niemal wyłącznie żywność.

Obserwując prędkość posuwania się wroga, Nerhus przyjął, że na wycofanie wszystkich żołnierzy Enagoru z przedpoła jest nie więcej niż godzina. Nie mógł pomagać innym jednostkom - ładunek, jaki wiozł, był zbyt cenny, by go narażać. Przez lunetę widział kolejne oddziały, przekraczające biegiem bramę. Na szczęście samym kołaczom nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Poza bramą.

- Wysłać obsłudze bramy wiadomość o naszych zamiarach - polecił. - Opuścić sztandary, gdy będziemy się zbliżać.

Sierżant zasalutował i zszedł przekazać rozkazy dalej.

Twierdza robiła wrażenie niezdobytej. Nerhus próbował wczuć się w rolę dowódcy Sinevarów. Przyglądał się pionowym ścianom z klinkieru i kamienia, wąskim otworom strzelniczym, potężnym basztom i wieży bramnej. Nie potrafił wskazać słabego punktu. Tak, lepiej było się bronić tu niż w Miduhr. Najpierw jednak trzeba wjechać do środka. Obserwował bramę przez lunetę.

- Może mistrz Lott to przewidział? - zapytał sterowniczy.

- Sądzisz, że gdzieś istnieją tak dokładne plany twierdzy? - odpowiedział pytaniem pułkownik. - Zwolnij, jak tylko się da.

Sterowniczy przesunął dźwignie. Opuszczono sztandary, złożono maszty. Kołacz toczył się wolno, wzbudzając znajome reakcje wśród żołnierzy piechoty. Gdy koła zadudniły o most zwodzony, Nerhus wyszedł na pomost przed nadbudówką. Uniósł dłoń i dotknął wolno przesuwającego się sklepienia bramy. Nadbudówka przeszła, kominy też, ledwie kilka cali od kamienia. Odetchnął, jednak dopiero gdy ostatnia maszyna znalazła się na dziedzińcu.

Może i to przewidział, pomyślał, schodząc na najniższy pokład.

- Rozładować wszystko, a najpierw amunicję - polecił.

Wyszedł po trapie i rozkazał pierwszemu napotkanemu podoficerowi:

- Prowadź do dowództwa.

Żołnierz zasalutował i powiodł go obok leżących wprost na ziemi rannych pod krużganki, przez sień i schody. Trwały gorączkowe przygotowania do zbliżającej się walki. Wokół biegali żołnierze ze skrzyniami, workami, powiązanymi po kilka muszkietami. Przed kolejnymi drzwiami drogę zastąpił im strażnik.

- Pułkownik Nerhus Hersell do dowódcy - wyrzucił z siebie pułkownik.

Strażnik otworzył drzwi i wpuścił go do środka. Generał Tedrunel uniósł głowę znad sterty kart ze spisem stanów magazynowych.

- Pułkownik Nerhus Hersell melduje się wraz z pułkiem karabinierów. - Gość wyprężył się i zasalutował. - Zgodnie z rozkazem generała Armunacha, oddaję się do pańskiej dyspozycji.

Generał oddał salut i uściśnął dłoń pułkownika.

- Jak podróż?

- Mam czterystu pięćdziesięciu ludzi. Zdać raport bezpośrednio panu, generale? A sztab?

- Nie powiedziano ci? - Generał spojrzał na niego uważnie. - Sztab został zniszczony.

- Powiedziano mi o nieudanym ataku. Dlatego przeniesiono go tutaj.

- To wersja oficjalna. Teraz poznasz pan prawdziwą. - Generał zerknął na drzwi, czy zamknięte. - Sztab został kompletnie zniszczony. Ocalałem ja i kilku podoficerów. To była

jatka. Ze względów bezpieczeństwa zatajono tę wiadomość. Oficjalnie sztab jest w Medgrun, a w rzeczywistości w pałacu królewskim. Rozkazy i raporty przekazywane są drogą radiową. Radio to wynalazek skonstruowany w Akademii Nauk. Pozwala na rozmowę na duże odległości przez powietrze. Nie wiem, jak to możliwe, ale działa. Zachowaj pan, proszę, w tajemnicy wszystko, co teraz powiedziałem.

Nerhus był wstrząśnięty, ale skinął głową.

- Proszę o rozkazy, generale.

- Nakarm ludzi po podróży, kantyna jest na parterze, pod nami, i niezwłocznie obsadź stanowiska po stronie północnej i wschodniej. Czy przywiozłeś szesnaście armat?

- Tak. Są właśnie wyładowywane. Mam też osiemnaście dział obrotowych na amunicję łuskową i zapas tejże amunicji. Prawie po sto pocisków na każde działo. Wymontowanie dział z kołaczy zajmie godzinę.

- Wszystkie się przydadzą. Sinevarzy będą próbowali zdobyć twierdzę z marszu. Do zachodu słońca jeszcze daleko. Zapowiedz ludziom, że jeśli tamci spróbują dziś zaatakować, czeka ich ciężki dzień, ale potem będą mogli odpocząć. Zakoszarowanie przeprowadzisz po zmroku. Wtedy zawsze walka zamiera - bardzo mi odpowiada ta ich doktryna. I zapraszam cię na kolację. To w sali obok. Zaczynamy wpół do dziewiątej.

XX

Ocknął się po raz kolejny z koszmarne snu, tylko po to, by stwierdzić, że rzeczywistość również jest koszmarem. Tkwił w beczce z wodą w wybitnie niewygodnej pozycji, z głową wystającą ponad powierzchnię przez ciasny otwór w wieku. Prawdopodobnie był tu już dobę, ale pewności nie miał.

Urozmaiceniem nicości nieoczekiwane okazały się kroki. Zabłyśła lampa oliwna ustawiona na ceglanej półce. Więzień zmrużył oczy, od tyłu godzin traktowane ciemnością, jak ciało - bezruchem. Ciemny zarys mężczyzny w szpiczastym kapturze.

- Jak wypadły twoje medytacje? - zapytał pustym głosem sędzie.
- Nie medytowałem, spałem - odparł więzień.
- Będziesz miał czas na medytacje. Tutaj nigdzie się nie spieszymy, mistrzu Anvisie.
- Odpowiedź za swój postępek. - Jeszcze miał siłę na groźby. - O wszystkim dowie się król i rada Akademii.
- Król o wszystkim wie i oczekuje efektów naszej pracy. Możesz nam pomóc, jednocześnie pomagając sobie. Przyznaj się do napisania *Społeczeństwa*.
- To nie ja... - powtórzył chyba po raz dwudziesty, za każdym razem coraz ciszej.
- Nie interesuje nas, kto to zrobił - odparł cień w szpiczastym kapturze. - Naszym zadaniem jest sprawić, byś się przyznał. Przyznał i pogodził ze swoją winą. Przyznaj się i uwierz w nią.
- Już wiem! Wiem, czego chcecie! - Anvis tak szeroko otworzył usta, że uraził się brodą o drewno. - Chcecie ofiary... Podli fanatycy... Chcecie krwawej ofiary.
- Zapewniam cię, że nie jesteśmy fanatykami wedle twego pojmowania. - Sędzia zmienił na chwilę ton głosu. - Jesteśmy bardziej pragmatyczni, niż przypuszczasz. Dlatego nie dość, że się przyznasz, to jeszcze sam uwierzysz w swą winę.
- Czyli wiecie, że jestem niewinny?

- Naszą domeną jest wiara, nie wiedza. Ty też staniesz się wyznawcą tej filozofii. Nie dziś, to jutro. Mamy czas. Jeśli zimna woda cię nie przekona, podgrzejemy ją.

Zdmuchnięta lampa zgasła. Kroki oddaliły się w ciemność.

* * *

Z monotonnym mlaskaniem wypadały z maszyny drukarskiej kolejne stronicy dokumentów z nagłówkiem „Królewska Akademia Nauk”. Słaba żarówka wydobywała z mroku precyzyjne mechanizmy obracające się w idealnym porządku. Hedfus w eleganckim, choć mocno zniszczonym stroju skakał wokół maszyny jak wielka piłka i dokręcał, doglądał, smarował, dolewał tuszu, poprawiał papier w podajniku. Stojący w progu Romozel czekał cierpliwie, aż tamten go zauważy. Stało się to, dopiero gdy w maszynie skończył się papier i drukarz musiał przejść do regału po nowe arkusze. Drgnął przestraszony.

- Co?... - wydobył z siebie. Był spocony zapewne w równym stopniu z wysiłku, co ze zdenerwowania.

- Zachowałeś matryce od *Spoleczeństwa*? - zapytał na wstępie socjolog.

- Miałem je przetopić...

- Ale nie przetopileś.

- Ale miałem... Zaraz to zrobię.

- Nie zrobisz. - Romozel wszedł do pracowni i zamknął za sobą drzwi. Drukarz przełknął ślinę. - Zrobisz coś dokładnie przeciwnego. Użyjesz ich.

- Użyję?...

- Wydrukujesz jeszcze trzydzieści ksiąg. Hedfusowi opadły ramiona.

- Nie mogę. Już miałem dość problemów.

- Wyłgałeś się od odpowiedzialności tylko dlatego, że nie powołano jeszcze sądu kapturowego.

- Tym bardziej nie mogę się teraz narażać.

- Pozwól, że ci wytłumaczę jak dziecku. - Romozel nachylił się nad drukarzem jak nauczyciel nad nierozgarniętym uczniem. - Nie chodzi o to, żeby nie broić, tylko o to, żeby nie dać się złapać.

- Jeśli tknę palcem te matryce, powiesz mi - jęknął Hedfus.

- Widzę, że do ciebie trzeba w prostych słowach. - Romozel pokręcił głową. - Jeśli nie wydrukujesz dla mnie następnych *Spoleczeństw*, powiem sędziom, że wydrukowałeś. Jeśli wydrukujesz, nie powiem, że wydrukowałeś, i rozejdziemy się w szczęściu i pokoju.

- Nie uwierzą ci! Nie masz dowodów.
 - Dociekliwość nie jest cnotą tych sędziów. Książę będę potrzebował na jutro rano.
- Wyszedł, pozostawiając drżącego drukarza na środku zasłanej papierami pracowni.

* * *

Pokój w „Czarnej Róży” tonął w tym samym, ulubionym przez Romozela półmroku lampy oliwnej z przyciętym knotem, ale wzbogacił się o dwa krzesła i stół. Mężczyzna siedział na krześle ustawionym przodem do drzwi i wodził palcem po otwartej butelce czerwonego wina. Gość się spóźniał, ale nie miało to znaczenia - to spotkanie było ostatnie tego dnia i zapewne najłatwiejsze.

Mimo wyciszenia ścian słysząc było udawane jęki dziwki z pokoju obok. Wreszcie rozległo się pukanie i drzwi otworzyły się bez przyzwolenia.

- Wiesz, jak bardzo się narażam, przychodząc tu? - Gestme zdjął głęboki kaptur. - To obszar miasta, którego nie kontrolują moi ludzie.

- Z tego właśnie powodu ja czuję się tu bezpiecznie - uśmiechnął się Romozel. - Siadaj, proszę. Nic ci nie grozi.

Gość zdjął pelerynę, opadł na krzesło i wbił w gospodarza wyczekujące i zniecierpliwione spojrzenie.

- Przypomniałem sobie naszą rozmowę sprzed półtora roku - zaczął Romozel. - Bardzo szybko doszliśmy wtedy do porozumienia.

- Pamiętaj, że rozkaz brzmiał „Zabić podczas próby ucieczki” - przypomniał Gestme. - Uratowałem ci życie.

- Za dwa złote dukaty - uzupełnił socjolog.

- Jesteśmy kwita! - Komendant poderwał się z krzesła.

- Nie myśl sobie, że to miejsce uchroni cię przed moim mieczem.

- Niewątpliwie nie uchroniłoby, gdybyśmy o tych dukatach wiedzieli tylko my dwaj. Siadaj proszę, mam dla ciebie ofertę.

- Tracę tu czas. - Gestme wolno usiadł, nie spuszczać nieufnego wzroku z rozmówcy.

- Napijesz się? - zapytał socjolog, wlewając wino do dwu kielichów. Mimo że gość pokręcił głową, postawił przed nim pełne naczynie. - Chciałem porozmawiać o uzbrojeniu straży miejskiej. Coś się zmieniło w tej kwestii?

- Wiesz przecież.

- Wiem. Do tej pory nie dostaliście nawet pistoletów skałkowych, które ma być

opryszek, napadający na sklep.

- Zamierzam wkrótce porozmawiać o tej sprawie z królewskim sekretarzem.

- Przypomnij sobie, kto dostał karabiny? Poborowi, prostaki oderwane od pług, z nogami upapranymi w gnoju. Dla nich najnowsze karabiny, dla was halabardy. Wiesz dlaczego? Tak każe tradycja. Straż miejska pilnuje tradycji, która mówi, że król łagodnie traktuje mieszczan. Macie więc broń wzbudzającą szacunek, ale mało skuteczną w prawdziwej walce. Wiesz najlepiej, ilu ludzi straciłeś w ostatnich tygodniach. Gdy Sinevarzy będą zdobywać miasto, stracisz wszystkich, bo wy też będziecie musieli się bić. Pójdziecie z halabardami i mieczami na karabiny.

Komendant spochmurniał i wbił wzrok w podłogę.

- Zastanawiałem się nad tym wiele razy...

- Szczerze mówiąc, szansa, że dostaniecie karabiny, jest mizerna. - Romozel sięgnął po kielich i umoczył w nim usta. - Chyba że sami je zdobędziecie.

- To pachnie zdradą... - Gestem uniósł na niego czujny wzrok. Nie było w nim oburzenia ani nawet nagany. Nie lubił socjologa, nie ufał mu, ale rozmowa zaczynała go coraz bardziej interesować.

- Zdradą być może - uśmiechnął się Romozel - ale ani moją, ani twoją. Mistrz rusznikarski Neklin miał kilka dni temu przedstawić królowi nowy rodzaj karabinu. To karabin wielostrzałowy - ma magazynek, dzięki któremu może wystrzelić pięć pocisków w piętnaście sekund.

- Nic o tym nie wiem.

- Nie wie o tym nawet król. Z oczywistych względów wiedzą o tym najbardziej zaufani pracownicy Neklina, bo sami te karabiny produkują. Traktują go jak ojca, ale nie wszyscy są tak bardzo zaufani, jak sądzi, więc o karabinach wiem i ja.

- Powiedziałeś „karabiny”? Jest ich więcej?

- Jak zapewne ci wiadomo, pobór powszechny idzie opornie, bo farmerzy wiedzieli się o nim i wysłali synów do lasu. Jednocześnie geniusz konstruktorski Neklina pozwolił uprościć tak dalece proces wytwarzania karabinów, iż doszło do nadprodukcji. Karabinów nie ma komu używać. A Neklin rozwija swe talenta - zamiast poprawiać konstrukcję karabinu pierwszej generacji, stworzył zupełnie nową broń, pod każdym względem znacznie lepszą - to karabin, który może kolejno wystrzelić pięć naboju i nie wymaga czyszczenia. Problem Neklina polega jednak na tym, że nie ma za grosz instynktu politycznego. Nie wiem, z jakiego powodu zataił swój wynalazek, wiem natomiast, że ma kilka skrzyń dowodów na własną nielojalność wobec króla. W obecnej sytuacji pałacowej oznacza to aresztowanie,

szybki sąd i zapewne równie szybką śmierć. Za kilka dni będzie miał tych karabinów dość nawet dla wszystkich twoich ludzi.

Socjolog popijał małymi łyżkami wino i bawił się obserwowaniem wysiłków umysłowych komendanta. Było to tym bardziej zabawne, że od kilku godzin wiedział, jaki będzie efekt. Absolutną pewność zyskał, gdy jego gość jednym haustem wychylił cały kielich.

* * *

Chavona, pochylonego nad rachunkami, których nienawidził, wyrwało ze skupienia pukanie do drzwi. Warknął niegrzeczne „Proszę”. Do gabinetu wszedł Zakapturzony zakonnik.

- Przyszyła mnie ojciec Hamtel. - Odsłonił twarz, nijaką, z kartoflowatym nosem. Sądząc z wieku, był uczniem. - Dotarła do niego skarga na aresztowanie niejakiego Anvisa.

- Napisałem ją osobiście - Chavon stracił zainteresowanie papierami. - Spróbuj sobie, bracie... czy jak mam cię zwać, wyobrazić sytuację, kiedy któryś z zakonników zostaje aresztowany za głoszenie tez niezgodnych z aktualnym stanem nauki.

- Szkoda czasu na abstrakcje. - Gość usiadł wreszcie. Miał może dwadzieścia lat, ale spojrzenie przenikliwe, jakby miał tych lat dwa razy więcej. - To przecież niemożliwe w aktualnej sytuacji politycznej. Mam nadzieję, że za naszego życia nie dojdzie do takiego przewrotu.

- A to czemu? Boisz się? Czyż prawda nie powinna zawsze zwyciężać?

- Prawda jest względna - to już powinienes wiedzieć, osiągnąwszy swój wiek i swoją pozycję. A rewolucji wszyscy powinniśmy się bać. Rewolucje niszczą swoich przeciwników nieznacznie tylko silniej niż zwolenników. Ojciec Hamtel po kilku godzinach medytacji doszedł do wniosku, że mam cię nawiedzić i wyjaśnić tę sprawę.

- Zasłużyłem sobie na kilka godzin medytacji? - zapytał ironicznie Chavon, po czym zdobył się na bardziej stanowczy ton. - Nadzoruję pracę Akademii Nauk bezpośrednio w imieniu króla. Aresztowanie mistrza Anvisa jest oburzającym ciosem w instytucję królewską.

Zakonnik przechylił głowę w geście zadziwionego dziecka.

- Anvis to spiskowiec - powiedział.

- Wiesz doskonale, że to astronom, który całą noc siedzi wpatrzony w niebo. Chyba nikt nie jest tak naiwny, by sądzić, iż napisanie *Spółczeństwa* i podrzucenie go Hedfusowi to jego sprawka?

- Trwa wojna i nie ma czasu na długie procesy. Tym bardziej że dowody przesądzają o

winie Anvisa. Poza tym zarzuca mu się herezję.

Chavon parsknął.

- Zadaniem naukowców jest odkrywanie prawdy, a nie dopasowywanie teży do dogmatów wiary. Jeśli odkrywamy co innego, niż jest zapisane w waszych księgach, to znaczy, że Najwyższy sam pozwolił, abyśmy to odkryli.

- Interpretację woli Najwyższego pozostaw nam, a osądzenie heretyka i spiskowca - sądowi.

- Wszyscy wiedzą, kto kieruje pracą sądu i kto w nim zasiada. - Chavon machnął ręką. - Nazwiska oczywiście nie są znane, ale to przecież zakonnicy. Jak ty.

- Próba poznania składu sądu również jest przestępstwem.

- Nie próbuję poznać składu sądu, przecież go znam. A nazwiska i tak mi nic nie powiedzą. Wszyscy jesteście tacy sami i nie rozumiecie, że naukowcy bronią królestwa przed wrogiem, bronią także i was. Tylko skrajny niewdzięcznik tego nie docenia.

- Ten skrajny niewdzięcznik ostrzega cię właśnie przed dalszym tolerowaniem pewnego rodzaju badań. Są prawdy ważne i ważniejsze.

- Nie strasz mnie. Są prawdy i kłamstwa. Możecie aresztować i sądzić członków Akademii, ale nie członków Sprawiedliwej Izby.

- Chyba że chodzi o zdradę stanu.

Chavon przypomniał sobie o rozmowie z Romozelem i poczuł wypełniający go chłód. Co ten klecha mógł wiedzieć?... Skąd mógł wiedzieć? Wzdrygnął się. Zwlekał zbyt długo z odpowiedzią, co mogło się wydać podejrzanym. Przyłapał się na tym, że obawia się swego gościa. Otrząsnął się i rzekł, siląc się na oburzenie:

- Zajmuję się nauką i w tej dziedzinie Kościół może mieć do mnie zastrzeżenia. - Unikał jednak wzroku gościa. - Nie znaczy to wcale, że są słuszne, ale podając w wątpliwość moją lojalność wobec króla, obrażasz mnie, a wraz ze mną Sprawiedliwą Izbę.

- Nikogo nie obrażam, szlachetny Chavonie. Nie powiedziałem przecież, o czyją zdradę mi chodzi.

Przewodniczący przełknął ślinę. Czy to zabawa myśliwego ze zwierzyną, czy zwykłe zastraszanie? By ukryć niepewność, podszedł do okna i zapatrzył się w wieczorne niebo nad Miduhr.

- Masz mi coś jeszcze do powiedzenia, bracie?

- Owszem, osobiste przemyślenie. Wy, naukowcy, przypominacie mędrca, który siedzi na drzewie i chce sprawdzić, jak jest zbudowana podtrzymująca go gałąź. W tym celu ów mędrzec wymyśla piłę i zaczyna piłować. Sprawdzą, co jest w środku, to pewne, ale moment

później runie w dół.

- Jeśli inne argumenty do was nie przemawiają, przyjmij do wiadomości, że tylko nauka pozwoli nam wygrać tę wojnę.

- Powinieneś to wiedzieć, drogi Chavonie, że wojna wojną, ale potem trzeba dalej żyć.

Chavon spojrzał na niego czujnie. Zbyt późno się zorientował, że tamten na to właśnie czekał.

- Powiedz, macie wymienne kaptury?! - wykrzyknął. - Do miłych rozmów szerokie, do tych przykrych szpiczaste?

Zakonnik spojrzał na przewodniczącego bez cienia wesołości.

- Istnieje sposób, byś się przekonał.

Zarzucił na głowę szeroki kaptur i wyszedł.

XXI

Pułkownik Nerhus, zgodnie ze wskazówkami kolejnych strażników, dotarł do kwater oficerskich i przylegającej do nich jadalni. Otrzepał brudny, pognieciony płaszcz i zapukał do drzwi. Wszedł po usłyszeniu przeciągłego „Weeejść!”. Znalazł się w niewielkiej kamiennej komnacie z małym oknem wychodzącym na dziedziniec. Sklepienie było niskie, co sugerowało, że sala w zamyśle nie miała służyć celom reprezentacyjnym.

Na widok generała Nerhus zasalutował.

- Wygląda na to pułkowniku - zaczął Tedrunel - że dzisiejszy względny spokój zawdzięczamy zniszczeniu przez ciebie maszyny oblężniczej. Drugiej z tak długim pomostem nie mają.

- Dlatego ją ostrzelałem. - Nerhus skłonił głowę. - Zaobserwowałem, że Sinevarzy skupili się na budowie barykad na głównych ulicach. Boją się, że użyjemy kołaczy ponownie.

- Kupiliśmy jeden dzień niemal bez walk. Wiesz, co zrobiłby na powitanie generał Gaarod?

- Udzieliłby mi nagany, że nie ratowałem sztandaru ze zniszczonego kołacza.

- Widzę, że się dogadamy. - Tedrunel uśmiechnął się. - Przegrywaliśmy tę wojnę przez bzdurne, przestarzałe zasady. Mam wiarę, że książę-generał Armunach ma na tę sprawę poglądy podobne do moich. Na przykład, że żołnierz jest wart więcej niżli sztandar. - Gestem zaprosił go do środka.

- Poznaj pułkowników Demuna, Moresa i Tamarnda. Dowodzą basztami odpowiadającymi połowicznym kierunkom świata. Jak zauważyłeś, jest ich trzech. Północno-wschodnia baszta wraz z podlegającymi im odcinkami murów przypadnie tobie i twoim karabinierom. O szczegółach porozmawiamy po kolacji. A teraz wyrzucmy z umysłów troski.

Zasiedli do stołu, który nie był zbyt duży, podobnie jak i całe pomieszczenie.

- Sale rycerskie zamieniono na koszary - wyjaśnił Tedrunel, widząc minę pułkownika. -

Spokojnie mieścimy się w dawnych pomieszczeniach służby. Teraz to jadalnia i pokój sztabowy w jednym. Jak się zapewne domyślasz, wielkich narad nie mamy okazji tu prowadzić.

Drzwi kuchni otworzyły się.

- Potrawka z królika w sosie musztardowym - oznajmił służący, zdejmując z półmiska srebrną pokrywę. Wokoło rozszedł się cudowny aromat.

- Owszem - przyznał generał. - Nie najemy się do syta jednym królikiem, ale czas polowań na razie się skończył. Zaciskamy pasa, panowie. Obyśmy za miesiąc nie jedli potrawki ze szczura.

Królik był wyśmienity, choć naprawdę nikt się nim nie najadł. Dopchali się pieczonymi ziemniakami i bliżej niezidentyfikowanymi gotowanymi warzywami.

- Jedno miejsce przy stole jest nakryte, ale nikt tam nie siedzi - zauważył pułkownik, gdy już zabierano puste talerze.

- Czekamy na specjalnego królewskiego wysłannika - odparł Tedrunel. - Nie wiem, kto to ma być, ale moim zdaniem już nie żyje. Miejsce jednak czeka, jak nakazuje tradycja.

- Czyż nie jesteś, generale, wrogiem tradycji?

- Nie, jeśli nie jest szkodliwa. Dosunięte do stołu krzesło i pusty talerz nic nie kosztuje.

Wstali z kieliszkami wina w dłoniach. Służba sprawnie uprzątnęła stół.

- Nasza rola jest prosta - zaczął generał. - Mamy utrzymać twierdzę tak długo, jak tylko możliwe. Tak, siedzimy tu jak w pułapce, wręcz czuję napierające na nas ściany... Ale dopóki Sinevarzy wierzą, że tu jest sztab, zrobią wszystko, żeby zdobyć Medgrun. Utrzymać iluzję - takie mamy zadanie. O tyle więcej czasu będzie miał Miduhr, by przygotować obronę lub kolejną cudowną broń. Przy okazji... - Zwrócił się bezpośrednio do pułkownika. - Jak oceniasz pan zdolności bojowe kołaczy? Pozytywnie?

- Gdyby były mniejsze, mniej ociążałe, lepiej opancerzone i zabierały na pokład nie więcej niż dwudziestu ludzi, wtedy tak, wtedy oceniłbym je nad wyraz pozytywnie.

- Przemawia przez ciebie rutyna żołnierza piechoty.

Nerhus pokręcił głową.

- Nigdy nie straciłem w jednej chwili stu pięćdziesięciu ludzi. Kołacze to samobieżne pułapki dla swojej załogi.

- Ilu byś stracił, przebijając się tu z niedoświadczonymi karabinierami? W obecnej sytuacji zapewne wcale byś tu nie dotarł. Wiesz już, co było przyczyną tak silnej eksplozji jednej z maszyn? I czemu słyszeliśmy trzy wybuchy?

- Według artylerzystów pocisk przebił pancerz, trafił w coś twardszego, słup, może wał

napędowy, i rozerwał się, siekąc odłamkami w zamkniętej przestrzeni. Jeden z odłamków musiał trafić w skrzynię amunicyjną - to był drugi wybuch. Zaraz po tym eksplodował kocioł maszyny parowej.

Generał skinął głową, jakby znał odpowiedź. Wyciągnął z komody i rozłożył na stole mapę twierdzy i przedmieść.

- Twierdza Medgrun ma kształt nieregularny, podyktowany warunkami geologicznymi. Fundamenty osadzono bezpośrednio na skale, wokoło ziemia jest niedogodna dla tak ciężkich budowli i twierdza mogłaby osiadać. Dla dłuższej obrony jest to zaletą, uniemożliwia bowiem podkop.

Mur idzie po linii nieregularnej, ale cztery potężne baszty zapewniają obronę każdego jego fragmentu - nie ma martwego pola. Odcinki podległe każdej baszcie są oddzielone pasem z granitu. To miejsce niewidoczne z zewnątrz. Twierdza jest znakomita do obrony, pod warunkiem że oblegający nie przywiodą tu zbyt ciężkich dział. Jeśli nie zwątpimy, będziemy tu siedzieć długo, aż do zimy. Mrozy i śnieg wykurzą Sinevarów do ich nor na północy.

- Nasze zapasy żywności były w zniszczonym pojeździe - przypomniał Nerhus.

- Mamy zapasy na miesiąc, nawet półtora - wtrącił Demun.

- Przez ten czas sytuacja się wyklaruje - przytaknął generał.

- Znam historię tego miejsca. - Nerhus nie odmówił kieliszka koniaku, który nalał mu sam dowódca. - Twierdza nigdy nie została zdobyta. Była poddawana. Obyśmy nie musieli kontynuować tej tradycji.

- Tym razem to nie nastąpi - zapewnił go generał, częstując oficerów cygarami. - Pozostanie niezdobyta do końca.

- Czy nie mamy aby zbyt wielu żołnierzy? - zapytał pułkownik. - Widzi mi się, że starczyłoby tu z nadwyżką trzystu moich karabinierów.

- To nie mój pomysł, żeby się tu zamknąć. Teraz faktycznie mamy problem ze zbyt wielką liczbą żołnierzy. To odmiana względem sytuacji z ostatnich miesięcy. Twierdza Medgrun nie jest duża, więc w walce może jednocześnie uczestniczyć jedna trzecia obecnej załogi. Reszta tylko zubaża zapasy. Ale nic na to nie poradzimy. Stąd nikt teraz nie wyjdzie, chyba że po śmierć.

Nerhus pomyślał po raz pierwszy, że problem nadmiaru żołnierzy może się rozwiązać sam.

* * *

Świtało. Pułkownik osobiście obchodził stanowiska bojowe. Stu żołnierzy na blankach, osiemdziesięciu poniżej, przy szczelinach strzelniczych wychodzących z galerii i czterdziestu na baszcie. Wszędzie po trzech do jednego stanowiska. Zgodnie z rozkazem generała rozmieścił ludzi we wszystkich miejscach umożliwiających ostrzał przedpola, nawet na dwóch drewnianych pomostach obiegających basztę pod samym dachem. Zastanawiał się, czy Tedrunel nie próbuje w ten sposób celowo zredukować liczebności załogi. To byłoby logiczne, choć wbrew wszelkim zasadom. W końcu rozkaz brzmiał „Utrzymać twierdzę jak najdłużej”, a czas wyznaczała ilość zapasów. Podczas odprawy z twarzy generała nie potrafił niczego wyczytać. Postanowił więc skupić się na swoim zadaniu - obronie północno-wschodniej części muru. Oparł się o parapet okna w najwyższej komnacie baszty. Widział stąd przemykających w bezpiecznej odległości od twierdzy pojedynczych Sinevarów. Z rzadka któryś zapuszczał się bliżej.

Było jasne, że jakikolwiek atak piechoty na Medgrun nie ma sensu, bo obrońcy bez trudu wystrzelają wroga przy minimalnych stratach własnych. Logiczna więc wydawała się obawa, że Sinevarzy mają jakiś skuteczniejszy plan. W końcu Midaron padł, a nikt nie przeżył, by opowiedzieć, jak dokładnie się to stało. Medgrun był mniejszą i starszą twierdzą, pamiętającą czasy walk na łuki i topory. Teraz cieśle w pośpiechu przygotowywali łoża dla szesnastu małokalibrowych dział przewiezionych z Miduhr. I one jednak nie przydadzą się na wiele, jeśli do walki stanie kilka machin oblężniczych i większe armaty.

Nerhus odruchowo schylił głowę, słysząc świst pocisku moździerzowego. Dziedzińcem targnęła eksplozja, kamienie Zabębniły o blachy kołaczy. Pułkownik wyrzwał przez okno. Nikomu nic się nie stało, tylko w bruku przybyła nowa wyrwa.

Czemu miał służyć ten strzał? Chyba jedynie trzymaniu obrońców w napięciu i przekonaniu, że tak to już będzie wyglądać. Wtedy przyszło mu do głowy, że przecież Sinevarzy mają ogólne pojęcie o liczbie żołnierzy zgromadzonych wewnątrz murów. Po co więc mieliby tracić własnych żołnierzy i atakować, skoro wystarczy zaczekać, aż obrońcom skończą się zapasy? Może tak, a może zwyczajnie coś szykują. Tak czy inaczej, rozkaz o wysłaniu tutaj oddziału karabinierów był niezrozumiały. Armunach nie miał doświadczenia, ale na pewno otaczali go najlepsi królewscy doradcy. Może więc sam Mechelon, zniecierpliwiony niekompetencją generałów, zaczął wtrącać się do dowodzenia?

Odrzucił te myśli i ruszył na kolejny obchód stanowisk.

* * *

Pachzan widział zdenerwowanie na twarzy pułkownika, ale nie miał pojęcia o zawłości sytuacji politycznej. Wraz z Zaklisem i Hamalem zajęli strzelnice na wysokiej baszcie i ich rola miała się ograniczyć do wypatrywania wrogów przemykających ulicami i zabijania ich. Wizja Sinevarów wdzierających się do twierdzy była zbyt odległa, by się nad nią zastanawiać, ale i tak mobilizowała do walki. Pachzan zdołał już pozbyć się oporów przed strzelaniem do ludzi. Zabijanie na taką odległość było bezosobowe. Odczuwał w tym nawet pewną przyjemność, pokrewną przyjemności myśliwego, redukującą liczebność wilków, zagryzających owce na pastwiskach. Z tego, co mu się wydawało, do tej pory zdołał zabić trzech Sinevarów. Gdzieś w zakamarkach umysłu czało się jednak przekonanie, że Sinevarzy, jak już zdobędą twierdzę, odpłacą im za to z nawiązką. Jednakże powstrzymywanie się przed zabijaniem wroga nie miało wpływu na przyszłą karę, bo w grę wchodziła odpowiedzialność zbiorowa, a mogło tylko tę karę przyspieszyć. Sam był zdziwiony pokrętną logiką wojny, a jeszcze bardziej tym, że niepostrzeżenie i tak szybko stał się jej wyznawcą.

Pierwszy tego dnia strzał padł z ruin trzypiętrowej kamienicy, jakieś tysiąc stóp na wschód od murów. Pachzan oparł się o kamienny otwór strzelniczy i przyłożył do barku kolbę karabinu. Ułożył szczerbinkę z muszką w jedną linię i zaczął przeczesywać okna budynku. Strzelał od dawna, chociaż z prymitywnej i niecelnej broni skałkowej. Odkąd skończył dziesięć lat, ojciec zabierał go na polowania. Głównie zabijali zające, ale zdarzały się i wyprawy na grubsze zwierza. Były nielegalne, ale tym bardziej emocjonujące. Znowu przypomniał sobie o rodzinie. Nie było teraz w domu nikogo zdolnego zapolować na dzika. Żeby przeżyć na początku stycznia, będą musieli zarznąć pierwszą kozę. Skup się!, skarcił się w myślach. Szukał w oknach kamienicy najdrobniejszego ruchu. Wiedział, że to element logiki wojennej - wcześniej czy później każdy zaczyna nienawidzić swego wroga, przypisując mu wszelkie winy.

Karabin, który trzymał w dłoniach, był dziełem geniuszu konstruktora. Pozwalał strzelcowi na poczucie jedności z bronią.

Ruch w oknie kamienicy. Spust, huk, chmura dymu. Czwarty zabił Sinevar.

Przygotowana do oblężenia twierdza daje przewagę nad tym, kto strzela z wielkiego okna kamienicy. Odsunął się na bok, by przeładować, a jego miejsce zajął Zaklis. Farmerzy nie przyznawali się między sobą do tego, ale właściwie wszyscy nielegalnie polowali. I wszyscy uczyli polować swych synów. Pozycja, jaką przyjął z karabinem Zaklis, nie mogła być wynikiem pospiesznego szkolenia na dziedzińcu pałacowym.

Za to Hamal z pewnością nie miał nigdy przedtem w rękach żadnej broni

niebezpieczniejszej od packi na muchy. Siedział w kącie, szczęśliwy, że natarcie wroga jeszcze się nie zaczęło. Pociągał nosem - od przeciągów przeziębził się. Pachzan był gotów przysiąc, że nie chcąc nikogo zranić, tamten będzie strzelał po dachach.

* * *

Luna dopalających się ruin miasta wisiała nad twierdzą. Jeśli któryś ze śmiazków pragnących bronić własnego domu jeszcze żył, miałby niezłe widowisko. Chociaż wątpliwe jest, by w tym, co zostało z przedmieść Medgrun, ktokolwiek przeżył. Jeśli jednak jakimś cudem ktoś ocalał, mógłby wznieść wzrok na nisko wiszące chmury i dojrzeć wyłaniający się z nich peryskop, a w chwilę potem podłużny kształt wiklinowej gondoli - jak łódź mknącej po pomarańczowej toni, oglądanej z dna przez topielca. Na szczęście dla pilota nikt z oblegających twierdzę nie unosił wzroku ponad szczyty baszt, a mieszkańcy najpewniej byli już martwi.

Balony nośne w kształcie cygara pozostawały skryte w chmurach. Pilot celowo manewrował pojazdem w ten sposób, by jak najmniej rzucać się w oczy. Turbina parowa, napędzająca za pomocą paska klinowego dwa śmigła, wydawała z siebie syk nie głośniejszy od szumu wiatru.

Oglądane z góry miasto przypominało rozrzucone, żarzące się węgle z wielkiego ogniska. Czarna wyspa twierdzy wydawała się ciemną dziurą w rzeczywistości.

Pilot przekręcił wolant i zamknął zawór z gazem. Rozpoczął zniżanie. Miał wiatr w plecy, wystarczająco silny, by uniemożliwić kolejne podejście do lądowania. Z chmur wyłoniło się małe cygare balonu napędzanego gorącym powietrzem, a po chwili większe, wypełnione wodorem. Minął wieżę świątynną i był już poniżej szczytów dachów baszt. Od twierdzy dzieliło go może pół mili, gdy usłyszał rozmowę. Spojrzał w dół. Przy ogniskach siedziało co najmniej stu Sinevarów. Od ust do ust krążyły butelki wina, zapewne zrabowane z piwnicy zdobytego domu. Kilku wartowników przechadzało się po obrzeżach placu. Pilot uniósł wzrok na balony. Były pomalowane na szaro, ale i tak, na tle pomarańczowych chmur, rzucały się w oczy. Gdyby ktokolwiek spojrzeł teraz do góry, sto łuf plułoby w niebo ołowiem, a historia pilota i całej wojny potoczyłaby się zupełnie inaczej. Ale w niebo nie spojrzeł nikt.

Przed startem pouczono go, jak należy lądować, ale na ćwiczenia oczywiście nie było czasu. Wiedział, że wysokie i grube baszty powodują zawirowania powietrza, wiedział, że nad pochyłym dachem tworzy się silny prąd wznoszący. W teorii plan był prosty: należało

przelecieć tuż nad murem, obok wieży bramnej, przestawić śmigła na pełny ciąg wsteczny, otworzyć klapę mniejszego balonu, a następnie miękko osiąść na dziedzińcu i zacumować gondolę. Problem tkwił w tym, że na każde przestawienie instrumentów pokładowych pojazd reagował z opóźnieniem prawie minutowym. Tak więc lądowanie należało rozpocząć teraz, gdy gondola nie doleciała jeszcze do fosy.

Zatrzymał turbinę parową i odwrócił ciąg. Śmigła rozpoczęły hamowanie i gondola, wyprzedzana przez balony, pochyliła się. Nie patrząc już na swój cel, pilot wykonał sekwencję czynności, którą powtarzał w myślach od momentu startu poprzedniego wieczora. W gładkim lustrze wody w fosie zobaczył odbicie pojazdu, doskonale widocznego na tle nieba. Od strony miasta padło kilka strzałów - ktoś wreszcie zauważył dziwo na niebie. Schylił się nad burtą, bo nic więcej już zrobić nie mógł. Gondola przeszła dziesięć stóp nad blankami i głowami kilku wpatrzonych w miasto muszkietierów - ci go jeszcze nie zauważyli, szukali niebezpieczeństwa na ziemi.

Miał teraz minimalny wpływ na to, co się stanie. Pozostawała mu nadzieja, że opadnie dość szybko, by nie uderzyć o krużganki. Tutaj, poniżej szczytu murów, wiatr ustał, ale balony nadal były wysoko i ciągnęły go za sobą. Gondola uderzyła w bok kołacza. Dopiero odgłos rezonującej blachy zwrócił uwagę najbliższego wartownika. Żołnierz uniósł głowę i rozdziawił usta. Trwał tak chwilę, po czym wycelował w intruza karabin.

- Nie strzelaj, durniu, tylko chwytaj cumę i wiąż do czegoś ciężkiego. - Pilot rzucił mu zwój liny. - Jestem Romozel. Przybywam z misją do generała Tedrunela.

Wartownik nie wyglądał na przekonanego, ale przynajmniej nie strzelił. Nadszedł kilku kolejnych z lampami i dopiero w ich świetle ujrzeli unoszące się nad gondolą dwa cygara, niewiele mniejsze od kadłuba kołacza.

- Przywiążecie wreszcie cumę? - krzyknął z unoszącej się kilka stóp nad ziemią gondoli zirytowany Romozel.

Dwóch żołnierzy bez entuzjazmu naciągnęło i zawiązało linę do haka najbliższego kołacza. Wtedy socjolog otworzył do końca klapę mniejszego cygara i ciepłe powietrze uleciało w noc. Gondola spłynęła w dół i nieco za mocno łupnęła o bruk. Romozel skrócił cumę i zawiązał na sztywno. Potem odciął kolejno liny nośne, a balon z wodorem wystrzelił w niebo.

Powiadomiony o gościu z przestworzy Tedrunel osobiście pofatygował się na dziedziniec. Rozpoznał przybyłego i z chmurną miną stanął kilka kroków od niego.

- Spodziewałem się doradcy, a nie więźnia i wroga numer dwa królestwa - powiedział.

- Teraz już numer jeden - odparł z szerokim uśmiechem Romozel. - Orestes Gaolin, mój

mistrz, nie żyje.

- Cóż może robić socjolog w samym środku wojny?

- To samo co ty. Próbować ją zakończyć.

- Potrafisz zabić czterdzieści tysięcy żołnierzy wroga? Bo tyle liczy praca na nas armia.

- Będę musiał zabić jedynie dwóch, a ty mi w tym pomożesz. Ale to potem, teraz chętnie zjadłbym coś. Wyruszyłem z Miduhr w pośpiechu, poganiany zmianą pogody. Nie załatwiłem kilku spraw. Jedną z nich był solidny posiłek.

Generał kiwnął głową, polecił przenieść bagaże socjologa do oczekującej na niego komnaty i poprowadził go schodami do sali jadalnej. Romozel osobiście niósł sporą torbę podróżną.

- Siadaliśmy właśnie do kolacji - wyjaśnił Tedrunel i przedstawił gościa oficerom. Popatrzyli na niego nieufnie, najwyraźniej znając jego przeszłość i poglądy.

- Czemuż to król postanowił cię uwolnić? - zapytał pułkownik Mores.

- Uznał, że lepiej przydam się tu niż zamknięty w domu. A to znaczy ni mniej, ni więcej, że jest bardzo źle.

Oficerowie popatrzyli na niego z zaskoczeniem. Widać takich stwierdzeń się po cywilu nie spodziewali.

- Czemu uwolniłeś balon swego pojazdu? - zapytał Tamarnd. - Nie będziesz mógł wrócić.

- Był wypełniony wysoce niebezpiecznym gazem i w razie trafienia groził wybuchem.

Poza tym nie zamierzam wracać.

- Jeśli twierdza padnie, podzielisz nasz los.

- Jestem tu po to, żeby twierdza nie padła. Co jest na kolację? - Pociągnął nosem. - Pieczona ryba. Doskonale! Chociaż liczyłem na dzikie zwierzę z lasu... Dla panów informacji, zajmę się wojną psychologiczną. Jest znacznie skuteczniejsza i tańsza. Poza tym, nie wymaga użycia aż tylu żołnierzy.

- Zamierzasz urządzać podwieczorki dyskusyjne z sinevaskimi dowódcami? - zapytał Demun, a reszta wybuchnęła śmiechem.

- Prawie żeś pan zgadł - odparł bynajmniej nieurazony Romozel. - Ale tylko z tymi rozsądnymi.

Demun przestał się śmiać. Nie był pewien, czy usłyszał właśnie obelgę, czy tylko precyzyjną odpowiedź. W efekcie zamilkł na resztę wieczoru.

- Zasada jest prosta - wyjaśniał Romozel. - Zamiast bić się z wrogiem, żeby zmusić go do odstąpienia od założonych przezeń celów, należy go przekonać, by zrobił to dobrowolnie.

- Ba, ale jak tego dokonać? - zapytał Mores.

- Gdyby to było proste lub chociaż możliwe do wyjaśnienia podczas kolacji, nie musiałbym się tu fatygować.

Drzwi do kuchni otworzyły się, a kucharz wniósł półmisek z parującym łososiem i ponakładał wszystkim porcje. Romozel sięgnął po wino, nalał do kielichów i wzniósł toast „Za szybki koniec wojny”.

- Czemu nie za zwycięstwo? - zapytał Nerhus, gdy wypili.

- Toast za szybkie zwycięstwo wydał mi się zbyt... daleki.

Nie było nad czym radzić, więc po posiłku oficerowie udali się do swoich kwater. W sali zostali Tedrunel i Romozel.

- Zadomowiłeś się widzę między nami nad wyraz szybko - zauważył kąśliwie generał.

- Zdolności wrodzone, podbudowane latami nauki. - Socjolog, nie krępując się, wlał do swego kielicha resztę wina. - Po tej krótkiej uczcie wiem o tych ludziach więcej niż ty.

- Czy zdradzisz jakieś szczegóły swoich planów? - zapytał Tedrunel. - Dowodzę obroną Medgrun, więc lepiej, bym nie był zaskakiwany wybrykami indywidualistów.

- Wszelkie moje plany będę dyskutował z tobą, generale. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile jeszcze razem przejdziemy.

* * *

Pobudka o wschodzie słońca, szybkie śniadanie i bieg na stanowiska rozbudziły ich i wprawiły w bojowy nastrój. Jednak późniejsza dwugodzinna bezczynność sprawiła, że połowa karabinierów zapadła w drzemkę.

- Jeśli dobrze rozumiem sytuację - odezwał się Hamal - to powinniśmy grać na czas. Sinevarzy chcą zakończyć wojnę przed zimą. Podczas mrozów ich linie zaopatrzenia się załamają.

- I co z tego? Nie podoba ci się ten spokój?

- W wolnych chwilach kolekcjonuję motyle - odparł Hamal. - Zasuszone motyle. Jak mam dużo czasu.

Przyjaciele spojrzeli na niego pytająco, więc wyjaśnił:

- Uważam, że oni coś knują. Czas ich goni, a strategia ostrzeliwania nas z karabinów nie ma sensu, bo mamy zwyczajnie lepszą pozycję.

- Strzelają też z armat.

- Wykruszają tylko fragmenty muru - zbagatelizował Zaklis. - Mogą sobie tak strzelać i rok.

- To stara twierdza. - Hamal uderzył pięścią w mur.

- Solidna, ale stara. Widzieliście rannych? Tak wygląda bezpośrednia walka. Kiedyś do niej dojdzie. Albo jak zdobędą twierdzę, albo jak będziemy ich ścigać.

Sierżant w oknie powyżej wpatrywał się przez lunetę w jakiś punkt daleko za bramą. Odwrócił się do karabinierów i zapytał:

- Któryś z was ma dobry wzrok?

Pachzan wyrwał się i wbiegł na górę. Sierżant podał mu lunetę i wskazał kierunek.

- Co widzisz?

Pachzan przeczesywał ruiny. Kilku Sinevarów poruszało się u wylotu głównej alei przed bramą. Chwilę przyglądał się im i przedmiotowi, wokół którego krążyli. Nagle zrozumiał, że patrzy w wylot lufy gigantycznej armaty.

- Chcą zniszczyć bramę - szepnął, po czym powtórzył, krzycząc - chcą zniszczyć bramę! Tam stoi wielka armata.

- To Betana - oznajmił drżącym głosem sierżant.

- Celuje w bramę! Trafimy ich. - Pachzan przymierzał się już do strzału.

- To za daleko dla karabinu.

- Trzeba zmniejszyć dystans - przyznał. - Każde dziesięć stóp bliżej to większa szansa na trafienie.

- Jak chcesz zniszczyć armatę karabinem? - zapytał Zaklis. - Wystrzelasz załogę, przyjdą następni.

- Zniszczę samą armatę! Spieszmy się!

Pachzan zbiegł dwa piętra do pułkownika, który również obserwował to miejsce przez lunetę, i zasalutował.

- Proszę o pozwolenie przejścia na wieżę bramną - wykrzyczał.

- To nie nasz odcinek - zauważył Nerhus.

- Trafię w tę armatę.

Nerhus patrzył na niego przez pół sekundy, po czym krzyknął:

- Biegnij!

- Jest nas trzech.

Pułkownik machnął tylko ręką i wrócił do lunety. Pachzan, Zaklis i Hamal zbiegli po schodach i ruszyli wzdłuż blanków w kierunku bramy. Przekroczyli granitową linię dzielącą odcinki murów i pognali dalej. Skręcili i po chwili wbiegli na schody wieży bramnej. Muszkietierowie patrzyli na nich z niechęcią. Zapewne chodziło o broń, ale powody mogły też być inne... Zastąpił im drogę kapral z białym paskiem na ramieniu płaszcza.

- Rozkaz pułkownika Nerhusa! - krzyknął Pachzan.
- On rządzi tam - muszkietier wskazał północno-wschodnią basztę.
- Jak nas nie przepuścicie - krzyknął Hamal - Betana zrobi z tej wieży proszek, a wy będziecie jego częścią.

- Z drogi! - polecił spokojniej Pachzan. - Inaczej odpowiesz za bunt.

Muszkietier zawahał się, po czym ich przepuścił. Wbiegli schodkami na sam szczyt wieży, odepchnęli zaskoczonego strzelca i zajęli pozycje. Pierwszy otworu dopadł Zaklis.

- Zaczekaj, aż włożą ładunek - poradził Hamal. - To potężna armata, ale starego typu. Ładowanie odbywa się od przodu i długo trwa.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Celuj.

- Strzelać pociskami zapalającymi w budynki przed bramą! - krzyczał ktoś z dołu. - Oni muszą tam czekać na wyłom w bramie.

- Poprawka na wiatr - szepnął Pachzan.

- Wiem. Upolowałem więcej królewskich zajęcy niż ty. Założysz się?

- Potem. Teraz celuj o pół stopy w prawo.

- Celuję o pół stopy w prawo. Zamknij się wreszcie.

Wystrzelił, ale pozostał na miejscu. Błysk i huk, przewalający się pod niebie niczym grom.

- Trafiłeś?

- Trafiłem! Zorientowali się?

- Niechby się i zorientowali, to co? Nic nie robią. Przepuść mnie.

Pachzan przyłożył się i strzelił. Nie trafił w działo, ale powalił jednego z kanonierów.

- Tak nic nie zrobimy - pokręcił głową Hamal. - Będziemy im bruździć przez godzinę, aż wpadną na pomysł ukrycia armaty. Zaklinuj pocisk między kulą armatnią a ścianką lufy.

- Łatwo ci mówić. Ta prawie pół mili stąd.

- Mają tylko jedno takie działo. Skup się.

- Zamknij się!

Zaklis załadował ponownie, wymierzył i strzelił. Spudłował. Rozległ się huk i w chmurze pyłów i kamiennych odłamków połowa północno-zachodniej baszty przestała istnieć.

- Zaraz się wstrzelą - zauważył Pachzan. - Rozniosą bramę, albo i nas.

- Czekajcie, aż kula będzie w lufie - powtórzył Hamal. - To jedyna szansa. Zaklinuj ją.

- Takiś mądry? - Przymierzył się jednak i czekał, aż kula znajdzie się w lufie. Nacisnął spust na sekundę, nim sinevarski kanonier opuścił lontownicę. Od razu przysiadł pod murem,

by przeładować.

Tym razem huk wystrzału był głośniejszy. Muszkietrzy rzucili się na niego, ściskali go i gratulowali. Dopiero po chwili zorientował się, o co chodzi - armata Sinewarów eksplodowała. Ktoś zapytał, za ile koron sprzeda karabin.

Między muszkietierami pojawił się oficerski płaszcz. Pułkownik Demun był wściekły.

- Aresztować ich! - rozkazał. - Wtargnęli i zajęli nie swoje stanowisko strzeleckie.

Muszkietierowie spowaźnieli i wycelowali lufy w trzech karabinierów.

- Pójdziecie pod sąd polowy za niesubordynację i dezercję - oznajmił Demun.

- Jak to? - Zaklis wytrzeszczył na niego oczy.

- Opuściliście swoje stanowiska i wtargnęliście tutaj, siejąc zamęt i zmniejszając zdolność bojową odcinka. Nie mieliście prawa tu być. Na dół z nimi!

Ściągnięto ich w dół i postawiono pod murem. Na komendę Demuna dziesięciu muszkietierów ustawiło się w szeregu i załadowało broń. Pachzan pomyślał, że to szczęście, iż muszkiet ładuje się aż trzy minuty. Nie spodziewał się, że skończy w ten sposób. Sytuacja rozgrywała się gdzieś poza nim. Skrajna euforia po zniszczeniu Betany tak szybko zamieniła się w poczucie głębokiej krzywdy. Podobnie jak Zaklis i Hamal, nie mógł się nawet poruszyć.

Z północno-wschodniej baszty zaczęli wybiegać karabinierzy. Zobaczyli, co się szykuje, i stanęli obok oddziału egzekucyjnego. Bez rozkazu unieśli broń. Generał Tedrunel wypadł na dziedziniec i ujrzał muszkietierów i karabinierów mierzących do siebie.

- Wszyscy opuścić broń! - krzyknął.

Poskutkowało. Obie strony opuściły lufy, ale palce wciąż spoczywały na spustach.

- Co tu się dzieje, pułkowniku? - Generał spojrzał na Demuna.

- Opuścili swoje stanowiska i wtargnęli na naszą część murów!

- Zniszczyli Betanę - Nerhus dopiero teraz wpadł na dziedziniec. - Wróg chciał rozbić bramę.

- Starczyłby jeszcze jeden strzał Betany i... - dodał Hamal, ale Demun mu przerwał z oburzeniem:

- Milcz, jak oficerowie rozmawiają!

- Pułkowniku - powiedział wolno Tedrunel. - Medgrun to nie prywatny folwark. To całość, której wspólnie bronimy.

- Zaszczyt obrony bramy i południowo-wschodniego odcinka przypada czwartemu pułkowi muszkietierów! Tak zostało ustalone.

- Doniesiono mi, że próbował pan zabić bohaterów, którzy ocalili twierdzę. Całą twierdzę, nie tylko swój odcinek.

- Muszkiety nie donoszą na tę odległość, a armaty mają zbyt małą celność - burzył się dalej Demun. - Nie mogliśmy sami zniszczyć celu.

- Tym bardziej powinieneś być pan wdzięczny za pomoc.

- Generał Gaarod widziałby to inaczej. To dyshonor! Każdy winien bronić swego odcinka i nie wtrącać się w sprawy innych.

- Jesteś pan aresztowany! - Tedrunel wyciągnął rękę. - Proszę zdać broń.

Stojący obok pułkownika żołnierze unieśli muszkiety.

- Odwołaj ich - powiedział wolno Tedrunel - albo dodatkowo zostaniesz obwołany buntownikiem, a oni zginą.

Demun skinął głową, gestem nakazał muszkietierom opuścić broń, po czym oznajmił:

- Możesz mnie aresztować, ale nie złamiesz moich zasad. - Odczepił od pasa miecz i kaburę z pistoletem, podał je generałowi.

Jego muszkietierowie patrzyli na tę scenę posępnie. Trzech sierżantów wyprowadziło pułkownika z dziedzińca.

- Wracać na stanowiska - polecił Tedrunel. - Odcinkiem południowo-wschodnim dowodzą sierżanci. Jutro wyznaczymy nowego dowódcę.

Rozległ się znajomy świst pocisku moździerzowego. Jak jeden mąż rzucili się na ziemię. Eksplozja nastąpiła jednak na dachu jednej z przybudówek i jedynie rozrzuciła po dziedzińcu dachówki. Żołnierze szybkim krokiem powrócili na stanowiska. Tedrunel osobiście dopilnował, by Demun trafił do aresztu. Gdy krata wilgotnego loszku zamknęła się za pułkownikiem, generał popatrzył na niego z pogardą.

- W imię czego, głupcze, próbowałeś napuścić na siebie żołnierzy Enagoru? - zapytał.

- Nie zrozumiesz naszych zasad, synu plebsu!

- Ty kretynie! Przez takich jak ty przegrywamy tę wojnę. O jakich irracjonalnych zasadach mówisz?

- O honorze żołnierza Enagoru.

- Ten twój honor o mało nie doprowadził do upadku twierdzy. Jesteś zwykłym głupcem, który wyobraża sobie, że ma do spełnienia jakąś misję. Jediną naszą misją jest obrona tej kupy kamieni do czasu nadejścia kolejnego rozkazu. Czy to dla ciebie za trudne do pojęcia?

- Nie rozumiesz pojęcia honoru...

- Nie rozumiesz powinności żołnierza... kapralu. Degraduję cię!

Demun pokręcił głową i uśmiechnął się z wyższością.

- Od dupy strony do tego podchodzisz - rzucił spomiędzy zaciśniętych złością szczęk. - Nie ludzie tworzą armie i królestwa, tylko zasady nimi kierujące. Złamałeś te zasady,

złamałeś załogę Medgrun. Może jeszcze o tym nie wiesz, ale to się właśnie stało.

- Chciałeś rozstrzelać bohaterów.

- Bohaterowie czasem giną. Taka ich rola. Wiem, że uratowali bramę, ale zniszczyli równowagę wewnątrz twierdzy. I tak mają lepszą broń. Użyli jej, by wypełnić zadanie przydzielone moim żołnierzom. Poniżyli cały pułk. Zapytaj tego swojego filozofa, jaki byłby efekt za dwa dni.

Tedrunel zacisnął zęby i wyszedł z celi. Poszedł do swojej kwatery i z wściekłością rozłożył przed sobą mapę okolic.

Kilka minut później rozległo się pukanie i w drzwiach pojawił się Romozel. Przez ramię przewiesił torbę.

- To nie jest odpowiedni moment - powiedział generał.

- Wprost przeciwnie. Widziałem, co wydarzyło się na dziedzińcu.

- I jakie wnioski?

- Twoi pułkownicy postępują według wtłoczonych im do głów zasad, mając w pogardzie rozum, a nawet obiektywną ocenę skutków swoich czynów. Gdyby doszło do egzekucji, za kilka dni miałbyś tu wojnę domową.

- Mam tu za dużo żołnierzy skupionych na małej przestrzeni. Oto przyczyna kłopotów. Tworzą się terytoria.

- Wiesz dobrze, że przyczyna leży gdzie indziej - zaprzeczył socjolog. - Współcześnie obowiązująca metoda polityczna przypomina walenie głową w zamknięte drzwi. To owa metoda honorowa, której zwolennika zamknąłeś właśnie w areszcie. Nowa metoda, której zdaje się, jesteś wyznawcą, mówi, że do przejścia na drugą stronę lepiej użyć klamki.

- Zapewne znasz jeszcze lepszą?

- Znam. Zastanowić się, czy warto przechodzić.

- Zostałeś tu przysłany w charakterze doradcy, a tymczasem słyszę od ciebie same zagadki.

- Zanim tu przybyłem, czytałem trochę o historii umocnień. Ciekawa lektura. Zaczynaliśmy od wałów ziemnych i drewnianych płotów - ostrokołów. Atakujący nauczyli się je podkopywać i podpalać. Wtedy zaczęliśmy budować niewysokie kamienne mury, które spełniały swą funkcję, aż ktoś wpadł na pomysł przystawienia do nich drabin. Postęp dokonuje się w śmierci tysięcy napastników i obrońców. Za rok, a może nawet za tydzień, te mury będą bezużyteczne, bo takich armat jak Betana będzie wiele. Być może po raz pierwszy w swej historii twierdza Medgrun padnie.

- Mam rozkaz utrzymać twierdzę jak najdłużej. A teraz pozwól mi zająć się pracą nad

planami obrony.

- Jakie plany obrony? - Romozel rozłożył ręce. - Siedzimy tu i czekamy, aż ktoś zaatakuje. Wtedy strzelamy. To cały plan. Wiesz, od czego zaczęła się ta wojna?

- Zostaliśmy napadnięci przez armię kanclerza Kelgorna - odparł lekko zniecierpliwiony generał. - Armia Sinevaru przekroczyła naszą granicę i zajęła Midaron. Do czego zmierzasz?

- Jeszcze dwadzieścia lat temu Midaron należał do Sinevaru.

- Odbiliśmy go w wielkiej kampanii poprowadzonej przez Mechelona II.

- Której celem było zajęcie całego terytorium Sinevaru i podporządkowanie go - podsunął Romozel. - Midaron i sporny obszar ziem przygranicznych wiele razy przechodził z rąk do rąk. Wojny, jak ta, toczą się od dawna. Granica przesuwa się na północ lub południe. Wojny rujnują oba kraje i dziesiątkują obywateli, a po kilku latach sytuacja wraca do punktu wyjścia. Wykrwawimy się do końca, a wtedy najadą nas słabsi dotychczas sąsiedzi i zakończą to szaleństwo.

Generał patrzył na niego badawczo.

- Co planujesz, Romozelu?

Socjolog sięgnął do torby podróżnej.

- To dla ciebie, generale. - Położył na stole oprawioną w czerwoną skórę księgę. - O moich planach opowiem po kolacji, kiedy ja będę wypoczęty, a ty odczytany.

* * *

Mimo że Nerhus chciał ich do końca dnia odesłać do kwater, poprosili o powrót na stanowisko bojowe. Karabinierzy gratulowali im jeszcze raz, klepali po plecach i pozwolili wybrać stanowisko. Wybrali to, co przedtem. Ktoś stwierdził, że zna jednego muszkietera z niedoszłego plutonu egzekucyjnego, i rzucił pomysł, by się na niego zacząć wieczorem.

- Dlaczego on to zrobił? - zapytał Pachzan, gdy koledzy dali im wreszcie spokój. - Uratowaliśmy mu skórę.

- Demun? - upewnił się Zaklis.

- To sprawa honoru - wyjaśnił Hamal. - Nie prosił o pomoc, a my mu pomogliśmy. Wygląda na to, że go obraziliśmy. Nie zrozumiesz logiki oficerskiej.

- Gdyby Betana trafiła w bramę, walczylibyśmy teraz w korytarzach - dodał ze złością Pachzan. - Cała ta wojna jest prowadzona o jakiś honor. Zginiemy dla ratowania czyjegoś honoru.

- Skończ z tymi swoimi teoriami - syknął Zaklis. - Teraz bronimy sztabu.

Hamal pokręcił głową.

- Wiem, jak wygląda sztab - powiedział. - Każdy z generałów czuje się bardzo ważny, ma adiutanta, własnego konia, kufer z mundurami, służkę, czasem nawet własnego kucharza. Do tego jest kupa podoficerów, posłańców.

- Posłańców nie ma, bo jesteśmy okrążeni - zauważył Zaklis. - Są tylko gołębie pocztowe. Widziałem, jak wypuszczano kilka z nich.

- To nie są gołębie pocztowe, tylko zwykłe dachowce. Dziś rano jeden poleciał ledwie na dach południowo-zachodniej baszty. Wypuszczają je dla zmyłki. Sztab to mnóstwo ludzi i mnóstwo zamieszania. Tu jest jeden generał i czterech pułkowników, łącznie z naszym. Chyba że reszta nie wychyla nosa ze swoich komnat.

- Skąd tyle wiesz?

- Mój ojciec kiedyś... Wiem tylko, że w Medgrun nie ma sztabu. Bronimy tutaj tych murów i siebie.

Przez następne dwie godziny nie wydarzyło się zupełnie nic. Pachzan wstał i oznajmił:

- Przejdę się. Zobaczę, czy nie ma jakichś kufrów, koni, a szczególnie generalskich służek.

- Prowokujesz ich? - Zaklis wskazał głową bramę.

- Po prostu muszę się przejść.

Gdy szedł przez dziedziniec, z południowo-wschodniej baszty i bramy śledziło go kilka nieprzychylnych spojrzeń, ale nie przejął się tym. Odwiedził latrynę, potem przeciągnął się i już miał zamiar wracać, gdy zaczął go przechadzający się mężczyzna z siwą brodą.

- Ty strzeliłeś do Betany?

Wyglądał na mędrca, ale Pachzanowi skojarzył się raczej z cwaniakiem. Po chwili przypomniał go sobie - Romozel, ten, który wylądował wczoraj machiną latającą. Przytaknął niepewnie.

- Tak dobrze strzelasz czy jedynie miałeś szczęście?

- Dobry wzrok to u nas rodzinne.

- Trafisz ptaka w locie?

Karabinier uniósł wzrok. Nad twierdzą przelatywał akurat klucz gęsi. Przyklęknął, uniósł broń i strzelił. Pierwszy ptak machnął jeszcze dwa razy skrzydłami i bezładnie runął w dół, wprost na dziedziniec.

* * *

Podczas kolacji Tedrunel prawie się nie odzywał. Z kamienną twarzą przeżuwał pieczoną gęś i patrzył w przestrzeń. Romozel przyglądał mu się ukradkiem i próbował dociec, czy generał przeczytał *Spoleczeństwo*, a jeśli tak, to jakie wrażenie zrobiła na nim lektura. Dopuszczał nawet, że jeszcze tej nocy skończy w lochu, obok Demuna. Inni też milczeli. Ze spojrzeń, jakie wymieniali między sobą, socjolog wywnioskował, że Tamarnd i Mores nie pochwalają decyzji Tedrunela, ale też nie zamierzają jej komentować. Przynajmniej nie tutaj. Nerhus natomiast nie czuje się tu dobrze, jego domeną jest walka, nie polityka, a tu za dużo dzieje się między słowami.

- Jak to możliwe, że twierdza ma taki słaby punkt? - zapytał znienacka socjolog. - Przeoczono taką oczywistość?

- Jakiś czas temu wzmocniono bramę, ale konstrukcji murów nie można łatwo zmienić - wyjaśnił Mores.

- Starczyłby mur w kształcie klina przed fosą. Mur, który trzeba objechać, żeby się dostać na most zwodzony. To uniemożliwiłoby ustawienie armaty na wprost bramy.

- Znasz się, widzę, na konstrukcjach fortyfikacji. Medgrun budowano w czasach, gdy nie było armat, a bramę wyłamywało się taranem. Potem planowano dobudować nawet nie mur, ale cały barbakan. Zapewne więc wiesz, czemu tego nie uczyniono?

- Oświeć mnie, proszę.

- Ponieważ brama znajduje się dokładnie na osi Alei Królewskiej, a barbakan ma sens, jeśli wybudować go pod kątem do bramy.

- Wtedy cała kompozycja architektoniczna bierze w łeb - dodał Tamarnd. - Nadworny architekt przekonał króla Mechelona II, by tego nie robić. Kretyn, oby konał w męczarniach.

- A jakie jest panów zdanie? - naciskał Romozel.

- Cóż za pytanie! - zdziwił się Mores. - Lepiej bronić się brzydkim mieczem niż pięknym kijkiem.

Po kolacji Romozel zwlekał z wyjściem, aż został sam na sam z generałem.

- Będę potrzebował asystenta - zaczął. - Ten mały Hamal, którego Demun chciał rozstrzelać, wydaje mi się odpowiedni. Żołnierza i tak z niego nie będzie.

- Myślisz, że mogę tak sobie wyłączać żołnierzy ze służby?

- Myślę, że tak. Nikt cię nie kontroluje. A żołnierzy masz aż nadto. Poza asystentem będą mi potrzebni dwaj znakomici strzelcy. Jego koledzy się nadadzą.

- Chcesz zająć się zaopatrzeniem dla kuchni? Romozel mimo napięcia uśmiechnął się i zapytał wprost:

- Czytałeś księgę?

- Czytałem. Wciąż waham się, czy kontynuować tę rozmowę, czy aresztować cię za próbę zamachu stanu. Podsuwasz mi zakazane dzieło o królestwie bez króla.

Socjolog przełknął ślinę.

- Porozmawiajmy. Ważniejszy jest dla ciebie król czy królestwo?

- Próbujesz mnie czarować słowami? Mów wprost, o co chodzi.

Romozel odetchnął i postawił wszystko na jedną kartę.

- Próbuję doprowadzić do zawarcia pokoju.

Generał spojrzał na niego z nieskrywanym zaskoczeniem.

- Jak?... Rozejm może podpisać tylko głównodowodzący armii. To nawet nie było rozpatrywane...

- Sinevarzy myślą, że sztab jest tu. Będą rozmawiać z tobą jak z głównodowodzącym. Ta wojna była do wygrania, gdyby nie głupie zasady pielęgnowane przez poprzednie dowództwo. Teraz jest szansa na zakończenie rzezi.

- Twoje słowa pachną zdradą - powiedział wolno generał.

- Czyż powstrzymanie marszu wroga może być uznane za zdradę? Wszak to jest twoim celem. Wiesz przecież, że przegrywamy wojnę i kwestią czasu jest, kiedy Sinevarzy zorientują się w fortelu ze sztabem i ruszą na Miduhr. Nie mamy już rezerw. Jeśli zaatakują stolicę frontalnie, zniszczą nas do cna. Pokój jest naszą jedyną szansą, by wróg nie parł dalej. Zgodzą się, bo nie wiedzą, jak słabi jesteśmy.

- Nawet nie powinienem tego słuchać...

- Poddajesz się zasadom, które doprowadziły Enagor na kraj przepaści.

- Powinienem wezwać strażę i kazać cię aresztować. - Generał pokręcił głową. - Twe motywy są pokrętnie. Zabiłeś Gaaroda i nie mów mi, że to był przypadek.

- Sam król to widział i uznał, że byłem w prawie, by to zrobić. Gdyby mi nie wierzył, nie przysyłałby mnie tutaj.

Tedrunel myślał dłuższą chwilę.

- Po co ci dwaj strzelcy? - zapytał.

- Żeby zabić dwóch najwierniejszych generałów Kelgorna. Jak to uczynię, uwierzysz w szczerłość moich intencji?

- Wiara nie podlega decyzjom. Weź tych trzech karabinierów i udowodnij szczerłość intencji.

XXII

Spali na barłogach, ściśnięci w dusznej sali między gęsto rozmieszczonymi filarami. Pachzan nie mógł zasnąć, tym bardziej że z odpuszczającego stresu przedrzemał pół dnia. Od południa, kiedy to zniszczyli Betanę, nie działo się niemal nic. Teraz, co kilka minut ktoś wchodził i wychodził, połowa żołnierzy chrapała, a dźwięki odbijały się od wysokiego sklepienia. Śmierdziało. Kilka postaci przemknęło między śpiącymi i ułożyło się do snu, nieruchomiejąc dziwnie szybko, bez przewracania się i narzekania. Nie spało się tu za wygodnie - regulamin zabraniał odpinania od pasa ładownic, więc znalezienie odpowiedniej pozycji nie było łatwe.

Rozległ się tupot na schodach i trzykrotne uderzenie w gong. Alarm bojowy? Zapłonęły lampy, sierżanci wrzaskiem wygonili wszystkich na schody. Karabinierów i trzy razy tyle muszkietierów ustawiono w ciasnych szeregach. Stłoczeni, wypełnili wolną część dziedzińca. Ostatnie szeregi karabinierów załamywały się, opływając kołacze. Więc tylko ćwiczenia... Kolejna musztra. Pułkownicy stali przy swoich pułkach i wysłuchali krótkiego raportu od sierżantów.

Generał Tedrunel wyszedł wolnym krokiem na środek. Za nim dwóch żołnierzy wniosło nosze i postawiło je na samym środku dziedzińca. Leżało na nich ciało muszkietera. Ktoś poderznął mu gardło. Krew jeszcze parowała w chłodnym powietrzu nocy.

- Pamiętam go - szepnął Zaklis. - Był w plutonie egzekucyjnym.

Zaszemrało w szeregach.

- Kwadrans temu zabito strażnika przy bramie - powiedział donośnym głosem Tedrunel. - Wśród nas jest zdrajca, a zdrada podczas wojny karana jest śmiercią. Jeśli ktoś zna sprawcę, niech natychmiast go ujawni. W przeciwnym razie również będzie winien zdrady.

Czekał, przechadzając się wzdłuż tkwiących bez ruchu żołnierzy. Unikali jego wzroku.

Jeżeli ktoś chciał coś powiedzieć, pewnie i tak by tego nie zrobił. Ze strachu.

Generał skinął na pułkownika Nerhusa, a ten na najbliższego sierżanta. Sierżant wszedł między szeregi karabinierów, wypatrzył Pachzana, Zaklisa i Hamalą.

- Wy trzej, wystąp.

Pachzan poczuł, jak coś zaciska mu się na gardle. Posłusznie ruszyli za sierżantem i stanęli przed pierwszym szeregiem.

- Za mną - rozkazał sierżant i powiodł ich w kierunku wschodniego skrzydła, gdzie mieściły się kwatery oficerskie i... więzienie. Weszli jednak dwie kondygnacje w górę, sierżant wskazał im małe pomieszczenie z wąskim oknem wychodzącym na zewnątrz murów. Zamknął za nimi drzwi, przedtem rzucając zdawkowe „Nie wychodźcie stąd”.

- Myślą, że to my? - zapytał Zaklis. - Przecież nawet nie wychodziliśmy się odlać.

- Zrobią pokazówkę. - Hamal znów zaczął się trząść. - Nieważne, kto jest winien, ważne, żeby dać przykład innym. Logika oficerska, pamiętasz?

- A prawdziwy morderca?

- Raczej nie będzie się chwalił. - Hamal usiadł na łóżku, skulił się i okręcił płaszczem. - Będzie siedział cicho i się cieszył, że go ominęła kara.

- Zamknijcie się obaj! - przerwał im Pachzan. - To nie cela. W drzwiach nie ma nawet zamka. Nie zabrali nam broni. Chodzi o coś innego.

- Więc co robimy? - Zaklis przyłożył ucho do drzwi.

- Nie wiem jak wy, ale ja idę spać. Wreszcie może zasnę.

* * *

Obudził ich huk otwieranych drzwi. Najpierw do środka wsunęła się część drewnianego pudła, potem dźwigający je Romozel i reszta pudła. Słońce stało już wysoko. Żołnierze usiedli na pryczach, zapatrzyli się na przybysza i jego wysiłki przy dosyć ciężkim ładunku.

Romozel położył na ziemi i otworzył długą drewnianą skrzynkę. Wewnątrz, zawinięte w czerwoną flanelę, leżały dwa karabiny z niezwykle długimi lufami oraz dwie lunety z uchwytnymi do mocowania. Nie wyglądało na to, żeby mieli być rozstrzelani tą bronią. Raczej sami mieli jej użyć.

- Wasze cele będą oddalone o pół mili - oznajmił, z grymasem na twarzy prostując plecy. - Będziecie musieli trafić je za pierwszym razem.

- Pół mili? - zdziwił się Pachzan. - To za daleko...

- Schody prowadzące do głównego wejścia do kościoła można zobaczyć z najwyższej

baszty, akurat tej, którą obsadzacie. Pojutrze w południe na szczycie tych schodów zasiądzie trzech generałów. Musicie zabić dwóch z nich. Trzeci ma przeżyć.

- To poza zasięgiem karabinu - powtórzył Pachzan.

- Dlatego będą się tam czuli bezpiecznie. Do tych karabinów używa się precyzyjnie wyważonych naboí o trzykrotnie większym ładunku. Przy bezwietrznej pogodzie można trafić człowieka z odległości prawie trzech tysięcy stóp.

Pachzan i Zaklis ostrożnie wyjęli karabiny i lunety. Dały się połączyć tylko w jeden sposób. Z cichym kliknięciem zaskoczyły precyzyjne zaczepy.

- Dlaczego kazałeś wyciągnąć nas z szeregu w takim momencie? - zapytał Pachzan. - Wszyscy myślą, że to my zabiliśmy.

Socjolog pokręcił głową.

- Miałem was wezwać rano, ale przyspieszyłem to, żebyście nie padli ofiarą odwetu. W końcu od was to się zaczęło. Nie wróćcie już do oddziału. Umiecie szyć? - Zaprzeczyli. - Więc przyślę wam zaraz służkę. - Rzucił na stół sześć czarnych pasków jedwabiu obwiedzionych złotą nitką. - To oznaczenie oddziałów specjalnych. Od dziś podlegacie bezpośrednio generałowi, a ten oddelegował was do moich potrzeb. Wejdziecie na szczyt baszty i będziecie ćwiczyć. Amunicji jest bardzo dużo. Ty - wskazał Hamala - od tej chwili zostajesz przy mnie.

- Jesteś cywilem - zauważył Pachzan.

- Jestem - odparł Romozel i wyszedł bez dalszych wyjaśnień.

Kilka minut później przyszła służka, niesamowicie brzydka dziewczyna, i zażądała, by zdjęli koszule. Zrobili to. Naszyła pozostawione przez Romozela paski jedwabiu na końcówki stójek, jedynych części umundurowania, które wystawały ponad krawędź płaszcza, jeśli tylko kaptur był odrzucony. Patrzyli, jak szyje, mechanicznie. Pachzanowi jej praca skojarzyła się z pracą maszyny parowej wewnątrz kołacza. Skończyła, skłoniła głowę i wyszła. Jak maszyna.

* * *

W korytarzu u podnóża schodów do baszty Pachzan i Zaklis trafili na zamieszanie. Z góry niesiono postrzelonego żołnierza. Rana na barku nie wyglądała groźnie, ale stracił sporo krwi, posoka obficie kapiała na stopnie. W słabym świetle lamp oliwnych wydawała się czarna.

- Atakują nas? - zapytał Pachzan.

- To zrobili tamci. - Idący na końcu karabinier wskazał w kierunku bramy. - Mszczą się

za wczoraj.

W jego spojrzeniu był wyrzut. Pachzan zrozumiał, że już nie są bohaterami, tylko przyczyną kłopotów. Grupa odeszła w kierunku szpitala. Kilku karabinierów zeszło z góry i właśnie zaczęli się namawiać na wyprawę odwetową. Dwóch pobiegło do kwatery po posiłki. Pojawiło się za to kilku innych, pod przywództwem kogoś, kogo Pachzan poznał od razu. Veles. Zdążył dobrać sobie trzech podobnych osiłków z niskimi czołami. Pachzan zauważył, że tamci trzymają w dłoniach muszkiety zamiast karabinów.

- To można łatwo zakończyć. - Na nalanej twarzy Velesa pojawił się zły uśmiech. - Wydajmy tych dwóch. Niech tamci zrobią z nimi, co chcą, i będzie spokój.

- Pilnuj własnych spraw - odparł Pachzan. - Wykonujemy specjalną misję na rozkaz generała Tedrunela.

- Fiu... jeszcze nowsza broń - gwizdnął Veles, łapiąc za długą lufę. - Tacy jak wy zawsze potrafią się ustawić. Ale to lepiej. Te karabiny też sprzedamy.

- Chcesz się wykupić z wojska? - Pachzan wyrwał broń. - Komu chcesz tu dawać pieniądze, kretynie?

- Bierzcie ich!

Banda osiłków rzuciła się na wyborowych strzelców, a obserwujący rozwój sytuacji karabinierzy po chwili przyłączyli się do napastników. Opór został zgaszony momentalnie, karabiny znalazły się w rękach Velesa. Pachzan poczuł w ustach stęchłą szmatę, ręce wykręcili mu i związali, a potem powlekli gdzieś. Zaklis podzielił jego los. Widzieli tylko przesuwającą się w ciemności podłogę, przestali się wrywać. Schody, korytarz, schody, posapywanie oprawców.

Wreszcie rzucono ich na kamienną podłogę korytarzyka.

- To oni. - To był głos Velesa. - Zróbcie z nimi, co chcecie. Najlepiej zabijcie po cichu i dobrze obciążonych wrzucicie do fosy. - Pachzan poczuł, że jest przekazywany do innych rąk.

- Mamy do sprzedania dwa karabiny z lunetami. Jutro nowa dostawa zwykłych karabinów, jeśli tylko będą chętni.

- Potrzebnych będzie pięć karabinów - mruknął kto inny.

Pachzan zdołał się przewrócić na bok. Muszkieterów było trzech. Zrozumiał, że jeśli nic nie zrobi, przed północą jego ciało znajdzie się na dnie fosy. Obok ciała Zaklisa. Zaczął się szarpać, zdołał wypluć szmatę, ale uspokoił go kopniak w bok. Coś chrupnęło.

Do korytarzyka weszło nagle trzech karabinierów. Pojawili się w kompletnej ciszy.

- Natychmiast rzuć tę broń, żołnierzu - rozkazał pierwszy, widząc, że Veles sięga po muszkiet. Gdy ten nie posłuchał, zdzielił go kolbą w ramię. Muszkiet z łoskotem uderzył o

kamienną podłogę. Pozostali odłożyli broń. Wybawiciele mieli znajome naszywki na koszulach - czarne ze złotym obrysem. Na naszywce dowódcy znajdowała się dodatkowo wyhaftowana złota gwiazdka.

- Ty mów. - Dowódca wskazał Pachzana.

Pachzan usiadł. Wiedział, że powinien wszystkiemu zaprzeczyć i zwalić winę na nieporozumienie. Ale wiedział też, że człowiek pokroju Velesa nie doceni tego gestu i przy najbliższej okazji ponowi próbę zemsty za nieistniejącą winę. Odetchnął więc i wyrzucił z siebie jednym tchem:

- Ci czterej chcieli wydać nas muszkietierom pułkownika Demuna, by tamci nas zabili. Chcieli też sprzedać nasze karabiny z celownikami optycznymi i wykupić się z wojska.

W korytarzyku pojawił się sam Nerhus. Oceniał sytuację i zwrócił się do Velesa:

- Powiesz mi, co tu zaszło?

- Rozmawialiśmy. - Nalana twarz Velesa stężała.

- Dlaczego oni są związani?

Veles zacisnął usta, więc Nerhus przeniósł wzrok na dowódcę wybawicieli.

- Próbowali przekazać tych dwóch - wyjaśnił tamten. - Grozili im śmiercią i proponowali handel bronią.

- Kim jesteście? - Pułkownik spojrzał na Pachzana.

- Pachzan Ramach i Zaklis Pamish. To my zniszczyliśmy Betanę. Generał Tedrunel oddał nas do dyspozycji Romozela. Mamy do wykonania misję przy użyciu tych karabinów.

- Rozwiązać ich - rozkazał pułkownik. Podeszedł do Velesa i wskazał leżący u jego stóp muszkiet. - Co to jest, żołnierzu?

- Muszkiet. - Veles przełknął ślinę. - W zamieszaniu bojowym musiałem zamienić...

Pułkownik sięgnął pod płaszcz chłopaka. Zamiast ładownicy z nabojami przy pasie dostrzegł wyposażenie muszkietera. Przesunął rękę dalej i oderwał mieszek z monetami. Przeliczył.

- Kim jest twój ojciec?

- Rolnikiem... parobkiem.

- Bardzo bogatym parobkiem - stwierdził Nerhus i chwycił dłoń, którą żołnierz próbował skryć za sobą. Na serdelkowatym palcu tkwił złoty sygnet z herbem ptaka.

- To po dziadku - wyjaśnił szybko Veles.

- Dziadek był herbu Kruk... - Nerhus przesunął sygnet. Skóra pod nim nie była nawet minimalnie bielsza. - Parobek z herbem, w dodatku herbem szlacheckiej rodziny z Medgrun.

Veles zamknął oczy i powiedział cicho:

- Wymieniłem karabin za muszkiet, a miedziaki i sygnety dostałem w zamian. Od nich. - Wskazał na stojących pośpiesznie muszkieterów.

- Sześćdziesiąt groszy i sygnety za karabin? Mów prawdę, żołnierzu, bo odpowiesz za szaber!

- Zbieraliśmy karabiny po zabitych. - Veles zaczął się trząść. - Sprzedawaliśmy je im. - Znów wskazał głową muszkieterów.

Nerhus podszedł do pierwszego, sięgnął do pasa i znalazł tam kilka wypchanych i brzęczących sakiewek.

- Ograbiacie miasto, którego mieliście bronić... Wiecie, co grozi za szaber? - Nerhus spojrzał mu w oczy. Tamten uciekł ze spojrzeniem. - Wy dwaj - wskazał Pachzana i Zaklisa - wracajcie do swoich zadań. Pozostałych zrewidować i do aresztu. Do osobnych cel. Potem weźcie kilku ludzi i przeszukajcie ich kwatery.

* * *

- Właśnie próbowano zabić przydzielonych mi żołnierzy - oznajmił Romozel.

- Doniesiono mi o tym - przyznał Tedrunel. - Chyba nie oczekujesz przeprosin?

- Byłem w szpitalu. W ciągu ostatnich dwóch dni przybyło nam kilku rannych i jeden trup. Żaden z nich nie ucierpiał z ręki wroga. Bezpieczniej jest chyba poza murami.

- Armia w armii zdusiła ten proceder w zarodku. Winni siedzą w więzieniu. Jutro rano odbędzie się sąd.

- Niczego nie zdusiłeś. - Socjolog pokręcił głową.

- Hodujesz tu cztery klany, które nie rzucają się na siebie otwarcie tylko dlatego, że na zewnątrz czeka wspólny wróg. Ale nawet wróg nie pomoże, gdy zacznie brakować jedzenia. Najłagodniejsza wersja wydarzeń, jaką widzę, to wojna trzech zjednoczonych pułków doświadczonych muszkieterów przeciw niewyszkolonym karabinierom. Najłagodniejsza, bo zginie tysiąc żołnierzy, a nie połowa. Przyczyna podziałów jest oczywista. Jedni dostają żołd, drudzy nie, a narażają życie tak samo. Z kolei ci drudzy mają lepszą broń. Wszyscy czują się pokrzywdzeni. To musi rodzić konflikty, tym bardziej przy takiej ciasnocie i sztucznemu podziałowi na cztery... klany właśnie.

Tedrunel patrzył na niego długo.

- Tak pesymistycznego doradcy jeszcze nie miałem. Co twoim zdaniem powinienem więc uczynić? Zrobić to, co proponuje twoja księga? Wyrównać ich sytuację? Mam odebrać część żołdu muszkieterom i dać karabinierom? Nie wolno mi. Ale nawet gdybym chciał, to

groziłoby to bunt. Z drugiej strony - jak rozdzielić po równo broń?

- Z tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia - przyznał Romozel. - Orestes Gaolin twierdził, że jeśli nie można nierówno podzielić bogactwa, trzeba po równo rozdzielić biedę. Przyznaję jednak, że w przypadku oblężonej twierdzy, to rozwiązanie polegałoby na zabranii karabinierom broni. Nie wchodzi w rachubę. Wyjściem jest więc szybkie zakończenie oblężenia.

- Dostałem dziś wiadomość, przesłaną chorągwiami. Generał Terhos, kierujący oblężeniem, chce, żebyśmy się poddali.

- Nie zrobimy tego oczywiście. - Socjolog udał przejęcie.

- Myślałem, że zaczniesz mnie namawiać do kapitulacji. Chciałeś przecież pokoju.

- Poddanie Medgrun w tym momencie nie zakończyłoby wojny. Wprost przeciwnie - nadałoby jej rozpęd. Odmówiłeś oczywiście?

- Oczywiście!

- To bardzo dobrze. Musimy rozmawiać jednocześnie z Terhosem i Anmerdem, a ściślej mówiąc, umówić się na rozmowy. Oczywiście do nich nie dojdzie, a raczej dojdzie, ale w inny sposób.

- Oczywiście to są ci dwaj Sinevarzy, których chcesz zabić? - zapytał Tedrunel.

- Oczywiście. Po tamtej stronie też ścierają się koncepcje. Ci dwaj reprezentują wolę zajęcia całego Enagoru. Reszta wie, że nie utrzymają takiego terytorium, i chce jedynie wrócić do domu przed zimą, a w najgorszym razie odzyskać Medgrun, jeśli się da.

- Skoro jesteś taki mądry, to powiedz, co teraz robi Terhos.

- Nie jestem militarystą, ale zapewne robi coś, żeby nas nastraszyć. Zaatakuje w przeciągu kilku godzin. Jutro wyślij mu wiadomość z prośbą o rozmowy. Pomyśli, że się przestraszyliśmy.

* * *

Z najwyższego poziomu północno-wschodniej baszty usunięto żołnierzy. Zresztą i tak Sinevarzy nie wystrzelili w tę stronę ani jednego pocisku, a i celować do oblegających nie było jak - wszyscy się pochowali. Mimo późnego popołudnia w zasięgu strzału nie było żadnego wroga. Pachzan i Zaklis siedzieli we dwóch na szczycie baszty i od kilku godzin nic się nie działo. Pieścili nowe karabiny. Co jakiś czas, żeby nie wzbudzać zainteresowania wroga, strzelali do odległych budynków, ucząc się nowej broni. Pachzan przeszedł do szczeliny strzelniczej z drugiej strony i wymierzył do Sinevara, który pastował buty w

odległości, która przy dotychczas używanej broni zapewniała mu całkowite bezpieczeństwo. W szkłe okularu widział majtające się sznurówki. Wiedział, że nie może go zabić. Romozel powiedział wyraźnie: „Nie mogą się zorientować. Wybierzcie cele, które nie zwrócą ich uwagi. Jakiś nic nie znaczący budynek, przy którym nikogo nie będzie. Strzelajcie do siedzących ptaków, wtedy zobaczycie na pewno, czy trafiliście”.

- Strzelasz do ptaków? - zapytał.

- Nie. Do kamieni i dachówek. A ty?

- Nie będę zabijał ptaków, jeśli nie mogę ich potem zabrać i zjeść. To bezmyślne zabijanie. Strzelaj do pobielonej wapnem chaty w wylocie tamtej ulicy. - Wskazał za plecy. - Widać dziury po pociskach. Zdaje się, że przelatują na wylot przez ścianę. To doskonała broń.

Na schodach zadudniły kroki. Zdyszany Hamal wgramolił się na strych, podpierając się za ciężkim dla niego karabinem.

- Nie chcesz go sprzedać? - zażartował Pachzan. - Ile dają? Dwadzieścia groszy? Trzydzieści? I tak nie umiesz strzelać. Sprzedaj teraz, póki cena wysoka.

Hamal spojrzał na karabin - obiekt zazdrości muszkietierów. Z chęcią by się go pozbył, ale to mogło oznaczać kłopoty.

- Romozel chce was widzieć na kwaterze.

Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony huk, a po nim narastający, wibrujący świst. Zaklis wyjrzał przez szczelinę, przy której siedział, i szarpnął się w tył, wydając nieartykułowany wrzask przypominający „Padnij!”. Nim zdążyli zrobić cokolwiek więcej, z potwornym hukiem odleciał dach wraz z całym belkowaniem. Buchnęło w nich gorącym powietrzem, posypały się odłamki.

Gdy wszystko ucichło, Pachzan wydostał się spod rumowiska. Był cały, nie licząc klucia w boku od kopniaka Velesa. Spod sąsiedniej kupy gruzu wyczołgał się Zaklis. Wspólnymi siłami pomogli wyjść przerażonemu Hamalowi. Zniknął dach - jego większa część leżała na dziedzińcu. O blachy kołaczy wciąż uderzały odłamki kamieni, fragmenty drewnianych belek, połamane dachówki.

W uszach im gwizdało, ale nie byli nawet draśnięci. Energia wybuchu została przejęta przez belkowanie. Zdaje się, że pocisk trafił w sam szczyt dachu. Wyrzebali spod szczątków karabiny, one również nie ucierpiały.

- Co to było? - Hamal kaszlał od pyłu. - Pociski ich armat nie wydają takiego dźwięku.

Pachzan powiódł wzrokiem w stronę, z której, jak sądził, usłyszał dźwięk nadlatującego pocisku. Przetarł szkła lunety-celownika.

Wyglądało jak płaskie okute blachą i nitami drewniane pudło. Było jednak znacznie

większe i poruszało się na czterech pełnych drewnianych kołach, również okutych grubą blachą. Dopiero po chwili zdołał ocenić rozmiary maszyny - miała na oko ze dwadzieścia stóp długości, dziesięć szerokości i sześć wysokości. Ze spłaszczonego ryja pojazdu wystawała dymiąca lufa połowy kalibru Betany.

- Pancerne żółwie - ocenił Pachzan.

Za maszyną ciągnął się ogon czarnego dymu. Miała więc napęd parowy.

- Tam muszą być jakieś otwory, przez które sterowniczy widzi drogę - podsunął Zaklis.

- Są. Wąskie i zasłonięte płaskownikami. Nie przestrzelimy ich. Trzeba by armaty z lunetą.

- Jest ich więcej. - Hamal wskazał Aleję Królewską, którą zbliżały się dwa następne pojazdy.

Nadjeżdżały też z innych stron. Łącznie wypatrzyli osiem. Kolejne działo wystrzeliło, przeszywając powietrze tym samym wibrującym świstem. Pocisk rozniósł spory fragment dachu zachodniego skrzydła. Najpierw ogniem odpowiedziały armaty od strony południowej. Niecelnie, pociski zdewastowały elewacje kilku domów i wybiły dziury w glinie ulicy, tylko zasypując żółwie pyłem.

Kolejna salwa, tym razem od wschodu. Znów ten przerażający, drżący świst. Jeden pocisk trafił w środek muru, sypiąc kamieniami i pyłem nad fosą. Drugi uderzył w blanki. Pachzan odczuł eksplozję całym ciałem, jakby fala energii przeszła przezeń na wylot. Widział wzlatujące w powietrze postacie, fragmenty ciał, brązowe płaszcze, kamienie, dym. Podłoga zatrzęsała się i pomyślał, że baszta zaraz się zawali od samego wstrząsu.

- Co to za pociski? - szepnął Hamal.

W szczycie wschodniego muru ziała dymiąca wyrwa na kilka stóp. Po obu jej stronach leżały poszarpane ciała obrońców. Kilkunastu położonych jedną eksplozją.

- Nie wiem - wykaszał Zaklis - ale starczy kilka trafień i - Znów ten dźwięk. Przypadli do ziemi, a szczyt wieży bramnej zamienił się w chmurę ceglanego pyłu.

- Nie są zbyt celne - zauważył Pachzan. Ułożył się i wymierzył.

- Te działa ładowane są od tyłu. Nic nie zrobisz.

- Trzeba zawalić na nie budynek! Tego nie wytrzyma. Na południowych blankach mają działa z pałacu.

Zerwał się, ale Zaklis złapał go za ramię.

- Mało mamy kłopotów?! Pójdiesz tam, to cię zabiją.

- Zejdźmy stąd - zaproponował Hamal. - Tu i tak nic nie zrobimy.

- Gdyby trafić dużym pociskiem w koło... - zastanawiał się Pachzan, ale Zaklis już

ciągnął go w kierunku na wprost zburzonych schodów.

Do walki włączyły się ukryte wśród ruin móździerze oraz armaty rozstawione co milę na placach i ulicach. Paraboliczne smugi czarnego dymu przecięły niebo. Nie było widać ani jednego żółto-granatowego płaszcza, nie było do kogo strzelać. Zbiegli po schodach. Twierdza wypełniła się hukiem kolejnych eksplozji, dymem i krzykami rannych. Wybiegli na dziedziniec, ale natychmiast cofnęli się, bo drogę odciął im wodospad kamieni i strzaskanego drewna. Górna część wrót bramy rozpadła się i przeleciała przez cały dziedziniec. Kilkunastu żołnierzy ruszyło, by podporać chwiejące się skrzydła. Rzucano kamienie, drewno, wszystko, byle usztywnić resztkę konstrukcji.

Pachzan i Zaklis chcieli biec na pomoc.

- Nie! - zatrzymał ich Hamal. - Mamy inne zadanie.

- Niewiele będzie warte, jak Sinevarzy się tu dostaną - zauważył Zaklis.

- Mamy rozkaz wrócić do kwatery.

Sanitariuszki krążyły między rannymi. Zakrywały twarze martwych i biegły dalej, ślizgając się w kałużach krwi. Rannych znoszono do szpitala.

- Czuję się jak tchórz - stwierdził Pachzan.

Podłoga drżała od następujących po sobie eksplozji, pył sypał się ze spoin sklepienia. Pachzan pamiętał, że twierdza była budowana w czasach, gdy nikt nie słyszał o armatach. Jej konstrukcja nie przewidywała takiej siły uderzeń. W jednym miejscu mur zewnętrzny został przeбитy niemal na wylot - kamienna ściana wybrzuszyła się i zasypała korytarz odłamkami.

Wyjrzeli przez nieobsadzoną szczelinę.

- Mózdzierz - zauważył Pachzan. - Nie tak daleko.

Zdjął z ramienia karabin i wycelował. Mózdzierz ustawiony był na odległym o dwa tysiące stóp podwórku. Widać go było przez okna wypalanej na wylot kamienicy.

- Nie rób tego - poprosił Hamal.

Pachzan nie słuchał. Wycelował i strzelił, kładąc na miejscu jednego wroga. Dwaj pozostali chwycili działo i przenieśli w bezpieczniejsze miejsce. Pachzan pogładził kolbę karabinu.

- Doskonała broń. Nie to, co nasze rozkalibrowane strzelby skałkowe.

- Więc przyznajesz się do kłusownictwa? - zapytał Zaklis.

- A ty nie?

Obaj wybuchnęli śmiechem, jedynie Hamal siedział skulony, przy każdej głośniejszej eksplozji chował głowę w ramiona. Pachzan był ciekaw, czy po wojnie będą mogli zatrzymać te karabiny, ale szybko doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne.

- Pamiętacie tego żołnierza, z którym rozmawialiśmy w kołaczku? - odezwał się. - Mówił, że przywyknijemy i zobojętniejemy. W ciągu ostatniego dnia trzy razy próbowano nas zabić, teraz wokół toczy się wielka bitwa, a my rozmawiamy o naszych domach. Hamal, kim jest twój ojciec?

- Obrazicie się, jak nie powiem?

- Jak chcesz. - Pachzan wzruszył ramionami. - Nie chcę tu siedzieć bezczynnie.

- Rozkaz był czekać.

- Romozel jest cywilem. - Pachzan próbował podstawić stółek i wystawić lufę przez okienko. Było za wysoko. Wyszedł więc na korytarz i wbiegł po schodach piętro wyżej. Zaklis i Hamal pognali za nim.

Korytarz miał ledwie kilka otworów zdalnych do strzelania, w dodatku był obsadzony przez muszkieterów Demuna. Pachzan zignorował to, zresztą teraz nikt nie zwracał uwagi na przynależność do jednostek. Rzucił się na podłogę i wpełzł do wolnego zagłębienia szczeliny strzelniczej.

Boczną ulicą maszerował batalion wroga. Był oddalony o jakieś trzy tysiące stóp, więc lada moment powinna paść komenda rozproszenia się.

- Bierz poprawkę na wiatr - rzucił Zaklis. - Zobacz, jak kładą się dymy.

- Nie! - Hamal szarpnął Pachzana za ramię. - Zdradzisz zasięg! Niech myślą, że tysiąc stóp to granica.

- Betana stała półtora tysiąca stóp od bramy - odparł Pachzan, ale wycofał się ze szczeliny. - Jakaż różnica, skoro załatwię ich sierżanta. Chyba warto?

- Grałeś kiedyś w karty? - nerwowo tłumaczył Hamal. Pachzan zaprzeczył mruknięciem.

- Karty mają różną moc i działanie. Używasz ich podczas gry jak piechotę, jazdę, artylerię. Rewersy... tylne strony wszystkich kart wyglądają identycznie. Połowa sukcesu, to umieć zachować tajemnicę, jakie karty trzyma się w dłoni.

- Mogę trafić wrogiego dowódcę - powiedział Pachzan. - Gdyby chodziło o zwykłego żołnierza, jak my, to może bym zrezygnował, ale to dowódca. Mniej zabijania, lepszy efekt.

- Nie jesteśmy zwykłymi żołnierzami. - Hamal pokazał naszywki. - To oznaczenie armii w armii. Z jakichś względów jesteśmy nawet więcej warci niż tamten sinevarski dowódca. I musimy wykonywać rozkazy cywila. Pomyśl, dlaczego jesteśmy tyle warci?

- Tyle warci? Nawet mój szurnięty braciszek, niech będzie przeklęty, ma wyjątkowy wzrok. Tyle że marnuje go, gapiąc się w niebo. Wykpił się od wojska.

- Może ma więcej rozumu?! - wrzasnął Hamal.

Pachzan poczuł złość i w pierwszym momencie chciał uderzyć tamtego, ale w jego głosie

było tyle dziecięcej złości, że zrezygnował. Gdy zerknął za mur, oddział rozpraszał się między ruinami.

- Co ty wiesz...

- Wiem, co zamierza Romozel - wycedził w napięciu. - I zamierzam mu w tym pomóc.

Za późno usłyszeli wibrujący świst. Świat wokół zawirował w potężniejszym niż poprzednie wybuchu. Kamienna podłoga uniosła się, jak kopnięta od spodu przez olbrzyma, i opadła z głuchym rumorem. Powietrze wypełnił dym i pył. Kaszląc, zbiegli po schodach. Kolejne trafilenie zatrzęsło murami.

- Rozniosą twierdzę!... - krzyknął Zaklis. - Co robi nasza artyleria?

Na schodach leżała oderwana poniżej kolana noga. Reszta ciała tkwiła zapewne pod gruzowiskiem. Poczuli mdłości, ale przeskoczyli ponad drgającą jeszcze kończyną. Skręcili w korytarzyk i zamarli w przerażeniu. Ich kwatera nie istniała. W jej miejscu ziała nieregularna dziura na wylot, przez którą widzieli panoramę dymiącego miasta i dwa przymierzające się do strzału żółwie.

- W nogi! - Hamal szarpnął ich za płaszcze. - Będzie celował w to samo miejsce. Chce zrobić wyrwę.

Usłuchali go, zbiegli niżej, aż do piwnic i pognali korytarzem. Miał rację. Eksplozja pchnęła ich w plecy podmuchem fali uderzeniowej. Złapali równowagę, gdy zatrzymali się, ogarnęła ich kolejna chmura pyłu. Schody zawałyły się i o powrocie tą drogą nie mogło być mowy. Mniejsze eksplozje wstrząsały murami co kilka sekund.

- Co chcecie robić? - zapytał Pachzan. - Nie będziemy się tu przecież kryć jak szczury.

- Romozel... - zaczął Hamal.

- Romozel kazał nam czekać w kwaterze! - przerwał mu Pachzan. - Żałujesz, że go nie posłuchałeś?

- Nie wiedział, że tam trafi pocisk. Mógł trafić gdziekolwiek.

- Ufaj mu dalej, jak chcesz.

- Tacy ludzie nie są szczerzy - przyznał Zaklis. - Mówią to, co chcesz usłyszeć. Ale i tak powinniśmy go słuchać - spojrzał na Pachzana. - Zostańmy tu. Piwnice są najbezpieczniejsze. Nie jestem tchórzem, ale uważam, że bardziej przydamy się żywi. Sam chciałeś zabijać sierżantów. Romozel nie dawałby nam takiej broni, żebyśmy strzelali do szeregowców. Ma w tym jakiś plan. A jeśli chce zabijać Sinevarów, to ja jestem za. Czekajmy tu na niego i nie ładujmy się w nic głupiego.

Romozel we własnej osobie pojawił się, gdy słońce schowało się za dachami twierdzy.

- Do zmierzchu pozostała godzina - powiedział. - Do tego czasu nic nowego się nie

wydarzy. Czekajcie tu, a potem przyjdźcie do kwater armii w armii. Tam zanocujecie.

- A jeśli atak nie skończy się o zmierzchu? - zapytał Pachzan.

- Skończy się - powiedział pewnym siebie głosem socjolog. - Wtedy nie chcę was szukać. Macie tu na mnie czekać! Nie wychylajcie się. Od was zależy bardzo wiele.

Wskazał czarne naszywki na ich koszulach i odszedł.

- Czujecie się dumni? - Zaklis bez przekonania gładził naszywki na stójkach. - Wyróżnieni? Cokolwiek?

- Ja nie bardzo - odparł Pachzan. - Powinienem być teraz na farmie. Na polach gniją ziemniaki. Siana w stodole jest za mało na długą zimę. Polować na... polować nie ma komu.

- Czy mój ojciec nie chciał kupić od was ziemi?

- Możemy o tym nie rozmawiać?

- Jak chcesz. - Zaklis wzruszył ramionami. - Ale już rok temu powinienes przejąć gospodarstwo. Twój ojciec nie potrafi reagować.

- Reagować?

- Jeśli przez kilka lat spadają ceny mięsa, to trzeba zmniejszać stado, jeśli rosną ceny pszenicy, to nie sadzić wszędzie ziemniaków, tylko siać pszenicę. To jest reagowanie.

Pachzan wiedział o tym i wiele razy próbował przekonać ojca do nowych pomysłów, ale on upierał się przy swoim, twierdząc, że tak każe tradycja.

* * *

Pierwsze, co zrobił Tedrunel, to skrzył lampę do płomyka wysokiego na paznokcie. Cienie wypełzły zza mebli i zawładnęły komnatą. Romozel przypomniał sobie słowa Nerhusa - zapasy oliwy i nafty podróżowały w zniszczonym kołaczu. Postanowił odtąd czytać za dnia.

- Napijesz się? - Wysunął spod łóżka skrzynkę z kilkoma butelkami wina. Uważał, że jasność umysłu jest warta przeciążenia sterowca, a był jednym z tych, którym wino rozjaśnia w głowie.

Generał odmówił, więc gospodarz nalał tylko sobie.

- Wiesz, co to jest horyzont zdarzeń, generale?

- Zaprosiłeś mnie, byś mógł mnie raczyć kolejnymi zagadkami? Straciłem dziś ponad stu żołnierzy, a drugie tyle jest rannych. Nie mam nastroju do zgadywanek.

- Zaprosiłem cię, by omówić plan.

- Mam wrażenie, że chcesz mi go jedynie przekazać. Cóż więc to jest ów horyzont zdarzeń?

- To możliwy zasięg efektywności naszych działań, ograniczony czasem i przestrzenią. Jeśli masz łuk, możesz upolować jelenia z odległości trzystu stóp, ale temu, co stoi milę od ciebie, nie nie zrobisz.

- Chyba że do niego podejde, filozofie.

- Jestem socjologiem, nie filozofem. Podejście zajmie ci czas. Nawet biegnąc, znajdziesz się w odległości celnego strzału po kilku minutach - jeleni może być pewien, że nic mu nie zrobisz przez... założmy pięć minut. To jest właśnie horyzont zdarzeń. Nic, co się tu wydarzy przed upływem dwunastu godzin, bo tyle leci gołąb pocztowy, nie będzie miało wpływu na wydarzenia w Miduhr. Oczywiście wynalazek, zwany radiem, skróciłby ten czas do kilku minut... Generał spojrzał na niego czujnie.

- Wiesz o radiu? - Tedrunel założył z tyłu ręce i popatrzył na socjologa z góry. - Masz więc pół minuty, żeby mnie przekonać, że nie warto cię rozstrzelać za szpiegostwo.

- Wiem o radiu, ponieważ jestem członkiem Akademii Nauk, a tam panuje wolna wymiana informacji - wypalił Romozel.

Generał spojrzał na niego i ruszył w kierunku drzwi.

- Nie wysłuchasz nawet mojego planu? - wyrzucił z siebie Romozel. - Wiadomości od Evoli bardzo chciałeś wysłuchać.

Tedrunel zamarł z ręką tuż nad klamką. Odwrócił się wolno.

- Kim jesteś? - zapytał cicho.

- Historią. Zmianami. Nikim. Jednostki się nie liczą, a nasze ambicje to tylko cienie i skutki przemian, a nawet cienie cieni planów przemian, które właściwie nie są planami, bo nie istnieje przecież żaden planista. Czemu gęsi lecą teraz na południe, by na wiosnę wrócić? Myślisz, że ptak wie, co go pcha do wyczerpującego i ryzykownego lotu przez tysiące mil? Pojedynczy ptak ma tylko potrzebę rozpostarcia skrzydeł i odbycia tej podróży. Nawet nie wie dokąd ani po co leci. Musi to zrobić. Któryś ptak musi się poderwać pierwszy, lecieć na przedzie klucza, ale też sobie tego miejsca nie wybiera. Po prostu leci pierwszy.

- Pierwszy z klucza zwykle pierwszy ginie.

- Być może... - Romozel wyczuł groźbę. - Ale jeśli lot ma się odbyć, ktoś musi być pierwszy.

- Co wydarzyło się w sztabie polowym? - Generał postąpił krok w przód. - Kim był ten kurdupel?

Romozel poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Tedrunel mógł go tutaj zabić, zadusić gołymi rękami nawet przy tysiącu świadków i nie wiązałyby się z tym żadne konsekwencje. Prawo wojny.

- Nie mogę zdradzić nic ponad to, że Evola nie ma z tym nic wspólnego. - Wysilił się na swobodny ton.

- Dowodzę tą twierdzą, cywilu, i muszę wiedzieć o wszystkim, co tu się dzieje. Nawet jeśli dzieje się w twojej głowie. Jaki masz plan?

W treści pytania nie było groźby, ale w tonie była.

- Zdradzenie ci całego planu przekreśla go. - Socjolog czuł, jak po plecach spływają mu krople zimnego potu. - Musisz mi uwierzyć, że pragnę uratować Enagor, ale by to uczynić, najpierw muszę uratować tę twierdzę wraz z załogą. Dowiesz się wszystkiego, gdy zginą dwaj generałowie.

- Na czym polega więc hak?

- Hak jest taki, że gdybym powiedział ci teraz wszystko, zapewne odstąpiłbyś od planu zabicia Terhosa i Anmerda. Czy więc nie postępuję zgodnie z racją stanu, nie mówiąc ci wszystkiego?

- Co więc możesz mi zdradzić? - zapytał po krótkiej pauzie generał.

- Wysłałeś wiadomość, że chcesz rozmawiać z obydwoma generałami?

- Wysłałem. Opóźni to poranny atak o kilka godzin, więc i tak się opłaca.

- Spotkasz się z nimi.

- I o czym będę rozmawiał? - Generał przybrał kpiący ton.

- To twoja sprawa. Powinno to jednak trwać dostatecznie długo, by moi karabinierzy zdolali zastrzelić twoich rozmówców.

- Wtedy stanę się jeńcem, a najpewniej zabiją mnie od razu.

- Nie mów, że generał armii Enagoru boi się śmierci. Dla każdego generała honor jest przecież ważniejszy od życia, a nawet od sensu jego postępowania... - Romozel zawiesił głos.

- Niemal dla każdego, ściślej mówiąc, bo jest jeden wyjątek. Jesteś nim ty, drogi Tedrunelu. Dlatego właśnie ty przeżyłeś atak na sztab. I nie, nie zostaniesz jeńcem ani nie zginiesz. Podpisesz rozejm, podając się za głównodowodzącego armii. Potem wrócisz do twierdzy. Jeśli będziesz niezadowolony z mojej pracy, każesz mnie rozstrzelać - możesz to przecież zrobić. Nim zarzucisz mi zdradę, zważ jednak, że mój plan zakłada jedynie ryzykowanie twoją osobą. Wiem, to mało szlachetne z mojej strony, ale lepszego pomysłu nie mam.

Wbrew obawom socjologa generał nie protestował. Zapytał tylko:

- W czyich rękach według twojego planu zostanie Medgrun?

- Tego będą dotyczyły negocjacje, które podejmiesz z pozostałymi generałami.

- Będę miał słabą pozycję przetargową, nie sądzisz? W chwilę po zabiciu ich kolegów?...

- Będziesz je prowadził z tymi, którzy chcą wracać do domu. Oni też prowadzą interesy,

mają rodziny, majątki. Niestety, nie pomogę ci na odległość. Ważniejsza jest pierwsza część planu. Schody prowadzące do głównego wejścia do świątyni można zobaczyć z baszty obsadzonej przez karabinierów. Nowe karabiny, które przywiozłem, pozwalają na celny ogień do mniej więcej trzech tysięcy stóp. Schody są oddalone o dwa tysiące osiemset stóp. Tamci mogą się nawet nie zorientować, kto ani skąd strzelał.

- Schody do świątyni? - W głosie generała wciąż dawała się wyczuć lekka kpina. Może w ten sposób maskował niepokój? - Trudno będzie kogoś przekonać do prowadzenia negocjacji na schodach.

- Chodzi mi dokładnie o podest na górze schodów, przed portalem wejściowym. Łatwo to uzasadnić chęcią rozmowy pod opieką Najwyższego. Potrafisz chyba przez kilka minut udawać wiarę? Za podestem rosną krzaki. Jeśli któryś ze strzelców spudłuje, kula niezauważona zniknie w gęstwinie.

Generał patrzył na niego ciężkim wzrokiem, więc Romozel postanowił zaryzykować:

- Wiem, co myślisz o arystokracji, konwenansach i zasadach panujących w królestwie. Też nie podoba ci się, że niezależnie od tego, co umiesz, czego dokonałeś, będziesz gorszym człowiekiem, bo twój pradziad nie miał odpowiedniego rodowodu. Powinieneś zostać głównodowodzącym. Widać jednak król wolał w tej roli kogoś szlachetniej urodzonego, a niekoniecznie lepiej przygotowanego. Pamiętasz historię bitwy o Ramadel? Niedoświadczony młodzik, książę Lawo, stracił dobrze przygotowaną do obrony twierdzę w kilka dni. Na rozkaz króla młodzik dowodził weteranami. Teraz książę Armunach Saran, również niedoświadczony, dowodzi całą armią. Pierwszy jego rozkaz doprowadził do uwięzienia nas tu. - Tedrunel patrzył badawczo na socjologa, nie zdradzając, co myśli. - Wiesz, że mogliśmy tę wojnę wygrać, gdyby nie klucz, podług którego dobierano dowódców i podejmowano kolejne głupie decyzje, decyzje prowadzące do klęski. Siedzimy w tych kruchych murach jak więźniowie, ale uwięzili nas tu swoją niekompetencją nie Sinevarzy, tylko arystokraci i współpracujący z nimi kler. Oni nie zauważają zmian. Zginą tak czy inaczej. Pytanie tylko, czy pociągną za sobą wszystkich.

Zamilkł, poczuł bowiem, że nieco się zagalopował. Generał wpatrywał się w niego, a w migotliwym świetle przygaszonej lampy tym bardziej nie sposób było wyczytać z jego twarzy żadnych myśli. Romozel nie potrafił stwierdzić, czy za chwilę zostanie zastrzelony, czy pochwalony.

- Tobie naprawdę marzy się królestwo bez króla - głucho powiedział generał i wyszedł, zostawiając socjologa w rozterce.

Romozel stał na środku komnaty, po raz pierwszy od dawna kompletnie zbity z tropu.

Zwykle potrafił przejrzeć człowieka po kilku minutach rozmowy. Tedrunel wciąż był dla niego tajemnicą. Co teraz robić? Najchętniej odłożyłby decyzję, ale przecież nie mógł sobie na to pozwolić. I tak już ukręcił sznur, na którym miał zawisnąć. Teraz jedynym sposobem ocalenia życia było pozbycie się kata.

Podkręcił lampę, napisał krótki list, podszedł do stojącej na stole klatki, włożył zwinięty papier do małej, czarnej kapsułki i przypiął ją do obrączki na nodze gołębia. Wyjął ptaka z klatki i poniosł do okna.

- Historio, dziej się - szepnął do szarego łebka i wypuścił gołębia w noc.

XXIII

Stali w hibernatorium i patrzyli na pokryte już nie szronem, ale rosą szkła pokryw. Wyświetlacze wskazywały temperaturę plus siedem stopni.

- Za dwadzieścia godzin się obudzą - powiedziała ponuro Jayde. - Mam bardzo złe przeczucia.

Stała z rękoma w kieszeniach i ruszała nerwowo palcami w butach. Hood przyglądał się jej, zauważyła to i skarciła go wzrokiem.

- Wpadł mi do głowy pewien prosty test - powiedział szybko. - Może niepotrzebnie się stresujemy skażeniem. Jeśli jedynie Stuart był uczulony na to coś, to nam może nic nie grozić. To tak jak z jadłem z żądła pszczoły - jeden na dziesięć tysięcy umiera, a u normalnego człowieka kończy się na małym zaczerwienieniu.

- No to musisz tylko znaleźć frajera, który spędzi tam dobę. - Jayde uniosła brwi. - Nie muszę chyba dodawać, że na mnie nie możesz liczyć.

- Wiem, że na ciebie nie mogę liczyć. Użyjemy formicytów.

- Mrówek? To organizmy zupełnie odmienne od ludzkich. Co w ten sposób sprawdzisz?

- Może nic, ale jeśli zdechną, będziemy mieć pewność, że w ładowni jest coś, co może zabić również nas. Środowisko w ładowni nie różni się od naszego. Jest tam ze trzy stopnie chłodniej, ale to mrówkom nie zaszkodzi. Wstawimy je tam w perforowanym pojemniku i będziemy czekać, co się stanie.

- Nie założę skafandra. - Jayde pokręciła głową. - Pierwsze, co bym zrobiła, to potknęła się o własne nogi.

- Ja wchodziłem poprzednio!

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Hood potarł skroń.

- Jeśli chodzi o przeczucia, to mam takie jedno wielkie przeczucie, że jak oni już się obudzą, to nie będziemy mogli niczego zrobić. To nie są mili ludzie. Mamy dwadzieścia

godzin, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Zastanawiałeś się, po co Kretyn ich wybudza? - zapytała. - Ci z dołu nijak nie mogą nam zagrozić. Jeżeli z czymś są problemy, to właśnie z samym Kretynem. Przecież nie budzi ich, żeby zrobili porządek z nim samym. W likwidacji skażenia też nie pomogą.

Hood chwycił dłoń dziewczyny i pociągnął ją za sobą do kuchni. Wyjął z zamrażarki pierwszy z brzegu plastikowy pojemnik z dodatkową porcją deserową i wyrzucił zawartość do zsypu. Popukał paznokciem w przezroczysty plastik.

- Dość grube, by owady go nie przegryzły - powiedział.

- A przynajmniej, niezbyt prędko. Chcesz kawy?

- Chciałam tego, co wywaliłeś...

Wcisnął dwukrotnie przycisk kawiarki. Automat zaszumiał i po kilku sekundach wysunął na podajnik dwa papierowe kubki. Usiedli przy owalnym stole. Mężczyzna wyjął unitool, otworzył szpikulec i wybił w pokrywie kilkanaście otworów.

Do mesy wszedł Thomson. Nie widzieli go od kilku dni.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział. - Zrobię tylko kawę. I tak nie mogę spać.

- Wyglądasz, jak ktoś, kto potrzebuje snu, nie kawy - zauważył Hood.

- Ale chyba sen nie potrzebuje mnie. Cały czas próbuję zasnąć.

Przelotnie zerknął na pudełko. Odwrócił przymocowane do podłogi krzesło, jakby chciał się przysiąść do stołu. Zrezygnował jednak i tylko oparł się o nie. Odstawił kubek na blat.

- Zauważyliście, jak nietrwała jest wiedza? - zapytał.

- Dopiero doganiamy stan techniki sprzed czterystu lat. Odkrywamy na nowo to, co dla naszych przodków było oczywistością. Nasz statek jest mniej zaawansowany od tego, który był tu przed nami. Czterysta lat w błoto...

Siedzący patrzyli na niego z zaskoczeniem.

- Wiedza jest nietrwała - powtórzył kapitan. - W przeciwieństwie do wiary.

- Stajesz się religijny? - zdziwił się Hood. - Stuart cię zaraził?

- Religijnością? - Thomson spojrzał na niego. - Nie. To przemyslenia wielu lat. I wydarzenia ostatnich dni.

- Masz tu w dole wielki dowód na nieistnienie Boga.

- Hood pokazał dłonią podłogę. Po chwili poprawił się i wskazał dziób statku, gdzie faktycznie znajdowała się Ruthar Larcke.

- Co najwyżej dowód na niedokładne zapisanie jego słów. - Kapitan wcisnął jednak przycisk automatu z kawą.

- Od zawsze wiesz, że życie istnieje tylko na Ziemi. Starczyło kilka dni tutaj, byś

zweryfikował stan swojej wiedzy. Moja wiara przetrwała, twoja wiedza nie.

- Wiedza polega na ciągłej weryfikacji.
- A wiara jest stabilna. - Thomson wziął kubek z kawą.
- „Na obraz i podobieństwo” - pamiętasz te słowa? Teraz odtwórz zapis z sondy w mieście na dole i powiedz, gdzie leży racja.
- Jak przeszedłeś przez sito weryfikatorów Agencji z takimi poglądami?
- Nie pytali o nie. Teraz poglądy nie mają znaczenia. Jesteśmy pasażerami, nie załogą, a jutro będziemy bagażem.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Hood odczekał chwilę, aż tamten się oddali. Wziął z dystrybutora widelec, schował go do kieszeni i powiedział:

- Kapitan poszedł w ślady komputera. Ciekawe, czy Nordslettena też nie wzięło. Może już zaaranżował mały ołtarz w swojej kabinie? Wychodzi stamtąd tylko na obiad.
- Myślisz, że stary domyśla się naszej wizyty w ładowni? - Jayde nachyliła się do niego przez stół.
- Nie domyśla się. On wie. Widziałem log z jego wachty. Obejrzał zapis ze wszystkich kamer.

- Dlaczego więc?...
- Już się poddał. Nie dowodzi okrętem, bo jakiś nieznany program ma wyższy priorytet. A za dwadzieścia godzin obudzą się Czarni, nad którymi nie będzie miał zwierzchności. Najwidoczniej ześwirował z tego wszystkiego. Chodź!

Wziął dziewczynę za rękę i powiódł do pokoju relaksacyjnego. Zwolnił zaczepy, uniósł wieko terrarium, widelcem nabrawł nieco niebieskiego żelu i wrzucił do pudełka. Następnie złapał pięć przypadkowych mrówek i umieścił je na żelu. Zamknął przykrywkę pojemnika i terrarium.

- Wieko ma trzy milimetry grubości - powiedział. - To pancerne szkło, ale zuwaczki formicytów są twardsze. Gdyby formicyty były mądrzejsze, zebrałyby się i kolejno piłowały w jednym miejscu. Starczyłyby dwa tygodnie i jedna czwarta tych żołnierzy, by poszerzyć jeden otwór wentylacyjny i uciec na wolność. Ale są zbyt głupie i zbyt zajęte wzajemnym zagryzaniem się. Chodźmy. - Znów chwycił dłoń dziewczyny.

- Po prostu będę szła za tobą - powiedziała, cofając rękę.
- Nie bój się. Nie wepchnę cię tam z nimi.

Korytarzem doszli do ukrytych w ścianie drzwi schowka.

Były inne niż drzwi do kabin, cienkie i niedźwiękoszczelne. Otworzył je przyciskiem. Z sykiem wsunęły się w ścianę. W ciemnej wnęce tkwiły nieruchomo trzy roboty na

gąsienicach. Każdy wysokości nie większej niż metr. Przeznaczenie pierwszego z nich było oczywiste - miał z przodu szeroką ssawkę odkurzacza. Roboty czyszczące i naprawcze wkładały wiele wysiłku w to, by nie wchodzić w drogę ludziom, toteż nie pamiętali, by kiedykolwiek je widzieli.

Hood przeczytał numer identyfikacyjny na burcie robota i wprowadził go do programu ręcznego sterowania w książniku. Przesunął dziewczynę na bok. Robot poruszył się, włączył światła ostrzegawcze i wyjechał na korytarz.

- Robot z ładownika byłby lepszy - powiedział Hood.

- Ale wszystkie są w ładowni. Nie mam pojęcia, po co ktoś zainstalował tu program ręczny, ale teraz bardzo się przydaje.

Na małym ekranie książnika pojawiło się kilka przycisków, odpowiadających podstawowym funkcjom robota. Hood położył na ziemi pudełko z mrówkami, a sterowany przez niego robot chwycił je i uniół manipulatorem.

- Jesteśmy na hiperprzestrzennym statku zwiadowczym - mruknął mężczyzna - szczycie możliwości technologicznych ludzkości, a używamy metod badawczych, jakimi dla zaspokojenia zwykłej ciekawości posługują się dzieci farmerów.

- Thomson miał trochę racji - przyznała Jayde. Podeszła do drzwi śluzy ładowni i otworzyła je.

Robot wjechał do śluzy, potem ładowni i zatrzymał się pod ścianą, blisko jednej z kamer. Hood dezaktywował go i przełączył książnik na sterowanie kamerami. Ustawił zoom na pudełko.

Mrówki nie wyglądały na niezadowolone. Zająły się pożeraniem resztek ciastka.

XXIV

Chłodny świt zabarwił zrujnowaną twierdzę na różowo, ukazując rozmiar zniszczeń. Nie było baszty, która nie straciłaby dachu albo i kilku górnych poziomów. Blanki pozostały całe ledwie w kilku miejscach. Podziurawione pociskami moździerza dachy trzymały się na resztkach krokwi. Gdzieś popodpierano je prowizorycznymi rusztowaniami. Największą wyrwę, sięgającą prawie połowy wysokości wschodniego muru, w nocy pobieżnie zasypano większymi kawałami gruzu, uprzątniętymi z dziedzińca. Wszyscy spodziewali się, że tam najpierw uderzą żółwie. Drugi stos gruzu barykadował bramę.

Ponad tysiąc żołnierzy tkwiło w milczeniu w szeregach po dwóch stronach dziedzińca. Niemal każda para oczu zwrócona była na zachodnią ścianę zupełnie pozbawioną okien. Stali tam obok siebie muszkietierowie i karabinierzy. Razem siedmiu. Nogi w kostkach i nadgarstki mieli związane grubymi sznurami, dodatkowy sznur łączył ich ze sobą. Stali ze wzrokiem wbitym w ziemię. Dwadzieścia kroków od nich w lekkim półkolu czekał czternastoosobowy pluton egzekucyjny, złożony z żołnierzy wybranych losowo z pułków.

Sierżant z insygniami armii w armii wyszedł na środek i odczytał głośno z karty imiona i nazwiska oskarżonych, po czym dodał:

- Zarzuty: szaber, nielegalny handel bronią, usiłowanie morderstwa żołnierzy Enagoru. Werdykt sądu: winni. Egzekucja zostanie wykonana o świcie. Podpisano: generał Tedrunel Hadon.

Sierżant wycofał się na bezpieczne miejsce i spojrzał na generała. Ten jakby się wahał, patrzył gdzieś nad głowami żołnierzy. Wreszcie skinął głową.

- Przygotuj broń! - krzyknął sierżant.

Ktoś szarpnął się, chciał uciec, ktoś inny ledwo stał na nogach, opierając ciężar na sznurze, wiążącym go z towarzyszami. Część zamknęła oczy, część patrzyła wprost w wyloty luf.

- Cel!...

Veles wpatrywał się z nienawiścią w stojącego w pierwszym rzędzie, razem z innymi żołnierzami armii w armii, Pachzana. Pachzan spuścił wzrok i zacisnął usta.

- Nie chciałem, żeby ktokolwiek zginął - powiedział cicho.

- Ognia!

Salwa czternastu luf. I łomot padających bezładnie ciał. Cisza.

* * *

Oficerowie w milczeniu jedli śniadanie. Było dziwnie spokojnie. Mimo że słońce wzniosło się już ponad dachy, nie padł ani jeden strzał. Rozległo się pukanie do drzwi i do sali wszedł oficer łącznikowy.

- Nadają - zameldował. - Chcą spotkania z dala od twierdzy.

- Odpowiedz, że się zgadzam. Niech to będą schody przed świątynią.

Tedrunel wstał i skinął na Nerhusa, by poszedł za nim. Gdy dotarli do kwatery generała, ten otworzył szufladę biurka i wyjął małą kopertę.

- Jeśli dziś zginę, odszukaj tę dziewczynę i daj jej list. Mieszka w dzielnicy Karaman.

Nerhus wziął kopertę zaadresowaną „Evola” i bez słowa schował do kieszeni. Tedrunel uścisnął jego dłoń i szybkim krokiem opuścił kwaterę.

Pułkownik wrócił do jadalni. Romozel mechanicznie odłamywał i wkładał do ust kawałki zeschniętego sera.

- Namówiłeś generała do negocjacji. - Tamarnd spojrzał na Romozela.

- Rozmowa powinna być pierwszym krokiem w rozwiązywaniu konfliktów - wyjaśnił socjolog.

- Nie w wojsku. Tu konflikty rozwiązuje się siłą.

- Skoro jesteśmy słabsi, warto zmienić taktykę. Między nami a Hamelonem jest czterdzieści tysięcy Sinevarów. Nie znam się na strategii wojskowej, ale sądzę, że pokonanie ich w otwartej bitwie jest niewykonalne.

- Czekamy na wsparcie - odezwał się Mores. - Wtedy ruszymy na wroga i wyrzucimy go z naszej ziemi.

- Dopiero co przybyłem z Miduhr - wtrącił Nerhus. - Wsparcie nie pojawi się zbyt szybko. Zamiast tysiąca karabinierów udało się zebrać tylko sześciuset. Nikt nie wie, kiedy powstanie następny pułk, choćby i tak karłowaty, jak mój.

- Mamy jeszcze parę miast na południu - przypomniał Mores. - Do tej pory nie było tam

poboru, więc możemy liczyć na świeżą krew.

- Dosłownie - odparł Nerhus. - Możemy liczyć na ich krew. Dowodzę nowicjuszami i wiem, ile potrafią.

Spojrzenia, jakie wymienili Mores i Tamarnd, nie spodobały się Romozelowi. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, wrócił oficer i nakazał mu iść za sobą. Po drodze zabrali czekających na korytarzu Pachzana, Zaklisa i Hamala. Tedrunel czekał na nich w swojej kwaterze. Ona też ucierpiała poprzedniego dnia - w ścianach ziały szczeliny miejscami szerokie na dwa palce. Młodzi karabinierzy onieśmieleni stanęli z boku. Pachzan właśnie zdał sobie sprawę, że z wrażenia zapomnieli zaszutować. Teraz było już za późno, zresztą generał zdawał się tego nie zauważać.

- Właśnie musiałem zabić siedmiu własnych ludzi, socjologu. - Tedrunel wbił wzrok w Romozela. - Zrobiłem to nie dla fikcyjnych zasad honoru i posłuszeństwa, ale po to, by jutro, pojutrze nie zginęło siedemdziesięciu. Na wojnie ważna jest matematyka. Przynajmniej dla mnie. I nie pomyliłeś się - ja naprawdę stawiam życie kilku tysięcy żołnierzy i los Enagoru ponad honor. Zresztą po tym, co zrobię, honoru nie zostanie mi zbyt wiele. Idę po przeznaczenie, a ty rób swoje. Ustaw skrytobójców na baszcie. Dotrę na miejsce za trzy kwadranse.

Wpiął w kieszeń wyczyszczonego munduru pióro wieczne i wyszedł, zostawiając Romozela i trzech karabinierów w pustej kwaterze.

- Powiedział „skrytobójców”. - Pachzan spojrzał na Romozela. - Co chcesz, żebyśmy zrobili?

- Macie zabić dwóch wrogów.

- Przeze mnie dopiero co zginęło siedmiu ludzi. - Pachzan pokręcił głową. - Zanim zginą następni, chcę wiedzieć, dlaczego mam to zrobić.

- Zginęli zdrajcy - przypomniał socjolog. - Pamiętaj, że to oni najpierw chcieli zabić was. Zabijasz wrogów, zanim oni zabiją nas. Może nawet nas wszystkich. Rachunek jest prosty: dwóch wrogów za kilka tysięcy naszych żołnierzy. Masz wątpliwości moralne?

- Mówisz o zabijaniu, jakbyś chciał zatłuc komara. Miałeś kiedyś w ręku broń?

- Tylko raz miałem w ręku pistolet i oddałem z niego tylko jeden strzał, zabijając tylko jednego człowieka. Ten strzał zmienił historię. Wasze dwa strzały dokończą zmian.

- Co się niby stanie? Jakich zmian?

- Nastanie pokój, a wy wróćcie do domów.

Pachzan przyglądał mu się badawczo.

- Wrócimy, ale nie od razu, tylko kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, prawda?

- Nie od razu, masz rację, ale wojna nie powinna trwać dłużej niż dwa tygodnie, jeśli strzelicie i jeśli traficie. Gdybyście zrezygnowali albo spudłowali, jako pierwszy zginie wasz generał.

Podeszli do okna. Na dziedzińcu zamarła jakakolwiek aktywność. Wszyscy w milczeniu odprowadzali wzrokiem wspinającego się na barykadę przed bramą generała. Eskortowało go dwóch oficerów armii w armii. Na zewnątrz kilkunastu żołnierzy opuściło wcześniej drabinę i przerzuciło nad fosą zбитy z belek pomost.

- Idzie tam, żeby ratować nasze życie - stwierdził Zaklis. - On i Nerhus to chyba jedyni dowódcy, którym na tym zależy.

- Co mamy robić? - Pachzan spojrzał na Romozela.

- Idziemy na waszą basztę - odparł szybko socjolog, jakby się bał, że karabinier może zmienić zdanie. - Wytłumaczę wam po drodze.

* * *

Miasto, które ledwie miesiąc temu widział tętniące życiem, teraz było trupem. Wszedł między domy bogatych mieszczan, te najbliższe twierdzy. Niektóre nie były spalone, w oknach przetrwały nawet szyby, a pewnie w środku wciąż czekały niezrabowane bogactwa. Dalej było coraz gorzej. Sinevarzy podczas szturm miasta użyli pocisków zapalających, więc całe kwartały Medgrun zamieniły się w czarne szkielety. Nie niszczyli jednak bezmyślnie miasta, co sugerowało, że mają wobec niego plany.

Słyszał za sobą kroki eskorty. Wiedział, że ci dwaj, choć najlepsi, nie pomogą mu, ale i tak dzięki nim czuł się lepiej. Dopuszczał możliwość, że zginie. Wiedział, że jego kariera, a może i życie, zbliżają się do końca. Nawet jeśli plan tego szalonego socjologa się powiedzie i Sinevarzy zawrócą, nawet wtedy próba negocjacji z wrogiem zostanie potraktowana jako zdrada. Armia Mechelona III nie negocjuje, ona zwycięża. Doktryna dobra przy przewadze, ale nie teraz.

Mniej więcej po tysiącu stóp natknął się na posterunek, urządzony w pustym sklepie. Niewielka barykada osłaniała wejście od strony twierdzy. Generała i eskortę otoczyło ośmiu Sinevarów. Zapewne kilku kolejnych obserwowało ich z wyższych pięter. Karabiny mieli przewieszane przez ramię. Enagorzy nie mieli nawet broni, poza krótkimi nożami u pasa. Generał przyjrzał się wrogom. Wszyscy mieli jasne włosy i bladą skórę. Więc jednak wyglądali nieco inaczej niż Enagorzy

- Generał Tedrunel Hadon - przedstawił się.

Z wnętrza posterunku wyszedł dowódca, zapewne sierżant - oznaczenia sinevarskich stopni były inne. Zasalutował, na co generał również odpowiedział salutem.

- Sierżant Rassen - powiedział zrozumiale, choć z wyczuwalnie obcym akcentem dowódca. Generałowie Terhos i Anmerd oczekują pana.

Ruszyli w kierunku wystającej ponad inne budynki wieży kościelnej.

Na placu przed kościołem stał na baczność batalion piechoty, na szczycie schodów ustawiono stół, nakryty łopoczącym na wietrze czerwonym suknem. U stóp schodów czekało dwóch generałów wraz ze świtą. Tedrunel wolnym krokiem podążał w ich stronę. Patrzył na ludzi, którzy byli autorami zwycięskiej kampanii Sinevarów. Czy byli strategicznymi geniuszami, czy też mogli działać, bo kanclerz musiał się podporządkować decyzjom parlamentu daleko bardziej niż Mechelon? W Fongard, stolicy Sinevaru, pochodzenie społeczne i tytuły szlacheckie nie miały wielkiego znaczenia.

Na środku placu zatrzymano eskortujących go żołnierzy. Dalej szedł w towarzystwie dowódcy posterunku.

- Potem uciekaj do kościoła - szepnął tamten, udając kasznięcie.

Tedrunel poczuł zimno rozlewające się po całym ciele, ale nie zwolnił kroku. Co to miało znaczyć? Jeśli ten tutaj wie o planie Romozela... to plan Romozela nie jest planem Romozela. Może miał tu się dokonać jego rękoma przewrót wojskowy, który nie ma nic wspólnego z zawarciem rozejmu? Było za późno, by to analizować, a tym bardziej by się teraz wycofać. Sierżant odszedł w bok i stanął obok kapitana, dowodzącego oddziałem na placu. Tedrunel zatrzymał się dwa kroki przed generałami i zasalutował:

- Generał Tedrunel Hadon. Głównodowodzący armii Mechelona III, króla Enagoru.

Mundury generalskie Sinevarów były bogato zdobione: czerwony surdut ze złotym szamerunkiem, czarne spodnie z żółto-granatowymi lampasami i granatowy płaszcz haftowany złotą nitką. Do tego czarny podłużny kapelusz z również czarnymi, mieniącymi się kolorowo piórami. Obaj generałowie byli dosyć podobni. Sposobem zachowania i wyglądem przypominali Gaaroda. Była w nich owa duma i śmiertelna powaga w traktowaniu własnej osoby. Uprzejmość była kruchą zasłoną dla ich prawdziwej natury. Tedrunel nie znosił tego typu ludzi.

- Możemy zacząć? - Anmerd wskazał stół na szczycie schodów.

- Tak sędzę - odparł Tedrunel, starając się nie zerknąć w stronę twierdzy. Wyjął z kieszeni cygaro i zapalił je.

* * *

Karabinierzy zajęli pozycje na pospieszenie uprzątniętym górnym poziomie baszty.

- Wycofajcie się głębiej, żeby dym was nie zdradzał - poradził Nerhus.

- Naboje są wypełnione prochem bezdymnym - wyjaśnił Romozel. - Nie zanieczyszcza lufy i ma większą siłę wybuchu.

- Dlaczego więc go nie stosujemy?

- Tylko król wie, dla kogo trzyma tę broń - odpowiedział socjolog, uciekając wzrokiem w bok. - Może nie chciał jej dawać nam, skoro i tak jesteśmy skazani na śmierć.

- Lepiej nie mów tak przy żołnierzach...

- Wybacz. Nie jestem oficerem i nie przywykłem do wojskowych tajemnic. Mówię, co myślę.

- To lepiej nic już nie mów - powiedział Nerhus. - Udawaj, że cię tu nie ma.

Usiadł i gestem nakazał to samo socjologowi.

Karabinierzy zapomnieli o towarzysztwie. Byli teraz ponad pół mili dalej, na podeście przed kościołem Najwyższego, tuż za plecami sinevarskich oficerów. Zdawało im się, że do dokonania zamachu starczyłyby bagnety.

Tedrunel wszedł po schodach, usiadł tyłem do wrót kościoła i nerwowo wypuszczał dym z ust. Sinevarscy generałowie w czapach z mieniącymi się piórami zasiedli po obu jego stronach, na szczytach stołu.

- Przez te pióra nie widać, gdzie jest głowa - syknął Zaklis. - Do tego obaj usiedli w jednej linii.

- Strzelasz pół sekundy po mnie - powiedział rzeczowo Pachzan. - Jeśli trafię, pierwszemu opadnie głowa, wtedy twój pocisk przeleci nad nią i trafi drugiego. Jeśli nie trafię, ty trafisz. A ja będę miał czas, by przeładować.

Odetchnął głęboko kilka razy i wstrzymał oddech. Zamienił ciało w posąg, wziął poprawkę na odległość i wiejący w dole wiatr - do tego idealnie przydawały się dymiące ruiny. Wymierzył w tył głowy pierwszego generała, uniósł lufę minimalnie w górę i przesunął w prawo.

- Patrz na dym z cygara - szepnął. - Generał pokazuje nam kierunek wiatru. Jesteś gotowy?

Odpowiedziało mu potakujące mruknięcie. Starając się nie poruszyć lufy, zaczął zginać palec na spuście.

* * *

Odległy huk wystrzału z tej odległości zabrzmiał jak kłaśnięcie. Tedrunel przyłapał się na tym, że wyczekująco patrzy na Anmerda, siedzącego plecami do twierdzy. Jednak nic się nie wydarzyło.

- Polujemy na gęsi - wyjaśnił więc. - Zapasów nigdy za wiele. Idzie ciężka zima.

- Jakie to szczęście, że w naszych rękach znalazły się spichlerze Medgrun - zauważył Terhos.

Jednak się różnili. Całe poczucie humoru i złośliwa ironia należały do Terhosa.

- Napadliście na Enagor - zaczął Tedrunel. - Jesteście na cudzej ziemi.

- Ziemia jest tego, kto na niej stoi.

- Tracimy czas na czcze gadanie o przyczynach wojny. - Anmerd szybko tracił cierpliwość. - Mówmy o jej zakończeniu, o warunkach kapitulacji twierdzy.

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o kapitulacji. - Tedrunel ze złością stwierdził, że nie ma koncepcji, jak kontynuować rozmowę. - Chcę rozmawiać o zawieszeniu broni.

Rozległy się drugi i trzeci wystrzał. Po każdym z nich Tedrunel milkł na chwilę, tracąc wątek. Nasłuchiwał, ale powietrza nie przecinał świst kuli.

- Zima będzie bardzo ciężka, generale - powiedział Terhos. - Wiele gęsi potrzebujecie. Patrzysz pan na mnie, jakbym już nie żył, ale to wy będziecie mieć problem z przetrwaniem jej.

- Z dotrwaniami do jutrzejszego wieczoru - poprawił go Anmerd. - Kruche mury wybraliście na własną skorupkę. Mów pan wreszcie, czego chcesz.

Kolejne trzy strzały, za szybko po sobie postępujące, by mogły pochodzić z dwóch karabinów. Tedrunel przełknął ślinę i oznajmił:

- Moja propozycja jest następująca: wycofujecie się z miasta i za Narot, która stanie się granicą do wiosny. Wtedy wrócimy do rozmów.

Strzałów było coraz więcej.

- Nie obawiajcie się panowie generałowie - rzucił uspokajająco bynajmniej nie spokojny Tedrunel. - Pocisk muszkietu nie doleci na taką odległość.

- Nie obawiamy się muszkietów - odparł Terhos. - Obawiamy się tylko, czy nadal jesteś pan głównodowodzącym.

Anmerd nachylił się do Tedrunela i popatrzył na niego niemal z politowaniem.

- Damy ci, generale, pół godziny na powrót do twego przyszłego grobowca, ale więcej rozmów nie będzie. Decyduj. Kapitulacja albo zginiecie wszyscy przed upływem dwóch dni.

Tedrunel zaczął się zastanawiać, jakie ma szanse zadźgać obu generałów krótkim nożem, który zawsze nosił w kieszeni. Na samą myśl o wyciągnięciu broni podczas rozmów

pokojuowych robiło mu się niedobrze. Ale czym to się różniło od wydania zgody skrytobójcom? Tym, że zostanie zastrzelony, nim osiągnę pierwszego generała - odpowiedział sobie w myślach.

* * *

Strzały dochodziły od strony kwater oficerskich. Leżeli wychyleni przez wyszczerbioną kamienną barierkę, będącą jeszcze wczoraj ścianą strychu. Z baszty nie było widać, kto z kim walczy. Niektóre strzały były przytłumione, jakby dochodziły z piwnic. Tam było więzienie.

Przez dziedziniec biegło kilkunastu muszkieterów. Ktokolwiek brał udział w walce, nie było tam Sinevarów. Nerhus zerwał się i rzucił do schodów.

- Nie! - wrzasnął Romozel. - Nie przerywajmy misji!

Tamten nawet na niego nie spojrzał. Pachzan zawahał się.

Przez moment rozważał, czy nie pójść za pułkownikiem. Romozel złapał go za ramię.

- Jeśli opuścisz stanowisko, generał zginie - powiedział spokojnie, ale jego wzrok zdradzał skrajne zdenerwowanie. - Niezależnie od tego, co się dzieje na dole, jesteście winni posłuszeństwo generałowi. Nie pomożesz tam, a jeśli spieszo ci do śmierci, to zaczekaj tutaj - opóźnisz ją o minutę. Ale przez tę minutę zrób, co należy.

Zaklis bez słowa wrócił na stanowisko. Pachzan spojrzał na niego, potem na socjologa i również położył się na poprzednim miejscu. Postanowił, że wykona zadanie, a potem pobiegnie na dół. Wycelował w czapkę, wyglądającą jak zdechły ptak nałożony na głowę sinevarskiego generała, i nacisnął spust.

* * *

- Rozmawiamy o niczym, generale! - Anmerd już z trudem hamował wściekłość. - Próbujesz pan kupić swojej twierdzy kilka godzin? Tym mocniej zaatakujemy i tym mniej litości będziemy potem mieli. Decyduj się pan. Jeśli w ciągu minuty nie usłyszę, że się pan poddajesz, każę atakować, nie czekając, aż miniesz bramę.

- Kapituluj albo uciekaj, generale - poparł go Terhos. - Ile czasu będziesz biegł do twierdzy?

- Nie zamierzam kapitulować - powtórzył Tedrunel.

Anmerd wstał i oparł się pięściami o stół. Otworzył usta, ale nie zdążył niczego powiedzieć. Rozległo się głośne pacnięcie, a mundur na jego piersi eksplodował czerwienią.

Tedrunel szarpnął się do tyłu, przewracając krzesło. Z trudem złapał równowagę. Ciało zwaляło się na stół, a z dołu patrzyło na to kilkadziesiąt par oczu. Terhos nie wstawał, nie poruszał się nawet. Tedrunel dopiero po chwili zobaczył - z dziury w jego czole wypłynęła kropla krwi.

U stóp schodów sierżant Rassen uniósł pistolet i strzelił kapitanowi w skroń. Generał, nie czekając na rozwój wypadków, odwrócił się, pchnął skrzydło drzwi i wpadł do mrocznego wnętrza kościoła. Rozwagał chwilę, czy nie zabarykadować drzwi, ale uznał, że to śmieszne. Jeżeli mają po niego przyjść, i tak ich nie powstrzyma. Na zewnątrz rozległo się kilka pojedynczych wystrzałów, ale przypominały bardziej odgłosy pośpiesznej egzekucji niż walki.

Generał zdał sobie sprawę, że ma twarz we krwi Anmerda. Otarł ją chustą. Nikt go nie ścigał. Uciekać jednak nie miał zamiaru. Jakż sens ma ucieczka w środku zajętego przez wroga miasta?

Słońce wyszło zza chmur, wypełniając nawę główną kolorowym światłem, wpadającym przez wysokie witraże. Przed ołtarzem ktoś klęczał. Tedrunel wolno ruszył w tę stronę. Kroki wojskowych butów odbijały się echem od kamiennych ścian i gubiły między rzędami pustych ław. Człowiek przed ołtarzem poprawił przekrzywioną świeczkę, wstał i odwrócił się do generała. Był zakonnikiem w podeszłym wieku. Na jego twarzy malował się spokój.

- Jak to możliwe? - Generał nie mógł uwierzyć w to, co widzi. - Wyznawcy Matki Wiedzy zostawili cię przy życiu? Pozwolili tu zamieszkać? Modlić się?

- Postanowili uszanować świętość tego miejsca, a ja postanowiłem uszanować jego neutralność.

- Podziwiam twój spokój, ojcze. Wiesz, co się dzieje poza murami?

- Nie zamierzam ich opuszczać do końca tych przykrych wydarzeń. Mogę się tylko domyślać, jakie zło się tam wyprawia. Teraz jest twój czas, generale.

- Próbuję przeciwdziałać złu. Złamałem własne zasady, by ratować to miasto.

- Tak się zwykle zaczyna. - Zakonnik popatrzył mu w oczy. - Niszczysz zasady, żeby ratować ludzi, a potem pozbawieni zasad ludzie zabijają się nawzajem.

- Wejdz na wieżę, ojcze, i rozejrzyj się. Zobaczysz skutki stosowania się do zasad. Miasto jest wypełnione skutkami po horyzont. Tylko ludzi już w nim nie ma.

- Ludzie wrócą, a ja jestem tu po to, żeby nie wracali do pustki. Pilnuję obecności Boga i jego zasad. Ty przystałeś do niszczycieli zasad.

- Czemu nie mam wybrać ich zamiast tępych morderców?

- Z powodu tego, co są gotowi zrobić. I co ty już wkrótce będziesz gotowy zrobić. Może

kiedyś zrozumiesz swój błąd. Teraz już idź, oni czekają.

Tedrunel odwrócił się. Pionowa szczelina między skrzydłami wysokich drzwi świeciła jasnym światłem. Patrzył na to chwilę, a potem ruszył przed siebie szybkim krokiem i pchnął drzwi, otwierając je na oścież.

XXV

Nie widzieli się nigdy wcześniej. Czarnych dostarczono na pokład już w hibernatorach. Pewnie odbyli wiele takich podróży we śnie. Siedzieli teraz zaspani przy wielkim, owalnym stole w mesie i rozmawiali ściszone głosami. Co jakiś czas śmieli się z dowcipów kompletnie niezrozumiałych dla załogi, z którą zresztą nawet nie próbowali się zaznajamiać. Jayde, Hood, a nawet Nordsletten czuli się obecnością żołnierzy skrzepowani. Statek nie należał już tylko do nich. Zajęli przeciwną stronę stołu i jedli w milczeniu. Kapitan, po wymianie zdań z dowódcą Czarnych, wyraźnie wzburzony poszedł dokończyć obiad do swojej kabiny. Szare ściany mesy wydały się jeszcze zimniejsze niż zwykle.

- Ten priorytet go zdołował - szepnął Hood. - Teraz nie jest już najważniejszy, a w pewnych kwestiach musi się podporządkować tamtemu. Oddał pole...

Skończyli jeść, wsunęli tace w otwór zmywarki i wyszli.

- Jest parę spraw, o których powinniśmy porozmawiać - mruknął Hood.

- Spiskujcie beze mnie - oświadczył Nordsletten, idąc w stronę sterowni. - Mam pracę.

Patrzyli chwilę za nim i ruszyli dalej. Okna izolatki były zasłonięte. Hood chciał je odsłonić, ale zatrzymał dłoń przed przyciskiem. Zerknął tylko na wyniki. Jeszcze gorsze niż poprzednio.

- Nie ma sposobu, żeby mu pomóc... - powiedział.

- Nawet nie potrafimy poprawnie zrobić zastrzyku

- Jayde pociągnęła go za rękaw w kierunku swojej kabiny.

- Chodź, tu będzie bezpieczniej.

Zamknęli za sobą drzwi i usiedli. W porównaniu do poprzednich generacji statków kabina była spora, ale i tak, mimo jasnoszarych ścian, sprawiała wrażenie klaustrofobicznej. Oprócz łóżka zmieściły się w niej zawalony teraz ubraniami fotel, stolik, kilka płytkich półek i tablica obwieszona zdjęciami. Szafa ukryta była w ścianie.

- Czy to, co zrobił Kwarcowy Kretyn, nie kwalifikuje się jako bunt? - zapytał Hood.

- Nad kapitanem jest regulamin. - Jayde zrzuciła buty i usiadła na łóżku po turecku. - Jest też plan misji. Zdaje się, że przewidywał wybudzenie Czarnych po wykryciu rozbitków. Bardziej martwi mnie ten nieznany moduł decyzyjny. Wybudził ich bez pytania o zgodę kapitana.

- To chyba jakiś program wojskowy. Wirtualny generał dla tamtych.

- Może... może ta skrzynia w ładowni to ich wyposażenie i dlatego Kretyn udaje, że to kawałek statku. Kamuflaż bezczelnie wciskany nam jako prawda nie do odrzucenia? A jeśli Stuart zachorował po kontakcie z zawartością skrzyni?

- To się może roznieść po statku, jak Czarni otworzą twoją blokadę.

- Zwiększyłam podciśnienie w ładowni i śluzie. - Jayde uśmiechnęła się. - Jeśli tylko filtry wytrzymają, będziemy bezpieczni.

Hood po raz kolejny od paru godzin wywołał obraz z ładowni. Mrówki kręciły się po pudełku w doskonałej formie.

- Ile razy leciałeś? - zapytał.

- To moja pierwsza misja. Czemu pytasz?

- Ja byłem na dwóch. - Popatrzył jej w oczy. - W obydwu przypadkach wyglądało to identycznie: nic się nie działo. Dolecieliśmy, obejrzelśmy planetę kompletnie niezdatną do terraformowania, wynudziliśmy się parę miesięcy i wróciliśmy. Teraz jest inaczej. Nie wiemy wszystkiego.

* * *

Kolejna bitwa rozegrała się pod powierzchnią. Teraz mogli obserwować tylko jej efekty - dwa centymetry metr pod powierzchnią niebieskiego żelu. Robotnice usuwały szczątki na pryzmie na powierzchni.

- Po co one to robią? - zastanawiała się Jayde. - Miejsca i pożywienia starczy im na lata.

Hood założył nogę na nogę i spojrzał w sufit. Za jego plecami szumiało morze.

- Na dole trwa wojna - odezwał się. - Używają maszyn parowych i armat odtylcowych, jakby w ciągu dwóch tygodni wykonali skok o stulecie.

- Co na to komputer? - zapytała dziewczyna, ale zdała sobie sprawę z bezsensowności pytania. Jeżeli ktokolwiek miał teraz dostęp do szczegółowych danych, to byli to Czarni. - O niczym nie decydujemy - dodała - niczego nie badamy. Co my tu w ogóle robimy? Teraz wszystko i tak analizuje Kwarcowy Kretyn. To my wykonujemy jego rozkazy, choćby je

nazywać doradztwem czy wspomaganie decyzji. To, co zrobił z Czarnymi, kwalifikuje się jako bunt. A przecież to nie komputer zabrał nas tu, tylko my zabraliśmy komputer, żeby nam pomagał.

- Nie jestem tego taki pewny... Sama przed chwilą powiedziałaś: o niczym nie decydujemy. Podejrzewam, że polecenie niezgodne z regulaminem Agencji albo z sugestiami Kwarcowego Kretyna po prostu zostanie anulowane przez jakiś inny moduł decyzyjny.

- I nie zauważyliśmy tego wcześniej? - Uniosła brwi, patrząc na niego z niedowierzaniem. - Nie zauważyłeś na poprzednich misjach?

- Nie było okazji. Nigdy nie wychodziliśmy poza standardowe procedury.

Jayde usiadła obok niego, zachowując dystans kilkunastu centymetrów.

- Sprawdź to - szepnęła. - Za kwadrans zaczynam wachtę. Zrobię coś dziwnego, wydam polecenie spoza regulaminu.

Hood z rezygnacją pokręcił głową, ale dziewczyna zerwała się i szybkim krokiem ruszyła do sterowni. Na miejscu nie zastała jednak Thomsona, który według grafiku, wyznaczonego przez komputer, powinien tam być.

Dowódca Czarnych studiował dane zbierane wciąż przez cztery próbniki. Siedział w fotelu kapitana, z butem opartym o krawędź konsoli i przewijał kolejne wykresy, filmy i zdjęcia. Był potężnym mężczyzną o ostrych rysach. Mógł mieć ze czterdzieści pięć lat. Krótko ścięte włosy idealnie pasowały do wojskowego uniformu bojowego z dziesiątkami kieszeni i pasków.

- Panie Hamilton... - zaczęła nieśmiało Jayde. - Zaczyna się moja wachta.

- Poruczniku Hamilton - odparł tamten, nie podnosząc wzroku znad własnego książnika. - Przejąłem dowodzenie tą jednostką. Wachty będą pełnić moi ludzie.

- To statek cywilny...

- Już nie. Dowodzę nim, a wy na mocy ustawy o zagrożeniach nadzwyczajnych podlegacie teraz moim rozkazom. Proszę mówić dalej, szeregowo Jayde.

- Nie wstępowałam do armii... - Zaskoczona Jayde próbowała protestować. - Umowa z Agencją nie przewidywała...

- Natrafiłiśmy na pozaziemską cywilizację, która może być wrogo nastawiona - przerwał jej Hamilton, unosząc wreszcie wzrok. - Umowa przestała obowiązywać.

- Ale to nie jest obca cywilizacja! To nasi rozbitkowie!

- Proszę nie kontynuować tego tematu, bo uznam to za niesubordynację. - Hamilton uniósł rękę, ucinając dyskusję.

Jayde odwróciła się i wyszła. Roztrzęsiona, wróciła do pokoju relaksacyjnego. Hood

jeszcze tam był.

- Wiesz, co się przed chwilą stało?! - wykrzyknęła od progu.

Mężczyzna nie odpowiedział. Pokazał jej za to ekran książki. W pudełku po ciastku leżały martwe mrówki.

XXVI

Chavon próbował przygotować listę naukowców o najmniej przydatnych dla armii umiejętnościach i najniższej wydajności. Kolejna pokreślona karta wylądowała na podłodze. Komisja reformacyjna uwinęła się z pracą w jeden wieczór, wypisując pięćdziesięciu najmniej wydajnych członków Akademii. Cóż jednak z tego, skoro ta trójka kretynów poszła po linii najmniejszego oporu i wyciągnęła wnioski jedynie według spisu ilości pomysłów przedstawionych komisji wynalazczości, liczby wypożyczonych książek bądź obecności na różnych posiedzeniach. To o niczym nie świadczyło, bo Lott nie złożył żadnego projektu wynalazku ani nie zaszczylił swą obecnością żadnego posiedzenia żadnej rady. Nie był nawet w bibliotece, bo nie opuszczał swojej fabryki od miesięcy. Za to Balan z Wydziału Botanicznego całą swoją aktywność kierował na wepchnięcie swojej nieskromnej osoby do wszelkich możliwych komisji, wzięcia udziału w dyskusjach, na których temacie się nie znał, ale poza tym nie zrobił nic pożytecznego.

Chavon cisnął kolejną wersję listy na podłogę i wziął czysty arkusz papieru. Miał już dość. Był bliski podania się do dymisji. Może nawet zrobiłby to, gdyby nie fakt, że w związku z sytuacją w pałacu zostałyby to potraktowane jak nieposłuszeństwo. Ruszył do gołębiarni, którą od rozmowy z Romozelem odwiedzał dwa razy dziennie. Żeby się tam dostać, musiał przejść niemal pół pałacu. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, załatwiał przy okazji inne sprawy. Tym razem zaszedł do biblioteki, by oddać kilka książek, których nie miał czasu nawet otworzyć. W czytelnicy siedzieli zakonnicy Najwyższego i wertowali najnowsze księgi, wnioski i dzienniki projektów. Na polecenie Hamtela, a za zgodą Mechelona, szukali heretyków. Każdą wizytę kończyli wczesnym wieczorem, po czym udawali się do pałacowej kaplicy na modlitwy oczyszczające. Chavon czuł wściekłość, ilekroć ich widział, ale nie mógł nic zrobić. Z przykrością stwierdził, że jego lista może być niepotrzebna, bo klechy go wyręczą w odchudzaniu Akademii. Tyle że oni usuną stąd tych najwybitniejszych.

Sygnet Chavona pozwalał mu na wejście na górne poziomy północnej wieży. Na szczęście prócz gołębiami mieściły się tam również przyrządy meteorologiczne, z których rektor spisywał skrzętnie wyniki. Nawet założył zeszyt, gdzie co wieczór przepisywał je na czysto. To właśnie podawał gwardzistom za powód wizyt, co w zupełności im wystarczało. Zaczął od zapewnienia sobie alibi. Wdrapał się na taras wieńczący wieżę. Popołudnie było chłodne, z północy nadciągała jesienna burza. Zanotował wskazania kilku przyrządów i po raz kolejny z przykrością pomyślał o niekończących się sporach w komisji normalizacji jednostek. Same skale oznaczania temperatury były cztery. Powiódł wzrokiem po panoramie miasta, które stąd wyglądało naprawdę imponująco. Każdego dnia przybywało kilka wysokich budynków, na ulicach pojawiało się więcej paromobili, transportujących bez wysiłku ciężkie ładunki. Po wielkim placu otaczającym pałac przechadzali się mieszkańcy. Jakby nie toczyła się wojna. Kilkunastoosobowy oddział straży miejskiej wraz z zaprzężonym w dwa konie wozem zmierzał do głównej bramy więzienia.

Stałby tam dłużej, ale wygoniły go pierwsze krople deszczu. Odetchnął świeżym powietrzem i zszedł poziom niżej.

Balek był niedużym starym człowiekiem o aparycji gnoma. Od niepamiętnych czasów doglądał gołębi i znał się na nich jak nikt. Był przy tym właściwie kretynem, więc nie istniało ryzyko, że zdradzi powód częstych wizyt Chavona. Za pierwszym razem rektor próbował zagadać do opiekuna, ale ten machnął ręką i odszedł, jakby kontakt z innym człowiekiem sprawiał mu przykrość. Pewnie tak faktycznie było - nawet krzesło gońca stało na korytarzu. Goniec z wiadomościami kursował niemal nieprzerwanie od gołębiarni do kilku miejsc w pałacu, głównie do sztabu. Gdy Chavon wszedł, krzesło również było puste, co przyjął z zadowoleniem. Mroczne, brudne, wypełnione skrzydlatym zamieszaniem, a nade wszystko zimne królestwo Baleka jak zwykle przywitało go smrodem. Zignorował obecność opiekuna, co tamten zapewne przyjął z ulgą - Balek krążył teraz wśród dziesiątek klatek i zbierał do pudełka kapsułki z pocztą, która napłynęła w ciągu ostatniej godziny. Chavon zastanawiał się, kto zastąpi starego opiekuna, gdy ten umrze. Doszedł do wniosku, że nie będzie to miało znaczenia, bo nie tylko Balek, ale i gołębie pocztowe ustąpią miejsca pomniejszonej wersji urządzenia Mercoma. Albo też za miesiąc wszystko ustąpi miejsca Sinevarom.

Nagle krew uderzyła Chavonowi do głowy. Gołąb Romozela był tam, siedział na krawędzi otwartej klatki, z czarną kapsułką przyklepioną do nogi. Kolory kapsułek stanowiły kod, wedle którego dostarczano pocztę do różnych części pałacu. Czarny oznaczał, że adresat sam po nią przyjdzie.

Odpiął kapsułkę, wyjął kartkę i nie czytając, ukrył w kieszeni. Kapsułkę wrzucił do

odpowiedniego pudełka i kątem oka zauważył, jak Balek idzie już zająć się ptakiem. Czym prędzej wyszedł.

* * *

Gestme trzy razy uderzył pięścią w opancerzone wrota. Trwało dobre pół minuty, nim otworzyła się klapka wizjera, ukazując twarz strażnika.

- Otwieraj szybciej, bo tu mokniemy! - polecił komendant.

Klapka zasunęła się i zza drzwi rozległo się pospieszne odsuwanie rygli. Wóz wjechał na niewielki dziedziniec, a komendant wraz z dziesięcioma ludźmi wszedł do budynku. Siedzący za stołem strażnicy poderwali się na baczność i zasalutowali, aż karty do gry poleciały pod sufit. Dowódca zmiany sięgnął po dziennik wizyt, ale Gestme zamknął księgę, aż klasnęło.

- Co robisz, idioto? - warknął. - Nas tu nie ma. Idziemy na skróty do pałacu. - Wskazał.

- Dlaczego tędy? - zdziwił się dowódca, ale Gestme spojrzał na niego tak, że tamten wyzbył się ciekawości. Sięgnął po odpowiedni klucz i poprowadził ich wąskim korytarzykiem do stalowych drzwi.

- Zostaw otwarte - rzucił jeszcze Gestme i wraz z ludźmi wszedł do pałacu.

Dotarli do drzwi pracowni rusznikarskiej. Dwaj gwardziści zagrodzili im drogę, krzyżując halabardy.

- Zejdźcie nam z drogi - polecił komendant. - To nie wasza sprawa.

Gwardziści spojrzeli na przybyszów, potem na siebie, ocenili szanse i rozstąpili się. Strażnicy miejscy weszli do pracowni. Dwaj pracujący w tym pomieszczeniu pomocnicy sięgnęli po ukończone karabiny i wycelowali w intruzów.

Gestme pokręcił głową, udając troskę.

- Widzisz to, mistrzu? - Potrząsnął halabardą najbliższego strażnika. - Z tym będziemy szli na karabiny Sinevarów.

Mistrz gestem nakazał pomocnikom odłożyć broń.

- Ja produkuję karabiny - wyjaśnił spokojnie. - Kto inny je przydziela.

- Oficjalnie masz na stanie pół tysiąca gotowych sztuk karabinów. Tak stoi w księgach.

- Za trzy dni na północ wyruszają nowi karabinierzy. To broń dla nich. Nie mogę jej wam dać.

Gestme znów pokręcił głową i zaczął się przechadzać po pomieszczeniu. Neklin patrzył na niego ponuro.

- W rzeczywistości masz ich znacznie więcej - powiedział komendant. - Do tego są to

zupełnie inne karabiny. Zataiłeś sam fakt ich skonstruowania. Wiesz, co będzie, jak...

Drzwi otworzyły się ponownie i do pracowni wszedł Miraasz, a za nim kilkunastu gwardzistów. Obie grupy stanęły naprzeciw siebie, pochylając halabardy. Komendanci mierzyli się wzrokiem, opierając dłonie na głowicach mieczy. Na czoło Neklina wystąpiły krople zimnego potu.

- Chyba wiem, po co tu przyszedłeś - powiedział Miraasz.

- No to mamy problem - odparł Gestme. - Nie zamierzam się dzielić.

- Sama twoja obecność tutaj wystarcza, żebyś...

- Powstrzymaj się, nim powiesz za dużo. Zobaczmy, o czym rozmawiamy. - Gestme spojrzał na Neklina. - Pokaż nam te nieistniejące karabiny.

Neklin chwilę bił się z myślami. Wreszcie opadły mu ramiona i powiódł ich przez kilka pomieszczeń do oświetlonej elektryczną słabą lampą sali, w której jedna na drugiej stało kilkadziesiąt skrzyń przystosowanych do niesienia przez sześciu mężczyzn. Otworzył pierwszą z brzegu i odsunął się na bok.

Obaj komendanci pochyłili się nad skrzynią. Wewnątrz znajdowało się czterdzieści, może pięćdziesiąt karabinów. Każdy owinięty czerwoną flanelą tak, że wystawała jedynie lufa.

- Starczy dla was i dla nas - ocenił cicho Miraasz. - Skąd o tym wiesz?

- Powiedział mi Romozel. Wygląda na to, że tobie też.

- Nie wiem, co ten łotr kombinuje, ale w tym momencie jestem gotów zapomnieć, że go nienawidzę.

* * *

Dzwony na obydwu wieżach katedry Miduhr wzywały wiernych na rytuał zasypiania. Chylące się ku zachodowi słońce wpadało pod ostrym kątem przez witraże. W słonecznych smugach wirowały drobinki kurzu. Diakoni kończyli już pochylać ostatnie rzędy ław. Ich konstrukcja była pomyślana tak sprytnie, że ława zamieniała się w leżankę, zapewniającą wygodny sen.

Hamtel obserwował nadchodzących wiernych przez otwory ciasnego korytarzyka biegnącego za rzeźbami portyku. Z każdym miesiącem wiernych było mniej. Na zwykłe msze przychodzili chętniej, ale kiedy byli naprawdę potrzebni, mieli inne, ważniejsze zajęcia. Obowiązkiem każdego wyznawcy było stawienie się na wezwanie dzwonów, ale nawet stąd widać było plac, po którym przechadzali się ludzie. Ani nie zerknęli w stronę świątyni. Za

czasów Mechelona I, zanim jeszcze oszalał, świątynia pękała w szwach, nawet na dziedziniec nie dało się wejść. Wtedy za uchylanie się od rytualnego snu groził miesiąc aresztu. Teraz też groził, ale prawo już nie zakładało, że każdy poddany króla jest również wiernym Kościoła Najwyższego. Kolejna ustawa znienawidzonego przez zakonników parlamentu. Chodziło głównie o to, by odebrać osłabionemu brakiem króla Kościołowi monopol na poznawanie i głoszenie prawdy. Jedyne, co udało się wywalczyć, to jedno miejsce w tym parlamencie, i to otrzymane w zamian za poparcie hierarchii dla nowej instytucji.

Dzwony umilkły, więc Hamtel podążył na dół. Rytuał uspienia nie był prosty, ale prowadził go już wiele razy, więc nie czuł tremy.

Wszedł na podwyższenie i pozdrowił przybyłych. Niewiele ponad pół sali. W dodatku, jak od razu zauważył Hamtel, byli to wierni pośledniego sortu. Z tych twarzy nie była inteligencja. Cóż, narzekanie na rzeczywistość jest bezprzedmiotowe. Najwyższy jest nami, my jesteśmy Najwyższym...

* * *

Charon wpadł do swojego gabinetu, zamknął starannie drzwi, rozwinął kartkę i przeczytał. Usiadł na fotelu, odetchnął i przeczytał ponownie. Romozel nie prosił o przysługę. Chavon trzęsącymi się palcami podsunął papier do ognia lampy, upuścił na podłogę, a potem rozdeptał popiół. Romozel w ogóle nie prosił, on żądał. Żądał zdrady. Zdrady za uratowanie życia syna.

Rektor wyszedł na korytarz i schodami zszedł piętro niżej. Romozel miał swój gabinet w skrzydle pałacu przekazanym Akademii, ale zajrzał tam może ze dwa razy. Twierdził, że go nie potrzebuje, bo pracuje, spotykając się z ludźmi w wielu różnych miejscach. Zamek w drzwiach nie był zamknięty, a wewnątrz nawet nieurządzone. Fotel, wstawiony przez sługę podczas pospiesznego urządzania Akademii, wciąż stał krzywo pod ścianą, obok biurka tak do niej przysuniętego, że nie dałoby się za nim zasiąść.

Chavon odsunął jeden róg mebla, by dostać się do szuflad, i całkiem wyciągnął najwyższą z nich. Odstawił ją na podłogę i zajrzał w powstały otwór. Zgodnie z opisem Romozela było tam szmaciane zawiniątko, wyglądające tak przypadkowo, jak to tylko możliwe. Wyciągnął je i ostrożnie rozwinął. Wewnątrz znalazł aluminiową puszkę wielkości pięści z wystającymi z dołu dwoma krótkimi prętami. Na denku wytłoczono cyfrę „2”. Obracał przedmiot w dłoniach, potrząsał, próbował otworzyć. Puszka była ciężka i to jedyne, co mógł o niej powiedzieć. Ukrył ją w głębokiej kieszeni pod tuniką, wsunął szufladę na

miejsce, wyszedł i skierował się do wewnętrznej, królewskiej części pałacu, gdzie mieścił się sztab.

Zadanie wyznaczone przez Romozela składało się z dwóch części. Pierwsza była prosta. Druga wprost przeciwnie. Była ryzykowna, niezrozumiała i moralnie niejednoznaczna. Miał podmienić ów cylinder ze znajdującym się w sztabie za drugimi drzwiami po lewej, za stołem mapowym. Niestety socjolog nie wysilił się, by wyjaśnić, co chce osiągnąć lub też pozostawienie Chavona w nieświadomości było częścią planu. Rektor zastanawiał się, dlaczego Romozel robi coś takiego za plecami generałów. Czy było to w interesie Enagoru, czy tylko w małym interesie Romozela? Że nie było w interesie Mechelona, tego był pewien.

Po drodze zaszedł po radę do Ksureara.

Filozof kończył właśnie przyrządzać herbatę. Nalał dwie czarki i zasiedli przy stole. Ksurear gnieździł się w małej izdebce z leżanką, stołem, dwoma krzesłami i setkami albo i tysiącami książek, leżących stertami wprost na podłodze.

Chavon małymi łyčzkami popijał gorącą herbatę. Filozof znał tę zasępioną minę rektora, więc cierpliwie czekał, aż tamten zacznie.

- Zastanawiałeś się, czy w ogóle możemy wygrać tę wojnę - odezwał się wreszcie gość.
- Winniśmy się najpierw zastanowić, przyjacielu, co jest tej wojny przyczyną.
- Sinevar nas najechał, bo przedtem my najechaliliśmy Sinevar. A najechaliliśmy ich, bo oni najechali nas. I tak aż do mroków niepamięci.

Filozof skinął głową.

- A co było przyczyną pierwszej wojny? - zapytał.
- Religia?
- Sinevarzy wierzą w Matkę Wiedzy, Enagorzy w Najwyższego. Na terenach przygranicznych oba kulty zawsze ostro się zwalczały. Dochodziło do płądrowania świątyń i mordowania kapłanów. Dwa lata temu, kiedy to ostatni król Sinevaru został odsunięty od władzy przez własny parlament, kult Matki Wiedzy stracił rangę religii państwowej, a nawet został poddany pewnym represjom. Z przyczyn politycznych oczywiście. Mimo to doszło do nowej wojny. Przeczytałem kilka książek historycznych, w tym jedną sinevarską. Oni twierdzą, że Medgrun i cała dolina rzeki Narot, którą zwą Pornos, pierwotnie należały do nich, aż król Mechelon I zdradziecko im je odebrał. Nasze księgi również opisują tamtą wojnę, ale za jej przyczynę podają chęć odzyskania ziem, należących wcześniej do Enagoru. Przed Mechelonem I nie pisano książek, więc aby ustalić wcześniejsze wydarzenia, trzeba się opierać wyłącznie na przekazach ustnych, dopiero później utrwalonych na papierze. Oczywiście i Enagorzy, i Sinevarzy, zależy kto utrwał, przypisują sobie pierwotną własność doliny.

- Nie wiedziałem, że interesujesz się historią.

- Nie interesuję się historią. To tylko narzędzie pozwalające zrozumieć istotę tego konfliktu, a ściślej przyczynę jego nierozwiązywalności. Historycy obu stron wspominają o legendzie wspólnego początku. W naszej wersji Sinevarzy pochodzą od zbuntowanych wyrzutek, którzy odeszli na północ, wygnani za bliżej nieokreślone zbrodnie. Domyślasz się, jak wygląda wersja Sinevarów.

- To my jesteśmy wyrzutekami, którzy odeszli na południe.

- Tak. Mówimy bardzo podobnymi językami, podczas gdy w krajach ościennych używane są inne. Myślę, że kiedyś byliśmy jednym narodem, a rozłam nastąpił, gdy kraj stał się zbyt duży bądź pojawiło się dwóch braci, z których żaden nie chciał uznać praw tego drugiego do tronu. Mogło się zresztą wydarzyć cokolwiek, nie dowiemy się już, ale efektem był rozłam. Analizowałem kiedyś obie doktryny religijne i szczerze mówiąc, kult Najwyższego wydaje się odłamem znacznie starszego i łagodniejszego kultu Matki Wiedzy.

- Łagodniejszego? - zapytał Chavon. - Myślałem, że ich święta księga wspomina, iż kto się zbyt zbliżył do Matki Wiedzy, umierał tego samego dnia.

- Legendy, mity... Faktem jest, że od niepamiętnych czasów Enagor importował wiedzę i kulturę z Sinevaru. Teraz... nie ma to już znaczenia. Nasz obecny problem, jak wygrać wojnę, był rozwiązywany przez generałów od dawien dawna i zawsze prowadził do kolejnego konfliktu zbrojnego. Nie powinniśmy się więc zastanawiać, jak zwyciężyć, tylko jak przestać zwyciężać. Jak zakończyć odwieczny konflikt.

- Nieustanne wojny można by zakończyć, gdyby pojawiła się trzecia siła i narysowała na mapie kreskę - zauważył Chavon, ale zaraz sam sobie odpowiedział - nie istnieje trzecia siła. Tak więc jedna ze stron musiałaby podbić drugą. Dotychczas to się nikomu nie udało, ale Sinevarzy pod rządami kanclerza chyba są tego bliscy. Zastanawiam się...

- Chavon dotknął przez materiał sukni aluminiowej puszkę.

- Zastanawiam się, czy podbicie nas mogłoby zakończyć wojny. Czy ktoś z Enagorów mógłby do tego dążyć, na przykład w imię życia następnych pokoleń?

- Dać się zniewolić, by spokojnie żyć? Nie, drogi Chavonie, armia Sinevaru nie zdoła opanować naszych południowych prowincji. Nie to jest ich celem. Wiedzą, że za jakiś czas rozpocznie się kolejna wojna. Chcą nas osłabić, by opóźnić ten moment.

- Więc sposób na zakończenie tego szaleństwa nie istnieje?

- Istnieje. Jest zapisany w czerwonej księdze, wydanej przez cudownie zmartwychwstałego Gaolina. Mam jeden egzemplarz, leży na stercie za tobą.

- Możesz za to trafić w ręce tych siepaczy w kapturach!

- Ci gamonie szukali czerwonej księgi, a ja moją opравиłem własnoręcznie w czarne płótno.

- Masz rację. - Chavon pokiwał głową. - *Spoleczeństwo* zawiera rozwiązanie, ale moim zdaniem ma ono zbyt wiele znamion utopii. - Wstał. - Dziękuję przyjacielu. Pomogłeś mi w jakimś stopniu. Idę teraz odwiedzić generała Armunacha. Z nim też mam do pogadania.

- Odprowadzę cię. Wybierałem się właśnie do biblioteki.

Przez resztę drogi nie odezwali się ani słowem. Gdy filozof skręcił do biblioteki, Chavon miał przez chwilę ochotę zawrócić i zapomnieć o drugiej części zadania. Żałował, że pomógł Romozelowi opuścić niebyt aresztu domowego. Zatrzymał się, udając, że odpoczywa, a naprawdę podejmował decyzję, być może najważniejszą w swoim życiu. Miał oto zdradzić króla, żeby ratować królestwo. Była to sprzeczność tylko pozorna, a zrozumiał to wyłącznie dzięki lekturze *Spoleczeństwa*.

Obok przeszedł młody chłopak, pomocnik Anvisa, rektor nie pamiętał jego imienia. Ciągnął za sobą wózek z kilkoma paczkami. Jakoś sobie radził, mimo braku mistrza. Najwyraźniej pracował, i to dość ciężko. Chavon odprowadził go wzrokiem i podjął decyzję. Ruszył dalej. Druga część zadania było niezrozumiałą i wiązała się z niezwykłym ryzykiem, jednak Ksurear naprawdę mu pomógł. Teraz przynajmniej istniała nadzieja, że plan Romozela jest czymś nowym, rozwiązaniem innym od stosowanych dotychczas. Zbliżając się do wewnętrznej części pałacu, już wiedział, że nie zawróci. Wiedział też, jak uzasadni tę nieoczekiwaną wizytę. Gwardziści przepuścili go bez problemu.

* * *

Noan przezornie odczekał kilka dni, aż ucichnie zamieszanie wokół Hedfusa, po czym odwiedził go niespodziewanie w południe, czyli w porze największego tłoku w biurach Akademii. Uznał, że tłok jest bezpieczniejszy od mroku.

Hedfus zrozumiał już pierwszą prawdę łatwego kopiowania: najłatwiej skopiować błędy. Karty członkowskie z nagłówkiem „Królewska Akademia Nauk” nie zachwyciły Zarkima, więc drukarz miał pracowite południe i pracowitą noc. Każdy na jego miejscu dawno znalazłby sobie czeladników, niestety Hedfus był perfekcjonistą i myśl o przekazaniu komuś odpowiedzialności za maszynę była dla niego nie do przyjęcia.

Zauważył Noana, gdy ten zamknął za sobą drzwi. Zatrzymał maszynę i spojrzał na chłopaka, już denerwując się na zapas.

- Przyszedłem po honorarium - wyjaśnił Noan.

- Jakie... honorarium?

- *Za Społeczeństwo*. Jestem Orestes Gaolin.

Pod drukarzem ugięły się kolana. Złapał się obudowy maszyny.

- Pytali o ciebie - powiedział cicho. - Aresztowali mnie i wypuścili, ale kazali donieść, gdybyś znów przyszedł.

- Nikt ci nie uwierzy, że ja to ja.

- Ja sam ci nie wierzę... - mruknął drukarz. Schylił się nad szufladami, zasłaniając je własnym ciałem, chrobotał kluczem, brzęczał monetami, bynajmniej nie miedzianymi, i mamrotał obliczenia. Wreszcie odwrócił się i wręczył Noanowi sakiewkę. Ciężką sakiewkę. Ciężką srebrem. - Obyśmy się więcej nie zobaczyli.

Noan przełknął ślinę i skinął głową, udając, że wszystko jest w porządku. Odwrócił się z zamiarem wyjścia, ale drukarz zatrzymał go, miękko łapiąc za rękaw.

- Jesteś od Romozela? - zapytał jeszcze.

Noan pierwszy raz słyszał to imię, ale skinął głową.

- Miał ktoś przyjść wczoraj po to. - Wskazał trzy spore paczki, starannie zawinięte w szary papier. - Ale z powodu pogody musiał wcześniej wyruszyć w podróż. Nie chcę mieć z tym już nic wspólnego. Zabierz to i nie wracaj więcej.

Noan uznał, że skoro przysłał go tu nieznany Romozel, to powinien wiedzieć, co jest w środku. Skinął więc głową i poszedł pożyczyć z biblioteki wózek. Wtedy go olśniło: w paczkach były wydrukowane egzemplarze *Społeczeństwa*. Księgi, za które aresztowano Anvisa. Stał w połowie drogi z dyszlem małego wózka w dłoni. Ludzie go omijali, a on ważył za i przeciw. Mógł zawrócić i więcej się nie pokazać Hedfusowi na oczy. I tak nikt by mu nie uwierzył, że uczeń astronoma miał coś wspólnego z powstaniem traktatu socjologicznego. Z drugiej jednak strony księgi posiadały jakąś wartość, zapewne nawet sporą poprzez sam fakt, że jako pierwsze powielono je techniką maszynową.

Zawrócił do biblioteki i wszedł do głównej sali. Za wielkim biurkiem siedziało trzech starych mężczyzn, w wieku, w którym przy życiu trzyma tylko pasja. Nieustannie coś segregowali, przeglądali, przekładali.

- Gdzie znajdę dobrego handlarza książek? - zapytał Noan.

- Jesteś w bibliotece. - Bibliotekarz siedzący pośrodku zatoczył dłońmi półokrąg nad głową. - To największy zbiór ksiąg w Enagorze, a osobiście sędzę, że i na całym świecie.

- Szukam książki, o której wiem, że na pewno istnieje, ale nie ma jej w bibliotece.

Tamten pokiwał głową.

- Wszystkiego nie da się zebrać w jednym miejscu. Niestety.

- Mogę kupić tę książkę. Jeśli będzie to ta, której szukam, przeczytam ją, a potem podaruję bibliotece akademickiej.

Bibliotekarz uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Nazywa się Sefarim i znajdziesz go w Karaman, przy głównej ulicy. Poznasz łatwo poszyldzie przedstawiającym złotą książkę wielkości cielaka. On ma największy wybór książek. Jeśli nie będzie miał tego, czego szukasz, zapewne chętnie podejmie się wyszukania specjalnie dla ciebie.

- Jest drogi, ale najlepszy - dodał pomocnik bibliotekarza. - Sprowadzi wszystko, czego sobie zażyczysz.

- Jeśli będziesz miał czym zapłacić - zachichotał drugi pomocnik.

Noan podziękował, wrócił do wieży-observatorium i włożył do torby jedną paczkę, by nie rzucać się w oczy.

Wyprawa nie była daleka, nie dalsza niż na miejski bazar, ale powiodła go do innego świata. Północna dzielnica Karaman skupiała nieco inny typ mieszczan: artystów, myślicieli, choć nie naukowców - tu nie dotarły macki Akademii. Ludzie na ulicach ubierali się barwniej, niekonwencjonalnie, pod arkadami zamiast owoców sprzedawano obrazy, kolorowe naczynia ceramiczne, przesiadywano w kawiarniach, odwiedzano wypełnione najdziwniejszymi towarami sklepiki. Świadomość zbliżającej się wojny jakby tu nie dotarła. Noan minął kilka antykwariatów, aż ujrzał wiszącą na potężnym wysięgniku złotą książkę.

Pchnął przeszkłone drzwi i znalazł się w pomieszczeniu ciasno wypełnionym regałami z wszelkiego rodzaju książkami, albumami, atlasami i rulonami map. Poprzedni klient wyszedł, mijając go w drzwiach, więc Noan został sam na sam z antykwariuszem. Siwa broda dawała złudzenie, że jest starcem, ale bystre spojrzenie i dynamiczne ruchy temu zaprzeczały. Podniósł się znad otwartego albumu z mapami i spojrzał na młodego przybysza. Zapewne Noan nie wyglądał na bywalca tej dzielnicy.

- Mam coś do sprzedania - powiedział wprost chłopak. Położył na blacie paczkę i odsłonił papier, ukazując dziesięć czerwonych grzbietów.

- Nie mogę tego od ciebie kupić. - Sefarim przełknął ślinę. - To nielegalny towar. Muszę zawiadomić straż miejską.

- Poprzednio kupiłeś - strzelił w ciemno Noan.

Antykwariusz spojrzał na niego czujnie. Skinął dłonią, by wszedł z nim na zaplecze. W pomieszczeniu panował mrok. Noan spodziewał się, że właściciel zapali światło, ale zamiast tego trzasnęły drzwi, a chłopak poczuł, jak coś szarpie go za rękaw, pcha do tyłu i rzuca na stół. Skrzywił się, czując boleśnie uderzający go w plecy blat. Dotknięcie zimnego ostrza do

szyi powstrzymało go od protestów.

- Kim jesteś i czego chcesz? - syknął Sefarim.

- Nazywam się Orestes Gaolin i jestem autorem tej książki.

- Nie wierzę... - Oddech nachylającego się nad nim w ciemności mężczyzny cuchnął czosnkiem. - To prowokacja, prawda? Przysłał cię Gestme? Żeby mnie sprawdzić?

Noan poczuł wzbierającą złość. Chociaż w tej chwili nie mógł w żaden sposób zagrozić napastnikowi, ucisk tamtego zelżał, a po chwili ustąpił całkiem.

- Wybacz... - szepnął Sefarim. Zapłonęła zapalka, a chwilę później lampa oliwna. - Nie wiedziałem...

Chłopak sprawdził szyję, ale skóra nie była nawet zarysowana. Podniósł się ze stołu i spojrzał na antykwariusza, który teraz, zawstydzony zajściem, patrzył niepewnie na przybysza. Było duszno, w ciasnym pomieszczeniu pod ścianami leżały sterty ksiąg, zasłaniając je po sam sufit.

- Czego nie wiedziałeś?

Tamten rozłożył ramiona i nadął wargi.

- Źle zrobiłem. Proszę o wybaczenie. - Skłonił głowę. - Ostatnio opryszkowie dotarli nawet do Karaman. Tu nie ma wielu przedmiotów cennych dla zwykłych ludzi, ale i tak próbują szczęścia.

- Kim jest Gestme? Wymieniłeś jego imię.

- To komendant straży miejskiej. Pytał, czy nie widziałem tej księgi. Powiedziałem, że nie.

- Ale miałeś ją już w rękach. Mężczyzna zawahał się.

- Owszem. Sprzedałem trzy.

Ze sposobu, w jaki Sefarim patrzył na księgi, Noan wywnioskował, że zależy mu na nich. Zapewne mógłby sprzedać ich i sto, gdyby tyle istniało. Noan, mimo że jedynie zapisał cudze myśli, rozumiał doskonale, co jest treścią *Spoleczeństwa*. Zaczynał się też orientować w zasadach rządzących miastem i w narastającym konflikcie między arystokracją a mieszkańcami. Ci drudzy, za sprawą rozwoju przemysłu i handlu, szybko się bogacili, jednak w świetle obowiązującego prawa pozostawali niemal bezwolni, na równi z biednymi parobkami z otaczających Miduhr wiosek i miasteczek. Było oczywiste, że nie odpowiada im ta sytuacja. *Spoleczeństwo*, a przynajmniej jego część, była opisem ich pragnień i receptą na ich urzeczywistnienie. Było jak objawienie, więc i cena musiała być wysoka.

- Nie chcę robić kłopotu. - Noan wziął paczkę pod pachę i odwrócił się, by wyjść. - Idąc tu, widziałem składy kilku innych antykwariuszy...

- Nie! Kupię je...
- Piętnaście koron za trzydzieści egzemplarzy.
- To ponad pół dukata! - przeraził się antykwariusz.
- Jak mówiłem, idąc tu...
- Zapłacę, niech ci będzie. Przynieś pozostałe.

Noan opuścił sklep bez słowa. Antykwariusz przekręcił zasuwkę i odwrócił tabliczkę z napisem „Zamknięte”. Wszedł za regały, w krótki korytarzyk, którego ściany stanowiły półki z książkami. Korytarzyk kończył się wąskim regałem. Antykwariusz obrócił mosiężny uchwyt i pchnął. Regał przesunął się na rolkach i schował za sąsiednim. Mężczyzna zapukał w małe drzwiczki w umówiony sposób: raz, przerwa i dwa razy. Szczęknięcie zamka i drzwi otworzyły się. Dziewczyna z krótkimi, czarnymi włosami uśmiechnęła się do Sefarima.

- Zaraz kończę - powiedziała. - Dziś wezmę dwie paczki.

W ciasnym kantorku oświetlonym trzema świeczkami było akurat tyle miejsca, by mogła przysiąść na stołku, skulona między regałami i kilkoma stosami książek. Segregowała je, zawijała w szary papier i obwiązywała sznurkiem.

- To ryzykowne - stwierdził antykwariusz.

- Zamówień jest coraz więcej - odparła, obwiązując kolejną paczkę. - Ryzykowne byłoby przyjmowanie kogoś do pomocy.

Pokiwał głową.

- Przed chwilą był u mnie dziwny młody człowiek - powiedział. - Twierdzi, że nazywa się Orestes Gaolin.

Dziewczyna spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Nie mam pojęcia, co o tym sądzić. - Spojrzał na nią bezradnie. - Na pewno nie jest prowokatorem. Dostarczy nam trzydzieści egzemplarzy *Společenstva*. Każdy za pół korony.

- Sprzedasz je trzy razy drożej - zauważyła dziewczyna. - Może to oszust. Ale, jeśli tak, to po co przedstawił się imieniem Gaolina?

- To nie oszust. Nie wiem, kim jest, ale nie jest ani oszustem, ani szpiegiem.

Dziewczyna wstała i rozprostowała suknię.

- Dokończę jutro - powiedziała, wkładając do torby dwie paczki. - Lepiej, żeby mnie tu nie widział. Uważaj na siebie, Sefarimie.

- To ty uważaj na siebie, Evola.

Nic się nie zmieniło, Noan nie lubił się targować. To urealniana wizja zakupu teleskopu zwierciadlanego utwardzała jego stanowisko. Obrócił trzy razy, wykorzystując trzy inne bramy pałacu. Gwardziści nawet na niego nie zerknęli, jakby był niewidzialny.

Gdy trzecia paczka wylądowała na stole małego zaplecza, dwie poprzednie już się gdzieś rozplynęły. Sefarim z wyraźnym bólem wysupłał kilka monet. Noan przeliczył i stwierdził, że to dziesięć srebrnych koron.

- Zgodziłeś się na piętnaście! - zauważył.

- Zmieniłem zdanie.

Być może faktycznie istniała jakaś niewytłumaczalna ochrona, zapewniająca Noanowi nietykalność. Zdawał sobie sprawę z jej istnienia, ale wiedział też, że nic nie chroni go przed oszustami.

- Jak się nazywał ten komendant? - Udał zastanowienie. - Gestme? Ciekawe, czy jeszcze go zastanę?

- Jeśli go tu sprowadzisz... - Sefarim wycelował w chłopaka palcem. - Jeśli to zrobisz... powiem, kim jesteś...

- Myślisz, że uwierzy? A ty uwierzyłeś, że to ja jestem Gaolinem? Filozofem, socjologiem z kilkunastoletnim doświadczeniem?

Sefarim spojrzał na niego z nienawiścią, po czym wysupłał jeszcze pięć koron. Zapewne sprzeda księgi kilkakrotnie drożej.

- Dwadzieścia koron, sknero - wycodził zimno Noan.

- Mówiłeś piętnaście!

- Zmieniłem zdanie.

* * *

We wskazanej przez Romozela komnacie stało urządzenie, w którym Chavon od razu rozpoznał radio. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Więc jednak zdrada? Miał uszkodzić radio, niszczyć łączność sztabu z główną częścią armii? Co ten przeklęty Romozel wymyślił?! Dlaczego nie powiedział od razu? Przecież izolacja sztabu nie może w żaden sposób służyć wygraniu wojny!

Podszedł do ramy z grubych drewnianych belek. Wewnątrz, umocowane na rusztowaniu z prętów wisiały połączone przewodami metalowe puszki, cewki, żarzące się niebieskawym światłem szklane bańki. Na górze znajdował się panel z kilkoma pokrętłami i małym okrągłym okienkiem, wyglądającym jak świecące kocie oko. Na wierzchu radia

przyśrubowano płytką, wyłożoną filcem skrzynkę, w której leżała identyczna puszka jak ta, którą trzymał w kieszeni. Miał już po nią sięgnąć i czym prędzej się stąd wynieść, lecz zauważył, że na jej denku jest wytłoczona cyfra „1”. W liście od Romozela było wyraźnie napisane, że ma wymienić na identyczną puszkę. Zaczął więc się rozglądać w poszukiwaniu puszek z cyfrą „2”. Pokój skąpany był w niebieskiej poświacie bijącej z wnętrza urządzenia, które nie ułatwiało poszukiwań. Chavon nie chciał włączać światła, żeby kogoś przypadkiem nie zaalarmować.

Znalazł ją - puszka numer dwa była wetknięta w gniazdo z boku panelu i unieruchomiona skórzanym paskiem z klamerką. Chavon chwilę nasłuchiwał, ale w pokoju sztabowym panowała cisza. Rozpiął klamerkę i dotknął puszek. Była ciepła, zresztą od całego urządzenia biło ciepło. Wstrzymał oddech i pociągnął puszkę. Gdy wyskoczyła z gniazda, coś zatrzeszczało donośnie. Z wrażenia prawie wypuścił przedmiot z dłoni. Źródłem dźwięku był papierowy stożek, umocowany w stalowej ramce. Głośnik. Widział kiedyś takie urządzenie na Wydziale Elektrycznym. W sumie powinien się go spodziewać, skoro radio służyło do rozmów na odległość. Ten metalowy kokon na wysięgniku to był mikrofon. Teraz Chavon przypomniał sobie, że gdy był prorektorem do spraw naukowych, wśród setek innych projektów przeglądał i projekt radia.

Nagle zza drzwi dobiegła go rozmowa. Generałowie wracali z kolacji! Chavon pomyślał, że jeżeli go tu znajdą majstrującego przy radiu, to nie pójdzie pod żaden sąd, tylko rozstrzelają go jeszcze przed zachodem słońca. Zastanawiał się, czy nie włożyć puszek z powrotem na miejsce, ale zdał sobie sprawę, że teraz nie ma już wyjścia - i tak majstrował przy radiu. Rezygnacja oznaczałaby, że straci życie nadaremno, wręcz głupio. Zamienił miejscami puszek w kieszeni. Miał już włożyć nową do radia, ale spojrzał na czarną membranę. Jeśli włoży puszkę, to ładunek elektryczny spowoduje ponowne zakłócenie przepływu prądu w szklanych bańkach, a głośnik znów zatrzeszczy i zdradzi go. Z drugiej strony tak zostawić tego też nie może. Wysilił pamięć, próbując sobie przypomnieć schemat radia. Widział go może dwa tygodnie temu... Panel kontrolny - a na nim pod pierwszą gałką od lewej mosiężna tabliczka z wygrawerowanym podpisem „głośność”. Wystarczy przekręcić... w lewo, by głośnik przestał pracować. Przekręcił delikatnie i równie delikatnie wetknął puszkę w gniazdo. Membrana ledwie drgnęła. Zapiął jeszcze pasek i odsunął się od radia.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich jak wryty żołnierz - operator radia.

- Tu nie wolno wchodzić

- Usłyszałem trzaski, więc pomyślałem, że to może być ważna rozmowa... - tłumaczył

zaskoczony Chavon.

- Wedle słów Mercoma łączność miała być niemożliwa do czasu przejścia burzy - powiedział książę Armunach, stając w drzwiach.

Chavon przypomniawszy sobie o skręconej gałce „głośność”.

- Może coś jest źle ustawione? - zapytał i mimo niemego protestu operatora, przekręcił gałkę na poprzednią pozycję.

- Nie dotykać! - zdołał dopiero teraz wydusić z siebie żołnierz. Ledwo się powstrzymał, żeby się nie rzucić na rektora.

- Dlaczego tu wszedłeś? - zapytał podejrzliwie Armunach.

- Usłyszałem trzaski - wzruszył ramionami Chavon. Znajomy zimny pot na plecach.

- Poczułem senność - wyznał pobladły gwardzista.

- Nieodpartą, niepokonaną senność. Musiałem się zdrzemnąć, bo oczy mi się same zamykały. Mistrz Mercom powiedział...

- Skoro przewodniczący Chavon usłyszał trzaski, to znaczy, że powinieneś tu być i nasłuchiwać. - Prerażony żołnierz zaszalutował i w pośpiechu przysunął krzesło.

- Najpierw każ sobie przynieść mocną kawę.

Wyszli do sali sztabowej. Oficerowie dyskutowali nad mapą.

- Jak to możliwe, że cię tu wpuszczili? - zapytał książę.

- Po prostu wszedłem.

- Wezwać gwardistę sprzed drzwi - polecił książę, a gdy tamten wszedł, powiedział, wskazując rektora. - Miałeś nikogo nie wpuszczać.

- Nie pamiętam, żeby przewodniczący Chavon mnie mijał.

- Wyjdź! - warknął w odpowiedzi książę, po czym zwrócił się do swego adiutanta. - Czemu sztabu nadal pilnują gwardziści, a nie żołnierze armii w armii?

- Komendant Miraasz nie wyraził zgody. Rozmawiałem z nim o tym dwa razy.

- Niech więc żołnierze stoją po wewnętrznej stronie drzwi.

- Pytałem. Na to również nie chce się zgodzić. Nie chce ich nawet wpuścić do pałacu.

Armunach patrzył na niego chwilę, potem przeniósł wzrok na Chavona.

- Cóż więc cię sprowadza? - zapytał. - Mów szybko. Zaraz zaczynamy naradę.

Chavon zaczerpnął powietrza i powiedział spokojnie:

- Chciałbym, żebyś wstawił się u króla w sprawie powstrzymania sądów kapturowych.

- Widzisz sam, że niewiele mogę. Żeby tu wprowadzić własnych żołnierzy, musiałbym szturmować pałac. Król ufa mi tylko w sprawach militarnych.

- To SA sprawy militarne. Chemik, pracujący nad nowymi rodzajami materiałów

wybuchowych, siedzi w pałacowych lochach, zamiast w swojej pracowni. Tak samo jak astronom, który zaprojektował celownik optyczny do nowych karabinów. Wybitny lekarz został oskarżony o profanowanie zwłok, kiedy pracował nad lekiem na zakażenie, żeby rany śmiertelne zamienić na szybko gojące się. Tych naukowców jest... więcej. Mnie król nie wysłucha.

- Dobrze, Chavonie, poruszę ten temat jeszcze dziś. A teraz wybacz, obowiązki wzywają.

Rektor z ulgą wyszedł ze sztabu. Gdy minął gwardzistów, tamci odprowadzili go wzrokiem. Jak mogli mnie nie zauważyć? A może chcieli, żebym wszedł? Dopiero za zakrętem korytarza oparł się o parapet i odetchnął.

Nie mam pojęcia, co złego właśnie zrobiłem, pomyślał. Może nigdy się nie dowiem. Wszystko wyjdzie na jaw, jak przejdzie burza, a radio nadal nie będzie działać. Wtedy się domyślą, że to ja. Może nawet gdy trafię w ręce sędziów, sam będę musiał wymyślać szczegóły tej historii i jeszcze w nie uwierzyć.

* * *

- Proponuję się rozmówić z Mercomem - powtórzył po raz trzeci generał Kanien. - To niedopuszczalne, żeby sztab nie miał łączności z własną armią!

- Był tu rano i stwierdził, że to pierwsza burza od czasu, gdy skonstruował radio - wyjaśnił kapitan Ziran. - Wcześniej nie wiedział, że burza może przerwać łączność.

- Niech tu przyjdzie i coś zrobi! - zażądał Kanien.

- Nie przeklinajmy Mercoma, naszego dobrodzieja - przerwał mu Armunach. - Zbytńio zaufaliśmy technice, to wszystko. Jeśli łączność nie zostanie przywrócona do północy, posłużymy się gołębiami. Na razie możemy przyjąć, że nasz plan się powiódł. Armia Sinevaru przestała się posuwać w kierunku stolicy, a nawet opuściła część terenów, by oblegać obie twierdze. Szczególnie Medgrun.

Na znak operatora radia, Ziran wszedł do pokoju. Gdy wrócił z niego po chwili, wszystkie spojrzenia skupiły się na nim.

- Z Hamelon nie ma jeszcze łączności, ale jest meldunek z Medgrun - zameldował z uśmiechem. - Generał Tedrunel mówi, że odparł atak i w pełni panuje nad sytuacją.

* * *

Gdy dotarł do pracowni Anneasa Pasco, było już ciemno, a mistrz przymierzał się do

zamknięcia.

- Jesteś... - powiedział, widząc Noana. - Nie odzywałeś się od kilku dni. Myślałem, że przepadłeś w tej nagonce na heretyków.

- Nie przepadłem. Miałem sporo pracy.

Anneas uśmiechnął się.

- Zgodnie z twoimi słowami otrzymałem zamówienie na dwieście pięćdziesiąt celowników do karabinów. Tak więc tego samego dnia odlałem zwierciadło. Kiedy wystygło, zacząłem je szlifować. Ale potrzebna jeszcze jest obudowa, podstawa i sprężynowy system sterowania. Tak dużego teleskopu nie można poruszać zwyczajnie, korbkami. Sądzę, że będzie mnie to kosztowało całego dukata.

Noan wysypał na blat dwadzieścia srebrnych koron, a potem dołożył jeszcze pięć z tych od Hedfusa (drukarsz tak się przestraszył, że zapłacił więcej, niż Noan żądał). W sakiewce zostało osiem koron i sporo miedziaków. Kiedyś Noan myślał, że wystarczy mieć dukata, żeby zamieszkać w pałacu królewskim. Wprawdzie nie widział nigdy złotego dukata na oczy, ale wiedział, że jest wart dwadzieścia pięć koron. Tyle leżało teraz na filcowym blacie pokrytym szklanym szronem. Jeden dukat - tyle mogłyby wynosić oszczędności rodziny Ramachów, zbierane przez kilka tłustych lat. A teraz on, Noan Ramach, w jeden dzień zebrał więcej, nie wysilając nawet bardzo mięśni. Wolałby chyba umrzeć, niż wrócić na rodzinną farmę.

- Na kiedy teleskop będzie gotowy? - zapytał chłopak.

Pasco zgarnął korony i zaczął przeliczać w głowie.

- Cieszę się bardzo z tej pracy - powiedział. - Nikt wcześniej nie zrobił takiego urządzenia. Ale to też oznacza, że nikt nie ma doświadczenia. Szlifowanie może więc trwać jeszcze dwa dni albo dwa tygodnie. Gdy skończę szlifować, wyślę do ciebie ucznia z wiadomością. Wtedy też odłożę wszystko inne i zajmę się pasowaniem optyki w obudowie. Zaczekaj. - Z najwyższej szuflady wyciągnął małą lunetkę - szukacz ze starego teleskopu Noana. - Już nie będzie potrzebny, a tobie może się przydać.

Dwa dni lub dwa tygodnie... Gdy Noan wracał do wieży-observatorium, już zaczynał odliczać godziny. Dwa dni lub dwa tygodnie. Średnio więc tydzień. Siedem dni. Sto sześćdziesiąt osiem godzin. Mijając bramę, zapomniał pokazać pierścienia Akademii, ale gwardziści nawet na chłopaka nie spojrzeli. To samo zresztą powtórzyło się przy wejściu do pałacu. Albo go pamiętali, albo działała ta sama tajemnicza siła, która zapewniała mu bezpieczeństwo. Przelotnie pomyślał, że jeśli to prawda, to mógłby niezatrzymywany dotrzeć w dowolne miejsce pałacu.

Nie miał jednak ochoty sprawdzać. Poszedł prosto do domu.

- Orbita ustabilizowała się ostatecznie - zakomunikował Fennel na jego widok. - Zmiany są niezauważalne.

- Pięć godzin, czterdzieści jeden minut, osiemnaście sekund i trzysta dwadzieścia jeden setnych - odparł bez zastanowienia Noan.

- Wyliczyłeś tak dokładnie? - Fennel spojrzał z zaskoczeniem.

- Za trzy dni wzrośnie do trzystu dwudziestu dwóch i dopiero wtedy się ustabilizuje. Nie... wtedy dalsze zmiany spadną poniżej możliwości pomiarowych naszych przyrządów.

Była to najdłuższa rozmowa, jaką odbyli od aresztowania Anvisa.

Fennel przywłaszczył sobie fotel poprzedniego właściciela. Nie był złym człowiekiem, poszedł nawet sprawdzić, czy może jakoś pomóc koledze astronomowi, ale sędziowie w bardzo przejrzysty sposób dali mu do zrozumienia, że jedyne, co może osiągnąć, to potowarzyszyć koledze w charakterze współwięźnia. Przyjął więc do wiadomości, że Anvis prędko nie wróci. Albo nie wróci nigdy. W obu przypadkach fotel nie powinien się marnować. Z każdym kolejnym dniem Fennel zadomawiał się coraz bardziej. Noan obserwował ten proces i dbał, by samemu pełnić rolę gospodarza.

Od czasu aresztowania Anvisa nikt nie niepokoił astronomów. Mimo to Fennel zaprzestał prac nad swoim dziełem opisującym kulistość Ziemi. Wyrwał nawet kartę z niedokończonym szkicem i spalił w kominku. Noan jednak zauważył, że na szkicu kula nie miała podparcia.

Dni miały im na studiowaniu ksiąg, wypełnianiu dzienników, noce na obserwacjach. Noan kończył je coraz wcześniej, teraz był bowiem już absolutnie pewien, że teleskop Anvisa, z którego korzystał, nie powie mu nic nowego. Zwykle przedłużenie tuby zwiniętym paskiem mosiężnej blachy starczyło, by pozbyć się zakłóceń od pobliskich jasnych obiektów. Widział więc teraz Tanur w lepszym kontraście, ale niewiele mu to dawało. Noan co kilka sekund wykonywał pełny obrót jedną korbką i jedną czwartą obrotu drugą, by nadążyć za przemieszczającą się gwiazdą. Widziana przez szkła Fennela, również nie odkrywała swych tajemnic. Poza potwierdzeniem zmiany kształtu w okolicach północy. Zgodnie ze słowami Pasco, obraz był minimalnie rozbity tęczowo, szczególnie bliżej krawędzi soczewki. Większe szkło nie poprawiłoby jakości obserwacji. Potrzebował jak najszybciej teleskopu zwierciadlanego! Tydzień jawił mu się wiecznością...

* * *

Ksurear, filozof i senator, jak co wieczór przeglądał w bibliotece najnowsze księgi, o

które wzbogaciły się zbiory Akademii. Większość z nich nie interesowała go, a nawet uznawał je za szkodliwe, czasem nudne. Mimo to je przeglądał, czasem czytał. Miał bowiem dystans do własnych poglądów - zakładał ich omyłność i potencjalną zmienność. Wręcz oczekiwał zmiany. W obecnych swoich poglądach było mu już ciasno, a niedawna rozmowa z Chavonem uświadomiła, jak bardzo dał się uwięzić przyziemnej doczesności.

Uniósł głowę, gdy na karty książki padł cień. Ten, kto stał nad nim, był ostatnią osobą, której filozof mógł się spodziewać. Hamtel. I to dziwnie niepodobny do siebie - oczy mu błyszczały w rozgorączkowaniu, gdzieś się podziała zwykła buta.

- Czemu zawdzięczam to spotkanie? - zapytał wolno Ksurear.

- Musimy porozmawiać - odparł zduszonym głosem Hamtel. Nie pałał sympatią do filozofa, ale podobne uczucia żywił do większości członków Akademii.

- Zawsze milej rozmawiać z inteligentnym adwersarzem niż z głupim pochlebcą.

- Chodźmy gdzieś, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał - poprosił cicho zakonnik. - Sprawa jest niezwyklej wagi, ale należy zachować dyskrecję.

Filozof zamknął przeglądaną właśnie księgę (tyczyła spraw ogrodnictwa) i odstawił ją na półkę. Był bardziej ciekawy niż przejęty. Skinął głową i powiodł zakonnika do swego gabinetu, mieszczącego się poza skrzydłem akademickim.

Gabinet nie był zbyt reprezentacyjny - ot, dwa fotele i stolik, nawet bez biurka, za to z dwiema ścianami obłożonymi księgami. Zwieszająca się z sufitu lampa elektryczna stanowiła największy luksus.

Ksurear usiadł i gestem wskazał gościowi fotel, ale tamten wolał stać.

- Nie wierzysz w Najwyższego, filozofie? - Zakonnik oparł się o stolik i nachylił nad gospodarzem, jakby w groźbie.

- Cóż... Bóg istnieje. Istnieje jako idea, w którą wierzy rzesza naiwnych. A tych naiwnych ty i twoi braciszkwowie potraficie omamić do reszty, personifikując absolut. Jesteście wyrafinowanymi rabusiami i macie wielce komfortową sytuację, sami bowiem ustalacie oficjalną moralność. Obiecujecie też nagrodę za posłuszeństwo, nagrodę pośmiertną, tym samym nad wyraz skutecznie zabezpieczacie się przed reklamacjami.

- To bardzo dobrze, że tak myślisz. - Hamtel usiadł wreszcie, właściwie zwałił się na fotel obok. - Tego teraz potrzebuję.

Ksurear zdziwił się niepomniernie.

- Czego chcesz? - zapytał. - Przecież nie udzielę ci rozgrzeszenia. Właśnie wyznałem ci, jak bardzo obce są mi twoje wartości.

- Wiesz, na czym polega rytuał zaślnięcia?

- Wiem. Wzywacie do świątyni naiwnych nieszczęśników i usypiacie ich w jakiś sposób, by zaglądać do ich myśli. Waszym zmartwieniem jest jednak to, że omamić dają się tylko prości ludzie, z których umysłów macie mały pożytek. Jeżeli ktoś jest mądry ponad przeciętność, to raczej nie przekroczy progu świątyni.

- Nie mam nastroju ani siły, by odpowiadać równie zjadliwymi złośliwościami. - Zakonnik spuścił głowę. - Przyszedłem do ciebie po radę właśnie z powodu twojego stosunku do religii. Dziś poprowadziłem rytuał zaśnięcia i doznałem objawienia. Przekazana została mi mądrość, której nie pojmuję. Nie mam kogo spytać o radę. Poza tobą...

Filozof przyglądał się zakonnikowi z zainteresowaniem, niemal fascynacją. Hamtel zachowywał się tak inaczej. Nie pouczał, nie wywyższał się, tylko uprzejmie prosił. Wyglądał też na wystraszonego.

- Doznałeś wizji... - stwierdził Ksurear. - Wyciągnąłeś z umysłów tych biedaków koszmary?

- Nie potrafię ci wytłumaczyć, jak to się odbywa. Tego trzeba się uczyć latami. Niektórzy nigdy nie dostąpią tej łaski. Nie polega to na wyciąganiu czegoś z umysłów innych ludzi, lecz na myśleniu ich umysłami. To rytuał darowania. Wierni darują swe umysły przewodnikowi. Tym przewodnikiem miałem być ja... Rytuał służyć winien kontemplacji Najwyższego, ale w warunkach śmiertelnego zagrożenia dozwolone jest rozważanie doczesności. Zrobiłem to, żeby poznać wynik wojny, a ujrzałem... koniec świata.

- Sinevarzy dotrą do Miduhr?

Hamtel pokręcił głową.

- Nie o tym mówię. Widziałem prawdziwy koniec świata. Prawdziwy! Płomienie, trzęsienia ziemi, gotujące się oceany, a potem wielką nicość bez ziemi, wody i nieba. Bez ludzi.

- Zobaczyłeś to w snach tych ludzi?

- Nie w ich snach. Dzięki nim zobaczyłem przyszłość. Próbowalem nad tym medytować w samotności, ale nie mogę zrozumieć, czemu Najwyższy miałby nam zgotować taki los. Przyszedłem, żebyś ty mi powiedział.

Ksurear zapadł głębiej w fotel i zamyślił się.

- Może umysły tych biedaków są wypełnione strachem przed wojną, a upadek Miduhr uważają za koniec świata? Może odebrałeś ich negatywne emocje?

- Emocje śniących nie mają znaczenia. Podczas rytuału używa się ich umysłów jak narzędzi. Nie zastanawiasz się przecież, co myśli łyżka, którą jesz zupę. Wiem, że dzięki nim widziałem naszą przyszłość.

- Oczywiście wierzysz też w przeznaczenie.
- Wierzę... choć chciałbym nie wierzyć. Nie podoba mi się przyszłość, którą ujrzałem.
- Gdyby nie przeznaczenie, chciałbyś ją zmienić? Nawet wbrew woli Najwyższego?

Hamtel patrzył na filozofa przez dłuższą chwilę, wreszcie wyznał:

- Właśnie dlatego przyszedłem do ciebie.
- Chcesz wiedzieć, co myślę? Przyszłość nie jest niezmienna jak nasza historia. Gdyby tak było, jakiegokolwiek nasze działania nie miałyby sensu, bo i tak efekty byłyby zdeterminowane przeznaczeniem. Wówczas to każdy z nas powinien przestać się starać i położyć do góry brzuchem w oczekiwaniu na to, co nieuniknione. Poza tym nie sądzę, żebyś widział przyszłość. Widziałeś strach swoich wiernych.

- Mówiłem ci, to nie działa w ten sposób. Podczas rytuału korzystam z umysłów wiernych bez względu na ich poglądy. Na te kilka godzin staję się najmądrzejszym człowiekiem na ziemi. Na te kilka godzin...

- A gdybyś tam zagonił naukowców z Akademii i kazał im spać?...

- Odbyłoby się to samo. Zapewne z jeszcze lepszym skutkiem, ze względu na jakość ich umysłów. Ma to wszystko związek z nową gwiazdą, która pojawiła się niedawno na sferze niebieskiej.

- Astronomowie nazwali ją Tanur - przyznał filozof. - Widziałem ją gołym okiem, nie sposób nie zauważyć. Boisz się, że Tanur spadnie na ziemię? Zdarzyło się parę razy, że gwiazdy spadały. Nie czyniły jednak większych szkód, poza wybiciem niewielkich dziur w polu. Nie zabiły nawet kozy.

- Nie chodzi o dziury w ziemi ani o kozy. Chodzi o coś więcej.

- Nie uznaję dogmatów, masz rację, i mogę zmienić poglądy, jeśli mnie ktoś przekona. Ale nie próbuj mnie nawracać na wiarę w Najwyższego. Ten etap mam już za sobą. Wierzyłem w wieku młodzięcym, potem przejrzałem na oczy. Nie chciałbym, żeby moje życie okazało się wielkim kołem. Gdybyś mnie nawrócił, to by znaczyło, że przez te wszystkie lata błędziłem.

- Czy to wystarczający powód, żeby się nie nawracać?

- Mam otwarty umysł. Jeśli zdołałbyś mnie przekonać, że Najwyższy istnieje nie tylko jako idea, wtedy bym się nawrócił.

- To nie ma znaczenia. Ja nie przyszedłem cię nawracać. Przyszedłem zapytać, jak ratować świat.

- Czemu akurat mnie, filozofa, który pozbył się wiary dawno temu?

- Ponieważ podczas tego rytuału... - Hamtel chwycił dłoń filozofa i zamknął oczy. Oparł

czoło o wierzch jego dłoni, a filozof poczuł na niej ciepłe łzy. - Podczas tego rytuału ja... ja
zawiodłem. Straciłem moją wiarę.

XXVII

U stóp schodów stał batalion żołnierzy w czerwonych płaszczach. To były te same płaszcze, które mieli na sobie przedtem, tylko wywrócone na lewą stronę. Tedrunel pomyślał przelotnie, że jego własny płaszcz również ma czerwoną podszewkę.

Żołnierze na dole nie wyglądali, jakby mieli zamiar go zabić. Raczej patrzyli z wyczekiwaniem. Po schodach wspinał się sierżant Rassen z kopertą w dłoni. Zasalutował i wręczył ją generałowi.

- Do rąk własnych - wyjaśnił.

Tedrunel złamał pieczęć, rozłożył papier i przeczytał:

Armia Przemian pod Twoim dowództwem położy kres wojnie, która trwa między dwoma narodami od początku ich historii. W imieniu Tymczasowego Komitetu Pokojowego z dniem dzisiejszym przekazujemy Ci dowództwo nad Armią Przemian, armią wszystkich wolnych ludzi Enagoru i Sinevaru.

Pod spodem widniały podpisy kilkudziesięciu pułkowników Enagoru i Sinevaru oraz dwóch sinevarskich generałów. I data sprzed trzech dni.

Plan Romozela nie jest planem Romozela, pomyślał ponownie generał. Sinevarzy też czytali *Spółeczeństwo*.

W ocienionej części placu złożono kilkanaście ciał.

- W tym momencie Armia Przemian liczy pięć tysięcy żołnierzy - zameldował Rassen. - W tym pół tysiąca arkebuzerów i osiem żółwi wraz z załogami, do tego zaopatrzenie i zaplecze techniczne. Dołączycy do nas kolejne piętnaście tysięcy, jeśli uda ci się pokojowo przejąć twierdzę Medgrun. Na razie wyczekują, by stanąć po stronie silniejszego.

- A reszta armii sinevarskiej?

- Zostanie rozwiązana. To samo stanie się z armią Enagoru. Rozpuścimy żołnierzy do

domów.

Tedrunel popatrzył w stronę twierdzy na łopoczące sztandary Mechelona. Żołnierze w napięciu oczekiwali na jego decyzję. Generał odpiął klamerkę trzymającą płaszcz pod szyją i przewrócił go na lewą stronę. Przez plac przeszedł pomruk ulgi.

- Nie wypuścimy ich - oznajmił Tedrunel. - Mogliby zostać ponownie wcieleni do obu armii. Ci, którzy nie przejdą na naszą stronę, do czasu zwycięstwa będą jeńcami.

- Ale to już postanowione...

- Jestem twoim dowódcą od minuty, a ty już kwestionujesz moje rozkazy?

- Tak jest! Zostaną jeńcami! - wykrzyknął szybko sierżant.

Generał przeniósł wzrok na eskortujących go żołnierzy armii w armii. Nie odwrócili płaszczy, ale nikt ich nie tknął. Tedrunel zszedł ze schodów i stanął przed nimi.

- Odwróćcie płaszcze - zażądał.

- Generale - oznajmił jeden z nich. - Żołnierz nie powinien odczuwać rozterek moralnych, tylko wykonywać rozkazy. Przysięgaliśmy wierność królowi, a to oznaczało posłuszeństwo tobie. Teraz wierność i posłuszeństwo stoją w sprzeczności ze sobą. Nie będziemy walczyć po żadnej ze stron. Oddajemy się w twoje ręce.

Generał skinął głową i rozkazał sierżantowi Sinevarów:

- Oto dwaj pierwsi jeńcy wojenni. Aresztujcie ich, ale pamiętajcie, że mają być dobrze traktowani.

Od strony twierdzy nadal dochodziły pojedyncze strzały. Tedrunel wiedział, że nikt tam nie poluje na gęsi. Romozel mógł uruchomić swoich spiskowców... sojuszników wewnątrz murów i przejąć kontrolę. Strzały na to wskazywały, ale generał nie miał pewności.

- Zostańcie tu. Dalej muszę iść sam. Oczekujecie sygnału flagami. Jeśli sygnału nie będzie, a ja nie wrócę... - zawiesił głos. - Wtedy zapytajcie o radę sygnatariuszy porozumienia.

Obszedł kilka kwartałów zabudowy. Oczom obrońców ukazał się dopiero w Alei Królewskiej, ćwierć mili od bramy. Szedł środkiem, nie niepokojony przez nikogo, choć tamci z pewnością go widzieli.

* * *

Po zabiciu generałów Pachzan i Zaklis położyli się pod osłoną muru, by dać odpocząć drżącym od długotrwałego napięcia mięśniom. Na zamglonym niebie świeciło mętne słońce, ale po chmurach burzowych nie było śladu.

- Obydwu zabiła jedna kula - w zadumie odezwał się Pachzan.
- Widziałem. Nie mam pojęcia czyja.

Najchętniej położyliby się spać, ale kolejny wystrzał z dołu przywrócił ich do rzeczywistości.

- Musimy iść - oznajmił Pachzan.

- Wasza misja skończona - przyznał Romozel. Obserwował przez lunetę schody przed świątynią. - Reszta w rękach generała. Postarajcie się, żeby miał dokąd wracać.

Obaj karabinierzy przyklękli i przeładowali broń.

- Co teraz będzie? - zapytał Pachzan. - Chcę wiedzieć, po czyjej jestem stronie.

Romozel złożył lunetę i spojrzał na niego poważnie.

- Jesteś po stronie zjednoczonej armii Enagoru i Sinevaru. To Armia Przemian, która zaprowadzi pokój w obu krajach i nie dopuści do wojny odwetowej.

Zostawili socjologa i zbiegli na poziom blanków. Usłyszeli świszczące im koło uszu kule, na kamiennej podłodze ujrzeli kilka ciał. Cofnęli się, zbiegli niżej. Pachzan wpadł niemal na muszkietera, wycelował i miał nacisnąć spust, gdy tamten krzyknął idiotyczne „Nie! To ja!”.

- Nie strzelaj! - powstrzymał przyjaciela Zaklis. - Jest od nas.
- To dlaczego masz muszkiet? - wykrzyknął Pachzan.
- Karabin sprzedałem... - wyjaśnił tamten.

Mundury poszczególnych pułków różniły się jedynie małymi naszywkami, więc żołnierze najłatwiej rozpoznawali się po broni.

- Wycofać wszystkich, którzy mają muszkiety, na tyły! - rozkazał Nerhus, podbiegając do nich. - Inaczej sami się powystrzelamy. Budujcie barykady w wylotach korytarzy i wyjściach na dziedziniec! - krzyknął do dwóch sierżantów.

- Musimy odciąć kwatery oficerskie i więzienie. Opuścić mury i zablokować drzwi do baszty! Wy dwaj! - Machnął do Pachzana i Zaklisa. - Na sam dół, do więzienia. Mogą chcieć odbić Demuna.

Pognali kilka poziomów niżej, mijając walczących, nieraz na mały dystans, żołnierzy. Brakowało niewiele, by walka szła na bagnety. Kule rykoszetowały od ścian, ktoś krzychał. Wszędzie śmierdziało prochem, potem i krwią. Jedyne, co ratowało karabinierów, to przewaga ich broni. Bezsens walk dotarł do nich, gdy wpadli do lochów. Pod ścianą leżały zwłoki z porannej egzekucji, obok rzucono zastrzelonych czterech żołnierzy armii w armii. Jeden z nich poruszył się. Jeszcze żył. Karabinierzy przypadli do niego, a Pachzan lekko uniósł mu głowę.

- Wyglądał na martwego... - wyszeptał tamten.

- Kto?

Żołnierz przełknął ślinę, mówienie przychodziło mu z trudem:

- Wstał, gdy nie patrzyliśmy... Otworzył drzwi... Wpadło tu dziesięciu... Uwolnili...

Więcej nie powiedział. Zamknął oczy i opadł bezwładnie. Pachzan położył go pod ścianą i rzucił się, by zablokować drzwi. Solidne stalowe sztaby były zasunięte, a ślady krwi na podłodze prowadziły wprost do zmarłego przed chwilą.

Sprawdzili cele. Były puste. Nie mieli tu nic więcej do roboty. Wrócili do zadymionych korytarzy, gdzie skończono już barykadować drzwi. Przez dym nie dało się dojrzeć, kto kogo pokonał. Wbiegli wyżej, gdzie stało przy oknach więcej karabinierów, i dopadli okien. Na środku dziedzińca kilkudziesięciu żołnierzy klęczało z rękoma na karkach, inni stali dookoła i celowali do nich z karabinów.

- Nie strzelać - polecił spokojnie Nerhus. - Wtedy oni zabiją naszych.

- Kto tu jest wrogiem? - zapytał jeden z karabinierów. - Mielśmy walczyć z Sinevarami.

Pułkownik nie odpowiedział.

* * *

- Ktoś zbliża się do bramy - zameldował muszkieter. Demun wyjrzał przez szczelinę strzelniczą.

- Czerwony płaszcz - zauważył. - Co to ma być?

- Za bunt podczas wojny jest tylko jedna kara - rozległo się nad dziedzińcem. - Nawet jeśli buntuje się większość załogi.

Pułkownik przebiegł przez salę do okien wychodzących na dziedziniec.

- To ty, Nerhus? Bunt przeciw czemu? Przeciw tobie?! Nie żartuj.

- Generał rozkazał czekać na jego powrót. - Tak, to był Nerhus. - A ty nie miałeś prawa opuszczać aresztu.

- Generał jest zdrajcą.

- Nie tobie to oceniać, kapralu. Zostałeś zdegradowany, nie pamiętasz?

- To generał - zameldował przyciszonym głosem muszkieter. - Generał idzie w stronę bramy. Ma czerwony płaszcz.

Demun wrócił do szczeliny. Generał był o dwieście kroków od bramy.

- Zastrzel go, zanim się odezwie - rozkazał pułkownik.

- Zacznie nas przekabacać na stronę zdrajców.

Veles spojrział na pułkownika z przestachem w oczach, ale ten nie wyglądał, jakby miał zamiar odwołać rozkaz. Chłopak z wahaniem przyklęknął przy szczelinie strzelniczej, wymierzył i nacisnął spust.

* * *

Huk wystrzału odbił się od zrujnowanych budynków wokół placu. Chmurka pyłu wzbitego uderzeniem pocisku rozplywała się w powietrzu dwa kroki obok generała. Nie drgnął ani nawet nie zwolnił kroku. Uniki przy takim dystansie były nieskuteczne i w dodatku wyglądałyby fatalnie. Zatrzymał się dziesięć kroków przed kamiennym oparciem mostu zwodzonego i uniósł wzrok.

Z otworów ocalałej części wieży bramnej wpatrywało się w niego kilkudziesięciu muszkieterów.

- Więc teraz mam zdobywać własną twierdzę... - mruknął do siebie.

Nie próbował uciekać. I tak mieli go jak na widelcu.

- Ten, kto strzelił, zostanie rozstrzelany bez - sądu - krzyknął w stronę wieży bramnej. - Jeśli komuś jeszcze przyjdzie do głowy oddać strzał, również pójdzie pod ścianę. Teraz opuście kładkę.

Na ruinach najwyższego poziomu pokazał się oficerski mundur. Tedrunel z przykrością rozpoznał Demuna.

- Poszedłeś negocjować, a wracasz na czele wrogiej armii! - krzyknął z góry Demun.

- Przyszedłem sam - odkrzyknął Tedrunel. - I rozkazuję ci natychmiast opuścić kładkę.

Z góry dobiegł go śmiech zdegradowanego pułkownika, a po chwili również kilkunastu muszkieterów. Wtedy zdał sobie sprawę, że faktycznie wygląda śmiesznie, stojąc tak bezbronny, grożąc i prosząc, by go wpuszczono do jego własnej twierdzy. Postąpił krok do przodu. Odpowiedzią było pięć strzałów, które tylko wzbudziły pył na drodze dookoła Tedrunela. Następny krok i znów wokół uderzyło w ziemię kilkanaście pocisków. Spudłowali, choć cel był o rzut kamieniem. Kolejny krok. I następny. Wokół rąbał o ziemię ołowiany grad. Kanonada umilkła, gdy przeładowywali broń. W tym czasie Tedrunel dotarł do skraju fosy, szerokiej na piętnaście stóp. Wody było mało. Zsunął się po trawiastej skarpie, zdjął płaszcz, zwinął i przerzucił na drugą stronę. Nie mógł się pozbyć reszty munduru, nie tracąc przy tym powagi. Zrobił kilka głębokich wdechów i wszedł do wody. Czuł, jakby wbijano mu w ciało setki rozpalonych igieł, ale zacisnął zęby i nie wydał z siebie ani jęku. Zaczął płynąć, mobilizując wszystkie siły, by nie dać się pociągnąć na dno żelastwu, które

miął przy sobie. Starczyło mu sił na połowę dystansu. Nabrał ostatni haust powietrza i zapadł w lodowatą toń. Jakże idiotyczną śmiercią tu zaraz zginę, pomyślał. Chciał odpiąć pas z szablą, ale w tym momencie poczuł pod nogami muliste dno. Wsparł się o nie i zaczął iść, wspinać się do światła. Krok za krokiem wrywał buty z mułu i parł przed siebie, do góry. Płuca paliły go żywym ogniem, czuł, że zaraz straci przytomność, ale jeszcze krok i głowa znalazła się ponad powierzchnią.

Z charkotem zaczerpnął powietrza, Zakrztusił się. Kaszląc, wyczołgał się na brzeg. Ociekał wodą i dygotał z zimna. Nie mógł czekać. Wstał, narzucił płaszcz czerwienią na wierzch i począł się wspinać na pryzmę gruzu, prowadzącą aż do zniszczonej części bramy-pomostu. Osunął się parę razy, skostniałe palce odmawiały posłuszeństwa. Resztką sił dotarł do wybitej pociskami dziury. Tam stali już Demun i piętnastu, może więcej, muszkietierów. Tedrunel ujrzał kilkanaście czarnych wylotów luf - na ten widok wstąpiły w niego nowe siły. Potykając się, zszedł z barykady na dziedziniec.

- Ognia! - krzyknął Demun.

Lufy drgnęły, ale nie padł ani jeden strzał. Generał patrzył pułkownikowi w oczy. Owinął się szczelniej płaszczem i szedł tym samym, wolnym krokiem wprost na niego.

- Strzelać, durnie! - wyszeptał Demun.

Muszkietierowie opuścili lufy. Pułkownik cofnął się o krok. Nabrał powietrza.

- To rozkaz! - ryknął. - Strzelać!

Już nikt nie zamierzał go słuchać. Karabinierzy wstawali z klęczek. Nie powstrzymywano ich. Generał był o trzy kroki od pułkownika. Chwycił szablę, wyszarpnął z pochwy i tym samym ruchem ściał Demunowi głowę. Ciało stało jeszcze chwilę, nogi ugięły się i martwy korpus pułkownika uderzył o bruk.

Generał uniósł wzrok na żołnierzy, zdusił dreszcze i walcząc ze szczękającymi od chłodu i emocji zębami, przemówił głośno:

- Zasady się zmieniły. Wróg nie jest już wrogiem. Nie poddajemy twierdzy, zawieramy rozejm i unie. Armia Czerwonych Płaszczy, Armia Przemian, zakończy tę wojnę, zapobiegając niszczeniu kraju, śmierci waszej i waszych bliskich. Winni tej wojny, zarówno Sinevarzy jak i Enagorzy, odpowiedzą za swoje czyny i ich skutki. Gdy ich ukarzymy, będziecie mogli wrócić do domów i zacząć normalne życie, nie obawiając się kolejnej bezsensownej wojny. - Zamilkł na chwilę, opanowując dreszcze. - Ci z was, którzy są mi posłuszni, niech odwrócą płaszcze na lewą stronę. Reszta stanie się jeńcami wojennymi.

Generał zakaszlał i przyklęknął zgarbiony. Trząsł się, a przemoczony od munduru płaszcz parował. Na dziedziniec wyszedł Nerhus. Podbiegł do generała, zdjął własny płaszcz i

nakrył nim dowódcę. W drzwiach kwater oficerskich pojawił się Rufus.

- Zagrzej wody w misce - polecił pułkownik. - Przebierz generała w suche ubrania, narzuć na niego kożuch i posadź z nogami w gorącej wodzie. Daj mu trzy kieliszki okowity albo lepiej zagrzej piwa. Jak miną dreszcze, zapakuj go pod grubą pierzynę.

- Odblokujcie bramę, żeby kołacze mogły wyjechać - powiedział jeszcze generał. - Do nikogo nie strzelać.

Adiutant odprowadził go do kwatery. Nerhus stanął na jego miejscu.

- Wszyscy odwrócić płaszcze na lewą stronę! - rozkazał.

- Sam sprytnie uniknąłeś decyzji - stwierdził szeptem Mores, pojawiając się znikąd obok. Jego karabinierzy zaczęli wychodzić z południowo-zachodniej baszty.

Nerhus spojrzał na niego nieprzychylnie. Schylił się i zdjął z ciała Demuna płaszcz.

- A ty sprytnie przeczekałeś burzę - odparł również szeptem.

- Lepsze to, niż strzelać do swoich.

Nerhus założył płaszcz, czerwienią na wierzch. Dopiero teraz żołnierze zaczęli przekładać swoje okrycia. Na ramionach zaświeciła czerwień.

- Ruszcie się wszyscy do odgruzowania bramy! - krzyknął Nerhus. - Ma być przejezdna przed wieczorem.

Nie było to łatwe zadanie, barykada została bowiem dodatkowo wzmocniona gruzem z dwóch najwyższych poziomów wieży bramnej, która właściwie przestała być wieżą.

Od południowo-wschodniej baszty rozległy się odgłosy odblokowywania przejścia. Tamarnd wyszedł pierwszy, za nim wysypali się muszkietrzy.

- Gdybyśmy nie zachowali neutralności, nie byłoby cię tu - powiedział Mores.

- Mogliście pomóc.

- Komu? - zapytał Tamarnd. - Czy ty sam wiesz, co należy teraz czynić?

- Jedno jest pewne - przyznał Nerhus. - O tym, co się wydarzyło w Medgrun dzisiejszego popołudnia, nie powinniśmy rozmawiać w przyszłości zbyt otwarcie. Dopilnujmy tu porządku, a potem chodźmy do generała na rozmowę.

* * *

Tedrunel leżał pod pierzyną z kuflem grzanego piwa w dłoniach. Nie trząsał się już i wyglądało na to, że przetrwał przeprawę bez zbytniego uszczerbku na zdrowiu. W pewnej odległości od łóżka siedział Romozel, obok drzwi stał Rufus, a sanitariuszka przygotowywała mieszankę ziół.

- Panowie, czuję się idiotycznie w tym położeniu - wyznał generał.

- Lepiej czuć się idiotycznie, niż dostać zapalenia płuc - oznajmiła mądrze dziewczyna. - Niech pije to zamiast piwa.

Tedrunel spojrzał z niesmakiem na zawartość kubka. Wypił duszkiem, skrzywił się i popił piwem. Na twarzy pojawiły mu się rumieńce. Gdy sanitariuszka wyszła, dodał:

- Mając na myśli położenie, nie mówiłem jedynie o łożu.

Poszedłem negocjować z wrogiem. - Pułkownicy patrzyli na niego w milczeniu. - Zrobiłem to, by nas ratować. Enagor, nie naszą garstkę w tych murach. Domyślam się, jakie jest wasze zdanie na ten temat.

Zapadło milczenie, zupełnie nie w stylu narady wojskowej.

- Jesteśmy tu, bo nie wiemy, co myśleć - wyznał Mores.

- Jasne wcześniej wartości wywróciły się do góry nogami. Oczekujemy wyjaśnień, generale.

Tedrunel powiódł wzrokiem po ich twarzach. Zacisnął usta, zrzucił pierzynę i wstał w samej bieliźnie. Z pomocą Rufusa założył mundur. Wyglądał tak, jak generał Enagoru wyglądać powinien, jedynie błądliwość twarzy świadczyła o dramatycznych przejściach. Staął, opierając się o stół.

- Domyślam się, jak to wygląda w waszych oczach - przyznał. - Uważam jednak, że lepszego wyjścia nie było. Nie proszę was jednak o moralną ocenę mojego postępowania, tylko o zapewnienie o lojalności.

Podszedł do okna. Żołnierze stworzyli sprawny system przerzucania gruzu na tyły dziedzińca. Podczas prostej pracy fizycznej ucichły konflikty. Sinevarzy nie dawali znaku życia.

- Wierność wobec króla nie jest tym samym, czym wierność wobec królestwa - odezwał się Romozel.

- Zdradziłem króla, ale nie królestwo - przyznał generał. - Zanim uczynię następny krok, chcę wiedzieć... wszyscy chcemy wiedzieć, jak dokładnie wygląda plan.

Romozel powiódł wzrokiem po zebranych, niezbyt rad, że nie rozmawia z generałem w cztery oczy. Zacerpnął powietrza i rozpoczął przemowę:

- Ta wojna to szaleństwo. I to szaleństwo z obu stron. Wydawało się, że odsunięcie od władzy króla położy kres przemocy. Jednak parlament i kanclerz Kelgorn nie zadowolili się przejęciem władzy, uznając, że strategiczne cele Sinevaru nie uległy zmianie. A głównym z tych celów jest od zawsze przejęcie kontroli nad żyznymi ziemiami, na których teraz utknęliśmy. Jak może wiecie, dolina jest dostatecznie duża, żeby wyżywić wszystkich.

Najprościej byłoby więc wytyczyć granicę na rzece Narot, dzielącej dolinę Medgrun mniej więcej na pół, a po obu stronach i tak zostałyby wiele ugorów. Przyczyną wojny nie jest więc ekonomia, tylko nasza ludzka natura. Działa w bardzo prosty sposób: boimy się, że Sinevarzy nas zaatakują, więc rozważamy atak uprzedzający. Oni również obawiają się, że zaatakujemy, i słusznie się obawiają, więc również myślą o ataku z zaskoczenia. Oczywiście ten, kto zaatakuje pierwszy, będzie miał na starcie lepszą pozycję. Żadne traktaty z dziesiątkami pieczęci tego nie zmieniają. Sinevar i Enagor trwają w układzie, którego jedynym stabilnym stanem jest wojna. Znać tę zasadę, bo uczą o niej na pierwszym roku Akademii Wojskowej, ale i bez mądrych nauk zna ją każde dziecko. Zna ją nawet każdy pies, wyżerając z miski więcej, niż potrzebuje, żeby inny pies nie skorzystał. Mamy zwierzęcą naturę, która bierze górę nad naszym rozumem i cywilizacją.

- Czy ma tu powstać strefa buforowa, zapewniająca pokój? - zapytał Nerhus. - Małe państwo, bogacące się na produkcji żywności i handlu między Enagorem a Sinevarem?

Romozel pokręcił głową.

- Plan polega na zjednoczeniu Sinevaru i Enagoru, a następnie umieszczeniu stolicy zjednoczonej republiki tu, w Medgrun. To jedyny sposób, by nie było się o co bić. Powstanie państwo tak potężne i bogate, że nikt nie zdoła mu zagrozić.

- Powiedziałeś „republika”? - parsknął Mores.

- Chcesz więc obalić króla!

- Nie powinniśmy tego nawet słuchać - zgodził się ponury od początku Tamarnd.

- Łatwo jest ocenić szaleństwo, kiedy przedmiot oceny rzuca się po podłodze z pianą na ustach - odparł szybko socjolog. - Trudniej, kiedy jego szaleństwo jest, rzekłbym, wyrafinowane i objawia się w szalonych decyzjach strategicznych. W ciągu zaledwie kilku miesięcy straciliśmy prawie pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a wraz z nimi przewagę militarną. To wyglądało prawie jak sabotaż. Przyznacie, że wojna od samego początku była prowadzona wyjątkowo nieudolnie. Tak, jak obalono Mechelona I, tak my musimy obalić Mechelona III. To nasz obowiązek wobec Enagoru. Król nie może dłużej rządzić.

- Doszliśmy więc do takiego etapu rozprężenia morale, i to na poziomie oficerskim, że zupełnie jawnie rozmawiamy o obaleniu króla! - wykrzyknął Mores. - Dwa dni temu bym w taką możliwość zwyczajnie nie uwierzył.

- Jak sądzisz, ile dni utrzymalibyśmy twierdzę? - zapytał Tedrunel. - Realnie.

Pułkownik zastanowił się chwilę.

- W dwa dni stracilibyśmy połowę załogi - przyznał.

- Przy takiej intensywności ataku jak wczoraj utrzymalibyśmy Medgrun może trzy, cztery

dni.

- Kapitulacja odbyłaby się na kupie gruzów - dodał generał. - Zmuszenie prawie czterech tysięcy żołnierzy do oddania pola i stłoczenia się tu było wielkim błędem, przyznacie to chyba?

Mores i Tamarnd niechętnie skinęli głowami.

- Załoga twierdzy Medgrun powinna wynosić mniej niż tysiąc ludzi - ciągnął generał. - Pozostałe trzy tysiące z kawałkiem to żołnierze, którzy nie mogą walczyć, ale giną i tak, bo kule nie wybierają.

- Chodziło o zatrzymanie marszu wrogiej armii na Miduhr - przypomniał Tamarnd.

- Zatrzymalibyśmy ich na tydzień, tracąc przy tym cztery pułki żołnierzy. Ta wojna to było pasmo klęsk. Myślałem, że książę generał Armunach Saran wykorzysta śmierć większej części generalicji do zmiany strategii. Zmiana nastąpiła, ale na gorsze. Trwanie przy tej polityce doprowadzi do klęski Enagoru, to chyba dla was jasne?

Nie przytaknęli, ale i nie zaprzeczyli.

- Być może część z was uważa, że to niewybaczalne.

- Popatrzyl po twarzach pułkowników. - Żołnierz winien oddać życie w obronie słusznej sprawy, ceni bowiem honor ponad życie. Może winien poświęcić więcej? Czasem, dla wyższego dobra musi poświęcić to, co ma najcenniejszego - honor właśnie. Rozejm i unia to jedyny sposób, by Sinevarze nie parli dalej w głąb naszych ziem. To sposób, by nie ginęli nasi rodacy, by Enagor nie popadł w ruinę. Każcie żołnierzom ustawić się do apelu. Przemówię do nich.

Mores i Tamarnd popatrzyli na siebie, wstali i odwrócili płaszcze na lewą stronę. Tedrunel skinął głową.

- Jak najszybciej ruszamy na Miduhr - powiedział.

- Oblężenia pałacu nie będzie. Z taką przewagą po prostu do niego wejdziemy. W przyspalonych koszarach stacjonuje trzystu muszkieterów i koło dwustu gwardzistów, którzy nie mają nawet broni palnej. Drugi stołeczny pułk kawalerii możemy pominąć, bo w całości został skierowany pod Hamelon. Te informacje sprzed dwóch tygodni, więc szpiegdy będą musieli je zaktualizować. Największy problem, to jak, zamiast zdobywać pałac, przekonać załogę, by przeszła na naszą stronę. - Spojrzał na Romozela. - Masz o czym myśleć, socjologu. Wymyśl, jak te wszystkie mądrości przetłumaczyć społeczeństwu Enagoru.

* * *

Karabinierzy i muszkietierowie pracowali ramię w ramię po obu stronach gruzowiska. Pod nadzorem sierżantów układali gruz pod ścianami, tak by zostawić przejazd trzem ocalałym kołaczom. Mimo powierzchownych wgnieceń pancerza, maszyny wydawały się nieuszkodzone.

Po kwadransie pracy Pachzan spływał potem, choć było dość chłodno. Wyprostował na chwilę obolałe plecy i rozejrzał się. Wszędzie w zasięgu wzroku wrzała praca - to było lepsze niż walka z niewidzialnym przeciwnikiem. Nagle wydało mu się, że w dole mignęła znajoma twarz, ale gdy spojrzał tam ponownie, zobaczył tylko oddalający się czerwony płaszcz. Wrócił więc do pracy. Obok, dwóch muszkietierów przyciszonymi głosami prowadziło dyskusję:

- Próbowałem go trafić.
 - Ja też. Uciszyć się lepiej.
 - Miałem go idealnie na muszce. Nie mam pojęcia, dlaczego spudłowałem.
 - Wszyscy spudłowaliśmy. Teraz się nie przyznawaj. Zapomnij, że strzelałeś.
- Ucichli, gdy pojawił się sierżant z rozkazem ustawienia się w szeregach.

* * *

Nerhus wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Tedrunelowi. Ten jednak uniósł dłoń w geście odmowy.

- Trzymaj. Na wszelki wypadek. Nasza droga do celu jeszcze daleka. A oprócz wielkiego celu, każdy z nas ma kilka mniejszych.

Pułkownik popatrzył na napis na kopercie.

- Czy to jest imię tego mniejszego celu? - zapytał.

Generał przytaknął.

- Jeśli nam się uda, już wkrótce Enagor będzie zupełnie innym miejscem. Wtedy mój mały cel stanie się moim wielkim szczęściem.

Podszedł do otwartego okna, oparł się o parapet i zwrócił się do stojących w dole żołnierzy:

- Zapewne zastanawiacie się, co dziś zaszło - zaczął donośnym głosem. - Nie jesteśmy już żołnierzami armii Mechelona III, tylko Armii Przemian, która jest posłuszna Tymczasowemu Komitetowi Pokojowemu. Wykroczenia, których dopuściliście się w obrębie tych murów, niniejszym zostają wymazane z pamięci. Wasze pochodzenie społeczne straciło znaczenie. Nie jest też istotne, w jaki sposób zostaliście wcieleni do armii. Wszyscy dostaną

zapłatę za swoją służbę. Za pół godziny na placu przed główną bramą rozpocznie się uczta, podczas której poznaacie swoich dotychczasowych wrogów, a przyszłych przyjaciół. To żołnierze Sinevaru, którzy teraz już są żołnierzami Armii Przemian. Jesteśmy po tej samej stronie co oni. Wrogami są ci, którzy wywołali tę wojnę. Jutro rano wspólnie wyruszymy do Miduhr, by zniszczyć resztki maszyny administracyjnej, która wysłała nas na śmierć. To samo wydarzy się w Fongard. Winni tej wojny po obu stronach rzeki Narot zostaną osądzeni i ukarani. Gdy sprawiedliwość się dokona, dostaniecie odpawę, wróćcie do swoich domów i zapomnicie o wojnie. Teraz wynieście ławy, beczki piwa i jadło. Dziś wieczorem jest czas zabawy!

Żołnierze zaczęli wiwatować i przekrzykiwać się z radości. Nie wszyscy cieszyli się równie mocno, ale nie było nikogo, kto miałby jeszcze płaszcz w innym kolorze niż czerwony.

Sygnalista ze szczytu północno-wschodniej baszty zaczął nadawać komunikat.

* * *

Zeszli do piwnicy ukrytej poniżej poziomu więzienia. W wąskim przedsionku siedziało dwóch żołnierzy armii w armii. Nie odwrócili płaszczy, choć karnie wstali i zaszalutowali generałowi. Tedrunel otworzył drzwi, przepuścił Romozela przodem i starannie zamknął zasuwkę. Pod ścianą ciasnego pokoiku stało radio, a jego lampy były jedynym źródłem światła. Operator, rachityczny człowieczek, zdawał się nie przejmować kompletnie niczym, co działo się poza jego norą. Nie zdziwiła go nawet obecność cywila w najtajniejszym pomieszczeniu twierdzy.

Romozel wyciągnął ze swojej torby drewniane pudełko. Postawił je na ramie radia i otworzył. Wewnątrz w otulinie z lnianego płótna leżały dwa aluminiowe cylindry wielkości pięści dorosłego mężczyzny, każdy z parą pręcików wystających z jednego denka.

- To kondensatory - wyjaśnił przyciszonym głosem. - Dają się wetknąć w gniazdo wewnątrz radia. - Wskazał identyczny cylinder wewnątrz urządzenia. - Jedno radio jest w pałacu, drugie tu, a trzecie w Hamelon. Jeśli operator z pałacu chce rozmawiać z nami, wkłada kondensator numer jeden, jeśli z Hamelon, wyjmuje poprzedni i wkłada w jego miejsce kondensator numer dwa. My możemy rozmawiać jedynie z Miduhr, a przynajmniej tak było do tej pory. Dzięki wymianie tego małego cylindra będziemy mogli porozmawiać również z Hamelon.

- Do czego więc służy ten trzeci?

- Trzeci służy nam do oszukania operatora z pałacu, żeby myślał, że rozmawia z Hamelon. Tymczasem będzie rozmawiał z nami. Mój zaufany człowiek w pałacu podmienił jeden z kondensatorów, więc połączenie Miduhr-Hamelon nie jest już możliwe.

- Trochę to skomplikowane.

- Tylko w teorii. Będziemy prowadzić trzy rodzaje rozmów. Te ze sztabem w pałacu będą uspokajające, żeby myśleli, że Sinevarzy bezskutecznie dobijają się do naszej bramy. Drugi rodzaj rozmów będziemy prowadzić ze sztabem, podszywając się pod dowództwo twierdzy Hamelon - tu treść będzie podobna. W trzecim wypadku będziemy udawać sztab i zmuszać osiem tysięcy żołnierzy do pozostania wewnątrz murów Hamelon. Przed nimi trzeba będzie dodatkowo odegrać finezyjne przedstawienie postępującego szaleństwa króla. W tej wersji król w końcu abdykuje, przekazując władzę w ręce Tymczasowego Komitetu Pokojowego. Zorientują się w przekręcie, to pewne, ale zorientują się, jak już będzie za późno. Pamiętaj, że w Hamelon przyjmują rozkazy od Armunacha, ale zwykli żołnierze sądzą, że to ty jesteś głównodowodzącym.

Tedrunel popatrzył bez entuzjazmu na socjologa, po czym zwrócił się do biernie oczekującego na polecenia operatora radia:

- Nadaj komunikat, że atak odparty i w pełni panuję nad sytuacją.

XXVIII

- Odciał nam dostęp do wszystkich danych z próbników - powiedział Hood, gdy Jayde pojawiła się w pokoju relaksacyjnym. Pukał w ekran książnika. Wstał i chwilę nerwowo klikał w otwieraną konsolę na ścianie. Zamknął ją ze złością.

- Teraz możemy tylko siedzieć i sprawdzać, czy nie zapala się kontrolka zapchanego kibla... - Przysunął twarz do terrarium. Struktura korytarzy wypełniała już większą część żelowego świata. Terytoria nakładały się na siebie i patrolujący tunele wrogowie mijali się w odległości centymetra. - Lewa kolonia ostatnio radzi sobie lepiej. Wpuszcili kilku szpiegów do korytarzy wroga. Nie wiem, jak to możliwe, że nie zostali od razu wykryci. Może natarli się zapachem prawych? Zabito ich, dopiero gdy zbliżyli się do królowej. W odwecie prawi zajęli lewym kilka korytarzy. Z naszego punktu widzenia to bez sensu. Cokolwiek by tam w środku zrobili, i tak kiedyś skończy się im żel. Żołnierze pożerają go w sporych ilościach.

Przerwał i spojrzał uważnie na dziewczynę. Siedziała na sofie. Dłonie położyła na złączonych kolanach i wbiła wzrok w podłogę.

- Stuart nie żyje - powiedziała cicho.

Hood chciał objąć dziewczynę, pocieszyć. Usiadł tylko obok.

- To było nieuniknione - odparł. - Przynajmniej się już nie męczy.

- Tuż przed śmiercią na chwilę odzyskał przytomność.

- Niemożliwe...

- Widziałam zapis. Wyszeptał coś. Przesłuchiwałam nagranie kilka razy, ale nie mogę zrozumieć słów.

- To teraz zastanówmy się, jak nie podzielić jego losu.

Jayde przeniosła wzrok na ekran książnika Hooda. Patrzyła obojętnie na martwe mrówki.

- Może zdechły z zimna? - powiedziała w końcu.

- One są nawet więcej niż martwe. Zobacz. To same pancerzyki, zawartość wyciekła.

Rozpłynęły się, a raczej coś je rozpuściło. Widziałaś kiedyś zdechłą mrówkę? Mrówki po prostu wysychają.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Wyszli na korytarz. W izolatce szalały płomienie, spopielając materac, żaluzje i wszelkie palne przedmioty. Na ścianach i oknie pojawiał się słaby nalot. Gdy termometr wskazał dwieście pięćdziesiąt stopni, płomienie zgasły, ukazując zwęglone szczątki leżące na resztkach łóżka.

- Co my tu robimy? - Hood objął dziewczynę ramieniem. - Tu, nad Ruthar Larcke. Jemy i czekamy. Równie dobrze mogli przysłać sondę bezzałogową.

Jayde delikatnie wyswobodziła się z jego objęć. Przetarła rękawem wilgotne oczy. Stali długo, ponuro patrząc na opadający popiół i wyciągany wentylacją dym.

XXIX

Świtało. Zapasy przyniesione ze spichlerzy miejskich starczyły do późna w nocy, kiedy to wreszcie wzajemna nieufność ustąpiła miejsca pijackim przyjaźniom. Parę bójek nie zdołało zepsuć zabawy, a nawet okazały się pewnym urozmaicheniem. Zabawa zakończyła się rozkazem powrotu do kwater, by dobrze wypocząć przed wyprawą.

Pobudka po takiej nocy nie należała do przyjemności. Żołnierze z trudem pokonywali senność i ból głowy. Sterowniczy uruchomili trzy kołacze i pobieżnie załatanym pomostem wyprowadzili je na plac, z którego uprzątnięto już niemal wszystkie ślady po zabawie. Z bocznej ulicy wytoczyły się cztery żółwie, które również miały jechać do Miduhr. Enagorzy wyglądali na zadowolonych, że nie muszą z nimi walczyć. Pojazdy pluły dymem z kominów i z łoskotem obitych grubą blachą kół zatrzymały się obok kołaczy. Były znacznie mniejsze. Mimo osadzenia kół na resorach piórowych, ustępowały kołaczom sprawnością w pokonywaniu przeszkód terenowych. Za to z pewnością trudniej było je trafić.

Nerhus podszedł do pierwszego żółwia i dotknął dłonią burty. Pokiwał z uznaniem głową. Konstrukcja była drewniana, ale usztywniona stalowym obramowaniem z potężnych kątowników. Pochyły ryj maszyny w całości był obity blachą. Sterowniczy obserwował drogę przez wąski wizjer zabezpieczony żaluzją z grubej stali. Pojazd był wysokości potężnego mężczyzny, za to dwa razy szerszy i trzy razy dłuższy. Potężne działo, unoszone mechanizmem korbowym, posiadało sprężynowy amortyzator odrzutu. Ta jedna armata dawała z pewnością większą siłę ognia niż wszystkie działa kołacza razem wzięte.

Na zaproszenie dowódcy pierwszego żółwia Nerhus wszedł do środka przez stalowe drzwiczki w burcie maszyny. Ciasno, nie można się było nawet wyprostować. Jedynym oświetleniem były otwory wentylacyjne w burtach. Zapewne w nocy podwieszano tu jakąś lampę.

- Uwaga na głowę - ostrzegł dowódca. Był zabawnym, korpulentnym mężczyzną

średniego wzrostu, który bardziej przypominał właściciela karczmy niż dowódcę pojazdu wojennego. Być może był karczmarzem wcielonym do armii siłą. Nerhus wołał nie pytać. - Zwykle, jak już musimy, poruszamy się wewnątrz na czworakach. Podczas bitwy każdy ma swoje miejsce. Tam siedzi sterowniczy. - Dowódca wskazał drobnego człowieka w fotelu z prawej strony. Przed nim znajdowało się kilka rur z zaworami, jakieś zegary, cięgła, dźwignie. Nie sposób się było zorientować, co do czego służy. - To ogniomistrz. - Mężczyzna siedzący ze skrzyżowanymi nogami na grubej, wypchanej sianem poduszce skinął głową. Miał w zasięgu rąk trzy korby do zmiany położenia lufy i skomplikowany zamek otwierany z boku. - Celuje i odpala. Ten mały obok - wskazał może piętnastoletniego chłopaka opierającego się o skrzynie amunicyjne - podaje naboje. Są łuskowe, więc oddajemy jeden strzał na minutę. Ja siedzę tu. - Poklepał fotel w środkowej części pojazdu, przed którym zwisała z sufitu stalowa rura zakończona okularami. - Peryskop. Genialna sprawa. Widzę wszystko, a mnie nie widać.

- To cała załoga? - zapytał pułkownik. Nie potrafił zapomnieć, że oni dwa dni temu strzelali do jego żołnierzy. Na czworakach ruszył do wyjścia. - Kto dorzuca do ognia?

- Nikt. Maszyna jest opalana naftą. Sterowniczy przekręca zawór i płomień rośnie.

- Mistrz Lott z chęcią by się przyjrzał tej konstrukcji.

- Nerhus z ulgą opuścił duszne wnętrze. - Konstruuje podobne maszyny. - Wskazał kołacz.

- Niezłą panikę wywołały na początku.

- Zdaje się, że to samo zadanie będą musiały wykonać w Miduhr.

* * *

- Jak mówiłem, byliśmy kiedyś jednym narodem. - Romozel wyglądał przez okno na krzątających się na dziedzińcu żołnierzy. W czerwonych płaszczach zlewali się w jedną masę, nawet kapelusze mieli identyczne, a Sinevarów można było rozpoznać jedynie po złotych spodniach i koszulach. Z powodu zimna wszyscy starali się okryć tymi płaszczami jak najdokładniej.

Odwrócił się i napotkał ponure spojrzenie Tedrunela. Nie, nie patrzył na socjologa. Patrzył poprzez niego.

- Nie bądź taki posępny, generale. Zerknij na nich.

- Wskazał ręką za okno. - W większości to jeszcze chłopcy. Gdyby nie ty, do końca dnia połowa z nich by nie żyła. Teraz, zamiast się bić, pracują w zgodzie. Czyż to nie

wystarczające podbudowanie?

General nie odpowiedział. Trwał jeszcze chwilę w swym zamyśleniu, a potem podszedł do stołu, przy którym siedzieli nad mapą trzej pułkownicy. Przyjrzał się mapie i oznajmił:

- Mores i jego ludzie zostaną tu jako załoga twierdzy. Ponieśli najcięższe straty w ostatnich tygodniach. Tamarnd przejmie połowę ludzi Demuna i razem z Nerhusem oraz pułkiem Sinevarów wyruszy niezwłocznie w kierunku Miduhr. Nerhus dowodzi. Po drodze dołączy do was kompania kawalerii kapitana Haszera, stacjonująca dzień drogi stąd.

- Wskazał punkt na mapie. - Przekonacie ich do przejścia na naszą stronę. Jeśli się nie uda, weźmiecie ich w niewolę. Po drodze napotkacie jeszcze dwie stacje i posterunek przy rogatkach. Z nimi trzeba będzie postąpić identycznie. Dowiedcie się, o jakich porach wysyłają meldunki, i dopilnujcie, by zostały wysłane z informacją, że niewielki oddział niedobitków, który nie przedarł się do Medgrun, wraca do Miduhr w celu wzmocnienia tamtejszego garnizonu. To sprawi, że wojsko na przedmieściach stolicy nikogo nie zdziwi. Marsz zajmie wam co najmniej pięć dni. Zostanie dzień na odpoczynek. Ja z resztą ludzi Demuna w kołaczach, z żółwiami i kawalerią sinevarską dogonię was czwartego dnia wieczorem dwadzieścia mil od przedmieść Miduhr, gdzie kończą się gęste lasy. Teren jest pagórkowaty i zapewnia dobrą osłonę przed wzrokiem ciekawskich. Patrolujcie okolicę, liczymy na zaskoczenie, więc nikt nie może donieść o naszej obecności. Odbędziemy naradę i wyruszymy o północy, żeby o świcie wejść do miasta. Gdybym się spóźnił - nie zbliżajcie się do Miduhr, tylko czekajcie. Jeśli szczęście nam dopisze, pałac będzie już w rękach Komitetu - mam nadzieję, że uda się to zrobić bez jednego wystrzału. Jeśli konieczny będzie szturm, z naszą przewagą nie powinno to być trudne. Lepiej jednak tego uniknąć. W obu przypadkach zostanie nam do opanowania miasto wraz z kilkunastoma posterunkami na rogatkach. Nie sposób przewidzieć, jak się zachowają.

* * *

Przygotowania do wymarszu ukończono w dwie godziny. Nerhus bez zwłoki ustawił ich w kolumnę marszową i oznajmił podniesionym głosem:

- Jeśli ktoś czegoś zapomniał, niech teraz wysili pamięć, bo wrócić nie będzie jak.

Odczekał chwilę, po czym zarządził wymarsz. Tym razem, zapewne z powodu obserwujących ich Sinevarów, udało się nie zgubić rytmu aż do szybko zarządzonego „Spocznij”.

- Wiem, jak będą wyglądały moje nogi pod koniec tej wędrówki - stwierdził Zaklis.

- Nie narzekaj - odparł Pachzan. - Teraz wreszcie będziemy walczyli o swoje. Jak dobrze pójdzie, za tydzień wrócimy do domów. Może jeszcze uda się uratować część plonów.

- Rozumiesz coś z tego, co się dzieje?

- Sądzę, że ludzie myślący jak my doszli do wniosku, że dość pomiatania nami. Grałeś kiedyś w szachy?

- Nie, ale wiem, o co w tym chodzi. Dwóch graczy przesuwają po planszy drewniane figurki.

- My jesteśmy tymi figurkami - wyjaśnił Pachzan. - Teraz białe i czarne połączyły się, zamieniły w czerwone, żeby zepsuć zabawę graczom.

Prawie pół godziny szli w milczeniu, z przykrą świadomością jak długa droga przed nimi.

- Zdawało mi się, że widziałem Velesa - odezwał się Pachzan. - Wczoraj, podczas odgruzowywania bramy.

Zaklis pokręcił głową.

- Obaj widzieliśmy, jak go rozstrzelują.

- Widzieliśmy jedynie, jak upada.

Długi marsz w kolumnie, monotonny, męczący. Buty robiły się coraz ciasniejsze, a karabin coraz cięższy. Pachzan cieszył się na myśl o spotkaniu Tanur i ogromnie żałował, że nie może podzielić się tą radością z przyjacielem.

Postój zarządzono w południe, akurat gdy do bólu obtartych stóp dołączył ból nadwężonych mięśni. Dowódcy zabronili rozpalania ognisk - dym byłby bowiem doskonałym sygnałem, że oto przemieszcza się wielki oddział wojska. Do jedzenia pozostały więc suchary i suszone mięso.

Nie minęła godzina, gdy ruszyli dalej. Tym razem wędrowali, aż słońce prawie oparło swą tarczę na pagórkowatym horyzoncie.

- Z rozpalaniem ognisk poczekać do zmierzchu - polecił Nerhus, a sierżanci pobiegli przekazać rozkaz dalej. Jeden odszukał Pachzana i Zaklisa i sprowadził ich do dowódcy, półleżącego, z grymasem bólu na twarzy. Przysiedli obok.

- Nie dam rady dalej iść - ze zboląłą miną powiedział pułkownik. - Czułem, że jeszcze pięć minut, kwadrans i upadnę. Uszkodzone kolano odmówiłoby posłuszeństwa. To miałoby fatalny skutek dla morale naszej małej armii.

- Wszyscy musimy wytrzymać jeszcze kilka dni - powiedział Pachzan. - Potem wrócimy do domów i wszystko będzie jak dawniej.

Nerhus pokręcił głową.

- Ja nie wrócę. Dla mnie domem jest armia. Ale masz rację: musimy wytrzymać jeszcze

parę dni.

- Co mamy zrobić, dowódco?

Pułkownik poprawił się na posłaniu, skrzywił z bólu.

- Umiecie jeździć konno?

Przytaknęli.

- Dwa wzgórza dzielą nas od niewielkiej stacji chroniącej trakt... - Zaciśnął usta i podłożył pod nogę zwinięty w wałek koc. - Mieliliśmy tam dotrzeć dziś. Weźcie to. - Z podręcznej torby wyjął pudełko z podróжным zestawem piśmienniczym. Na arkuszu papieru pospieszenie napisał krótki rozkaz. Złożył papier, zapalką przypalił lak, nakapał na złączenie, formując pieczęć, i odcisnął sygnet. - To powinno wystarczyć.

- Rozumiem... - przytaknął szybko Pachzan. - Przyprowadzimy ci konia.

- Więcej koni. Będą potrzebne również dla Tamarnda i pozostałych pułkowników. Inaczej się śmiertelnie obrażą. Sierżant Rassen poprowadzi za wami niewielki oddział, który zaczeka w odwodzie. Zaatakują, jeśli wam się nie uda po dobroci.

- Jesteśmy szeregowcami... - zauważył Zaklis. - Mogą nam nie uwierzyć.

- Jesteście kapralami. To najniższy ze stopni armii w armii. Muszą was słuchać, jak pokażecie im ten dokument. O zachodzie wypuszczają gołębia z meldunkiem, więc zaczekajcie jeszcze kilka minut. Nie zdradzajcie żadnych szczegółów. Powiedzcie, że lekko ranny dowódca potrzebuje konia. Wiatr szczęśliwie wieje w przeciwną stronę, więc nie wyczują dymu z ognisk. Dowiedźcie się, jakie panują tam nastroje. O świcie złożymy im wizytę większą grupą. Przyjazną bądź wrogą. I odwróćcie płaszcze na brązową stronę.

- Czy z twoją nogą, pułkowniku, jest aż tak źle? - wtrącił Zaklis.

- Wbij sobie gwóźdź w kolano, to poczujesz się podobnie.

- Może wezwać lekarza?

- Nie mogę prowadzić armii, idąc o kulach ani, co gorsza, na noszach. A to właśnie z pewnością zaleci mi lekarz. Idźcie już.

Rassen zebrał blisko stu karabinierów, bynajmniej nie ochotników. Lekko podpierał się przy tym autorytetem Nerhusa. W efekcie dysponował silnym oddziałem.

- Z oficerami będzie problem, bo to elitarna jednostka i są nie byle kim - powiedział sierżant. - W razie czego wkroczymy i ich aresztujemy. Nie dawajcie nam żadnych znaków. Będziemy obserwować.

Ustalanie planu trwało kilka minut. Dopiero kiedy ruszyli, Pachzan i Zaklis poczuli, że się boją.

Marsz zajął im pół godziny.

Stanica wznosiła się na wzgórzu po wewnętrznej stronie zakrętu traktu, co pozwalało na doskonałą kontrolę. Składała się z dwóch drewnianych budynków połączonych palisadą. W zewnętrznych ścianach okna były małe, umiejscowione pod samym dachem. Nad bramą przerzucono zadaszony, osłonięty belkami pomost. Na tle nieba widzieli głowy i ramiona dwóch strażników przechadzających się po obu stronach bramy.

Czuli zapach pieczonego mięsa, co przypomniało obu karabinierom, że ominęła ich kolacja.

- Zastanawiam się, czy się nie wprosić na jedzenie - mruknął cicho Zaklis. Mimowolnie zwolnił.

- Pamiętaj, nie wahaj się - przypomniał mu Pachzan. Sobie zresztą też. - Idziemy do swoich, w jasnych celach.

Może nas zaproszą na kolację. Jeśli nie, zmyjemy się najszybciej, jak się da.

Eskortujący ich oddział już dawno zniknął w lesie, a wraz z nim odeszło poczucie bezpieczeństwa. Przyspieszyli kroku. Pilnowali, by iść środkiem drogi, z karabinami przewieszonymi swobodnie przez ramię, i nie zaskoczyć strażników. Tamci zresztą właśnie ich zauważyli, bo zatrzymali się i zawołali coś do swoich wewnątrz palisady. Przynajmniej nie sięgali po broń.

Karabinierzy skřęcili na podjazd do bramy i zatrzymali się dwadzieřcia kroków przed nią.

- Kapral Pachzan Ramach i kapral Zaklis Pamish z pierwszego pułku karabinierów - oznajmił Pachzan. - Przychodzimy z rozkazem od pułkownika Nerhusa Hersella. Wpuśćcie nas.

Niemal od razu otworzyła się mała furta w skrzydle drewnianej bramy. Przekroczyli ją bez zwłoki i znaleźli się na błotnistym, wysypanym trocinami dziedzińcu. Na środku płonęło małe, obramowane kamieniami ognisko. Dwóch kawalerzystów grzało sobie przy nim dłonie. Trzeci, wysoki, ten, który otworzył furte, przyglądał im się badawczo. Zasalutowali, odpowiedział tym samym.

- Potrzebujemy kilku koni - Pachzan wręczył mu list.

Żołnierz obejrzał go, odwrócił się i ruszył w kierunku jaśniejszego ciepłym światłem wejścia do budynku po prawej stronie. Ten z lewej, ciemny i niższy, był stajnią. Na tyłach znajdowały się jeszcze dwie szopy i ziemianka. Stanica nie była duża. Załoga liczyła nie więcej niż pięćdziesięciu ludzi.

Przezornie nie ruszali się, obserwowani jeszcze przez dwóch strażników z pomostu obiegającego palisadę od frontu. Ci przy ognisku stracili zainteresowanie przybyszami i

powrócili do przyciszonej rozmowy, przerywanej raz po raz chichotem. Ich mundury różniły się: mieli wyższe buty niż karabinierzy, szersze spodnie i skórzane kamizelki założone na koszule.

Wysoki pojawił się w drzwiach.

- Wejdźcie! - Machnął do nich ręką.

Pospiesznie wykonali polecenie. Sala była niska, obwieszona starymi elementami uzbrojenia, oświetlona kilkoma lampami naftowymi. Oficera, kapitana, poznali po naszywkach na stójce koszuli. Zasalutowali, na co tamten odpowiedział niestarannym gestem. Drapiąc się po krótkiej brodzie, przyglądał się treści listu i złamanej pieczęci. Za stołami, zestawionymi w literę „E”, siedziało kilku kawalerzystów. Zajęci rozmową, zerkali przelotnie na karabinierów. W kamiennym kominku buzował ogień. Na rożnie piekł się mały dzik. Pachzan poczuł napływającą do ust ślinę.

- Więc wysłał was pułkownik Nerhus - odezwał się wreszcie kapitan.

- Nie dostaliśmy się do Medgrun - odparł szybko Pachzan. - Teraz z ocalałą garstką żołnierzy wracamy do Miduhr.

Dowódca dał znak i do sali wpadło kilku kawalerzystów w czerwonych płaszczach. Obaj karabinierzy zostali złapani od tyłu za ręce i unieruchomieni.

- Ale... - próbował protestować Pachzan. Zaklis oniemiał i nie mógł wykrztusić słowa.

- Jesteście aresztowani - wyjaśnił kapitan. - Wykonujemy rozkazy Tymczasowego Komitetu Pokojowego.

* * *

Krótko po północy straż zaalarmował tętent dziesiątek kopyt. Grupa zatrzymała się przed granicą obozu. Jedyne sierżant Rassen i dwaj karabinierzy weszli do środka i pospieszyli złożyć meldunek pułkownikowi. Nie spał, zajęty dyskusją z Tamarndem i Katadem - pułkownikiem sinevarskim.

- Macie aż tyle koni? - zapytał.

Rassen zasalutował i zameldował:

- Mamy kilka, ale przede wszystkim mamy pięćdziesięcioosobowy oddział kawalerii.

- Czekali na nas w czerwonych płaszczach - dodał podniecony Pachzan. - Sami aresztowali swoich oficerów, z wyjątkiem trzech, którzy przewodzili przewrotowi. Nas też aresztowali. Ledwo ich przekonaliśmy.

- To niedobrze... - zasępił się pułkownik, a widząc zdziwienie podwładnych, wyjaśnił. -

To znaczy, że nasza sława nas wyprzedza. A jeśli tak, to spadają szanse na zaskoczenie obrońców pałacu.

Za nimi dotarł dowódca kawalerii.

- Kapitan Haszer, trzeci pułk kawalerii Miduhr. - Zasalutował. - Oddajemy się do twojej dyspozycji, pułkowniku.

- Wybacz, że nie wstanę, ale noga odmówiła mi posłuszeństwa - odparł Nerhus, wskazując mu, by usiadł. - To pułkownik Tamarnd i pułkownik Katad.

Po przywitaniu kapitan powiedział:

- Przepraszam za aresztowanie waszych ludzi. Przedstawili list od pułkownika Nerhusa, oddanego żołnierza króla Mechelona III.

- Nie wiedzieliśmy, kogo zastaniemy w stancy - wyjaśnił Nerhus. - Zareagowałeś prawidłowo i nie wspominajmy o tym więcej. Mam dla was zadanie na jutro. Nie wiemy, czy dowódcy wierni Mechelonowi patrolują przedmieścia, ale z pewnością natkniemy się na przypadkowych żołnierzy już wkrótce. Kapitanie, twoi ludzie mają największe doświadczenie i znają te tereny. Przygotuj trzy kilkunastoosobowe oddziały patrolowe. Niech sprawdzają trakt przed nami, a jeśli się da, to i las w pobliżu. Nikt, kto was zobaczy, nie może iść w kierunku stolicy. Nie będziemy nikogo aresztować, ale przetrzymamy, aż wyprzedzi ich cała kolumna. Z tyłu nie będą groźni.

Pachzan i Zaklis oddalili się dyskretnie, by wreszcie położyć się spać.

- Wszyscy przechodzą na naszą stronę. Jeszcze kilka dni i wrócimy do domów - mruknął Pachzan, gdy już leżeli z głowami opartymi na siodłach.

- Skąd czerpiesz taki optymizm? Pachzan uśmiechnął się.

- Poznałem dziewczynę, z którą chcę spędzić resztę życia - powiedział rozmarzonym głosem. - Jest wspaniała, absolutnie wspaniała. Ale nie pytaj o jej imię, bo nie mogę ci go jeszcze zdradzić.

* * *

Zgodnie z przewidywaniami, marsz trwał pięć dni. W dwóch kolejnych stanicach żołnierzom starczyła chwila rozmowy z Haszerem, by odwrócili płaszcze. Podobnie sytuacja miała się z kilkoma napotkanymi patrolami. Teraz na przedzie kolumny i w rozpoznaniu jechało prawie dwustu kawalerzystów. Mijali karczmy, umocnione nie gorzej niż stancje, a nawet wyrosłe przy trakcie małe, warowne niemal miasteczka - nie widzieli ich, gdy jechali w przeciwną stronę w brzuchach kołaczy. Teren wygładził się nieznacznie, ale piątego dnia po

południu znów pojawiły się pagórki - mniejsze, za to strome i usytuowane bliżej siebie. Trakt kluczył i przegryzał się przez nie, by oszczędzić podróżnym wspinaczki. Przed wieczorem zwiad doniósł o posterunku, który będą mijać za kolejnym zakrętem.

- Nie powinno go tam być - zdziwił się Nerhus. - Do rogatek jeszcze co najmniej dziesięć mil.

- Wygląda to na zaadaptowaną przydrożną chatę - przyznał Haszer, który przewodził zwiadowi.

Kolumna zatrzymała się.

- Weź dwudziestu ludzi - zdecydował Nerhus. - W tej odległości od Miduhr mały oddział nie wyda się podejrzany. Pojedziesz tam i zorientujesz się w sytuacji. Jeśli to będzie możliwe, nie wdawaj się w walkę. Nocą strzały niosą się daleko.

Pachzan i Zaklis, którym po udanej misji w stancy Nerhus polecił trzymać się blisko niego, przysłuchiwali się rozmowie. Uznanie pułkownika miało jeszcze ten plus, że jechali teraz konno, za co pewnie koledzy do reszty ich znienawidzili.

- Prosimy o pozwolenie dołączenia do oddziału - rzucił nagle Pachzan. Nawet Zaklis spojrzał na niego zaskoczony.

- Jeśli wyślą gońca do miasta, nie dogonimy go na zmęczonych koniach. Wtedy będziemy mogli wykorzystać to. - Poklepał karabin.

- Słusznie, kapralu - zgodził się Nerhus. - Jedźcie, ale z tyłu i nie rzucajcie się w oczy z tą bronią.

Posterunek ujrzeli po trzech minutach spokojnego kłusu. Drewniana chatka wcisnęła się w przydrożną leśną polankę. Może kiedyś był tu zakład kowalski, może małe schronisko, gdzie sprzedawano podróżnym wodę. Ponieważ chata przycupnęła na zboczu wzgórza, a nie na jego szczycie, przed nią, niemal przy samej drodze, wzniesiono niską ambonę obserwacyjną. Stojący na niej strażnik od razu zameldował o pojawieniu się żołnierzy.

Podjechali stępą do otaczającej chatę niskiej palisady, stanowiącej raczej ochronę przed ostrzałem niż poważną przeszkodę. Widać było, że wykonano ją niedawno; wokół wały się jeszcze świeże trociny. Zza otwartej bramy przyglądało im się sześciu żołnierzy, plus siódmy z ambony. Nie sięgali po broń, ale w resztkach przeświecającego przez las słońca widać było niepokój, gdy patrzyli na czerwone płaszcze. Pod daszkiem, obok szopy strzygły uszami dwa konie. Jeśli nikt nie wsiadł na nie do tej pory, było na to za późno.

- Kapitan Haszer, trzeci pułk kawalerii - przedstawił się kapitan. - Kto tu dowodzi?

Z grupy żołnierzy niechętnie wystąpił otyły mężczyzna koło pięćdziesiątki. Wyglądał na stróża nocnego i tak się zachowywał.

- Ja - powiedział niepewnie. - Sierżant Buszmie. Mamy rozkaz nikogo nie przepuszczać po zmroku.

- Nie zauważyłem, żebyście chcieli nas zatrzymać - rzucił z lekką ironią Haszer.

Nikt nie dotykał nawet broni, ale wyczuwało się napięcie. Pachzan pomyślał, że załogę stanowią poborowi, a dowódcą został pośpiesznie mianowany kapral. Bali się śmiertelnie, ale dlatego mogli stanowić jeszcze większe zagrożenie.

- Ale taki rozkaz. - Sierżant oblizał wargi. - Nie możecie dalej iść.

- Nie ugościcie nas przecież w tej chatynce. Jedzie za nami jeszcze paru przyjaciół. Gdzie mamy spać?

Buszmie przestąpił z nogi na nogę. Najwyraźniej na to pytanie nie był przygotowany.

- Komu jesteście wierni? - zapytał więc kapitan. - Komitetowi Pokojowemu czy upadającemu i szalonemu królowi?

Tamten spojrzał na swoich ludzi, jakby szukał w nich wsparcia.

- Musimy się naradzić - powiedział i cała szóstka szybko zniknęła za drzwiami chaty.

- Jak banda dzieci - zauważył szeptem Zaklis.

- Sami się tak zachowywaliśmy tydzień temu - przypomniał mu Pachzan.

Kapitan gestem nakazał jednemu z ludzi cofnąć się z wiadomością do reszty kolumny. Odjechał kłusem. W tym momencie drzwi chatki otworzyły się i wyszła z niej szóstka nowych żołnierzy Armii Przemian w czerwonych płaszczach. Z przyklejonymi do ust nieszczerymi uśmiechami stanęli w poprzednim miejscu. Widząc to, strażnik na ambonie zaczął się szamotać z własnym płaszczem.

- Oczywiście możecie jechać dalej - oznajmił ze sztucznym entuzjazmem sierżant.

- Zabierzcie broń i dołączcie do nas.

- My tu lepiej zostaniemy, tak dla pozorów.

Pachzan był pewien, że po ich odjeździe tamci ponownie odwróciliby płaszcze.

Kapitan nachylił się w siodle i powiedział wolno i wyraźnie:

- Zabieracie broń i dołączacie do nas.

- Widzę kolumnę wojska na trakcie! - wykrzyknął strażnik.

- To przyjaciele, o których wspominałem - wyjaśnił Haszer. - Są po naszej stronie.

- Chyba że tak. - Strażnik odetchnął z ulgą. - Mogierd! - Szturchnął stojącego obok szeregowca. - Idź do szopy po broń.

Czułość kawalerzystów została uśpiona, zresztą jeden człowiek nie mógł zagrozić kilkudziesięciu. Coś tu jednak było zdecydowanie nie tak. Pachzan zauważył to, ale nie potrafił powiedzieć, o co właściwie chodzi. Żołnierze wymieniali między sobą spojrzenia, a

unikali wzroku kawalerzystów. Coś knuli. Ten, który poszedł do szopy, zamknął za sobą drzwi, co było dziwne, jeśli chciał coś z niej przynieść. Po chwili przez szczeliny między deskami zaczęło prześwitywać światło lampy.

Pachzan kątem oka zobaczył ruch w górze. W wieczorne niebo wzbił się gołąb. Chłopak bez zastanowienia zeskoczył z konia, zdjął z ramienia karabin, przyklęknął i wycelował. Poświęcił ćwierć sekundy, by wycelować w miejsce, gdzie ptak znajdzie się, gdy doleci tam kula, i nacisnął spust. Kawalerzyści wokoło odruchowo schylili się w siodłach, wypatrując niebezpieczeństwa. Gołąb podskoczył, sypiąc wokoło piórami, i runął w dół jak kamień. Jeden z żołnierzy podjechał do leżącego ptaka i w klusie, bez zatrzymywania konia, nabił go na szablę. Wrócił, odczepił kapsułę z wiadomością i podał kapitanowi. Haszer rozwinął karteczkę i odczytał głośno nabazgraną pospiesznie wiadomość: „Czerwone Płaszcze. Dwa pułki idą na Miduhr”.

* * *

Przejechali jeszcze półtorej mili, nim znaleźli polanę rozległą na tyle, aby zmieścić całą armię Tedrunela. Jak co wieczór, żołnierze sprawnie rozłożyli obóz i po zmierzchu rozpalili ogniska.

Haszer pomógł Nerhusowi zsiąść z konia. Mimo kilku dni odpoczynku od marszu, pułkownikowi wciąż doskwierało kolano. Pachzan i Zaklis przygotowali mu siedzisko: ułożyli koce, a oparcie zrobili z siodła, i rozpalili ogień. Pozostali dowódcy mieli się pojawić wkrótce, gdy tylko przeprowadzą inspekcję swoich oddziałów.

- Jesteśmy prawie u celu - powiedział kapitan.

- Jesteśmy prawie u celu - przyznał ponuro pułkownik - ale problemy dopiero się zaczną. Mielśmy próbkę godzinę temu.

- Cudem uniknęliśmy katastrofy, dzięki tym dwóm dzielnym młodzieńcom. - Haszer wskazał Pachzana i Zaklisa.

- Nie musiałeś zarzynać załogi posterunku - powiedział Nerhus. - To byli siłą wcieleni do armii, zastraszeni parobkowie.

- Wybacz, że nie czekałem na ciebie. - Haszer skłonił głowę. - Bałem się, że spróbuję innego sposobu, by wszcząć alarm.

- Nie przesłuchaliśmy ich - dodał pułkownik, po czym spojrzał na dwóch karabinierów. - Przynieście chrustu. Zaraz zacznie przygasać.

Pachzan wiedział, że nie chodziło o ogień. Nerhus miał zamiar powiedzieć kapitanowi

coś nieprzyjemnego i chciał uczynić to w cztery oczy. Odeszli więc dalej w las i rozdzielili się, bliższa okolica obozu była już bowiem ogołocona z chrustu.

Gdy Pachzan uzbierał sporą wiązkę, zauważył, że ktoś idzie niemal wprost na niego - muszkietier bez broni i płaszcza. Znieruchomiał i zaczął czekać, aż tamten się zbliży. Gdy rozpoznał idącego, oniemiał.

- Veles?... - szepnął, nie wierząc własnym oczom.

Veles, bo to istotnie był on, zamarł również, ale tylko na moment. Potem wykrzywił usta w grymasie nienawiści i runął na Pachzana, obalając go na ziemię. Próbował go uderzyć pięścią w twarz, ale był zbyt powolny. Pachzan uchylił się, sparował kolejny cios. Chwilę tarzali się, bezskutecznie szarpiąc się i okładając pięściami. Wreszcie Pachzan zdołał zrzucić z siebie przeciwnika. Tamten wstał i próbował złapać go ponownie, ale zrezygnował w pół ruchu. Spuścił głowę i machnął ręką. Postąpił krok w tył. Pachzan skoczył i chwycił go za rękaw.

- Mów, jak się wywinąłeś!

- Za pieniądze da się kupić nawet życie.

- Przekupiłeś pluton egzekucyjny?!

- Zostaw mnie. Idę do domu.

Wyszarpnął rękę i odszedł. Pachzan patrzył, jak znika w ciemności. Nie miał pomysłu, co mógłby zrobić. Nie wiedział nawet, czy powinien cokolwiek robić. Stał tak, wiedząc już, że brak decyzji też jest decyzją. Wtedy zza drzew dobiegł go szum, w którym po chwili rozpoznał setki tratujących ziemię końskich kopyt. Podniósł zebrany chrust i biegiem wrócił do obozowiska. Na polanę wjeżdżała właśnie co najmniej dwuipółtysięczna jazda sinevarska. W świetle ognisk widział mrowie czerwonych płaszczy. Za konnicą w nocne niebo pluły dymem i parą kominy kołaczy i zółwi. Liczebności idącej dalej piechoty nie sposób było ustalić. Trzymane tylko przez niektórych pochodnie ginęły aż za szczytem odległego wzgórza. Na stolicę Enagoru ciągnęła potęga, której powstrzymanie wydawało się niemożliwe.

XXX

Przez ostatnie dni nie robili nic konstruktywnego. Jedli, spali, oglądali filmy. Nawet nie próbowali zbliżyć się do sterowni. Czarni pracowali intensywnie, analizując dane zebrane wcześniej przez sondę - oni mieli dostęp do wszystkiego. Hood i Jayde przemieszczali się między kabinami a pokojem relaksacyjnym. Posiłki zawsze brali na wynos, starając się nie wchodzić w drogę żołnierzom. Hood był coraz bardziej podenerwowany. Dziewczyna zachowywała stały dystans. Była miła, ale pilnowała się, by nie zbliżyć się do niego za bardzo, nie dotknąć, nawet teraz, gdy siedzieli obok siebie na sofie i oglądali film na wielkim ekranie.

- Musimy pogadać z kapitanem... - oświadczył niespodziewanie Hood. Zatrzymał film i wstał. - Ta beczyność jest nie do zniesienia.

- Nigdzie go nie ma - powiedziała Jayde. - Szukałam dziś rano.

Hood sięgnął do swojego książnika i wpisał polecenie. Pojawił się napis „wyszukiwanie w toku”.

- Zwykle zajmowało mu to ćwierć sekundy.

- Myślisz, że nie próbowałam?

- To bardzo pomysłowe... - mruknął Hood. - Nie odmawia współpracy ani nie pisze, że nie może znaleźć...

- Stuart nie żyje, a Thomsona też nie mogę znaleźć - przypomniała dziewczyna. - Nie widziałam ich od dwóch dni.

- Thomson przeszedł na dietę kanapkowo-kawową. Widziałem go przedwczoraj... może wcześniej, jak szedł z kanapką do swojej kajuty. Wymyka się do kuchni po północy, jak nikogo nie ma, i zamyka się w kabinie.

- Sprawdzalam. Ani on, ani Nordsletten nie odpowiadają na wezwania interkomem.

- Może mają wszystkiego dość? Nawet nas? Sprawdźmy jeszcze raz. Nie możemy tak

trwać w zawieszeniu.

Dziewczyna niechętnie wstała i podążyła za nim do mesy. Minął ich Hamilton z jednym z Czarnych i nawet na nich nie spojrzał. Zatrzymali się kawałek dalej, przed drzwiami ładowni służby. Dziewczyna, widząc to, podeszła do nich szybkim krokiem.

- Nie może pan otworzyć tych drzwi - powiedziała, blokując przejście i zasłaniając ręką panel sterowania. - Stuart się tam zaraził.

- Skoro nie może mi pani przeszkodzić - odparł spokojnie Hamilton - proszę się odsunąć.

- Pan nie rozumie! Po kilkudziesięciu godzinach człowiek ma taką gorączkę, że robi się słaby jak dziecko, a medlab chwilowo nie nadaje się do użycia.

Porucznik patrzył na nią beznamietnym wzrokiem. Odsunęła się. Wcisnął przycisk i drzwi z sykiem wsunęły się w ścianę. Sztuczny przeciąg zaczął zasysać powietrze z korytarza, poruszając włosami stojących. Jayde cofnęła się jeszcze kawałek. Hamilton spojrzał na nią i wszedł do ładowni.

- To jakiś koszmar! - wykrzyknęła do Hooda, gdy odeszli w głąb korytarza. - Nie zamierzam podporządkowywać się rozkazom takiego krety! W warunkach pokoju nie można nikogo wcielić do wojska.

Weszli do kajuty Jayde.

- Musimy ostrzec pozostałych przed możliwym skażeniem - mówiła rozgorączkowana. - Alarm się nie włączy, bo Kretyn nie rozpoznaje DNA tej bakterii czy wirusa. To musi być coś spoza dostępnych baz danych.

- Kapitana wciąż nie ma. - Wskazała na książnik Hooda. - Pozostał Nordsletten.

- Gdzie go ostatnio widziałaś?

- To jego wachta, ale... tam go przecież nie ma, bo Czarni przejęli nasze obowiązki. - Jayde sięgnęła po swój książnik i wpisała polecenie wyszukiwania. W odpowiedzi pojawił się znajomy napis „wyszukiwanie w toku”.

- Wpisz mnie.

- Co?

- Zadaż mu wyszukiwanie mnie. Dziewczyna wpisała polecenie.

- Znalazł cię od razu.

- Więc Thomsona i Nordslettena możemy sobie na razie odpuścić.

- Stuart miał swój program diagnostyczny - powiedziała po zastanowieniu dziewczyna. - Wprowadził go do komputera i nadał mu najwyższy priorytet, jaki potrafił.

- Filtry wytrzymają pięć minut. - Hood spojrzał na zegarek. - Do tego czasu musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Potrafisz się dostać do tego programu?

- Spróbuję. Gdzie się ukryjemy?

- Nad nami jest pokład techniczny z pełnym systemem podtrzymywania życia. Nie ma tam żadnych wygod, ale jest bezpiecznie.

Wstała i nacisnęła przycisk otwierania drzwi.

- Zgarnę tylko trochę zapasów z mesy...

Zamilkła, widząc wycelowany w siebie miotacz. Dwóch Czarnych stało przed nimi z twarzami, wzorem dowódcy, pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu.

- Mówiłeś, że nie wiemy wszystkiego. - Dziewczyna przełknęła ślinę. - Może nic nie wiemy?

* * *

Znaleźli ich jednak. Thomson i Nordsletten spoczywali w swoich hibernatorach. Słowo „spoczywali” było tu jak najbardziej na miejscu. Zielonkawa poświata wyluskiwała ostre kryształły lodu po wewnętrznej stronie szklanych tub. Wykrzywione w przedśmiertnym grymasie twarze zdradzały resztę. Oni nie żyli, można było już tylko odmrozić martwe ciała.

- Nie znacie procedury?! - zapytał wzburzonym głosem Hood. - Hibernator to nie lodówka! Potrzeba trzech dni przygotowań. Trzeba pić elektrolity co trzy godziny...

- Włazić do środka - przerwał jeden z Czarnych.

Hood pomyślał, że się przesłyszał. Wątpliwości rozwiały otwierające się pokrywy dwu hibernatorów.

- Po co nas tam wsadzacie?! - wykrzyknęła Jayde. - Zamordujcie nas od razu!

Jeden z Czarnych uniósł miotacz, ale drugi powstrzymał go uniesioną dłonią.

- Dbajmy o pozory - powiedział. - Dyskutujcie dalej, to będzie bardziej bolało.

Hood i Jayde wpatrywali się w nich z przerażeniem. Dziewczyna otworzyła usta, ale zamknęła je zaraz, gdy wycelowany w jej brzuch miotacz drgnął. Z rozpaczą, ociągając się, weszli do kapsuł. Czarni zamknęli je za nimi i wdusili przyciski awaryjnej, przyspieszonej hibernacji.

XXXI

Siedząca na ciężkim krześle drobna młoda kobieta była naga i trzęsła się z zimna. Jej nogi przywiązano do nóg krzesła, a ręce wygięto do tyłu, skrupowano i przysnurowano do stalowej klamry przy oparciu. Przeznaczenie krzesła było więc jasne. Przez piwniczne cele niesły się jęki innych więźniów. Kobieta uniosła głowę tylko po to, by zobaczyć, że ciemnym korytarzem zbliża się jej oprawca z wiadrem wody. Wiedziała, że za kilka chwil sędzia zada to samo pytanie i chluśnie na nią lodowatym strumieniem. Kolejny raz. Potem pójdzie napelnić wiadro i koszmar będzie trwał.

Krótkie, czarne włosy ociekały wodą. Pozycja z pewnością była niewygodna. Kobieta nie mogła się wyprostować, a próba bezwładnego zawiśnięcia na związanych ramionach kończyła się zawsze bólem wyłamywanych stawów. Nie było dla niej bezbolesnej pozycji.

- Wyznaj swoje grzechy - wyrecytował bezbarwnym głosem sędzia.

Z ust kobiety wydobyło się ciche westchnienie. Gdy w asyście straży miejskiej sędzia przetrząsał jej dom, obawiała się aresztowania, gdy ją zawlekli do lochów i zdarli z niej ubranie, bała się, że będą ją gwałcić i bić. Nic takiego nie nastąpiło. Nie przypuszczała, że trwanie w nieruchomej i niewygodnej pozycji będzie takim koszmarem. Już po godzinie chciała krzyczeć, a po dwóch z jej gardła wydobył się dźwięk przypominający wycie dzikiego zwierzęcia. Nie wiedziała, że potrafi tak krzyczeć. Wtedy po raz pierwszy przyszedł sędzia z wiadrem.

- Wyznaj swoje grzechy - powtórzył tym samym głosem.

- Czytałam czerwoną księgę - zdołała wydusić.

- To wiemy - Sędzia uniósł wiadro i zamachnął się.

* * *

Król zaszczycił swą obecnością poranną naradę sztabu, więc atmosfera była jeszcze bardziej nerwowa.

- Zwieramy szyki - powtarzał generał Kanien.

- Jest problem z wojskiem poborowym z południa - przypomniał Armunach. - Z obozów zbiorczych wyszło prawie sześć tysięcy żołnierzy, a po trzech dniach było ich o dwa tysiące mniej. Część zdezerterowała, zabierając ze sobą broń. W okolicach Miduhr w lesie mieszka już połowa chłopskich synów. Ty to nazywasz zwieraniem szyków?

- Raporty z Medgrun są niemal identyczne od kilku dni - oznajmił kapitan Ziran. - Po pierwszym ciężkim ataku Tedrunelowi udało się zniszczyć ich działa wielkokalibrowe i obecnie sytuacja przypomina oblężenie obliczone na zagłodzenie obrońców. Pod Hamelon armia sinevarska odcięła twierdzę i część miasta, po czym zaprzestała dalszych działań. W obydwu przypadkach nie niszczą zabudowań.

- Chcą przejść te miasta w jak najlepszym stanie - zastanowił się Armunach. - Jest więc prawdopodobne, że przed zimą nie będą próbowali iść dalej. Będziemy mieli czas, by przygotować obronę.

- Kontratak! - wykrzyknął Kanien. - Nie obronę, ale kontratak.

- Jeśli to będzie możliwe - skinął głową Armunach. Nie wyglądało, by w to wierzył. - Wczoraj wieczorem przyszedł meldunek z posterunku na traktie do Medgrun. Zawierał zwięzłą informację, że zbliża się do nich grupa kilkunastu jeźdźców w czerwonych płaszczach. W porannym raporcie znalazło się lakoniczne stwierdzenie, że obcy zawrócili.

- Kilkunastu jeźdźców w czerwonych płaszczach... - zastanowił się król. - To potwierdza doniesienia o powstaniu komitetu.

- Komitetu? - Armunach spojrzał na Mechelona badawczo.

- Ich kolorem jest czerwony - odpowiedział w zastępstwie monarchy Zarkim. - Nazywają się Tymczasowym Komitetem Pokojowym i chcą zakończyć wojnę. Nieszkodliwa grupa spiskowców.

- Nie byłbym taki pewny. - Król wstał. - Wzmocnijcie posterunki na granicach miasta. Podwójcie patrole na traktach. Niech przysyłają raporty co cztery godziny. Każda informacja na ten temat ma natychmiast trafiać do mnie.

- To spisek niezadowolonych z wojny mieszczan - bagatelizował Zarkim. - Pewnie zakładają czerwone płaszcze na tajne spotkania i na tych spotkaniach kończy się ich działalność.

- Zacznij poważnie traktować Tymczasowy Komitet Pokojowy - polecił król. - To kolejne doniesienie o Czerwonych Płaszczach w ciągu ostatnich kilku dni, ale pierwsze z

okolicy Miduhr. Ten spisek rozwija się pod naszymi nosami. Zajmij się tym natychmiast.

Wyszedł szybkim krokiem z sali sztabu, a sekretarz, podbiegając, podążył za nim.

* * *

Miraasz wysłuchał relacji sekretarza i pokiwał głową.

- Powinniśmy wykorzystać sądy kapturowe, które przesłuchują heretyków w lochach - powiedział. - Istnieje spora szansa, że któryś z nich coś będzie wiedział.

- To, co Hamtel nazywa herezją, idzie w parze z tym, co my nazywamy zdradą - przyznał Zarkim. - Wysłałem do niego gońca, ale niestety Hamtel od kilku dni jest nieosiągalny. Siedzi w celi, medytuje i z nikim nie rozmawia.

- Znalazł sobie moment na kontemplację... - Miraasz potarł brodę. - Rozmówisz się więc z jego uczniem, jak mu tam?... Nieważne. Zamieszkał w lochach i przesłuchuje nieszczęśników z Akademii.

- Dobrze. Chodźmy, chciałbym, żebyś był przy tej rozmowie, co byś sobie lepszy obraz sytuacji wyrobił, mówiłem już bowiem z tym człowiekiem i nie była to konstruktywna rozmowa.

Areszt gwardii pałacowej od początku działania sądów nie był wystarczający na potrzeby ambitnych sędziów. Zakonnicy zajęli więc najniższy poziom więzienia, a i ten zaczynał się już przepełniać. Nie było tajemnicą, że działalność Akademii została praktycznie sparaliżowana, bo naukowcy albo zajmowali się jak najbezpieczniejszymi tematami, albo fałszowali wyniki wcześniejszych badań, by te pasowały do dogmatów religii, albo zwyczajnie cichcem uciekali z pałacu.

Znaleźli brata Dimlata pochylonego nad arkuszami z listą nazwisk, w pośpieszeniu zaadaptowanym na więzienną kancelarię przedsionku najgłębszych lochów. Przywitani się uprzejmie, dostrzegając w oczach kleryka tę dziwną nieobecność, charakteryzującą geniuszy bądź nieszczęśników na skraju szaleństwa.

- Wiemy, że w pałacu jest kilku spiskowców - zaczął Zarkim. - Król chce, żebyście przy okazji swoich przesłuchań wyciągnęli z więźniów informacje na temat tak zwanego Tymczasowego Komitetu Pokojowego i buntu Czerwonych Płaszcz.

- Nie podlegamy rozkazom króla - odparł spokojnie zakonnik. - Sąd ma szukać heretyków, nie zdrajców monarchii.

- W młodym wieku osiągnąłeś tak wysokie stanowisko w hierarchii, więc zapewne potrafisz odróżniać rzeczy ważne od nieistotnych. Nie proszę cię o drobną przysługę, tylko o

pomoc w wykryciu spisku, który może nas wszystkich kosztować... wszystko.

- Postępuję zgodnie z porozumieniem zawartym między sprawiedliwie nam panującym Mechelonem III a ojcem Hamtelem. Tylko oni dwaj mogą zmienić treść porozumienia.

- Ojciec Hamtel jest niedysponowany. Chyba nie wiesz, gdzie się wszyscy razem znajdziemy, jeśli przegramy tę wojnę!

- Jesteśmy żołnierzami Najwyższego i walczymy w jego imieniu.

- Jednak przesłuchujecie ludzi czytających *Spoleczeństwo*.

- Czerwona księga zaprzecza istnieniu Najwyższego. Wyplenienie tej idei z ludzkich umysłów jest naszą misją.

- Czerwone Płaszcz, wyznające wartości zbudowane na księdze, były widziane na przedmieściach! - wykrzyknął Zarkim. - Nie sądzisz, że ich zwycięstwo oznacza twój koniec?

- Tym gorliwiej powinienem więc wypełniać wolę pana! - zakończył zakonnik mocnym głosem. Wyprostował się i patrzył błyszczącymi oczyma w przestrzeń. - Nie mogę tracić czasu...

A potem wyszedł bez słowa.

- Fanatyk... - syknął sekretarz i spojrzał wymownie na Miraasza.

* * *

Noan wyczekiwał niecierpliwie na posłańca od mistrza Pasco. Z powodu nasilających się aresztowań heretyków Fennel ograniczył pracę do obserwacji i studiowania ksiąg z bogatych zbiorów Anvisa oraz tworzenia traktatu udowadniającego płaskość Ziemi. Teraz jednak, wczesnym przedpołudniem, Fennel spał i Noan miał całą wieżę-observatorium dla siebie. Chodził w tę i z powrotem po bibliotece, nie mogąc się na niczym skupić. To oczekiwanie było nieznosne!

Przez ostatnie dni zapełniał strony swojej księgi tabelami. W każdej z nich zostało kilka pól wolnych, które mógł uzupełnić dopiero dzięki obserwacjom poczynionym nowym teleskopem. Zamierzał również przyjrzeć się dokładniej miejscu na niebie, skąd wyłoniła się Tanur. Tanur... Powrócił obraz złotowłosej dziewczyny biegnącej po łące. Kilkakrotne wizyty u Perac nie zatarty w pamięci tego widoku. Pomyślał, że chciałby ją zobaczyć, chociaż ona zapewne wcale go nie pamięta. Co gorsza, prawdopodobnie Tanur nawet nie wie o jego istnieniu. Zwykle przyglądał się jej ukradkiem, zza płotu, z korony przydrożnego drzewa. Raz nawet użył swojego teleskopu.

Wyszedł na taras. Stukot młotków niósł się ponad pałacowymi murami. Było zimno, a

nad miasto ciągnęły niskie chmury. Dym na horyzoncie i zbierający się na placu tłum nie zwiastowały niczego dobrego. Zapewne zanosiło się na zamieszki, ale młodego astronoma niespecjalnie to obchodziło. Z oddali dobiegł go stłumiony huk wystrzału. Po chwili następny i jeszcze jeden. Czy nie opóźni to produkcji teleskopu? Dopiero teraz zauważył drewnianą konstrukcję powstającą przed główną bramą pałacu. To stamtąd pochodził ten irytujący stukot młotków.

Z rozmyślań o Pasco, przeplatanych bolesną tęsknotą za złotowłosą, wyrwało go pokrzykiwanie z dołu:

- Jesteś astronomem?

Wychylił się przez barierkę i zobaczył kilkunastoletniego chłopca, ubranego cokolwiek niechlujnie.

- Jestem - odchrząknął. - A co?

- Nie wiem, jak się dostać do środka, to przyszedłem tu i wrzeszczę. Przysyła mnie mistrz Pasco. Mam przekazać, że praca skończona.

Noan poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

- Ju... - zająknął się. - Już pędzę.

- Duże jest cholerstwo - odchrząknął z dołu chłopiec.

- Mistrz dostarczy. Pyta kiedy.

- Jak to kiedy? Teraz! Natychmiast! Nie, zaczekaj! - Wbiegł do środka i wysupłał z sakiewki dwa miedziaki. Rzucił je posłańcowi. - Niech dostarczą natychmiast.

Chłopiec podniósł monety i pognął z powrotem.

Noan zaczerpnął głęboko powietrza i zacisnął dłonie na poręczy. Chciał się śmiać, krzyczeć, skakać. Zamiast tego stał tylko i płakał z radości. Naraz wszystko nabrało sensu.

Patrzył i nie widział, że na środku placu, na podeście, cieśle właśnie kończyli zbijać dwie szubienice.

* * *

Dimlat mył dłonie w drewnianym wiadrze. Czynił to tak intensywnie, że dziwne było, iż nie zdzierał sobie skóry. Na odgłos kroków za plecami odwrócił się i opuścił ręce wzdłuż tułowia, woda kapła na kamienną posadzkę.

- Życzliwa osoba doniosła mi, że przesłuchiwana przez was Evola wyznała, iż jest kochanką generała Tedrunela Hadona - wycodziła otyła kobieta w eleganckiej, ciemnej sukni. Nie pasowała do wnętrza, ale młody zakonnik nie dostrzegał niuansów doczesności. Jego

myśli krążyły na innych poziomach.

- Wyznała, w rzeczy samej. - Dimlat pokiwał głową, jego wzrok błędził po ścianie ponad ramieniem kobiety. - To potworny grzech.

- Wyręcę was w zadawaniu pokuty. Jestem Somnia Hadon, żona generała.

- Jeśli kochasz męża, masz prawo do zemsty.

- Nie kocham go ani trochę - parsknęła. - Niech zdechnie i zgnije! Ale jestem jego żoną i żadna ładaczka nie będzie się do niego zbliżać.

Młody zakonnik-sędzia w głębokiej zadumie patrzył w przestrzeń. Jego ciało utraciło już zdolność wyrażania emocji.

- Bracia udzielą ci stosownych porad - odparł w końcu, po czym szybko się poprawił. - Sędziowie.

Poszła do wskazanej celi. W świetle dymiącej pochodni ujrzała nagą kobietę, która siedziała przywiązana do krzesła. Co kilka chwil targały nią potężne fale dreszczy. Stojący przed nią sędzia odwrócił się do Somni i wskazał wiadro z wodą.

- Powiedziała już wszystko, co wiedziała.

- Polewanie wodą? - Somnia spojrzała na wiadro i wyduła wargi.

- Zapewniam cię, pani, że ta metoda jest skuteczna i doskonała od pokoleń. Nie pozostawia śladów na ciele, a jednak w krótkim czasie pozwala osiągnąć zamierzony efekt.

Somnia spojrzała na sędziego i zapytała na tyle głośno, by więźniarka usłyszała:

- Skąd pomysł, że ja nie chcę pozostawić śladów na jej ciele?

* * *

Na wielką mapę północnego Enagoru rzucono mniejszą, ale w większej skali, przedstawiającą Miduhr z przedmieściami. Zamiast figurek sinevarskich, wroga symbolizowały czerwone pionki z toczzonego drewna. W radzie uczestniczył król, więc miała bardziej oficjalny charakter. Armunach długo wykladał liczebność wojsk oblegających twierdze na północy, potencjalną siłę odwodów, jakie czekały w głębi Sinevaru, oraz szanse na poprawę sytuacji do zimy. Przedstawił też plany dostarczania zapasów do obu twierdz machinami latającymi. Na koniec zdał raport ze zdolności bojowej wojsk w garnizonach stołecznych.

Król zamyślił się.

- To wygląda zbyt pięknie, generale - oznajmił po chwili. - A co, jeśli damy się oszukiwać?

Przez zgromadzonych wokół stołu sztabowców przeszedł szmer zaniepokojenia.

- Ich wojska są liczniejsze, niż zakładaliśmy - przyznał generał. - Gdybym był na miejscu Sinevarów, trzymałbym obie twierdze w oblężeniu, a dodatkowymi siłami ruszyłbym na Miduhr. Sądzę, że wiedzą o słabości stolicy. Powodem, dla którego tego nie czynią, jest najpewniej niechęć do wnikania się w wojnę zimową. W tym z pewnością jesteśmy lepsi. Sądzą poza tym, że okrążając Medgrun, odcięli sztab.

- Raporty z Medgrun i Hamelon są jednoznaczne - dodał generał Kanien. - Sinevarzy przygotowują się do przetrwania zimy w opuszczonych miastach. Nie zaobserwowano, by opuszczał je jakikolwiek większy oddział.

- Jeśli nie wyruszyli dotychczas - uzupełnił Marunach - to już tego nie zrobią. Niedługo może spaść śnieg.

Król znów pokiwał głową i skinął na komendanta straży miejskiej od dłuższej chwili oczekującego na swoją kolej.

- W Riszam i przyległych dzielnicach motłoch podpala domy arystokracji - powiedział Gestme. - Straż miejska nie panuje nad sytuacją. Musisz nam przysłać na pomoc wojsko, generale.

- Wojsko będzie potrzebne do obrony pałacu i najważniejszych budynków stolicy - odparł wolno Armunach.

- Na przedmieściach widziano duże oddziały Czerwonych Płaszcz. Zachodzą nas z trzech stron, a armia poborowa z południa jeszcze nie dotarła. Płonące domy nie są teraz naszym największym zmartwieniem. Generale - zwrócił się do Kaniena. - Co wiemy o nowym nieprzyjacielu?

- Niewiele. - Kanien nerwowo bawił się szpicrutą, używaną do wskazywania miejsc na mapie. - Stuosobowy oddział jazdy widziano na trakcie do Medgrun, dwa mniejsze oddziały piechoty, których liczebności nie znamy, pojawiły się od wschodu i zachodu. Nie ma meldunków o starciach, odległość była bowiem zbyt duża.

- Wytłumacz mi generale - odezwał się ze swojego tronu król. - Zajmujesz się zbieraniem informacji dla armii, prawda? Jak to możliwe, że patrole, posterunki, wywiad nie donieśli nam wcześniej o Czerwonych Płaszczach? Przecież oni nie wyrosli spod ziemi. Jak to możliwe, że nawet nie wiedzieliśmy o ich istnieniu?

Kanien chwilę myślał nad odpowiedzią. Pocił się.

- To mogą być skrzyknieni przez kogoś dezterterzy, synowie chłopscy, którzy uciekli przed poborem. Nie mogą być liczni ani dobrze wyszkoleni.

- Skąd więc te sto koni? Niezłym wyczynem byłoby dowodzenie oddziałem kawalerii na

koniach pociągowych. Tylko armia posiada taką ilość wysokiej klasy zwierząt. Może połowa co zamożniejszych rodów Medgrun, razem wziętych.

- Jeśli, jak mówi generał Kanien - dodał Marunach - Czerwone Płaszcze to zbieranina przypadkowych obwiesi, rozbić ich nie będzie stanowiło większego problemu. Oddziały stacjonujące obecnie w Miduhr składają się z doświadczonych żołnierzy. To oznacza, że powinni sobie poradzić nawet z trzy-, czterokrotnie liczniejszym niewyszkolonym przeciwnikiem.

- Jak w kilka dni skrzyknięto i umundurowano stu ludzi? - naciskał Mechelon. - Chłopscy synowie nie po to ukrywają się po lasach przed obowiązkiem służenia w mojej armii, by dobrowolnie wstępować do innej.

Kanien sięgnął do kołnierza, jakby zrobiło mu się duszno. Gwałtowne wejście Semera uwolniło generała od odpowiedzi na te pytania. Nowo przybyły starał się nie zwracać na siebie uwagi, co mu jednak nie wychodziło. Wszyscy obserwowali, jak zbliża się do Miraasza i szeptem mu coś na ucho. Oczy komendanta robiły się coraz większe.

- Wybacz królu, ale muszę coś wtrącić - oznajmił głośno. - Dwie godziny temu próbowaliśmy przekonać Dimlata, by dał nam dostęp do więźniów...

- Któż to jest? - Mechelon uniósł brwi.

- Hamtel spędza dnie na modłach i nie ma z nim kontaktu - wyjaśnił szybko Zarkim. - W jego zastępstwie sądami zarządza młokos imieniem Dimlat. To fanatyk czystej wody.

- Nie dość, że nie chce współpracować - uzupełnił Miraasz - to jeszcze postawił na placu szubienice i właśnie zabiera się za publiczną egzekucję heretyków. Chronią go twoi ludzie. - Wskazał na komendanta straży miejskiej.

- Oddałem mu do dyspozycji trzydziestu strażników - przyznał Gestme. - Nie sądziłem, że użyje ich do ochrony miejsca kaźni! Ale twoich gwardzistów też używa.

- Ten dureń pozabija nam świadków, Wasza Wysokość. - Miraasz ponownie zwrócił się do króla. - Powołuje się na umowę między ojcem Hamtelem a tobą.

- Miał przesłuchiwać, nawet torturować, jeśli uznałby to za konieczne, ale nie miał zgody na egzekucje. - Król wahał chwilę argumenty, wreszcie zwrócił się do komendanta gwardii. - Powstrzymaj go.

* * *

Wbrew intencjom kapłanów, tłum nie wyrażał radości. Trzecia z kolei podwójna egzekucja, zamiast oczekiwanych wybuchów euforii, sprowokowała mieszczan do

grupowego buczenia i wygrażania katowi pięściami. Na razie nikt nie próbował wdrzeć się na podest ani uwolnić więźniów, ale jedyną tego przyczyną był zapewne podwójny kordon straży miejskiej, rozciągnięty między tłumem a miejscem kaźni. Paromobil-więźniarka z trudem przeciskała się przez tłum. Wsiadali z niej zmaltretowani, wycieńczeni naukowcy. Heretycy.

Czterej muskularni pomocnicy kata, jak i on zamaskowani szpiczastymi czapkami z otworami na oczy, wprowadzali po dwóch skazańców na podest i wiedli pod szubienicę. Tam stawiali ich na zapadniach, a kat zakładał im na szyję pętle. Od tej pory skazańcy przestawali się wiercić, od tego bowiem sznur tylko się zaciskał, a związane do tyłu ręce uniemożliwiały jego poluznienie. Może coś krzyczeli, może byli zakneblowani. Odległość, z jakiej przyglądał im się Noan, i tak nie pozwalała usłyszeć ani ich słów, ani wyroków odczytywanych przez sędziego.

Same egzekucje go nie zajmowały, patrzył na nie z jednej tylko przyczyny - podium znajdowało się na przedłużeniu uliczki, stanowiącej najkrótszą drogę do pracowni mistrza Pasco. Spektakl zabijania był urozmaicheniem, ale młody astronom nie potrafił się emocjonować tym widowiskiem. Bardziej niepokoiły go chmury. W czasie pobytu w wieży--obserwatorium przeczytał większość znajdujących się tu książek bądź poznał ich treść, nie dotykając nawet okładek.

Była wśród nich rozprawa o zjawiskach pogodowych z obszernym rozdziałem dotyczącym rodzajów i natury chmur. Te, które zakrywały niebo nad Miduhr, to były cumulusy. Potrafiły zniknąć szybko, nie pozostawiając po sobie zamglenia. Krótki, wieczorny deszcz byłby nawet wskazany - oczyściłby powietrze z dymów, które w miarę rozwoju przemysłu potrafiły coraz bardziej przeszkadzać w obserwacjach, a przecież im mocniejsza była optyka, tym wrażliwsza się stawała na zanieczyszczenia atmosfery.

Kolejny stuk zapadni i gniewny okrzyk tłumu wytrąciły go z myśli o pogodzie. A za podestem, w perspektywie uliczki, pojawił się pojazd. Był za daleko, by gołym okiem dojrzeć szczegóły. Noan spojrzał na nakryte brezentem teleskopy Anvisa i Fennela. Nie, ich przybliżenie było za duże. Gdyby obiekt znajdował się pięć mil stąd, można by się było mu przyjrzeć. W odległości bliższej od jednej mili widać było jedynie rozmazane plamy. Pobiegł do środka po szukacz od starego teleskopu, który od czasu ostatniej wizyty u mistrza Pasco leżał na stole. Wrócił na taras, gdy na podwyższenie zaciągano kolejnych dwóch wyrrywających się więźniów. Przyłożył okular do oka. W pierwszym momencie przypadkiem zerknął na skazańców. Kat zakładał pętlę na szyję Anvisa. Noan ze zniecierpliwieniem podniósł wyżej tubę i odszukał paromobil ciężarowy. Pojazd dotarł już do placu i wolno

okrążał tłum. Wiózł dwie skrzynie: jedną wielką i długą, drugą mniejszą i płaską. To na pewno to!

To najszczęśliwszy dzień mojego życia, pomyślał chłopak. Wzruszenie sprawiło, że rozluźnił palce, wypuszczając z nich lunetkę. Nie zwrócił na to uwagi, szukacz należał już do mało ważnej przeszłości. Teraz widział wyraźnie paromobil zmierzający do bramy pałacu. W skrzyniach była przyszłość.

Lunetka rozprysnęła się o bruk.

Zapadnie uciekły spod stóp heretyków.

* * *

Zdyszany Chavon wpadł do więzienia otwartym na oścież przejściem wewnętrznym. Nie niepokoiony przez strażników, dotarł do kancelarii.

- Gdzie ten niedorostek, fanatyczny młokos, popychle bezrozumne? - wydyszał.

- Dimlat? - domyślił się od razu dowódca zmiany. - Na samym dole, ale nie siedłbym tam na twoim miejscu. Próbował zmusić jednego z naszych ludzi, by aresztował drugiego. Żle się dzieje. Nie idź tam, nie powstrzymasz go.

Chavon bez słowa minął strażnika i zbiegł po kamiennych schodach pięć pięter pod ziemię. Bił stamtąd smród strachu, a zwierzęce niemal krzyki przywodziły na myśl samo piekło, w którego istnienie Chavon nie wierzył. Dwa najniższe poziomy były duszne i wilgotne. Jedynym oświetleniem były tu kopce pochodnie.

Minął zaskoczonych zakonników, którzy oderwani niespodzianie od ksiąg, nie zatrzymywali go. W pierwszej celi gruba kobieta w wykwintnej sukni znęcała się nad kimś za pomocą bicia z dziesiątką rzemieni. Wysoki głos, przechodzący po każdym uderzeniu w szloch, sugerował, że ofiarą również była kobieta. W kolejnych celach rozpoznawał twarze swoich kolegów. Był tam nawet sponiewierany Mercom. Znalazł Dimlata w piątej celi. Wraz z dwoma sędziami zajęty był nacinaniem równoległych linii na piersi wrzeszczącego dziko człowieka z tak pokrwawioną twarzą, że nie sposób go było rozpoznać. Trzeci sędzia polewał rany nieznany płynem. Sens tych czynności był kompletnie niezrozumiały. W obliczu takiego okrucieństwa rektor stracił cały impet. Stał w drzwiach i obserwował, jak sędziowie zaczynają wolno odrywać pierwszy pasek skóry. Skowyt skazańca zmienił tylko tonację, bo głośniejszy już nie mógł być. Chavon trwał oniemiały w odrealnionej rzeczywistości

- Robaki... - zdołał szepnąć - perwersi, wynaturzeńcy...

Dimlat, bo z pewnością był to on, odwrócił się i spojrzał na Chavona bez jakiegokolwiek

zdziwienia. Spod kaptura błyszczały szalone oczy. Odbijał się w nich płomień pochodni.

- Wola Najwyższego cię tu przygnała - stwierdził syczącym szeptem.

- Jesteś chory - zdołał tylko powiedzieć Chavon. - W pierwszej z brzegu kurwie jest więcej Boga niż w tobie.

Za sobą usłyszał kroki zakonników, których przed chwilą minął.

- Tępi my herezję. - Dimlat dał znak zakonnikom, którzy chwycili teraz Chavona za ręce.

- Przywódca największych heretyków w Enagorze przychodzi do nas sam. Witaj rektorze w naszych skromnych progach.

- Rektora może i wolno wam uwięzić, ale wiesz dobrze, że nie masz prawa aresztować przewodniczącego Sprawiedliwej Izby.

- Moim prawem jest Najwyższy.

Dimlat wolno, bardzo wolno podszedł do rektora. Światło pochodni oświetliło jego twarz. Chavon spojrzał w oczy szaleńca i zrozumiał, że młody zakonnik zamienił się w kogoś, kogo potrafi powstrzymać jedynie przewaga fizyczna. Albo objawienie.

Chavon nie mógł liczyć ani na jedno, ani na drugie.

* * *

Ze strony tłumu, w którym było już ponad pięć tysięcy ludzi, zaczęły lecieć drobne przedmioty, głównie owoce. Strażnicy miejscy czuli, że minuty dzielą ich od momentu, gdy wściekła ciżba zacznie wyrwać bruk. Stali jednak niewzruszenie. Pociski przelatywały nad ich głowami, a ludzie złorzeczyli katom i sędziemu. Na podest wprowadzono Chavona. Drżały mu łydki, ledwo zachowywał równowagę, opierając się na prowadzących go mężczyznach. Nie próbował się wyrwać. Zapewne wiedział, że i tak nie ma to sensu.

Zakapturzony sędzia odczytywał wyrok, ale w morzu wrzasków i gróźb nie dawało się usłyszeć ani słowa.

W tę stronę przeciskało się czterech gwardzistów. Idący na przedzie Miraasz roztrącał ludzi, jakby byli snopkami siana. Wypatrzył dowódcę i ruszył w jego stronę, głuchy na protesty potrącanych.

- Natychmiast przerwij to widowisko - zażądał.

Sierżant zasalutował, ale niewzruszonym głosem odparł:

- Formalnie nie możesz mi rozkazywać, komendancie. Nawet nie powinno cię tu być. Twoja władza kończy się tam, przy pałacowej bramie.

- Będziesz tu ze mną dyskutował, kiedy ci szaleńcy właśnie chcą zabić rektora Akademii

Nauk i przewodniczącego Sprawiedliwej Izby w jednej osobie?

- Od kiedy to lubicie naukowców?
- Z rozkazu króla mam powstrzymać egzekucje, więc zejść mi z drogi!

Nie wiadomo, jak potoczyłaby się ta dyskusja, gdyby nie zamieszanie, które wybuchło nagle przy schodach. Coś się przepełniło, ktoś zrobił pierwszy krok, emocje osiągnęły punkt krytyczny i tłum naparł na kordon, przerywając go bez trudu. Pierwszy impuls ośmielił pozostałych. Kat i jego czterej pomocnicy od razu zorientowali się, co się dzieje. Rzucili wszystko i zeskoczyli z podestu w miejscu, gdzie było mniej ludzi. Liczyli na to, że w grupie uda im się przedrzeć, jednak wyciągnęły się po nich dziesiątki rąk i już leżeli na ziemi, zasłaniając się przed spadającymi zewsząd ciosami.

Fala mieszczan wdarła się na podium. Sędzia nie cofnął się ani o krok, choć widział wściekle twarze. Nie przestał czytać wyroku, nawet kiedy powlekli go pod szubienicę. Sam Chavon próbował im przeszkodzić, ale nikt nie zwracał na jego protesty uwagi. Strażnicy nie interweniowali. I tak płynęli teraz bezładnie, porwani przez tłum.

Bez trudu, gołymi rękami wyłamano drzwi klatki i wypuszczono kilkunastu naukowców. To samo uczyniono z zatrzymaną w połowie więźniarką. W zamieszaniu sterowniczemu udało się uciec.

Gdy strażnicy zebrali się wreszcie w jednym miejscu, sędzia już wisiał, a ze wszystkich stron do tłumy dołączali nowi mieszczanie. Pojawił się Gestme z dwudziestoma dodatkowymi ludźmi, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że niczego tu nie działo. Naukowcy czmychnęli, z wyjątkiem Chavona, który z nienawiścią patrzył na komendanta. Ten podszedł do rektora.

- Wybacz, proszę. - Skłonił głowę. - Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Sąd działał nieprawnie, o czym dowiedziałem się przed chwilą.

- Przyglądaliście się bezsensownej śmierci kilkunastu wybitnych ludzi - wycedził rektor-przewodniczący. Wciąż się trząsł.

- Jeszcze raz proszę, wybacz. Moi ludzie wypełniali polecenia sędziów, którzy przekroczyli swe uprawnienia. Wyjaśnimy to później. Teraz szykuje się tu istna rewolucja. Nie kontrolujemy już miasta.

- Potem będziecie przepraszać - rzucił Miraasz. - Wycofaj ludzi z placu i broń więzienia.
- Twoja władza kończy się tam, gdzie moja zaczyna - na pałacowej bramie - przypomniał Gestme.

- Teraz cię naszło na klótnie? Pilnuj więzienia, ja zamknę wszystkie bramy. Ten motłoch zaraz zacznie szukać nowego celu.

Odwrócił się i odszedł w kierunku pałacu. Chavon podążył za nim wraz z pozostałymi gwardzistami.

Gestme zawrócił, by zebrać ludzi i zabarykadować się w gmachu więzienia, co zresztą planował uczynić i bez cudzych porad. Prawie wpadł na stojącego za nim człowieka. Znieruchomiał w osłupieniu, rozpoznawszy twarz.

- Czas odwrócić płaszc, komendancie - powiedział Romozel.

XXXII

Gdy obejmmy zaczęły się zaciskać na jego ciele, w ostatniej chwili wyszarpnął prawą rękę. Próbował też lewą, ale udało mu się uwolnić jedynie przedramię. Procedura awaryjnej hibernacji dopuszczała to bez wszczynania alarmu. Widział nad sobą pochylających się Czarnych. Nie śmiali się, sprawiali wrażenie kogoś, kto rutynowo wykonuje kolejny rozkaz. Gdy poczuł pierwsze uklucie zimna, skulił się, co tamtych wcale nie zdziwiło. Szron pokrył szkło hibernatora, a mężczyzna pomógł, dyskretnie chuchając. Elastyczny materac i okładziny uchwytów trzymających nogi, korpus, lewą rękę i głowę dopasowały się i zacisnęły, by w razie konieczności zamrożone ciało astronauty mogło wytrzymać takie same przeciążenia jak konstrukcja statku. Stres zmuszał organizm do walki. Puls przyspieszał, płuca szybko pompowały tlen. Hood z trudem powstrzymywał oddech, by nie tracić ciepła. Dłonie zaczynały drżeć. Instynkt kazał mu rwać zaczepy, otwierać pokrywę i uciekać. Rozum podpowiadał, że nie może tego zrobić, że zaczepy są zbyt mocne, klapę otwiera tylko komputer, a uciec przed Czarnymi nie zdoła. Strach przeradzał się w panikę.

Czarni odeszli. Może nie chcieli patrzeć, może nie bawiło ich to, a może mieli pilne zajęcia. Widział, jak znikają za drzwiami.

Prawą ręką sięgnął do książnika na lewym mankiecie i wywołał program sterujący hibernatorami. Stukał palcem w ekran, otwierając kolejne opcje, pod koniec coraz wolniej, nie czując palców. Temperatura spadała o kilka stopni na sekundę. Czekał kilka długich chwil, modląc się do Boga, w którego nie wierzył, i wreszcie, gdy stracił już niemal przytomność, zobaczył na ekranie przycisk awaryjnego otwierania pokrywy. Puknął go. Pokrywa odskoczyła z sykiem, a chwilę później więżące go uchwyty. Szarpnął się i wypadł na podłogę. Spróbował wstać. Ból w miejscach, gdzie wracało czucie, był nie do wytrzymania. Mężczyzna doczołgał się do hibernatora Jayde i wdusił przycisk awaryjnego przerwania procedury. Dziesięć sekund później dziewczyna upadła na podłogę. Nie miał siły

jej złapać. Wstrząsały nią drgawki, a włosy, brwi, a nawet rzęsy miała sztywne od szronu. Odciągnął ją od zimnej kapsuły.

- Rób pompki - polecił, szczękając zębami.

Przełamując ból mięśni, udało mu się zrobić jedną. Jayde nie mogła się nawet poruszyć.

- Nie zasypiaj - powiedział, wciąż dygocząc. - Umrzesz!

Potrząsnął nią, roztarł ramiona, z trudem podniósł do pozycji pionowej. Dziewczyna słała się na nogach, musiał ją podtrzymywać.

- Do ilu stopni doszło? - wyszeptała, nie otwierając oczu.

- Do minus stu sześćdziesięciu, u ciebie trochę dalej...

- Gdzie... Czarni?...

- Przełączyłem wyświetlacze na planowaną temperaturę finalną. Jeśli sprawdzą, pomyślą, że już po wszystkim.

Ściągnął skórzaną kurtkę, sięgnął na ramię kombinezonu i zaczął szarpać materiał. Po chwili udało mu się wyrwać małą fasolkę lokalizatora. To samo zrobił z kombinezonem dziewczyny. Wrzucił lokalizatory do hibernatorów i uruchomił urządzenia ponownie. Wilgoć z powietrza skutecznie zmatowiła wewnętrzną powierzchnię szkła. Ekrany wskazywały, że wewnątrz nie ma nikogo, ale na to nie można już było nic poradzić. Pociągnął dziewczynę za sobą. Słała się z senności. Korytarzem, obok wciąż otwartego wejścia do śluzy, dotarli do przejścia do przedziału technicznego. Z boku były małe drzwi. Otworzył je. Kręconymi schodkami dostali się na wyższy poziom. Pachniało tu przegrzaną izolacją, a oświetlenie zapewniały słabe żółtawe lampki, wpuszczone w sufit. Nad głową nie mieli wystarczająco dużo miejsca, by wstać i brakowało miękkich osłon ścian, ale było przynajmniej ciepło. Spod podłogi, częściowo wykonanej z płyt, częściowo z drobnej kratownicy stalowej, prześwitywały wiązki przewodów. Stało tu kilka szaf z elektroniką i urządzeniami kriogenicznymi.

Hood usiadł pod ścianą, przed sobą posadził dziewczynę i objął rękoma, przyciskając jej plecy do swojego brzucha.

- Ani słowa o molestowaniu - szepnął jej do ucha.

- Mam białe palce - odparła, trzęsąc się.

- Wytrzymaj chwilę. To wyziębienie, nie hipotermia - za krótko tam byliśmy, żeby się nabawić hipotermii. Nagrzujemy się i dopiero wtedy będziemy mogli się przespać. Niestety nie ma tu żadnych kocy...

Zdjął kurtkę i okrył nią dziewczynę.

- Masz tę swoją piersiówkę? - zapytała.

- Nie możemy teraz pić alkoholu.
- Mam cukierki... Nie miałeś racji, dokuczając mi.
- Miałem rację. Jakbym ci nie dokuczał, to pożarłabyś je wczoraj.

Zjedli po dwie landrynki. Hood zerknął na swój książnik, ale zaraz odpiął rzepy i odrzucił go w kąt - ekran pękł z zimna i teraz widać na nim było tylko wielką czarną plamę. Siedzieli tak kwadrans, aż dreszcze ustąpiły i temperatura ciała wróciła do normy. Wpadli w stan półsnu, niespokojnej apatii. Wpatrywali się bezmyślnie w niskie korytarze oświetlane słabymi lampami i kontrolkami w ścianach. Hood popatrzył na splątane włosy Jayde, nie chciało mu się nawet zmieniać pozycji.

- Dlaczego oni to zrobili? - zapytała w końcu szeptem. - Mieli nas chronić.
- Widać tylko my tak myśleliśmy...

* * *

Obudzili się po kilku godzinach, wciąż zmęczeni i obolali. Hood sprawdził dostępne schowki i odnalazł działający terminal. Dostał się do robaka, wprowadzonego do systemu przez Stuarta i zajął się przeszukiwaniem najnowszych wyników badań Ruthar Larcke.

- Widzę tam w dole niezłe przemieszanie stylów i epok - powiedział po kilku minutach. - Pośmiertne wyrazy uznania dla Stuarta, dobra robota. Mamy dostęp do danych, których nie pokazywał nam Kretyn... Są pojazdy konne i kilka linii kolei parowej. Niektóre ulice mają oświetlenie elektryczne, w kilku miejscach poruszają się po nich pojazdy przypominające parowe samochody. Wygląda to tak, jakby nikt nie wpadł na pomysł wykorzystania prądu do czegokolwiek poza oświetleniem.

Jayde wyjęła z kieszeni na ramieniu kosmetyczkę i poprawiała make-up, jakby to mogło poprawić również jej nastrój. Pomalowała się mocniej niż zwykle, teraz jej oczy świeciły w ciepłych półcieniach wnętrza.

- Nie kumam tego - ciągnął mężczyzna. - To wygląda wręcz na jakiś show specjalnie dla nas. Mamy tam w dole coś w rodzaju kilku krajów z różnymi obyczajami. Przez kilka pierwszych dni nasze badania skupiły się na największym mieście i jego okolicach, ale to tylko fragment łamigłówki. Są inne kraje zamieszkane przez innych ludzi. Ci z czarnymi brodami noszą turbany i zajmują spory pustynny półwysep. Przypomina ci to coś? Niżej, na wyjąłowionej słońcem kontynentalnej równinie żyją Murzyni.

- O ile wiem, nie było z nimi czarnoskórych...
- Nie było - przyznał Hood, starając się nadać swojemu głosowi normalny ton - ale teraz

są i żyją na spalonej słońcem pustyni. Mogliby się przenieść w mniej nieprzyjazne rejony, miejsca jest przecież dość, jednak z jakiegoś powodu męczą się właśnie tam. Na dalekiej północy, gdzie średnia temperatura o tej porze roku nie przekracza minus piętnastu stopni, żyją ludzie przypominający Eskimosów.

- O czym ty mówisz?! - Jayde była zdezorientowana. - Tam było dziesięciu białych facetów i trzy białe kobiety. Żadnego Eskimosa, ani nawet Azjaty. Może nie wiemy o jakiejś innej, wcześniejszej albo późniejszej ekspedycji, jakimś większym transporcie? Wystarczyłoby, żeby dotarli tu... sto lat temu...

- Wiesz, że transportowce nie miały takiego zasięgu. Nie latały poza Układ Słoneczny. Mógł tu dotrzeć tylko statek ekspedycyjny. Niechby dotarły i trzy, z Eskimosami, Murzynami i Latynosami, to i tak nie wyjaśniałoby wiele. Przemyślałem to wszystko... Mamy tam na dole uproszczony model świata widziany oczami dziecka z Europy lub Ameryki Północnej. To spokojny świat Zachodu, gdzie wszystko jest uporządkowane. Bardziej na południe mieszkają ludzie przypominający Latynosów, ci z północy wyglądają na Skandynawów. Są miasta z wieżowcami w centrum, oczywiście mniejszymi, bo budowanymi prymitywnymi metodami... Nie wystarczy wiedzieć, jak wygląda rakieta, żeby ją zbudować. To wygląda jak jakieś wielkie zoo...

- Jest przekaz radiowy! - krzyknęła nagle Jayde, zerkając na książnik. Pośrodku ekranu migał czerwony prostokąt.

- Z dołu? - zdziwił się Hood.

Dziewczyna przytaknęła, klikając w ekran.

- Analogowy... - szepnęła zaskoczona. - Okolice dwustu kiloherców. Jak pierwsze przekazy radiowe na Ziemi.

Nagle z głośników książnika rozległy się płynne słowa w języku angielskim:

„... bez zmian. Utrzymać jak najdłużej. Posiłki...”.

Słowa ustąpiły miejsca trzaskom i piskom, po czym program wyłączył głośniki. Jayde i Hood popatrzyli na siebie.

- Jestem głodna - przypomniała sobie dziewczyna. Położyła się na brzuchu i rozłożyła przed sobą ręce - i zmęczona...

Hood pochylił się nad jej książnikiem i kontynuował grzebanie w terabajtach zebranych danych. Robak był prosty i skuteczny, ale dawał dostęp do archiwów na podstawowym poziomie katalogów, znacznie poniżej dynamicznych linków kontekstowych, a nawet poniżej banalnego podglądu plików i streamów, trzeba więc było wszystko przeglądać ręcznie, kierując się niewiele mówiącymi tagami.

- O! Mam diagnozę Stuarta.

- Przecież medlab nic nie wykrył. - Jayde uniosła głowę. - Diagnoza nieznana.

- Niezupełnie... - Hood wolno pokręcił głową. - A raczej... zupełnie nie. Posłuchaj: „Zakażenie obcą formą życia. Prawdopodobny czas pozostały do zgonu - siedem godzin. Leczenie niemożliwe, sztuczne podtrzymywanie funkcji życiowych aż do decyzji o odłączeniu. Odizolować, wprowadzić procedurę B-15”.

- Kwarcowy Kretyn wcale nie jest kretynem - stwierdziła Jayde. Usiadła i zerknęła na ekran. - Z kiedy to?... Sprzed siedmiu dni. Żył dłużej.

- Kretyn celowo ukrywał przed nami informacje. Celowo podawał mylące analizy i udzielał wymijających odpowiedzi. Zebrał dane, a potem wybudził Czarnych. To jest prawdziwy program misji. My byliśmy tutaj tylko na wypadek zastania martwego globu. Wynudzilibyśmy się i wrócili.

- Ale czemu to wszystko ma służyć? - zapytała. - Możesz pokazać, co dzieje się w śluzie?

- Jak dasz mi książnik, będzie łatwiej.

- To mój książnik!

- Mój zniszczyłem, ratując nam życie - przypomniał.

Niechętnie odpięła rzep bransolety i podała mu urządzenie. Hood chwilę pukał w ekran. Czarni gmerali we wnętrzu dodatkowego kontenera. Stojącego na środku robota sprząającego zignorowali. Hood usiadł wygodniej i wyłączył obraz. Kilka minut pukał w ekran i mruczał coś pod nosem.

- Mamy dostęp do danych z próbników! - zawołał nagle zdziwiony. - Blokada zdjęta!

- Bo nie żyjemy. - Jayde zerknęła na ekran.

- Zadałem mu porównanie składu próbki, którą zdobyłem wtedy w ładowni, z alergenem, który zabił Stuarta. To ten sam związek - białko oparte na strukturze złożonej z węgla, tlenu, wodoru, azotu i siarki, ale różniące się od ziemskich białek. Różni się nieznacznie, ale... - Czytał skomplikowane wyjaśnienie i krzywił się z niesmakiem. - Genetyk może by to zrozumiał, dla mnie jedyny wniosek jest taki, że kontakt z tym białkiem jest dla nas zabójczy. To nie żaden wirus, żadna bakteria, tylko... zarodnik czegoś w rodzaju grzyba.

- Zaatakował nas grzyb?

- Nie zaatakował. Jego białko również ulega rozkładowi w kontakcie z naszym. To raczej kosmiczna kolizja. Zaczekaj... - Znów chwilę pukał w ekran. - Niemal identyczne białko znaleziono we krwi tego chłopca z targu. - Potarł brodę. - To nic nie wyjaśnia, tylko stawia nową zagadkę. Ci na dole są ludźmi, ale niekompatybilnymi z nami na poziomie molekularnym.

- Czyli jednak obca forma życia?

- Raczej mutacja. - Hood odszukał i wyświetlił zdjęcie chłopca. - Popatrz na niego. Tak mógłby wyglądać twój syn. Nasi przodkowie opuścili Afrykę mniej niż sto tysięcy lat temu. Postaw obok siebie Murzyna, Europejczyka, Eskimosa i Azjatę. Starczyło kilkadziesiąt tysięcy lat, żebyśmy się stali tak różni, zależnie od warunków, w jakich kto żył. Jakie jest prawdopodobieństwo, że na innej planecie, różniącej się od Ziemi, ewolucja od pierwszych bakterii poszła tą samą drogą i dała w efekcie białego człowieka?

- Zerowe - przyznała Jayde.

- Chyba że zgodzimy się z Thomsonem, który okazał się kryptokreacjonistą. Wtedy wersja jest taka, że to Bóg machnął różdżką i stworzył świat w jedynej słusznej postaci. Machnął się tylko przy kodowaniu białka.

- To potomkowie naszych - przyznała Jayde. - Ale w jakiś sposób zmutowali.

- Żeby nie było za prosto. - Hood pukał w ekran. - Prawdopodobieństwo takiej mutacji jest również zerowe. Masz większą szansę urodzić żółwia niż takie dziecko. Ta mała różnica w budowie białek jest tak zasadnicza, że wymusza unifikację w skali planetarnej. Nie mogą istnieć dwa niekompatybilne ekosystemy. Jeśliby kiedyś istniały, to krótko, bo skończyłoby się tak jak ze Stuartem i mrówkami. Przetrwałyby niedobitki liczniejszego ekosystemu, który następnie opanowałby całą planetę. Czyli...

- Cała planeta jest dla nas zabójcza.

- A my dla niej. Nie możemy podjąć nikogo ani na niej wylądować. Chyba że w skafandrach, ale to i tak ryzykowne.

Przełączył na podgląd ładowni. Dwóch Czarnych, używając suwnicy, wolno przenosiło przypominającą próbnik czarną kulę nad wrota śluzy. Tajemniczy kontener był otwarty i teraz pusty w środku. Hood i Jayde obserwowali to ponuro.

- Nie jest duże - ocenił Hood. - Niewiele ponad metr średnicy. Z pewnością nie należy do wyposażenia statku.

- Jakaś sonda? - zastanawiała się Jayde. - Może to rodzaj próbnika? Jakiś bezzałogowy lądownik, który przeprowadzi badania. Bezprawne badania.

- Jeśli Czarni mają taką misję, to by wyjaśniało wszystko, co się tu wydarzyło. Szefowie Agencji na Ziemi musieli się spodziewać takiego rozwoju sytuacji na Ruthar Larcke. Może zamierzają porwać kilku ludzi z planety i poddać ich badaniom? Nie jestem prawnikiem, ale słyszałem o pewnej... luce. Człowiek urodzony na innej planecie oficjalnie będzie uważany za obcą formę życia.

- Co za bzdura!

- Niejedyna w świecie paragrafów. Nie było precedensu, nie było potrzeby zmiany prawa. Jeśli mamy rację, to ludzie zabrani z Ruthar Larkce mieliby status... próbek.

Zajął się przeszukiwaniem zasobów pamięci komputera pokładowego. W niesamowitym tempie przybywało danych. Dziewczyna położyła się na wznak i patrzyła w sufit. Apatia zastąpiła wcześniejszą senność.

- Mam pomysł - mruknął Hood kilka minut później. - Jest coś, co może ich powstrzymać przed otwarciem śluzy.

Podgląd w małym okienku z boku ekranu książnika pokazywał ładownię. Wewnętrzne drzwi śluzy były już otwarte, a ładunek wolno opuszczał się do ciemnej, cylindrycznej przestrzeni. Wysunięte ze ścian chwytaki unieruchomiły sondę.

Hood włączył interkom.

- Poruczniku Hamilton! - powiedział do mikrofonu wbudowanego w książnik.

Hamilton spojrzał na jednego ze swoich ludzi, potem wolno przeniósł wzrok na kamerę. Hood nie potrafił rozpoznać, czy to tamten Czarny był wtedy w hibernatorium i zawałił sprawę.

- Nie wiecie nic o tej misji. - Dowódca Czarnych podszedł bliżej kamery. - Nie podejmujcie żadnych działań.

- Według regulaminu Agencji to, co pan zrobił, to zwykły bunt - odparł Hood. - Ponadto zabił pan dwóch ludzi i usiłował zabić również nas. Ale... tym zajmą się odpowiednie instytucje po powrocie na Ziemię. Teraz chciałbym się podzielić z panem informacją, która może zasadniczo zmienić pana poglądy.

Wyraz twarzy Hamiltona nie zmienił się ani trochę, co wcale nie zdziwiło Hooda. Wyświetlił w osobnym oknie tekst znaleziony w zasobach pamięci komputera pokładowego.

- „Zarodniki niektórych ziemskich grzybów znajdowano ponad umowną granicą atmosfery - przeczytał. - Mimo wieloletniego przebywania w próżni i wystawienia na działanie promieniowania kosmicznego, zarodniki nie uległy uszkodzeniu i rozpoczęły wzrost po umieszczeniu na pożywce. Wydaje się możliwe, że zarodniki te mogły nawet dotrzeć do innych planet Układu Słonecznego". Ruthar Larkce otacza chmura zarodników nieznanej formy życia, a USS „Ronald Reagan” jest zanurzony w tej chmurze od chwili wejścia na orbitę. Po otwarciu śluzy zarodniki dostały się do środka i zakaziły Stuarta. Żadne procedury bezpieczeństwa nie przewidują takiego scenariusza. Jeśli otworzycie teraz śluzę, nowa porcja zarodników dostanie się do środka.

Hamilton patrzył z monitora wzrokiem bez wyrazu, potem wyciągnął mały miotacz, wycelował w kamerę i strzelił. Hood i Jayde odskoczyli odruchowo. Wtedy Hood zrozumiał,

że tamten już wie. Wie również, że jest zarażony, wiedział to od początku, od momentu, gdy wszedł do ładowni. Okres inkubacji choroby to około dwunastu godzin, a jemu do wykonania zadania potrzeba znacznie mniej. Hood walnął w przycisk, zamykając okno. Zaklął pod nosem, z trudem powstrzymując się przed ciśnięciem książnikiem o ścianę.

- Kretyn ze mnie! - krzyknął, zaciskając pięści.

Dziewczyna patrzyła na niego pytająco. Przejechał dłonią po włosach i dopiero po chwili wyjaśnił:

- Nie będzie żadnego powrotu. Oni zachowują się jak podczas misji samobójczej. To kosmiczni kamikadze. Nie wiem, co zamierzają, ale na pewno nie liczą na powrót do domu. Ten *freak* nawet nie chce zostać pieprzonym bohaterem! Chce tylko wykonać misję, do której go szkolono. To kolejny punkt do odhaczenia: wykonać misję i umrzeć. - Zastanowił się chwilę i dodał. - Znajdą nas tu... Z poczucia obowiązku, dla satysfakcji albo z nudów. Znajdą i zabiją.

Dłuższą chwilę milczeli, gapiąc się w ścianę.

- To jest bomba - powiedziała Jayde. - To jedyne sensowne wytłumaczenie. Nie chodzi o żadne badania.

Hood przytaknął.

- Tu gdzieś powinno być zasilanie drzwi służby. - Zaczął czytać opisy na ścianach kryjących szafy rozdziału mocy i sterowania elektryką statku. Niestety wszystko było oznaczone symbolami. Sięgnął do książnika, ale w tym momencie podłoga drgnęła. Opuścił głowę i oparł się o ścianę.

- To niszczyciel planet - ciągnęła dziewczyna. Usiadła obok, dotykając go ramieniem. - Wypali całą powierzchnię na kilka kilometrów w głąb, zagotuje oceany. Nie zostanie nic... Czytałam o tym. Bombę można rozbroić...

- Nie wiemy nic o prawdziwej misji USS „Ronald Reagan” - odparł Hood po namyśle. - Nie możemy podejmować działań, nie mając informacji.

- Chcą odpalić tam niszczyciela planet - powiedziała stanowczo Jayde. Wskazała w dół, choć planeta była teraz przed dziobem statku. - Czy to ci nie wystarcza?

- Może Ruthar Larche stanowi zagrożenie dla Ziemi?

- Jakie zagrożenie?! To rolnicy jeżdżący wozami zaprzężonymi w konie! Ziemia jest sto dwadzieścia lat świetlnych stąd!

- Kiedyś na Ziemi też jeździły tylko powozy, a dziś jesteśmy tu i zrzucamy bombę na inną planetę.

- Musimy coś zrobić - powiedziała ciszej.

Hood pokręcił głową.

- Muszę nad tym chwilę pomyśleć. To nie jest takie oczywiste. Nie robiliby tego bez powodu. Zresztą... Potrafisz rozebrać książnik?

Jayde przyjrzała się urządzeniu na nadgarstku mężczyzny: płaski prostokąt z zaokrąglonymi rogami, kilkoma przyciskami i dużym ekranem dotykowym. Żadnych śrub, zacisków, nic, co dawałoby się podważyć, by dostać się do środka. Wzruszyła ramionami.

- Używasz go codziennie od wielu lat - ciągnął mężczyzna. - Co najmniej dwie godziny dziennie, a nie wiesz, jak jest zbudowany. Założę się, że bomba jest znacznie bardziej skomplikowana i zabezpieczona przed przypadkowym dostępem.

- Mamy tu siedzieć i patrzeć?

- Zaczekamy, aż Czarnych wykończy choroba, i wtedy spróbujemy uciec.

- Skażonym statkiem? Komputer odmówi przyjęcia kursu na Ziemię.

- Wiem... - przyznał Hood.

- Musimy ratować tych w dole! Hamilton na pewno zna kody rozbrajające.

- Jeśli nawet, to brakuje nam argumentów. Facet właśnie wydał na siebie wyrok śmierci i zrobił to dla tej misji! Możesz mu przyłożyć lufę do skroni, a jemu nawet puls nie skoczy.

- Spróbuj przynajmniej - poprosiła, dotykając jego policzka.

Westchnął, sięgnął do książnika i połączył się z ładownią. Czarni już się stamtąd wynosili.

- Posłuchaj - powiedział wolno Hood. - Wiem, że masz rozkazy, że do tego cię szkolono... ale jesteś też człowiekiem.

- Tam na dole to nie są ludzie - głos Hamiltona był spokojny. Profesjonalista, który zna swoją robotę.

- Są ludźmi, niezależnie od tego, za co uważają ich prawnicy sto dwadzieścia lat świetlnych stąd. Tak... nie można...

- Nie jesteś zbyt przekonujący - stwierdziła Jayde, zakrywając palcem mikrofon.

Hood spojrzał na nią i podsunął jej książnik.

- Statek jest skażony - powiedział Hamilton z głośnika. - Oni pierwsi zaatakowali.

- I tak zrzuciłbyś bombę! - krzyknęła dziewczyna.

- Ta rozmowa jest bezcelowa.

- Chciałeś nas zabić!

- Ja tylko wypełniałem zadanie. Wszyscy zginiemy za... wkrótce. Jesteśmy zbyt blisko planety, by liczyć na ocalenie. Silniki są zablokowane, więc szkoda waszego czasu na głupie pomysły... Zajmijcie się czymś przyjemnym, to ostatnia szansa.

Kiwnął głową do swoich ludzi. Pobiegli w kierunku drzwi i zniknęli z kadru. Jayde ze złością przerwała połączenie.

- Proponuje nam, żebyśmy się pieprzyli! - dyszała z oburzenia. - W takiej chwili!

Hood wzruszył ramionami.

- Mamy większe zmartwienie. Sądzę, że psy gończe właśnie ruszyły...

- Gdzie się przeniesiemy?

Hood znów wzruszył ramionami.

- Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Równie dobrze możemy zostać tu.

* * *

- Jeść mi się chce - jęknęła Jayde, po raz kolejny w ciągu ostatniej godziny.

Głód i osłabienie powodowały apatię.

Nagle od strony schodów rozległo się ciche syknięcie.

- Co to? - zapytała Jayde, przysuwając się do Hooda.

- Szukają nas - wyjaśnił Hood. - Otworzyli dolne drzwi. W końcu wpadli na to, gdzie jesteśmy.

Dziewczyna szybko znalazła się za nim. Ścisnęła jego ramię.

- Mam cię bronić? - zapytał, nie ruszając się z miejsca. - Szkoda fatygi.

- Jesteś mężczyzną!

- No i co? Jak ty mnie traktujesz od początku misji? Dotknąć cię nawet nie mogę, bo się obruszasz.

- Czy wy zawsze musicie myśleć o seksie? Jesteście tacy... płyacy! Myślicie tylko o zaciągnięciu dziewczyny do łóżka!

- To i tak lepiej, bo wy kombinujecie, jak nas złapać na całe życie. Zresztą... to najgorszy moment na kłótnie. Jak myślisz? Jakie mam szanse w konfrontacji z komandosem? Pięć procent? Dwa? Pieprzę, to i tak nie ma sensu...

- Masz rację. Nie kłóćmy się, oni zaraz tu wejdą. No chodź! - Pociągnęła go za rękaw. Przewrócił się na bok, ale wstał i uniósł się na tyle, na ile pozwalała wysokość korytarza.

- Nie znam rozkładu pomieszczeń w tej części - powiedział.

- Możemy się schować w którejś z tych szaf z kablami.

- Nie. Jak tu wejdą, wleczą z nimi zarodniki. Po namyśle... wolę przeżyć jeszcze parę godzin.

Schyleni przeszli kawałek, aż dotarli do zamkniętej klapy w podłodze. Nie miała żadnego

zabezpieczenia poza dźwignią ryglującą. Wąski, okrągły szyb z drabinką prowadził dwa poziomy niżej. Żółtawe lampy oświetlały niemal pustą przestrzeń, ograniczoną kilkanaście metrów dalej izolowaną ścianą.

- Jesteśmy dokładnie pod sterownią - powiedział Hood.

Z sufitu wychodziło pięć wiązek kabli zasilających konsole przed fotelami. Każda biegła w stalowym stelażu do systemu zaczepów, przytrzymujących kable przy podłodze. Tak samo poprowadzono szósty kabel zasilający ekran. Kabli od kontrolek sufitowych nie było widać. W pomieszczeniu znajdowała się tylko jedna szafa z elektroniką.

Hood przyjrzał się jej.

- Coś mnie tu zastanawia... - Otworzył kratkę w podłodze i zajrzał pod spód szafy.

- Lepiej się stąd wynośmy - mruknęła Jayde. - Oni tak łatwo nie zrezygnują.

- Do tej szafy wchodzi kilka wiązek kabli. - Hood zdawał się nie słuchać. - Każda grubości nadgarstka, a to, co wychodzi od spodu, ma średnicę małego palca.

- Więc?

- Zrozumiałbym, gdyby było odwrotnie...

Zamknął klapkę i zaczął się szarpać z otwieraną ścianą szafy. Wreszcie znalazł obrotowe blokady i otworzył ją. Jayde przyglądała się ze znudzonym zdziwieniem, jak wkłada głowę do środka, mruczy coś pod nosem i ogląda połączenia. Po kilku sekundach usiadł obok, gapiąc się na układy wewnątrz.

- I co tam znalazłeś? - zapytała dziewczyna.

- To pieprzony symulator! - Hood rozłożył ręce. - Na takich uczyliśmy się na szkoleniach Agencji.

- Symulator? - Jayde wykazała wreszcie zainteresowanie i przyklęknęła obok.

- Owszem. Widziałem ten sam układ w trzewiach naszego symulatora. Pamiętasz wspólne szkolenie?

- Coś tam pamiętam... Może symulator ma te same układy? Skoro ma odwzorowywać rzeczywistość...

- Rzeczywistość płynęła do nas przez ten mały kabel. - Hood zamknął szafę i spojrzał na Jayde. - To jak w teleturnieju. Wybierasz odpowiedź A, B, lub C. Proste. Dużego transferu to nie wymaga. USS „Ronald Reagan” to nie lądowik. Tu nie możesz przejść na ręczne sterowanie. Nie masz nawet joysticka do sterowania silnikami. Wybieramy spośród dostępnych opcji, pamiętasz? Tu powstawały te opcje. Ile kolorowych lampek jest na ścianach i suficie sterowni?

- Kilkaset? Nie wiem.

- Nie wiesz też, do czego służą, pani pilot. Nikt nie wie, bo to dekoracja.

- Nawet jeżeli... - skrzyżowała ramiona - to po co nas tu wysłano? Cemu nie poleciała bezzałogowa sonda? Byłaby o rok wcześniej, bo bez ograniczeń przeciążeniowych.

- Jakiś powód musi istnieć. To będzie ten sam powód, dla którego byliśmy oszukiwani, że kierujemy statkiem.

- A to statek kierował nami - przytaknęła dziewczyna.

- Kwarcowy Kretyn nie wypowiedział nam posłuszeństwa. On od początku nie był nam posłuszny, ale to wydało się, dopiero gdy zabrakło gotowych procedur.

- Wtedy przestaliśmy być potrzebni - sprecyzował Hood. W uszach poczuli zmianę ciśnienia.

- Nie zamknąłeś klapy? - Jayde spojrzała na niego.

- Zamknąłem.

Złapał ją za rękę i pociągnął w kierunku opatulonych izolacją drzwi. Miały zaokrąglone rogi i rodzaj kierownicy pośrodku, jak na starych okrętach podwodnych. Hood z wysiłkiem przekręcił koło. Syknęło wyrównywane ciśnienie i drzwi, pokryte grubą warstwą izolacji, odskoczyły.

- Znowu zimno - jęknęła dziewczyna, zaglądając w mroczny otwór.

Stali, czując na stopach lodowaty strumień powietrza, i nie mogli się zdecydować na krok naprzód. Dopiero odgłosy od strony schodów zmusiły ich do dalszego działania. Z oporami weszli do wąskiej przestrzeni wyglądającej jak wielka szczelina w skale. Hood wyciągnął z kieszeni latarkę, zapalił ją i dopiero wtedy zamknął drzwi.

- To pancerz zewnętrzny. Nie dotykaj, bo przymarzniesz - ostrzegł i nagle się zatrzymał. - Tam został mój książnik.

- Przecież nie działał.

- Ale będą wiedzieli, że tam byliśmy. Złapią trop.

- Już za późno...

Powłoki wewnętrzna i zewnętrzna, pomiędzy którymi był tylko niewielki odstęp, połączone były rodzajem amortyzatorów. Trzęsąc się z zimna, ruszyli w kierunku rufy wąskim pomostem bez barier. Minęli kilka drzwi, aż dotarli do miejsca, gdzie ściany pochyły się pod ostrym kątem.

- Maszynownia - wyjaśnił. - Nie ma tu systemów podtrzymywania życia, ale wewnątrz jest przynajmniej ciepło. Z resztą statku łączy nas śluza, na wypadek wycieku. Powietrza starczy na kilkanaście godzin, potem trzeba będzie przewietrzyć...

- Skąd to wszystko wiesz?

- Z nudów studiowałem plany.

Ich twarze w słabym świetle latarki wyglądały na jeszcze bardziej blade.

- Jeśli nie ma innej drogi... - stwierdziła dziewczyna.

Hood odkręcił koło i otworzył drzwi. Znaleźli się na galeryjce otaczającej sporą halę, większą nawet od ładowni. Pełno było tu kratownic, wsporników i rur. W centralnej części z podłogi wyrastały dwie obłe obudowy sięgające niemal sufitu. Wyglądały jak masywne termitiery pełne guzów i ukrytych pod powierzchnią kanałów. Zeszli po stalowych schodach. Jayde przyłożyła dłoń do obudowy jednego z silników. Metalowa powierzchnia była ciepła i delikatnie drżała. Kilka małych ekranów wyświetlało informacje czytelne chyba tylko dla konstruktorów. Jayde chodziła po maszynowni, zaglądając w zakamarki.

- Pewnie nie ma tu nic do jedzenia... - powiedziała. - W końcu będziemy musieli coś zjeść.

- Siebie nawzajem... - mruknął Hood. Czerwone oświetlenie maskowało błądź ich twarzy. - Możemy leżeć gdzieś na górnym pomoście i oszczędzać tlen. Starczy na dobę. Potem wpuścimy zimne powietrze międzypowłokowe, licząc na to, że nadal nie będzie skażone, ale w końcu i tak otworzymy śluzę i pójdziemy do mesy. To jedna z możliwości.

- A druga? - zapytała Jayde, podchodząc do niego.

- Czarni znajdą nas wcześniej.

- Nie ma trzeciej?

- Jej poszukiwania staną się wkrótce naszą obsesją...

Przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na ramieniu.

- Pomyśl o pozytywach - mruknął Hood. - Schudniesz.

XXXIII

Trzech robotników demontowało prowizoryczny dźwig. Przewidywali chyba trudności z wydostaniem się z pałacu, uwijali się bowiem jak w ukropie. Noan nie pożegnał ich nawet jednym spojrzeniem, gdy pospiesznie opuszczali wieżę-observatorium.

Nowy teleskop stał na podwoziu dostosowanym do wmurowanych w podłogę tarasu szyn, by w deszczowe dni można go było wciągać do środka. Noan stał przed teleskopem i nie wierzył we własne szczęście. Odliczał minuty, sekundy do zachodu słońca. Mosiężna tuba o średnicy pięciu stóp, a długości przekraczającej rosłego mężczyznę naprawdę robiła wrażenie. Nitowane obejmy błyszcząły mosiądzem, ozdobne wsporniki usztywniały tubus, który wspierał się na ciężkich łożyskach, zapewniających płynność ruchu w trzech wymiarach. Teleskop został zaprojektowany tak, by dzięki przemyślnemu mechanizmowi zegarowemu mógł śledzić ruchome gwiazdy, a szczególnie Tanur. Z obudowy mechanizmu wystawała korba do nakręcania sześciu sprężyn. Fotel umocowano na podstawie systemem mechanicznych podnośników, a osobny mechanizm dbał o synchronizację z ruchem obiektywu. W zasięgu obserwatora był zestaw zegarów pokazujących aktualny czas, wartości kątowe oraz prędkość zadaną w każdym z dwóch kierunków. Były nawet wskaźniki siły napięcia każdej ze sprężyn i czas pozostały do kolejnego nakręcania. Poniżej zegarów umieszczono pokrętła i korbki do modyfikacji ustawień bez schodzenia na ziemię. Sam szukacz był większy niż cały teleskop Anvisa, leżący teraz pod ścianą.

Anvis został stracony, więc nie będzie miał pretensji. Cóż za ulga. Był jeszcze Fennel. Teraz, obudzony hałasem, stał z szeroko otwartymi oczami i nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa.

- Niczego nie dotykaj - warknął Noan.

Mężczyzna, zaskoczony, cofnął się pod ścianę.

Wiatr zmienił się na wschodni, co dawało nadzieję na oczyszczenie powietrza nad wieżą.

Noan podszedł do największej korby. Tu też był wskaźnik siły naciągu. Młody astronom zaparł się i kręcił korbą, aż wskazówka doszła do końca skali. Spocił się i zadyszał, ale warto było zmęczyć się raz na dwie godziny, zamiast co chwilę kręcić kilkoma korbkami, jak to musiał czynić do tej pory. Upewnił się, że dźwignia blokady jest opuszczona i spojrzał ponad miastem. Słońce stało jeszcze nad najwyższymi dachami, ale o tej porze roku zmierzch zapadał szybko.

Wielki plac w dole był niemal w całości wypełniony ludźmi. Z podestu przemawiał do nich mężczyzna w czerwonej todze.

* * *

- Wiadomość od pułkownika Kanvesa - Ziran odczytał kilka linijek ze zmiętej kartki przyniesionej przez gońca z gołębiami. - Jego trzy tysiące karabinierów wkracza na południowe przedmieścia.

Armunach skinął głową, ale na jego twarzy nie było widać ani odrobiny ulgi. Trzy tysiące nieprzeszkolonych żołnierzy bez motywacji, pozbawionych woli walki. Z pewnością już wiedzieli, że nie dostaną nawet żołdu. Znał też osobiście Kanvesa i nie miał najlepszego zdania o jego umiejętnościach przywódczych. Dezercja połowy żołnierzy potwierdzała to zdanie. Spojrzał na Miraasza.

- Jak twoi ludzie?

- Działa obsadzone - zameldował komendant. - Straże przy najważniejszych pomieszczeniach i przejściach potrojone.

Nawet tu, przez grube okna, słysząc było, że kolejne salwy karabinowe od strony koszar królewskiej kawalerii przerodziły się w ciągłą kanonadę. Miraasz był już pewien, że Czerwone Płaszcz nie są zbieraniną przypadkowych obwiesi. Wiedział też na pewno, że nie jest ich stu, tylko co najmniej tysiąc. Tak intensywnej wymiany ognia nie mogła prowadzić garstka dezertków.

Armunach podszedł do witrażowego okna i otworzył je, wpuszczając do środka odgłosy gwaru miasta i odległej o kilka mil bitwy. Stąd widać było doskonale, że mur jest obsadzony przez żołnierzy armii w armii. Stali po dwóch przy każdym stanowisku strzeleckim. Jednak wciąż byli wyposażeni w muszkiety, więc siła ich ognia nie była imponująca. W czasach pokoju mur wewnętrzny stał się elementem dekoracyjnym ogrodów, porośnięty zielskiem. Nie wyburzono murka obronnego, ale użyto go jako podparcia dla pnączy. Żołnierze w brązowych płaszczach obsadzili szczeliny strzeleckie, gwardziści w zielonych płaszczach

działa większego kalibru. Oczywiście brakowało szesnastu armat, które zostały przewiezione do Medgrun. Przez masowe aresztowania naukowców, nowe nie zostały jeszcze wyprodukowane.

Łącznie w pałacu było blisko tysiąc muszkietierów, w tym pięćdziesięciu z formacji armii w armii, ale ci strzegli pałacu wewnętrznego i mieli stanowić ostatnią linię obrony, gdyby dwie pierwsze zawiodły. Gwardziści nie mieli broni palnej, więc mogli jedynie obsługiwać działa i bronić pałacu w bezpośredniej walce. Armunach doskonale zdawał sobie sprawę, że realną zaporę stanowi jedynie mur zewnętrzny. W dwóch wewnętrznych wybito tyle przejść, często szerokich na dwa wozy, by o klasycznej ich obronie można było zapomnieć. Na wprost głównej bramy znajdowały się drzwi z wielkimi szybami z kryształowego szkła.

Karabinierzy Kanvesa mogli tu dotrzeć za dwie godziny, ale Armunach wciąż nie wiedział, z kim walczy. Przecież nie z tłumem szalejącym na placu. Dopóki bramy były zamknięte, ci ludzie nie mogli fizycznie zagrozić pałacowi. Kim byli żołnierze w Czerwonych Płaszczach? Księżę nie zdobył doświadczenia bojowego, ale przeszedł solidną szkołę i miał wrodzoną intuicję dowódcy. Czuł więc, że skoro na trakcie widziano stu żołnierzy, to co najmniej dziesięć razy tyle pozostało niezauważonych. Niecichnąca kanonada ze wschodu świadczyła, że mogło być ich jeszcze więcej, a w dodatku dobrze uzbrojonych. Na ściągnięcie posiłków z Medgrun ani Hamelon nie było co liczyć.

Miraasz stanął obok księcia-generała i powiódł wzrokiem po panoramie miasta. Słupy dymu unosiły się w kilku miejscach.

- Gdyby doszło do szturm na mur wewnętrzny, wycofasz ludzi do wnętrza pałacu - polecił księżę. - W wąskich przejściach w walce bezpośredniej halabardy będą skuteczniejsze od karabinów.

Komendant skinął głową.

Goniec przyniósł kolejną wiadomość.

- Zostały zaatakowane koszary zachodnie - oznajmił Ziran. - Napastnicy mają czerwone płaszcze i dysponują silną artylerią.

Moją własną, przemknęło wtedy przez myśl Armunachowi. Po raz pierwszy pomyślał, że rozwiązaniem zagadki Czerwonych Płaszcz jest zdrada Tedrunela. Trudno było w to uwierzyć, ale to jedyna racjonalna odpowiedź.

- Wyślijcie wiadomość do Kanvesa. - Odwrócił się do kapitana Zirana. - Niech idzie tu jak najszybciej i usunie ludzi z placu, choćby miał użyć karabinów. Potem dołączy do nas. Otworzymy im bramy. Wyślijcie rozkaz do Gestmego. Niech broni więzienia tak długo, jak uzna to za możliwe. Potem niech się wycofa do pałacu i dołączy do gwardii.

Podszedł do stołu z mapą i umieścił duży czerwony pionek oznaczający tysiąc ludzi przy koszarach kawalerii na wschodzie, potem drugi taki sam przy koszarach zachodnich. Chwilę się zastanawiał i postawił dwa pionki na Alei Dębów, łączącej pałac z traktem do Medgrun.

Kiedy to zrobił, w wylocie alei pojawił się pierwszy żółw. Jechał wolno, powiewając czerwonym sztandarem, a ludzie w milczeniu rozstępowali się przed nim. W ślad za nim z alei wylała się fala żołnierzy w czerwonych płaszczach. Żółw zatrzymał się pomiędzy kamienicami a bramą pałacu. Potężne działo uniosło się wolno i wycelowało w główną bramę.

Miraasz przełknął ślinę. Odwinął połę płaszcza. Spód szaty zapłonął czerwienią.

* * *

W niewielkiej kancelarii więzienia trwała nerwowa krzątanina. Trzech strażników miejskich wydawało karabiny, ukryte dotąd w składziku z narzędziami. Dzienna załoga więzienia liczyła trzydziestu ludzi, ale drugie tyle przybyło po rozbiciu kordonu wokół szubienic.

- Nie ma czasu na ćwiczenia - oznajmił Gestme, gdy wszyscy otrzymali broń i zapas amunicji. - Ci z was, którzy wykonali kilka próbnych strzałów w lochach, niech wyjaśnią pozostałym obsługę tej broni. Nie wszyscy wiedzą, co się dzieje. Ostatni rozkaz księcia Armunacha, który otrzymałem, brzmiał: „Brońcie więzienia do końca”. Mieliśmy się bronić tym! - Wskazał leżące na stosie halabardy. - Mieliśmy umrzeć za cudze błędy. Król oszalał, jak jego dziad, i poprowadził Enagor na wojnę, którą musieliśmy przegrać. Przegrać i zginąć z honorem. - Pokręcił energicznie głową. - Obrona szaleńca i jego nieudolnych dowódców nie jest dla mnie honorem. Nie jest dla mnie honorem wydawanie Enagoru na pastwę wroga i głupią śmierć, bo tak tylko można nazwać stawanie z halabardą przeciw karabinom. Chcę bronić królestwa przed zniszczeniem, nawet jeśli niszczy je panujący król. Powołany właśnie przez myślących jak ja najwyższych dowódców Tymczasowy Komitet Pokojowy niesie nam ratunek. Dlatego opowiadam się po stronie Komitetu.

- Powiódł wzrokiem po zebranych. - Odwróćcie teraz płaszcze na znak lojalności wobec Komitetu. Kto nie chce przechodzić na stronę Komitetu, niech złoży broń i uda się do zbiorowej celi na piętrze. Nie wyciągnę żadnych konsekwencji. Do północy zostaniemy obwołani bohaterami albo zdrajcami. Zależnie od tego, kto wygra.

Odwrócił własny płaszcz. Część strażników poszła w jego ślady od razu, część po namyśle, a trzech odłożyło broń i weszło na piętro. Odprowadziły ich nieprzyjazne spojrzenia.

Gestme chwycił najbliższego stojącego strażnika za ramię.

- Przebierz się w cywilne łachy i biegnij do kwatery - polecił. - Powiedz, że zaczęliśmy.

Następnie wziął piętnastu ludzi i zszedł na sam dół lochów, skąd śmierdziało strachem i śmiercią. To miejsce nigdy nie było przyjemne, ale teraz komendant czuł gęsią skórę, zagłębiając się w te cuchnące paloną smołą czeluście. Sędziowie musieli ich usłyszeć, wyszli bowiem z cel. Habity ze szpiczastymi kapturami były mokre od krwi, miejscami przepalane. Twarze pozostawały w cieniu. Jęki torturowanych ucichły nieznacznie.

Gestme przełknął ślinę. Rozpoznał sylwetkę Dimlata.

- Na gorze szaleje tłum, klecho - powiedział. - Chcą uwolnienia więźniów. Wydaj mi ich dobrowolnie, a pozwolę ci odejść.

Dimlat jakby nie słyszał słów dowódcy straży. Z kącika ust płynęła mu stróżka śliny. Stojący za nim sędziowie wyglądali na przytomniejszych, ale również nie zamierzali się ruszyć.

- Muszę dokończyć dzieła... - wybełkotał Dimlat.

- Jeśli nie wydam ludziom naukowców, sami po nich przyjdą.

- Muszę dokończyć... - Wzrok błdził mu po ścianach, wyglądał jak obłąkany.

- Próbowałem po dobroci... - Komendant skinął na strażników, którzy obrócili karabiny kolbami do przodu i ruszyli na sędziów. Tamci próbowali się bronić, ale silne ciosy powaliły ich na ziemię. Strażnicy powlekli zakonników do największej celi i zajęli się uwalnianiem naukowców. Ci, których dosięgła sprawiedliwość sług Najwyższego, wyglądali potwornie.

Gestme zajrzał do pierwszej celi i poczuł, jak żołądek wykręca mu się na drugą stronę. Więzień przywiązany do opartej o ścianę grubej deski miał całą skórę na korpusie i ramionach pociętą na paseczki, które zwisały wzdłuż tułowia. Nieszczęśnik był nieprzytomny. Zewsząd dochodziły jęki zapowiadające podobne widoki.

- Sprowadźcie lekarzy - powiedział słabym głosem Gestme i ruszył do następnej celi.

Kwadrans później, błądy jak ściana, z zaciętym wyrazem twarzy, wszedł na parter. Mniej poszkodowani więźniowie zgromadzili się przy głównym wyjściu. W panującym gwarze ginęły pojedyncze dźwięki. Gestme otworzył drzwi i wyszli na małe podwórze. Brama drżała od uderzeń wściekłego tłumu. Gdyby mieli drabiny, już by tu byli. Strażnicy przy bramie patrzyli z napięciem, jak wykrusza się zaprawa wokół mocowań zawiasów.

Komendant wszedł po schodkach na pomost i wyjrzał ponad murem. Plac wypełniony był dziesiątkami tysięcy mieszczan.

- Odkryliśmy potworną zbrodnię! - wykrzyknął. Najbliższy stojący unieśli głowy i zobaczyli, jak czerwony płaszcz komendanta łopocze na wietrze. - Niektórzy naukowcy

porwani przez szalonych sędziów nie żyją. Ich śmierć była potworna. Inni umierają i nie potrafimy im pomóc. Część jednak zdołaliśmy wyrwać ze szponów fanatyków. Dlatego też cofnijcie się i zróbcie miejsce, byśmy mogli otworzyć bramę i ich wypuścić.

Tłum zafalował i cofnął się. Gestme zszedł na dół i skinął głową dwóm strażnikom, którzy posłusznie, choć bez entuzjazmu, odsunęli rygle. Wymęczeni naukowcy wyszli na zewnątrz, a mieszczenie, z początku lękliwie, potem coraz śmielej obiegli ich, zaczęli poklepywać po ramionach, wypytywać o ostatnie dni.

Wtedy od strony pałacu rozległy się pierwsze strzały z małokalibrowych armat. Stąd nie było widać, w co trafili, ale krzyk tłumu wzmógł się. W odpowiedzi powietrzem wstrząsnął potężny huk i wielki fragment wewnętrznego muru przestał istnieć. Na bruk spadł deszcz kamiennych bloków.

Strażnicy zaczęli zamykać wrota, ale Gestme ich powstrzymał.

- Dopóki wrota są otwarte, jesteśmy bezpieczni. Jeśli je zamkniemy, zostaną wyłamane, a nasze życie nie będzie wiele warte.

* * *

Mury zatrzęsły się z głuchym dudnieniem, a ze sklepienia posypał się pył. Miraasz rozejrzał się, szukając rys w ścianach sali oficerskiej koszar gwardii. Ta eksplozja tylko upewniła go w decyzji. Popatrzył po siedmiu podoficerach, którzy w tym momencie nie byli jeszcze niezbędni na murach.

- To sinevarska armata - powiedział. - My nie mamy tak potężnych.

- Wróg dotarł już tu?! - Semer zerwał się z krzesła.

- Nie wróg, tylko sojusznik. Teraz wrogiem jest kto inny. - Oczekiwał tych pytających spojrzeń. - Zanim wyjaśnię, zapytam: czy lepiej jest zginąć za sprawę, w którą się nie wierzy, czy porzucić ją i postąpić zgodnie z własnym sumieniem?

Semer pomyślał, że jego dowódca raczej nie posiada niczego, co można by nazwać sumieniem. Ale głośno powiedział:

- Śmierć za nie swoją sprawę to głupia śmierć.

- Dziękuję za wsparcie moralne. Rozkaz księcia-generała Armunacha, wydany w imieniu króla, brzmi: „Gdy wróg sforsuje bramy, idziecie w pierwszej linii, pod osłoną ognia z muru wewnętrznego. Macie zabić lub wypchnąć wroga poza bramy”.

- To pewna śmierć - zauważył jeden z podoficerów.

- I niepotrzebna - dodał drugi. - Tak nie można powstrzymać ani tłumu, ani szturm

piechoty.

- Jesteśmy mniej wartościową formacją - powiedział Semer. - Król woli poświęcić nas niż karabinierów

- Przez takich jak księżę Armunach przegrywamy tę wojnę - wyjaśnił komendant. - Król otoczył się ludźmi mu podobnymi, niedoświadczonymi, zadufanymi w sobie. Rzadko opuszczacie pałac, więc nie wiecie, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. Większość szlacheckich rodów wypowiedziała królowi posłuszeństwo. Plac jest wypełniony po brzegi mieszczanami nienawidzącymi Mechelona bardziej niż Sinevarów. Król nie sprawuje już władzy. Otoczony garstką ślepo zapatrzonych w niego popleczników resztką sił pcha Enagor w stronę przepaści. Poddani są przeciw niemu, arystokracja jest przeciw niemu, chłopstwo jest przeciw niemu. Nawet Kościół się od niego odwrócił. Zostaliśmy my. - Powiódł wzrokiem po zebranych. - Powinniśmy porzucić szaleńca i stanąć po...

- To zdrada! - Sierżant z drugiego rzędu wyszarpnął szablę i rzucił się na Miraasza.

Na to komendant nie był przygotowany. Gdyby Semer nie podstawił napastnikowi nogi, ten usieknąłby Miraasza pierwszym ciosem. Miraasz szarpnął się w tył i wydobył broń. Zawahał się, zabicie własnego oficera było bowiem czynem niewybaczalnym. Zaciśnął zęby i ciął podnoszącego się sierżanta przez plecy. Gruby, zimowy płaszcz złagodził cios, ale materiał został przecięty na sporej długości, a trafiony ponownie padł na ziemię. Płaszcz zaczął nasiąkać krwią. Sierżant wsparł się na łokciu i krzywiąc się z bólu, próbował usiąść. Rana była powierzchowna, ale rozległa i bolesna.

- Zdrayca - powtórzył. - Jesteś zdrajcą.

Na te słowa dwóch kolejnych podoficerów poderwało się, wyszarpując szablę. Reszta uczyniła to z niewielkim opóźnieniem. Czterech na dwóch. Miraasz również wkroczył do akcji. Napastnicy nie mieli szans, padli po krótkiej wymianie ciosów. Podczas tego zamieszania Miraasz niby przypadkiem, leniwym machnięciem szabli poderznął gardło siedzącemu na ziemi rannemu.

Teraz w sali leżały trzy trupy, a czterech sierżantów i komendant patrzyli na nie bez radości zwycięstwa.

- Król nigdy nas nie szanował - powiedział zdyszany Miraasz. - Najwyższym stopniem, jaki może osiągnąć gwardzista, jest sierżant. W armii to nawet nie jest stopień oficerski. Komendant to tylko funkcja, bo ja również jestem tylko sierżantem.

- Ufamy ci, komendancie - powiedział Semer. - Ale wyjaśnij nam, co się dzieje.

- Enagor został zdradzony przez własnego króla. Tak właśnie się stało! Pchnął nas do wojny, w której skazani jesteśmy na przegraną. Jediną nadzieją jest Tymczasowy Komitet

Pokojowy złożony z najwyższych rangą Enagorów i Sinevarów. Dowodzona przez nich Armia Przemian, zwana również Armią Czerwonych Płaszcz, stoi u bram pałacu. Nie weszli jeszcze do środka, bo oczekują rozwiązania pokojowego. Bądźcie pewni, że nasza obrona ich nie powstrzyma.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał jeden z sierżantów.

- Rozmawiałem z przedstawicielem Komitetu. Dzięki niemu mamy karabiny. Dzięki niemu wiem, co mamy robić.

- Naczelnym zadaniem gwardii jest ochrona króla. Przysięgaliśmy...

- Król podczas koronacji przysięgał bronić ziemi swoich ojców. On pierwszy złamał przysięgę. Musimy aresztować Mechelona.

- Aresztować króla?!

- Jest tylko człowiekiem, a każdego człowieka da się aresztować. Król zostanie... ścięty, a ta ofiara pozwoli uratować Enagor.

- Zawsze byłem ci wierny, komendancie - powiedział Semer - ale to, co mówisz, jest zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyliśmy. Poza tym, mimo całego szacunku, nie jesteś idealistą.

- Nie jestem - przyznał Miraasz. - Chcę przeżyć, a nie przeżyję... nikt z nas nie przeżyje szturm. I będzie to głupia śmierć. Walczyć po złej stronie i umrzeć to głupota. A jeśli któryś z was jest przypadkiem idealistą, to aresztowanie króla zapobiegnie śmierci tysięcy mieszczan na placu i zniszczeniu Enagoru. Ma to dla was znaczenie?

Sierżanci patrzyli po sobie, wreszcie Semer zapytał:

- Co mamy robić?

- Do ataku Czerwonych Płaszcz zostało pół godziny. Do tego czasu odpowiadają tylko ogniem na ogień. Wycofajcie dyskretnie ludzi z muru i przyprowadźcie tu, niech się uzbroją w karabiny, a potem ukryją je pod płaszczami i wymienią straż w całym pałacu. Gdy wybije siódma, to już za kwadrans, wtedy odwrócimy płaszcze, odetniemy pałac wewnętrzny i aresztujemy króla i sztab. To będzie koniec wojny.

XXXIV

- Czas swobodnego spadania wynosi kilka godzin - powiedział Hood znad książki. - Bomba nie jest sterowana. W końcu nie ma znaczenia, gdzie spadnie. Ze wstępnych wyliczeń wychodzi, że na zamieszany kontynent.

Jayde leżała na plecach kilka metrów dalej i patrzyła w sufit.

- Nie przeszkadzam ci? - zapytał, odwracając głowę.

- Zdaje się, że chciałeś ratować ten świat.

Poruszyła brodą, mogło to oznaczać cokolwiek.

- Powinniśmy przenieść się wyżej - ciągnął Hood.

- Dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza.

Nie ruszył się jednak. Obserwował na ekranie plan pokładów, który udało mu się przypadkiem znaleźć pod jedną z nic niemówiących nazw wygrzebanych przez robaka. Po planie poruszały się czarne punkciki oznaczające żołnierzy. Jayde leniwie przetoczyła się po podłodze i zerknęła sennie na ekran.

- Dlaczego nie wpadli na pomysł wyłączenia lokalizatorów? - zapytała, dotykając palcem dziury w materiale na ramieniu.

- Zamrożono ich kilkadziesiąt lat temu - wyjaśnił Hood.

- Lokalizatorów używa się na tego typu statkach od dziesięciu, może dwudziestu lat. Mała luka w subprogramie doszkalającym modułu DM1-23: założyli kombinezony z małutkimi lokalizatorami, nie wiedząc o ich istnieniu. - Patrzyli na kropki urządzające polowanie jak na bardzo starą grę komputerową. - Teraz przeszukują pomieszczenia filtrów powietrza. A to oznacza, że cały system wentylacji został skażony. Odłożył książnik i oparł się czołem o podłogę.

- Siedzimy w tej kompozytowej puszcze - mówił cicho - nie wiedząc o jej budowie. Wykryto skażenie, więc program nawigacyjny nie pozwoli nam polecieć w pobliże Ziemi.

Zapewne cały ten system bezpieczeństwa kończy się małym pstryczkiem w którejś z tamtych szaf, wystarczy go przełączyć. Tyle że nie wiemy, gdzie go szukać.

- Chciałbyś wrócić na Ziemię? - Jayde uniosła się na łokciu. - Zarazić wszystkich?

- Nie... ale przeszkadza mi, że nikt nam nie ufa. Nigdy nie ufał. Mogli tu wysłać rakietę samonaprowadzającą się.

- Jeśli wysłali nas, to znaczy, że dopuszczali inną możliwość.

- Niedobrze... - Hood wskazał ekran. Dwie kropki zbliżały się do maszynowni. Przełączył na obraz z kamery na korytarzu. Czarni byli wyraźnie osłabieni, szli wolno z opuszczonymi miotaczami w dłoniach. - Jeszcze ze dwie godziny i będziemy ich mieć z głowy. Ale teraz zabierajmy się stąd.

Po kręconych schodach weszli na galeryjkę otaczającą maszynownię. Gdy Hood zaczął odkręcać blokadę, rozległ się syk otwieranych zewnętrznych drzwi śluzy. Po kolejnych dwóch obrotach drzwiczki do przestrzeni międzypowłokowej odskoczyły. Nagle w twarz buchnęło im gorące powietrze. Jayde krzyknęła i rzuciła się do tyłu, uderzając plecami w barierkę. Hood uskoczył, kątem oka rejestrując, że dziewczyna traci równowagę i przechyła się niebezpiecznie do tyłu. Chciał ją złapać, ale już była w połowie za barierką, spadała, krzycząc. Chwycił ją za ramię, sam boleśnie uderzając się w żebra. Zsunęła się dalej i zawisała w uścisku jego dłoni. Mężczyzna zacisnął zęby i próbował ją wciągnąć.

- Pomóż mi - wystękał. - Masz śliską rękę.

Jayde spojrzała na niego, potem w dół, pięć metrów niżej, na twardą podłogę. Drugą ręką próbowała chwycić krawędź pomostu.

- Nie sięgam...

Hood zauważył kontrolkę przy śluzie, zmieniającą kolor z czerwonego na zielony. Dwie sekundy do otwarcia drzwi. Dziewczyna szarpnęła się i wyrzuciła rękę w górę. Za drugim razem chwyciła dwoma palcami pomost. Drzwi śluzy zaczęły się otwierać. Hood puścił Jayde i cofnął się, przypadając do pomostu.

- Przepraszam - szepnął.

Skrzywił się, słysząc urwany krzyk i uderzenie o podłogę. Dwóch Czarnych weszło do maszynowni. Jeden kaszłał i opierał się o ścianę, drugi rozglądał się z uniesionym miotaczem. Hood zerknął w dół. Dziewczyna poruszyła się, wyraźnie oszołomiona, ale tamci nie mogli jej widzieć - zasłaniała ją podstawa obudowy silnika. Kaszlący żołnierz machnął z rezygnacją ręką i schylony ruszył w kierunku wyjścia. Wdusił przycisk otwierania śluzy. Drugi też zakaszłał, ale miał dość sił, by kontynuować poszukiwania. Zniknął z pola widzenia Hooda za drugim silnikiem.

Jayde uniosła się na łokciu i rozejrzała się. Hood chwilę walczył ze sobą, wreszcie zacisnął zęby i wstał. Na palcach doszedł do schodów. Jeden Czarny wciąż znajdował się za silnikiem. Stalowe stopnie rezonowały od kroków, więc Hood schodził powoli, wręcz zsuwał się po poręczach. Może zostało mi kilka sekund życia, pomyślał zupełnie spokojnie. Dobiegł do leżącej dziewczyny i schylił się nad nią.

- Czy tam nie było przedtem zimno? - zapytała, unosząc głowę.

- Wzeszło słońce. Skąd miałem wiedzieć?

Obejrzał jej nogi. Lewa kostka wyglądała na zwichniętą, ale kości chyba nie były złamane.

- Wstawaj - wyszeptał, próbując ją podnieść. - Jeden Czarny właśnie tu na nas poluje.

- Puściłeś mnie...

- Musiałem, sorry bardzo... Napiszę o tym wiersz, a teraz wstawaj.

Z jego pomocą Jayde uniosła się, opierając się na lewej nodze. Wyglądało na to, że upadek skończył się tylko stłuczeniami. Hood rozejrzał się, ale Czarny przeszukiwał odległy zakątek hali. Nigdzie nie było go widać. Teraz! Jedna szansa na dziesięć. Ruszył do przodu, ciągnąc dziewczynę za sobą i nie rozglądając się. Zimny pot ciekł mu strużkami po plecach. Czuł już prawie strumień plazmy rozrywający go na kawałki lub wypalający w jego klatce piersiowej dziurę na wylot, jeśli tamten ustawił małą moc. Jednak doszli do śluzy i nawet udało się wcisnąć przycisk. Syk wyrównywanego ciśnienia zabrzmiał jak wystrzał. Hood nie oglądał się. Teraz był już naprawdę zaskoczony, że nie ma jeszcze dziury w plecach. Starł pot z czoła. Mechanizmy śluzy chrobotały i posykiwały, wreszcie drzwi odsunęły się w bok.

Śluzę miała kształt pionowego cylindra. Drzwi sunęły po półokrągłej ścianie, a siłowniki dociskały je uszczelkami do profilowanej framugi. Weszli do środka, a Hood wcisnął kolejny przycisk. Kiedy drzwi zaczęły się zamykać, z tyłu rozległ się straszny wrzask i tupot. Hood pchnął Jayde na ścianę. Krzyknęła, widocznie uraziła się w nogę. Upadli na podłogę, a oślepiający błysk rozdał powietrze i spopielił spory kawałek powłoki zewnętrznych drzwi. Drugi strzał trafił w zamykające się drzwi wewnętrzne, roznosząc na strzępy uszczelki. Płonące szczątki spłynęły po ścianach. Z przerażeniem stwierdzili, że w drzwiach została centymetrowa szczelina - rozerwane powłoki kompozytowe zaklinowały się we framudze.

- Kretyn! - krzyknął na całe gardło. - Spędzisz tam resztę życia!

Hood walnął pięścią w panel sterowania, ale zewnętrzne drzwi nie mogły się otworzyć przed wyrównaniem ciśnienia.

Przez szczerbę w drzwiach wsunęła się gruba lufa i plunęła plazmą, przemieniając kawałek podłogi w płynny, dymiący plastik, który zaraz zaczął wsiąkać w konstrukcję stropu

pokładu. Czarny na szczęście nie wpadł jeszcze na pomysł zwiększenia mocy miotacza, bo wtedy zamieniłby całą służę w piec hutniczy. Dziewczyna kaszłała od dymu.

Hood podniósł głowę. Czujnik ciśnienia! Mały otwór w niskim suficie. Wstał i przyłożył do niego dłoń. Podciśnienie przyssało skórę i czerwona lampka na panelu zmieniła się na zieloną. Zewnętrzne drzwi z sykiem odsunęły się w bok. Hood wyciągnął dziewczynę na zewnątrz. Chwilę później strumień plazmy trafił w przeciwległą ścianę korytarza. Włączyły się gaśnice, zamieniając korytarz w kłbowisko baniek sunących w stronę ognia. Odgarnęli kilka z nich - zmyłone ciepłem ciał przywarły do skóry. Drzwi do służy zamknęły się.

Hood podniósł Jayde i pociągnął w kierunku końca korytarza. Otworzył drzwi, dziewczyna odzyskiwała powoli jasność umysłu. Zamknęła drzwi przyciskiem, gdy tylko przekroczyli próg. Nagle otoczyły ich spokój i cisza. Usiedli pod ścianą. Próbowali złapać oddech.

- Mamy jakieś pięć minut, nim dotrą tu pozostali - rzucił Hood.

Rozejrzeli się po swojej nowej kryjówce. We wnękach ściennych wisiały rzędy kompletnych skafandrów próżniowych. Oświetlone zimnym, białym światłem wyglądały, jakby w każdej chwili mogły ożyć. Siedzieli, wdychając czyste powietrze.

- To jest przebieralnia przed służą - odezwał się Hood. - Wyjście na zewnątrz. Całe to szkolenie, które nam zrobili na Ziemi, było gównie warte, skoro nie wiemy, jak to się obsługuje. Pewnie służy do wychodzenia, gdy roboty nie poradzą sobie z naprawą poszycia. Może Kwarcowy Kretyn miał nas poinformować o jej istnieniu, dopiero gdyby coś przebiło zewnętrzną powłokę?

- Znajdą nas tu.

- Wiem...

Popatrzyli na siebie, potem na rzędy skafandrów.

- Nie chcę tego robić - szepnęła dziewczyna.

- Ani ja, ale musimy.

Hood dotknął hełmu najbliższego skafandra.

- Do tego nas nie szkolili - powiedział, zdejmując kombinezon z wieszaka. Sprawdził stan naładowania butli, podał ciężki strój dziewczynie, a sam sięgnął po następny.

Niechętnie założyli skafandry. Hood wyciągnął z kieszeni naramiennej unitoola i znalazł szpikulec, którym przebił pozostałe kombinezony.

- Wiesz, co myślę - szepnęła Jayde, ściskając hełm.

- Stuart chodził po całym pokładzie i nikogo nie zaraził. Jesteśmy zdrowi. Te zarodniki nic nam nie zrobią, nie przenoszą się z człowieka na człowieka.

- Może - odparł Hood. - Mamy też przewagę nad Czarnymi. Oni dysponują wiedzą sprzed kilkunastu lat. Przygotuj się.

Założyli hełmy, zaczęli, aż uszczelnia się kołnierze. Wewnątrz zapaliły się zielone kontrolki potwierdzające hermetyczność. Potem Hood wdusił przycisk służący. Drzwi po łuku odsunęły się w ścianę, zapraszając ich do ciemnego cylindrycznego wnętrza. Kiedy zamknęły się za nimi, donośny syk oznajmił, że ciśnienie spadło do zera. Kombinezony nieznacznie napęczniały. Hood spróbował się uśmiechnąć przez szkło hełmu, ale wyszedł z tego krzywy grymas.

Okrągły sufit rozsunął się na dwie strony i do środka wdarł się niestłumiony atmosferą słoneczny blask. Osłony na hełmach zatrzasnęły się, software kombinezonów dbał o ich wzrok.

Po drabinie wdrapali się na powierzchnię kadłuba „Reagana”. Sztuczna grawitacja tutaj też działała, więc mogli swobodnie stąpać po kadłubie. Panowało tu pół G. Wyłączyli radio.

- Musimy poczekać jakieś trzy godziny - powiedział Hood, dotykając szybką swojego hełmu do hełmu Jayde.

- Potem oni umrą. Jak będziemy oszczędzać, tlenu powinno wystarczyć.

Na dole, na planecie przesuwała się linia terminatora. Hood wstał, uniósł rękę i pomachał tym w dole. Pusty gest, ale pocie przystoi.

XXXV

Niebo na zachodzie szybko gasło, zapalały się gwiazdy. Smuga dymu znad koszar sunęła bokiem. Pożary barwiły dymy nad Riszam na czerwono. W dole ryczał tłum, o bruk bębniły miarowo wojskowe buty - jakiś oddział wchodził na plac od południa. Noan nie słyszał żadnego z tych dźwięków. Stał nieruchomo i chciwie wpatrywał się w teleskop. Na błyszczącym tubusie pojawił się biały punkt i wolno piał się w górę. Astronom odwrócił wzrok na wschód. Tanur rozpoczęła podróż ku zenitowi.

Usiadł na fotelu. Znał przeznaczenie każdego pokręta. W końcu sam zaprojektował każde kółko zębate. Przyłożył oko do okularu szukacza i pokręcił trzema małymi korbkami, aż gwiazda znalazła się w celowniku. Ułożył się wygodniej na fotelu, opuścił główny okular i zapomniał o całym świecie.

Niesamowity krajobraz sfery nocnej wyostrzył się, kpiąc z wcześniejszych obserwacji, ukazał ostry i piękny widok. Gwiazdy nie były dziurami, nie były lampami ani płomieniami. Ani nawet odpoczywającymi świetlikami. Wyglądały jak tatuaże utkane ze światła. Niektóre były zamglonymi punktami, inne kolorowymi spiralami lub świetlistymi chmurami.

Były skupiska drobnych punkcików i wrzeciona, były rzeki świetlnych kropek, były pierścienie i obłoki, a za nimi następne gwiazdy, na tyle małe, że nawet w tak potężnym teleskopie wyglądały jak niewielkie punkciki. Gwiazdozbiór Lisa, w którym po raz pierwszy ukazała się nowa gwiazda, wyglądał zupełnie inaczej - przypominał Noanowi kolekcję dziwacznych, świetlistych stworzeń z morskich głębin. Zaledwie jedna z gwiazd pozostała małą kulką. Jeszcze pięć minut wcześniej tak właśnie wyobrażał sobie je wszystkie.

Astronom poczuł w ustach słony smak. Łzy wzruszenia ciekły mu po policzkach, a on nawet tego nie zauważył. Rozluźnił palce, zaciśnięte mimowolnie na uchwytach korb.

- Nigdy nie zdołam nadać im wszystkim nazw - szepnął sam do siebie.

Czuł, jakby jakaś siła wciskała go w oparcie. W polu widzenia pojawił się większy i

jaśniejszy obiekt. Tanur wypełniła sobą większą część okularu, ukazując się Noanowi w całej okazałości. Teraz widać było wyraźnie, jak przesuwa się na tle innych, znacznie słabiej świecących gwiazd.

Wygląda jak dom z małymi okienkami, pomyślał. Dziwny, biały dom, widziany z góry. Dom na kołach, bo przecież jedzie po tych wszystkich obrazach. Dachem do dołu.

Zwolnił blokadę. Mechanizm, którego zadaniem było przesuwanie obiektywu w pogoni za uciekającą Tanur, wystartował bez drgnięcia. Praca zegarmistrzów była perfekcyjna. Noan poprawił jeszcze ostrość, obracając o ułamek stopnia soczewkę okularu. Tanur miała kształt pestki, a przesuwały się po niej cień Słońca zdradzał, że jest to wrzeciono, skierowane wierzchołkiem w stronę planety. Na jego ścianie stały dwie postacie. Jedna z nich machała ręką. Noan zaczerpnął powietrza i potarł skronie. Ludzie ze sfery nocnej... pozdrawiają go.

Drgania wywołane kolejnymi eksplozjami wprawiały obraz w vibracje. Chwilami Noan nic nie widział. Zaciskał wtedy zęby i czekał, aż drgania ustaną. Ignorował świst kul przelatujących obok i strzelaninę poniżej. Nagle jednak coś oderwało go od okularu - zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili słyszy narastający świst, dochodzący zewsząd. To nie było złudzenie. Po granatowym niebie sunęła oślepiająco jasna kula, ciągnąc za sobą ogon płomieni i dymu. Ognista kula dążyła w linii prostej ku Ziemi, wreszcie znikła za dachami przedmieść, gdzieś na zachodzie. Kilka sekund później jasny błysk oświetlił nocne niebo. Na tę chwilę stało się niemal białe. Groźny, przeciągły pomruk przetoczył się nad miastem.

* * *

- Miałem nieść pokój, a zamiast tego strzelam do własnych żołnierzy - powiedział ponuro generał Tedrunel. Żółw blokował wylot z ulicy dochodzącej do placu, a generał, stojąc na grzbiecie maszyny, obserwował przez lunetę pałac.

Wymiana ognia między Czerwonymi Płaszczami a obroną była bezładna, chaotyczna i żadne rozkazy nie mogły jej powstrzymać. Strzał z żółwia, który rozniósł próbujące go trafić stanowisko ogniowe, powstrzymał na razie kolejne pomysły użycia artylerii.

- Wszystkie posterunki, z wyjątkiem południowych rogatek, zostały zdobyte lub przeszły na naszą stronę - zameldował z dołu oficer łącznikowy.

Generał skinął głową, zszedł z żółwia i wkroczył do sklepu bławatnego, zamienionego pośpiesznie na sztab. Działo tu nawet oświetlenie elektryczne. Wielki stół, służący zwykle do mierzenia i krojenia płócien, doskonale nadawał się do rozłożenia map. Kilku oficerów pochylało się nad nimi i rozmawiało półgłosem.

- Plac jest pełen ludzi - powiedział generał. - Jeśli dojdzie do bitwy, zginą tysiące mieszczan.

- Większa część miasta jest w naszych rękach - zauważył pułkownik Katad. - Broni się tylko pałac i dwie południowe dzielnice. Nie mają szans.

- To nic nie znaczy. Gdyby nasi dowódcy kierowali się logiką, nie przegralibyśmy tej wojny. Na ile znam Armunacha, będzie skłonny negocjować, ale wtedy król najpewniej go zdymisjonuje, a na głównodowodzącego mianuje Kaniena. W kategoriach myślenia Mechelona nie mieści się kapitulacja.

- Nie chodzi o kapitulację, tylko o zawarcie pokoju.

- Dla niego to tylko niuanse. Wszedł oficer łącznikowy.

- Od strony południowej na plac wkroczyło około trzech tysięcy karabinierów - zameldował. - Zatrzymali się, a teraz się przegrupowują.

Tedrunel zacisnął pięści. Nagle wstrząsnął nim atak kaszlu. Przyklęknął i kasłał, rzął, choć już nie miał ani siły, ani powietrza w płucach. Zasłonił dłonią usta i kaszel przeszedł w mimowolne skurcze przepony. Poczuł na ramieniu czyjeś dłonie, ale pokręcił głową, że nie potrzebuje pomocy.

Atak minął. Na dłoni zostało kilka kropel krwi. Wytarł je dyskretnie o chustę, złapał oddech, wyprostował się i spojrzał w oczy wpatrzonym w niego oficerom.

- Jednak będziemy mieć niewinną krew na rękach, panowie - powiedział. Przed oczami krążyły mu czarne plamy. Popatrzył na mapę Miduhr. - Jeśli ruszą dalej, do bezpośredniego starcia nie dojdzie przed upływem kwadransa, bo tamtych oddziela od nas zbity tłum. Jeśli nasz człowiek w pałacu przez ten czas nie zdoła wykonać planu, zniszczymy bramę i rozpoczniemy szturm w jednym tylko miejscu. To pozwoli ograniczyć liczbę ofiar wśród cywilów. Przygotować ludzi i pierwszego żółwia do salwy na rozkaz. Zaczynamy od dział rozmieszczonych na wyższych piętrach kamienic. Mają zniszczyć stanowiska ogniowe wewnętrznego muru. Potem żółw. Pierwszy strzał rozniesie drewnianą bramę, drugi wejście do zespołu budynków oraz zneutralizuje strażę. Wtedy ruszy piechota.

* * *

Miraasz na czele trzydziestu paru gwardzistów maszerował w kierunku przejścia do wewnętrznego pałacu. Rzucił wściekle spojrzenia na prawo i lewo. Nie wszystko poszło tak łatwo, jak przewidywał. Jego argumenty nie przekonały wszystkich i był zmuszony aresztować część własnych ludzi, zanim doszłoby do powtórki sytuacji z kwatery. Gwardziści

przy kolejnych posterunkach salutowali, odstawiali halabardy, odwracali płaszcze i wyjmowali spod nich ukryte karabiny. Przynajmniej ta część pospiesznie skleconego planu szła dobrze - przydzielił tu zaufanych ludzi.

Sześciu gwardzistów przed drzwiami pomieszczeń sztabowych zachowało się tak samo. Przeciwnie drzwi prowadziły do prywatnych komnat króla. Pilnujący ich gwardziści pospiesznie odwrócili płaszcze.

Komendant zastanowił się.

- Ty idziesz po Mechelona. - Skinął na Semera. - Weź dziesięciu ludzi, napotkasz tam najwyżej urzędników. Reszta za mną.

Jednocześnie otworzyli oboje drzwi. Zaskoczeni oficerowie przerwali dyskusję, gdy ujrzeni wycelowane w siebie kilkanaście karabinów.

- W imieniu Tymczasowego Komitetu Pokojowego aresztuję was - oznajmił Miraasz. - Od tej chwili jesteście panowie jeńcami wojennymi. Odebrać im broń i związać!

Przebiegł wzrokiem po twarzach, ale nie dostrzegł wśród nich Armunacha. Brakowało też Kaniena.

- Gdzie generałowie? - zapytał.

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Nie było czasu na przesłuchania. Rozejrzał się po sali i zobaczył zamknięte drzwi do pomieszczenia radiowego.

- Tam! - Wskazał i podążył za najbliższym gwardzistą.

Tamten otworzył drzwi i w tym samym momencie rozległ się huk wystrzału. Gwardzista osunął się na ziemię. Miraasz przekroczył ciało i ujrzał Kaniena z dymiącym pistoletem, a za nim operatora radia, Armunacha i Rufusa - właśnie wysyłali rozkazy. Z głośnika wydobywały się głośnie szумы i trzaski. Elektryczna lampa pod sufitem pulsowała światłem.

Kanien wykrzywił usta w grymasie wściekłości i rzucił nieprzydatnym pistoletem w komendanta. Miraasz uchylił się i strzelił generałowi prosto w serce. Kanien otworzył usta, by wykrzyknąć słowa protestu, może obelgę, ale nie starczyło mu sił. Runął bez życia u stóp Armunacha. Rufus nachylił się nad Kanieniem i wyszarpnął jego szablę. Armunach chciał go powstrzymać, ale wtedy Miraasz strzelił ponownie. Adiutant zgiął się w pół i opadł na kolana. Złapał się za brzuch, ze zdziwieniem spojrzał na zakrwawioną dłoń i powiększającą się na koszuli ciemną plamę. Zamknął oczy i przewrócił się na generała.

- Pięciostrzałowy. - Miraasz wycelował w Armunacha. - Zostały trzy naboje.

Książę-generał spojrzał na komendanta z pogardą. Nie wypowiedział ani słowa.

Dwie minuty później, gdy wszyscy oficerowie stali pod ścianą ze związanymi z tyłu rękoma, do sali wszedł Semer. Bezradnie pokręcił głową.

- Tchórz uciekł! - syknął komendant. - Przeszukajcie cały pałac wewnętrzny. Mógł się za kogoś przebrać.

Spojrzał na zegar w rogu sali. Do siódmej brakowało minuty. Druga grupa powinna właśnie wciągać czerwoną flagę na maszt na szczycie kopuły nad Wielką Salą. Było to najwyższe miejsce w mieście i z pewnością doskonale widoczne z placu.

Gwardziści rozbiegli się, by przeszukać skrzydło. Miraasz usiłował przypomnieć sobie tajne przejścia, które mogły prowadzić do sal królewskich. Z tego, co wiedział, wszystkie zamurowano lata temu, Mechelon II nie myślał o ewakuacji, ale bał się zamachowców, którzy mogliby z tych przejść skorzystać. Pozostawało więc żmudne podważanie boazerii, sprawdzanie den kufrów. Praca na kilka dni, a każda godzina wolności króla, to godzina niepewności i wahania dla żołnierzy i tłumu. Miraasz wcale nie był pewien, jak zachowa się tłum, jeśli nie zobaczy egzekucji. Jeśli kilkadziesiąt tysięcy ludzi wdrze się do pałacu, nastąpi chaos, w którym Mechelon spokojnie wyjdzie przez główną bramę.

- Zamknijcie ich w kilku osobnych pomieszczeniach - polecił, wskazując więźniów. - Generała sam przesłucham. Semer, zostań. Reszta wyjść.

Zostali w sali sami. Światło przygasło i zapalało się pełną jasnością, jakby ktoś bawił się przełącznikiem. Miraasz stanął na wprost Armunacha.

- Gdzie Mechelon? - zapytał, nie podnosząc głosu.

- Przysięgałeś bronić króla do ostatniej kropli krwi - przypomniawszy spokojnym głosem książę. - Ufał ci bardziej niż komukolwiek z nas.

Miraasz znał ten typ człowieka. Książę nie okazywał strachu i zapewne musieliby go długo torturować, nim cokolwiek by wyjawiał. Czasu jednak nie było. Podniósł karabin i wycelował w pierś Armunacha. Zdecydowanie nie było czasu, a żywy książę-generał był tylko zagrożeniem.

- Ostatnia szansa - powiedział.

- Nie trać czasu, zdrajco. - Książę patrzył komendantowi prosto w oczy. - Nie powiem ci, gdzie on jest.

- Twoja decyzja.

Wystrzał odbił się echem od wysokiego sklepienia.

XXXVI

Hood wyciągnął rękę i wskazał jasną kreskę na nocnej części planety, ale Jayde zauważyła ją już chwilę wcześniej. Kreska zgasła równie nagle, jak się pojawiła. Wiedzieli, co to znaczy. Hood dotknął swoim hełmem do hełmu dziewczyny.

- Nim wybuchnie, zdążymy wrócić do środka - powiedział.

- To coś zmienia? - zapytała bez nadziei.

- Przeżyjemy sam wybuch, jesteśmy wysoko, ale impuls elektromagnetyczny zniszczy całą elektronikę na pokładzie. Ekranowanie jest zbyt słabe na taką energię. Wtedy albo strzelą silniki, kończąc naszą egzystencję w jednej nanosekundzie, albo zostanie nam kilka dni powolnego zamarzania.

Dziewczynę przeszedł dreszcz na samo wspomnienie zimna w hibernatorium. Objęła ramię mężczyzny i położyła na nim głowę. Niezgrabne kombinezony nie zdołały odrzec tego gestu z resztek romantyzmu. Sytuacja była osobliwa. Leżeli na poszyciu statku kosmicznego, jakby to była majowa łąka, a pod stopami mieli obcą planetę.

Wewnątrz hełmów zamrugały pomarańczowe lampki wezwania radiowego. Hood, po chwili zastanowienia, wcisnął przycisk na panelu piersiowym. Najpierw ze słuchawek doszedł ich kaszel, dopiero potem usłyszeli słowa Hamiltona:

- Od tej chwili nic już nie można zrobić. Anteny spaliły się podczas przechodzenia przez atmosferę.

- Można wziąć lądownik - odpalił Hood.

Chwila milczenia.

- Mogę jeszcze zniszczyć oba lądowniki... zdążę, ale to nie ma sensu. I tak nie potraficie rozbroić bomby. Nawet ja nie wiem, jak to zrobić. Możecie wrócić na pokład, ta zabawa straciła sens. Jestem w mesie.

- A ty nas zabijesz? Po to przecież cała ta gadka. Obiecałeś to swoim ludziom, jako

ostatnią rozrywkę w ich życiu.

- Oni już nie żyją. Zostałem tu sam... Polowanie się nie powiodło.
- Ty nawet nie żałujesz tego, co zrobiłeś?
- To Kameleon... - zdążył jeszcze powiedzieć Hamilton, nim nastąpił kolejny atak kaszlu.

Hood przerwał połączenie. Zaciśnął pięści w bezsilnej złości, aż ból kazał mu rozluźnić mięśnie. Siedzieli obok siebie, gapiąc się tępo w czerniejącą przed nimi powierzchnię Ruthar Larcke. Głód stał się już czymś naturalnym. Żołądek, ściskany od wielu godzin, przestał ślać do mózgu alarmujące sygnały bólu. Teraz tylko monotonicznie powtarzał, że jest pusty.

- Nie poruszy statku - powiedział Hood, znów stykając ich hełmy szybami. - Musiałby usunąć blokady, a to czasochłonny proces. Będzie się bał, że nie zdąży ich ponownie aktywować.

- Co nam szkodzi, że statek się poruszy?

- Przeciężenia są redukowane do zera tylko w centralnej części pokładu głównego. Wystarczy przejść do dalszych pomieszczeń, by ponabijać sobie guzów. Podobno w samym środku pola znajduje się fotel kapitana. Stąd, z kadłuba, po prostu by nas zmiotło. Nawet nie zauważylibyśmy, gdzie podział się „Reagan”.

Hood nagle uświadomił sobie, że tamten naprawdę umiera. Może i był to chytry wybieg, może do tego również szkolono Czarnych, ale wrażenie było niezwykle mocne. Ukrył twarz w dłoniach, a przynajmniej spróbował, bo duży hełm nadał temu gestowi karykaturalny charakter. Nie było jednak nikogo, kto mógłby się śmiać. Wstał, podszedł do śluzy, otworzył osłonę panelu sterującego i przekręcił zieloną dźwignię. Jayde w milczeniu, wymuszonym przez otaczającą ich próżnię i wyłączone nadajniki, stanęła obok. Wrota śluzy wolno otworzyły się na dwie strony.

* * *

Sterna nieżywych była ogromna. Znacznie urosła od ich ostatniej wizyty w pokoju relaksacyjnym. Tunele w żelu objęły całe terrarium. Mijały się, przeplatały, krzyżowały. Krążyło w nich kilka tysięcy mrówek obu armii, prowadząc nieustanne podchody pod siedzibę przeciwnika. Małe potyczki zdarzały się nieustannie. Śladem po większych bitwach były korytarze i groty zapchane nieruchomą masą splecionych pancerzyków, odgryzionych odnóży i czułków.

- Nie próżnowały - mruknął Hood.
- Czy cały świat musi tak wyglądać?! - wybuchnęła Jayde. - Wszystko co żyje musi się

nawzajem zabijać? Czemu tak jest?

- Może zaraz poznamy odpowiedź.

Pożegnali wzrokiem zagryzające się mrówki i wyszli na korytarz. Drzwi do mesy, która znajdowała się kilkanaście metrów dalej, były zamknięte. Zbliżali się do nich wolnym krokiem, niechęć i obawa brały bowiem górę nad ciekawością. Wyobraźnia podsuwała im wizję Hamiltona siedzącego na wprost drzwi z wymierzonym w nie miotaczem. Tak naprawdę - gdyby rzeczywiście chciał ich zabić, czekałby przy słuzie. Zatrzymali się przed szarą powierzchnią drzwi, spojrzeli na siebie, by się upewnić, że chcą to zrobić. Hood wcisnął przycisk otwierania.

XXXVII

Armunach patrzył na drgające ciało komendanta i oddychał szybko. Stojący wciąż z uniesionym karabinem Semer wyglądał na wystraszonego.

- Musisz się przebrać, książę - powiedział. - Inaczej nie przejdziemy.

Bez dalszych pytań ani wyjaśnień ściągnęli z trupa mundur. Armunach był szczuplejszy, ale płaszcz maskował zbyt obszerny strój. Sierżant zerwał z kołnierza insygnia oficerskie. Armunach z obrzydzeniem zanurzył dłoń w kałuży krwi Miraasza i wysmarował nią twarz. Koszula i tak była nią przesiąknięta.

- Tędy, książę. - Semer wskazał boczne drzwi. - To przejście do komnat królewskich. Przez nie łatwiej się wydostaniemy.

- Ubierzmy go w mój mundur. To da nam kilka minut przewagi, jeśli tu wejda.

Naciągnęli na trupa spodnie i koszulę generała. Nie udało się zapiąć guzików, ale i tak ułożyli go na brzuchu. Korytarzykiem przebiegli do sąsiedniej sali, na szczęście pustej, i dalej do głównego korytarza.

- Udawaj rannego - syknął Semer.

Generał schylił głowę. W samą porę, gwardzista stojący najbliżej nachylił się i zapytał:

- Co ci jest?

- Nie może mówić - odparł sierżant. - Prowadzę go do szpitala.

Wyszli na korytarz, minęli kilkunastu innych gwardzistów, a potem, gdy schodzili, również żołnierzy, którzy wchodzili do pałacu przez główną bramę. Pałac został poddany, ale wciąż słychać było wystrzały, również z luf większego kalibru. Armunach pomyślał, że to żołnierze armii w armii bronią się w północnej baszcie. Było ich niewielu, więc długo to nie potrwa.

- Gdzie król? - zapytał.

- Myślałem, że wiesz! - wykrzyknął zaskoczony Semer. - Przecież Miraasz...

- Chciałem dać Mechelonowi więcej czasu na ucieczkę.

- Jeśli ty nie wiesz, to mam nadzieję, że nikt inny też nie. Mechelon II kazał zamurować wszystkie tajne przejścia z tamtego skrzydła. Bał się skrytobójców, więc wymyślił inne sposoby na sprowadzanie kochanek.

- Powinniśmy go odszukać. Znasz ten pałac lepiej ode mnie.

Semer pokręcił głową.

- Szuka go kilkuset gwardzistów. Na południe od zamku są nasi. Musisz przejąć nad nimi dowodzenie, książę. - Zamilkli na chwilę, gdy mijało ich dwóch gwardzistów prowadzących zakonnika. - Znam kilka przejść. Za koszarami jest wyjście na zewnątrz.

Skręcili w boczny korytarzyk i dalej podążyli przejściami dla służby, aż dotarli do stalowych drzwi tuż przed wejściem do koszar.

- Jeśli nie są po stronie Komitetu, a wyjdziemy w czerwonych płaszczach, zabiją nas, zanim wypowiemy jedno słowo - zauważył Armunach.

- A jeśli teraz odwrócimy płaszcze, a oni...

- Zdejmijmy je - zdecydował książę.

Złożyli płaszcze i przewiesili przez ramię. Semer otworzył drzwi. Za nimi nie było nikogo. Koszary były puste. Przeszli między poprzewracanymi stołami i porozrzucanym sprzętem. Trudno było się zorientować, co się tu właściwie stało i po czyjej stronie są teraz żołnierze. Generał wszedł do łazienki i z ulgą obmył twarz z krwi. Potem zaszedł do magazynu, odnalazł koszulę i spodnie w swoim rozmiarze. Płaszcz nie było. Przebrał się, odwracając płaszcz Miraasza zielonym na zewnątrz.

- Dlaczego mi pomagasz? - zapytał.

- Czuję, że tak trzeba.

Zeszli po schodkach, wiedzeni pamięcią sierżanta. Teraz jedynym źródłem światła była świeczka zabrana z magazynu. Drzwiczki na końcu krótkiego tunelu były wąskie, ale solidne i zamknięte od środka na kilka grubych zasuw, które musiały być nieużywane od lat, z trudem udało się je otworzyć dopiero po podważeniu nożem.

Wyszli w gąszcz krzaków, u podnóża wysokiego na dwadzieścia stóp muru. Za gałęziami, kilkanaście kroków dalej, wrzał tłum. Nie było widać nic więcej. Zsuwali się w dół małej skarpy, przedzierając się przez szarpiący ubranie gąszcz, i rozpędem wpadli między ludzi. Nikt nie zwrócił na nich uwagi.

* * *

Tanur schowała się za dachami Miduhr, zresztą i tak widoczność była fatalna, całe niebo zasnuły bowiem dymy nowych pożarów. Młody astronom leżał w fotelu. Przymknął oczy, świetliste, kolorowe wzory gwiazd krążyły mu pod powiekami, a w myślach wciąż oglądał skomplikowany kształt Tanur i dwie postacie na jej powierzchni. Nie miał kogo zapytać o sens tych obrazów. Na całym świecie on jeden miał okazję widzieć tak dokładny obraz nieba. I wiedział - po pół godzinie wpatrywania się w okular teleskopu zwierciadlanego był już innym człowiekiem.

Dopiero po chwili zorientował się, że słyszy walenie do drzwi na dole wieży. Od czasu aresztowania Anvisa zaczął zamykać je na skobel. Zwłókł się z fotela, zbiegł dwa piętra niżej i otworzył. Dwaj gwardziści w czerwonych płaszczach przywieźli starego, przygarbionego zakonnika. Wyglądał na zmęczonego, ale nie można o nim było powiedzieć, by był wątłej postury. Spory brzuch i podbródek świadczyły o niezbyt wstrzemięźliwym trybie życia, ale podkrążone oczy i poszarzała twarz sugerowały, że ostatnie dni nie należały do lekkich.

- Orestes Gaolin? - zapytał jeden z gwardzistów.

- Tak, to ja.

- Szukali cię wszyscy nasi ludzie. - Mężczyzna uśmiechnął się. - A ty cały czas siedziałeś pod naszym nosem.

- No to mnie wreszcie znaleźliście.

- Godzinę temu przestaliśmy cię szukać. - Wskazał na swój czerwony płaszcz. - Przychodzimy z czym innym. Ten oto człowiek to Hamtel, głowa rozwiązanego właśnie Kościoła Najwyższego. Ma zostać stracony jeszcze tej nocy. Jego ostatnim życzeniem była rozmowa z tobą.

Orestes spojrział na zakonnika i cofnął się pod ścianę, by zrobić przejście. Hamtel skinął głową, przestąpił próg i odwrócił się do swojej eskorty.

- Nie musicie mnie pilnować - powiedział. - Nie zamierzam uciekać. Gdy skończę rozmowę, wrócę do was.

Gwardzista, który przedtem mówił, skinął głową i odparł:

- Przyjdziemy za kwadrans.

Astronom poprowadził niespodziewanego gościa do biblioteki. Zapalił trzy świece. Pchnięty nieznany impuls wyciągnął z szafki butelkę wina i rozlał do dwóch kielichów. Usiedli na wprost siebie i posmakowali kwaśnego napoju.

- Zastanawiasz się, dlaczego moim ostatnim życzeniem była rozmowa z tobą? - przerwał milczenie Hamtel. - Dlaczego stary człowiek, który rozumiał, że całe jego życie nie miało sensu, że służył kłamstwu... dlaczego ten stary człowiek, wiedząc, że za chwilę ma umrzeć,

przyszedł do kogoś, kogo jego śmierć nic nie obchodzi?

Orestes wolno pokręcił głową i powiedział:

- Nie interesuję się religią. Interesuje mnie wiedza i nauka.

- Religia to sposób na przetrwanie wiedzy. Najlepszy, bo samopowielający się i samoutrwalający. Poświęciłem Kościołowi całe życie, a tydzień temu, ledwie w godzinę zobaczyłem swój błąd. Zobaczyłem koniec świata, na który Najwyższy, gdyby istniał, nigdy by nie pozwolił. Widziałem, jak świat zamienia się w ogień, a potem w wielką nicość. Tej wizji doznałem w świątyni podczas rytuału zaśnięcia. Być może naukowcy potrafiliby to jakoś zinterpretować, ale różnice między religią a nauką są zbyt głębokie, wręcz nie do pogodzenia. Choćby wiek rasy ludzkiej. Nauka twierdzi, że najpierw były małe stworzenia, potem stopniowo pojawiały się coraz większe, że zmieniały się i rosły, aż któreś zamieniło się w pierwszego człowieka. Natomiast jeden z podstawowych dogmatów wiary mówi, że wszystkie gatunki powstały jednocześnie, nie dalej niż czterysta lat temu, a Najwyższy dał nam język i wiedzę, byśmy podporządkowywali sobie świat. Wiara mówi, że Najwyższy jest nami wszystkimi, sumą wszystkich żywych stworzeń na Ziemi; nauka, że każde najmniejsze zwierzątko czy roślinka żyją dla siebie przeciw wszystkim innym. Wiem już, że cokolwiek bym zrobił, i tak nie odnajdę swojej drogi.

- Więc jesteśmy w podobnej sytuacji, ojcze - odparł astronom. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że rozmowa z kimś może przynieść mu ulgę. - Miałem kiedyś teleskop. Wydawał mi się szczytem osiągnięć ludzkiej myśli technicznej. Potem zobaczyłem doskonalszy teleskop i zrozumiałem, że to, co widziałem wcześniej, to były jedynie marne cienie prawdziwego nieba. Pół godziny temu po raz pierwszy spojrzałem w okular teleskopu, który sam zaprojektowałem. To najdoskonalszy przyrząd, jaki kiedykolwiek wykonano. Zobaczyłem niebo, które wcześniej tylko mogłem sobie wyobrażać, patrząc na jego cień w okularach starych teleskopów. Powinien to być zatem najszczęśliwszy moment mojego życia. - Pokręcił głową. - Nie jest. Starczyło te pół godziny, bym wrócił do punktu wyjścia. Teraz jedyne, czego pragnę, to spojrzeć na sferę nocną przez jeszcze potężniejszy teleskop. Nie wiem, jak mógłbym go zrobić, ale jestem pewien, że nawet on da mi jedynie cień tego, co mógłby mi dać lepszy od niego. Zrozumiałem więc, że drzewo poznania nie ma wierzchołka i że będę się na nie wspinał do końca życia, wciąż widząc tylko cienie. Hamtel pokiwał głową.

- Jakież sens ma to wszystko? Rewolucja, religia, królestwo, cywilizacja, wojna... W końcu zgodziłem się z Ksurearem, kontestatorem rzeczywistości, a nawet kontestatorem kontestacji rzeczywistości. - Roześmiał się gorzko. - A jednak miał rację. Wszystko to nic, jeśli i tak, cokolwiek byśmy uczynili, dobrze czy źle, skończymy w piekle na ziemi. Nihilisci

mogą triumfować! Ostatni tydzień spędziłem w mojej celi. Nie modliłem się, bo nie miałem do kogo. Medytowałem. Tyle zostało mi z mojej religijności - dziwna kontemplacja bez Boga. Osobliwa pustka, jakby ktoś bliski odszedł. Efektem tych medytacji jest moja wizyta tutaj. - Hamtel wbił wzrok w stół. - W klasztorze paskudnie karmią. Przez ostatnie lata jadłem wyłącznie niedoprawione papki. Owszem, dokładki byty, ale naprawdę nie chciałbyś tak obiadować. Przez te lata marzyłem o prawdziwym posiłku. W skrytości ducha marzyłem, ale dogadzanie sobie nie mieści się w naszych normach. Potrawy były więc zdrowe i pożywne, ale celowo wręcz niesmaczne. Pracowałem całe życie i odmawiałem sobie przyjemności, by zapracować na wieczne życie po życiu, a teraz wiem, że po śmierci czeka mnie tylko nicość. Gdy żołnierze w czerwonych płaszczach weszli do klasztoru i wywlekli tych, którzy jeszcze nie uciekli, zapytali mnie o ostatnie życzenie. Wahałem się, czy wybrać porządny obiad, w nadziei, że nieprzyzwyczajony do przypraw żołądek okaże się wolniejszy od kata, czy przyjść tu. I jestem tu.

- Zmarnowałeś szansę na porządny posiłek - zauważył astronom. - Nie pomogę ci. Nawet gdybym chciał, a nie chcę, to nie umiałbym.

- Nie mnie masz pomagać! Ja niedługo zginę, to pewne. Masz pomóc reszcie, w tym i sobie. - Hamtel spojrzał mu w oczy. - Jesteś śniarzem. Lepszym ode mnie. Najlepszym, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Ja potrafiłem zobaczyć tylko piekło na ziemi, koniec wszystkiego. Może ty... Może moja ognista wizja nie była nieuniknioną przyszłością. Może przeznaczenie, w które wierzyłem całe życie i o którym nauczałem, nie jest prawdą. Może ty... może zdołasz odwrócić los.

- Śniarzem? - zapytał Gaolin.

Z dołu rozległo się stukanie do drzwi.

- Zbierz jak najwięcej ludzi - polecił zakonnik. - Uśpij ich i rozwiąż zagadkę. Nowa gwiazda niesie śmierć. Jeśli zdołasz zrozumieć naturę zagłady, może jej zapobiegiesz.

- Wstał. - Na mnie już czas. Nie dowiem się, czy ci się uda, ale nadzieja będzie mi towarzyszyć w ostatnich chwilach. Powodzenia, młody człowieku.

Zszedł na dół, zostawiając Orestesa nad na wpół opróżnionym kielichem, z głową pełną pytań bez odpowiedzi.

Zegar wybił ósmą. Astronom wyszedł na taras i spojrzał na zadymione miasto. Pożarów było coraz więcej i dymy z wolna zasnuwały niebo - dziś nie będzie już obserwacji.

Potem opuścił wzrok na plac pełen ludzi. Było ich tam w dole dobrze ponad sto tysięcy.

* * *

Romozel wyjątkowo szybko zadomowił się w pałacu. Zasiadł na tronie Mechelona III w sali sztabowej i z kielichem wina obserwował z góry mapę Miduhr. Tedrunel z Nerhusem ustalali w świetle przygasających lamp plan wyparcia i rozbicia poborowej armii południowej, czyli resztek ósmego i dziewiątego pułku karabinierów. Reszta oficerów była bardziej potrzebna gdzie indziej. Komisarz wykorzystał chwilę odpoczynku, aby przyjrzeć się ostatecznej fazie zwycięstwa. W sali stało kilkunastu wybranych gwardzistów - zadomowienie nie mogło oznaczać braku czujności.

Komunikator, zainstalowany tu przez wynalazcę Klanka, podzwaniał denerwująco i błyskał lampkami podpisanymi jako arsenał, koszary, więzienie, sala tronowa i kwatera główna gwardii.

- Wycofali się w wąskie uliczki - powiedział Nerhus.
- Założyli gniazda obrony w kamienicach.
- Weźmiesz swoich karabinierów i pułk Demuna - zdecydował Tedrunel. - Spróbuj negocjować poddanie się. Jeśli uda ci się ich nastraszyć, nie dojdzie nawet do jednego wystrzału.

- Czemu nie chcesz użyć większych sił? - zapytał komisarz. - Przy przewadze liczebnej, doświadczeniu i uzbrojeniu tym bardziej nie powinno być problemów. Jeśli się nie mylę, to zbieranina ludzi, którzy nie potrafią nawet dobrze strzelać.

- Wygląda, jakby ktoś przejął dowództwo - wyjaśnił Tedrunel. - Zajęli najbardziej prawidłowe pozycje w kamienicach najstarszej części Attikanu. Przedtem, na placu, zachowywali się jak bezładna banda. Wystawiali się na łatwy cel naszej artylerii.

- Czemu więc nie zaatakowałeś wtedy? - zapytał Romozel.
- Ze względu na zbity tłum mieszczan. Ofiary liczylibyśmy w setkach.
- To zły pomysł na przedstawienie nowej władzy - zgodził się. - Kiedy zamierzacie zaatakować?

- Nie zamierzamy. Wygralibyśmy, to pewne, ale przy znacznych stratach po obu stronach, a zniszczeniu uległoby wiele budynków. Potem oczyszczanie miasta z niedobitków mogłoby trwać tygodniami. Lepiej ich skłonić do kapitulacji i rozpuścić. To rolnicy, którym zależy jedynie na powrocie do domu. Uciekliby dawno, gdyby nie bali się swoich dowódców.

- Na razie nie będziemy nikogo rozpuszczać. - Romozel nalał sobie kolejny kielich wina. Zżerający go od wielu dni stres mijał i komisarz folgował sobie wyjątkowo. - Jeszcze się nam przydadzą. Podobnie zresztą jak wasi karabinierzy.

Tedrunel spojrzał na niego zaskoczony.

- Więc nie zamierzasz zwolnić poborowych do domów?

- Oczywiście, że nie. - Komisarz zdziwił się niemal szczerze. - Przez najbliższe lata będziemy musieli utrzymywać nową władzę. Południowe prowincje poczuły już wiatr historii i na wiosnę zapewne zaczną się buntować. Sąsiedzi, którzy dotąd siedzieli cicho, będą próbowali oderwać od Enagoru co bardziej urodzajne ziemie przygraniczne. Ale nawet w Miduhr czy w Medgrun okres przejściowy może nie być spokojny. Generał zacisnął usta i oznajmił:

- Przyczyniłem się do śmierci wielu ludzi. Mam nadzieję, że więcej uratowałem. Zdradziłem króla, by ratować kraj. Moim celem było zaprowadzenie pokoju. Na to się zgodziłem, ale na nic więcej. Po rozbiciu armii południowej odejdę ze służby.

- Czy wiesz, co znaczy twoje nazwisko w jednym z zaginionych języków? - zapytał Romozel. - Zapisane nieco odmiennie, znaczy tyle, co „władca”. Pomyśl o tym. Potrzebujemy doświadczonych dowódców, ale i silnej, licznej armii.

- Skąd pieniądze na żołd?

- Żołd... to było wielkie trwonienie środków, a dekret nic nie kosztuje. Wydam więc dekret o bezpłatnej i obowiązkowej służbie wojskowej. To czysty zysk. Jak wiesz, jest wiele rodzajów korzyści, a przecież jedną z korzyści jest brak strat. Czytałeś *Społeczeństwo*, a nic nie zrozumiałeś. Był tam jeden dobry przykład, trafnie obrazujący tę sytuację. Jak rodzic ma zmusić dziecko do połknięcia niesmacznej mikstury leczniczej? Pamiętasz?

- Obiecać mu cukierka - odparł ponuro Tedrunel.

- A jak już połknie i upomni się o zapłatę? Co wtedy należy zrobić? - Generał milczał, więc komisarz dokończył. - Powiedzieć mu, że nie dostanie cukierka, bo od nich psują się zęby. Cel można osiągnąć bez ponoszenia kosztów. A jeśli dziecko ma już cukierka i niczego do szczęścia nie potrzebuje? Jak wtedy zmusić je do posłuchu? - Komisarz wstał z tronu i zszedł z cokołu. - Zabrać cukierka, a potem obiecać, że dostanie go z powrotem. Porównanie relacji władza-ludność do relacji rodzic-dziecko jest bardzo trafne.

- Pamiętam to... - Tedrunel patrzył na Romozela z kamienną twarzą. Stojący obok Nerhus - z niechęcią.

- Klapsa też nie należy traktować jako kary - ciągnął komisarz. - Jeśli klaps stanie się dla dziecka czymś normalnym, nagrodą będzie już sam brak klapsa. Nie znaczy to wcale, że dziecko trzeba regularnie bić, wystarczy regularnie grozić biciem i zmuszać je do ubiegania się o nagrodę, czyli... o nic. Doskonały i tani system motywacyjny. Nie mogę cię teraz zwolnić ze służby, generale.

Drzwi otworzyły się i do sali wszedł komendant Gestme. Zasalutował.

- Przygotowania do egzekucji zakończone - zameldował. - Za dwie minuty zaczynamy.

- Doskonale. - Romozel podszedł do okna. - Chodźcie wszyscy. Zobaczycie ważny

element polityki wewnętrznej.

Do sali wszedł karabinier armii w armii. Zasalutował przed generałem i oznajmił:

- Znaleźliśmy ją.

Tedrunel wyprostował się, spojrzał na żołnierza i dopiero po chwili zrozumiał, co tamten ma na myśli.

- Prowadź - polecił krótko.

Wyszedł za karabinierem, nic nikomu nie wyjaśniając. Komisarz odprowadził go wzrokiem, ale nic nie powiedział. Otworzył okno i oparł się o parapet.

Pogodzony z losem Hamtel wszedł na podwyższenie bez niczyjej pomocy. Nie opierał się, wręcz chciał to mieć jak najszybciej za sobą, jakby przebywanie na tym świecie dostatecznie go zmęczyło. Dimlat natomiast wygrażał swym oprawcom, wrzeszczał coś (Romozel nie słyszał co) i wskazywał na niebo, zapewne podpierając się w swym szaleństwie najwyższym autorytetem. On również nie wyglądał, aby obawiał się śmierci. Sprawiał wręcz wrażenie kogoś, kto już do cna stracił kontakt z rzeczywistością.

Nowo mianowany kat nie był wprawiony w rzemiośle i chwilę się szarpał z węzłem stryczka, nim Hamtel usłuźnie sam wsunął głowę w pętlę. Dimlat nie pomagał, ale i nie przeszkadzał katu w czynieniu powinności. Nie zwrócił uwagi na linę uwierającą go w szyję.

Teraz tłum tylko obserwował, nie wyrażając ani niezadowolenia, ani aprobaty. Kat nie potrafił budować atmosfery widowiska. Nie był artystą. Zwyczajnie wziął w dłonie drewniany młot na długim trzonku i wybił kliny trzymające klapy.

Ciała kolejno opadły, szarpnęły się. Kończyny chwilę drgały i już było po wszystkim.

- Hamtelowi miał towarzyszyć Mechelon III - westchnął Romozel. - Wielka szkoda. Drugi raz nie zbierzemy takiej publiczności.

- To będą następne egzekucje? - zapytał Hamal, na którym śmierć zakonników zrobiła duże wrażenie.

- No oczywiście, to dopiero początek. Przed nami długi proces budowania szacunku dla nowej władzy.

Pomyślał przelotnie, że szubienice trzeba będzie wzmocnić i zabezpieczyć przed wilgocią, by bezawaryjnie posłużyły do wiosny. Co najmniej do wiosny.

Miał już zamknąć okno, gdy zauważył, że do podwyższenia ktoś się zbliża. Młody człowiek w granatowej szacie naukowca szedł pustą aleją wytyczoną od bramy do szubienic kordonami strażników miejskich. Przy schodach rozstąpili się przed nim, cały czas nie spuszczać z niego wzroku. Człowiek wszedł na podwyższenie, minął nieruchomego kata i stanął pomiędzy dwoma bujającymi się jeszcze wisielcami. Spojrzał na nieruchomy tłum

poniżej i usiadł ze skrzyżowanymi nogami i wyprostowanymi plecami.

Na kilka sekund tłum zamarł w oczekiwaniu. W świetle zatkniętych na murach pochodni i migających latarni elektrycznych ludzie prawie się nie poruszali. Zapanowała cisza, a potem coś się zmieniło. Morze ludzkich głów zafalowało, westchnęło. Najpierw ci przy samym podwyższeniu, potem ci oddaleni zaczęli siadać, kłaść się na ziemi. Cały wielki plac wypełnił się szelestem osuwających się ciał. Niewidzialna moc rozchodziła się koncentrycznie od szubienic, jak fala na jeziorze po wrzuceniu kamienia. Nawet stojący ćwierć mili dalej Romozel w chwilę później poczuł lekkie, lecz nagłe znużenie. Patrzył na plac, na leżących ludzi i poczuł strach, a potem ciekawość. Było pewne, że patrzy na zjawisko wykraczające dalece poza całą jego wiedzę.

Obok w oknie stanęli Gestme i Hamal. W przeciwieństwie do komisarza tamci dwaj czuli jedynie strach.

- Przyprowadź tu tego człowieka, komendancie - polecił spokojnym głosem Romozel.
- Może być z tym pewien problem, komisarzu - zauważył Gestme. - Wygląda na to, że wszyscy, którzy się do niego zbliżą, muszą zasnąć.

- To nie może trwać wiecznie. Gdy zaczną się budzić, idźcie po niego.

Gestme zasalutował i wyszedł. Komisarz stłumił ziewnięcie i pomyślał, że naprawdę powinien się przespać. To był ciężki dzień.

Przyjrzał się dokładniej placowi. Ktoś jednak nie spał. Jedna jedyna postać stała całkiem blisko podwyższenia, wśród dziesiątek tysięcy leżących ludzi.

* * *

Ogarnięty niezrozumiałą sennością Tedrunel w eskorcie dwóch żołnierzy armii w armii zaczął schodzić w głąb więziennych lochów. Mijali ich uwolnieni więźniowie, niektórzy wspierali się na ramionach strażników. Smród, jaki panował na najniższym poziomie, był trudny do zniesienia, ale za to działał rozbudzająco. W migotliwym świetle pochodni uwijali się strażnicy z twarzami przesłoniętymi wilgotnymi chustami i lekarze. Ci drudzy oddzielali trupy od żywych oraz próbowali odgadnąć, który żywy mimo ich starań trupem i tak się stanie - tym podawali jedynie środki na uśmierzenie bólu.

Generał stanął na środku korytarza. Bał się podejść do stosu trupów. Bał się, że ją tam zobaczy.

- Kto tu dowodzi? - zapytał przechodzącego lekarza.
- Tu nie ma czym dowodzić. - Lekarz wytarł zakrwawione ręce w szmatę. - Byłem wiele

razy na froncie. Takich ran nie widziałem nigdy. Jakby to sprawiało im przyjemność...

- Gdzie ona jest? - zapytał Tedrunel.

W słabym świetle lekarz dopiero teraz zauważył, z kim rozmawia.

- Jest tam, generale. - Ruszył, by wskazać miejsce. - Gdy ją ocuciliśmy, wypowiedziała tylko twoje imię i znów straciła przytomność. Dlatego po ciebie posłaliśmy. Jeśli zająłem twój czas bezpotrzebnie...

- Torturowali ją?

- Tak, ale nie mocno. Do obecnego stanu doprowadziła ją ona. - Strażnik wskazał wciśniętą w kąt zamkniętej celi otyłą kobietę. - Gdy tu dotarliśmy, w zapamiętaniu nawet tego nie zauważyła.

Generał odwrócił głowę, rzucił Somni krótkie, zaskoczone spojrzenie. Wszedł za lekarzem do przeciwległej celi. Evola leżała na sienniku, nakryta kocem narzuconym na przesiąknięte krwią płótno. Tedrunel przyklęknął i drżącą dłonią dotknął jej policzka. Był zimny i wilgotny od potu i krwi. Na całej skórze znać było liczne ślady po uderzeniach bicia, który leżał teraz obok: z twardego uchwytu wystawało kilkanaście rzemyków zakończonych trójkątnymi ostrzami.

- Jest wycieńczona - wyjaśnił lekarz. - Dlatego jej nie przenieśliśmy.

Tedrunel nachylił się i usłyszał płytki oddech. Delikatnie unióś jej głowę i odsłonił kawałek koca. Ślady po uderzeniach były wszędzie. Rany krzyżowały się, tworzyły wzory, miejscami nakładały się - tam skóra zwisała w strzępach wraz z włóknami mięsa. Generał zamknął oczy i dotknął czołem jej czoła.

- Jakie ma szanse? - zapytał cicho. Lekarz westchnął i odpowiedział z ociąganiem:

- Sądząc z ilości utraconej krwi...

- Mów.

- Raczej nie przeżyje najbliższej godziny. Tedrunel zamknął oczy.

- Zostawcie nas.

Lekarz i dwaj żołnierze wyszli.

Generał usiadł pod ścianą. Został tak, tuląc do siebie Evolę i mówiąc jej wprost do ucha to wszystko, co chciał powiedzieć od dawna.

* * *

Gdy Orestes Gaolin otworzył oczy, wiedział już wszystko. Prawie wszystko, bo znał źródło i powód nadciągającej zagłady, znał nawet sposób na jej uniknięcie, ale nie zdołał

odkryć, czy sposób okaże się skuteczny. To mogła pokazać jedynie przyszłość.

Ludzie wciąż leżeli wprost na bruku. Powietrze było ciepłe od ich ciał. Spokojne oddechy tworzyły rzadką mgłę, unoszącą się nad placem i uciekającą w noc. Jedna tylko postać stała nieruchomo i wpatrywała się w śniarza. Było za ciemno, by przyjrzeć się jej dokładnie, ale poznał ją, gdy wykonała drobny gest. Gdy odsunęła włosy z czoła, wiedział już, kim jest. Zerwał się z miejsca i zbiegł po schodach, ale w tym samym momencie wszyscy zaczęli się budzić. Biegł między ludźmi, deptał ich, jeśli nie mógł znaleźć wolnego kawałka ziemi, potykał się. Mimo to poszukiwana zniknęła mu z oczu za tysiącami ziewających i przeciągających się ludzi. Biegł, przepychał się między rozstępującym się dzięki nieznanej sile tłumem. Krążył, rozglądał się.

- Tanur... - powtarzał cicho. Bał się krzyczeć. Bał się, że go nie pozna. Wreszcie zatrzymał się, zrozumiał bowiem, że już jej nie znajdzie.

Drgnął, czując czyjąś dłoń na ramieniu.

- Komisarz Romozel pragnie cię widzieć - powiedział strażnik miejski. Za nim, nad południowymi dzielnicami, w niebo wystrzeliły czerwone race. Przez kilka sekund pięły się w górę, kładąc purpurę na dachach, aż wpadły w sunący nad miastem dywan dymu i rozpały go na moment.

Astronom skinął głową i pozwolił się zaprowadzić do głównej bramy. Spotkanie z komisarzem było tym, co teraz powinien uczynić.

Zgromadzeni na placu ludzie rozchodzili się do domów. Pozostały nieruchome ciała tych, którzy już się nie obudzą.

* * *

Biegli bocznymi uliczkami, podzieleni na kilkunastoosobowe drużyny. Przestraszeni ludzie pierzchali im z drogi.

Pachzan prowadził dwunastu młodszych od siebie karabinierów. Przystawał jedynie na skrzyżowaniach, by sprawdzić, czy porusza się równo z innymi oddziałami. Z sąsiedniej przecznicy pomachał do niego Zaklis. Ruszyli dalej. Zostało jeszcze pół mili. Potem przyjdzie czas na odpoczynek. Kluczowe dla całej akcji było zaskoczenie - zajęcie stanowisk w tym samym momencie, w dodatku zanim wróg zorientuje się, że jest okrążany.

To już był Attikan, najstarsza dzielnica Medgrun. Domy były tu przysadziste, o kamiennych elewacjach - inaczej niż w innych dzielnicach. Biegli, aż ujrzeli posterunek brązowych płaszczy, jak nazywali resztkę armii Mechelona. Dziesięciu żołnierzy pospiesznie

budowało barykadę. Przez okna zrzucali meble, z ulicy wyrywali bruk. Pachzan dał znak, by karabinierzy zatrzymali się, i poprowadził ich w bok, do bramy najbliższej kamienicy. Wrota były zamknięte, ale starczyło podważyć je bagnetem, by ustąpiły. Drzwi mieszkania dozorca otworzyły się, ale natychmiast zamknęły ponownie. Dotarli na trzecie piętro, potem na stryszek, wypchnęli klapę w suficie i wdrapali się na dach. Przyczaili się za kominami, ale było to zbyteczne. Przeciwnicy nie wpadli na pomysł wystawienia tu posterunku. Karabinierzy przemknęli po dachach do następnej przecznicy. Rozkazy wyraźnie mówiły, by dalej nie iść, nawet jeśli wróg się wycofa. W narożnej kamienicy zeszli na schody, bagnetami wyłamali drzwi i zaczęli cichutko przeszukiwać mieszkanie. Pachzan wszedł do sypialni i w słabym świetle księżyca i nielicznych miejskich latarni dojrzał łóżko i śpiącą na wznak kobietę. Była sama. Brak mężczyzny zdecydowanie ułatwił sprawę. Chłopak przysiadł na łóżku i zakrył dłonią usta śpiącej. Wyrwana ze snu kobieta wyprężyła się, wytrzeszczyła oczy i chciała krzyknąć, ale karabinier przyłożył palec drugiej ręki do ust i zczekał, aż się uspokoi. Wtedy powoli cofnął dłoń i gestem kazał zejść na dół. Jak ona w ogóle zdołała zasnąć w taką noc? Nie musiał tłumaczyć podwładnym, co trzeba zrobić.

Skryci za zasłonami stali już przy oknach i obserwowali ulicę. Dwóch pozostało na schodach i przy drzwiach.

Pachzan obszedł wszystkie stanowiska i wrócił do sześciu strzelców obserwujących ruchy strażników na dole. Dwaj żołnierze wroga rozpalili w koszu ognisko i w jego ciepłe grzali dłonie. Doświadczeni żołnierze nigdy by tego nie zrobili. Widać ich było doskonale, a sami, oślepiani światłem, nie widzieli niemal niczego. Nie wpadli na pomysł obsadzenia wyższych pięter. Kolejny błąd.

- Patrzcie na niebo - polecił. - Za chwilę powinien pojawić się sygnał. Zaczniecie od zdjęcia tych przy ognisku. Potem biegniemy do sklepu po drugiej stronie.

- Jeszcze tydzień temu to były nasze barwy - zauważył Rakko, najmłodszy karabinier.

- Ale teraz już nie są.

Usiadł na podłodze, by nie wystawiać się na cel, i wysypał z torby cztery granaty odłamkowe - najnowszy wynalazek Akademii. Karabinierzy otrzymali je godzinę temu. Nie mieli czasu ćwiczyć, jedynie poinstruowano ich, jak działają. Granat miał kształt gruszki z krótkim i grubym ogonkiem, zakończonym kulistym bezpiecznikiem. Przed rzuceniem trzeba było skruszyć szklaną podstawę bezpiecznika i wyciągnąć go. I ten moment od wybuchu dzieliły sekundy. Miało ich być pięć, ale instruujący ich naukowiec wspomniał, że niedokładność sięga dwóch sekund. W walce to sporo.

Pachzana korciło, żeby w czasie ataku wypróbować działanie granatu na tych w dole.

Zrezygnował. Amunicji mieli dużo, a granaty tylko cztery. Doświadczenie, jakie zdobył w czasie swojej krótkiej żołnierskiej kariery, podpowiadało mu, że dwóch strażników oznacza co najmniej dziesięciokrotnie liczniejszy oddział w środku przeciwległej kamienicy. Wiedział, że jedynym przeszkoleniem, jakie przeszli tamci, był tygodniowy marsz z któregoś z niewielkich miast południa. Dotarli tu ci najmniej sprytni, którym nie udało się uciec po drodze. Południe Enagoru było słabo zaludnioną dziczą, w której uciekinierów nawet nie próbowano szukać.

Pachzan uśmiechnął się. Fakt, że mieli przeciw sobie bandę nieudaczników, nie był powodem do dumy, ale dawał nadzieję, że zwycięstwo przyjdzie bez większych trudności. Musiał sam przed sobą przyznać, że rzemiosło żołnierza zaczyna mu się coraz bardziej podobać. To było znacznie ciekawsze wyzwanie niż pasanie kóz czy naprawianie dachu stodoły. Zabijanie ludzi. Tym było w rzeczy samej - sprawnym zabijaniem ludzi. Spochmurniał. Spojrzał na swoje dłonie. Wydały mu się zabarwione na czerwono. Im dłużej na nie patrzył, tym czerwieńsze się stawały. Wreszcie wszystko wokół przybrało tę barwę: cały pokój, sypialnia samotnej kobiety, którą wygonił z jej własnego domu.

- To już!

Momentalnie poderwał się na równe nogi. Niebo płonęło czerwienią flar sygnałowych. Dwaj przy oknie oddali pojedyncze strzały, zgodnie z rozkazem zdejmując strażników. Prawo wojny. Tamci nie dowiedzą się już, dlaczego zginęli.

- Na dół! - krzyknął Pachzan. - Czterech zostaje i osłania stąd!

Trzy piętra biegiem w dół. Z góry słychać kanonadę czterech karabinów. Po pięć strzałów, potem nowy magazynek. Kiedy wypadli na ulicę, przed sąsiednią kamienicą leżało z dziesięć trupów. Zero strat własnych, pomyślał przelotnie Pachzan. Na inne refleksje zabrakło czasu. Wpadli przez wyłamane wcześniej drzwi do sklepu rzeźnika i rzucili się na ziemię. Tu, za rozbitą witryną, mogli czekać na łatwy cel. Kim jest wróg? Nad takimi pytaniami przyjdzie się zastanawiać jutro. Dziś jest czas zabijania. Czas wyrzutów sumienia nadejdzie dopiero jutro. Trudne pytania muszą poczekać na łatwiejszą sytuację.

Pachzan zdawał sobie sprawę, że równie dobrze mógł być po drugiej stronie, niedoświadczony wybiegać pod kule. Ale nie był. Był właśnie tu.

Ruch w hallu kamienicy! Pięciu żołnierzy. Nie... pięciu wystraszonych chłopców, jak oni niedawno. Pięciu chłopców wybiegło z kamienicy w noc. Pięć strzałów, pięć trupów. Karabinierzy Armii Przemian nie byli już tymi wystraszonymi chłopcami. Byli wyszkolonymi zabójcami.

Polowanie na kaczki, pomyślał Pachzan, naciskając po raz kolejny spust. Wiedział, że

tamci nie mają szans. Powinni przejść chociaż podstawowe szkolenie. Armia z południa, która miała być nadzieją króla. Za późno zaczęli być żołnierzami. Będą wybiegać kolejno, a on kolejno będzie ich zabijał. A potem zabije biegnących już w tę stronę budowniczych barykady. W ładownicy miał sto nabojów. Aż nadto.

Przymierzył się do strzału, gdy nagle tamci się zatrzymali. Opuścili broń i spojrzeli w górę. Skinął na resztę oddziału, ale oni nie patrzyli na niego. Patrzyli w niebo.

Z chmur i dymów ponad miastem wynurzał się brzuch potwora.

* * *

Nie trwało to godziny. Zaledwie kwadrans. Odeszła cicho, nie budząc się. Po prostu przestała oddychać.

Generał nakrył twarz Evoli kocem, wstał i wyszedł na korytarz, z którego uprzątnięto już rannych i trupy. Stał przed celą, gdzie w rogu kuliła się przerażona gruba kobieta.

- Otwórz - polecił strażnikowi.

Gdy wszedł do środka, podpełzła do jego butów jak wielka larwa. Płakała i obejmowała jego nogi. Odtrącił ją lekkim kopnięciem.

- Chciałam, żebyśmy znów byli razem - zaskomlała. - Chciałam, żeby ona zniknęła... żeby jej nie było. Tak cię kocham... Jak ja cię kocham! Zabierz mnie do domu. Będzie jak kiedyś...

Wstała, czepiając się jego ubrania. Spojrzał w jej zapuchniętą twarz. Taftową suknię miała zachlapaną krwią. Krwia Evoli.

- Ona była zła... - szlochała dalej. - Miała wielu kochanków... Kłamała... Zrobiłam to, żeby się dowiedzieć prawdy. Żeby poznać, żeby ci powiedzieć...

Tedrunel wolno unióś dłonie i zanurzył w zwałach tłuszczu na jej szyi jak w miękkim, rozrobionym cieście. Somnia zrozumiała jego zamiary dopiero po chwili. Próbowwała złapać go za ramiona, bić po twarzy. Wytrzeszczyła oczy i rozpaczliwie machała rękoma.

Żołnierze armii w armii patrzyli na to z zimną, ponurą satysfakcją. Lekarz odwrócił wzrok i wyszedł.

Z gardła Somni wydobył się bulgoczący charkot. Generał rozluźnił uchwyt i tłusta larwa plasnęła o ziemię.

* * *

Romozel przyglądał się badawczo astronomowi. Chłopak stanął przed tronem w nieco za dużej, niebieskiej, wyszywanej złotą nicią szacie naukowca. On również badawczo przyglądał się komisarzowi.

- Wcześniej osiwniałeś jak na swój wiek - zauważył Romozel. - Albo wprost przeciwnie: jesteś stary, ale zachowałeś młodzieńczą cerę.

- Nie widzę koloru moich włosów - odparł astronom.

- Rano były czarne. Nie obchodzi mnie to. Nazywam się Orestes Gaolin i przyszedłem do ciebie w innej sprawie.

Komisarz nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Wezwałem cię tu.

- Nie. Przyszedłem do ciebie, bo mam sprawę. Rozmawiamy tylko dlatego, że teraz ty tu rządzisz. Wczoraj rozmawiałbym z królem.

Komisarzowi ani trochę nie podobał się ten ton, ale w głosie Orestesa brzmiała taka pewność siebie i spokój, że postanowił wysłuchać impertynenckiego młodzika, mimo że wystawiało to na próbę jego autorytet - na sali byli gwardziści, a nawet i kilku oficerów.

- Orestes Gaolin nie żyje od miesiąca - zauważył.

- Znałem go.

- Wymyśliłem to imię, by móc bez ryzyka zrealizować kilka pomysłów. Być może ten, kogo znałeś, nosił identyczne imię. To teraz nieistotne.

- Mów dalej. - Romozel starał się nie wykazywać entuzjazmu. Zapomniał już, dlaczego wezwał tu astronoma.

- Miesiąc temu na niebie pojawiła się nowa gwiazda. - Orestes stał nieruchomo, poruszał jedynie ustami. - Nazwałem ją Tanur. Czy zauważyłeś, komisarzu, jak bardzo przyspieszył ostatnio rozwój nauki?

- Powstała Akademia Nauk - odparł Romozel, coraz bardziej zaintrygowany. - Dzięki niej wynalazcy mogli wzajemnie korzystać ze swej wiedzy.

- Akademia powstała dlatego, że pojawiła się Tanur. Wtedy właśnie naukowcy zaczęli ściągać do Miduhr i organizować się. Byłem jednym z nich, ale - w przeciwieństwie do reszty - wiedziałem, co mnie popycha. Dziś zrozumiałem sens mojej drogi oraz sens wydarzeń ostatniego miesiąca. Przypuszczam, że w Fongard i innych dużych miastach naszego świata przebiegało to podobnie. Potrzebuję kartki papieru i pióra.

Siedzący przy biurku z dokumentami Hamal rzucił się, by podać mu żądane przybory. Orestes usiadł ze skrzyżowanymi nogami wprost na podłodze i zaczął rysować. Po chwili zmienił pozycję na klęczną, ale wciąż mówił:

- Jesteś tu, komisarzu, ponieważ monarchia musiała upaść jako system władzy niezdolny do elastyczności. Król z definicji jest ponad innymi obywatelami, a w ustroju, jaki zapisałem w *Spółeczeństwie*, wszyscy są równi. To oczywiście utopia, ale przez krótki czas będzie działać. - Romozel chciał zaprotestować, ale Orestes mu nie pozwolił. - To oznacza też, że wszyscy są skłonni do współpracy w imię wspólnego dobra. Oczywiście do czasu, ale mnie interesuje tylko jedna doba. Jeśli nie uda się nam zrealizować projektu, inne sprawy nie będą miały żadnego znaczenia, wszyscy bowiem zginiemy. W ostatnim miesiącu miało miejsce więcej istotnych wydarzeń niż przez poprzednich sto lat. W wielu dziedzinach nauka wykonała skok, którego nie sposób wyjaśnić w inny sposób niż poprzez mobilizację przed najwyższym zagrożeniem.

- Przyspieszenia nabrał rozwój techniki wojennej - przyznał Romozel.

- Nie o tym zagrożeniu mówię. Zagrożeniem jest Tanur.

- Gwiazda, jakich tysiące nad nami na sferze niebieskiej?! Trudno mi w to uwierzyć, młodzieńcze.

- Sfera niebieska nie istnieje. To wymysł małych, zabobonnych umysłów. Ziemia jest glinianą kulką zawieszoną w nicości i nieznanymi siłami zmuszoną do obiegania ognistej kuli Słońca. Wokół nas jest wielka pustka, a gwiazdy to inne słońca z innymi ziemiami, bądź nawet całe stada, ławice słońc.

Romozel wlepił w niego wzrok.

- Trudno w to uwierzyć...

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz, komisarzu - Orestes uniósł na moment wzrok i samo to spojrzenie starczyło, aby Romozel zamknął usta. - Mamy niewiele ponad dobę, by uratować nasze życie. Każda chwila czczego gadania to chwila stracona. Pozwól więc, że będę tłumaczył sprawę w tempie, jakie uznam za właściwe.

Oficerowie spojrzeli na komisarza, ale ten nawet nie drgnął.

- Tanur nie jest gwiazdą - ciągnął Orestes. - To pojazd, jakim przybyły istoty z innej ziemi, krążącej wokół innego słońca. Nie wiem wprawdzie, jakim sposobem utrzymują się nad nami, ale nie ma to teraz znaczenia. Najważniejsze, że ich misją jest unicestwienie nas. Nie tylko Enagoru, nie tylko wszystkich ludzi, ale wypalenie całego życia aż do rdzenia naszej planety. Chcą się nas pozbyć, wytępić. Naturalne jest, że przyszedłem do najpotężniejszego człowieka, do jakiego mogłem dotrzeć w tak krótkim czasie. Oczekuję, że ten człowiek okaże się na tyle mądry, by mi pomóc. Wszystkie ostatnie wydarzenia, ze szczególnym naciskiem na przemiany społeczne i rozwój wszystkich kierunków nauk, były konieczne, by powstać mogło to. - Odwrócił papier, ukazując oczom komisarza kompletny

schemat.

- Dlaczego?... - zająknął się Romozel. - Dlaczego mieliby nas zabijać? Nic złego im nie robimy.

- Ale możemy kiedyś zrobić. Są tu z tego samego powodu, dla którego toczy się obecna wojna między Enagorem a Sinevarem. Znasz tę zasadę doskonale, jeśli czytałeś stare księgi. Nosi ona nazwę dylematu więźnia. Współpraca jest opłacalna dla obu stron, a zdrada przynosi znacznie większe korzyści, ale tylko zdrajcy. Do zdrady, więc wojny, jedną stronę popycha wyłącznie obawa przed zdradą drugiej strony. Dlatego właśnie między Sinevarem a Enagorem trwa wieczna wojna o dolinę Medgrun, mimo że wojna jest pozornie bezsensowna, bo żaden z krajów nie potrzebuje całej doliny. Ci, którzy przysłali Tanur, wiedzą, że kiedyś również będziemy umieli skonstruować pojazd zdolny zawieźć śmierć ich rodzinnej planecie. Dlatego postanowili się przed tym zabezpieczyć. Przywieźli nam śmierć jako pierwsi. Wieczorem nad Miduhr przeleciała ognista kula.

- Spadł meteoryt...

- To nie był meteoryt. To posłaniec zagłady. Bomba znacznie potężniejsza niż petardy, którymi strzelają żółwie. - Orestes wstał, podszedł do komisarza i przy całkowitym braku reakcji gwardzistów wręczył mu kartkę z naszkicowanym dopiero co schematem. - To ratunek przed zagładą.

- Bomba nie wybuchła...

- Wybuchnie z opóźnieniem, by dać czas Tanur na ucieczkę. Główna trudność w realizacji projektu polega na tym, że konstrukcja musi być wykonana do następnego poranka. Czyli masz na to około trzydziestu godzin.

- Czy to zadziała?

- Jeśli nie zadziała, nie zdążymy się o tym przekonać.

Komunikator na biurku Hamala znów zaczął podzwaniać, a światła przygasły. Romozel patrzył to na kartkę, to na Orestesa.

- Mogłbym kazać cię aresztować. - Zdobył się wreszcie na opór.

- Spróbuj. - Orestes spojrzał na niego niemal z rozbawieniem.

Romozel wiedział, jak wywierać wpływ na ludzi. Miał do tego naturalny talent, podbudowany solidnymi studiami i wieloletnią praktyką. Jednak uczucie, jakiego teraz doznawał, było czymś zupełnie nowym i nieodpartym. Czuł niemal fizyczną presję umysłu Orestesa. Czuł wewnętrzny, pierwotny imperatyw, by poddać się jego woli. Tak samo odruchowo cofałby się przed rozgrzanym żelazem.

- Dobrze, wydajm stosowne rozkazy - zdecydował.

Presja powoli znikła, pozostawiając pustą ulgę, ale i groźbę powrotu, gdyby obietnica nie została dotrzymana. Komisarz miał mokre od potu plecy, choć w sali było zimno. Kiedy astronom wychodził, Romozel nie uczynił nic, by go zatrzymać, i odetchnął dopiero, gdy za młodzieńcem zamknęły się drzwi.

- Odszukajcie Chavona - polecił. - I niech ktoś wreszcie sprawdzi, gdzie się podział Miraasz. A przede wszystkim wezwijcie Klanka, niech coś zrobi z tym dzwonieniem!

* * *

Na zapleczu składu porcelany, pospiesznie zaadaptowanego na sztab polowy, Nerhus pochylał się nad szczegółową mapą Attikanu. Pędzlem z czerwoną farbą oznaczono na niej obszar opanowany przez Brązowe Płaszcze. Nie dociągnięto tu jeszcze kabli elektrycznych, więc za oświetlenie musiały starczyć chybottliwe płomyki świec. Na zewnątrz cichły strzały. Zgodnie z planem ataki nie trwały dłużej niż kwadrans.

- Zrobili to, co mogli zrobić najlepszego - zastanowił się na głos Nerhus. W pomieszczeniu było jeszcze dwóch kapitanów. - Dowódca musi znać miasto, zajął taktycznie najlepszą dzielnicę - będzie mógł się długo bronić. Gdyby się wycofał, dopadlibyśmy go na otwartym terenie. Tu stoją stare kamienne budynki, których ściany wytrzymają salwy z naszych armatek, a żołwi tu nie wprowadzimy, bo ulice są za wąskie.

- Za to podoficerów ma do niczego. - Do składu wszedł sierżant. Zasalutował i zameldował. - Posterunki przy zaczątkach barykad zniszczone przy minimalnych stratach własnych.

Pułkownik skinął głową. Wspierając się o lasce, podszedł do fotela i z ulgą opadł w pluszową miękkość.

- Zatem pozostaje nam czekać na artylerię - westchnął. - Nie mam pojęcia, jak zamierzają ostrzelać dzielnicę. Po drugiej salwie wchodzimy.

- Tedrunel nie został oficjalnie mianowany - zauważył jeden z kapitanów. - Kto jest teraz naczelnym dowódcą?

- Zdaje się, że Romozel i jego butelka, ale pewności nie mam.

Do pomieszczenia wpadł jeden z wartowników sprzed budynku. Był tak zaaferowany, że zapomniał nawet zasalutować.

- Pułkowniku! - krzyknął. - Musi pan to zobaczyć.

- Co muszę zobaczyć? - Nerhus z wysiłkiem podniósł się z fotela.

- Nie wiem, co to jest, ale jest ogromne.

Wszyscy wyszli na ulicę i spojrzeli w górę, gdzie wskazywał żołnierz.

Z chmur wynurzał się obły obiekt wielkości świątyni. Nadlatywał wolno znad zachodnich dzielnic. Rozpychał chmury jak łódź roztrąca rzęsę na jeziorze.

- Sterowiec - zrozumiał po chwili pułkownik. - Widziałem kiedyś jeden, ale był mniejszy. O wiele mniejszy.

Sterowiec schodził poniżej pułapu chmur i kierował się wyraźnie nad Attikan. Z góry dochodziło znajome mlaskanie maszyn parowych. Napędzały śmigła, pozwalające sterowcowi opierać się prądom powietrza. Przeleciał dokładnie nad nimi, do połowy zanurzony w chmurach. Mogli przyjrzeć się podłużnej gondoli i dwóm silnikom śmigłowym przed statecznikami. Widok był tak niecodzienny, że oficerowie gapili się w górę równie zdziwieni jak szeregowcy.

Gdy pojazd dotarł nad Attikan, otworzyły się klapy po obu stronach gondoli. Ze środka zaczęły się wysypywać małe ciemne przedmioty, wyglądające z tej odległości jak piłki. Ich natura ujawniła się bardzo szybko, gdy chmury i spód sterowca zajaśniały od dziesiątek wybuchów między domami. Po chwili do stojących przed składem żołnierzy dotarły dźwięki kolejnych eksplozji.

- Własne miasto... - szepnął Nerhus. Sięgnął po lunetę, wycelował ją w oświetloną płomieniami burtę sterowca i sam sobie odpowiedział. - Nie własne.

Z boku kadłuba wymalowany był biały koń - godło Sinevaru.

* * *

Gwardziści przyszedli po Chavona, gdy ten wreszcie postanowił położyć się spać. Byli stanowczy, ale uprzejmi, co dawało nadzieję, że nowa władza nie zamierza ponownie go aresztować. Gdy mijali bibliotekę, rektor zobaczył odzianych na czerwono urzędników Komitetu. Siedzieli przy tych samych stolikach, przy których jeszcze wczoraj pracowali tropiciele herezji. Nowi cenzorzy też segregowali książki, niektóre wrzucali do skrzyń. Rektor nie miał pojęcia, jakie stosują kryteria, i teraz nie chciał o tym myśleć. Pewne było tylko to, że lista książek zakazanych, niezależnie od tego kto i dlaczego ją robi, nie wróży dobrych czasów.

Gdy dotarli na miejsce, Chavon powstrzymał się przed odruchowym ukłonem. Króla już nie było. Stał więc po prostu przed tronem z chmurną miną.

- Witaj - powiedział bez radości. Widok zdrajcy zasiadającego na miejscu króla był przykry. Wprawdzie stary porządek był trudny do zaakceptowania dla światłego człowieka,

ale nowy już budził wiele obaw.

- Witaj, przyjacielu - Komisarz nie podniósł nawet wzroku znad papierów.

Rektor nie widział go dziesięć dni, przez ten czas socjolog wychudł i postarzał się o parę lat.

Szyby w oknach sali sztabowej drżały od odległych eksplozji. Romozel nie zwracał na to uwagi. Siedział na tronie i przeglądał kolejne papiery, podsuwane mu przez ludzi, którzy ledwie godzinę temu stali się urzędnikami państwowymi. Przekazywał im uwagi, czasem darł dokumenty, czasem dopisywał na marginesach uwagi. Wreszcie przerwał i uniósł wzrok na gościa.

- Wyglądasz na smutnego - stwierdził.

- Tej nocy omal nie straciłem życia, a ratunkiem był przypadek. To zmienia perspektywę patrzenia.

- Wybacz, że nie opowiem ci o moich dramatycznych losach, ale wiedz, że one też zmieniły moją perspektywę. Czas jednak nagli. Sprawiedliwa Izba oczywiście już nie istnieje, ale nadal jesteś rektorem Akademii Nauk. Mam nadzieję, że będziesz nim jeszcze długo. Chcę ci powiedzieć o planowanych zmianach w funkcjonowaniu tej instytucji. Wśród naukowców panuje zbyt daleko idąca swoboda. Pracują nad czym chcą i czasem coś z tego wychodzi, czasem nie. Zmienimy to. Rada Akademii będzie przydzielać wydziałom konkretne tematy badań. To ograniczy marnotrawstwo czasu i środków.

- To kompletnie zrujnuje system pracy! - zaprotestował Chavon. - Ludzie to nie maszyny. Idą za tropem poprzednich badań, za przecuciem i instynktem. Rada Akademii nie ma takiej wiedzy w wąskich dziedzinach...

- Ale wie, czego potrzebuje kraj. Zmiany będą wprowadzane powoli.

Zamrugało światło, a komunikator rozpoczął koncert. Chavon spojrzał na urządzenie z zaskoczeniem.

- Klank twierdzi, że zakłócenia w pracy urządzeń elektrycznych są powodowane przez meteoryt - wyjaśnił Romozel. - Ponoć jego obecność generuje samoistny przepływ elektryczności w przewodach i powoduje takie oto sensacje. Sprawa, którą mam do ciebie, jest z tym dosyć blisko powiązana. - Wręczył Chavonowi kartkę z odręcznie wyrysowanym schematem. - Projekt przygotował niejaki Orestes Gaolin, przyczyna naszego największego zamieszania i, poniekąd, twórca naszego sukcesu. Jak widzisz, realizację jego nowego pomysłu należy rozpocząć od wykopania w ziemi ogromnej niecki. Gorszą wiadomością jest, że cała konstrukcja musi zostać ukończona pojutrze rano.

Chavon przypatrywał się szkicowi i w myślach robił obliczenia.

- To niewykonalne - oświadczył wreszcie, oddając kartkę Romozelowi. Wyprostował się i rozłożył ręce. - Nie znam sposobu, by w jeden dzień usunąć taką ilość ziemi. Ta niecka ma mieć trzysta stóp średnicy i prawie sto głębokości.

Komisarz pokiwał głową i uśmiechnął się nieszczerze.

- Poznałeś już mojego osobistego sekretarza? - Wskazał siedzącego w kącie chłopaka. Ten oderwał się od korespondencji i odwrócił do rektora.

Chavon spojrzał i zamarł. Poznał te niebieskie oczy, proste blond włosy, subtelne rysy twarzy... Nie widział ich od pięciu lat, ale teraz rozpoznał od razu.

- Uratowałem go od nieuchronnej śmierci, jaka spotkałaby go, gdyby walczył z bronią w ręku. - Uśmiechnął się szeroko Romozel. - Nie wszyscy nadają się na żołnierzy. Hamal ma za to liczne inne talenty. No dalej, przywitaj się z rektorem.

Chłopak wstał i z uśmiechem wyciągnął rękę. Chavon mechanicznie ją uściśnął.

Komendant gestem odprawił chłopaka.

- Zastanawiam się, czy nie czas już zwolnić go z obowiązku pracy dla mnie. - Położył dłoń na ramieniu rektora. - Powstrzymuje mnie przed tym świadomość, że pozbawiony mojej opieki zapewne znów zostałby powołany do armii. A jak już pokazało doświadczenie, to bardzo złe miejsce dla niego.

Chavon zacisnął usta i wziął z ręki komisarza schemat. Chwilę go analizował, papier drżał w jego dłoniach.

- Zaczniemy w miejscu upadku meteorytu - powiedział wolno. - Z pewnością został wybity krater, więc jeśli użyjemy kilku maszyn parowych, będzie pewna szansa na powodzenie.

Romozel uśmiechnął się ponownie, nalał sobie wina i powrócił do przeglądania dokumentów.

- Zawsze uważałem, że wszystko zależy od motywacji - dodał jeszcze. - Czasem jest tak silna, że naukowiec nie zadaje nawet tak podstawowego dlań pytania „Dlaczego?”.

* * *

Sterowiec wykonywał właśnie nawrót do kolejnego bombardowania. Miasto w dole płonęło jak wielkie ognisko. Nerhus i kilku oficerów obserwowali to w milczeniu. Zdaje się, że wszyscy myśleli o tym samym. W Attikanie mieszkali ludzie. To nie była twierdza, tylko uboga dzielnica, gdzie w małych mieszkankach gnieździły się liczne rodziny. Nadzieja w tym, że większość mieszkańców nie wróciła jeszcze z placu.

Do punktu dowodzenia docierały kolejne oddziały. Zaklis i Pachzan dobiegli niemal równocześnie. Chcieli zameldować o wykonaniu zadania, ale Nerhus powstrzymał ich gestem. Ogarnął wzrokiem dowódców drużyn i uznał, że są wszyscy.

- Przygotujcie ludzi - powiedział. - Zaraz sterowiec przeprowadzi drugi zrzut. Wtedy dwiema ulicami przebijecie się do ratusza. To jedyny czteropiętrowy budynek w dzielnicy. Wieżę widać stąd. - Wskazał palcem. - Aresztujecie dowódców i wycofacie się jak najszybciej. Jeśli ktokolwiek będzie stawiał opór - zastrzelcie go.

Zasalutowali i rozbiegli się do swoich drużyn. Z gondoli sterowca posypał się nowy ładunek bomb. Niebo znów rozbłysło na żółto, ziemia i powietrze zatrzęsły się od huku. Uwolniony od ładunku pojazd wzniósł się ponad chmury.

Kilkanaście drużyn z bojowym okrzykiem rzuciło się w kierunku płonącego Attikanu. Dwie przecznice dalej minęli opuszczone przez obrońców barykady i wpadli w tłum przerażonych ludzi. Musieli zwolnić. Pachzan co chwilę oglądał się przez ramię, czy jego drużyna nie gubi się między poruszającymi się bezładnie ludźmi. Na kolejnym skrzyżowaniu skręcili i znaleźli się w strefie zniszczenia. Kilka domów było zawalonych, kilka płonęło. Z wnętrza dobiegały krzyki rannych. Zwolnili, widząc niemal zwęglonego człowieka, który próbował odpełznąć od płonącego stosu belek ze zniszczonego dachu.

- Nie zatrzymywać się! - krzyknął Pachzan, osłaniając twarz przed żarem.

Dalej było jeszcze gorzej. Dymiące lub dopalające się ciała leżały wszędzie. Ranni próbowali zatrzymywać żołnierzy, błagali o pomoc w uwolnieniu rodzin spod gruzów.

- Jak oni mogli to zrobić?! - wrzasnął Rakko. - Jak mogli?!

- Zamknij się! - krzyknął Pachzan. - Potem będziesz się użalał!

Jak dotychczas nikt do nich nie strzelał. Kilku brązowych żołnierzy minęło drużynę Pachzana, nawet jej nie zauważając. Biegli bez broni, na nic nie zwracając uwagi.

- Nie zwalniać! - krzyczał co chwilę Pachzan.

Dalej ulica zamieniła się w palenisko pieca, morderczy żar bił na pięćdziesiąt kroków. Musieli zmienić trasę. Za zakrętem zderzyli się z na oko trzydziestoosobowym oddziałem wroga.

- Kryć się! - rozkazał Pachzan, ale jego żołnierze już to zrobili, jednocześnie biorąc brązowych na cel. Tamci, choć znacznie liczniejsi, bez wezwania rzucili broń i unieśli ręce.

- Nie strzelać! - Pachzan wstał. - Zostawcie broń i uciekajcie stąd!

Brązowi wykonali rozkaz bez słowa skargi. Dopiero gdy ostatni żołnierz wroga zniknął za rogiem, Pachzan poderwał drużynę. Skręcili w szerszą ulicę i połączyli się z drużyną Zaklisa. Dopiero tu ktoś zaczął do nich strzelać. Żołnierze padali na ziemię, kryli się za

gruzowiskami.

- Kamienica po lewej! - krzyknął Zaklis.

Pachzan szybkim spojrzeniem ogarnął niemal nieuszkodzoną kamienicę.

- Są na trzecim piętrze - rzucił. - Mają lepszą pozycję. Będą nas tu trzymać pod ostrzałem z godzinę. - Wyszarpnął z torby granat i stłukł szklaną bańkę. - Oslaniajcie mnie! - Poderwał się i wyrwał ogonek. Za plecami usłyszał serię wystrzałów, a elewacja zniknęła za chmurą pyłu. Rzucił granat i ukrył się za przewróconym wozem. Trzy... cztery... pięć... sześć... Potężna eksplozja wyrwała frontową ścianę kamienicy. Po chwili pod własnym ciężarem zawalił się dach. Biały pył rozpląnął się ulicą.

- Dalej!

Dwie drużyny poderwały się i po kilkudziesięciu krokach wpadły na niewielki rynek. Sam ratusz właściwie był nietknięty. Z pozbawionych szyb okien posypały się kule. Ktoś dostał.

- Dalej!

Dopadli budynku i już byli poza zasięgiem ognia. Ale ujawnili się obrońcy z okolicznych kamienic. Na rynek wpadły następne drużyny. Rozpoczęła się bezładna strzelanina, w której znajdujący się na otwartym terenie żołnierze Czerwonych Płaszcz mieli mniejsze szanse. Pachzan stłukł bańkę, wyciągnął ogonek drugiego granatu i rzucił go do wnęki wejściowej, pod zaryglowane drzwi. Nakazał wszystkim odsunąć się. Wybuch wstrząsnął okolicą, wyrwał drzwi i spory fragment muru.

- Biegiem na pierwsze piętro! - poderwał się i wraz z innymi wpadł do środka. - Strzelać do wszystkiego, co się rusza! Oficerów aresztować, jeśli się da.

- My na parter! - krzyknął z tyłu Zaklis.

W zadymionym wnętrzu niewiele było widać. Potykali się o ciała leżące w głównym hallu. Ktoś krzyczał, ktoś się poddawał, ktoś inny chciał strzelać, ale skończyła mu się amunicja. Dopadli schodów i w kilku susach znaleźli się na piętrze. Kolejne drużyny wbiegły wyżej. Ratusz wypełnił się hukiem wystrzałów i smrodem palonego prochu. Na piętrze było kilku obrońców, wciąż oszołomionych wybuchem, teraz wystarczyło kilka sekund i wszyscy zginęli. Pachzan wywalił butem najokazalsze drzwi. Skrzydło ustąpiło łatwiej, niż się spodziewał. Stracił równowagę i przewrócił się na plecy. Zza otwartych drzwi dobiegł huk wystrzału, Pachzan poczuł na twarzy gorący podmuch, a ktoś z tyłu jęknął trafiony. Odpowiedzią była seria wystrzałów - mężczyzna w mundurze oficera gwardii ciężko runął na podłogę.

Pachzan zerwał się i wpadł do środka, a za nim jego karabinierzy. W dużej sali wokół

stołu zobaczył kilku żołnierzy, w tym trzech oficerów. Najbliższy uniósł broń i wymierzył w pierś Pachzana, który w tym samym momencie zrobił dokładnie to samo. Patrząc sobie w oczy, obaj równocześnie nacisnęli spusty.

Czas zatrzymał się w miejscu. Kliknęły dwa zamki - w lufach nie było nabojów.

Pachzan pierwszy odzyskał jasność umysłu - zamachnął się kolbą karabinu. Przeciwnik był słabszy, zasłonił się własnym, zachwiał się i przyklęknął po uderzeniu. Wokół rozpoczęła się regularna strzelanina. Kule z głośnymi puknięciami uderzały w tynk lub grzęzły w ciałach. Pachzan zacisnął zęby i zamierzył się ponownie, celując końcem kolby w głowę oficera. Tamten uchylił się w ostatniej chwili i uderzył lufą w biodro przeciwnika. Pachzan odskoczył, mimo że cios trafił w ładownicę. Chwycił karabin oburącz i rzucił się na oficera. Przewrócił go na plecy, przycisnął mu broń do gardła i w tym momencie przypadkowa kula rozerwała pół głowy leżącego.

Pachzan przewrócił się na plecy, z przerażeniem startł z twarzy lepką maź i dopiero po chwili zrozumiał, że nie jest nawet draśnięty. Wstał, szukając kolejnego przeciwnika. Salę wypełniał gryzący dym. Strzały ucichły. Wszystkim chyba skończyły się już kule i walka szła wręcz. Nie było czasu na załadowanie nowego magazynka. Karabinier w czerwonym płaszczu, dwa kroki od Pachzana, upadł, odsłaniając potężną postać z szablą w dłoni. Wielkolud zamachnął się i Pachzan zrozumiał, że nie zdąży się cofnąć ani sięgnąć po leżący na ziemi karabin. Na głowie wielkoluda roztrzaskało się krzesło. Wielkie ciało opadło na kolana i zwało się na bok. Zaklis odrzucił połamane resztki siedziska, wyszczerzył zęby w uśmiechu i odwrócił się, by walczyć dalej. Pachzan podniósł szablę, bardziej przydatną w obecnej sytuacji. Nie uczył się fechtunku, ale wiedział, co należy robić. Ciął przez plecy najbliższego wroga, a gdy tamten wyprężył się w bólu, z zamachem wbił mu ostrze w kark. A raczej chciał wbić. Nie docenił własnej siły i głowa przeciwnika potoczyła się po ziemi.

Niespodziewanie walka się skończyła. Dwóch karabinierów zmieniło magazynki i teraz celowali w ostatniego żywego wroga. Był nim trzydziestoparoletni mężczyzna. Stał w rogu sali z szablą wysuniętą przeciw kilku karabinom.

- Nie strzelać! - wrzasnął Pachzan.

- Zabił pięciu naszych! - odkrzyknął jeden z żołnierzy i uniósł karabin.

Pachzan dzielił go szablą na płask w głowę. Strzał poszedł w sufit, a żołnierz usiadł, trzymając się za krwawiącą skroń.

- Był rozkaz „Nie strzelać!” - warknął Pachzan. Zbliżył się na bezpieczną odległość do ostatniego żywego wroga i spojrzał na jego insygnia. Zasalutował. - Nazywam się kapral Pachzan Ramach. Schowaj broń, komendancie. Od tej chwili jesteś jeńcem Armii Przemian.

Tamten wsunął szablę do pochwy, wyprostował się i również zasalutował.

- To nie jest mój mundur - wyjaśnił. - Jestem książę-generał Armunach Saran, głównodowodzący armii Enagoru. To mnie szukacie.

XXXVIII

Siedzieli w mesie po przeciwnych stronach owalnego stołu. Hamilton nie patrzył im w oczy, skupiał się na trzymanym w drżących dłoniach kubku, z którego co chwilę popijał płyn izotoniczny. Niewiele to pomagało, na jego wychudzonej twarzy wyraźnie widać było skutki odwodnienia. Pocił się intensywnie - trząsł się, mimo ciepłej kamizelki. Mało zostało z emanującej z niego jeszcze dobie wcześniej siły. Hood i Jayde wpychali w siebie trzecią porcję obiadową.

- Zapewne uważacie mnie za złego człowieka - zaczął cicho dowódca Czarnych. - Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Zło i dobro są tak względne, że bardziej już nie można. Wszystko zależy od tego, gdzie się stoi. - Zakaszłał i namyślał się długo, nim podjął wątek. - Trwa wojna, a jej uczestnicy nie wiedzą o tym, że ją toczą. To nie przeszkadza w rozgrywkach wojennych. Podobnie jak wasze limfocyty prowadzą wojnę z kilkunastoma drobnymi zakażeniami naraz, nie informując was o tym. Tak to właśnie działa. - Pociągnął z kubka kilka łyków. - Trzysta pięćdziesiąt lat temu na Ziemi rozpoczął się kryzys, który zapoczątkował globalny konflikt. A może to konflikt spowodował kryzys?... - Ciałem żołnierza wstrząsnęła kolejna fala dreszczy. - Nieważne... Świat pogrążył się w chaosie. Nastąpił regres, upadek... Utraciliśmy rozpęd. Zatrzymaliśmy się, a przecież cywilizacja musi być dynamiczna. Gdy staje w miejscu - umiera. Agencja również przestała istnieć, jako jedna z najmniej przydatnych organizacji. Zniknęły państwa, policje, fundusze emerytalne... Wtedy na peryferiach naszego Układu wychynął z hiperprzestrzeni obcy statek. To było w czasach, gdy zmartwieniem przeciętnego człowieka było przeżycie następnego dnia. Część wiedzy sprzed regresu jednak przetrwała. Ludzie, którzy przechowywali szczątki naszej mądrości, którzy chcieli żyć jak przedtem, zobaczyli statek na ekranach radioteleskopów. Zajęło im miesiąc, by odbudować i uruchomić stare instalacje obronne. Nie pytajcie, jak tego dokonali w tak krótkim czasie - nie wiem. Zniszczyli statek. Jego szczątki spadły potem na Ziemię.

Część udało się odnaleźć i zbadać. Statek pochodził z planety, która była zbadana przez jedną z pierwszych misji. Według zachowanych raportów planeta była martwa, ale podatna do terraformowania. Dwieście lat wcześniej była martwa, a po tych dwustu latach przybył do nas stamtąd statek. Najtrwalszym jego elementem była bomba, podobna do tej, którą dopiero co wysłaliśmy tym na dole. To wydarzenie zapoczątkowało odbudowę cywilizacji, a pierwszą instytucją Stanów Zjednoczonych Obu Ameryk była odtworzona Agencja. Podobne zresztą powstały w Europie i w Chinach. Sądzę, że cele każdej z nich były... są podobne. Nie terraformowanie, choć tym karmiono opinię publiczną, tylko eksterminacja.

Hamilton nie miał siły kaszleć. Trząśł się tylko, a skurcze przepony nakładały się na coraz silniejsze dreszcze. Hood i Jayde nie odzywali się ani słowem.

- To, co widzieliście na Ruthar Larkce, nie jest niczym niezwykłym - ciągnął Czarny. - Na tego rodzaju byty trafiliśmy już na wielu planetach. Nie wiem nawet na ilu. Kopie ludzi, kopie cywilizacji, jakby naturalnym kresem ewolucji było stworzenie świata nieco mniej lub nieco bardziej podobnego do tego, jaki znamy z Ziemi. Porozumienie nie ma sensu. To tylko... skóra, maska, kukielka, kolejna postać Kameleona. Albo my ich zabijemy, albo oni zabiją nas. Nie ma mrówek, jest mrowisko. Człowiek chory na wściekliznę kąsa, posłuszny umysłowi opanowanemu przez chorobę, i będzie się tak działo z każdym. To ta sama zasada: ci „ludzie”, którzy przecież ludźmi nie są, stanowią część większej struktury, więc są posłuszni jego zasadom. Kameleon dostrzegł brata na innej planecie i zrobi wszystko, by się tam dostać i zniszczyć go, nim tamten stanie się dość silny, by jemu zagrozić. Ci... „ludzie” nie wiedzą, kim są, a do istoty Kameleona nie mamy dostępu... Nie rozumiemy jej. Pierwsza bitwa już się odbyła. Czekaliśmy zbyt długo. Zniszczyliśmy ich statek, dopiero gdy wyszedł z hiperprzestrzeni już w Układzie Słonecznym. Niewiele brakowało... Potem zrzuciliśmy na tamtą planetę pierwszego niszczyciela. Od tej pory to standardowa procedura. Jeśli na planecie jest życie, sterylizujemy ją i odlatujemy. Nim ponownie się pojawi, miną miliony lat. Nie wolno czekać. Nawet rozmawiać z nimi nie wolno, żeby nie pojawiło się wahanie, litość.

- Nigdy nie znaleźliśmy innej planety podatnej do terraformowania... - Hood nieśmiało przerwał potok słów.

- Znaleźliśmy ich wiele. Dane utajniono. Wszystkie planety były zamieszkane przez Kameleona, przez jakąś jego postać, zapewne powstałą niezależnie. Wszędzie i zawsze planety podobne Ziemi były... skażone w ten sam sposób. Może to naturalny proces na tej klasy planetach... Nie zauważyliście, jak przyspieszyli, odkąd się tu pojawiliśmy? Tempo mają niesamowite. Sami pewnie nie wiedzą, co się dzieje. Za rok mieliby komputery i jumbo jety. Za dwa lata nastąpiłby pierwszy lot ponad atmosferą. Za trzy... Nie możemy czekać. To

obrzydliwe. Nawet pod mikroskopem wyglądają jak ludzie. Naprawdę obrzydliwe. Widziałem takie planety... Niektóre były bardzo podobne. Kameleon. Nawet nazwy państw się zgadzały. Kraje były w podobnych miejscach, nie w tych samych, ale w podobnych, na ile to było możliwe geologicznie. Widziałem kiedyś Półwysep Skandynawski i Wyspy Brytyjskie, niemal takie same, tylko z Irlandią oddzieloną cieśniną. Zwykle Kameleon przypominał nasz świat tylko w zarysie. Tak jak Ruthar Larcke.

- A jeśli pan się myli? - zapytała Jayde. - To są przecież ludzie!

- Oni nigdy nie zdołają pojąć, że są częścią... struktury... - Hamilton dopił zawartość kubka i strącił go ze stołu. - Na szczęście Kameleony, które nawiązały między sobą kontakt, wyręczają nas i wykańczają się wzajemnie...

Rozkaszał się na dobre, wstał, zachwiał się, złapał krawędzi stołu, wreszcie upadł. Dziewczyna rzuciła się na pomoc. Hood patrzył ponuro, jak podnosi go z podłogi. Chciała go posadzić, ale wyswobodził ramię, doszedł do drzwi i oparł o framugę.

Dziewczyna spojrzała bezradnie na Hooda.

- Moglibyśmy... - Wzruszyła ramionami i usiadła. - Może uda się ją... rozmontować... Wciągnąć na orbitę? Wysłać gdzieś?...

Tym razem Hood wzruszył ramionami.

- Jak myślicie... - odezwał się Hamilton, z trudem łapiąc oddech. Patrzył na nich szklistym wzrokiem. - Czemu te zarodniki nie zabijają w godzinę, w pół godziny? Zanim nas unicestwią, mają przeszukać naszą pamięć, znaleźć rozwiązanie i przekazać na dół... telepatycznie, nie wiem jak. Pewnie tam roi się teraz od domorosłych geniuszy, którzy kilka razy dziennie doznają olśnienia. Wynajdują cewkę Tesh, naśladują Faradaya... Dlatego na pokładzie nie ma nikogo, kto zna konstrukcję bomby. Podejrzewam nawet, że raz uruchomionej nie można już rozbroić.

- Lądownik... - powiedziała Jayde.

- Nie męcz się. Niszczyciel planet waży więcej, niż wynosi ciąg silników lądownika. - Rozkaszał się na nowo, aż zgiął się wpół. - Macie jakieś dwa dni... - rzucił jeszcze. Potem bez słowa wyszedł i zniknął za zakrętem korytarza. To był ostatni raz, kiedy go widzieli.

* * *

- Bóg jest nami, a my jesteśmy Bogiem - odezwała się Jayde kilka godzin później, gdy siedzieli w sterowni. - To były ostatnie słowa Stuarta. Odcyfrowałam je dzięki programowi do obróbki głosu. Powiedział je resztkami płuc i umarł.

Hood nie odpowiedział. Gapił się w błękitną planetę, a raczej jej wycinek wypełniający większą część ekranu.

- Masz rację. - Jayde uniosła głowę i spojrzała na sufit sterowni. - Nie mam pojęcia, do czego służą te kontrolki. Myślałam, że przydają się Stuartowi albo kapitanowi.

- Oni myśleli, że świecidełka przydają się tobie - odparł Hood. Od kilkunastu minut zapamiętane klawiszował na swojej konsoli.

- Co ty właściwie robisz? Przecież to symulator.

- Ale połączenie ze światem zewnętrznym ma. Teraz zresztą nie ma już potrzeby niczego przed nami ukrywać. Starczy, że odłączył nadajniki.

- Zabierzemy wszystko do grobu - przyznała ponuro dziewczyna.

- Próbuję się dostać do raportów naszych rozbitków. Nawet jeśli mam umrzeć, to chcę się przedtem dowiedzieć dlaczego. Język angielski, który słyszeliśmy w tej transmisji... - Hood pokręcił głową. - Może gatunki zwierząt są podobne, jeśli panują tu podobne warunki, ale język? Nigdy w to nie uwierzę. To jedna z najbardziej nieprzewidywalnych i chaotycznie powstających... Co oni tam kopią?... - Przyjrzał się otwartemu właśnie zdjęciu i kliknięciem wyświetlił je na główny ekran. - Wygląda jak model krateru meteorytowego... A to jest... koparka! I to całkiem spora. Następna! Wczoraj o tej samej porze... - Przewinął archiwum zdjęć satelity. - Wczoraj nic tam nie było, rosła trawa. Teraz jest plac budowy z wielkimi maszynami!

XXXIX

Świt zastał kilka tysięcy ludzi przewalających ziemię łopatami lub noszących ją na plecach w koszach. Trzy maszyny parowe pomagały transportować urobek na górę, czwarta kopała w najgłębszym miejscu, piąta odpompowywała wodę. Ostatnia napędzała generator elektryczny, zapewniający oświetlenie. Geodeci biegali między kopiącymi, wbijali tyczki, skomplikowanymi lunetkami mierzyli odległości i głębokości w różnych punktach.

Wyglądają jak mrówki, pomyślał Orestes. Jak wielkie, tępe mrówki, mądre samą liczebnością. W istocie są mrówkami - wykonują pracę, którą im zadałem, ale jej nie rozumieją. Wiedzą tylko, co trzeba zrobić. Nadzorują ich mądrzejsi od nich, którzy wiedzą, jak należy to zrobić. A tylko ja wiem dlaczego.

Stał wraz z kilkoma osobistościami na prowizorycznym rusztowaniu, które wzniesiono obok krateru.

- Z wydobywanej ziemi usypiemy koronę wokół krateru - wyjaśnił Chavon. - To drobna modyfikacja twojego projektu, która pozwoli zaoszczędzić kilka godzin. Wydział Geodezji włożył w to dużo wysiłku.

Orestes skinieniem głowy wyraził aprobatę.

Wschodzące słońce oświetliło okolicę. Krater był duży, ale nie miał trzystu stóp średnicy. Miał nie więcej niż sto dwadzieścia, więc do przerzucenia była jeszcze naprawdę ogromna ilość ziemi. Meteoryt trafił w płaskie pole, co ogromnie ułatwiało pracę, odpadał bowiem etap niwelacji stoku. Drzewa oddalonego o ćwierć mili lasu były powalone na małym obszarze, dalej tylko osmalone. Do pożaru nie doszło jedynie z powodu wszechobecnej wilgoci. Łąka zamieniła się w zasłany warstwą ziemi, rozjeżdżony przez paromobile plac budowy.

Orestes obserwował wszystko w milczeniu. Chavon zajął się dyskusją z przedstawicielami kilku wydziałów Akademii. Na stole leżały mapy i schematy, rozrysowane dokładniej przez optyków i geodetów. Analizowali je i wymieniali uwagi.

Jak wielkie mrówki, pomyślał znów astronom.

Z dołu dobiegły okrzyki. Łyżka maszyny kopiącej zazgrzytała i zatrzymała się.

- Na coś trafili - powiedział jeden z naukowców.

Orestes zszedł po drabinie na ziemię, a następnie wielkimi susami zaczął zbiegać po miękkiej ziemi wykopu. Zajrzał do głębszego leja, wykonanego maszyną. Na dnie z ziemi wystawał kawałek metalu - prawdopodobnie dużej kuli.

- Odkopcie ręcznie - polecił astronom, a robotnicy natychmiast zaczęli kopać. Przesunięto wąż ze ssakiem pompy błotnej.

Orestes spojrział na niebo. Było czyste, bez jednej chmurki. Tym razem bardziej niż zwykle zależało mu na pięknej pogodzie. Musiała się utrzymać do jutra.

Łopaty chrobotąły o powierzchnię kuli. W miarę jak wyłaniała się z ziemi, coraz wyraźniej czuło się bijące od niej ciepło, jakie uzyskuje od tarcia o powietrze. To też astronom przewidział podczas zbiorowego snu.

- Wystarczy! - Zszedł na dół. Wpadł po kolana w błoto, ale nie zwrócił na to uwagi. Dotknął dłonią powierzchni metalu. Kawałek Tanur... Wśród rys i wżerów nie było widać żadnych otworów ani uchwytów. - Wyciągnijcie to na górę!

Z pomocą robotników wydostał się z błotnego dołu i ujrzał schodzących jego śladem naukowców, z Charonem na czele. Unosili szaty, by ich nie pobrudzić.

- Tego szukaliśmy? - zapytał Chavon. - Wiesz, co to jest?

- Wiem. To jest śmierć.

- Nie powinniśmy się odsunąć? - zapytał jeden z naukowców.

- Nie ma bezpiecznej odległości - wyjaśnił Orestes.

- Musiałbyś się przenieść na którąś z gwiazd ruchomych.

Tamten spojrział na astronoma ze zdziwieniem, ale nie pytał dalej.

- Porysowała się przy uderzeniu - dodał astronom.

- Nie jest więc niezniszczalna.

* * *

Szczęk odsuwanego skobla wyrwał księcia Armunacha z niespokojnego snu. Do celi wdarło się jasne światło poranka, zmuszając go do zasłonięcia oczu. Usiadł na pryczy.

Tedrunel położył obok złożony w kostkę, pachnący świeżością mundur generalski. Armunach wstał. Generałowie mierzyli się wzrokiem.

- Nie mieliśmy okazji wcześniej się spotkać - powiedział Tedrunel. - Jestem...

- Wiem, kim jesteś, generale - przerwał mu ostro Armunach. - Jesteś zdrajcą.
- Mogłem zdradzić króla lub Enagor. Nadszedł czas, kiedy dwóm naraz służyć nie mogłem.

- Przysięgałeś służyć królowi i królestwu - oświadczył Armunach. - W tej właśnie kolejności.

- Wybacz, generale. Królestwa już nie ma.

- Również przez ciebie, generale. - Armunach obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem. - Sam ich tu przywiodłeś i pomogłeś zwyciężyć. Wydałeś im Enagor.

Tedrunel odpiął od pasa szablę wraz z pochwą i wręczył zaskoczonemu Armunachowi.

- Być może jest tak, jak mówisz, być może zupełnie inaczej. - Patrzył mu prosto w oczy. - Wiem tylko, że gdybym postąpił inaczej, Sinevarzy i tak by tu dotarli, ale po naszych trupach. Zdecyduj więc, co jest słuszne.

Armunach wysunął szablę na szerokość dłoni i przyjrzał się błyszczącej powierzchni metalu.

- Zdradziłeś, generale - powiedział wolno. - I to głupio zdradziłeś. To nie będzie unia ani zjednoczenie, tylko okupacja. Pod pozorem współpracy kluczowe stanowiska przejmą Sinevarzy. Wierzyłeś w porozumienie ponad podziałami? Nie ma czegoś takiego. Jest konflikt i jego rozwiązanie.

- Dziś Romozel proponuje mi stanowisko głównodowodzącego Armii Przemian - powiedział Tedrunel.

- Masz na rękach krew Enagorów. - Księżę pokręcił głową.

- Nie zamierzam zaprzeczać ani się tłumaczyć. Powiem jedynie, że nigdy nie zdradziłem własnego sumienia.

- A cóż to jest własne sumienie? - Armunach wsunął szablę do pochwy i oddał Tedrunelowi.

- To coś ważniejszego od przysięg wierności.

- Przyszedłeś tu, by udzielić mi lekcji moralności? - zapytał Armunach.

- Romozel chce cię widzieć. Przyszedłem tu, byśmy poszli do niego razem.

* * *

Orestes zerwał się, słysząc pukanie do drzwi.

- Nie wiedziałem, że pan śpisz... - Gwardzista wydawał się zaskoczony. - Na dole jest jakiś mężczyzna i prosi o rozmowę z tobą. Nie wpuszcilem go do środka.

Orestes wrócił na górę i rozsunał zasłony z grubego płótna. Zmrużył oczy, na zewnątrz noc dawno się już skończyła. Słońce stało wysoko. Wyszedł na taras i wychylił się przez barierkę. Trzy kondygnacje niżej stał przygarbiony mężczyzna i miał w dłoniach czapkę. Mężczyzna niespodziewanie spojrzał w górę i napotkał wzrok astronoma. Orestes cofnął się szybko do środka. Serce waliło mu mocno. Ojciec. Niesamowite, jak w ciągu miesiąca zmienił się z groźnego i surowego rodzica w uniżonego petenta. To nie było przyjemne uczucie, nie chciał mieć nic wspólnego z tamtym życiem. Cóż za bajzel! Byle żebrak może minąć bramy pałacu.

Sięgnął do szuflady, wyciągnął jedną z sakiewek, ocenił brzęczącą zawartość. Namyslał się chwilę, po czym zszedł do drzwi i wręczył mieszek oczekującemu cierpliwie gwardziście.

- Daj mu to - polecił. - I niech więcej tu nie wraca. Nic nie może przeszkadzać mi w pracy.

Zatrzasnął drzwi i odetchnął z ulgą. Nie miał żadnej pracy. Jedyne, co musiał zrobić, to zniszczyć bombę. Nie miał pojęcia, co będzie potem.

Upewnił się, że ojciec odszedł, minął bramę pałacu i znikł w tłumie. Wtedy dopiero zszedł na dół i ruszył w kierunku stajni, z zamiarem udania się konno na miejsce budowy. Mimo chłodu pogoda była słoneczna i nic nie wskazywało, by miała się zmienić. Jeśli Orestes Gaolin potrafił jeszcze doświadczać jakichkolwiek uczuć, to teraz motorem jego działania była nadzieja, że pogoda utrzyma się do następnego dnia.

- Noan?! - usłyszał nagle za sobą.

Odwrócił się gwałtownie. Jego wzrok padł na grupkę karabinierów. Siedzieli pod murem. Jeden z nich podniósł się i zaczął iść w kierunku astronoma.

- Gdybyśmy się spotkali tydzień temu, zabiłbym cię bez wahania - oznajmił Pachzan. - Za to, że uciekłeś, zostawiając rodzinę, a mnie skazałeś na los poborowego.

Orestes zacisnął usta. Kolejne spotkanie rodzinne.

- Cóż się zmieniło, że nie chcesz mnie już zabijać? - zapytał.

Pachzan zaśmiał się, a Orestes w tym śmiechu nie poznał starszego brata. Stał przed nim dojrzały mężczyzna nieco tylko podobny do Pachzana.

- Spodobało mi się! - Pachzan klepnął go w plecy, aż astronom poczuł w piętach. - To się zmieniło! Nie będę zajmował się gospodarstwem. Jako żołnierz Armii Przemian zarobię tyle pieniędzy, że ojca znów będzie stać na kilku parobków.

Nagle, tknięty niezrozumiałym impulsem, astronom spojrzał w kierunku muru pałacowego. Stała tam. W tej samej zielonej sukience i narzuconym na nią kożuszką. Spojrzała i pomachała ręką. Chciał odmachnąć, ale nie mógł się ruszyć. Zapomniał o bracie.

Tanur wykonała pierwszy krok, zaczęła biec. Śmiała się i coś krzyczała, ale była zbyt daleko, by mógł ją usłyszeć.

Orestes chciał wybiec jej naprzeciw, ale trwał skamieniały z wrażenia. Astronomia, bomba, mądrość wspólnego snu - teraz to wszystko przestało być ważne. Tanur widziała go wtedy na placu - przecież jako jedyna nie zasnęła. Rozdzielił ich tłum, a teraz go znalazła! Zrozumiała dzięki jakiejś kobiecej intuicji, co on czuje. Śmiała się, a jej złote włosy falowały tak samo jak wtedy, gdy obserwował ją z ukrycia na łące. Wieki temu! Teraz wreszcie jego tęsknota miała zostać zaspokojona. Miał otrzymać nagrodę. Był przecież ważną osobistością! Spełnienie jego największych marzeń zbliżało się pod postacią dziewczyny w zielonej sukience.

Tanur rozłożyła ramiona i wpadła w objęcia Pachzana. Orestes patrzył na to zesztywniały z zaskoczenia i rozczarowania.

- Ojciec zabronił mi nawet wychodzić przed bramę farmy. - Dziewczyna na przemian śmiała się i płakała. - Ale kiedy tylko się dowiedziałam, że armia wraca, nie mogłam wytrzymać i przyjechałam. Mieszkam u ciotki. Ale będzie awantura, jak wrócę!

- Nie pozwolę nikomu cię uderzyć! - zapewnił ją Pachzan. - Nawet twojemu ojcu.

Noan i Zaklis mieli podobne miny, choć kryły one zgoła odmienne uczucia. Tanur wyściskała, wycalowała Pachzana i rzuciła się z kolei na Zaklisa.

- Wybacz przyjacielu, że wcześniej ci nie wyjawilem.

- Pachzan uśmiechnął się przepraszająco. - To jest właśnie ta dziewczyna, z którą zamierzam spędzić resztę życia.

- Czemu nie powiedziałeś?! - Zaklis objął go i uściskał. - To wspaniale! Dlaczego miałbym być przeciwko?

Cała trójka śmiała się, aż wreszcie zauważyli wpatrującego się w nich z głupim wyrazem twarzy astronoma.

- To Noan, mój brat. - Pachzan z zakłopotaniem potarł kark. - Mówilem ci kiedyś... Patrzy w gwiazdy.

- Ach tak, patrzy w gwiazdy - zaśmiała się Tanur. Spojrzała na astronoma i zapytała - naprawdę patrzysz w gwiazdy?

Przytaknął, choć bardziej przypominało to drgawki. Była tak blisko, a jednocześnie odległa jak nigdy.

- I czytasz z nich przyszłość? - znów się zaśmiała.

Choć nie było w tym śmiechu kpiny, Orestes zacisnął usta.

Zrozumiał. Właściwie to zrozumiał już wcześniej, ale teraz dopiero uwierzył. Spojrzał w

dół. Jego niebieska szata była ubrudzona w błocie. Nie wyglądał na ważną osobistość. W oczach dziewczyny wyglądał zapewne na... młodszego brata jej ukochanego. Pachzan walczył na wojnie, jego młodszy brat patrzył w gwiazdy. Gapienie się w niebo to najgłupsza czynność, jaką może wykonywać mężczyzna. Wyglądał głupio, głupio się zachowywał, a zamiast pracować jako młynarz, cieśla czy kowal, zajmował się obserwacjami nieba - kwintesencją bezcelowości i niedojrzałości. Nigdy nie będzie miał Tanur. Nigdy. Nawet gdyby nie było Pachzana, nawet gdyby nie było nikogo innego, Tanur nie jest dla niego.

- Może zajdziecie do mnie? - Z trudem pokonał opór zaciśniętych ust. - Mam wczorajszy pasztet i wino.

* * *

Romozel przeniósł się do wygodniejszej i okazalszej sali tronowej. Pod ścianami stało ponad dwudziestu gwardzistów z karabinami przy nogach. Dwóch kolejnych pełniło wartę po bokach tronu. W dalszej części sali zadomawiała się rosnąca urzędnicza świta nowej władzy. Liczebnością już przewyższyła królewską.

Księżę i generał przeszli równym krokiem i stanęli na marmurowej mozaice wyobrażającej słońce. Za czasów króla bliżej nie wolno było podchodzić. Przyzwyczajenie pozostało.

- Witajcie, dzielni generałowie - powitał ich komisarz. - Wezwałem was, by złożyć wam pewne propozycje. Nie spodziewałem się, że przyjdziecie razem, ale to nawet lepiej, bo obie propozycje są ze sobą powiązane. Nasze zwycięstwo nie jest jeszcze pełne, spore bowiem siły armii królewskiej pozostają rozproszone w różnych częściach kraju, no i w Hamelon. Tkwią tam w wytworzonej przez nas iluzji, nieświadomi wydarzeń, jakie rozegrały się w kraju. Nikt nie wie, jak zareagują, kiedy poznają prawdę. Może od razu zrozumieją, że świat stał się lepszy, a może konieczne będzie wytłumaczenie im tego. Dobrze, jeśli owo tłumaczenie będzie poparte argumentem siłowym. To moja propozycja dla ciebie, Armunachu. Udasz się tam, przejmiesz dowodzenie nad oblegającymi twierdzę żołnierzami Armii Przemian i przekonasz obrońców, by odwrócili swoje płaszcze. Czy podejmiesz się tego zadania?

Armunach patrzył na komisarza z pogardliwym rozbawieniem.

- Zmieniłeś się, Romozelu - zauważył. - Władza wyraźnie ci służy. Jak chcesz zmienić Enagor?

- Rozdzielimy równo szczęście. - Komisarz wykonał gest, jakby właśnie część owego szczęścia chciał rozsypać po sali. - Nie będzie już poddanych, tylko równi sobie obywatele.

To termin zaczerpnięty z zaginionych języków.

- Zamieniasz Enagor w prowincję Sinevaru.

- Wiedza i kultura od zawsze płynęła do nas z Sinevaru, choć wiele wysiłku włożono, by ten fakt ukryć. Kult Matki Wiedzy zawsze popierał naukę, a Kościół Najwyższego był nauce niechętny. Oczywiście obie religie to już przeszłość, ale kierunek przepływu mądrości jest ten sam. Nie, nie zmieniam Enagoru w lennika, jedynie wprowadzam tu lepszy ustrój. Obywatelski.

- Ty też będziesz obywatelem?

- Będę pierwszym obywatelem.

- Przeczytałem *Spółeczeństwo* - powiedział Armunach. - Jest tam mowa o władzy wybieranej przez wszystkich ludzi. Kto ciebie wybrał?

- Tymczasowy Komitet Pokojowy. Wybory powszechne odbędą się tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Tego komitetu nikt nie widział.

- Odpowiedz na moje pytanie! - Romozel podniósł głos. - Czy podejmiesz się tego zadania?

- Nie ma już królestwa, któremu mógłbym służyć. Po stronie zdrajców nie stanę.

- Wiesz, co to dla ciebie oznacza?

- Straszysz śmiercią generała Enagoru? - zaśmiał się pogardliwie Armunach.

Romozel zasępił się i zapadł głębiej w tron.

- Wygląda na to, Tedrunelu, że zadanie to spadnie na ciebie - powiedział. - W związku z tym twoja nominacja na głównodowodzącego opóźni się nieco.

- Nie będzie żadnej nominacji - odparł Tedrunel. - Moja misja zakończyła się tej nocy. Odchodzę.

- Odejdiesz, kiedy ja ci na to pozwolę! - podniósł głos komisarz.

- Nigdy nie przyrzekałem ci wierności, Romozelu. Nie mam już o co walczyć.

- Zastanów się jeszcze raz. Jeśli odmówisz, podzielisz los księcia Armunacha.

- Cel mojego istnienia odszedł...

Romozel zacisnął usta i myślał nad czymś intensywnie.

- Zabrać ich do aresztu! - wrzasnął wreszcie.

Kilkunastu gwardzistów podbiegło do generałów i wyprowadziło ich z sali. Romozel został, zatopiony w czarnych myślach, ale jego irytacja rosła. Komunikator Klanka znów zaczął podzwaniać. Komisarz wstał i podszedł do urządzenia. Pobrzękiwało dzwonkiem głośniejszym niż poprzednio, a lampki mrugały chaotycznie. Ze złością złapał przewód i

wyszarpnął go z obudowy.

Nastąpiła cisza.

* * *

Tanur siedziała w jego domu, przy jego stole. Piła jego wino i jadła posiłek, który podał. Obok niej siedział mężczyzna, którego wybrała, by spędzić z nim resztę życia. Na Noana nawet nie patrzyła, jakby w ogóle nie istniał, jakby był elementem wystroju wnętrza. Za to on patrzył na nią. Po raz pierwszy widział ją z tak bliska, czuł jej zapach. Po raz pierwszy słyszał jej głos. Po raz pierwszy miał bolesną pewność, że nigdy nie będzie jego.

- Wrócił Veles - trąkotała. - Opowiadał w okolicy, że zabił tylu wrogów, iż w nagrodę zwolnili go ze służby tydzień przed wszystkimi.

Pachzan zakrztusił się winem.

- Ten tchórz?! - parsknął. - W armii zajmował się głównie handlem bronią. Nie zabił ani jednego wroga. Nie wierz w jego kłamstwa. Jak wrócę do domu, każę mu wszystko odszczekać.

- Kiedy wrócisz?

- Jeszcze kilka dni. Obywatel Romozel powiedział, że potrzebuje żołnierzy, by zapewnić bezpieczeństwo nowemu państwu.

Orestes nie zwracał uwagi na znaczenie słów, które wypowiadała, słuchał jedynie barwy głosu Tanur. Ilekroć odzywał się Pachzan, miał chęć wetknąć mu w usta szmatę.

Przez uchylone drzwi tarasu sączyło się chłodne powietrze, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Żołnierz był przyzwyczajony do zimna, dziewczynę grzały emocje. Fennel gdzieś się wyniósł, chyba wystraszył się wydarzeń zeszłej nocy. Nie miało to żadnego znaczenia. Tanur była w doskonałym nastroju. Nie zauważała Noana, dzięki czemu bez przeszkód mógł się jej przyglądać. Była absolutnie doskonała w każdym geście, słowie, ruchu brwi. Zachowywała się tak, jak powinna się zachowywać dziewczyna, która nie widziała swego ukochanego od wielu dni.

- Skonstruowałem teleskop zwierciadlany. - Orestes usłyszał własny głos.

Pachzan i Tanur przerwali rozmowę i spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Co? - zapytała Tanur.

- Chcesz popatrzeć? - Astronom wstał i wskazał drzwi na taras.

Skinęła głową, zapominając na chwilę, ledwie na chwilę, o Pachzanie. Wyszła za Noanem na taras. Było zdecydowanie zimno i objęcie dziewczyny ramieniem, przytulenie

byłoby jak najbardziej na miejscu.

Gdyby to była jego dziewczyna.

Tanur dotknęła teleskopu. Przesunęła palcami po śrubach mocowania tubusa, po korbach i dźwigniach sterowania mechanizmem śledzącym.

- Ładny - stwierdziła. - Gdzie się patrzy?

- Nie... - Noan zdał sobie sprawę z własnej nierozwagi. - Teraz jest dzień. Nic nie zobaczysz.

Spojrzała zdziwiona. No tak... Po co więc przerwał jej rozmowę i wyciągnął z ciepłego wnętrza?

Wrócili do środka, gdzie dziewczyna natychmiast powróciła do rozmowy z Pachzanem. Orestes starał się pomyśleć o Perac, ale to nie pomogło. Teraz nic nie mogło pomóc. Nie znosił takich uczuć, ale musiał przez to przejść. Ten jeden raz musiał to przeżyć, by uwolnić się od nich na zawsze. Odwrócił wzrok od świergoczącej pary, wyciągnął z szafki nową butelkę wina i otworzył ją. Przez ostatnie dni prawie nie jadł ani nie pił, więc zgromadził mały zapas. Od wczoraj, od czasu przewrotu, nie przynoszono posiłków. Członkom Akademii wydawano wydrukowane przez Hedfusa kupony, za które można było dostać dzban wody i jeden posiłek dziennie. Trzeba było jednak stać w długiej kolejce. To właściwie go nie obchodziło, bo perspektywa kilku dni, kiedy zje pasztet, ser i zimnego kurczaka, nie była dla niego szczególnie niemiła. Patrzył na otwartą butelkę i zastanawiał się. Miał czas, para za jego plecami i tak nie widziała poza sobą świata.

Wziął kielich Tanur, postawił na blaciku szafki i starannie napełnił go niemal po sam brzeg, dolewając zawartość małego flakonika. Ostrożnie przeniósł na stół, postawił na poprzednim miejscu i wbił wzrok w dziewczynę. Nie siadał, stał nieruchomo i patrzył na nią. Gestykulowała żywo, ale już nie widział w niej gwiazdy w kobiecym wcieleniu. Zaciśnął zęby, skupił się i naraz zobaczył w niej zwykłą wiejską dziewczuchę, która nie potrafi wymawiać końcówek, która przeciąga sylaby i źle akcentuje. Dziewuchę, która macha rękami, jak mówi, bo musi pokazywać myśli, nie umie ich nazwać, nie umie znaleźć odpowiednich słów. Skupił się na jej wargach, obejmujących krawędź kieliszka. Nie umiała nawet pić wina. Siorbała je jak zsiadłe mleko z glinianego kubka. Brzydko mrugała powiekami, niestaranie układała palce na krawędzi blatu. Miała też nieco krzywe zęby i nie śmiała się perliście, tylko prostacko. To wszystko, próbował sobie wmówić, ale kiedy zobaczył, że dzieje się z nią coś dziwnego, kiedy dotknęła dłonią ust, kiedy na jej twarzy pojawił się grymas bólu, wtedy znów ujrzał w niej swoją gwiazdę. Tę najjaśniejszą, o której myślał co noc, wbijając wzrok w okular teleskopu, i tę, o której potem śnił, i o której marzył

na jawie następnego dnia.

Nie poruszył się, gdy jego gwiazda zamykała oczy, wiotczała, zsuwała się z krzesła. Nie poruszył się, gdy jego gwiazda upadła.

Pachzan rzucił się do niej, przyklęknął i zaczął cucić, klepiąc w policzki.

- Tanur! Co ci jest?! - Niezdarnie badał ją. Przyłożył ucho do jej ust. Oddychała powoli i coraz płycej. Sprawdził nadgarstek - tętno słabło. Uniósł wzrok na brata i polecił - sprowadź lekarza!

Orestes wolno pokręcił głową.

- Za późno - powiedział.

- Skąd wiesz? Nie znasz się na tym. Wezwij lekarza!

- Ona już nie żyje.

- Skąd wiesz?!

Pachzan zamilkł niespodziewanie, zrozumiał bowiem, że brat ma rację. Tanur nie żyła. Wiedział to, ale nie chciał uwierzyć. Chwycił ją za ramiona, zaczął potrząsać, bić po twarzy i krzyczeć, by się obudziła. Orestes patrzył na to spokojnie i czekał, aż tamten się zmęczy. Wreszcie Pachzan położył jej głowę na podłodze i ukląkł nad nią. Zamknął oczy i dotknął czołem jej czoła.

- Dlaczego?... - zapytał przez łzy. - Jak?...

- Kupiłem tę truciznę dla ciebie - wyjaśnił chłodno Orestes. - Tego dnia, kiedy stłukłeś mi teleskop.

Brat znieruchomiał i wolno podniósł wzrok.

- Co?... - Spojrzał na Tanur, potem znów na Orestesa.

- Ty?...

Wyraz jego twarzy powoli przechodził w zdziwienie, potem we wściekłość. Zerwał się, wyszarpnął z pochwy wojskowy nóż i rzucił się na brata. Zatrzymał się krok przed nim i zachwiał. Wyszczерzył zęby, jakby walczył z niewidzialną siłą. Uniósł broń, ale nie potrafił zabić. Ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Jego palce bez woli właściciela obróciły nóż o sto osiemdziesiąt stopni. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Spojrzał na swoje ręce i na stojącego wciąż w tym samym miejscu Orestesa. Zimny wzrok astronoma zdawał się przenikać Pachzana na wylot. Karabinier stał się gościem we własnym ciele. Trząsł się cały. Walcząc z nieodpartą siłą, oparł ostrze na lewej piersi. Trwał tak chwilę, a potem nagłym szarpnięciem mięśni wbił nóż we własne serce. Krzyknął z bólu i upadł na kolana.

- Dlaczego?...

Więcej nie zdołał powiedzieć. Zwalił się na ziemię.

Orestes odetchnął, usiadł przy stole i trwał tak wiele godzin, a u jego stóp leżeli jego brat i jego gwiazda.

Gdy na niebie pojawił się pierwszy brzask, obudził się z tego snu-nie-snu i opuścił na zawsze wieżę-observatorium.

* * *

Romozel tej nocy spał krótko. Teraz miotał się po sali tronowej. Z założonymi z tyłu rękoma kursował między oknem, biurkiem asystenta a tronem. Wezwany przez niego Nerhus w milczeniu wodził za nim wzrokiem.

- To fatalnie wygląda - odezwał się wreszcie komisarz.

- Nie mam generałów, nie mam łączności z Hamelon ani z Medgrun. Nie wiem, jak liczebne są resztki armii Mechelona ani gdzie są. Oficerowie zaczynają zgłaszać wątpliwości, więc zaraz będę miał wątpliwości u szeregowców. Co według ciebie powinienem zrobić?

- Uwolnić Tedrunela.

- O nie. Wiem, że wiele razem przeszliście, ale nowe państwo musi wzbudzać szacunek. A strach to też rodzaj szacunku. Tedrunel zdradził i musi za to zapłacić.

- Nie zdradził - zaprzeczył pułkownik. - A oficerowie bardzo źle to odebrali.

- Ani słowa o Tedrunelu! To już postanowione. Egzekucja odbędzie się za kwadrans. A ty?

- Jestem zawodowym żołnierzem - wyznał pułkownik.

- Polityka mnie nie obchodzi. Pozostaję wierny Enagorowi.

Romozel poklepał go po ramieniu.

- W południe odbędzie się uroczystość zaprzysiężenia nowego rządu. Niedługo przylecą przedstawiciele Tymczasowego Komitetu Pokojowego.

- Przylecą?

- Sterowcem. Sinevarzy skonstruowali kilka takich maszyn. Widziałeś jedną w akcji. Teraz rozumiesz, że gdyby nie ja, los Medgrun byłby przesądzony.

Podszedł znów do okna, by ocenić stan przygotowań przy szubienicach. Kat już czekał, a kordon straży miejskiej przegradzał niemal pusty plac - egzekucje ostatnio spowszedniały i nie były już sensacją. Sędzia w czerwonej todze przechadzał się w pobliżu schodów, obracając w dłoniach rulon z treścią wyroku. Przynajmniej ten aspekt działalności nowej władzy funkcjonował bez zarzutu.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk otwieranych drzwi. Do sali wszedł uśmiechnięty

Gestme.

- Schwytano Zarkima - zameldował.
- Jak? Gdzie? - Romozel ożywił się. - Kiedy?
- Pół godziny temu, na korytarzu w południowym skrzydle. Został rozpoznany przypadkiem, mimo przebrania.
- Więc ten tchórz, Mechelon, też może się kryć w jakiejś norze... Wyciągnijcie z niego wszystko, co wie!
- Już się tym zajęliśmy w podziemiach więzienia - uśmiechnął się komendant. - Zostało paru neutralnych politycznie katów.
- Wspaniale! Meldujcie, jak tylko coś z niego wydusicie. Nie przebierajcie w środkach.
- Czy wstrzymać egzekucję generałów?
- Nie. Niech zaczynają zgodnie z planem. I bez specjalnych ceregieli. Obejrzę to przez okno.

Gestme minął się w drzwiach z gwardzistą prowadzącym naukowca w niebieskiej szacie.

Gwardzista zasalutował i oznajmił:

- Wynalazca Nekama prosi o audiencję.
- Spotkanie, nie audiencję - poprawił go komisarz.
- Czemu chce się widzieć ze mną?
- Mówi, że wynalazek jest tak ważny, że pragnie przedstawić go bezpośrednio tobie.
- Odeślij go do Chavona.
- Chavon jest teraz razem ze wszystkimi członkami Rady Akademii na miejscu budowy pieca - powiedział gwardzista.
- Ten wynalazca wykwinie się wyraża, więc pomyślałem...
- I dlatego go wpuściłeś? - Romozel wytrzeszczył na niego oczy. - W kraju, jaki mamy zamiar budować, wykwinność w żadnym razie nie będzie nikogo stawiała ponad innymi.
- Czy mam go przegnać?
- Nie. Daj go tu. To może być ciekawe.

Gwardzista skinął na gościa, a ten podszedł bliżej, ale zgodnie z regułami zatrzymał się na kamiennym słońcu na środku sali.

- Witaj komisarzu i wybaczyć, że zajmuję twój cenny czas.
- Mężczyzna był wysoki, łysy, miał na głowie opaskę. Wyglądał osobliwie, ale w jakiś sposób znajomo - być może za sprawą niebieskiej szaty. - Urządzenie, które przynoszę, będzie miało dla ciebie szczególne znaczenie. Podejrzewam nawet, że zaznajomienie się z nim będzie kluczowym momentem twojego życia.

- Tak zachwalasz, że aż robię się podejrzliwy - zaśmiał się Romozel. - Przejdź do konkretów, proszę.

Wynalazca uklonił się i wyjął z obszernej torby czarną kulę wielkości ludzkiej głowy.

* * *

Wbrew temu, co sugerował Romozel, Chavon zadawał sobie pytanie „dlaczego?”. Patrzył na niemal ukończoną, doskonale sferyczną niekę z ubitej ziemi i na szkielet wieży pośrodku. Za pomocą systemu bloczków kilkudziesięciu ludzi wciągało właśnie bombę na kamienne łoże na szczycie wieży Powyżej, na stalowej konstrukcji kończono montaż luster sferycznych, układających się nad bombą w rodzaj parasola. Rektor przyglądał się wysiłkom robotników i porównywał z rysunkami to, co właśnie powstawało.

Na platformie prócz niego był jeszcze Orestes Gaolin - obserwował uważnie postępy prac, ale myślami zdawał się być zupełnie gdzie indziej.

- Wybacz, że przeszkadzam - zaczął Chavon. - Ale czy podgrzanie bomby nie spowoduje eksplozji?

- Naprawdę szkoda mojego wysiłku, żeby ci to tłumaczyć. - Orestes nawet nie spojrzał na rektora.

- Zważ jednak, że ludzie znacznie chętniej i wydajniej pracują, jeśli wiedzą, co i dlaczego robią.

Astronom westchnął.

- Bomba nie jest gotowa do wybuchu - mruknął. - Czekaj, by Tanur mogła się oddalić na bezpieczną odległość.

- Uważasz, że ta bomba może zagrozić gwiazdzie na niebie?

- Tanur nie jest gwiazdą. To pojazd ludzi z innego świata. Jest na tyle blisko, że jeśli nie ucieknie, wybuch bomby go zniszczy.

Chavon uniósł wzrok, ale z oczywistych względów nie mógł dostrzec gwiazd.

- To jednak nie rozwiewa moich wątpliwości. Podgrzanie zwykłych bomb musi się skończyć wybuchem.

- W tej bombie nie ma prochu strzelniczego, który mógłby wybuchnąć od ciepła. W środku jest skomplikowany mechanizm, który musi zadziałać, by bomba się uzbroiła i wybuchła. Nie wiem, jaki charakter ma materiał wybuchowy, wiem za to, że pozostawienie bomby swemu losowi zniszczy nasz świat. Gdybyśmy potrafili ją rozebrać, moglibyśmy ją unieszkodliwić w prostszy sposób, ale nie potrafimy. Jedynym sposobem ingerencji w jej

wnętrze jest dostarczenie tam ciepła. Tylko temperaturą potrafimy zakłócić pracę mechanizmu. W tym dole znajdzie się ponad piętnaście tysięcy luster, zebranych z domów mieszczan Miduhr. Gdy słońce zawędruje odpowiednio wysoko, mniej więcej o wpół do dziesiątej, światło, a więc i ciepło, skupi się na bombie. Temperatura, jaką osiągnie powierzchnia kuli, przekroczy pięćset razy temperaturę wnętrza pieca hutniczego. Zakładam, że nie istnieje materiał zdolny to wytrzymać. Sferyczne lustra ponad kulą mają odbijać wypromieniowane przez nią ciepło i oddawać je z powrotem. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że lustra te stopią się po kilku minutach, ale swoje zadanie wykonają. Mechanizm zegarowy będzie przesuwiał podest z kulą, by w miarę ruchu słońca znajdowała się w ognisku zwierciadła. Ów mechanizm też odmówi posłuszeństwa, tak jak i cała wieża. Nastąpi to jednak, dopiero gdy bomba będzie już dostatecznie rozgrzana i nic nie powstrzyma wędrówki ciepła poprzez wszystkie warstwy do jej wnętrza. Czy takie wyjaśnienie cię zadowala, rektorze?

Chavon patrzył na astronoma szeroko otwartymi oczami. Wolno skinął głową.

* * *

- Popatrz, a wydawał się takim pięknišem-pachnišem.
- Przychodził tu nieraz. Pamiętam. Zasłaniał usta wyperfumowaną chustką.
- Kto by pomyślał, że wytrzyma do trzynastu...

Kulący się pod ścianą nagi mężczyzna w niczym nie przypominał dawnego królewskiego sekretarza. Trząsł się i zaciskał zęby. Nie miał żadnego z palców u nóg, nie miał też trzech palców u lewej ręki. Ilość krwi na podłodze źle rokowała jego przyszłości.

Drzwi celi otworzyły się i wszedł Gestme.

- Jak idzie?
- Odcisk mi się zrobił. - Wyższy kat obejrzał wnętrze swojej dłoni.
- Nie rozumiem, czemu nie używasz rękawic. - Wzruszył ramionami niższy.
- Lubię mieć bezpośredni kontakt z tworzywem.
- Powiedział coś? - lekko zniecierpliwionym głosem sprecyzował pytanie komendant.
- Owszem. - Wyższy kat porzucił kontemplację dłoni. - Powiedział, że przebrany za wynalazcę zabójca ma dziś zamordować komisarza.
- I nie wpadliście na pomysł, żeby mi o tym powiedzieć?!
- Nie było cię tu. Pracować nad nim dalej? Nie pociągnie dłużej niż pół godziny.
- Starczy tego. - Komendant przyjrzał się z niesmakiem leżącemu pod ścianą strzępowi

istoty ludzkiej.

Wyższy kat podszedł do ściany obwieszanej najróżniejszymi narzędziami. Chwilę się zastanawiał, wreszcie wybrał długi, zagięty nóż.

- Dobra, kończymy.

Gestme odwrócił się i wyszedł, by uniknąć tego widoku. Gdy był już w połowie drogi do schodów, przypomniał sobie, kogo mijał w drzwiach sali tronowej. Zatrzymał się, nabrał powietrza, po czym rzucił się do schodów. W pół minuty dotarł na parter do kancelarii i roztrącając zdziwionych strażników, dopadł komunikatora Klanka. Podniósł słuchawkę i nacisnął guzik obok etykiety „Sala tronowa”.

Odpowiedzią była cisza.

* * *

Wynalazca Nekama obracał w dłoniach kulę i coś przy niej majstrował. Mruczał pod nosem wyjaśnienia. Wyjął z torby przedmiot, powiększoną wersję klucza do nakręcania zegarów, włożył go w otwór w obudowie kuli i zaczął nakręcać sprężynę.

Romozel zniecierpliwił się.

- Podejdźże bliżej, człowieku, przecież nic nie widzę, co tam wtykasz.

Nekama skinął głową i podszedł aż do stóp podwyższenia tronu.

- Jak mówiłem, tym kluczem naciąga się mechanizm - wyjaśnił, robiąc jeszcze jeden obrót. Zębatka wewnątrz kuli zaczęła ciężko. - Teraz urządzenie jest gotowe do pracy. Steruje się nim bardzo prosto. Jak widzisz, komisarzu, po jednej stronie kuli znajduje się żółty przycisk, po drugiej czerwony. Wciśnięcie żółtego - Nekama wcisnął go, a we wnętrzu coś zaskoczyło - powoduje odbezpieczenie mechanizmu zapłonowego. Gdybym teraz nacisnął czerwony, nastąpiłaby eksplozja.

Romozel spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Czy wewnątrz znajduje się... ładunek?

- Najsilniejszy, jaki potrafią wykonać chemicy Enagoru.

Komisarz przełknął ślinę i momentalnie wytrzeźwiał.

- Ryzykowna zabawa... Jaki pożytek z takiej broni, skoro by ją odpalić, sam operator musi zginąć?

- To broń dla ludzi, którzy stracili wszystko, a zemsta jest ich celem ostatecznym.

- Może lepiej... dla bezpieczeństwa, puść już żółty przycisk.

Nekama pokręcił wolno głową.

- Zwolnienie żółtego przycisku również spowoduje eksplozję. Obawiam się, że teraz nie już nie można zrobić. Mechanizm nie służy nawet zabezpieczeniu przed tym, żeby zabójca nie rozmyślił się w ostatniej chwili, ale przed tym, żeby nie został obezwładniony przez ochronę celu swojego ataku. Nie jest bowiem tajemnicą, że trafienie w odpowiednie miejsce mózgu powoduje przedśmiertny skurcz wszystkich mięśni, a trafienie w inne miejsce mięśnie rozluźnia. Tak więc w obu przypadkach bomba wybuchnie - albo zostanie wciśnięty czerwony przycisk, albo puszczone żółty.

Romozel pociał się i wbijał wzrok w kulę. Stojący najbliżej gwardziści zrobili krok w stronę drzwi, ale wynalazca powstrzymał ich:

- Nikt się nie rusza! Nie zdążycie przebiec nawet pięciu kroków.

- Przysłał cię król? - zapytał przez zaciśnięte usta komisarz. - Czego chce ten tchórz? Żeby zapewnić mu bezpieczeństwo? Żeby pozwolił mu wyjechać cało z Enagoru? Chce złota?

Nekama odpowiedział pytaniem:

- Zastanawiałeś się, co będzie, kiedy zwykli ludzie poznają prawdziwy charakter twojej rewolucji? *Společenstvo* to zbiór wspaniale brzmiących, ale utopijnych idei. Wprowadzone w życie, muszą doprowadzić do katastrofy.

- Ty tej katastrofy nie dożyjesz... Mechelon również. W końcu go dopadniemy.

Drzwi sali tronowej otworzyły się z hukiem i do środka wpadł zdyszany Gestme.

- Zdrada! - krzyknął. - Ten człowiek to zamachowiec!

- Wiem, idioto! - syknął Romozel. - Spóźniłeś się o trzy minuty...

Gestme podszedł do tronu i natychmiast zrozumiał sytuację. Zbladł, ale zamilczał.

- Mechelon chce tego, co realnie może teraz osiągnąć. - Nekama patrzył na komisarza. - Chce twojej śmierci.

Romozel oparł się mocniej o tron. Dwóch gwardzistów wycelowało karabiny w wynalazcę, inni, kompletnie zdezorientowani, wahali się pomiędzy ucieczką a jakąś bohaterską akcją, na przykład przykrycia bomby własnym ciałem.

- Cokolwiek zrobicie, zginiecie. - Nekama zwrócił się bezpośrednio do gwardzistów. - Jednak nie pragnę waszej śmierci, lecz jedynie śmierci tej zmi. - Wskazał głową Romozela. - Problem jednak polega na tym, że bomba nie wybiera. Jeśli wybuchnie, zginą bez wyjątku wszyscy. Mam więc propozycję. Sami zabijecie komisarza, a ja wyjdę stąd i odpalę bombę z dala od wszystkich.

- Zabraniam! - wrzasnął Romozel. - Żądaj, czego chcesz. Dostaniesz.

- Moim jedynym żądaniem jest twoja śmierć. - Odwrócił się do gwardzistów. - Palec mi

drętwieje, panowie. Nalegam na szybką decyzję.

Dwóch gwardzistów, którzy celowali w wynalazcę, obróciło teraz lufy w kierunku komisarza.

- Zabraniam... - powtórzył słabym głosem Romozel.

- W brzuch - polecił wynalazca. - Niech umiera powoli.

Gwardziści wciąż się wahali. Gestem wyręczył ich - wyjął z kabury pistolet i strzelił. Ciałem komisarza targnął wstrząs. Zgiął się wpół, złapał za brzuch. Na czerwonej szacie pojawiła się szybko rosnąca, ledwie tylko ciemniejsza plama. Uniósł wykrzywioną grymasem bólu i złości twarz i spojrzał z nienawiścią w oczy komendanta. Potem przeniósł gasnące spojrzenie na człowieka trzymającego bombę. Teraz rozpoznał go.

- Wojen nie wygrywa się honorem. - Mechelon puścił żółty przycisk.

XL

Siedzieli i grzebali łyżkami w resztkach obiadu, choć już nic nie zdołali w siebie wepchnąć.

- Wewnątrz następuje potężny wybuch nuklearny - odezwał się Hood. - Płaszcz niszczyciela topi się po kilku mikrosekundach, uwalniając całą energię. W tym czasie następuje kolejna reakcja, coś na kształt implozji grawitacyjnej. Czarna dziura... chyba. Może coś podobnego. Tyle wyszukałem w bazach danych, ale nie mam pewności, czy to się odnosi do niszczyciela planet. Powstaje gorąca anomalia, której natury nie zdołamy pojąć bez pomocy fizyka nuklearnego. W kilka dni anomalia przepala się przez płaszcz skalny jak gorący nóż przez masło. Potem rozgrzewa się jeszcze bardziej, zamieniając planetę w małe słońce... Związki organiczne na powierzchni i w atmosferze rozpadają się. Potem wszystko stygnie, po kilku tysiącach lat woda może zacząć się skraplać. I wszystko zaczyna się od początku. Na Ziemi trwało to cztery miliardy lat. To bezpieczny dla nas dystans.

- Będziemy tu siedzieć i czekać? - Jayde oparła się o stół, jakby chciała wstać. Ale i tak nie miała pomysłu, co mogliby zrobić. Mocny make-up nieco się rozmył, nadając jej twarzy dramatyczny wyraz. - Skoro nie możemy rozbroić niszczyciela, to może chociaż odblokujemy silniki i oddalimy się...

- Nawet gdybyśmy teraz odblokowali wszystko, to nie zdążymy odlecieć. Musielibyśmy włączyć hipernapęd.

- Nie możemy włączyć nawet silników korekcyjnych! - krzyknęła, unosząc ręce i zaciskając pięści. - Czy on mówił poważnie? - zapytała ciszej, patrząc na mężczyznę. - Że Kameleon może sondować nasze umysły? Czy to dlatego... tak mało nas nauczyli o tym statku? O fizyce podróży międzygwiazdnych?

Hood pokręcił głową.

- Jeśli będziemy z drugiej strony planety, będzie pewna szansa...

* * *

Nad szkieletową wieżą przeleciał ptak, zatoczył koło ponad centralnym rusztowaniem i zaczął świergolić. Orestes prowadził go wzrokiem. Nagle rozległ się huk i ptak eksplodował w jasnym błysku, sypiąc wokół dymiącymi piórami. Astronom nawet nie drgnął. Promienie słoneczne skupiały się w jednym punkcie, gdzieś kilka stóp przed metalową kulą. Były zdolne w sekundę stopić stalowe kowadło. Gdzieś tam był ten punkt, niewidzialny. Powoli wędrował w przestrzeni, wraz z ruchem słońca. Najgorętszy punkt na świecie. Według zegarka został kwadrans do spotkania promienia z bombą. Jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć, mógł dojrzeć drganie powietrza. Pojawiały się tam małe iskierki, zapewne efekt spalania drobin kurzu.

Wokół nie było nikogo. Ostatni paromobil czekał na astronoma, a sterowniczy zdradzał wszelkie objawy narastającej paniki. Nie wszystkie z wypełniających dół luster były ustawione dość precyzyjnie, niektóre już zaczynały oświetlać czarną kulę. Astronom czuł na twarzy promieniujące z niej ciepło. Dalsze przebywanie w pobliżu pieca byłoby równoznaczne z samobójstwem. Zastanawiał się chwilę, czy jednak nie zostać, ale zrezygnował. Chciał zobaczyć efekt swoich działań. Jeśli woskowy spust startowy mechanizmu zegarowego nie zadziała, nikt nie będzie miał czasu o tym pomyśleć. Rzucił ostatnie spojrzenie na dziesiątki tysięcy luster, precyzyjnie rozłożone na wbitych w ziemię drewnianych kołeczkach. Potem zszedł na dół i wsiadł do paromobilu, na co sterowniczy zareagował odkręceniem zaworu pary do końca. Pomknęli po wybojach w kierunku miasta.

* * *

Romozel umierał. Patrzył na króla, trzymającego w dłoniach czarną kulę. W ustach czuł metaliczny smak krwi i wiedział doskonale, że jego czas dobiega końca.

- Nie udało ci się... - Usiłował się zaśmiać. - Nie wybuchła...

- Nie mogła wybuchnąć. - Mechelon odłożył kulę na podłogę. - To zwykła zabawka.

Komisarz próbował zebrać resztki niknącej świadomości i powiedzieć coś mądrego, coś, co podsumowałoby życie, rewolucję, ten dzień, zabawkę, która miała być bombą. Wszyscy stali w milczeniu tam, gdzie zastał ich huk wystrzału, i czekali.

Romozel zamknął oczy.

* * *

Tedrunel i Armunach ramię w ramię weszli na schody podwyższenia i stanęli przed katem. Jego oczy w otworach czerwonej czapki wydawały się nieskończenie smutne. Rozciął im więzy i gestem właściciela gospody zapraszającego ważnych gości wskazał im zapadnie pod szubienicami. Spojrzeli na dyndające w podmuchach delikatnego wiatru stryczki. Ustawili się na środku krat zapadni, tuż przed pętlami z grubej liny.

Sędzia wszedł na podwyższenie i zaczął głośno czytać wyrok i jego uzasadnienie. Generałowie nie słuchali. Patrzyli ponad dachami pałacu na opuszczający się na plac brunatny sterowiec z wielkim godłem Sinevaru na burcie. Pojazd kształtu grubego cygara był długi na co najmniej czterysta stóp. Umieszczona na jego spodzie gondola przypominała smukłą łódź. Z obu jej stron na wysięgnikach wystawały silniki, młójące śmigłami powietrze.

Kolejne głowy unosiły się ku niebu. Po chwili wszyscy strażnicy i nieliczni mieszczanie gapili się na ogromny pojazd. Wreszcie i sam sędzia przerwał czytanie i opuścił pergamin.

Silniki dały całą wstecz i dziób sterowca pochylił się do ziemi. Maszyna zaczęła się zniżać. Z bramy pałacowej wysypali się gwardziści. Złapali rzucone liny i poczęli je wiązać do przygotowanych zawczasu klamer wpuszczonych w bruk. Sterowiec wolno opadał, aż osiadł na ziemi na prawo od podwyższenia. Gigant robił niesamowite wrażenie. Tedrunel pomyślał przelotnie, że gdyby chcieli uciec, zapewne udałoby im się teraz zwyczajnie odejść - wszyscy stracili zainteresowanie nimi. Armunach zastanawiał się nad tym samym. Żaden z nich nie planował jednak ucieczki, choć ich motywby były odmienne.

Służba poczęła rozwijać czerwony dywan wprost do otwierającego się właśnie trapu. Człowiek, który po nim zszedł, był bardzo niskiego wzrostu. Zatrzymał się i odwrócił głowę w kierunku szubienic. Spojrzenia niezwykle niskiego przybysza i Tedrunela skrzyżowały się.

* * *

Jasność bijąca od pieca oświeślała mijane drzewa. Sterowniczemu posapywał z przejęciem, wyciskając z maszyny, ile się dało. Przesadzał z prędkością na nierównej drodze, strach brał już górę nad rozsądkiem. Zwolnił, dopiero gdy pod kołami zadudnił miejski bruk, a miejsce drzew zajęły mury. Orestes nie odzywał się przez całą, trwającą prawie pół godziny, drogę. Dopiero teraz rzucił krótkie polecenie:

- Zawieź mnie do zaułka czerwonych latarni.

Sterowniczemu spojrzał na niego, zdziwiony tą zachcianką w tak przełomowej chwili. Nie skomentował tego jednak, tylko skręcił w boczną ulicę. Zapewne marzył o odstawieniu

paromobilu do garażu i spiciu się na umór, by zapomnieć o poranku.

Dzielnica uciech była o tej porze opustoszała, a i wydarzenia ostatnich dni nie nastrajały mieszczan do szczególnej rozpusty. Na ryneczku walały się śmiecie. Trzypiętrowy, krzywy dom z szyldem „Czarna Róża” odpychał zamkniętymi okiennicami. Orestes nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Uderzył więc w nie trzy razy pięścią i czekał. Długo trwało, nim w środku rozległo się szuranie. Otworzyła się mała klapka wizjera, ukazując zaspaną twarz dziewczyny Oczy, zapuchnięte po nocnych harcach, zmierzyły go zmęczonym, niechętnym spojrzeniem.

- Czego? - wychrypiała dziewczyna. - Zamknięte.

- Więc otwórz. - Uniósł w palcach srebrną koronę. Klapka zamknęła się, szczęknięt zamek i drzwi stanęły otworem. Opustoszałe wnętrze było zimne i martwe, tylko wiszący w powietrzu zastały smród był ten sam. Orestes wcisnął monetę w wyciągniętą dłoń dziewczyny i ominął ją. Choreszet spała na siedząco za swoim stołem obok schodów. Teraz nie wyglądała nawet na ropuchę, przypominała bardziej tłustego ślimaka. Głowa unosiła się w rytmie chrapliwego oddechu na poduszkach podbródków. Położył przed nią drugą koronę, zapalił jedną z lamp i wszedł na piętro. Pchnął znajome drzwi i przekroczył próg. Perac spała na brzuchu, z głową pod poduszką i nogą zwieszoną na podłogę. Kołdra odsłaniała gołe pośladki.

Zamknął drzwi na tyle głośno, żeby ją obudzić. Westchnęła i przekręciła się na bok. Odgarnęła czarne włosy i spojrzała na nieoczekiwanego gościa.

- Dawno cię nie było - mruknęła sennie. - Czemu teraz, nagle?...

- Mam przeczucie, że wkrótce umrę.

Postawił lampę na półeczce. Do miski z wodą wrzucił srebrną monetę.

Perac usiadła na łóżku i przeciągnęła się. Przyjrzała się dokładniej astronomowi. Wstała i zbliżyła się do niego.

- Co się stało z twoimi włosami? - Przesunęła palcami po jego głowie.

Nie odpowiedział. Zaczął ściągać ubranie.

* * *

Niewielki człowieczek zszedł z czerwonego dywanu i wbił wzrok w Tedrunela. Reszta Sinevarów przeszła wprost do bramy. Gwardziści odczepili cumy i sterowiec począł się wznosić niemal pionowo. Znow zagrały turbiny parowe, a śmigła zacięły ze świstem powietrze. Mężczyzna ruszył w kierunku podwyższenia i znow się zatrzymał. Spojrzał w dół,

pod nogi. Coś się zmieniło w otoczeniu. Tedrunel miał wrażenie, że to bruk zafalował, jakby był powierzchnią płynu. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk. To nie było złudzenie. Strażnicy rozglądali się, zdezorientowani. W absolutnej ciszy przestrzeń zadrżała, a z góry spłynęła jasność. Ekspłodowały latarnie elektryczne, a doprowadzające do nich prąd kable rozżarzyły się na moment i wyparowały w jasnych błyskach. Prawa burta sterowca świeciła, jakby wycelowano w nią ogromny reflektor. Trwało to ledwie chwilę, nim całe poszycie z jednej strony zadymiło i stanęło w płomieniach. Sterowiec został porwany gwałtownym prądem powietrza i w kilka sekund zdmuchnięty nad budynki. Jak zabawka. Rozpadał się, ale narastający pomruk przyciągnął wzrok wszystkich na pałac. Unosiła się nad nim czarna chmura, w której wirowały dachówki, krokwie, cegły. Ogromny gmach rozpadł się, jakby rozerwany wewnętrzną eksplozją. To samo działo się z budynkami północnych dzielnic. Potężna, niewidzialna siła pchała przed sobą falę gruzów, połamanych drzew i różnych szczątków. Trzęsienie ziemi zważyło z nóg tych, którzy jeszcze stali.

Mimo ogłuszającego, szarpiącego wnętrzości basowego huku, Tedrunel i Armunach patrzyli na nadciągającą falę z ciekawością. Przecież nie mieli się już czego bać.

* * *

Orestes zanurzył się w ciele Perac z przeświadczeniem, że już na wszystko jest za późno. Dziewczyna poddała mu się miękko. Nie próbował dociec, ile jest w tym uroku jego osoby, a ile magii srebra. Nie obchodziło go to. Zamknął oczy i poruszał się w niej i w swojej wyobraźni.

Osobliwa, niematerialna vibracja przeszyla jego ciało. Wtedy już wiedział, że zdążył. Gdy ściany zadrżały po raz pierwszy, złotowłosa Tanur całowała jego twarz.

* * *

W sterowni wył alarm. Wszystko się trzęsło. Statek schodził z orbity, ściągany w dół chaosem układów sterowania i przypadkowymi impulsami silników korekcyjnych.

- Miały być dwie doby! - krzyknęła Jayde, rozglądając się po migających kontrolkach.

Hood patrzył na wskaźniki i usiłował wydać jakiegokolwiek polecenie komputerowi. Nagle, patrząc na ekran, znieruchomiał. Drgania ustały.

- „Nastąpił wybuch konwencjonalny - czytał raport. - Zapoczątkował reakcję nuklearną. Nastąpiło to w momencie, gdy ładunek główny nie był jeszcze gotowy. Dysfunkcja ładunku

głównego. Niepowodzenie detonacji właściwej".

- Załatwili naszego niszczyciela planet! - zawołała Jayde.

- Kibicujesz zły drużynie. - Hood nie podzielał jej optymizmu. - Wysiadła nam połowa układów, w tym wszystkie nawigacyjne. Impuls i tak był zbyt silny. Sprawdź, co działa.

W powietrzu rozszedł się swąd spalenizny. Na głównym ekranie, który po chwili wyświetlania pasków i mrówek pokazał powierzchnię planety, widać było grzyb atomowy wznoszący się już ponad stratosferę Ruthar Larcke.

Hood zbliżył się do ekranu.

- W promieniu kilkuset kilometrów nie będzie czego zbierać - mruknął ponuro. - Ale globalnie wygrali. Powinniśmy nadać raport...

- Nadajniki były odcięte - odparła z pewną satysfakcją Jayde. - A teraz... raczej już nie istnieją. Nie mam dostępu do... dosłownie do niczego. Dryfujemy. Całe paliwo silników korekcyjnych poleciało naraz we wszystkie strony. Nie mamy nic. Nawet lądowników.

- Zrobiłaś wyliczenia? Ile mamy czasu?

- Pytasz o początek końca czy o koniec właściwy?

- Zadajesz trudne pytania.

- Do wyczuwalnego wejścia w atmosferę zostało nam... jakieś trzydzieści godzin. Potem pójdzie już szybko. Kilkanaście minut. Statek wytrzyma lot przez atmosferę, ale uderzenia w powierzchnię już nie. Antygravitony nam nie pomogą. Zostaną przeciążone dziesięciokrotnie.

- Dziesięć G? - zapytał Hood.

Jayde wolno pokręciła głową.

- Miałam na myśli dziesięciokrotne przeciążenie antygravitonów w trybie awaryjnym. To... sto pięćdziesiąt G. Co najmniej. Wiesz, co to znaczy?

Wiedział. Przy dziewięćdziesięciu G żebra zapadają się pod własnym ciężarem, a skóra i mięśnie spływają ze szkieletu jak rzadki kiesel. Usiadł w swoim fotelu, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Przez długie minuty wpatrywali się w terminator sunący po powierzchni Ruthar Larcke. Widok, choć przetworzony przez układy optyczne i elektroniczne statku, robił wrażenie. Na tle błękitnej planety widniała szara blizna o średnicy kilkuset kilometrów.

Dziewczęca postać zasłoniła widok. Uniósł na nią wzrok. Ich spojrzenia spotkały się. Jayde trwała nieruchomo, wreszcie usiadła mu na kolanach, objęła go ramionami i wtuliła się w niego jak najmocniej.

XLI

Ilsa wyciągnięta w fotelu patrzyła na gwiazdy. Jak co noc wyobraźnią leciała ku nim, rozgarniając przestrzeń. Stawała się jedną z nich - świecącą zimno gwiazdą bez planet. Rozkładając ramiona, zawisała z dala od zatłoczonych galaktyk. Rozpalała w sobie nuklearny ogień i rozpuszczając jasne włosy, otaczała się żyjącą własnym życiem chłodniejszą koroną sypiącą gigantycznymi iskrami, w końcu i tak powracającymi grawitacyjnym ssaniem. Emitowała promieniowanie we wszystkich znanych jej pasmach, ze szczególnym upodobaniem dodając do tego mieszankę swobodnych elektronów, protonów i cząstek alfa. Wiatr słoneczny zwijał się wokół niej w spirale i odpływał sennie w dal, gubiąc pamięć źródła. Wypalała się i zapadała w sobie, aż zegar ścienny, wskazujący dziesiątą w nocy, z postaci czerwonego karła przywoływał ją do rzeczywistości.

Szklany dach razem z gwiazdami musiał zaczekać do jutra. Zsunęła się z fotela i poszła wziąć prysznic.

Ociekając wodą, przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Fascynowało ją, ale nie potrafiła uchwycić istoty tej fascynacji. Czy się zmieniała? Czy była większa niż kiedyś, czy to dom się zmniejszył?

Idąc do chłodni po pojemnik z kolacją, włączyła odtwarzacz. Zawsze to robiła. Muzyka wypełniła korytarze domu spokojnym natchnieniem.

Czyj to głos, matko?, pytała jak co dzień.

Pamiętała kolejne wyśpiwywane słowa aż do ostatniego, urwanego w połowie. Wtedy następowała cisza, a Ilsa leżała już w łóżku, próbując zasnąć.

* * *

Zerwała się w środku nocy z krzykiem. Wciąż czuła na swoim ciele łagodne dotknięcia

zimnych dłoni i usta muskające szyję. Sen o istocie ze szklanej rury był przerażający, ale jednocześnie pragnęła, by śnił się dalej. Gorące, rozkoszne pulsowanie w dole brzucha powoli ustępowało.

Długo leżała, nie mogąc zasnąć, aż szanse na dalszy ciąg snu zniknęły wraz ze światłem lamp sufitowych. Stopniowe narastanie jasności nieodmiennie rozpoczynało każdy dzień, Ilsa mrużyła oczy i ziewała przez kilka minut, aż resztki niedoszłych snów i niepokojących marzeń wietrzały ostatecznie z jej umysłu. Potem szła do chłodni po pojemnik ze śniadaniem. Zostało ich już niewiele. Gdzieś w zakamarkach wyobraźni odnajdywała obraz pełnych półek z czasów, gdy była jeszcze na tyle mała (albo dom na tyle duży), że nie mogła dosięgnąć do tych najwyższych. Na peryferiach świadomości błąkało się niejasno sprecyzowane pytanie o to, co się stanie, gdy zje zawartość ostatniego opakowania.

Podgrzewała śniadanie w kuchence. Zjadała je, popijając kawą i starając się nie myśleć o smaku. Innego zresztą nie znała. Szła umyć zęby i wziąć prysznic.

Po co brać prysznic dwa razy dziennie, matko?

Matka nie mogła odpowiedzieć. Była jedynie wspomnieniem, odległą istotą o spokojnych, mądrych oczach i delikatnych dłoniach. Tyle tylko z niej zostało.

Posłuszna wspomnieniu brała prysznic, choć nie czuła się brudna. Potem, wycierając włosy, szła kolejnym korytarzem po wytartej w wykładzinie ścieżce, znając na pamięć każdą wypukłość ścian.

Hala była pełna zielonych zmiennych kształtów, z którymi Ilsa czuła bardzo bliski związek. Rośliny rosły wolno, ale pamiętała, że grube drzewo, pod którym lubiła leżeć, kiedyś było ledwie łodygą z kilkoma listkami. Teraz z trudem mogła objąć jego pień ramionami. Korona drzewa dotykała sklepienia pokrytego setkami lamp gasnących zaledwie na jedną godzinę w środku nocy. Drzewo aż tak urosło, czy może sklepienie się obniżyło? Pozostałe drzewa były mniejsze, ale razem z krzakami, pnączami i ściółką miejscami tworzyły gęstwinę, z której wnętrza nie było widać nic poza pstrokatą zielonością.

To było drugie, po sali ze szklanym sufitem, miejsce, gdzie Ilsa oddawała się marzeniom. Jednak tutaj nie miały one konkretnego kształtu. Była to raczej swobodna gra wyobraźni puszczonej wolno na wielką zieloną łąkę bądź gdziekolwiek indziej, gdzie nie było granic w postaci sieci korytarzy i sal.

* * *

Gwiazdy tkwiły na swoich miejscach jak zawsze. Jedyną odmianą był jaśniejszy od

innych punkt w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj była czerń. Ilsa była poruszona. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy. Nigdy! Odkąd sięgała pamięcią, gwiazdy zawsze wyglądały niezmiennie. Leżąc na tym fotelu, co wieczór wyruszała w podróż do granic wyobraźni, stając się nową gwiazdą. Matka też to robiła, aż pewnego dnia naprawdę zamieniła się w gwiazdę. Ale teraz, tam w górze, to nie była ona.

Tej nocy budziła się dwa razy dręczona koszmarami. Nie pamiętała ich treści, ale zaraz po śniadaniu wróciła do sali ze szklanym sufitem. Nawet w dzień panował tu półmrok rozpraszany jedynie światłem odległych gwiazd. Dziewczyna nie położyła się na fotelu - oszczędzała tę przyjemność na wieczorny rytuał. Uniosła jedynie głowę, poznając tym samym nowe uczucie - strach.

Obiekt był znacznie bliżej niż przed dziesięcioma godzinami.

Wybiegła z sali i długo krążyła korytarzami, nie mogąc się uspokoić. Dopiero głód przyciągnął ją do kuchni na obiad.

* * *

Przejechała dłonią po oszronionej powierzchni szkła. Błady zarys korpusu i głowy wewnątrz rury tracił się w mroźnej mgle. Szerokie barki i ramiona pozostawały nieruchome.

Ostatnio przychodziła tutaj częściej, ale tylko rano, by do wieczora otrząsnąć się ze smutku, jakim emanowało to miejsce. Tego dnia jednak spokój zimnej sali dodawał jej otuchy swą niezmiennością.

Dwanaście identycznych rur ustawionych w okręgu. Jedna z nich była ciemna i pusta, ale dziewczyna zawsze siadała przy tej pierwszej od drzwi i patrzyła na zamknięte oczy za mgłą. Bała się, że powieki mogą się otworzyć. Bała się i czekała.

* * *

Leżąc w fotelu pod dachem z gwiazd, nie stawała się już jedną z nich. Obezwładniona strachem, wpatrywała się w kulisty obiekt większy od wyciągniętej dłoni. Miał czerwoną matową powierzchnię i pozornie nieruchomo wisiał w przestrzeni dokładnie nad nią, ale w rzeczywistości zbliżał się, opadał na dom; to nie ulegało wątpliwości.

Ilsa usłyszała ciche pyknięcie. Kątem oka zobaczyła ruch i zdrętwiała z przerażenia. Obok fotela zapłonęła czerwona lampka. Dziewczyna zacisnęła dłonie na poręczach i wpatrywała się w nieznane zjawisko. Po minucie w innym miejscu sali błysnęła następna

lampka. Po chwili kolejna i jeszcze jedna. Gdzieś pod podłogą coś jęknęło przeciągle i sapnęło. Fotel ledwo wyczuwalnie drgnął.

Ilsa krzyknęła i potykając się, pobiegła do sypialni, by zwinąć się w kłębek i ukryć się cała pod kocem.

Wróciła po kilku godzinach - to miejsce zbyt wiele dla niej znaczyło. Gigantyczna kula wypełniała sobą niemal całe okno, zalewając salę czerwoną poświatą. Przestała opadać.

Ilsa leżała w swoim fotelu przytłoczona rozmiarem zmiany jaka nastąpiła w jej życiu. Nie było już gwiazd, nie było nieważkich podróży. Były setki różnokolorowych lampek, jakby obiekt wepchnął gwiazdy do wnętrza domu. Były popiskiwanie i rysujące się światłem monitory.

Przygnębiona zwlokła się z fotela i okrężną drogą doszła do zimnej sali.

Na metalowych uchwytych trzymających szklane rury też paliły się lampki - obiekt wtargnął nawet tutaj. Zmieniał, co trwało niezmiennie od zawsze. Usiadła na obrotowym krześle przy swojej ulubionej rurze i dotknęła jej dłonią. Z krzykiem odskoczyła, upadając na ziemię. Krzesło przewróciło się, a echo powtórzyło towarzyszący temu odgłos. Chwilę siedziała zaskoczona, po czym wstała i ostrożnie dotknęła - szkło wydawało się cieplejsze niż zawsze, a zamiast szronu na powierzchni, do rynienek spływała kroplami rosa.

Mgła wewnątrz zniknęła, a twarz nie była blada. Ilsa nachyliła się nad rurą, ścierając ręką wilgoć. Ustami niemal muskała chłodną powierzchnię. Chciała dotknąć ciała wewnątrz, przejechać po nim dłonią. Może przyłożyć policzek. Wyobrażała sobie, że leży tam w środku, bezpieczna, przytulając się...

Po drugiej stronie szkła otworzyły się oczy.

* * *

Białe chmurki wisiały na błękitnym niebie niemal w całkowitym bezruchu. Żółcienie falowały po horyzont, poruszane łagodnymi podmuchami wiatru. Morze żółtych traw. Ocean żółtych traw. Planeta...

Ilsa muskała wierzchołki fal dłonią. Szła przez złote łąny, starając się nie deptać roślin. Końcówki żółtych łodyg delikatnie skubały rękawice jej kombinezonu. Szukały najmniejszej szczeliny, by dostać się do środka i zabić ją. Czuła to, choć nie było sposobu, by to sprawdzić, nie narażając życia.

Rośliny... Kolejne uproszczenie, kolejny schemat. W dotyku, przynajmniej przez rękawice, sprawiały wrażenie plantacji gumowych węży.

Niepewny spokój spaceru zakłócił łoskot helikoptera. Przeleciał kilkadziesiąt metrów nad nią i wznosząc się, odleciał na północny zachód. Powoli stawał się małą czarną kropką.

- *Ilsa...* - odezwały się słuchawki wewnątrz hełmu. - *Nie za długi ten spacer?*

Uśmiechnęła się, rozpoznając głos.

- Już wracam.

- Kaspar Hauser w wydaniu żeńskim - mruknął Hancock, patrząc przez okrągłe okno na dziewczynę biegnącą przez sięgające jej prawie do szyi leniwie kołyszące się łodygi. Za duży kombinezon krępował jej ruchy. Rozgarnęła ostatnie zółcienie i wbiegła na wypalony promieniami UV obszar ochronny wokół stacji.

- Patrząc na nią, ciągle widzę Samanthę - powiedział stojący obok Reed, gdy Ilsa znikła pod obłym nawisem dachu chroniącym główną śluzę.

- Nie mówcie przy niej o tym - powiedziała Lena, siedząc za barem nad parującym kubkiem herbaty. - Będzie jej przykro.

- Nie widziałem, żeby kiedykolwiek było jej przykro - odparł Hancock. - Odnoszę wrażenie, że ona traktuje nas jak elementy wystroju wnętrza.

Z dołu doszedł ich cichy dźwięk zamykanej śluzy, co znaczyło, że dziewczyna dotrze na górę za jakieś dwie minuty.

Stacja przypominała wielki biały grzyb. Główna część kapelusza miała średnicę blisko dwudziestu metrów. Mieściły się tam pomieszczenia techniczne, laboratoria, kuchnia, mesa, centrum operacyjne oraz sterownia. O połowę węższy garb w postaci łagodnego załamania linii dachu krył pomieszczenia mieszkalne. Zwieńczały go ażurowe konstrukcje anten i urządzeń ochronnych bazy.

Podobieństwa do grzyba dodawał szeroki „pień” wyrastający spod kapelusza. Znajdowała się tam śluza oraz garaże dla pojazdów. Jednak pień nie dotykał ziemi. Unosił się pół metra ponad gruntem na czterech amortyzowanych łapach wyrastających z miejsca, gdzie łączył się z kapeluszem. Pod łapami, z boków pieńka, wyrastały cztery czarne dysze silników.

Śluza otwierała się, opuszczając trap, po którym można było wygodnie wejść do środka, oczyścić skafander, po drabinie wspiąć się wyżej i umieścić go we wnętrzu. Centralną część kapelusza na tym poziomie zajmował układ napędowy. W połowie obwodu obiegał go korytarz, z którego wchodziło się do kolejnych pomieszczeń. Z jednej strony kończył się magazynami, z drugiej dochodził do mesy, będącej największym pomieszczeniem stacji.

Przed mesą znajdowały się drzwi do okrągłej klatki schodowej prowadzącej na piętro. Wystawała ona częściowo ze ściany na podobieństwo grubej rury, której nie udało się dalej

wcisnąć w przestrzeń zarezerwowaną dla układów napędowych. Przejście przez mesę do centrum operacyjnego nie było najwygodniejsze, ale mała ilość miejsca usprawiedliwiała takie rozwiązanie, jak również sporo innych niedogodności.

Rozsunęły się drzwi i dziewczyna, śmiejąc się, wpadła do mesy. Pocałowała obydwu mężczyzn i, obiegając bar, rzuciła się na szyję kobiecie.

- Ilsa, kochanie... - Lena bez przekonania próbowała zaprotestować. - Nie było cię ledwo pół godziny.

- Ale już się stęskniłam.

Wybiegła, nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć. Tupot na korytarzu ucichł, gdy drzwi zamknęły się automatycznie.

- Dla niej wszystko jest zabawą - powiedział Hancock. Usiadł w miękkim fotelu i zaczął nabijać fajkę. Sam zezwolił na palenie w mesie, gdy okazało się, że powietrze może być pobierane z otoczenia po prostej filtracji.

- Czemu miałoby być inaczej? - powiedziała Lena, odstawiając kubek. - Pójdę zobaczyć, jak idzie Joannie.

* * *

- Nie dość, że ciała mają zbudowane z białek zbliżonych do ziemskich, to ich DNA działa na tej samej zasadzie, co nasze. Kto by się spodziewał? Zakładaliśmy do tej pory, że jeśli gdzieś w kosmosie pojawi się życie, to będzie ono ewoluowało na sposób darwinowski, ale nie znaczy to wcale, że musi być choćby odrobinę zbliżone do ziemskiego. Żółcienie używają czwórki zasad nukleinowych A, C, G i T - tak samo jak nasze komórki, produkują też te same, a przynajmniej bardzo podobne aminokwasy. Z ogromnej liczby dostępnych rozwiązań wybrały te kilkadziesiąt, co życie na Ziemi. Nawet spirale DNA są skręcone w prawą stronę, a aminokwasy w lewą, jak u wszystkich organizmów na Ziemi. Niewiele bardziej by mnie zaskoczyło, gdyby tubylcy, przypominający Indian, przywitali nas łamaną angielszczyzną. Być może mamy wspólnego przodka sprzed miliardów lat, choć nie mam pojęcia, jak to się mogło stać.

- Można by z nich zrobić zupę?

- Nie ryzykowałabym. - Joanna uśmiechnęła się. - Nie sądzę, żebyśmy mogli je trawić. Wciąż zdychają w kontakcie z ziemskimi białkami. Tak naprawdę to nic nowego nie mam. Może Craig z Brianem coś przywiozą.

W podłużnych, cylindrycznych zbiornikach, zawieszonych w przesyconym tlenem i azotem

wodzie unosiły się dwumetrowe łodygi żółcieni. Wykonywały leniwe ruchy przypominające falowanie wodorostów. Nazywanie tego, co tu rośło, trawą czy zbożem nie oddawało rzeczywistości. Były to raczej cienkie łodygi zakończone rodzajem ssawki.

- Nie wiem nawet, czy to jest otwór gębowy - dodała Joanna. - Nie ma tu żadnych innych form życia do łapania. Może chodzi o wodę? Ale wtedy zapewne miałyby kształt bardziej zbliżony do kielicha...

Lenę przeszedł kolejny dreszcz. Mroczne laboratorium i podświetlone cylindry śniły się jej już parę razy. Kilka żółtych węży. Sen kończył się zawsze w ten sam sposób, a ona budziła się z krzykiem.

- Mówiłam ci już, to pancerne szkło. - Joanna niemalże czytała w jej myślach.

- Jakby na nas patrzyły...

- Nie mogą nas widzieć. Może co najwyżej reagują na nasze pole elektryczne, ale to też mało prawdopodobne.

Joanna odsunęła się od mikroskopu i rozpuściła kasztanowe włosy, ściągając z nich gumkę. Wokół niej rozszedł się zapach dobrego tytoniu.

Lena miała krótkie, czarne włosy, teraz odruchowo też je poprawiła.

- Od kilku miesięcy stoimy w miejscu - powiedziała. - Jeszcze trochę, a wrócimy z niczym.

- Niezupełnie z niczym, ale fakt: przywieziemy więcej pytań niż odpowiedzi.

Wskazała ruchem za siebie. W szklanym pojemniku, umocowany na pleksiglasowych podpórkach, stał szkielet przedziwnego zwierzęcia sprzed kilkudziesięciu milionów lat. Nikt nie miał nawet pojęcia, jak ten stwór kiedyś wyglądał.

- Skończyłaś na dziś?

- Można tak powiedzieć.

- Zaraz wysyłamy kolejny raport na Ziemię...

- Wiem... W drodze powrotnej i tak je wyprzedzimy. Jeśli kiedykolwiek się przydadzą, to tylko wtedy, gdy my nie wrócimy.

* * *

Ilsa siedziała na fotelu w mrocznym kącie centrum operacyjnego, z dala od wszystkich. Podciągnęła kolana pod brodę, patrzyła na rzędy świecących monitorów, ale zdawała się nieobecna. Na nią też nikt nie zwracał uwagi.

Duży ekran wyświetlał mapę kontynentu. Błękitna kropka w górnym lewym rogu

oznaczała aktualną pozycję helikoptera.

- Myślisz, że to bezpieczne? - zapytała Lena. - Nie mamy drugiego helikoptera.

Hancock odwrócił głowę i spojrzał na nią rozdrażniony.

- Całą powierzchnię tej przeklętej planety, z wyjątkiem wody i skał, pokrywa to żółte świństwo - powiedział. - Zebraliśmy wszystkie możliwe dane i nadal prawie nic nie wiemy.

- Przestańcie - powiedział Reed. - Pora na analizowanie stopnia ryzyka była trzy godziny temu.

Błękitny punkt zmienił się na ciemnoniebieski. Z głośników rozległ się głos:

- *Helikopter do bazy. Tu Craig. Wylądowaliśmy bez przeszkód. Jest 15.14 czasu pokładowego.*

W tle słychać było dźwięk silnika turbinowego, który schodził z obrotów.

- Co widzicie?

- *To samo, co zawsze... cholerne żółte zielsko po horyzont. Do punktu „zero” jest jakieś pięćset metrów. Właśnie zakładamy plecaki i idziemy... Zaraz podłączę wizję...*

Mikrofon w hełmie aktywował się ludzkim głosem. Gdy mężczyzna przestawał mówić, zapadała cisza.

Mniejszy monitor ożył i wyświetlił kiepskiej jakości obraz twarzy Craiga wewnątrz hełmu. Potem przez dłuższą chwilę widać było niebo i zwalniający wirnik helikoptera. Po cichym kliknięciu, oznaczającym wpięcie kamery do uchwyty na hełmie, obraz ustabilizował się i wyostrzył. Craig rozejrzał się, omiatając kamerą monotony krajobraz. Wycentrował obraz na plecach Briana zakładającego właśnie ciężki plecak ze sprzętem.

- Mam złe przeczucia... - powiedziała Lena

- Więc zachowaj je dla siebie - zgasił ją dowódca.

Plecak Briana wraz z widokiem dookoła podskakiwał w rytm kroków Craiga. Obraz momentami śnieżył.

Główny ekran wykonał zbliżenie wycinka mapy z oznaczonym niebieską kropką helikopterem i dwoma zielonymi punktami oznaczającymi ludzi. Zielone punkty zmierzały w kierunku czerwonej litery „x”.

Teren obniżał się, z początku ledwo widocznie, ale w miarę dalszego marszu coraz wyraźniej. Dookoła pojawiały się szare skały wyrastające z morza traw.

- Czego szukacie? - zapytała ze swojego kąta Ilsa.

- Po co oni tam polecieci?

Wszyscy spojrzeli na siebie.

- Satelita wykrył źródło ciepła - wyjaśnił Hancock.

- Polecieli sprawdzić, co to takiego.
- To może być energia geotermalna.

Wciąż ich zaskakiwała. Przyspieszona edukacja dziewczyny odbywała się bez nauczycieli, za to z nielimitowanym dostępem do wszystkich baz danych statku. Doskonale dogadywała się z komputerami. Gorzej z ludźmi.

- To nie jest gejzer, jeśli to masz na myśli. Obiekt o rozmiarach kilku metrów. Ma stałą temperaturę, nieco poniżej czterdziestu stopni. Cała okolica ma teraz koło piętnastu.

- Myślicie, że to zwierzę?
- Nie rusza się. Na zdjęciach satelitarnych wygląda jak czerwona plama.
- *Craig do bazy. Widzimy obiekt.*
- Możesz podejść bliżej? - Hancock szybko stracił zainteresowanie dziewczyną.

Żółcienie rzedły, odsłaniając cel wyprawy. Twór wyglądał jak nieregularna gładka rozgwieżdżona zagrzebana w ziemi. Jaskrawa czerwień jej powierzchni kontrastowała z żółtymi łodygami trzymającymi dystans kilku metrów. Brian stanął na granicy jałowej ziemi i zdjął plecak. W głośniku słychać było przyspieszony oddech stojącego kilka kroków za nim Craiga.

- Puśćcie robota.

Brian wyciągnął z plecaka mały pojazd na sześciu kołach i postawił go na ziemi.

- Cofnijcie się.

Odeszli na pięćdziesiąt metrów i otworzyli na ziemi metalową walizeczkę sterowania robota.

- Czy oni nie są za blisko? - zapytała Lena.
- Są. Inaczej się nie da.
- Nie mogliśmy wysłać automatów?

- Za daleko od stacji - rzucił dowódca, nie odrywając wzroku od monitorów. Włączył się kolejny ekran przekazujący obraz z kamery robota i kilka następnych wyświetlających wyniki pomiarów detektorów pokładowych. Robot ruszył, trzęsąc się na nierównościach terenu jak dziecięca zabawka. Elektronicznie stabilizowany obraz i tak drgał bez przerwy.

Robot znieruchomiał kilka centymetrów od czerwonej powierzchni.

- Wibruje - powiedziała Joanna. - Nie mam pojęcia, co to jest.
- Jesteś biologiem.
- Ale nie jasnowidzem. Żadna inna ziemська ekspedycja nie przyniosła informacji o życiu.

Działam po omacku.

- Wygląda jak napięta folia - zauważył Reed, wychylając się od swojej konsoli, aż

zatrzęszał fotel. - Może się nie znam, ale to sprawia wrażenie, jakby miało zaraz pęknąć.

- Promieniowanie na większości zakresów nie odbiega znacząco od tła - Lena odczytała wynik z bocznego monitora - ale wewnątrz wszystko się rusza. Jakby się gotowało. Mikrofon rejestruje ciche buczenie.

- *Żółcienie zachowują się dziwnie.*

- A konkretnie, Craig?

- *Falują, a nie ma prawie wiatru. Nie podoba mi się to. Nigdy nie widziałem ich w takim stanie. Kontynuować?*

Następny etap przewidywał pobranie próbki obiektu. Hancock zerknął na obraz z satelity meteorologicznego. Czyste niebo, prędkość wiatru poniżej metra na sekundę.

Wyłączył mikrofon i zapytał:

- Co jest w środku?

- Trudno powiedzieć - Lena poprawiała filtry obrazu. - Jakiś ruchliwy granulat. Może zanurzony we wrzącej cieczy... Uszkodzenie powierzchni może się źle skończyć, nawet jeśli to coś jest martwe.

- Jeśli jest to jakiś organizm - dodała Joanna - to może jego przemiana wewnętrzna przebiega tak gwałtownie. To musi pochłaniać ogromne ilości energii...

- *Szefie? Co dalej?*

- Czekajcie. - Hancock znów wyłączył mikrofon i spojrzał pytająco na pozostałych.

- Satelita nie wykazuje żadnych zmian temperatury - powiedział Reed.

- Jeśli miałabym szukać analogii do form ziemskich, to taka wzmożona aktywność może oznaczać mobilizację, przygotowanie do czegoś. Bez próbek nic więcej nie powiem - Joanna wzruszyła ramionami.

- Wycofaj ich - poprosiła Lena. - Zostawmy robota, niech obserwuje.

- Wiesz dobrze, że stąd nie da się nim sterować.

- Ale może rejestrować. Jutro polecimy po wyniki. Nikt go nam nie ukradnie.

- Za dwie godziny muszę wysłać raport.

- Nikt cię z niego nie będzie rozliczał. Dojdzie do Ziemi za sto dwadzieścia trzy lata.

- To ekspedycja naukowa, a nie szkolna wycieczka! - Włączył mikrofon i chwilę się zawahał. - Craig! Nie potrafimy określić stopnia ryzyka. Podejmijcie decyzję: kontynuujecie albo zostawiacie robota do jutra.

Chwila ciszy.

- *Kontynuujemy.*

- OK. Zostaw Briana na stanowisku sterowania, a ty wróć i uruchom helikopter. Bądź

gotowy do startu w dwadzieścia sekund. Potem zaczynajcie.

- On zaraz zginie - powiedziała nagle Ilsa.
- Nie pomagasz nam w ten sposób - odpowiedział Hancock, nie odwracając się.
- Każ im się wycofać.
- Co to jest?! Może stworzycie samorząd? Idź do swojej kajuty!

Dziewczyna zerwała się z fotela i wybiegła na korytarz. Hancock odetchnął głęboko, zacisnął dłonie w pięści i powiedział do mikrofonu:

- Zamelduj się, jak będziecie gotowi.
- Jim... - powiedział Reed. - Zerknij na to.

Hancock oparł się o jego fotel i spojrzał na monitor wyświetlający obraz z satelity. Kilka kilometrów na północ od helikoptera pojawiły się kolejne dwie rozgwieżdżone. Jedna z nich była wyraźnie podłużna, miała prawie piętnaście metrów długości i kilkanaście odgałęzień.

- Pojawiły się w ciągu ostatniej godziny.
- Zaprogramuj wszystkie satelity, zadając im wyszukiwanie podobnych obiektów.

Reed bez słowa zaczął wprowadzać komendy do komputera.

- Musiały wynurzyć się spod ziemi - powiedziała powoli Joanna, nieświadomie wyciągając papieros z pudełka w kieszeni bezrękawnika. Druga ręka ścisnęła już zapalniczkę.

- Mogą być gdzieś jeszcze... Tak, musi być ich dużo tuż pod ziemią.

- Będzie ich więcej? - zapytała Lena.
- To logiczne. W ciągu doby może dwóch...

Z głośnika doszedł dźwięk rozpędzającego się silnika.

- *Będę gotowy za minutę.*
- Dobrze - powiedział Hancock. - Zaczynajcie za minutę, bez potwierdzenia.

Wszyscy odwrócili się tak, by widzieć obraz z kamery robota. Dowódca wytarł o spodnie spocone dłonie. Usiadł w fotelu i wbił wzrok w monitory.

Robot drgnął, podjechał kilka centymetrów do przodu i wysunął ramię zakończone manipulatorem. Dotknął nim napiętej powierzchni. Ugięła się delikatnie jak piłka plażowa naciśnięta dłonią dziecka. Ledwo słyszalne buczenie wzmoгло się.

- Użyjcie noża - powiedział Reed.
- *Sam na to wpadłem.* - To był głos Briana.

Z boku ramienia manipulatora wysunęło się małe ostrze. Zbliżyło się do obiektu i znieruchomiło kilka centymetrów od niego.

- Czy wszystko jest OK? - zapytał Hancock.
- *Nie wyłączyłeś mikrofonu.* - Znów odezwał się Brian. - *Kiedy rozmawiałeś z Ilsa.*

Dowódca opuścił głowę.

- Możecie się wycofać.

- *Nie o to chodzi.*

Ostrze dotknęło czerwonej powierzchni i zagłębiło się w niej bez trudu. Rozległ się trzask i w ułamku sekundy pęknięcie rozszerzyło się na całą szerokość rozgwiezdy. Ze środka buchnęło tumanem wyjącego drobiazgu. Uderzony robot wzleciał w powietrze i obraz znikł. Zapadła cisza. Joanna schowała papierosa i zapalniczkę. Wszyscy trwali w zaskoczeniu prawie sekundę. Przerzucili wzrok na obraz z helmu.

- *O, cholera!* - krzyknął do mikrofonu Craig. Przez tę chwilę, mimo zamkniętej kabiny helikoptera, słyszeli wycie. Zza wzniesienia wyłonił się czarny wirujący słup szarańczy.

- Zwiększaj obroty! - krzyknął Hancock.

- *A co ja, myślisz, robię?!*

Craig opuścił głowę. Kamera skierowana w dół pokazała dłonie pilota wykonującego pośpiesznie sekwencję startową.

- *Brian! Pospiesz się!* - Cisza. - *Brian!*

Słup szarańczy ciągle rósł, tworząc czarną chmurę. Żółcienie rzucały się na boki, uderzając oabinę helikoptera, jakby na zewnątrz szalała wichura.

- *Brian! Lecę po ciebie!* - wycie zagłuszające silnik buchnęło z głośnika i ucichło. W kompletnej ciszy kamera pokazała żółte łąny przemykające pod maszyną. Gdy wyrównała lot, niemal całe niebo przesłaniała już czarna kurtyna.

- Craig! - krzyknął Hancock. - Craig! Nie rób tego!

- *A co mam, kurwa, robić?!*

Czarne kształty zaczęły uderzać o szyby.

Gdzieś w dole oblepiona czymś czarna postać biegła, wymachując rękoma. Moment później helikopter przechylił się na prawą stronę, składając się w ostrym zwrocie. Żółta łąka zbliżała się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Głośnik trzeszczał niezrozumiałymi dźwiękami. Wirnik uderzył o ziemię i wszystko wypełniło się mieszaniną ziemi i fragmentów pociętych łądyg.

Urwany krzyk i cisza.

- Craig?! Brian?!

Reed próbował bezskutecznie zwiększyć czytelność obrazu z satelity. Czarna chmura rzędła, ale wciąż niemal całkowicie przesłaniała widok, rozszerzając się powoli.

Kamera Craiga, przygięta uderzeniem, ukazywała obły fragment helmu i leżące wokół pokruszone kawałki szkła. Pył szybko opadał, ukazując helikopter leżący na boku. Żółcienie,

jak węże, zaczęły wsuwać się do wnętrza pogietej kabiny. Łodygi zakończone okrągłymi chwytakami bez trudu odnalazły drogę. Najpierw kilka, potem cała masa żółtych rurek zniknęła pod obłoczną hełmu. Obraz zaczął drgać i przesuwać się bezładnie.

* * *

Ilsa leżała na wznak na pryczy i patrzyła w niebo widoczne przez okno. Co kilka minut jasna kropka przemieszczała się mimo gwiazd. Satelita. Umieścili ich nad planetą kilkanaście, a mimo to nie wiedzieli o niej zbyt wiele. Była podobna do Ziemi, choć z gęściejszą atmosferą i ciut większym ciężeniem. Dlatego na niej wylądowali. Z układu pięciu planet wokół lokalnego słońca tylko ta zdawała się czekać na ludzi. Niestety, miała mieszkańców.

Subprogram toponomastyczny nadał jej nazwę Ruthar Larcke, by ludzie nie musieli posługiwać się wieloczłonowymi symbolami stosowanymi w bazach danych. Nazwy planet nadawane były przez program, żeby nie dochodziło do nadużyć w stylu nazywania ciał niebieskich imionami żon, kochanek czy dzieci. Człowiek określał potem tylko, czy propozycja nie brzmi zbyt głupio - komputer nie potrafił tego ocenić.

Jedną z ruchomych kropek na niebie był orbiter. Statek matka. Dom. Jedna łąka spłynęła po policzku Ilsy. Czegoś jej brakowało, za czymś tęskniła. Może za złudzeniami. Spędziła w swoim domu osiemnaście lat, nie wiedząc nawet, że to statek. Komputer medyczny przerwał proces hibernacji jej matki, gdy wykrył, że ta jest w ciąży. Matka przed śmiercią nie powiedziała córce ani słowa o misji. Umarła, nim dziewczynka zaczęła zadawać trudne pytania.

Męczyło ją dłuższe przebywanie z ludźmi. Teraz było ich mniej, ale to sprawiało, że czuła się gorzej. A będzie ich jeszcze mniej. To wiedziała na pewno.

* * *

Hancock w istotny sposób uszczuplił pokładowe zapasy whisky. Wykresy pulsu Briana i Craiga były płaskie, a satelita nie odnalazł ciał.

Dowódca siedział w głębokim fotelu, na stole przed nim stała pusta szklanka. Obracał w dłoni czapkę z daszkiem należącą do Briana. Była mocno powycierana, a wyhaftowane litery „NY” zaczynały się pruć.

- Powiedziałeś tym na górze? - zapytał Reed.

- Widzieli to na monitorach, ale tak, rozmawiałem z nimi. Jestem złym dowódcą... -

Opuścił głowę. - Pojadę po nich łazikiem. To tylko dwieście kilometrów...

- Regulamin zabrania dowódcy... - zaprotestowała Joanna.

- Chcecie, żebym zrzekł się dowództwa? Przekazuję więc dowództwo Reedowi...

Po dłuższej chwili odezwała się Lena:

- Nie chcemy, żebyś po nich jechał. Oni nie żyją. Ty żyjesz. Nie uważamy... że to była twoja wina. To wszystko.

- Nie wiemy, czy nie żyją... Przekonamy się za kwadrans. Zostawcie mnie.

Wyszli. Drzwi zasunęły się z cichym sykiem. Mężczyzna poczuł na dłoni ciepły dotyk.

- Może tak miało być - powiedziała Ilsa. - Może to było konieczne.

Nie uniósł głowy. Nie chciał pokazać wilgotnych oczu.

- Po co?

- Żeby nas ostrzec.

Hancock zmarszczył brwi.

- Przed czym? - Spojrzał na nią, ale dziewczyna już siedziała w fotelu zajęta książnikiem. Podeszedł do otwartego barku. Nie nalał sobie jednak kolejnego drinka. Chwilę stał ze szklanką w dłoni, potem wrócił na miejsce.

* * *

Satelita nie znalazł nic nowego. Wrak helikoptera dymił jeszcze, a żółcienie w promieniu kilkudziesięciu metrów zrobiły się ciemnopomarańczowe. W miejscu rozprutej rozgwiazdy w ziemi ziała nieregularna dziura.

Wszyscy zmuszali się do pracy nad analizą szczątkowych danych, które zdążył przekazać robot.

Reed próbował wyciągnąć coś z kilku rozmazanych ostatnich klatek filmu. Poddawane kolejnym obróbkom obrazy wystrzały się, ale wciąż nie udawało się rozpoznać żadnego szczegółu. Joanna po raz kolejny zerknęła na jego monitor.

- Równie dobrze możesz pokazywać dzikusowi nieostre zdjęcie klamki od samochodu - powiedziała - i pytać, z którego rocznika Forda pochodzi.

Drzwi otworzyły się i weszła Lena z kubkiem kawy.

- Rozkleił się dokumentnie - powiedziała - ale jak się teraz urznie, to może do jutra dojdzie do siebie.

Usiadła przed swoim terminalem, który kończył obliczenia i wyświetlał kolejne wyniki analiz.

- Wygląda na to, że wewnątrz rozgwieżdzy panowało ciśnienie niecałych dwu atmosfer. To nie tak dużo przy zewnętrznym ciśnieniu jeden koma dwa.

- To, co wyleciało, wyglądało na rój owadów - powiedziała Joanna. - To tłumaczyłoby tę siłę. Szkoda, że nie mamy ani jednego osobnika... Jeśli to były owady.

- Rośliny, owady, rozgwieżdzy - westchnęła Lena. - Nie uwolnimy się tu od schematów. Być może zamknięci we własnych stereotypach nie potrafimy dostrzec odpowiedzi, którą mamy na wyciągnięcie ręki.

* * *

Metaliczne uderzenie, delikatne drgnięcie podłogi i alarm naruszenia strefy ochronnej. Pierwszy do centrum wpadł Reed, w szortach i szlafroku odsłaniającym nieco za duży brzuch. Zaraz po nim pojawiły się Joanna, w długiej koszuli nocnej, i Lena w pidżamie.

Ilsa, zawinięta w koszulę dowódcy, siedziała w jego fotelu z nogami opartymi o konsolę. Na głównym ekranie wyświetlona była strona encyklopedii dotycząca historii badań Księżyca. Czarno-biały astronauta wykonywał długie skoki obok lądownika Apollo 11.

- Jim! Jim! - krzyczał Reed do mikrofonu. - Wyłączył radio... Dlaczego go nie zatrzymałaś?!

- Jest dowódcą.

- Szlag! - Chciał czymś rzucić o podłogę, ale nie miał nic pod ręką.

- Za ile tam dotrze? - zapytała Lena.

- Żółcienie stawiają duży opór. Przejedzie ze sto kilometrów i skończą się akumulatory. Dopiero rano będzie mógł ruszyć na bateriach słonecznych. Stary traci poczucie rzeczywistości.

- Mamy jeszcze quady.

- Chcesz go gonić? Po dwóch kilometrach w tej gęstwinie odechce ci się.

Stali, wpatrując się w ciemność za oknem. Potem jedno po drugim rozeszli się do swoich kabin.

W powtarzanej sekwencji Buzz Aldrin podskakiwał niezgrabnie wokół kanciastego lądownika.

* * *

Alarm zawył przed siódmą rano. Reed, drzemiący na odchylonym fotelu w centrum

operacyjnym, poderwał się i zaczął przerzucać wzrokiem odczyty.

- Wstrząs sejsmiczny - rzucił do zaspanych kobiet, które pojawiły się w drzwiach chwilę później. - Osiem stopni, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód.

- Powinniśmy to odczuć za dwie minuty - powiedziała Lena.

- Bliższe czujniki nie rejestrują wstrząsów. Dziwne...

- Pokazało się więcej rozgwieżdż? - zapytała Joanna. - Może to jedna z nich.

Reed wywołał obraz z satelity na główny ekran. Powiększenie kwadratu o boku kilkudziesięciu kilometrów ukazywało co najmniej kilka cieplejszych plam.

- Tu był ten czujnik. - Wskazał palcem punkt z siatki kontrolnej modułu sejsmicznego, nałożonej przez komputer na zielonkawy obraz z kamery podczerwonej. Tuż obok z ziemi wyłaniała się spora rozgwieżdża.

- Wybitnie lokalne trzęsienie ziemi - stwierdziła Joanna. - Jak daleko zajechał Jim?

- Jakies osiemdziesiąt kilometrów i stoi. - Powiększył górny róg obrazu. - Ta mała kropka to on. Wciąż nie włączył radia, ale namiar działa.

- Pokaż helikopter.

- Nie ma tam żadnego satelity. Jest obraz *off-line* sprzed kwadransa. Niewyraźny, bo pojawiły się chmury.

Obraz przeskoczył. Helikopter przestał już dymić.

- Skontrastuj obraz i zjeżdżaj powoli tolerancją od dwudziestu stopni. Dobrze... Jest! Stój. Podnieś kontrast i zmniejsz zoom. - Wskazała palcem czarną plamę wypełniającą niemal cały obraz. - Zobaczycie to lepiej w dzień. Żółcienie obumarły w promieniu kilkudziesięciu metrów.

- Pożar helikoptera mógł osmalić najwyżej najbliższe...

- Może, przecinając powłokę, doprowadziliśmy do czegoś w rodzaju poronienia? - zapytała Lena.

Nagle obraz przeskoczył na inny rejon planety. Jedna z większych rozgwieżdż, widoczna w podczerwieni jako jaśniejszy zielony kształt, wyrzuciła z siebie gorącą chmurę.

- To nieco bliżej nas - Reed sprawdzał odczyty. - Dokładnie ta rozgwieżdża, która przedtem aktywowała czujnik. Czterdzieści dwa stopnie i szybko stygnie.

- Pięćdziesiąt kilometrów - powiedziała Lena. - Czy nie powinniśmy przygotować się...

- Bez niego nie wystartuję.

- Gdybym miała próbkę... - westchnęła cicho Joanna.

- Następna - syknął przez zęby Reed. Zadał komputerowi oznaczenie wszystkich rozgwieżdż w promieniu stu kilometrów czerwoną kropką na mapie. Te, które eksplodowały,

zabarwiały się na żółto. W kwadrans było ich kilkanaście. - Mamy jedną sto metrów od nas. Właśnie się wylania spod ziemi. Rygluję włączy do stacji.

- Czekaj! - krzyknęła Joanna, podrywając się. - Pójdę ją zbadać. Muszę mieć próbki.
- Zabraniam.

Stała w miejscu, udając zdziwienie.

- Jakim prawem?
- Hancock przekazał mi dowództwo.
- Doprawdy? Tak powiedział?
- Był pijany, ale tak powiedział. Nigdzie nie pójdziesz.
- A co, dasz mi klapsa?
- Jeśli będzie trzeba. Ja pójde.
- Tylko ty potrafisz wystartować - zaprotestowała nieśmiało Lena.
- Zakładasz, że stary nie wróci?

Lena milczała. Wyręczyła ją Joanna:

- Istnieje taka możliwość. Podobnie, jak istniała możliwość śmierci Briana i Craiga.
- Jak rozumiem, moje panie, w razie czego chcecie wystartować, zostawiając Hancocka

tutaj. Nic z tego.

Wstał.

- A pomyślałeś, co będzie z nami, jak nie wrócisz? - Lena złapała go za ramię.
- To cię martwi... Jest procedura automatycznego powrotu do orbitera.

Wyszedł.

- Procedura automatyczna jest prosta - powiedziała Joanna, obserwując oddalającego się mężczyznę na monitorze. Pała papierosa. Dym leniwie leciał do kratki wentylacyjnej.

- Wiesz, że nie o to chodzi.

* * *

Na wsporniku widniała spora rysa - ślad po błotniku łazika. Dalej drogę znaczyły zgniecione łodygi.

- Pileś, nie jedź - mruknął i szybkim krokiem ruszył w kierunku rozgwiezdy.

Pleksiglasową rurą, oblepioną na końcu żywicą, przylgnęła do elastycznej powierzchni. Mężczyzna założył na jej drugi koniec siatkę. Nabral powietrza i uniósł raptownie rurę pionowo do góry. Nóż zsunął się wewnątrz, przecinając powłokę. Buczenie zamieniło się w głośne wycie. Siatka w sekundę napełniła się i odpadła, trzymana tylko linką przytwierdzoną

do paska Reeda. Uwięzione wewnątrz stworzenia szarpały żywym workiem, ale nie mogły się wydostać.

Pęknięcie zaczęło się rozszerzać poza rurę. Reed, widząc to, rzucił się biegiem w kierunku stacji. W połowie drogi wokół głowy zaczęły mu gwizdać owady. Słyszał i czuł uderzenia drobnych ciałek o kombinezon. Dopadł pochylni i wdusił przycisk. Pomost zaczął się zamykać akurat w momencie, gdy czerwona powłoka pękła na całej długości.

Uszczelki cmoknęły z cicha, a zielona kontrolka potwierdziła hermetyczność. Reed ścisnął w dłoni brzęczący i drgający worek. Ze ściany wysunął się szklany pojemnik. Mężczyzna odetchnął, wrzucił doń worek i uniósł ręce, pozwalając, by płyn dezynfekujący z atomizerów dokładnie obmył kombinezon.

Ledwo wyszedł na korytarz, obie kobiety obcałowały go i wyściskały, jakby wcześniej nie spodziewały się, że w ogóle wróci. Adrenalina odpuszczała, był wykończony.

* * *

Joanna założyła hermetyczny skafander i przez ciasną szluzę weszła do klatki hipobarycznej. Było to niewielkie przeszklone pomieszczenie z zaokrąglonymi rogami. Pod jedną ze ścian stał metalowy stół, a na nim przygotowane pojemniki z próbkami, obok półki na narzędzia i odczynniki oraz zwisające w kilku szklanych obudowach urządzenia pomiarowe. Nic więcej. Po zamknięciu drzwi panowało tu podciśnienie utrudniające wydostanie się czegokolwiek przez ewentualne nieszczelności. Żadnych trudnych do dezynfekcji zakamarków.

Joanna, oświetlona bladym światłem neonówek, wyglądała jak nurek w akwarium. Spojrzała na pozostałych i włączyła zewnętrzne lampy oświetlające stół poprzez szklany sufit i ściany.

- Zajmijcie się czymś innym - powiedziała przez interkom. - To potrwa.

* * *

- Zginęli niepotrzebnie - westchnęła Lena.

- Nie wiedzieliśmy wcześniej, że pojawi się więcej rozgwiezdz - odparła Joanna.

- Nic nie wiemy. To nie jest miejsce dla nas.

- Sprawimy, że będzie. Zbadam owady, może dowiemy się czegoś nowego.

- Może trzeba ruszyć stację, żeby go odszukać?

- Nie, muszę wykonać dalsze testy - odparła zimno Joanna. - Hancock dobrze wiedział, co mu grozi.

Spojrzeni na nią zaskoczeni. Reed zastanowił się i orzekł:

- Hancock wyjechał prawie dobę temu. Masz dwie godziny, potem nas przenoszę.

Kobieta bez słowa znikła w drzwiach laboratorium. Reed wrócił do monitorów i zaczął po raz nie wiadomo który przeczesywać okolice unieruchomionego łazika i odległych szczątków helikoptera. Na niebie gęstniały chmury, odnalezienie człowieka na powierzchni było niemal niewykonalne.

* * *

Godzinę później Reed zrezygnował z kolejnej próby przetestowania silników manewrowych.

- Nie reagują... - Wycelował palec w Joannę. - Jeżeli ty to zrobiłaś...

- Nie znam się na tym. To ty jesteś informatykiem.

- Sugerujesz, że to ja przeprogramowałem komputer manewrowy?

- Nic nie sugeruję, ale jak znajdziesz Hancocka, to przestaniesz być dowódcą.

Reed wyciągnął dłonie, jakby chciał je zacisnąć na szyi Joanny.

- Wiesz przecież, że tego nie zrobiła - powiedziała Lena.

- Nawet nie uprzątnęła probówek. Wiedziała, że nie wystartujemy.

- Słuchaj! - Joanna podniosła głos. - Nie zrobiłam tego! Nawet nie wiem, jak można unieruchomić silniki. Po prostu przyjmij to do wiadomości.

Reed oparł się o bar i głośno wypuścił powietrze.

- Rano sprawdzę software, jeśli to nic nie da, to wyjdę i zobaczę, co się stało z dyszami. Teraz możemy tylko odpalić główny silnik i wrócić na orbitę. A tego nie zrobię... Czy ty nie powinnaś być teraz w laboratorium?

- Dalsza analiza odbywa się automatycznie - odparła Joanna. - Mam parę godzin spokoju.

- Wiemy coś nowego o tych owadach?

- Kształtem przypominają jakąś odmianę karalucha, ale to nie karaluchy. Nie mamy w bazie danych czegoś takiego. Skrzydła i oczy działają na tej samej zasadzie, co oczy ziemskich owadów, ale te mają cztery pary odnóży. Nie zrobię dokładniejszych badań, bo tutaj nie mam warunków. Komputer analizuje szczegółowo DNA. Jak dojdzie do jakichś wniosków, będę wiedzieć więcej.

- Mogą stanowić zagrożenie dla stacji?

- Nie sędę. Są za małe, nie przegryzą pancerza. Nie trafiłam też na żaden ślad środka żrącego. Mogą najwyżej obsrać logo Agencji. Jeśli was to interesuje, to mam wstępną analizę ich DNA. Trudno w to uwierzyć, ale jest niemal na pewno identyczne z DNA żółcieni.

- Żółcienie to larwy owadów?

- Coś w tym guście, ale to chyba nie koniec przemian. Komputer rozpoczął symulację, bazując na pełniejszym DNA żółcieni.

- Za ile będą wyniki?

- Zależy, co rozumiesz przez pojęcie wyniki. W przypadku człowieka komputer przelicza zmiany znacznie wolniej, niż one następują w rzeczywistości. Chodzi o dużą liczbę czynników zewnętrznych. Jednego wyniku nie ma. Jest raczej wiele wyników uśrednionych na zasadzie „Co by było, gdyby...”.

- Wyraż to w skrócie - rzucił Reed ze zniecierpliwieniem. - Wiemy, co będzie dalej? Jak będą wyglądać za tydzień?

- Geny to zakodowane chemicznie instrukcje postępowania. Jesteś programistą, powinieneś to rozumieć. To jak program z ogromną liczbą zmiennych. Liszka i motyl rozwijają się według tej samej instrukcji. Korzystają tylko z innych jej fragmentów. Jeśli osiągniesz wiek dwudziestu dni i będziesz syty, uwij kokon i zacznij przemianę w motyla. Jeśli nie będziesz najedzony, szukaj jedzenia przez następne trzy dni. Jeśli znajdziesz i będzie słoneczna pogoda, uwij kokon, jeśli nie znajdziesz lub znajdziesz, a będzie padać, sorry, przegrałeś. *Game over*. Takich złożonych opcji może być niewyobrażalnie wiele. W wyniku zmiany wilgotności w dwudziestym drugim dniu możemy mieć albo motyla, albo larwę.

- Przecież to można uprościć. Usuń część zmiennych. Załóż na przykład, że warunki będą takie jak teraz.

- Ale nie będą. Program może wyliczyć, że u człowieka w którymś dniu zacznie się wydzielać określony hormon, ale jego działanie będzie zależało od korelacji z innymi elementami. Nawet z chwilowym nastrojem.

- Czym się odżywiają te owady? - zapytała Lena.

- Jedzą żółcienie.

- To kanibale!

- Oceniasz je w kategoriach naszej moralności? Niektóre owady zjadają własne wylinki. Ty sama trawisz lub poświęcasz swoje komórki. Twój naskórek to komórki-samobójcy. Z zewnątrz cała jesteś pokryta martwą tkanką.

Lena z kwaśną miną zamilkła na dobre.

* * *

Rankiem następnego dnia zachmurzyło się jeszcze mocniej. W zasięgu wzroku obumierały całe połacie żółtych pól. Owady obsiadały łodygi i zjadały je w kilka minut. Co jakiś czas rój tysiąca, a może miliona osobników zorganizowaną chmurą wznosił się w górę, wił się i wyginał, podejmował wspólną decyzję i wreszcie opadał kilkanaście metrów dalej.

- Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że będą je łapać tymi ssawkami, choć ich układ trawienny wydaje się nieaktywny - powiedziała Joanna, patrząc przez okno. - Symulacja wskazuje na to, że owady będą się łączyć. Może chodzi o formy zorganizowania, jak u naszych mrówek lub os, ale może to też być wstęp do czegoś innego.

Wewnątrz obszaru ochronnego ziemia pokryta była warstwą martwych ciał owadów.

- Stworzą społeczność? - zapytał Reed, któremu po sprawdzeniu software'u przeszła złość na Joannę.

- Nie wiem, czy to dobre słowo. Całe mrowisko można potraktować jako jeden organizm. Pojedyncza mrówka nie jest zdolna do życia. Wszystkie owady, które złapałeś, były identyczne. Obejrzałam okolicę kamerami ze sporym przybliżeniem i też nie dojrzałam żadnych różnic.

- Może królowa siedzi pod ziemią?

- Robot sprawdził sonarem wnętrze pustej rozgwieźdy. Nic tam nie ma.

- Za bardzo to wszystko przyrównujemy do Ziemi - wtrąciła się zaspana Lena, wchodząc do mesy.

- Bo to wszystko za bardzo przypomina Ziemię. A to, co widzimy, nie może być wszędzie, na całej planecie. Taki układ nie może być stabilny.

- Na Ziemi by nie był - odparła Lena. - Ale może tu jest. Satelity potwierdziły, że z wyjątkiem okolic podbiegunowych i pustyń przy równiku te paskudztwa rosną na każdym skrawku wolnej ziemi.

- Właśnie... Ale czym się żywią? - zapytała sama siebie Joanna. - Tu są bakterie, jeden rodzaj, w jakiejś formie uśpionej, a przecież aktywność beztlenowców jest konieczna do odzyskiwania substancji organicznych z gruntu. Wygląda to tak, jakby solidarnie odwalily robotę dla żółcieni i poszły spać. To zagadka, a ich DNA też jest zastanawiająco podobne do DNA żółcieni...

- Może na pewnym etapie rozwoju są jednokomórkowcami, a potem się łączą? - zapytał Reed. - Jakież analogie do Ziemi?

- Obrona indukowana - odpowiedziała od razu Joanna. - Rozwielitek zmienia kształt

ciała, jeśli w jego środowisku pojawią się drapieżniki. Zwiększa w ten sposób możliwości obronne. Istnieje sporo organizmów, które potrafią w zależności od warunków zmienić nie do poznania swoją zewnętrzną postać. Dalej... parazytyzm okresowy. Larwy kleszcza pastwiskowego odżywiają się krwią jaszczurek i myszy lub innych drobnych kręgowców, nawet ptaków w gniazdach naziemnych. Potem larwy przechodzą do gleby i linieją, przekształcając się w nimfy. Pod tą postacią atakują ssaki wielkości zająca, by znów transformować. W dorosłej postaci, zwanej imago, kleszcz atakuje duże ssaki, w tym także człowieka. Jednak to, co obserwujemy tutaj... Różnice w budowie są za duże. Nie można być najpierw ważką, a potem hipopotamem. A nawet zakładając, że tak jest, to co potem? Solidarnie giną? Nie. To niemożliwe. Gdyby jeden jednokomórkowiec wyłamał się z tej karuzeli i pozostał bakterią, odniósłby sukces ewolucyjny. Normalnie przy takiej skali to musiałyby się stać. Jest zatem jakiś oczywisty powód, dla którego się tak nie dzieje.

- Nie oplaca im się - spróbowała Lena. - Wolą solidarnie przeczekać do następnego sezonu.

- Nie ma czegoś takiego jak interes ogółu! Dobór grupowy istnieje tylko w wyobraźni niektórych teoretyków. Ewolucja polega na minimalnym wybieganiu przed szereg.

- Załóżmy coś takiego - ciągnęła przypuszczenia Lena - na początku są jednokomórkowcami i odpowiadają za procesy gnilne, potem fotosyntezują, a potem pokrywają grunt czerwonym mchem. Przecież na pierwszych zdjęciach widzieliśmy czerwoną planetę. Proces przemian musi być bardzo złożony. Do następnego etapu przechodzą najlepsi, a jednym z etapów są żółcienie. Gdybyśmy byli tu wcześniej, być może widzielibyśmy bezkresne zielone łąki. Rozgwieżdża może powstawać z żółcienia, który zdoła rozepchnąć sąsiadów „korzonkiem”. Może za kilka miesięcy będą tu stada sporych zwierząt.

- Nie mam pojęcia, co będzie po owadach. Nie mam też pojęcia, czy to się dzieje cyklicznie, czy też jest to jakiś szalony wyścig mutantów. Zmiany zachodzą zbyt szybko, ale nawet biorąc poprawkę na to tempo, to i tak uważam, że to, co widzimy... nie ma prawa istnieć.

Lena wzruszyła ramionami i zapytała:

- Jakież wieści od starego?

- Nic - odparł Reed. - Poszukam znów, jak się przejaśni. Może wytrzeźwiał i już wraca.

- Może. Chcecie kawy? Mruknęli potakująco.

- Co z silnikami manewrowymi?

- Software w porządku. Wygląda na to, że paliwo nie dopływa. Miałem właśnie zacząć to sprawdzać.

- A gdzie jest Ilsa? Nie widziałam jej od wczoraj.

Spojrzeni po sobie.

- Była przy obiedzie? - zastanowiła się Joanna. - Nie... nie jedliśmy wczoraj obiadu. Tyle się działo.

- Poszukajcie jej - powiedział Reed. - Ja sprawdzę co z tym paliwem.

Usiadł do konsoli i zaczął przeglądać wszystkie elementy systemu napędowego. Robił to powoli. Sam nie był pewien, czy powinien startować.

Kobiety przeszukiwały stację pokój po pokoju. Niemal wszystkie ściany kryły różnej wielkości, rozmaitego kształtu schowki. Praktycznie nie było tu metra kwadratowego niewykorzystanej powierzchni. Potencjalnych kryjówek było więc sporo.

Joanna weszła do laboratorium, zajrzała do wszystkich szaf, pod stoły i do magazynku. Gdy miała wychodzić, zerknęła jeszcze do terrarium, w którym umieściła owady, i zatrzymała się w pół kroku. Nie wierząc własnym oczom, podeszła bliżej. Dotknęła dłonią szkła i otworzyła usta, wpatrując się w widowisko rozgrywające się wewnątrz pojemnika.

* * *

Siedziała skulona, wciśnięta między kontenery i zwoje lin z dużym książnikiem na kolanach. Spojrzała na Lenę, mrużąc oczy przed światłem.

- Co ty robisz?

- Chowam się.

- Przed czym?

- Nie wiem... Tego czegoś jeszcze nie ma.

Lena spróbowała się uśmiechnąć. Wyciągnęła rękę i powiedziała zachęcająco:

- Chodź, zjesz porządne śniadanie.

Dziewczyna chwyciła jej dłoń, pozwoliła się wyciągnąć z kryjówki i poprowadzić korytarzem do mesy. Lena posadziła ją na kanapie i poszła przyrządzić śniadanie. Reed pogładził Ilsę po głowie i skierował się do centrum operacyjnego.

- Nie ruszaj stacji - poprosiła cicho dziewczyna - bo Hancock nie znajdzie drogi do domu.

Zatrzymał się na chwilę, zawrócił i usiadł przy barze. Lena postawiła przed nim talerz ze śniadaniem, drugi zaniósł Ilsie.

Reed zdążył ugryźć jeden kęs znajomego stęchłego tosta, gdy jego komunikator na przegubie dłoni zapikał sygnałem wezwania. Reed rzucił się do centrum operacyjnego.

- Jest! - krzyknął po chwili. - Wraca. Trzydzieści kilometrów. Włączył radio i lokalizator. Jim, słyszysz mnie?

- *Tak, wracam. Przygotujcie mi ciepłą kąpiel.*

- Z chęcią, jeśli byłaby tu jakaś wanna - powiedziała Lena, stając w drzwiach. - Nie wiesz nawet, jak się cieszymy.

- Musicie to zobaczyć! - krzyknęła Joanna, wpadając do mesy.

- Hancock wraca! Została mu jedna trzecia drogi.

- To super, ale i tak musicie to zobaczyć.

- W ogóle cię to nie obchodzi, że on żyje? - zapytał Reed.

- Idziecie, do cholery, czy nie?!

Przeszli za nią do laboratorium. Nawet Ilsa zwlokła się z kanapy. Joanna wskazała im terrarium.

- I co?

Owady bez celu łąziły po szklanej podłodze. Kilka martwych osobników leżało bez ruchu. Resztki niedojedzonego żółcienia prawie już szerniały. Zabierały się za niego ziemskie bakterie gnilne. One na pewno potrafiły przetworzyć obcą tkankę.

- Jeszcze przed chwilą... - Joanna bezradnie wzruszyła ramionami.

Reed wyprostował się, patrząc na nią ze zmarszczonymi brwiami. Wyszedł na korytarz. Lena wzruszyła ramionami i przepaszając gestem, też wyszła. Została tylko Ilsa. Patrzyła na Joannę tak, że tamta poczuła gęsią skórę na plecach.

* * *

- Solidnie przemarzłem. - Hancock zachowywał się jak rybak, który wrócił z męczącego, acz nieudanego połowu. Uwolnił się z objęć Ilsy. Zjadł potrójną porcję śniadaniową i opatulony kocem siedział w swoim fotelu. Popijając gorącą herbatę, kończył opowieść. - Akumulatory zdechły, czekałem na świt, gdy mnie obsiadły. Oblepiły mnie tak, że niemal nie mogłem się ruszać. Trwało to ze dwie godziny. Opuściły z pierwszymi promieniami słońca. Nie wiem, po co im to było, ale najadłem się strachu jak nigdy. Wiem, co myślicie. To było głupie, ale przynajmniej mam nieco czystsze sumienie. Ja naprawdę chciałem tam dojechać. Pogrzebać ich... nie wiem co więcej. Mamy nauczkę, żeby trzymać się zaleceń. Mamy sprzęt do operowania w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od bazy.

- Regulamin nie zakazuje odleglejszych operacji - wtrącił Reed.

- Dzięki, ale i tak czuję się winny.

- Potem mi opowiesz. Muszę w końcu sprawdzić przewody paliwowe.

Nim wyszedł, spojrzał jeszcze na dowódcę. Coś się w nim zmieniło, w jego oczach brakowało zwykłego blasku.

- Symulacja daje pierwsze efekty - odezwała się Joanna, zerkając na wiadomość na swoim komunikatorze. - Uprościłam mocno wpływ warunków środowiskowych. To, co pokazuje komputer, wyprzedza stan obecny o kilka godzin.

- Mogę zerknąć? - zapytał Hancock.

- Na razie nic tam nie zobaczysz poza wykresami. Po obiedzie może będę mogła pokazać coś więcej. Jakiś... obrazek.

- Widziałem całe roje tego cholerstwa wznoszące się i opadające kawałek dalej.

- One nie będą się łączyć w roje - powiedziała ponuro Joanna. - One się łączą dosłownie. Zlepiają się w coś większego. Widziałam to w terrarium, zanim przyszlście. Tworzyły jakiś kształt, ale... nie wiem, może było ich za mało. To coś rozpadło się. Ciała owadów były potem odkształcone, jakby zaczęły brać udział w jakiejś transformacji. Część zdechła.

- Ile ich złapaliście?

- Czterdzieści trzy sztuki.

- Mogłyby stworzyć coś nie większego od myszy. To nie stanowi dużego zagrożenia dla stacji.

- Roje na zewnątrz nie mają tego ograniczenia.

Wrócił Reed. Wyraźnie zdenerwowany.

- Ktoś zamknął ręczny zawór bezpieczeństwa - oznajmił, patrząc na Joannę. - Zwarł też przewody czujnika, by komputer myślał, że zawór jest otwarty.

Joanna udawała, że nie wie, do kogo są kierowane te słowa. Bawiła się zapalniczką.

- W razie czego możemy wrócić do orbitera - podsumował dowódca, wstając. - Na razie będziemy kontynuować badania. Wybaczenie, ale muszę się przespać.

Odłożył koc i zmęczonym krokiem wyszedł na korytarz w kierunku kręconych schodów na piętro. Reed powiódł za nim zdziwionym wzrokiem. Przed tą szaloną eskapadą Jim zrobiłby wszystko, by wyjaśnić sprawę. Może to tylko zmęczenie...

Spojrzał na Ilsę, która właśnie owijała się kocem Hancocka.

- Skąd wiedziałas, że stary wkrótce wróci? - zapytał, gdy kroki oddaliły się.

Ilsa wzruszyła ramionami.

- A może to ty zamknęłaś zawór?

- Daj jej spokój - przerwała Lena. - Przecież dziewczyna nie ma o tym pojęcia.

- Bronisz każdego, kogo o to pytam, a ona już nam wykręciła numer, wyskakując z

brzucha mamusi, jak my spaliśmy w hibernatorach. I zeżarła nam większą część zapasów z kuchni orbitera.

- Nie możesz mieć pretensji, że się urodziła. Jeśli to czyjaś wina, to tylko Samantha. I jej ojca, ktokolwiek nim jest...

Reed westchnął.

- Ktoś musiał zakręcić ten zawór - powiedział w końcu. - Ty też mogłaś to zrobić.

- Sprawdź kamery, jeśli chcesz, ale gdyby ten ktoś nie zakręcił zaworu, to Hancock zastałby tu pustą polankę.

- Tam nie ma kamer. - Reed usiadł w fotelu kapitana i ponownie zwrócił się do dziewczyny. - Chcesz nam o czymś powiedzieć?

Patrzyła w dywan.

- Oczekujemy gościa - powiedziała po namyśle. - Dziś w nocy.

Jak na komendę spojrzeli na nią. A potem przenieśli wzrok za okno, na opadające ku horyzontowi słońce i na umierające żółcienie.

* * *

Światła wewnątrz stacji były przygaszone. Reed siedział w centrum operacyjnym, Hancock nadal spał w swojej kabinie, a Ilsa zawinęła się w jego koc i ułożyła w jego wielkim fotelu. Na kolanach trzymała książnik i przeglądała na nim historię rewolucji przemysłowej w osiemnastowiecznej Anglii.

- Wkrótce będzie mądrzejsza od nas - powiedziała cicho Joanna. Stała z Leną przy oknie.
- Szkoda, że wcześniej nie wiedziała, do czego służy książnik.

- Dwadzieścia lat sama - przyznała Lena. - Musi mieć jakieś... potrzeby.

- Nocne życie stacji - ironicznym tonem dodała Joanna. - Ciekawe kto?...

- No wiesz!...

- Nie możesz udawać, że pewne sprawy nie istnieją. Jestem tylko ciekawa kto.

- Może nikt.

- Podobno lubiła siadać przy jednym z hibernatorów. Nie chciała powiedzieć przy którym.

Na wysięgnikach, sponad resztek żółcieni wystawało kilkanaście kamer. Rozrzucone były wokół stacji, w odległości stu metrów od niej. Nie na wiele się teraz zdawały, bo owady obsiadły je całkowicie.

- Dlaczego nie obsiadają bazy? - zapytała Lena, wyglądając przez okno na niknące w

mroku pola zniszczeń. - Promienie UV nie zabiją ich od razu.

- Muszą wyczuwać ultrafiolet - odparła Joanna. - Na nasze szczęście.

Czujnik ruchu zapiszczał alarmująco. Kobiety zamarły, wpatrując się w noc. Chwilę później włączyły się reflektory i automatycznie skierowały na podejrzane miejsce. Wśród resztek żółcieni, kilkanaście metrów za strefą ochronną coś się poruszało.

Reed przełączył obraz na kamerę umieszczoną nad dachem stacji. W ich kierunku kroczyła czarna postać oblepiona pobłyskującymi odbitym światłem owadami.

- Czy takie coś miały stworzyć? - zapytał Reed. - Naśladują nas?

Joanna nie mogła wydobyć z siebie słowa. Czuła rękę Leny zaciskającą się bezwiednie na jej ramieniu.

- Tworzy go kilkanaście tysięcy osobników... - szepnęła, cofając się od monitora. - Rozwal to, zanim podejdziesz za blisko.

- Nie dostanie się do nas? - zapytała Lena

- Nie sądzę - odparł Reed. - Śluzy są zablokowane. - Pstryknął kilka przycisków i wprowadził kod aktywujący system obronny. Siłowniki z cichym pogłosem otworzyły klapy i wypchnęły na zewnątrz działka. Reed odsunął szybką ochroną i położył palec na przycisku odpalania. - Moc jest mała, ale na to coś wystarczy.

- Zaczekaj. - Lena położyła mu dłoń na ramieniu. - Cofa się. Może to nie...

Postać rzeczywiście cofnęła się, zaczęła machać rękoma i walić się po głowie. Spod czarnej warstwy owadów wylaniały się kombinezon i szkło hełmu. Owady wzbiły się w powietrze i obsiadły odsłonięte miejsca. Ręce machały, próbując odgonić owady.

Reed wykonał zbliżenie i mruknął z niedowierzaniem:

- To Brian...

- Dlaczego nie odzywa się przez radio?

- Brian! Tu Reed. Słyszysz mnie? - Bez odpowiedzi. - Jeśli mnie słyszysz, to unieś prawą rękę.

Postać uniosła wysoko rękę.

- Uniósł lewą.

- To jego prawa.

- Otwieram śluzę. Chodź do nas!

Brian, powłócząc nogami, ruszył w kierunku stacji, rozgarniając ostatnie ciemniejsze łądygi. Gdy przekroczył granicę strefy ochronnej, owady zaczęły odlatywać w noc. Wyglądał, jakby dymił. Nim doszedł do śluzy, czarna szarańcza pokrywała już tylko jego plecy.

* * *

Był wykończony. Potargane włosy, zapadnięte, pokryte gęstym zarostem policzki, przekrwione oczy. Reed pomógł mu dojść do mesy i usiąść na kanapie. Czuli, że coś jest nie w porządku. Stali i patrzyli na niego, podczas gdy w kuchence podgrzewała się kolacja.

- Chodź do ambulatorium - powiedziała w końcu Joanna. - Muszę cię przebadać.

- Nic mi nie jest. - Uniósł ręce w geście „Nie dotykajcie mnie”. - Dajcie mi tylko jeść i pić. Wiem, że śmierdę, ale umieram z głodu. Potem zrobię ze sobą porządek... Gdzie stary?

- Śpi. Sporo przeszedł. Pojechał po was. Powinniśmy go obudzić.

- To nic nie zmieni, dajcie mu spać.

Kuchenka piknęła, kończąc podgrzewanie. Brian obrzucił źródło dźwięku mętным spojrzeniem. Potem przeniósł wzrok na wpatrującą się w niego załogę.

- No co?! Gapicie się na mnie jak na ducha.

Lena zreflektowała się pierwsza, podała mu talerz i duży kubek napoju izotonicznego. Wypił szybko i zabrał się za pochłanianie kolacji. Czekali, aż skończy, by dowiedzieć się, co przeżył.

- Jesteśmy dla nich toksyczni - powiedział. - Oni dla nas nie.

- Skąd ta pewność?

- Wyzdychały wszystkie wokół ciała Craiga. A potem te, których dotknąłem.

- Co takiego?!

- Racje żywnościowe spaliły się w helikopterze. Nie miałem siły dalej iść. Zdjąłem hełm, złapałem jednego zółcienia wyginającego się w moją stronę. To szaleństwo, wiem. Wyrwałem go z ziemi i ugryzłem w połowie długości. Ja żyję, on nie.

- To wbrew wszystkim zasadom bezpieczeństwa...

- Jasne, ale zdechłbym tam, gdybym tego nie zrobił. Zjadłem go, potem następnego.

- Do izolatki! - krzyknęła Joanna, błędąc. - Szybko!

Reed myślał już, ile czasu zajmie mu dobiegnięcie do szafki z bronią, ale Brian uniósł ręce w geście poddania i sam ruszył w kierunku graniczącej z laboratorium izolatki. Wziął ze sobą talerz.

Joanna pobiegła za nim, zablokowała podwójne drzwi i wdużyła znajdujący się na ścianie przycisk alarmu.

- Pysznic! Pospieszcie się!

Popchnęła pozostałych przed sobą. Przebiegli krótki odcinek półokrągłego korytarza.

- Co się dzieje? - przez głośniki rozległ się zaspany głos kapitana.

Joanna zatrzymała się na chwilę, wcisnęła guzik interkomu i szybko powiedziała:

- Nie wychodź z kabiny. Wrócił Brian, ale musimy odkazić korytarz i mesę.

W łazience, w tylnych ścianach dwóch kabin prysznicowych były hermetyczne drzwi prowadzące do służby. Tędy wchodziło się na stację, jeśli istniało podejrzenie rozszczelnienia skafandra.

- Nie ma czasu - rzuciła Joanna. - Ja kąpię się z Reedem. Od tego się nie umiera.

Ilsa rozebrała się pierwsza. Nie odczuwała wstydu i nikt nie był pewien, czy zdołają to zmienić.

Wrzucili ubrania do pralni. Ilsa z Leną weszły do prawej kabiny.

- Długo i dokładnie - powiedziała jeszcze Joanna i spojrzała na Reeda. Uśmiechnęła się i weszła pierwsza do prawej kabiny. Wnętrze nie było zbyt obszerne, ale wystarczające, by nie musieli się dotykać, jednak gdy tylko Reed wszedł do środka, kobieta przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Ktoś zauważył... - zaprotestował mało przekonująco, obejmując ją.

- Do tej pory nie zauważyli.

* * *

- Zdążyliśmy? - zapytał Hancock. Przedtem rozmawiał kilka minut z Brianem przez interkom. Upewniał się trzy razy, że Craig nie żyje.

- Nie mam pojęcia - przyznała Joanna, przypalając papierosa.

Wszystko w mesie śmierdziało jeszcze gazem i to mimo pracującej na najwyższych obrotach wentylacji. Ilsa znów siedziała w fotelu zawinięta w koc i wpatrzona w książnik, zupełnie nie zdradzając zainteresowania sytuacją wokół.

Hancock przyjrzał się dziewczynie. Postanowił na razie zrezygnować ze swego fotela i usiadł na kanapie.

- Pewnie na każdy temat wiesz już więcej ode mnie - powiedział. - Po powrocie na Ziemię możesz zostać nauczycielką.

Dziewczyna uniosła na chwilę wzrok, ale wróciła do lektury.

- Czego się boisz? - zapytał. - Twój „gość” już przyszedł.

- Nie, nie przyszedł.

Wszyscy zamarli.

- Craig nie żyje - wyjaśniał dalej Hancock. - Był w helikopterze, gdy wybuchł pożar. Nie przyjdzie tu.

- Nie o niego chodzi.
- Więc o kogo?
- Nie wiem...

Nastrój w mesie znów się pogorszył. Lena usiadła na kanapie i zakryła twarz dłońmi.

- To nie jest miejsce dla nas.
- Znów zaczynasz? - zapytała Joanna. - Chyba nie będziesz płakać?
- Jestem geofizykiem, a nawet nie mogę rozpocząć badań. - Uniosła głowę. - Musimy albo zabić to życie, albo się stąd wynieść. Koegzystencja jest wykluczona.
- Jeszcze nie wiemy, jak to życie naprawdę wygląda.
- Oczekujemy gościa. Słyszałaś.

Zapadło milczenie. Nikt nie mógł się powstrzymać przed zerkaniem w stronę okna. Nie mieli już ochoty zadawać Ilsi jakichkolwiek pytań. Reed przeszedł do centrum operacyjnego i aktywował wszystkie możliwe systemy mogące zwiększyć bezpieczeństwo stacji. Wiedzące masowo żółcienie pozwoliły na precyzyjne lokalizowanie ewentualnych ruchomych obiektów w promieniu stu metrów.

Hancock podszedł do okna, obracając w dłoniach pustą fajkę. Było późno, ale nikt nie kwapił się, aby iść spać. Rażniej było w półmroku mesy razem ze wszystkimi, nawet jeśli ci wszyscy byli w grobowych nastrojach.

- Czy tutejsze życie może być niebezpieczne? - zapytała Lena, patrząc na Joannę.
- Skład chemiczny ich ciał daje wiele możliwości. Mają na przykład wystarczającą ilość wapnia, by wytworzyć wielkie kły, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób miałyby się to stać.
- Nie mam na myśli zagrożenia fizycznego, ale sam kontakt.
- To nie takie proste. Możliwych kombinacji białek jest... bardzo dużo. Na Ziemi życie wykorzystuje ledwie ułamek tej liczby. Nasze enzymy trawienne innych kombinacji nie będą potrafiły wykorzystać. Życie tutaj wybrało niemal identycznie, ale to „niemal” wystarczy, żebyśmy nie mogli nic przyswoić. Ziemskie rośliny dałyby radę, ale jeśli my zjemy tutejszą kurę, po prostu jej nie strawimy. To najbardziej optymistyczna wersja.
- Ale jak widać na przykładzie Briana, te enzymy potrafią trawić białka żółcienia.
- Wygląda na to, że jego układ trawienny poradził sobie z żółcieniami - przyznała Joanna
- choć wciąż obawiam się o jego zdrowie. Sądzę, że nie przyswoi tego posiłku. Ziemskie beztlenowce też sobie radzą.
- Czy to coś da? We wraku helikoptera widzieliśmy efekty konfrontacji.
- Tak. Możemy tę planetę zasiedlić tylko w jeden sposób - wysterylizować ją i wrócić tu za kilkadziesiąt lat. Można ją wtedy zasiedlić, ale bez gwarancji, że za kilkaset lat z jakichś

głębin nie wylezie coś, co będzie zabójcze już przy dotknięciu. Na Ziemi zresztą też nie mamy takiej gwarancji.

- Jak wysterylizować?

- Sposobów jest wiele...

- Ultrafiolet, ale działa powierzchniowo - wtrącił się Hancock. Wszyscy przegapili moment, w którym szklanka wypełniona szkocką znalazła się w jego ręku. - Mogą być ładunki nuklearne, ale wtedy będziemy musieli poczekać pięćset lat, nim grunt przestanie świecić. Najprostsze jest wywołanie kilkudniowego rozbłysku na Słońcu bądź uderzenie w planetę meteorytem.

- Tak czy inaczej, pozbędziemy się sporej części związków organicznych - dokończyła Joanna. - O takim scenariuszu, jaki tu zastaliśmy, nie pomyśleli nasi geniusze z Ziemi. Nie wierzyli chyba, że znajdziemy tu życie.

- O czym wy w ogóle mówicie?! - zdenerwowała się Lena. - Planujecie... morderstwo. Nie jednego istnienia, nie gatunku, ale całej biosfery!

- Instrukcje mamy jasne - odparł Hancock - odnaleźć nową Ziemię i ocenić, jak zaawansowanych technik terraformowania będzie wymagać. Uważam, że przystosowanie tej planety mieści się w naszych możliwościach, w możliwościach ludzkości.

- Mieliliśmy znaleźć planetę, na której są związki organiczne, na pewno nie chodziło o niszczenie zastanego życia!

- Robimy to od zawsze - przerwał im Hancock. - Nasi przodkowie wycinali lasy, by móc uprawiać zboże. Osuszali bagna, by się tam osiedlać. No, ale jesteśmy tylko ekspedycją naukową. Nie my podejmiemy decyzję i nie my ją wykonamy.

- Decydenci będą się opierać na naszych raportach.

- Gdyby nie to, że tutejsze organizmy umierają w zetknięciu z nami, moglibyśmy żyć obok siebie - powiedziała Joanna. - Teoretycznie możliwe byłoby ich zachowanie. Gdybyśmy mieli pewność, że nam nie zagrażają, oraz uodpornili je na nasz wpływ. Wymiana materii odbywałaby się tylko na poziomie podstawowych związków. To wszystko dałoby się zrobić. Dwa przenikające się niekompatybilne ekosystemy. - Znów uśmiechnęła się zimno, patrząc na Lenę. - W teorii, bo w praktyce nikt nie podejmie takiego ryzyka.

- I nie ma innego sposobu?

- Jest. Możemy z tutejszych białek zbudować człowieka. Wejść w ich łańcuch pokarmowy czy raczej go stworzyć. O takie rozwiązanie ci chodziło?

- To nonsens... - Reed przejął pałeczkę od Leny. - To nie będzie żadna kolonizacja. To nie będziemy my!

- Kontakt z człowiekiem z Ziemi będzie zabójczy, fakt. O prokreacji nie wspominając. Ale jestem niemalże pewna, że ludzkie ciało można zbudować z tutejszych białek. Nie wiem, czym będziemy się różnili, ale zapewne nieznacznie. To ewolucja. Przyspieszona.

- Przecież nie będziemy już ludźmi. To tak, jakbyśmy tu zainstalowali... nie wiem, krokodyle zamiast ludzi. Mamy... wejść w ten łańcuch? Wylatywać rojem z rozgwiad? Rosnąć z postaci muchy?!

- Nic z tych rzeczy. Kobiety nadal będą rodzić dzieci. Musimy tylko przekonstruować nasze białka, białka naszych następców, tak by pasowały do tutejszych. Zmienimy tylko budulec. Będą miasta, przedszkola, urzędy, złodzieje i prostytutki. Nie zauważyłbyś różnicy nawet na sobie.

- W drugą stronę nie można? - zapytał Reed. - Ich zrobić po naszemu?

- To właśnie oznaczałoby konieczność sterylizacji planety, bo tutejsze organizmy same do siebie by nie pasowały. Nic byśmy nie osiągnęli. Możemy tylko zmieniać siebie.

- Ale czy to ma sens? - zapytał Hancock. - To tak, jakbyśmy wzięli kogoś z nas i zrobili jego kopię z nowych cegiełek. Nie podoba mi się to... Nie znam się może na tym, co robisz, ale ten pomysł mi się w ogóle nie podoba. Moglibyśmy się oglądać tylko przez hermetyczne okno...

Spojrzeni po sobie i wszyscy jednocześnie odwrócili głowy w kierunku izolatki.

* * *

- Wybaczcie, że nie powiedziałem od razu. - Brian na monitorze kręcił opuszczoną głową. Potem położył się na łóżku plecami do kamery.

- Nie ma sensu pytać. Trzeba by zrobić badanie krwi, ale to potrwa.

- Czego niby nie powiedział? - zapytał Reed po chwili namysłu. - Że zjadł obcą formę życia czy że sam nią jest?

- Nie wierzę w to, ale założmy gorszą opcję - powiedziała Joanna.

- Zaraz, zaraz... - zastanowił się Reed. - Co powiedziała Ilsa wtedy, gdy oni szli do pierwszej rozgwiad? „Oni zaraz zginą”?

- Można sprawdzić w archiwum, ale jestem niemal pewna, że powiedziała „On zaraz zginie”. Chodziło o Craiga, ale, błagam, nie traktujmy jej jak wyroczni.

- Przewidziała, że wróci Brian.

- Nie o niego chodziło! Jej „gość” jeszcze się nie pojawił.

- Dajcie spokój - przerwała Lena. - Ona słucha.

Ilsa rzeczywiście siedziała obok w fotelu, ale wydawała się całkowicie pochłonięta wyświetlaczem książki.

Owady za oknami uspokoiły się nieco albo mniej je było widać.

- Siedzimy tu, jakbyśmy byli oblężeni - stwierdził Reed, podchodząc do okna. - Przez kogo? Przez muchy?!

- Zaczekamy, co będzie - powiedział Hancock. - Już raz podjęliśmy pochopne działania.

Coś zachrobotło u góry. Wszyscy zamilkli i spojrzeli na sufit. Nawet Ilsa odłożyła książkę. Dźwięk powtórzył się, raz, krótko.

- Reed... - zaczęła niepewnie Lena.

- Coś stygnie... Powłoki zewnętrzne...

- Nad nami są kabiny mieszkalne - powiedziała Joanna. - Wiesz o tym.

Reed spojrział na dowódcę i nie wyczytawszy nic z jego wzroku, wyszedł na korytarz, gdzie naprzeciwko drzwi centrum operacyjnego znajdowała się szafka z bronią. Wyjął dwa sztucery plazmowe. Jeden zaniósł Hancockowi, drugi zatrzymał.

- Mnie nie dasz? - zapytała Joanna.

Reed spojrział na dowódcę. Ten kiwnął głową. Lena uniosła ręce, nie chcąc nawet dotykać broni. Reed wrócił do szafki i wyciągnął krótki miotacz. Wręczył go Joannie.

- Nie mogłeś wytrzymać, żeby nie dać mi mniejszego? - zapytała.

- Ładunki są takie same jak w moim. Żaden i tak nie przebije powłoki zewnętrznej.

- Ale czy przebije powłokę „gościa”? - zapytała, sprawdzając magazynek.

Reed podszedł do terminala wmontowanego w ścianę. Zerknął na czujniki ruchu. Od kwadransa nie było tu nic ruchomego poza centrum operacyjnym, mesą i izolatką. Potem wyświetlił obraz piętra, ale ten śnieżył tak bardzo, że niemal nic nie było widać. Reed zmarszczył brwi.

- Sprawdzę pokoje - powiedział i skierował się do schodów. - Zaczekajcie tu.

- Mam straszny bałagan - rzuciła za nim Joanna, polerując broń skrawkiem bluzki.

Reed nic nie odpowiedział. Otworzył drzwi na kręcone schody i powoli wszedł na górę. Dolne drzwi zamknęły się. Dopiero wtedy otworzyły się górne, z których wychodziło się do krótkiego korytarzyka. Tu znajdowały się drzwi prowadzące do siedmiu niewielkich kabin mieszkalnych. Każde, z zaokrąglonymi rogami i okrągłym bulajem jak na statku, były oznaczone tabliczką z imieniem mieszkańca. Na samym końcu znajdowała się toaleta.

Mężczyzna nasłuchiwał. Zerknął na tabliczkę z napisem „Craig” i zacisnął zęby. Wiedział, że zemsta jest w tym wypadku nonsensowna, ale...

Siedem kabin do sprawdzenia i toaleta. Wszystkie wyglądały podobnie: wnęka z łóżkiem,

krzesło przy małym biurku pod obłym sufitem opadającym do połowy wysokości ściany.

I szafki, schowki, półki. Reed postanowił do nich nie zaglądać. Zaczął od kabiny Craiga, żeby mieć to za sobą. Nic tu nie ruszali od czasu wypadku. Stał chwilę, lustrując wzrokiem wnętrze kabiny, potem z ulgą wyszedł, zamykając drzwi.

Następna była kabina Hancocka. Już na pierwszy rzut oka wyglądała jak kabina kapitana. Mały globus (Ziemi) i kolekcja fajek zajmowały połowę biurka. Na blacie leżała jakaś mapa, którą stary wykorzystywał jako podkładkę.

Lena zostawiła swojąabinę w idealnym porządku. Nawet koszula nocna była złożona w kosteczkę. Tu również nie było śladów obecności kogoś... niepowołanego. U Joanny faktycznie był straszny bałagan. Bielizna, kosmetyki, minidyski z filmami i jedna papierowa książka, a do tego łóżko z kołdrą odrzuconą na bok. Wyślizgany od częstego używania książnik leżał obok poduszki. Kusiło go, żeby sprawdzić, co ostatnio oglądała.

Podobnym śmietniskiem, choć zasnutym głównie pustymi opakowaniami, była kabina Briana. Kabina Reeda nie wyglądała dużo lepiej... Kabina Ilsy za to sprawiała wrażenie, jakby nie używano tu żadnych sprzętów poza łóżkiem.

Reed odetchnął z ulgą. Chroboty musiały być złudzeniem albo przypadkowym nałożeniem się dźwięków z różnych mechanizmów. Otworzył drzwi do toalety i wszedł do środka. Przy pierwszym kroku but plasnął w coś mokrego. Reed spojrzał w dół. Stał w kałuży ciemnego płynu, który był na tyle gęsty, że nie wsiąkł całkowicie w wykładzinę. Prawie krzyknął, gdy coś zimnego dotknęło jego karku. Uskoczył w bok, przykucnął i wycelował w górę sztucer. Kolejna kropla przygotowywała się do kapnięcia. Reed potarł kark i powąchał rękę. Zapach dziwnie znajomy... Płyn z instalacji hydraulicznej! Zerwał się na równe nogi. Sufit pokrywały kwadratowe płyty maskujące. Jedna z nich na obwodzie miała ciemniejszy ślad zacieku. Przywołał w pamięci sposób mocowania płyt - na zatrzaski w stalowy stelaż. Wyjął z kieszeni scyzoryk i podważył brzeg płyty. Płyn wyciekł, częściowo do jego rękawa, a płyta odskoczyła i zawisła na zaczepach z przeciwnej strony. Zajrzał do środka. Wewnętrzna izolacja termiczna na sporym obszarze była przesiąknięta płynem, skapywał po kablach i przewodach sensorów pneumatycznych. Musiało go wyciec kilka litrów - ilość do uzupełnienia, ale skąd w ogóle taki wyciek? I dlaczego nie włączył się alarm?

Zapewne znów ktoś obszedł czujnik - nikt nie projektował tego systemu, by był odporny na sabotaż. Reed wyszedł i otworzył małą klapę konsoli w ścianie. Po jej wewnętrznej stronie znajdowała się klawiatura dotykowa, a we wnęce ekran.

Reed wklepał kilka komend i stwierdził z irytacją, że znów ktoś zważył styki czujnika. Tym razem przy sprężarce. Odłączył ręcznie uszkodzony obwód sterujący jednym z działek

plazmowych na dachu.

Chrobot powtórzył się, tym razem pod jego nogami. Spojrzał w dół i zamknął terminal. Wykładzina była nienaruszona. Wcisnął przycisk interkomu w ścianie.

- Słyszeliście to? - zapytał.

- *Tak, znów z góry* - odpowiedziała Lena. - *Wszystko w porządku?*

- Ja słyszałem to pod nogami...

Między podłogą poziomu mieszkalnego a sufitem poziomu roboczego była trzydziestocentymetrowa przestrzeń wypełniona instalacjami. Albo coś tam wlało, albo zaciera się jakaś część ruchoma.

- *Co może wydawać taki dźwięk?* - Głos Leny drżał.

- Jest tu mały wyciek z hydrauliki. Może to nieszczelny przewód hydrauliczny, a raczej tryskający z niego małym strumieniem płyn wydaje ten dźwięk, ale... na wszelki wypadek... niech Joanna sprawdzi, czy zawartość jej terrarium nie poszła sobie na spacer.

Ukląkł i znalazł miejsce łączenia dwóch fragmentów wykładziny. Wcisnął palec w szczelinę i podważył. Z odgłosem przypominającym darcie materiału puścił pierwszy rzep, potem następne. Dwucentymetrowej grubości kwadrat elastycznej struktury wylądował obok, odsłaniając fragment błyszczącej, metalowej kratownicy. Otwór zakryty był sztywną płytą. Dostęp do wnętrza kratownicy - przestrzeni między poziomami - był możliwy po odkręceniu czterech śrub i uniesieniu hermetycznie przylegającej płyty.

Mężczyzna wyjął z bocznej kieszeni spodni elektryczny śrubokręt.

* * *

- Niepotrzebnie się denerwujecie - powiedział Hancock, nalewając sobie kolejną whisky.
- Któryś z czujników ruchu wykryłby...

- Nasze czujniki nie wykryły zwykłego zakręconego zaworu - przerwała mu Lena, patrząc z niepokojem w sufit. - Może powinniśmy zamykać drzwi od mesy?

- Po co? Ciągłe ktoś tu wchodzi i wychodzi.

- Lepiej przystopuj z tym piciem, dowódco - powiedziała Joanna. - Nie poznaję cię.

Z góry doszedł przytłumiony rumor, jakby przewróciła się sterta ciężkich pojemników.

- Pójdę zobaczyć, co on tam wyprawia - powiedział Hancock. Wstał, ale nie wyszedł z mesy.

- Co się tam dzieje? - usłyszeli z interkomu głos Briana. Obudził się.

- Reed sprawdza jakąś nieszczelność - odpowiedziała do mikrofonu Lena. Potem

przełączyła się na piętro. - Reed, co u ciebie?

Cisza. Może nie mógł dosięgnąć do przycisku. Przełączyła się na nasłuch. Z głośnika popłynął osobliwy dźwięk, który nie dawał się jednoznacznie określić. Nie był wynikiem uszkodzenia przewodów - przynajmniej według komputera mikrofon działał. Dźwięk przypominał ugniatanie błota albo szmer strumyka. Obraz, jaki przekazywała kamera, nadal na nic się nie zdawał. Śnieżył tak, że nie było już widać nawet zarysów ścian.

Lena popatrzyła po pozostałych. Joanna wciąż polerowała miotacz, ale teraz robiła to odruchowo. Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Zrezygnowała.

Hancock wypił duszkiem pozostałą część drinka i odstawił szklankę na bar.

- Zostańcie tu - powiedział i ściskając w ręku kolbę sztucera, wyszedł na korytarz. Przyciskiem odsunął drzwi na schody i ruszył pod górę. Zwalniał z każdym krokiem, ale i tak wyglądał, jakby szedł polować na zająca. Drzwi zamknęły się samoczynnie i już nie było widać, co robił dalej.

Brian wyglądał przez okrągły bulaj w głębi korytarza. O nic nie pytał.

- Nie przebiję powłoki zewnętrznej, ale może uszkodzić komputery i niezbędne do startu instalacje - powiedziała Ilsa, nie podnosząc wzroku znad książnika.

Dwie kobiety spojrzały na nią zaskoczone. Joanna przeniosła wzrok na broń, którą trzymała w dłoni.

- Wiem.

- *Nie ma go tu* - powiedział Hancock z interkomu.

- Sprawdź w mojej szafie - spróbowała zażartować Joanna.

- *Przetrzaśnąłem wszystko. Otworzył panel podłogowy, ale tu jest akurat tyle miejsca, żeby włożyć rękę. Zaraz...*

Połączenie zostało nagle przerwane z głośnym pufnięciem, jakby ktoś wyciągnął korek z butelki.

- Jim?! - zawołała do interkomu Lena. - Jim!

Znów ten szmer. Kobiety spojrzały na siebie. Ilsa też odłożyła książnik i uniosła głowę. Po policzkach ciekły jej łzy. Joanna wstała z kanapy i podeszła do interkomu.

- Jeśli chcecie nas przestraszyć...

Nie dokończyła. Na górze coś rąbnęło o podłogę znacznie głośniej niż poprzednio. Delikatnie zadrżały ściany.

Joanna przeszła do centrum operacyjnego i wywołała na jednym z ekranów obraz wnętrza laboratorium. Zbliżenie na terrarium. Odetchnęła z ulgą, widząc niemrawo poruszające się wewnątrz owady. Chciała wyłączyć monitor, ale przeszkodziła jej Ilsa.

- Policz je - powiedziała.

Joanna przełączyła na kamerę znajdującą się nad terrarium i przeliczyła owady.

- Czterdzieści - powiedziała cicho. - W pokrywie jest czujka alarmu. Nie można otworzyć terrarium przypadkiem...

Przeliczyła jeszcze raz. Czterdzieści. Trzech brakowało. Potem sprawdziła z innych ujęć wewnątrz komory hipobarycznej. Owadów nigdzie nie było widać. Lena sięgnęła do klawiatury i przełączyła widok na poziom mieszkalny. Nie działała tam żadna kamera.

- Czy wyciek płynu mógł zewrzeć przewody kamer? - zapytała cicho.

- Nie wiem - odparła Lena.

Joanna zablokowała drzwi prowadzące na piętro i usiadła w fotelu, sprawdzając po kolei systemy bezpieczeństwa wewnątrz stacji. Nie знаła się na tym tak dobrze jak Reed. Lena próbowała co kilka chwil porozumieć się z poziomem mieszkalnym.

Obie kobiety podskoczyły na dźwięk alarmu, a główny monitor wyświetlił schematyczną okolicę bazy widzianą z lotu ptaka. Lena zacisnęła palce na oparciu fotela. Kilkaset metrów od obszaru ochronnego pojawił się ruchomy punkt. Komputer określił jego masę na kilkadziesiąt kilogramów.

- Następny gość - powiedziała Joanna.

- Craig nie żyje. Tam nikogo nie może być.

- Może to jeszcze jeden Brian...

- Przestań!

Reflektory już były skierowane w stronę, z której powinien nadejść nowy gość, ale resztki zółcieni zasłaniały widok.

Joanna sięgnęła do sterowania uzbrojenia, by uruchomić działka. Trzy kontrolki świeciły na zielono, ale czwarta pozostawała czerwona. Pokrywa działka była otwarta. Joanna spróbowała je zamknąć. Nie udało się.

- To musi być ten obwód, który sprawdzał Reed - powiedziała. - Muszą wystarczyć trzy.

- Może powinniśmy uruchomić procedury startowe?

- Dlatego że się przestraszyliśmy? Zresztą, jeśli na pokładzie jest gość, to Matka nas nie przyjmie.

- *Źle się czuję.*

- Kto to powiedział?

- *Brian. Brzuch mnie boli.*

- Boże... nie wszystko naraz! Zaczekaj, zaraz cię obejrzę - powiedziała, po czym już wstając, rzuciła do Leny, wskazując ekran. - Jak podejdzie - strzelaj.

Lena zajęła jej miejsce i otworzyła pokrywy trzech sprawnych działek.

Obiekt powoli się przybliżał, ale nie na wprost. Kluczył, jakby decydując się, z której strony lepiej podejść.

- Czasem sobie myślę - powiedziała na głos Lena, choć niekoniecznie do wyłączonej z rzeczywistości Ilsy - że to nie my badamy tę planetę, tylko ona bada nas. Nasze reakcje na przeróżne bodźce i stany emocjonalne.

Joanna wróciła po kilku minutach.

- Nie jest obcym - wyjaśniła. - Zwrócił niestrawione żółcienie. Jeśli coś na tym posiłku skorzystał, to mogło chodzić tylko o wodę.

- Ale... bezpieczeństwo mikrobiologiczne...

- Na korytarzu znalazłam naszego małego sabotażystę.

- Uniosła plastikową torebkę z martwym owadem. - I tak nie jesteśmy już „czyści”.

- Jak on się tam znalazł?

- Pojęcia nie mam. Zabezpieczenia nie powinny przepuścić nawet pojedynczego wirusa.

- Czy Craig na pewno nie żyje? - zapytała Lena, przesiadając się na następny fotel.

- Sto procent. - Brian stanął w drzwiach. - Zginął przy upadku. Żółcienie... One zrobiły z niego ser szwajcarski. Wślizgnęły się przez pękniętą szybę i przez rozdarcia kombinezonu. Nawet jeśli jeszcze wtedy żył, choć modłę się, by tak nie było, to kilka minut później wybuchł pożar...

- Kto więc tam się skrada?

Gość pokonał prawie połowę dystansu do krawędzi strefy i wyraźnie zwolnił.

- Nie wiem, ale lepiej sprawdzę co z Reedem i Starym. - Brian założył powycieraną bejsbolówkę z napisem „NY”.

- Odciełam górę - powiedziała Joanna, siadając. - Nic nie sprawdzisz. Oni mogli się czymś zatruć.

Każde z pomieszczeń stacji miało niezależny system wentylacji.

- Założę skafander... Nie. Lepiej poślę robota. Powinien poradzić sobie ze schodami.

Rozległ się kolejny alarm. W zasięgu czujników umieszczonych na stacji znalazły się dwa następne obiekty podobne do poprzedniego. Poruszały się powoli i, podobnie jak pierwszy, zdawały się błędzić.

Śledzili w napięciu trasę ich chaotycznej wędrówki.

- Jednak nie Craig... - mruknął Brian, wstając. - Przygotuję robota. Cokolwiek tam jest, mamy chyba kilka minut.

- Trzy obiekty na zewnątrz - wyszeptała Lena, gdy Brian już wyszedł. - Nic ci się nie

kojarzy?

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale... nie sądzę. To jakieś zwierzęta, których wcześniej nie widzieliśmy.

Trzy kropki poruszały się na oko dosyć chaotycznie.

- Craig, Brian i Hancock.

- Reed też wychodził.

- Na kilka minut. Nie straciliśmy z nim łączności.

- Brian zwymiotował żółcie.

- Tobie nigdy nie zdarzyło się zwymiotować obiadu?

Brian wrócił, niosąc robota. Niewielki pojazd miał sześć kół, manipulator i wystającą z kanciastego korpusu uzbrojoną w sensory głowę. Mechaniczny pies; nawet nazywał się „Spark”. Mężczyzna postawił robota na podłodze przed drzwiami. Sam wszedł do mesy i zamknął drzwi na korytarz.

- Zdejmij blokadę z dolnych drzwi.

Drzwi po półokręgu wsunęły się w ścianę. Robot ruszył i dojechał do podnóża schodów. Przednia para kół uniosła się, a dwie pozostałe popchnęły pojazd do przodu. Wtedy uniosła się druga para, przenosząc ciężar na pierwszą i trzecią. Stopień był za krótki, by cały robot się na nim zmieścił, toteż komputer pokładowy przechylił korpus do tyłu, jednocześnie wjeżdżając przednią parą kół na drugi stopień i ostatnią na pierwszy. Zachwiał się, a obraz transmitowany przez kamerę z głowy przekrzywił się o kilkanaście stopni.

- Miał jeździć po kamieniach - powiedział Brian - więc ze schodami też powinien sobie poradzić.

Robot faktycznie wypoziomował obraz, pokonał następny stopień i w ślimaczym tempie posuwał się dalej. Dolne drzwi zasunęły się i zablokowały automatycznie.

- Na parę minut mamy go z głowy - powiedział Brian, wchodząc do centrum operacyjnego i kładąc walizeczkę sterowania na blacie. Zerknął na świecące w półmroku monitory. Trzy żółte punkty, zygzakując, zbliżały się do stacji.

- Może wyślemy Wróbla, żeby to obejrzeć z bliska - zaproponowała Joanna.

- Nie otwierałbym teraz śluzy... - zaproponował mężczyzna.

- Dlaczego nie chcesz ich zobaczyć?... - zapytała Lena.

- Zwykła ostrożność. Mogłyście pomyśleć wcześniej i zostawić dwa roboty na zewnątrz...

Z góry doszła ich seria szurnięć. Lena złapała stojącego obok Briana za rękaw, zapominając o swoich podejrzeniach. Joanna zamarła w bezruchu. Nasłuchiwali prawie minutę.

- Sparkowi zostały trzy stopnie - odezwał się Brian, sięgając po zdalne sterowanie.
- Jest za mały, żeby zajrzeć przez szybę... - zauważyła Joanna. - Musimy odblokować i otworzyć drzwi.

Kamery z górnego poziomu wciąż nie działały.

- Zróbmy to więc jak najszybciej.

Brian przejął kontrolę nad robotem. Joanna otworzyła drzwi i zamknęła od razu, gdy tylko Spark znalazł się po drugiej stronie. Głowa obróciła się w prawo i lewo, ukazując panoramę krótkiego korytarzyka. Poza otwartym panelem podłogowym nie dało się zauważyć niczego niezwykłego.

Coś stuknęło ciężko po lewej. Zamazany od prędkości kształt przemknął przed obiektywem. Towarzyszyło temu kilka szybkich uderzeń stłumionych przez wykładzinę podłogi. Brian pchnął joystick, by odwrócić głowę Sparka, ale w tym momencie coś uderzyło w robota i z ogromną siłą walnęło nim o ścianę. Łomot był słyszalny nawet bez pośrednictwa mikrofonów. Obraz zgasł.

Lena skuliła się w swoim fotelu. Brian próbował odzyskać kontrolę nad robotem, ale ten nie odpowiadał. Nie był przystosowany do wypadków poważniejszych niż wywrotka.

- Co to było? - wyszeptała Lena.

- Nie mam pojęcia, ale jest cholernie szybkie.

- I silne - dodała Joanna. - Reed dałby radę tak rzucić robotem. Może oni tam... oszaleli?...

Joanna przewinęła nagranie. Na kilku kadrach widać było rozmazany zarys czegoś ciemnego. Skulona postać? Może człowiek. Obraz był jednak na tyle niewyraźny, że mogło to być cokolwiek, choćby rzucona koszula.

- Reed potrafiłby z tego wyciągnąć więcej szczegółów...

- Patrzcie! - Wskazała boczny monitor wyświetlający obraz terrarium. Wcześniej nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nie wierzyli w to, co widzieli. Na dnie nie było owadów. Nie było tam niczego, czego mogliby się spodziewać. Na szklanym dnie leżała dłoń, a raczej jej fragment. Cztery szarobrunatne długie palce, bez kciuka. Dłoń kończyła się przed nadgarstkiem, jak niepełny odlew.

Ale odlew nie mógł się poruszać, a to, co widzieli, wyraźnie drgało, zginając ledwo stawy.

Lena zasłoniła usta i widać było, że jest o krok od wybuchu.

- Opanuj się! - usadziła ją Joanna, przewidując, co może nastąpić za chwilę.

- Co to jest?...
- Połączyły się, ale nadal są wewnątrz. W tej postaci raczej nie opuszczą terrarium.
- Więc mogą nas naśladować...

Poderwali się na dźwięk alarmu. Czwarty obiekt dołączył w osobliwym dryfie do pozostałych okrążających stację.

- Czwórka... Reed... - szepnęła Lena. Chwyciła broń leżącą na blacie, poderwała się i wycelowała w Briana. - Nie ruszaj się...

Brian wyprostował się i podniósł ręce.

- Co ty?...

- Jesteś stąd... - powiedziała kobieta, przestępując z nogi na nogę i cofając się jednocześnie.

- Gdybym wam nie powiedział, że otworzyłem hełm, to byłbym poza podejrzeniem. Myślcie logicznie.

- Odlóż to - powiedziała Joanna, przezornie jednak nie ruszając się z fotela. - W izolatce zrobiłam mu zastrzyki, na które organizm zareagował prawidłowo. Gdyby miał tutejszą strukturę białka, mógłby ich nawet nie przeżyć. On nie jest „stąd”.

- Tam jest następny Brian i... reszta - powiedziała Lena, ale z mniejszym przekonaniem.

Nie wytrzymała dłużej. Opuściła broń i zaczęła płakać. Joanna podeszła do niej i objęła ją, przy okazji przejmując miotacz.

- Czy możemy stąd... odlecieć?

Joanna westchnęła.

- Nie, dopóki nie oczyścimy statku. Ale nawet wtedy na pokładzie matki czeka nas ścisła kwarantanna.

- Ale jak oczyścimy statek bez Reeda? Brian powoli opuścił ręce.

- Sprawdź, ile ważymy - powiedział do Joanny.

- Słucham?

- Sprawdź, ile waży stacja, a dokładniej, jak zmienił się ciężar od chwili, gdy wróciłem.

- Sądysz, że oni wyszli na zewnątrz?

Wstukała kilka komend. Boczny ekran wyświetlił wykres wraz z odnośnikami. Joanna odczytała różnicę:

- Przybyło nam prawie trzysta kilo... - Spojrzała na niego.

- Ja ważę siedemdziesiąt pięć.

Jak na komendę przenieśli wzrok na sufit.

- Co więc tam siedzi nad naszymi głowami?

- Ponad dwieście kilo robactwa. Nie, poprawka: to już nie jest robactwo. Teraz już siedzi tam coś, co poradzi sobie z drzwiami na schody.

Joanna zamknęła na chwilę oczy.

- Jeśli jest zdolne do logicznego myślenia - powiedziała.

- Mam nadzieję, że nie jest.

- Jak się tu dostały?

- Przez jakąś dziurę. Nie było żadnej awarii? Coś mówiłaś o nieszczelności, jeszcze jak siedziałem w izolacie.

- Hydraulika działka. Reed poszedł sprawdzić właśnie to. Ponadto, trzy robaki uciekły z terrarium.

Brian nachylił się nad konsolą i stukał szybko w klawisze. Przerzucił wzrokiem wyniki z ekranu.

- Sądzę, że te trzy przegryzły przewód od środka. Reszta od zewnątrz. Powstało wygodne przejście przez wszystkie warstwy osłon.

- Są więc inteligentne...

- A przejście jest cały czas otwarte. Reed zablokował obwód. Żeby go odblokować, trzeba wejść na górny poziom.

Zapomnieli o gościach wokół stacji. Gdy zerknęli na monitory, okazało się, że tamci doszli już niemal do granicy strefy. Brian przełączył obraz na jedną z kamer zewnętrznych. Dwie postacie stały kilka metrów za mocno przerzedzonymi żółcieniami. Były to niewątpliwie postacie w ludzkim kształcie, i to bez skafandrów. Nie przypominały nikogo z członków załogi; nic więcej nie dało się o nich powiedzieć. Dwie pozostałe „osoby” zachodziły stację od innej strony.

Lena odwróciła wzrok, przeszła do mesy i skuliła się na kanapie.

- Czy mogły aż tak transformować?... - zapytał Brian.

- Powiedziałabym „nie”, gdyby nie to, że właśnie na to patrzę - odparła Joanna. - Wiem jedno: konstrukcja białkowa, jaką badałam, nie dopuszcza takiej możliwości. Mówię o tempie przemian.

- A terrarium?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nawet jeśli, to musiałoby to trwać tygodniami.

Wstali z foteli i podeszli do okien mesy. Goście stali nieruchomo, patrząc się w jasne dla nich, mimo przygaszonych świateł, okna stacji.

- Co zrobimy, jak przekroczą granicę?

- Nie mamy powodu ich zabijać.

- Bronisz swoich? - rzuciła agresywnie Lena, nie zmieniając pozycji.

Brian odwrócił się, wycelował w nią palec i wycedził:

- Odkąd tu wylądowaliśmy, każdy z nas wiele razy wychodził poza stację, więc zejdź ze mnie.

- Jak wejdą pod spód, nic im nie zrobimy - powiedziała Joanna. - Zasięg działek kończy się kilka metrów od kadłuba.

- Oni też nam nic nie zrobią. Śluza jest zaryglowana.

- Może tylko wyglądają jak ludzie? Może mogą znacznie więcej niż my?

- Ale kim oni są?

- To osadnicy - odpowiedziała Ilsa znad książnika. Nie zwracali na nią wcześniej uwagi, a przecież przez cały czas siedziała w fotelu, wchłaniając wiedzę ze sporych zasobów bibliotek stacji. Podniosła wzrok i mrużąc oczy, dodała. - To my.

- Co?... - zapytała Joanna.

- Właśnie rozpoczęła się kolonizacja tej planety - dopowiedziała Lena z kanapy. - Sama chciałaś, żeby zrobić ludzi z tutejszego białka.

- Ale... jak? - Joanna rozłożyła ręce. - To była tylko teoria...

- Wyłumacz nam mechanizm. Ty jesteś biologiem.

- Nie wiem już, kim jestem...

- Co robimy? - zapytał Brian.

- Może nadamy SOS? - zapytała ironicznie Joanna. - Już za sto dwadzieścia trzy lata zaczną organizować pomoc.

- Możemy tam wejść i podzielić ich los - powiedziała Lena. - Jakikolwiek on jest.

- Można wejść po schodach i zajrzeć przez szybę. Górne drzwi są wciąż zamknięte.

- A może tylko nam się wydaje, że są zamknięte. Nie ufam już czujnikom.

- Nie możemy zakładać, że oni nie żyją. Pójdę sprawdzić. Ty siedź i obserwuj oczekujących... gości.

Wziął od Joanny miotacz. Odwrócił się i miał wyjść z centrum operacyjnego, ale zawahał się.

- Czy oni poszli bez broni?

- Wzięli dwa sztucery.

Popatrzył na trzymaną broń, po czym odłożył ją na blat. Wyszedł na korytarz. Zamknął za sobą drzwi do mesy, nim otworzył te prowadzące na schody. Nie skradał się, szedł zwyczajnym niespiesznym krokiem. Drzwi na piętrze były zamknięte. Komputer twierdził, że również zaryglowane. Zajrzał przez szybkę. Pusto. Jeden panel podłogowy był

zdemontowany, ukazując przewody i ciemność zalegającą między poziomami. Drzwi do pomieszczeń mieszkalnych były pootwierane. Nikogo nie było widać.

Obok szyby była dźwignia ręcznego otwierania drzwi. Brian wyciągnął dłoń w jej kierunku, ale zatrzymał się w połowie ruchu. Nie warto ryzykować uchylenia drzwi dla samego zwiększenia kąta widzenia. Zresztą były zaryglowane centralnie.

Usłyszał szelest za plecami. Odwrócił się raptownie, ale była tam tylko ściana. Przystąpił do niej i przyłożył ucho do chłodnego plastiku. Cichy tupo-szelest zza kilku warstw izolacji.

Odwrócił się ponownie na głos uderzenia. Coś mignęło za drzwiami. Zajrzał przez szybę. Z głośnym łomotem całe pole widzenia wypełnił mu ciemny kształt przylegający do szyby z drugiej strony. Zobaczył wpatrujące się w niego oko. Krzyknął.

* * *

- Ta planeta nas przerasta - powiedziała Joanna. - Tu trzeba kilkusetosobowej ekspedycji, laboratoriów, lepiej chronionych zespołów stacji.

W ciągu kilku minut w zasięgu czujników ruchu znalazły się kolejne obiekty.

Wywołała statek matkę wiszący na orbicie.

- Nie możemy sami opanować sytuacji - powiedziała.

- Planujemy mimo to przeprowadzić ewakuację. Przygotujcie się do procedur dekontaminacyjnych w szluzach.

- *Macie skażenie biologiczne na pokładzie. Musicie się z tym uporać przed startem. Regulamin.*

- Mieliliśmy zamiar porzucić lądownik na orbicie, by spłonął w atmosferze.

- *Nawet jeśli my was przyjmujemy, to komputer pokładowy nie otworzy wjazdu.*

Joanna przerwała transmisję, waląc w przycisk.

- Gdyby tu była Samantha, to stanęliby na głowie, żeby nas z tego wyciągnąć.

- Wyjdziemy w próżnię - powiedziała Lena, patrząc gdzieś w przestrzeń. - To da się zrobić.

- To nic nie zmieni. Wnętrza kombinezonów też nie są czyste.

- Można obejść komputer i otworzyć właz doku ręcznie.

- Jasne, że można. Oni też mogą to zrobić, ale się boją. Jak skażenie przedostanie się na pokład matki, nikt nie będzie mógł wrócić do domu. I to jest jedyna przyczyna ich oporu.

Brian stanął w drzwiach mesy. Wyglądał na nieźle przestraszonego.

- Ktoś tam jest, ale nie mam pojęcia kto. Ktoś albo coś. Jeśli to coś chce i potrafi, to może

przejąć kontrolę nad stacją. Robaki mogą być już w każdym zakamarku.

- Bronią swojego terytorium - powiedziała Joanna.

- Zresztą spodziewam się, że wobec tak szybkiego tempa przemian uodpornią się na nas. Może już są odporni.

- Żartowałaś, że nie zdziwiłabyś się, gdyby mieszkańcy wyglądający jak ludzie przywitali nas łamaną angielszczyzną - powiedziała Lena. - A na coś takiego się zanosi.

- Filmy science fiction z drugiej połowy XX wieku przedstawiały przybyszów z kosmosu jako istoty podobne do ludzi lub wręcz z ludźmi identyczne. Ograniczenia wyobraźni.

- To my ich sobie tam wyobrażamy, uważasz? - zapytał Brian, wskazując kciukiem na okno.

- Nie. Myślę, że jest odwrotnie.

- Zobaczyli, jak wyglądamy, i nam pozazdrościli? - zapytał Brian z ironią w głosie. - Piękna analogia. Nasza stacja nawet wygląda jak latający spodek. Ale... ty masz chyba jakąś koncepcję?

- Na podstawie ich DNA komputer wyliczył, jak będą następowały dalsze przemiany tutejszych organizmów. Pilnowaliśmy, by nic nie wydostało się na zewnątrz, ale gdy doszło do kontaktu zółcieni z ciałem Craiga, nasza informacja genetyczna przestała być tajemnicą.

- Zółcienie już wcześniej miały ciała zbudowane z podobnych cegiełek jak my.

- Wiem. Kilka miesięcy przed wyjściem Matki na orbitę dotarły tutaj automatyczne sondy, które miały wykryć istnienie życia typu ziemskiego. Przepadły bez śladu, zdarza się. Zasadniczą sprawą jest jednak to, że na pokładzie sond były nasze bakterie, które miały służyć do badania interakcji z ewentualnymi organizmami tubylczymi. Nie powinny się wydostać na zewnątrz, ale jeśli jakimś cudem się wydostały, to by znaczyło, że kontakt nastąpił już wcześniej. Wzorzec naszej konstrukcji mógł być analizowany od dawna. Wzorzec, według którego można było zbudować... zółcienie.

- Nie przypominają bakterii.

- Mam na myśli zasady konstrukcyjne. Białko, nieco inne co prawda, ale przecież jest woda, węgiel, DNA...

- Sądzisz, że to wszystko, co badaliśmy dotychczas, to był... komitet powitalny?

- Teraz udoskonalony do naszej postaci. Patrzymy w lustro.

- Planeta Kameleon?...

Joanna przytaknęła i dodała:

- Wyobraź sobie, że spotykasz się z Japończykiem. On się nisko ukloni, a ty automatycznie powtórzysz ten gest. Pierwszy kontakt polega na naśladowaniu. Jeśli tak, to

badamy tylko maskę, za którą znajduje się prawdziwa twarz tej planety. Wyższa forma stojąca za tym jest dla nas na razie nieosiągalna. Teatr. To by tłumaczyło moje wątpliwości, że taka biosfera jest zbyt podobna do ziemskiej i nie ma prawa być samowystarczalna.

- Jezu... Zabierajmy się stąd. To już praca nie dla nas.

- Góra nie chce nas przyjąć, dopóki nie oczyścimy stacji.

Brian głośno wypuścił powietrze i zsunął czapkę na tył głowy.

- Możemy zdezynfekować kombinezony - powiedział po chwili - założyć je i wypełnić stację gazem.

- Zabijemy Reeda i Hancocka, a to i tak na nic. Zapewne mamy już całkiem sporo tutejszych mikroorganizmów w naszych ciałach. W kilka miesięcy mogłabym spróbować zsyntetyzować jakąś toksynę, która zabijałaby tylko tutejsze formy.

- Nie widzę alternatywy. Ładownikiem przecież nie wrócimy. Przy sprzyjających wiatrach dotarlibyśmy do Układu Słonecznego w postaci pojedynczych atomów, gdy nie byłoby tam nawet śladu po Słońcu. Musimy dostać się na matkę.

- Hancock po ciebie pojechał.

- Ja bym też po niego pojechał. Jeśli żyją, to startując, nie zabijemy ich, a przygotowanie do startu nic nie kosztuje. Jeśli masz wątpliwości, ile czasu nam zostało, to posłuchaj.

Joanna podeszła do ściany i przyłożyła do niej ucho. Tupot tysięcy malutkich nóżek, szelest pancerzyków, mlaskanie-kapanie. Wyprostowała się z zupełnie odmienionym wyrazem twarzy. Zdała sobie sprawę, że słyszy ów dźwięk nawet teraz. Dochodził zewsząd, narastał niepostrzeżenie od kilkunastu minut.

- Gdzie nasze czujniki ruchu? - zapytała cicho.

- Powiedz mi, gdzie...

- Mamy jakieś kamery wewnątrz ścian?

Brian zastanowił się.

- Poza przestrzenią dostępną dla załogi, tylko w maszynowni...

Usiadł przy konsoli i wywołał obraz. Pancerny płaszcz reaktora, otoczony płataniną rur systemu chłodzenia, wisiał na potężnych amortyzatorach wewnątrz izolowanej komory. Wyraźnie widać było kilka owadów idących po izolacjach. Z otworu w ścianie wylaniało się... coś. Brian zrobił zbliżenie.

- Wygląda jak wąż suma - stwierdził.

- Raczej jak chwytny wąż pnącza - sprostowała Joanna. Cokolwiek to było, powoli pełzło bądź rosło, wylaniając się z otworu. Sunęło wolno, ale nieprzypadkowo w dół czy w górę. Parło wyraźnie w kierunku najbliższego amortyzatora. Obok pnącza wychylił się kolejny

żuczek.

Brian poprawił czapeczkę do normalnego położenia i odwrócił się od monitora.

- Są jeszcze pancerne szyby przy analogowych manometrach na zbiornikach paliwa - powiedział. - Można przez nie zajrzeć.

- Są... gdzie?

- Tu obok, w korytarzu.

Joanna szybkim krokiem wyszła z mesy i zaczęła się rozglądać po ścianach. Brian poszedł za nią i wskazał jej małą szybkę tuż obok drzwi na piętro. Kobieta wahała się chwilę, po czym przysunęła się do szkła. Brian zrobił to samo. Razem przycisnęli twarze do szybki, stykając się policzkami. Niewiele było widać. Brian włączył małą latarkę i zaświecił. Z dala od światła, po tylnej ścianie przegrody biegały w dół i górę czarne żuczki. Zasłaniały je częściowo zegar nanometru i rzędy przewodów, których zastosowania nie sposób było się stąd domyślić. Jeszcze jedna rzecz nie wyglądała na zamontowaną na Ziemi. Szary, może różowawy, opalizujący kabel delikatnie poruszał się seriami drgnień. W górze, przed granicą pola widzenia odchodziła od niego cieńsza żyłka.

- Tworzą jakieś struktury wewnątrz stacji - szepnął Brian. - Wiejmy stąd, póki możemy. Jeśli jeszcze możemy...

- Czekaj! - Joanna powstrzymała go i wskazała mu dolny fragment organicznego przewodu.

Skierował tam światło. W krawędź przewodu wgryzł się jeden owad. Wtedy do jego odwołku przyczepił się następny, potem jeszcze jeden, aż po kilku sekundach tworzyły łańcuch ginący za krawędzią szyby. Pierwszy owad znieruchomiał i płynnie zmienił kształt. Joanna zamrugła, nie wierząc w to, co widzi. Nie minęła minuta, a owady przepoczwarzyły się w kolejne odgałęzienie przewodu.

- OK... - powiedziała Joanna, cofając się powoli. - My badaliśmy ich. Teraz oni zaczynają.

Poprowadziła wszystkich za sobą do laboratorium i nerwowo zaczęła przeglądać jedną z szafek. Wyciągnęła buteleczkę, rozpakowała strzykawkę, igłę i połączyła je w całość. Przeliczyła coś w myślach i zaaplikowała każdemu członkowi załogi antybiotyk. Nie protestowali.

Teraz już wszyscy słyszeli ten osobliwy dźwięk. Stanęli nad terrarium. Lena, blada jak papier, nachyliła się i wtedy niekompletna ręka mumii drgnęła. Kobieta cofnęła się raptownie, uderzając o rurę z żółcieniami. Ta wyskoczyła z uchwytów i jak na filmie w zwolnionym tempie zaczęła się przewracać. Pozostali stali jak zaczarowani. Rura trafiła w stół i zwalając z

niego naczynia, poleciała dalej. Z głuchym łoskotem walnęła o posadzkę. Nie stłukła się, ale pod wpływem wstrząsu odskoczyło wieczko. Woda wraz z żółcieniem wylała się w ciemność, za regały i stoły.

- Dlaczego ja od początku wiedziałem, że to się stanie? - zapytał Brian, patrząc na stróżkę wody zbliżającą się do jego butów. Cofnął się.

Za regałem mignął żółty kształt. Lena krzyknęła, rzuciła się w stronę drzwi. But poślizgnął się na mokrej powierzchni i kobieta upadła w kałużę. Jęknęła zaskoczona. Coś poruszyło się tuż obok. Uchyliła się przed żółtym pyszczkiem, sprawnie wysuwającym się spod regału. Przyklękła, próbowała wstać, ale w emocjach i rozdygotaniu znów się przewróciła i znów niezdarnie próbowała się podnieść. Brian przypadł do niej, chwycił w pasie, uniósł jak pakunek i pchnął w kierunku wyjścia. Łapiąc równowagę, wybiegła na korytarz, a zaraz za nią pozostali. Joanna zamknęła drzwi.

- Prawie mnie dotknął... - wydyszała Lena, opierając się o ścianę. Była mokra.

Joanna obserwowała przez szybę, jak żółcień przegina się w poszukiwaniu... czegoś. Czteropalczysta dłoń próbowała wspiać się na szklaną ścianę terrarium.

Joanna przełknęła ślinę i powiedziała:

- Bierzmy prysznic i dezynfekujmy kombinezony. Potem wynośmy się stąd jak najszybciej.

* * *

Siedem foteli przeciwpociągających koncentrycznie stłoczonych w małej salce i zwieszający się ze środka sufitu gruby stalaktyt obłożony monitorami i kontrolkami. Przypominało to bardziej centrum telekonferencyjne niż sterownię.

Na zakończeniach poręczy każdego fotela było kilka przełączników, klawiatura numeryczna i joystick - na wypadek konieczności przejęcia sterów od autopilota. Lądownik miał automatycznie wylądować, a po ukończeniu badań wystartować i wrócić do orbitera. Nawet proces przemieszczania stacji po powierzchni planety był zautomatyzowany. Rola pilota sprowadzona została niemal do samego zadania destynacji.

Gaz już niemal został wyssany i mogli unieść szybki hełmów. Znów usłyszeli dźwięki z wnętrza ścian - dekontaminacja niewiele dała.

Brian wstukał proste komendy w klawiaturę wystającą na wysięgniku ze stalaktytu. Lądownik miał wystartować i podejść do orbitera bez podejmowania próby dokowania.

- Nie możemy myśleć w kategoriach zemsty - odezwała się Lena, odzyskawszy

częściowo równowagę. - Nigdzie nie jest napisane, że kontakt musi być przyjemny.

- Co? - Brian wyrwał się z zamyślenia, chociaż już zakończył programowanie lotu. - Te robale to taka powitalna dłoń? Uściśnęła nam już połowę załogi. O to ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że ci, co przylecą po nas, zniszczą biosferę. Nie będą ryzykować. Wyjałowia planetę i będą ją formować od zera.

- I my powinniśmy wznieść się ponad negatywne emocje? Zapobiec temu?

- Tak. Jak wejdiesz przed rozpędzony pociąg, to on cię rozjedzie. Nie ze złej woli przecież, jest tylko pędzącym pociągiem. Ani maszynista, ani pasażerowie nie będą winni. Dostaliśmy się tutaj w tryby jakichś procesów, których nie rozumiemy. Wyobraźcie sobie przedstawicieli cywilizacji mikrobów, którzy lądują na Ziemi i dostają się do ludzkich ciał, aby nawiązać kontakt. Nasze leukocyty rozprawiają się z nimi w kilka minut nawet bez naszej wiedzy. Czy to byłby akt agresji z naszej strony? Czy to znaczy, że oni mieliby prawo nas zabijać?

- Będziesz myśleć tak samo, jak będą cię pożerać? - zapytała Joanna. - Wiesz przecież, czemu służą ekspedycje takie jak nasza. Mamy szukać nowego domu dla części szesnastu miliardów ludzi, którzy duszą się kilkaset lat świetlnych stąd. Przetawiały ci się priorytety.

- Chciałaś kolonizować tę planetę, tworząc modele ludzi z tutejszego białka. To nie jest rozwiązanie problemu przeludnienia. To zwykłe zawłaszczenie kolejnego kawałka wolnej przestrzeni, który też zadepczemy miliardami stóp. Oni... oni nawet nikogo nie zabili...

- A Craig? A tamci? - Joanna wskazała głową sufit.

- Craig zginął w katastrofie lotniczej, a o losie Reeda i Hancocka nic nie wiemy.

- Nawet gdybyśmy się tu nawzajem pozabijali, nie zmieni to celu naszej misji - powiedziała Joanna. - Mieliliśmy znaleźć nową Ziemię. I znaleźliśmy ją.

Brian uciszył obie kobiety gestem i wcisnął przycisk interkomu.

- Jeśli jeszcze żyjecie, to trzymajcie się, bo startujemy.

W trzewiach stacji budziły się nieużywane od miesięcy systemy. Ruszały pompy i dodatkowe generatory. Szczękały zastępe zawory. Koła zamachowe żyrostabilizatorów wchodziły na obroty. Wszystko posłuszne załodze.

- Gdzie Ilsa?! - krzyknęła nagle Lena, sięgając do zapięcia pasa. - Ciągłe o niej zapominamy.

- Zostaw - odparł Brian, powstrzymując ją ręką. - Przeciężenie 3 G nic jej nie zrobi. Niech siedzi w swoim schowku, jeśli woli.

Trzasnęły po raz pierwszy startery. Zostało kilka sekund.

- Chciałaś tworzyć modele ludzi z tutejszego białka. - Pokręciła głową Lena.

- To był luźny pomysł. Przestańmy to wypominać.

- Gdy wrócimy i prześlemy wyniki badań, Ziemia wyśle tu nową ekspedycję. Jej pierwszym zadaniem będzie eksterminacja tego życia.

- To naturalne. Wycinamy lasy, żeby uprawiać zboże, zabijamy zwierzęta i zajmujemy ich terytoria. Tak było zawsze.

Ruszyły dodatkowe pompy chłodzenia reaktora, wprowadzając kadłub w drobne drgania.

- Nawet jeśli są tu tylko żółcień i te dziwaczne owady, czy to coś zmieni?

Silniki zagrzmiały, teraz kadłub już silnie wibrował. Ciąg wzrastał liniowo. Do startu pozostały sekundy.

- To jest różnica - odchrząknęła mimo to Joanna - czy się jest człowiekiem, czy grzybkami hodowanymi w ręku wyższej formy. Maski...

- Więc różnica jest tylko w autorstwie? A Bóg? Czyż on nas nie hodoje? Tutejszy pozazdrościł naszemu. Obsiał własny ugór.

Ryk silników zagłuszył wszystko na długie kilkanaście sekund. Głowy opadły im na zagłówki foteli. Oddychali płytko. W minutę niebo z ciemnoszarego chmurnego przeszło w czarne, rozgwieżdżone.

- Czego ty właściwie chcesz? - zapytała Joanna, gdy główne silniki nieco zwolniły.

- Powstrzymać to - odparła Lena.

- Kolonizację? Jak?

Lena odgięła głowę na bok, walcząc ze słabszym, ale wciąż uciążliwym przeciążeniem.

- Mamy czas, by zafałszować wyniki - przekrzykiwała huk silników. - Raporty dotrą drogą radiową do Ziemi za sto dwadzieścia trzy lata. My z oryginałami raportów będziemy tam za dwadzieścia.

- Po co przystępowałaś do programu? Gdzie twoje poczucie misji?

- Misji?! Mówimy o sterylizacji całej planety! Mówimy o zniszczeniu pierwszego życia, jakie spotkaliśmy w kosmosie. Jeśli cię to przekona, to uważam, że wkrótce po przekazaniu wstępnego raportu zabije nas jakaś agencja rządowa. W imię wyższych racji i zachowania tajemnicy. Może matka nawet nas nie wybudzi przed lądowaniem. Skąd wiesz, kto pisał jej programy nadrzędne?

Milczenie.

- Kwadrans do kontaktu z matką - poinformował Brian.

Lena intensywnie myślała. Wahała się, ale z każdą sekundą zyskiwała pewność. Uczucie totalnej determinacji, jakiej nieliczni doświadczają może raz w życiu, zbliżało się do niej. Gdy kanciasty kształt matki unosił się w próżni może sto metrów przed nimi, dokonała już

wyboru.

Brian uchylił szybę hełmu i wcisnął pod spód swoją czapeczkę. Wprowadzał ręczne korekty kursu, zatrzymując lądownik na wprost doku. Wysunął mimowolnie koniec języka i w przejściu nie przestawał klawiszować. Joanna próbowała negocjować z załogą orbitera, używając coraz mniej wyszukanych słów.

- Odblokowałem dok - oznajmił nagle Brian, unosząc ręce znad klawiatury. - Wystarczy nacisnąć „enter”.

- I będziemy mogli wejść na pokład matki? - zapytała Joanna.

- Tak. Standardowy manewr cumowania, potem otwieram dok. Może nie zastrzelą nas od razu.

Gwiazdy leniwie przesuwwały się, gasnąc przesłonięte kanciastą bryłą; jednocześnie inne jaśniały, wyłaniając się z drugiej strony. Wszystkie odbijały się w szybcie hełmu Leny, która patrzyła przed siebie nieruchomo, zdobywając pewność, że stać ją na to, co zaraz zrobi.

- Wybaczcie - powiedziała.

Spokojnym ruchem wprowadziła kod aktywujący ręczne sterowanie i sięgnęła po joystick. Joanna dopiero po chwili zrozumiała, co tamta zamierza. Rozpięła pas i rzuciła się w jej kierunku, ale właśnie wtedy zagrały silniki. Cyfry na monitorach zamieniły się w pionowe linie. Przeciężenie 9 G wepchnęło ją między fotele. Musiała co najmniej złamać obojczyk. Jej krzyk zagłuszyły silniki wypływające gorącą plazmę z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na sekundę. Lądownik uderzył w matkę w połowie długości kadłuba, przełamując ją na pół. Błękitny błysk. Ogień pognął w przestrzeń nadtopione odłamki.

* * *

Ilsa odwróciła wzrok od krótkiego rozbłysku na nocnym niebie. Uniosła dłonie za głowę i rozpuściła włosy ponad krawędź kołnierza kombinezonu. Hełm leżał na ziemi kilka kroków za nią. Przeniosła wzrok na ludzi stojących poza kręgiem wypalanej ziemi. Następni nadchodzili z oddali.

Patrzyli z nadzieją na Matkę Wiedzy.

Warszawa/Murzasichle 2002-2008